PRZEGLĄD

POWSZECHNY.

Błogosławiony lud, którego Panem
Bóg jego. *Ps. 143.*

ROK PIERWSZY. — TOM III.

LIPIEC, SIERPIEŃ, WRZESIEŃ.

1884.

KRAKÓW.
Druk Wł. L. Anczyca i spółki,
pod zarządem Jana Gadowskiego.
1884.

SPIS RZECZY.

Artykuły o rzeczach współczesnych.

Stronnica.

Encyklika Leona XIII. papieża o Masonii — przez *X. biskupa Janiszewskiego* 169

Wyznania liberała — przez *X. Maryana Morawskiego T. J.* 1

Z roczników chrześcijańskiego miłosierdzia — przez *M.* 352

Bazylianie i reforma Dobromilska — przez *X. H. Jackowskiego T. J.* . . . . . Dod. I.

Artykuły naukowe i literackie.

Święty Tomasz z Akwinu i dzisiejsza filozofia — przez *X. A. Langera T. J.* 98, 225

Czy jest możebna moralność sekularyzowana — przez *X. Maryana Morawskiego T. J.* 329

Klemens książe Metternich 1773—1829 — przez *Henryka Lisickiego* 51, 189, 379

Wojenne plany Stefana Batorego od r. 1583—1586, przez *X. Stanisława Załęskiego T. J.* 30

Przyczynek do dziejów odrodzenia w Polsce — przez *Dra. Pawła Popiela* 79

Neuenburg w Kurlandyi przez *Br. Gust. Manteuffla* 218

Z listów Bronisława Zaleskiego, podróż po stepie orenburgskim 407

Przegląd piśmiennictwa.

„Ogniem i mieczem“ Sienkiewicza, przez *Dr. Skrochowskiego* 113

Polityka austryacko-polska wobec myśli politycznej Aleksandra Wielopolskiego, przez Jerzego Moszyńskiego — przez *X.* 142

Stronnica.

Socyalizm społeczny, przez Emila Laveleye — przez *X. Maryana Morawskiego T. J.* 147

Wewnętrzne dzieje Polski za Stanisława Augusta 1764—1794 Tadeusza Korzona — przez *Henryka Lisickiego* 249

Etyka katolicka X. Puszeta — przez *Dra Zygmunta Lenkiewicza* 420

Edmund Dylewski. Andrzej Frycz Modrzewski, polski polityczny pisarz z epoki reformacyi — przez *B. Jasieńczyka* 428

Bibliografia. Z dzieł religijnych 148, 267, 437
Z dzieł historycznych. 270, 442
Z dzieł literackich 150, 278, 446

Sprawozdanie z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

Lipiec.

Z Warszawy: Usposobienie i temperament Warszawy. — Teatr. — Stosunki dziennikarskie. — Spekulacya w publicystyce. Jej oddziaływanie na opinię. — Ruch księgarski. Belletrystyka. — Sienkiewicz i losy jego ostatniej powieści. — Kraszewski i cykl jego historycznych powieści. — Na tułactwie. — Na Polesiu. — Klasztór . . 151

Z Krakowa: Znaczenie zjazdów naukowych. — Zjazd imienia Kochanowskiego. — Ważniejsze jego desiderata. — Wystawa. — Czwarty zjazd lekarzy i przyrodników w Poznaniu. 163

Sierpień.

Z Warszawy: (Dokończenie). P. Orzeszkowa i charakter jej twórczości. — Pierwotni. — Do czego służy antyklerykalizm postępowym satyrykom? — Pani Konopnicka w roli „wieszczki“ warszawskiego postępu. — Dwa ostatnie jej utwory. — Dawni i nowi poeci. — Wacław Szymanowski, jego poezye i dramata. — Poezye Grudzińskiego, Kościelskiego, Czesława Hajoty. — Ostatnie powieści Przyborow-

Stronnica.

skiego i Choińskiego. — Wydawnictwa wywołane przez jubileusz odsieczy wiedeńskiej. — Epopeja rycerstwa w Niemczech i dramat niemiecki w XIX. w. Choińskiego. — Literatura ludowa. — Broszurki ludowe, wydawane przez warszawskich postępowców. — Książeczki protestanckie. — Wydawnictwa pp. Breslauera i Olawskiego. — Książeczki ludowe najnowsze. — X. Filochowski i K. Promyk. Zorza i Gazeta Świąteczna . 281

Z Budapesztu: Stan moralno-społeczny Węgier. — Rozwielmożnienie się wpływów semickich. — Przeludnienie stolicy. — Demoralizacya w klasach oświeceńszych. — Samobójstwa. — Pauperyzm na prowincyi. — Prasa peszteńska.—Polemika broszurowa. Przedstawiciele literatury. — Wybory. 293

Z Berlina: Zapewnienie robotnikom pomocy. — Rada Stanu. — Ustawa banicyjna. — Intruzi na Szląsku 306

Z Irlandyi: Trudność położenia. — Przyczyny niezadowolenia Irlandczyków. — Charakter Irlandczyka. — Stronnictwa i spiski. 315

Stowarzyszenie młodzieży katolickiej w Paryżu 325

Wrzesień.

Z Irlandyi. II: Kodeks karny przeciw katolikom. — Następstwa tego kodeksu i wpływ na charakter Irlandczyków. — Częściowe wyzwolenie katolików 1829 r. — Zbawienny wpływ duchowieństwa i szkół zapłotowych. Zasłużeni mężowie i poeci irlandcy. — Zmiana polityki rządu angielskiego. — Szkoły ludowe, trzy uniwersytety i seminaryum duchowne. — Niezadowolenie Irlandczyków.—Fenianie i autonomiści.— Rozruchy. — Ustawa ziemiańska. — Przyczyny niezadowolenia Irlandczyków. . . 448

Ze Szląska: Ocalenie zasypanych górników w Świętochłowicach 456

Z Petersburga: List otwarty p. Sołowiewa do p. Aksakowa 468

WAŻNIEJSZE OMYŁKI DRUKU.

Str.	10	wiersz	12 od dołu	*smaku nawet,*	czytaj	*smaku, nawet*
„	26	„	4 z góry	*w 12-ym*	„	*w 14-ym*
„	124	„	10 „	*znano*	„	*zwano*
„	125	„	4 (w przyp.)	*Radziejewski*	„	*Radziejowski*
„	146	„	6 od dołu	*spostrzeń*	„	*spostrzeżeń*
„	147	„	6 „	*między społeczne*	„	*społeczne między sobą*
„	154	„	18 „	*mieniem*	„	*imieniem*
„	190	„	13 „	*nieustanie*	„	*nieustannie*
„	310	„	30 „	*Bennisgen*	„	*Benningsen*
„	351	„	10 „	*snuje je*	„	*snuje się*
„	419	„	tytuł „	*Stanisława*	„	*Bronisława*
„	423	„	5 z góry	*katocka*	„	*katolicka*

Wydawca i redaktor odpowiedzialny X. M. Morawski. T. J.

„WYZNANIA“ LIBERAŁA.[1]

Niezrównane są Wyznania św. Augustyna, bo w nich wielka dusza przelewa się z niezrównaną prostotą i podniosłością. Zajmującemi są i nowsze dzieła w tym rodzaju, bo mieszczą zwykle cenny materyał etyczny i psychologiczny w żywotnej formie. Ale jakżeż ciekawąby była księga wyznań liberała, i to liberała naszego chowu, galicyjskiego — na dobitek gazeciarza? W takiej książce, byle szczerze napisanej, jakieby się mogły znaleźć klejnoty rzeczy nietylko ciekawych, ale prawdziwie pouczających, wyświecających tę „narodową psychologię“, o której dziś tyle mówią, rozwiązujący różne zagadki dotąd dla wielu niepojęte! Otóż taką książką obdarzyła nas nasza szczęśliwa gwiazda, taką książką są „Listy do przyjaciela“ przez Ludwika Masłowskiego, byłego redaktora *Kuryera lwowskiego*, tłómacza Darwina i t. d.

Świętego Pawła na drodze do Damaszku powalił głos z góry. Pan Masłowski jechał także na *Kuryerze lwowskim* w podobnym kierunku i z podobną jak Szaweł szczerością, kiedy również został powalonym. Nie przemówił jednak do niego głos z góry, o ile z jego książki wnosić można; nie oświeciła go wiara; od przekonań katolickich jest on w gruncie rzeczy tak dalekim, jak był przedtem; ale uderzył go jakiś grom z dołu. Refleksya, doświadczenie, zetknięcie się *corps à corps* z błotem, leżącem na dnie tej „sadzawki galicyjskiej“, o której tak wybornie pisze, zastanowiło go, przekonało go doraźnie, że jest na fałszywej drodze i skłoniło go do szczerego i jawnego odwrotu. Począwszy od

[1] Listy do przyjaciela, przez Ludwika Masłowskiego. Lwów 1884.

6. marca b. r., zaczął on wydawać w *Kuryerze* artykuły wstępne pod tytułem: „Listy do przyjaciela“, w których swój odwrót opisywał i klikę, od której się odłączał, wybornie charakteryzował. Po piątym liście już im było tego za wiele — wysadzili z redakcyi tego zdrajcę, wstecznika i t. d. Lecz on wylał jeszcze w dziesięciu nowych listach wszystko, co miał na duszy, wypowiedział i to, coby w szpaltach dziennika miejsca znaleźć nie mogło, bo, jak dowcipnie powiada: *on ne parle pas de corde dans la masion d'un pendu* i tak wydał razem piętnaście listów, stanowiących arcyciekawą broszurę, o której mówimy.

Dla rzadkości okazu, pozwolę sobie zdać z niego obszerniejszą sprawę, i nie będę szczędził cytat, bo nie czuję się na siłach równie dosadnie wypowiedzieć tych rzadkich i dotąd nie słyszanych rzeczy.

I.

W pierwszym liście p. Masłowski tłumacząc, że uczciwy człowiek może zmienić zdanie — na co zgoda bez dyskusyi — kreśli wyborny obraz sposobu, jakim u nas wyrasta plemię liberałów: nie na gruncie przekonań, dowodów, doświadczenia, ale... zgoła bez gruntu — z braku gruntu.

„W uniwersytecie, mówi autor, w chwilach wolnych od swych specyalnych studyów, zagląda młody człowiek do dzieł socyalnych i politycznych, a kierując się sympatyą swojego wieku, przyswaja sobie wszystkie tezy liberalne, jakie w tych książkach spotyka. Nie bada, czy odpowiadają one potrzebom życia ludzkiego, bo go nie zna i badać tego nie może. Nie zastanawia się, czy społeczeństwo według tych liberalnych formułek zbudowane, zdołałoby osiągnąć cel, który sobie wytyka, t. j. najtańszym kosztem uszczęśliwienia największej możebnej ilości ludzi; nie wchodzi w to, czy zwolnienie więzów, krępujących namiętności nie przyczyniłoby się właśnie do rozwinięcia w ludziach antyspołecznych pierwiastków; bo oczywiście wchodzić w to i badać tego wszystkiego nie może. Kocha liberalizm i gotów walczyć o niego, bo on najlepiej zaspokaja młodą jego fantazyę, a najwięcej przyrzeka młodym

jego namiętnościom, pragnącym rozkuć kajdany, nałożone przez stare społeczne teorye. Po skończeniu uniwersytetu człowiek taki oddany swej zawodowej pracy, nie ma czasu na socyalne lub polityczne studya; trwa więc dalej w swej admiracyi dla liberalnych formułek, aż z biegiem lat w miarę ostygania młodzieńczych zapałów poczyna w nich robić tu i owdzie szczerby. W owym peryodzie weź go na indagacyę, a przekonasz się, że w głowie jego cały chaos przeróżnych twierdzeń i hypotez: znajdziesz tedy umiarkowane, nawet konserwatywne zdania we wszystkich kwestyach praktycznych, o które się w życiu ocierał — będą one rezultatem doświadczenia i umitygowania się temperamentu; znajdziesz dalej to, co się nazywa *les lieux communs*, to jest komunały, wałęsające się po ulicach, które co chwila możesz podnieść z trotuaru i włożyć sobie do głowy; znajdziesz wreszcie cielęce zachwyty dla liberalnych reform, ale najniezawodniej w sprawach takich, które o niego nie ocierały się bezpośrednio".

Tak wyrasta i kształci się galicyjski liberał, albo raczej, taka jest podstawa jego zasad: ignorancya. Właściwą zaś szkołą, w której się kształci, w której na tym gruncie gmach swoich teoryi buduje, jest prasa codzienna. W dalszym toku autor oceni nam i scharakteryzuje tę prasę jako specyalista, na podstawie autopsyi, ale już w 2-gim liście mówi nam naiwnie, jak wstąpiwszy w szranki, z przygotowaniem jak wyżej, wierzył tej prasie, na jej słowo sądził, „że wszystko, co wynosi się ponad szare tło mas społecznych kraju, jest z gruntu zepsute, zdemoralizowane do nieskończoności, przedajne, serwilistyczne, płaskie, uczuć patryotycznych do szczętu pozbawione". — Na wiarę tej prasy „cała Galicya przedstawiała mu się jako wielka sadzawka, cuchnąca i brudna na całej powierzchni pokryta, wszelkiego rodzaju wodorostami; rolę wodorostów grał Sejm i wiedeńskie Koło polskie; urządzić odpływ dla wód tej sadzawki, wydobyć z wnętrza nowe a utajone siły — to było jego marzeniem".

On wierzył tej prasie, to fakt, który warto zapisać. „Na tę rozczyniającą działalność naszej prasy, mówi słusznie autor, nikt u nas dotąd nie zwrócił (dosyć głośno) uwagi. Jedni, z pogardą patrząc na nią, nie czytają jej kalumnij i sądzą,

że również nikt inny ich nie czyta; drudzy uważają jej wrzaski za pewien rodzaj bodźca dla osób stojących u steru i chociaż rozumieją jak one są bezpodstawne, mniemają wszakże, że w Wiedniu przynoszą nam korzyść, a w kraju nie obałamucą nikogo; wreszcie inni widzą w tem wybryk swobody prasowej, więc przez admiracyę dla tej swobody, znoszą ów wybryk, chociaż się z nim nie solidaryzują. Ale nikt nie przypuszcza, że są całe zastępy ludzi, skądinąd zacnych i rozumnych, którzy zdala stojąc od spraw politycznych, biorą za dobrą monetę wszystko to co opozycyjna prasa pisze; i że nadto są całe szerokie warstwy społeczne, mało wykształcone, dla których każde drukowane słowo ma wartość ewangeliczną.

„Jeżeli ja, mówi jeszcze indziej autor, mogący jako pisarz zaglądać często za kulisy naszych warstatów prasowych, zostałem tak fatalnie na głównym punkcie w błąd wprowadzony; to cóż dopiero za chaos wyobrażeń i pojęć powstawać musi w głowie czytelnika na prowincyi zjadającego codzień anarchiczną strawę, przyrządzoną przez którąś jednę dziennikarską kuchnię i patrzącego na świat, na jego stosunki i rzeczy, przez okulary tylko tego dziennika! Żal mi zaprawdę tych ludzi, żal mi tych głów nieszczęśliwych, w które codzień takie potworne wkładane są fałsze, i tych serc biednych, stworzonych do kochania, a karmionych tylko paszkwilem, jadem i nienawiścią".

Po tym jakby wstępie, opisującym genetyczny rozwój galicyjskiego liberała, przychodzi w kilku następnych listach omówienie treści w nim zawartej, czyli, jak mówi autor, „jednego znamienia wspólnego tym ludziom, którzy się we wszystkiem innem różnią". Znamieniem tem podług p. Masłowskiego jest anarchizm. Sądzę, że gdyby autor umiał głębiej w rzeczy wniknąć, wykryłby jeszcze niejedną liberałów cechę, równie im wspólną, a więcej jeszcze rdzenną, z której może i anarchizm wyrasta.

Ale poprzestańmy teraz na tej części prawdy, którą autor podnosi. Anarchizm ten, czytamy w 3-im liście, pochodzi stąd, że póki Galicya zostawała pod obcym i nieprzyjaznym rządem, sam patryotyzm podniecał i uniewinniał agitacye uliczne i prasowe przeciwko władzy, do czego skłonność odziedziczyliśmy po przodkach naszych z przeszłego wieku. W czystych intencyach

pigułki anarchiczne zadawano pospołu z patryotycznemi. Lecz stosunki się zmieniły.

„Miano u steru kontusz i karabelę — a rzucano w nie tak samo błotem, jak rzucał ongi ulicznik w mundur znienawidzonego kulturträgera. Prasa nasza prześcigała się w poniżaniu powagi Sejmu i Koła polskiego z tem większym zapałem, im mniej ją mogła za to konfiskować prokuratorya rządowa. Na władze zaś centralne, jakkolwiek również polskie, a od Gołuchowskiego czasów ożywione nawet silnym patryotyzmem, pisała to wszystko, co przecisnąć się mogło pomiędzy paragrafy niedołężnej ustawy prasowej.

„Gawiedź uliczna pierwsza tej anarchicznej pracy poklask dała. Przemawiała ona bowiem do jej gustu, podsycała jej własne anarchiczne popędy. A zapytasz, co w obec tej tak szalonej, a tak strasznie szkodliwej działalności prasy, robili ludzie poważni, inteligentni, rozumiejący co w społeczeństwie rozwijać, a co tępić należy? — Nic, albo to co robi gawiedź uliczna wobec zbrodniarza, którego chce aresztować policyant: — stawali po stronie prasy".

Autor słusznie się przeraża tem „strasznem znamieniem" anarchizmu. Ale cóż mu przeciwstawia? Oto w 4-ym liście jego idea konserwatyzmu. Wprowadza nas do glyptoteki, uderza wobec nas młotem w piękny posąg, rozbija go na drobne kawałki.... „Szukaj w nich myśli, mówi, czy tej gienialnej, którą przed chwilą wyrażał marmur, czy jakiejkolwiekbądź innej, choćby tak płytkiej, jak program tromtadracyi. Szukaj! I cóż — nic nie znajdujesz? Milion ziarnek, które masz przed sobą, nic nie wyraża? A przecież ani fizycznie ani chemicznie nie uległy one żadnej zmianie... Dlaczegoż więc w nich żadnej myśli nie dostrzegasz? Oto dlatego, że odjąłeś im to, co do wyrażenia myśli pomagało, pozbawiłeś je spoistości, tej siły, która je skupiała w całość, wyobrażającą piękno. Sprzęgnięte społem tworzyły one dzieło nieśmiertelne; rozbite i rozproszone tworzą kupę pyłu, którą wiatr rozwieje... To samo dzieje się ze społeczeństwem. Ono także jak marmurowy posąg składa się z ziarnek, ludźmi zwanych. Ziarnka te, czyli ludzie, spojeni w jednę całość, tworzą statuę państwową, wyrażającą myśl społeczną. Ale uderz w nią

młotem anarchicznych skłonności, a otrzymasz kupę pyłu, którą zmiecie fala dziejowa z powierzchni ziemi".

Nie chciałbym zbytniego kłaść nacisku na porównanie, ale porównanie tu użyte, wyraża może głębiej myśl autora, niż sam przypuszcza, dalsza osnowa tych listów nas o tem upewnia. Czemuż, kiedy mowa o społeczeństwie, przychodzi mu na myśl posąg marmurowy, złożony z atomów i spojony martwą, poniekąd zewnętrzną siłą spoistości — a nie organizm złożony z członków i komórek t. j. organicznych także całostek, wyrastających jedna z drugiej i spojonych tysiącznemi warunkami ruchu i życia? Haller, Taparelli byliby niezawodnie tego drugiego użyli porównania. Otóż wiedzieć trzeba, że dwa są rodzaje konserwatyzmu. Jeden, który szanuje dlatego prawo, władzę, ustrój społeczny, że widzi w tem wykwit z prawa natury, t. j. wyrazu myśli i woli Stwórcy, drugi, który wychodzi z zasad Hobbesa i Jana Jakóba Russ'a, z zasad zwanych zdobyczami r. 1789, państwo wywodzi z woli ogółu, a z państwa wszelkie prawo. W oczach pierwszego państwo wyrasta na korzeniu rodziny, własności i innych naturalnych związków i hierarchii ludzi; drugi widzi tylko w ludziach atomy równorzędne i siłę spojności państwa, która je kojarzy; co nadto, to od państwa pochodzi. Zasady tego drugiego konserwatyzmu są to te same, z których wychodzą wszyscy liberali, socyaliści, komuniści, rozchodzą się tylko we wnioskach. Podczas gdy tacy konserwatywiści perswadują, jak nasz autor, że pięknie atomom trzymać się kupy i „wyrażać myśl państwa", socyaliści wnioskują sobie, że kiedy są atomami i przez rozsypanie się „ani fizycznie, ani chemicznie nie ulegną żadnej zmianie", to mało im na tem zależy, by w spojeniu „wyrażali myśl" a lepiej im się rozlecić, niż tłoczyć się pod naciskiem spoistości. Ci ostatni mają za sobą siłę logiki t. j. konsekwentność z temi zasadami i mają siłę liczby, bo najwięcej gniecionych. Po stronie zaś owego konserwatyzmu na liberalnym gruncie, grupują się ludzie, którzy wyszli z liberalnych zasad i o innych pojęcia nie mają, naprowadzeni zaś zostali do konserwatywnych konkluzyj, jedni stanowiskiem, drudzy desilluzyą. Stanowiskiem, bo ktokolwiek stanął na szczycie, ten pragnie, żeby się pod nim nie chwiało. Takim konserwatystą ze stanowiska jest Bismark, takimi zostali Gambetta, Ferri i t. p. takim

zostanie Clemençeau tego dnia, co zostanie ministrem.... Drudzy d e s i l l u z y ą, rozczarowaniem, przekonaniem się, że ostatnie wnioski liberalizmu prowadzą w bezdeń: takimi konserwatystami są Renan i wielu innych pisarzy z *Revue des deux mondes*, takim jest i nasz autor. Jedni i drudzy przyjęli, właściwie mówiąc, tylko k o n k l u z y e konserwatyzmu, z a s a d y zaś t. j. teorye istoty i pochodzenia prawa, władzy, państwa i t. d. mają, jak już powiedziałem, te same co liberali i socyaliści. I to jest ich słaba strona.

Do tego rodzaju konserwatystów zaliczyłem p. Masłowskiego, nie dla samego porównania posągu, ale że nieco niżej, chcąc poprzeć moralną tezę konserwatyzmu, nie ma innej broni jak pozytywistyczne słowa: „socyologia! porównawcza psychografia!“ i t. p., ani innych powag jak „Bagehota, Comta, Lubock'a, Darwina, Littrego, Spencera“. Jakoż dalsze listy coś więcej nam o tem powiedzą; tymczasem wróćmy od dygressyi do rzeczy.

W 5-ym liście zarysowuje się pojęcie liberalizmu. Najprzód historyczny pogląd. Szlachta powstała ongi z odpowiedniego naonczas podziału pracy między rycerskim a rolniczym zawodem. Kiedy najazdy ustały, przywileje szlachty stały się nadużyciem; wówczas liberalizm przeprowadził nie bez walki zasadę zrównania praw i urządził wyścigi konkurencyi. Ale stąd się wytworzył jeszcze gorszy podział klas, bo uprzywilejowana arystokracya kapitału i tłum niewolników głodu. Zatem poczyna się na wszystkich polach reakcya, wychodzą raz poraz ustawy wręcz przeciwne zasadom liberalnym. U nas jednak najmniej tej reakcyi. „Nasze społeczeństwo znajduje się już dzisiaj w tym stanie, że ma liberalizmu za dużo, a nie za mało. Powodzenie żydów najlepszym tego dowodem. Zniszczony stan rolniczy, rękodzieła sprowadzone do fuszerki, miasta w upadku, nędza powszechna, oto są rezultaty stosowania u nas liberalnej cłowej zasady: *laisser faire, laisser passer*, do wszystkich funkcyj życia ekonomicznego. Wyuzdanie prasy, rozbudzenie anarchicznych skłonności, rozjątrzenie warstw jednych na drugie, zdemoralizowanie polityczne wszystkich — oto następstwa stosowania jej do wszystkich funkcyj życia duchowego“.

Stąd w 6-ym liście przechodzi autor do głównego żywiołu,

w którym się liberalizm obraca — do prasy. Tu już jest w domu, i warto go słuchać.

„Zapewne jesteś, mówi on, wielbicielem swobody prasowej, bezbrzeżnej, nieskrępowanej niczem. Ta teorya jest dzisiaj jeszcze w modzie i ogół powszechnie ją wyznaje, bo mniema w swej również bezbrzeżnej naiwności, że krępowanie prasy, dajmy na to cenzurą, pozbawiać go może drogocennych myśli.

„My mamy jednak pod bokiem kraj, zamieszkały przez rodzonych naszych braci, a posiadających prasę podległą cenzurze. Wielkim okrzyczałbym Ciebie, gdybyś znalazł w Galicyi, z którejkolwiek gałęzi wiedzy ludzkiej najdrobniejszą myśl, którejby nie znano w Królestwie. Więc może w sercach będzie jaka różnica? Wielka nawet. Nie są tak zdemoralizowane, bo nie zaprawiano ich żółcią, nie karmiono paszkwilem. A wiesz dobrze, że paszkwil to jak fałszywy banknot: nie każdy odważy się go zfabrykować, ale mało znajdziesz takich, którzy dostawszy go przypadkowo w ręce, nie puszczą w dalszy obieg. My, dzięki swobodzie prasowej mieliśmy publiczne, przez władze tolerowane, fabryki tych fałszywych banknotów, a całe społeczeństwo zajmowało się zapewnieniem im kursu na towarzyskiej giełdzie".

Co więcej, „zechciej przeczytać kilku znakomitych psychjatrów, jak n. p. Maudsley'a, Lombroso, Polettiego etc. Z mozolnych i sumiennych ich badań dowiesz się, że znaczny procent zbrodniarzy wyucza się sposobu dokonywania zbrodni z dziennikarskich sprawozdań sądowych. Literalnie wszyscy galernicy, którzy czytać umieli, przyznawali się do tego, że zawsze z zapałem kultywowali literaturę sądowych spraw... Zresztą przypomnij sobie świeże dzieje: Francesconi miał kilku naśladowców, którzy się otwarcie przyznali, że projekt zaczerpnęli z dziennikarskiego opisu. Zgodzisz się więc zapewne ze mną, że mają racyę wyżej wymienieni psychjatrowie żądać ustawy, zakazującej opisywania mordów i zbrodni i ścieśniającej w sposób rozumny dzisiejszą bezgraniczną swobodę prasy w podawaniu sprawozdań sądowych. Jakąż bo ideę ustawa taka przytłumi? — Ideę zbrodni.

„Dałem Ci jeden przykład pospolitej demoralizacyi, szerzonej przez prasę, ale podobnych mógłbym kilka podać, jak n. p. zachęcanie do gry loteryjnej; podniecanie chuci zmysłowych przez

luźne opisy i przez ciągłe wtajemniczanie publiczności w zakulisowe sprawy; przyzwyczajenie jej do lekceważenia czci i dobrej sławy bliźnich przez ciągłe szafowanie paszkwilem, a tępienie w niej wiary w zacność i szlachetność przez podsuwanie ludziom, stojącym na widowni, najbrudniejszych motywów".

Wobec tego stanu rzeczy, p. Masłowski domaga się najsłuszniej higieny umysłowej, oczyszczenia tej atmosfery z trujących miazmów.

„Jeżeli więc pracujemy, mówi, nad osłonieniem ciała ludzkiego od trucizn, to z równą racyą obowiązkiem jest naszym ochraniać od nich ducha. Bo błędnem jest mniemanie, niestety dość rozpowszechnione, a nawet wprowadzone już do pedagogiki przez liberałów, że umysł ludzki ma przy całej swej wrażliwości jakąś metafizyczną bezwrażliwość na złe rzeczy. Mniemają pospolicie, że lektura utworów prawdziwie pięknych i dodatnich podnosi i uszlachetnia człowieka, a złych (to jest złej tendencyi) i demoralizujących zaszkodzić może tylko już skądinąd zepsutym ludziom. Publiczność chętnie w to mniemanie wierzy i powiada: „Ja się od tego nie zepsuję".

„Owoż nieprawda. Trzeba bardzo rozumnego umysłu z jednej strony, a z drugiej trzeba jadu psychicznego podanego w bardzo ordynarny sposób, żeby rzeczywiście nie wywarł żadnego wrażenia. Tymczasem w życiu stosunek bywa najczęściej odwrotny. Fabrykant prasowego jadu postara się ukręcić z niego pigułkę ponętną, a prostaczy umysł połknie ją i przyswoi sobie. Jak mało jest ludzi, którzy nie są zdania ostatniej przeczytanej pracy!"

Środkiem jednakże do przeprowadzenia tej higieny nie jest, zdaniem autora cenzura, ale — nowy i ciekawy pomysł — ordynacya regulująca zawód dziennikarski, tak samo jak aptekarski, adwokacki i t. p. i zamykająca wrota indywiduom bez moralnej i umysłowej wartości.

„Dziś, gdy już nie można kominiarzem zostać bez egzaminu i lat praktyki, gdy robią się usiłowania do zaostrzenia ordynacyi adwokackiej, dla puryfikacyi tego zawodu; gdy na każdym kroku społeczeństwo przychodzi do przekonania, że bezgraniczna swoboda i idąca z nią w parze konkurencya daje tylko premię złym pierwiastkom charakteru człowieka, dziś na seryo wypada pomyśleć

o organizacyi zawodu dziennikarskiego i oczyszczeniu go z indywiduów, którzy dlatego tylko w nim znajdują przytułek, że żaden inny nie chciał ich do siebie przygarnąć".

Kiedy r. 1864 Pius IX. potępiał w Syllabusie nieograniczoną wolność prasy, *plenam potestatem omnibus attributam quaslibet opiniones cogitationesque palam publiceque manifestandi* i twierdził, że takowa wpłynie na zepsucie obyczajów i skrzywienie umysłów *ad populorum mores animosque facilius corrumpendos* (tez. 79) — przypomnijmy sobie jaka wówczas powstała wrzawa, której potężne echo i w Polsce wtórzyło! Jak krzyczano, że Papież targa się na najdroższy klejnot liberalnych zdobyczy, że broni ciemnoty etc. etc. Otóż dziś po 20 latach powtarza to samo, słowo w słowo, były dziennikarz i liberał z tą tylko różnicą, że czego się p. Masłowski dowiedział z doświadczenia, po gorzkich experymentach ludzkości i naszego narodu, to Pius wiedział i zapowiedział z góry i dedukcyjnie. Jak się słucha Papieża, trafia się od razu, dokąd innych po wielu nawrotach zawiedzie doświadczenie, i unika się kosztu experymentów. A to koszt wielki, kiedy idzie o narody.

Lecz idźmy dalej. Za wolnością nieograniczoną, pierwszą zasadą liberalizmu, idzie **konkurencya** jako środek zaradczy na możliwe wolności nadużycia. Autor wykłada doskonale tę teoryę liberalną, na przykładzie fabrykacyi sukna: konkurencya ta sprawia po kolei obniżenie ceny, podwyższenie dobroci towaru, udoskonalenie techniki i maszyneryi, rozwój estetycznego smaku nawet, „podniesienie poziomu etycznego całej ludności"... W teoryi ślicznie się to układa.

Marzyłem cudnie; srodze mię zbudzono!

Zbudziło brutalne doświadczenie, z którem nie masz dyskusyi: *Rien de si brutal qu'un fait.* Pokazało się na wszystkich polach, że konkurencya innym idzie kierunkiem.

„W pierwszym rzędzie obcina zarobek robotników fabrycznych, w drugim sili się na koncepta zastępywania właściwych produktów, tańszemi surogatami. Ideałem dla każdego fabrykanta będzie zawsze dostarczenie towaru tańszego, chociażby posiadającego tylko pozornie te same przymioty, co wyroby konkurencyjnej fabryki. W oczach jego będzie miał równą wartość wynalazek moralny,

oparty na lepszem zużytkowaniu sił przyrody, jak i niemoralny, wyzyskujący głupotę ludzką, — bo oba do jednego doprowadzą go celu... A oba wyzyskiwać będą w równej mierze pracę rąk ludzkich, zastępując mężczyzn kobietami i dziećmi, jako robotnikiem tańszym, obniżając im wszystkim płacę, a powiększając liczbę roboczych godzin.

„I dojdzie w końcu do tego, do czegośmy właśnie doszli, że wolność bezbrzeżna z swoją przeznaczoną konkurencyą stworzy taką niewolę, jakiej nie znały czasy feudalne. Miejsce dawnej szlachty i duchowieństwa, reprezentujące pewne wzniosłe i moralne zasady, zajmie spanoszona burżuazya, na poły żydowska, reprezentująca tylko siłę brutalną kapitału, pozbawiona wszelkiej wyższej myśli, niemająca żadnych wzniosłych popędów, zmysłowa i ordynarna jak lud i goniąca tylko za zaspokojeniem swych chuci, tem silniejszych im w dłuższej były skrępowane niewoli. Za podszeptem tych chuci pójdzie sztuka, dobierająca sobie coraz bardziej zmysłowych tematów, aż ugrzęźnie w najbrudniejszym naturalizmie... A całej tej rozczyniającej działalności czarnych duchów nowoczesnej cywilizacyi poda rękę burżuazyjne dziennikarstwo i dzień w dzień śpiewać będzie hymny na cześć trzech haseł mieszczańskiej rewolucyi: tej wolności, która stworzyła nam religię złotego cielca, tej równości, która równą miarę przykłada do nierównych ludzi i tego braterstwa, którego milionowe armie są illustracyą“...

Cały ten 7-my list, równie jak poprzedni, napisany jest po mistrzowsku. W 8-ym ta teorya konkurencyi aplikuje się do dziennikarstwa.

„Rozumowano ongi w rzeczach prasowych, podobnie jak w przemysłowych. Swoboda i idąca z nią w parze konkurencya — mówiono — wydobędzie na jaw uśpione talenta, ułatwi im możność rozwoju, genjuszom da premię przed miernotami i dla literatury, tak książkowej jak peryodycznej, otworzy wiek złoty. Jakżeż fatalnie sie zawiedziono! Wiemy już dla czego, dzięki onej konkurencyi, przemysł wypisał na swym sztandarze: „*schlecht aber billig!*“. Popatrzmy teraz jak pod wpływem jej prasa skopiowała dla siebie to samo hasło... Swoboda prasy zrobiła to, że wydawnictwo czasopism peryodycznych z aktu poświęcenia prze-

kształciło się po zręcznem skombinowaniu z anonsami kupieckiemi w akt geszeftowy. Rzucili się więc do niego ludzie, których nazwiska nie są zapisane w annalach literatury, pospolici przemysłowcy i dla geszeftu a nie dla propagandy jakichś myśli, opanowali ów gościniec, który swoboda prasy otworzyła dla literatów. Wszelako w intencyi zrobienia dobrego interesu nie tkwi jeszcze nic złego... Ale niestety! jeżeli oni nawet mieli dobre intencye, to owa ukochana przez liberałów „konkurencya“ niedozwoliła ich zrealizować“.

Tu p. Masłowski z dowodami w ręku przeprowadza arcyciekawy rachunek. Galicya posiada 7 dzienników, a 9200 osób prenumerujących. Z tych 2400 przypada na urzędową *Gazetę lwowską*, więc na każdą z tamtych przeciętnie 1133, co wraz z anonsami czyni miesięczny dochód 3300 do 3500 złr. Wydatki na papier, zecera, lokal i t. p., które się wcale nie, albo ledwie zdusić dają, wynoszą 2600 do 2900 złr. Zostaje więc dla redakcyi zaledwie 700 złr. miesięcznie.

„Na tej przeto cyfrze odbija się wydawca w konkurencyjnej walce. Gdyby chciał zaangażować prawdziwych publicystów, ludzi wykształconych z poważnemi studyami i z talentem, musiałby wziąść czterech, pięciu, sześciu i dać im przynajmniej po 200 do 300 złr. miesięcznej pensyi; to znaczy tysiąc złr. dopłacić miesięcznie z własnej kieszeni. Bierze przeto jednego rutynowanego publicystę, dodaje mu cały zastęp studentów, którym płaci po 40 lub 50 złr. miesięcznie i wyrabia w swym prasowym warstacie towar niemający żadnej ani politycznej ani literackiej wartości.

„Uważaj jak na polu dziennikarskiem powtórzył się ten sam objaw, któryśmy powyżej na przemysłowem widzieli. Fabrykanci pod wpływem konkurencyi uciekać się poczęli do angażowania kobiet i dzieci, jako robotnika tańszego; wydawcy lwowscy robią to samo. Dziatwę angażują jako tańszą siłę roboczą i jej powierzają prowadzenie polityki. Ów artykuł *Gazety Narodowej* z pierwszych dni marca b. r. rzucający błotem w Koło polskie, a który wszystkie poważne umysły w kraju tak wysoce oburzył, wyszedł z pod pióra studenta uniwersytetu!...

„Na tem nie koniec. Wyzyskiwanie pracy dziecięcej, skoro

się stało ogólnem, praktykowanem we wszystkich prasowych warstatach, przestało rychło być tematem konkurencyi. Taniość lichych feljetonów, czy to oryginalnych, czy tłómaczonych, ma także swoję granicę. Praca nożyczek czyli przedrukowywanie innych pism nie da się również bezbrzeżnie stosować. Więc trzeba było wynaleźć coś innego do pokonania konkurentów.

„I wynaleziono schlebianie panującym prądom i dominującym wadom społeczeństwa. Na tem polu rozpoczęto wyścigi, wyprzedzając się nawzajem w admiracyi dla anarchicznych skłonności i w paleniu kadzideł na ołtarzu ludowej nienawiści do wszelkiej władzy i wszelkiego rządu. Jak przemysłowcom pod wpływem konkurencyi nie szło o estetykę ale o schlebianie gustowi publiczności, chociażby on był ordynarnym i nieestetycznym, podobnież postąpili wydawcy dzienników; pod wpływem konkurencyi szukali dla siebie premii nie w podnoszeniu literackiem, socyalnem i politycznem swych pism, ale właśnie w dodawaniu im jak najwięcej przyprawy pieprznej lub stajennej“...

Powinszować musimy p. Masłowskiemu, że wybornie dowiódł swej tezy: mianowicie, że pomijając złość i niewykształcenie obecnych przewódzców tromtadrackiej prasy, „sama sytuacya stworzona swobodą prasową jest taka, iż gdyby nawet byli oni jak najlepsi, mimo to poziom dziennikarstwa naszego stałby nieskończenie nisko“.

W 9-ym liście znajdujemy *la contre-épreuve* powyższego dowodu: *Czas*, mówi p. Masłowski, jest jedynem z rzeczonych siedmiu pism, na którego nie padają powyższe zarzuty; nie stoi on na *geszefcie*, ale na ofiarności ludzi pragnących służyć krajowi, posiada wytrawne pióra, umieszcza gęsto wyborne artykuły, nie płynie z prądem opinii i namiętności, ale staje przeciwko prądowi, jego towar bywa tak dobry, że gazety lwowskie kradną go niemal codziennie i za swój przedają. A jednak firma *Czasu* najmniej popłaca, paszkwil nieustający ją zdyskredytował. Dowód najlepszy, że w konkurencyi dziennikarskiej nie dobroć towaru zwycięża, ale taniość produkcyi i pieprzność.

W tym samym jeszcze liście znajdujemy ważną rewelacyę: jak ta liberalna prasa nietylko truje czytelników, ale marnuje i wypacza najznakomitsze talenta młodzieży, którą wciąga do

swych kuźni, jak psuje ich obyczaje, otwierając im wstęp do kulis teatralnych. Rysuje się tu smutny obraz zdolnego i pełnego nadziei młodzieńca z uniwersytetu, który pierwsze zapały swej duszy wylewa w gorącym artykule; artykuł ten bez odczytania idzie w szpalty — „bo w redakcyach lwowskich nie ma zwyczaju, aby ktoś kontrolował i odczytywał oddawane do druku prace. Wieczorem już artykuł zrobił wrażenie w sferach kawiarnianych... Autor stał się na chwilę bohaterem — kawiarni“... A po kilku latach takiego życia w redakcyi i za kulisami, już nie pytaj o talent, o zapał, tem mniej o wiedzę. Przekształcił się on w rzemieślnika prasowego, w cynizmie dojrzałego zupełnie, wolnego od wszelkich przesądów (to znaczy ideałów), biegłego niepospolicie w ocenianiu wartości pewnych patryotycznych frazesów i rzucającego niemi ręką saltymbanka; patrzącego na świat, jako na wielkie dziecko, goniące za bańką mydlaną; nienawidzącego i pogardzającego swego wydawcę i z tego względu żywiącego admiracyę dla teoryj sycyalistycznych?

„I taka młodzież ma kierować społeczeństwem, nie mając najmniejszego o niej wyobrażenia.... Pytam Ciebie, czybyś człowiekowi nieposiadającemu odpowiedniej odrobiny technicznych wiadomości powierzył zbudowanie grobli w Twoim majątku, mostu na drodze powiatowej, młynu lub gorzelni? Czybyś lekarzowi, któryby z całej medycyny posiadał tylko kilka fizyologicznych przesądów i kilka admiracyj do niektórych toksykologicznych formułek, powierzył pielęgnowanie Twego zdrowia? Do każdej gałęzi usług społecznych wymagasz ludzi odpowiednio wykształconych, bo słusznie rozumujesz, że tylko w takim razie praca sumiennie i pożytecznie wypełnioną zostanie. Jedna tylko publicystyka ma stanowić wyjątek i ma się rekrutować bądź z indywiduów, których inne zawody wyrzuciły z siebie, bądź z dziatwy, którą niesumienni spekulanci przynęcają do swych warstatów zmysłowemi przyjemnościami zawodu dziennikarskiego“!

II.

Ten proces liberalnego dziennikarstwa jest najlepszą, prawdziwie świetną częścią pracy p. Masłowskiego. W następujących

trzech listach podejmuje on rozbiór „przesądów stanowiących korpus naukowy liberalizmu“, mianowicie broni przeciw liberalnym doktrynom: Kościół, familię i różnicę klas społecznych. Ale tu już idzie o tezy dodatnie, o zasady, a uczeń szkoły liberalnej, jakkolwiek „nawrócony“ nie jest tu na swoim gruncie. Wypowie on nam jeszcze tu i owdzie trafne spostrzeżenia, nawet głębokie uwagi, ale brak gruntownego rozumienia rzeczy, brak prawdy bezwzględnej wszędzie przebija; stanowisko, z jakiego na kwestye patrzy, jest — nie moje to ale jego słowo — stanowiskiem „zoologicznem“, a wielkie instytucye, których broni, zdają się mu mówić: Przyjacielu, dzięki ci za dobrą wolę, ale — daj nam pokój.

W 10-ym więc liście jest mowa o Kościele. Autor zaznacza bardzo słusznie, że Kościół stworzył nowożytne społeczeństwo na gruzach starego świata i każe się przypatrywać jego potędze cywilizacyjnej w dziejach zbyt mało znanych średnich wieków. „Tymczasem liberalizm, mówi, idzie odwrotną drogą: dla niego początkiem wszelkiej mądrości stanu jest rok 1789“. Wszystko co dawniejsze, godne w jego oczach nienawiści i zagłady. A że w Kościele natrafia główną podporę dawnego porządku, dlatego wydaje dekret, „że Kościół jest pasożytem społecznym“ i usiłuje go zewsząd wykluczyć, wytępić, zniszczyć. Nauka znów ze swej strony, suponując, „że aspiracye religijne płyną z refleksyj rozumowych, czyli, że są następstwem umysłowej potrzeby wyjaśnienia otaczających zjawisk“, a czując się w sile wytłómaczyć takowe po swojemu, wydaje dekret, „że religia jest zbiorem przesądów“.

Wojna więc toczy się zacięcie w politycznych i oraz w umysłowych szrankach: odbierają Kościołowi szkołę, czynności cywilne, bronią mu nawet dobroczynności; równocześnie obrzucają go zarzutami w imieniu nauki... Jednak w końcu liberalizm „oparzył palce“, Kościół zamiast upaść, skupił się i spotężniał. Skąd ta tajemnicza siła? dwie nauki dziś rozwiązały zagadkę. Psychologia odkryła, że religia nie jest płodem refleksyi, lecz uczuciem wrodzonem duszy, więc zniszczyć się nie da. Socyologia zaś orzekła, że Kościół jest naturalnym rozkwitem tego uczucia w społeczeństwie, i „tak niezbędnie potrzebnym w orga-

nizacyi społecznej, jak religia w organizacyi duchowej człowieka". Więc i Kościoła żadna siła nie wytępi.

Taki jest wątek myśli p. Masłowskiego, wątek zresztą nie nowy, bo wszystkim ludziom tej kategoryi wspólny, czasem w książkach, a często w poważnych rozmowach przytaczany. Warto więc nad nim chwilę się zastanowić.

Mniejsza o pierwszy punkt, czy orkan r. 1789 dlatego na Kościół uderzył, że widział w nim podporę starego porządku, czy też odwrotnie, dlatego stary porządek do szczętu burzył, że w nim ślady dzieła Kościoła upatrywał. Z nierównie głębszego poglądu Leona XIII., który wyłożyłem w numerze marcowym, wynikałoby raczej to ostatnie. Ale to kwestya historyozoficzna; zostawmy ją na boku.

Ważniejsza nierównie kwestya o podstawie i źródle religii, którą autor porusza. P. Masłowskiemu się zdaje, że kiedy oparł religię na psychologii i podparł ją socyologią, to już ona stać musi jak mur pod Kowalewem — i w tem naiwnem przekonaniu odejmuje religii, bez jej szkody, jak sądzi, owszem na jej korzyść, refleksyę rozumową. Gdyby religia była tylko snopkiem uczuć i afektów, zgoda; ale przecież te afekta religijne nie strzelają w próżnię. Kto się modli, kto ufa, kto się pociesza przyszłem życiem, ten musi myśleć o Bogu, o drugiem życiu, musi wiedzieć, że jest Bóg i przyszłe życie. Słowem bez dogmatu nie ma religii. Dogmat zaś będąc uznaniem danej nauki za prawdę siedzi w rozumie, rozum z przyrodzenia reflektuje — brońże tedy religii od refleksyi rozumowej!

Pojmuję, że p. Masłowskiemu trudno sobie wystawić, jak może religia w rozumie z refleksyą się zmieścić. Ale tym co są wykształceni w umiejętności religii proporcyonalnie do wykształcenia w innych naukach zrozumieć to łatwo. Wierzą oni w dogmat, bo wiedzą rozumowo, że Bóg istnieje i wiedzą historycznie, że Bóg ten dogmat objawił. Religia jest u nich najpierw przekonaniem, a potem potrzebą; akty religijne są przedewszystkiem obowiązkiem, a potem zadośćuczynieniem aspiracyom serca. Wstrzymam się od szerszego wyłuszczenia rzeczy, bo dopiero wyłożoną została w *Przeglądzie*, w artykule „Rozwój wiary"; ale zaznaczam, że pojęcie religii jako rzeczy samego

uczucia stawia w powietrzu jej prawdę dogmatyczną, a to znowu podcina możliwość jej bytu w uczuciu, bo, jak powiedziałem, serce musi się spotykać z rozumem. Jest niezawodnie religia potrzebą serca, bo *signatum est super nos lumen vultus tui* — i jako taka objawia się w psychologii; jest potrzebą społeczną, bo „łatwiej, jak powiedział Platon, zbudować miasto w powietrzu, niż społeczność bez Bóstwa", i jako taka występuje w socyologii; jest potrzebą etyczną, potrzebą we wszystkich niemal kierunkach działalności ludzkiej. Ale przedewszystkiem jest ona prawdą przedmiotową, i jako taka objawia się rozumowi. Gdyby zaś taką nie była, wszystkie pomienione potrzeby nie podtrzymałyby jej bytu. Rozum uznaje Boga nie dlatego, żeby sobie doraźnie wytłumaczyć „czemu deszcz pada i słońce świeci", ale dlatego, że ponad bezpośredniemi przyczynami, które od wieków zna, i dalszemi przyczynami, które dzisiejszą nauką odkrywa i jeszcze dalszemi, które kiedykolwiek z postępem nauki odkryje, widzi wciąż konieczność przyczyny pierwszej, absolutnej — której mądrość i moc okazuje się, dowodzi się i w porządku przyrody i w porządku etycznym i w którąkolwiek stronę myśl ludzka się zwróci. Dlatego to nauka, tłumacząc coraz dalej i coraz głębiej przyczyny zjawisk, nie uchyla, nie oddala nawet tej konieczności Boga, lecz owszem tem silniej, tem widoczniej ją zatwierdza, bo tem więcej mądrości i mocy Jego odsłania.

Podobnie też pojęcie Kościoła, jako naturalny wytwór uczucia religijnego w sferze społecznej, jakkolwiek pozornie dla sprawy korzystnem, w zasadzie jednak jest mylnem. Przeczą mu nietylko dogmata (o których teraz nie wspominam), ale nawet fakta dziejowe. Gdyby podług teoryi tych panów, z uczucia wyrastała naturalnie wiara, a z wiary przy rozwoju społecznym wytwarzał się Kościół, wówczas widzielibyśmy w dziejach ludzkości pewną równorzędność postępu religii i Kościoła z postępem cywilizacyi: Kościół starego Egiptu przewyższałby o wiele synagogę, Kościół Jowisza kwitnąłby w wieku Augusta. Po najazdach barbarzyńców podupadłby dogmat i Kościół w proporcyi do cofnięcia się cywilizacyi itd. itd. Tymczasem nic z tego w historyi. W starożytności wrodzone uczucie religii przebija się wprawdzie wszędzie, przybiera nieskończone formy, omackiem szuka Boga,

jak mówi św. Paweł, ale coraz więcej wykrzywia jego postać. Aż tu nagle w pośród dziejów staje Kościół Chrystusowy z dogmatem, etyką, hierarchią i kultem *en bloc*, narzuca się z tem wszystkiem, tak samo cywilizowanym Rzymianom, jak wpół dzikim barbarzyńcom; w czasie długiego upadku cywilizacyi, ani dogmat, ani etyka, ani hierarchia, ani kult żadnej nie ulegają zmianie — i dziś, w XIX. wieku, gdy czytam piśmienne pomniki czasów apostolskich, zdaje mi się, że słucham u podnóża naszych ambon, albo że się modlę z ludem u stóp naszych ołtarzy. Doprawdy w Kościele jest coś więcej, jak naturalny tylko rozwój wrodzonego pierwiastka, jest interwencya z góry tego, co wieczne, niezmienne, życiodajne.

Kościół, jak słusznie dowodzi p. Masłowski jest istotnie potrzebny społeczeństwu i państwu, nie na tej jednak potrzebie stoi, ale na fakcie nadprzyrodzonym Boskiego ustanowienia i stąd dopiero ma moc kierowania umysłów, władania sercami i dźwigania społeczeństw.

Podobną dobrą wolę a więcej prawdy, znajdujemy w 11-ym liście: o rodzinie, bo tu w istocie grunt naturalny, autorowi przystępniejszy.

Najprzód słusznie zarzuca on liberałom, że burzą dla przyjemności burzenia, nie wiedząc co na gruzach postawią. Tak usiłują zwalić Kościół, nie myśląc czem się da zastąpić religia, tak też rozbijają rodzinę, której brak niczemby się nie dał wypełnić.

„Zapewne czują oni instynktowo, że dopóki tej fortecy nie wezmą, załogi w pień nie wytną, a murów z ziemią nie zrównają, dopóty ich panowanie uwieńczonem nie będzie. Dość, że oblęgają ją nieustannie od stu lat, zakładają pod nią miny w postaci przeróżnych scenicznych wyrobów, dających się zszeregować pod generyczną nazwą „utworów szkoły konkubinatu“, zdzierają z niej sankcyę religijną, szturmują ze wszystkich stron, słowem, z nieustającą energią i wytrwałością pracują nad jej zburzeniem. Nie umiałbym jednak powiedzieć, czy dla ułatwienia sobie tej pracy i zapewnienia zwycięstwa wypisali na swym sztandarze hasło fałszywe, czy też w prostocie ducha sądzą, że właśnie w tem swojem haśle streścili jądro sprawy; to pewna jednak, że nie mówią, iż im idzie o rozbicie rodziny, ale o rozwiązanie kwestyi małżeńskiej“.

Czemże więc rodzina? „Rodzina nie jest ani kontraktem, ani inwencyą czyjąś, ani instytucyą czerpiącą swą moc z jakiegoś dekretu, ale produktem naturalnym... rodzicielskie uczucie zrodziło rodzinę". Bardzo dobrze tym razem — i dlatego też rodzina nie jest faktem *hors ligne* w dziejach ludzkości, jak Kościół, ale znajduje się zawsze i wszędzie, gdzie ludzkość, w stanie mniej więcej proporcyonalnym do stanu moralnej cywilizacyi czasu i miejsca. Jedno tylko zrobię zastrzeżenie, że jak lot od skrzydeł a jednak skrzydła dla lotu stworzone, tak rodzina pochodzi wprawdzie z uczuć rodzicielskich, ale te uczucia dane są *a priori* od Stwórcy dla wytworzenia rodziny. Autor podobno tej celowości w utworach naturalnych nie odrzuca, skoro dodaje niżej, że „rodzina powstała dla wykształcenia uczuć progenitury".

Jakiż dalej przyrodzony cel rodziny? podwójny: najprzód, jak dopiero powiedziano, wychowanie, nie samo hodowanie ciała, nietylko wypełnianie głowy, ale głównie wychowanie serca, w czem jest istota cywilizacyi. Dziatwa „to zanadto wątła roślina, aby społeczeństwo, jako całość, mogło się zająć jej hodowlą, zanadto delikatna, aby ją narażać na mroźne poddmuchy płatnych urzędników". Drugim celem rodziny, przechowanie tradycyi. Bez tradycyi każde młode pokolenie rzucałoby nawę społeczną na nowe eksperymenta, starsze pokolenie musiałoby się siłą opierać; stąd walki i zaburzenia bez końca.

„Tradycya zapobiega takiej dezorganizacyi przez urabianie każdego nowego pokolenia na wzór i podobieństwo starego. Jest więc główną podstawą porządku, a przeto i głównym czynnikiem postępu...

„Tak ważną więc instytucyą, mówi dalej autor, w organizacyi społecznej jest rodzina, tak święte jej zadanie i tak wielki z niej pożytek. Owóż małżeństwo jest tem jądrem czy ziarnkiem, z którego wyrasta rodzinna roślina... Podobnie przeto jak agronom otacza swą pieczą ziarno rzucone do ziemi nie dla tego, aby jakiś do niego specyalny czuł afekt, ale przez wzgląd na tę roślinę, co z niego wyrośnie; tak również nie przez żadną szczególną admiracyą do małżeństwa otacza je społeczeństwo najwyższą czcią i wyposaża przeróżnemi przywilejami, lecz jedynie przez wzgląd

na tę tak cenną socyalną instytucyą rodzinną, której ono jest zawiązkiem".

Dobrze powiedziane, zapomniał tylko autor o sankcyi religijnej, która jeśli gdzie, to w małżeństwie jest niezbędną. Daremną wszelka „admiracya społeczna", napróżno „socyologia, jak mówi niżej autor, pragnie rozwód zupełnie wykluczyć, a niechce rozwiązać nawet bezdzietnych stadeł, dlatego aby nic z powagi i świętości małżeństwa nie uronić". Formułki naukowe, to czcinowy płot przeciwko fali namiętności i egoistycznych interesów. Tu trzeba grobli sumienia i bezwzględnego obowiązku, a tę tylko sankcya religijna położyć może. Dlatego Chrystus umocnił tę groblę świętością i łaską sakramentu: bo małżeństwo to węgielny kamień, na którym stoi rodzina, a na rodzinie społeczeństwo i wszystko.

„Owoż liberalizm, mówi znów autor, złożony z mnóstwa teoretycznych formułek, najczęściej wyrobionych przez adwokatów i ekonomistów, sądzi o wszystkiem, co w życiu spotyka, jako o formułce, naturalnie starej, przeżytej, świecącej staroświecką powagą, ale wewnątrz pustej... W małżeństwie nie dostrzegł więc liberalizm rodziny, jeno afekt zmysłowy... Rozumiesz dobrze, że z tak fizyologicznej podstawy nie mógł innych, jak fizyologiczne wysnuć wnioski. Utworzył więc sobie zmysłową teoryę o szczęściu w małżeństwie i zamknął ją fizyologicznym wnioskiem o rozwodzie, w razie jeżeli to szczęście nie powstanie, lub w chwili gdy wzajemna sympatya zgaśnie. Więc... gotów szafować rozwodem na prawo i na lewo, a ideał swój widzi w kontraktach terminowych".

Ideał ten ujawnia się nietylko w prawodawstwie, kiedykolwiek skrajny liberalizm do steru przychodzi, ale też nieustannie w prasie codziennej i w powieściopisarstwie, a tym sposobem, mijając prawo, trafia od razu do obyczajów ludności — i dzieło rozkładu samo się dokonuje.

W 12-ym wreszcie liście zbija autor mrzonki liberałów o demokratycznem Eldorado przyszłości — i w tem ma zupełną słuszność — lecz oraz przedkłada swą teoryę o klasach społecznych, i tu jest zupełnie na fałszywym gruncie.

Liberalizm burząc gmach przeszłości, a czując że ludziom musi jakąś obiecywać przyszłość, bo „organizacya duszy naszej

jest taka, że bez nadziei obejść się nie może", tę przyszłość buduje fantastycznie na ludziach. „Szlachta, mawia on, wypowiedziała już ostatecznie swoje słowo, nie wypowiedział go tylko lud. Ale gdy on wzmoże się w dobrobyt i podniesie w oświacie, wywrze głęboki i dodatni wpływ na społeczeństwo. Z tej rudy najszlachetniejsze wytopi nam przyszłość kruszce. Weksel ten wystawiony na imię ludu znajdziesz wszędzie; wystawia go każdy liberał, a publiczności, pragnącej mieć choć jakikolwiek haczyk do zawieszenia swoich nadziei, każe go żyrować".

„Ale któż jest tym l u d e m? pyta p. Masłowski: l u d, mówiąc po prostu, to c h ł o p. Więc ta siermiężna istota, gorzej niż pospolita, bo brutalna w uczuciach, a w myśleniu nie wychodząca po za ciasny zakres konkretności, o dzikich rysach twarzy, rozwiniętych szczękach a płaskiem czole, o przewodzie pokarmowym, przypominającym trawożerne zwierzęta, ma nam raj na ziemi stworzyć, najszlachetniejsze wytopić kruszce z swej rudy, byle tylko trochę obrosła w pierzę, miała kurę w garnku według recepty Henryka IV. i dyplom w kieszeni z ukończonych szkół normalnych?! — Jako liberał gotów jesteś oburzyć się na mnie za ten ton ironiczny".

— Nie, panie Masłowski, liberałem nie jestem; sądzę jednak, że ludu naszego nie znasz i przez fałszywe, bo darwinizmem zabarwione nań patrzysz okulary. Ale przejdźmy do dyskusyi. Rozumowanie autora jest takie: liberalizm, obiecując złoty wiek w przyszłości demokratycznej, albo baśnie nianiek prawi, albo powinien przewidzenia swoje jakimś pozytywnym, umiejętnym dowodem uzasadnić. Ale „gdzież pozytywny punkt oparcia dla liberalnej teoryi, iż ruda chłopska wytopi nam najszlachetniejsze kruszce? Ja go nie znam, mówi autor, a żaden liberał nie był tak otwartym, żeby zdradzić światu tę tajemnicę swej nauki". Póty wybornie. Dalej idąc, mógł autor wskazać, że kierunek jaki dziś bierze „oświata" nie zapowiada bynajmniej złotego wieku, że jak pójdzie świat dalej po tych samych szynach, mamy wszelkie powody przewidywania, że będzie jeszcze gorzej, że im dalej, tem więcej będzie nadużyć u góry, pauperyzmu u dołu, tem więcej będzie zgrzytu w maszyneryi społecznej, mniej maści miłości i podniosłych uczuć itd... Dowodzi tego „umiejętnie"

(w sensie p. Masłowskiego) filozof Hartman. Jeszcze głębiej w rzecz wnikając, mógł autor logicznie udowodnić, że to co złowrogiego w kierunku dzisiejszej oświaty, pochodzi właśnie z pierwiastka liberalnego, który w niej siedzi, z zasad r. 1789, że ten zgubny impuls nadany jest prawodawstwu, szkolnictwu, organizacyi pracy etc.... Taki wywód byłby głęboki, z ogólnem założeniem autora zgodny, ze wszechmiar prawdziwy. Ale autor, któremu przetłumaczony Darwin jeszcze w głowie siedzi, porzuca ten grunt i traktuje sprawę ze stanowiska „zoologicznego".

Lud, mówi on, zdolny jest przyjąć w każdej chwili „w cieplarniach uniwersyteckich" wykształcenie umysłowe. Ale strona uczuciowa człowieka, na której głównie prawdziwa cywilizacya zależy, jest tej natury, że rozwinąć się nie może, jak tylko przez długi szereg pokoleń, na zasadzie ewolucyi.

„Otóż uczucia ludu stoją jeszcze na bardzo niskim stopniu rozwoju. Weź wszystkie jego afekta, wyrażone w obyczajach i zwyczajach, w pieśniach, w stroju, w metaforach mowy, w stosunkach wewnętrznych rodzinnych, w ulubionych zabawach etc.; weź je jednak z własnych spostrzeżeń lub z relacyj sumiennych badaczy, nie zaś z opisów poetycznych i powieściopisarskich, a przekonasz się, że w afekcyjnem życiu chłopa dominuje tak silnie brutalna zmysłowość, iż jedynie niepospolicie delikatną analizą zdołasz w akordzie najniższych popędów odnaleźć słaby i zaledwie początkujący ton wyższych pierwiastków...

„Zatem chcąc przeprowadzić naukową klasyfikacyę, trzeba go pomieścić o wiele niżej od postaci typowego szlachcica, rozumiem postaci rysowanej przez etnologa, a nie ręką liberalnego karykaturzysty. I nic w tem dziwnego, owszem, odwrotny stan rzeczy byłby zagadką naukową. Wiekowe uprzywilejowanie musiało szlachtę wyrobić, stworzyć z niej, mówiąc zoologicznym językiem, rasę lepszą, szlachetniejszą, pełniejszą wyższych aspiracyj; a wiekowe upośledzenie nie mogło znowu wpłynąć uszlachetniająco na psychiczny rozwój ludowej warstwy. Nie wybiegnę więc po za sferę naukowej ścisłości, gdy powiem, że mnie długi szereg pokoleń, zanim lud dojdzie do tego stopnia wyszlachetnienia uczuć, na którym dzisiaj stoi szlachta".

Dwie rzeczy w tym rozumowaniu są do zauważenia: opis

obecnego stanu ludu pod względem uczuć, i kwestya ewolucyjnego rozwoju uczuć.

Któż nie ma pretensyi znać chłopa? każdy go co krok spotyka, widuje go niemal codziennie i stąd każdemu się zdaje, że może o nim sąd wydać ze znajomością rzeczy. Ale i trawę widujemy codziennie, każde dziecko wie co trawa. A jednak tylko botanik zna tajemnicę wewnętrznego życia tych kroci przeróżnych roślinek, które zbiorowo i ogólnikowo trawą nazywamy. Żeby sądzić o wnętrzu, niedosyć widzieć po wierzchu i obserwować rozwinięcie szczęk i wrzekomą płaskość czoła [1]. Chłopa się codzień spotyka, ale jakie się miewa z nim stosunki? każe mu się z drogi ustąpić; czasem targuje się z nim o chleb wiejski, o mleko na spacerze, o podwodę. Na tem miastowi ludzie, zwłaszcza literaci, swą znajomość z ludem kończą. Nie znam *curriculum vitae* p. Masłowskiego, ale na podstawie tego rozdziału, zaliczam go śmiało do takich znawców ludu. Chłopa znać może naprawdę tylko gospodarz, co na wsi siedzi i ludem z bliska i z miłością się zajmuje, i jeszcze lepiej kapłan, który we wszystkie stosunki jego życia wnika i wprost do jego duszy zagląda. Otóż ja w ten sposób, od środka znam nasz lud i powiedzieć mogę, że pod tą grubą powłoką, wypieczoną słońcem i porysowaną od znoju, kryje się zdrój uczuć, nawet podniosłych i delikatnych, którego p. Masłowski i *consortes* wcale się nie domyślają. Zwłaszcza gdy się cokolwiek nad ludem pracuje, o jakże prędko zbiera się wiano wdzięczności, poczucia obowiązku, wstrętu i wstydu względem nieuczciwości, prawdziwej pobożności, nawet ofiarności, wzorowej miłości w małżeństwie i t. d... Ks. Antoniewicz patrząc na to zbliska w swych pracach apostolskich, nie umiał łez radości powstrzymać; każdy z naszych ludowych misyonarzy tego samego wrażenia doznał. Sienkiewicz, misternie szkicując uczucia ludu w swych nowellach Szkice węglem, Za chlebem i t. p.

[1] Autor, który tak szafuje słowami „nauka“, „zoologia“ etc., powinienby był w przypisku wymienić, który to zoolog albo antropolog skonstatował, że nasz chłop ma przeciętnie więcej pochylone czoło, niż nasza inteligencya. Zresztą byłoby to niezgodne z jego teoryą, że chłop się równie prędko w naukach wykształci, tylko uczuć mu brak.

jest nierównie bliżej realnej prawdy o ludzie niż p. Masłowski udrapowany w swą „naukę suchą, zimną, poważną, a zoologiczną".

Myli się p. Masłowski, gdy mówi, że „w afekcyjnem życiu chłopa dominuje brutalna zmysłowość, stawiająca go w klasyfikacyi zoologicznej o wiele niżej od postaci typowego szlachcica", bo zmysłowość w klasach wykształceńszych bywa więcej wyrafinowaną, a daj Boże, żeby niebyła gorszą, więcej rozpowszechnioną, więcej dominującą w życiu, jak bywa u ludu. Myli się p. Masłowski, gdy mówi, że „ledwo kto zdoła w akordzie najniższych popędów u ludu, odnaleźć słaby i początkujący ton wyższych pierwiastków". Myli się mówię, bo nie znam w całej skali uczuć ludzkich tak podniosłego tonu, do któregobym akordu nie dobrał w sercach polskiego ludu. Myli się ogółem p. Masłowski twierdząc, żo chłopu blisko do nabycia wiedzy, a daleko do wykształcenia uczuć, bo odwrotnie wiedzy mu tylko niedostaje i tego sposobu wyrażania i ukrywania uczuć, który się z wiedzą nabywa; same zaś uczucia wykształcił chrystyanizm, który go od wieków wychowuje.

Skoro zaś tak mylnem jest założenie autora, to i teorya ewolucyjna temu założeniu podstawiona, chybioną być musi. Nie rozumiem zresztą jakim sposobem wobec tej teoryi przyjmuje on dziedziczność w sferze afekcyjnej — kiedy żąda wielu pokoleń dla wykształcenia uczuć, a nie przyjmuje jej w sferze umysłowej — kiedy przypuszcza, że chłop równie prędko nabędzie wszelkich nauk, jak dziecię wysokich klas społecznych. Czy w jego „psychografii porównawczej" skonstatowano, że z dziedzicznej krwi serce, a z jakiejś obcej mózg się tworzy? Nie pojmuję również zastrzeżenia: „że ludowym uczonym brakować musi znamię genialności, iż nowych dróg nie wskażą nauce, a tylko stare potrafią konserwować". Przecież łatwo sprawdzić, że między geniuszami nauki, tymi właśnie co nowe drogi umiejętnościom wskazali, wielka część z najniższych wyszła warstw społeczeństwa.

Czyż nie byłoby stokroć lepiej, zamiast tego zoologicznego rozklasyfikowania szlachty i ludu i wniosków w części mylnych, w części przesadnych, które stąd autor wyprowadza, położyć raczej nacisk na to, że się szlachetne uczucia dziedziczą w y c h o w a n i e m, uszlachetnioną atmosferą, która już

kolebkę w zacnym domu otacza, i tą tradycyą familijną, którą sam autor słusznie za przyrodzony cel rodziny wskazał? Czyż zamiast zwalać obniżenie moralne i estetyczne dzisiejszej intelligencyi na to, że ona z ludu coraz więcej się rekrutuje, jak czyni autor pod końcem tego rozdziału, nie byłoby nierównie lepiej, prawdziwiej, głębiej, wskazać powód danego obniżenia w tem, że dzieci ludu wchodzą dzisiaj w sferę intelligencyi, nie otrzymawszy żadnego moralnego ani estetycznego wychowania? Szkolnictwo dzisiejsze bierze ich dziećmi z ojczystej zagrody, gdzie pod cieniem wiejskiego kościółka serce ich mogło jako tako normalnie się rozwinąć; szkolnictwo zaś nie przejmuje na siebie obowiązku wychowania ich serca, ładuje tylko do głowy jałowe wiadomości — i tak anormalnie kształci się młodzian; umysł w nim się nadyma, serce karłowacieje lub dzikim porasta chwastem. Młody człowiek z lepszej familii przyszedł zwykle później do szkoły, przyniósł już jakiś zasób wychowania serca, a jeszcze w gimnazyum i na uniwersytecie dosięga go ciepły powiew domowego ogniska, w którym nie wygasły tradycye. Syn ludu przeciwnie, skoro się trzech słów po łacinie nauczył, już się czuje nieskończenie wyżej od nieumiejętnych rodziców; już jest na zawsze odcięty od wszelkiego wpływu rodzinnej strzechy. Szkolnictwo tymczasem, jak powiedziałem, nie wyręcza dla niego rodziny, społeczeństwo do koła więcej trucizny niż pokarmu jego sercu podaje. Taka jest racya, czemu dziecko ludu ma nierównie więcej trudności, a mniej szansy wyjścia na męża wszechstronnie wyrobionego; taki jest prawdziwy powód tego przeciętnego obniżenia, które autor w poziomie cywilizacyi postrzega i drastycznie omawia. Jednem słowem, racya ta tkwi w wychowaniu, a nie w dziedziczności podług Darwina pojętej.

Trzy ostatnie listy omówię nierównie krócej, bo są więcej politycznej, niż społecznej i zasadniczej treści. W 13-ym liście wytacza autor proces urzędowej *Gazecie lwowskiej*, że zamiast być szańcem konserwatyzmu w Galicyi, zamiast tłumaczyć wciąż krajowi postanowienia i postępowania władzy, i zbijać dzień za dniem zarzuty i fałsze tromtadrackiej prasy, ona się tylko błąka po obcych nam krajach i kwestyach, pisze dzień za dniem „O Mahdim“ i „Jeszcze o armii Mahdiego“, i dlatego też nie

budzi w kraju interesu i nie zdobywa wpływu. *Penes auctorem fides:* nie naszą jest rzeczą wdawać się w ten osobisty proces *Gazety lwowskiej.*

W 12-ym liście wraca p. Masłowski do kwestyi anarchizmu: wskazuje jego początki w naszej historyi; stąd przechodząc do dzisiejszego parlamentaryzmu, szkicuje go tak trafnie, że znów mię korci przytoczyć ten ustęp żywcem:

„Parlamentarne założenie jest, że istnieje większość, mniejszość, rząd z większości wybrany i na wierzchu Korona, bierna, nieprowadząca polityki na własną rękę i postawiona na to tylko, aby dawać rządowi dymisyę, gdy arytmetyka parlamentarna przeciw niemu przemówi. Szablon taki wykrojony jest z pomysłu angielskiego... Lecz Europa wzięła tylko z niego ujemną stronę i zastosowała ją u siebie w chwili, gdy runął gmach derewolucyjnego społeczeństwa i kiedy przeto z natury rzeczy powstać musiała zasadnicza różnica programów między liberalnem stronnictwem burzącem a konserwatywnem, stojącem na stanowisku tradycyi. Więc kiedy w Anglii między większością a mniejszością jest zawsze tylko różnica w odcieniu, i że tak powiem w temperamencie, a za to wspólny grunt historyczny, wspólne tradycye, wspólne zasady, dążenia i nawet metoda; to w Europie jedno stronnictwo prowadzi swą genalogię od pierwszych niemal wieków Chrześcijaństwa, drugie od 1879 r.; jedno myśli o budowaniu na podstawie historycznej, drugie o burzeniu tego wszystkiego co właśnie ma historyczną przeszłość, od herbów aż do tytułów ludzkich i nazwy ulic, od zwyczajów aż do instytucyj. Na polu społecznem nie mają one między sobą tak dalece nic wspolnego, że stoją w obec siebie nie jako dwa czynniki, uzupełniające się nawzajem, ale jako dwie antytezy, nawzajem się znoszące, jako barwa biała i czarna, dające w syntezie szarą, jako ziemia i woda, dające w syntezie — błoto...

„Płynąca stąd pstrokatość dziejów może swój *pendant* znaleźć jedynie w bezgranicznej admiracyi liberałów dla rzeczy tak grubej, brutalnej i bezmyślnej jaką jest parlamentarna cyfra. W państwie kilkudziesięciomilionowem 169 głosów oświadczyło się za rządem, a 174 przeciw, stąd racya do zmiany systemu, burzenia wszystkiego co wznieśli poprzednicy, a fabrykowania

nowych ustaw i nowych instytucyj na nowem kopycie. Żeby jednak cały ten bezsens orgarnąć i w bezdeń jego zajrzeć, musisz przypomnieć sobie ten socyalny aksyomat, że każda nowa ustawa jakkolwiek drobnej dotykałaby rzeczy, naraża mnóstwo prywatnych interesów na szwank, znosi tysiące egzystencyj, a tysiące na inne popycha tory. I dla czegoż powstaje takie jeneralne zamięszanie w życiu państwa? Czy zrodziła je jakaś myśl wyższa, jakaś wyzwolona z utajenia energia, jakaś wielka społeczna potrzeba? Nie, bynajmniej, kilkadziesiąt milionów obywateli żadnej zmiany nie pragnęło. Zrodziła ją tylko arytmetyczna reguła, powiadająca, że od 169 niepodobna odjąć 174, *ergo* trzeba wszystko wywrócić".

Taki jest ogólny pogląd p. Masłowskiego na parlamentaryzm. Prasie zaś liberalnej galicyskiej, której się zdaje, że pod rządem parlamentarnym jej obowiązkiem jest wiecznie oponować, daje p. Masłowski dwie wyborne lekcye. Najprzód przestrzega ją, że ten idealny jej szablon nie da się ryczałtowo do Austryi stosować, bo „mamy w Austryi czynnik, który choć cośkolwiek łagodzi niedorzeczność parlamentaryzmu, czynnik poważny, dodatni, na organicznej tradycyi oparty, a więc pełen organicznej myśli i tendencyi, t. j. Koronę, która nietylko jest polityczną, ale i socyalną zarazem instytucyą, bo czerpie swą siłę z społecznej potrzeby, a nie z jakiegoś politycznego plebiscytu". Skąd wynika, że pozyskanie zaufania Korony więcej dla nas znaczy, niż nawet chwilowy w parlamencie tryumf.

Po drugie, przestrzega także autor, że co innego krytyka, co roztrząsa przedmiotowo czyny i powody, krytyka godziwa i dodatnia, co innego zaś napaść. „Nasza prasa, mówi autor, nie zna krytyki wcale, zna jeno napaść zjadliwą lub bezmyślą apologię, z tym dodatkiem, że tych, których dzisiaj uwielbia dla tego, iż idą w wytkniętym kierunku, obrzuci jutro błotem. Występować przeciw krytyce, będącej przedmiotowym rozbiorem byłoby niedorzecznością, ale znowu jest niesumiennością sprzedawać pod jej etykietą towar, który nawet jej surogatem być nie może, gdyż nie posiada żadnego z jej przymiotów, jak n.p. przedmiotowość, znajomość gruntowna sprawy, respekt dla instytucyi czy osoby etc".

To wszystko pełne prawdy i praktyczności. Nie tak zu-

pełnie zgodzić się można na pojęcie organizacyi społecznej czyli państwa, które autor w ostatnim liście rozwija. Z tych dwóch kartek trudno nam ostatecznie o teoryi autora sądzić, o ile jednak z rzuconych tu i owdzie zdań wnosić można, ideałem jego jest państwo bismarkowskie, prawem państwa podług niego jest wszystko po swojemu regulować i organizować, jak daleko w tem korzyść swą upatrzy, podstawą zaś bytu państwa, jest łożenie w ofierze indywidualizmu a otrzymanie w zamian tej ofiary „nieobliczonych korzyści“ państwowej organizacyi. W tem wszystkiem czuć zapach kontraktu społecznego Russa. Niepodobna mi w tem sprawozdaniu, i tak już za długiem, wdać się w dyskussyę z autorem o teoryę państwa. Ale wracając do tych dwóch stronnictw, które sam tak pięknie w 14-ym liście określił, „jednego co prowadzi swą genalogię od pierwszych wieków chrześcijaństwa, drugiego od 1789 r.“ powiem mu tylko, że jego pojęcie państwa datuje się właśnie z r. 1789, ówczesnych mędrców jest pomysłem i ideałem, stronnictwo zaś datujące się od początku chrześcijaństwa (do którego i autor chciałby należeć) inne ma, bez żadnej wątpliwości, o państwie zdanie: władzę mu przypisuje z góry, a jednak tej władzy ciaśniejsze i stanowcze stawia granice; jednostkom zaś i rodzinom przyznaje prawa, których zbiorowej woli nie godzi się przekroczyć, choćby nawet w interesie ogółu.

W tym rozdziale więc jak w poprzednich nie dopisuje część pozytywna; ale za to wyborną jest jak zawsze część krytyczna. Jakże świetnym zwłaszcza kończy autor ustępem o dobrobycie i oświacie! jak doskonale dowodzi, że dobrobyt nie jest lekarstwem, lecz objawem zdrowia, niby świeżą cerą społecznego organizmu, tudzież, że oświata nie jest żadną magiczną potęgą coby za wszystko starczyć mogła, ale tylko jednym i nie najważniejszym z cywilizacyjnych środków, „gwoli któremu nie godzi się zaniedbywać sprawy stokroć ważniejszej, prawdziwej pracy organizacyjnej, polegającej na wyrobieniu i rozwijaniu socyalnych popędów, a na tępieniu anarchicznych skłonności, tak jeszcze silnych w naszem społeczeństwie, a znoszących nawet wszystkie te korzyści, jakie moglibyśmy wyciągnąć z uczuć patryotycznych, niezaprzeczenie mocno w nas rozwiniętych“.

Kończąc ten rozbiór broszury p. Masłowskiego przypominamy sobie, co św. Justyn, filozof męczennik, mówił do pogańskich mędrców swego czasu: Znacie jedną stronę Słowa, ale do nas chrześcijan musicie przyjść po drugą: tak dopiero umiejętność całego Słowa osiągniecie. Otóż i my przyznajemy i winszujemy p. Masłowskiemu, że zdobył własnem doświadczeniem sporą część prawdy. A nie samem doświadczeniem ją zdobył, lecz oraz dobrą wiarą i głębszem zastanowieniem się nad rezultatem doświadczeń. Bez tych dwóch warunków i doświadczenie bywa płonne. Witamy prawdę skądkolwiek pochodzącą i jakkolwiek niezupełną, bo w niej zawsze z Justynem św. część Słowa uznajemy. Cieszymy się zwłaszcza, kiedy ktoś, jak w niniejszym przypadku, drogą indukcyi i doświadczeń przychodzi do tych samych wniosków, przy których my oddawna, na mocy dedukcyi z zasad, stoimy, bo prawda nie może się świetniej zatwierdzić, jak kiedy dowody z dołu idące spotykają się z dowodami z góry w jednej affirmacyi.

Ale uznając w ten sposób zasługi autora, pozwalamy sobie powiedzieć jemu i wielu innym podobnie myślącym, że to dopiero część prawdy co zdobyli, że to jeszcze nie zasady jak im się zdaje, ale konkluzye konserwatyzmu, a katolicyzmu dopiero rąbek. Chcąc zaś zrozumieć same zasady i poznać całe Słowo, powinni sięgać po za Darwinem, Lubockiem i Spencerem, po za najnowszą psychologią i socyologią, aż do źródeł tego wielkiego stronnictwa, które jak rzekł sam autor, prowadzi swą genealogię od pierwszych wieków chrześcijaństwa.

Część prawdy, którą dotąd zdobyli, gdyby na niej mieli poprzestać, na nic się nie zda, bo jak w toku rozprawy wskazałem, nie ma w niej jeszcze warunków żywotności; ale przyda się ona bardzo, jeśli będzie pierwszym krokiem do dalszego pochodu, szczeblem do wzniesienia się wyżej. A więc — w tem treść mej rzeczy i tem życzeniem kończę — *Amice, ascende superius.*

X. M. Morawski.

WOJENNE PLANY STEFANA BATOREGO

w latach 1583—1586.

(Dokończenie).

III.

W kilka tygodni po zamknięciu niefortunnego sejmu doszła do Polski wiadomość, że d. 10 kwietnia 1585 r. Grzegorz XIII. umarł, a d. 24 kwietnia wstąpił na papiestwo Sykstus V. Niebawem dochodziły do Polski wieści o surowym bezwzględnym charakterze nowego Papieża: jak bandytyzm w swem państwie znosił bezlitośnie, jak stanowczo dumę i chciwość możnych baronów ukracał, z jaką bezwzględnością na osoby, ład i porządek w duchownych i cywilnych sprawach przywracał, z jaką skrzętnością puste skrzynie papieskiego skarbu złotem i srebrem zapełniał; o tem tylko, jakie plany w polityczno-kościelnym kierunku poweźmie, głuche było milczenie. Król Stefan dopiero w grudniu 1585 r. postanowił wysłać arcybiskupa Solikowskiego z oświadczeniem posłuszeństwa, jak o tem świadczy list jego do biskupa Kromera [1], a tymczasem przypatrywał się uważnie robotom nowego Papieża, który znów nie taił się ze swą życzliwością dla polskiego króla, prekonizując spiesznie biskupa wendeńskiego Nideckiego z pozostawieniem mu jego dawnych godności i dochodów duchownych [2]. Wnet przekonał się król, że Sykst V. jest mężem po jego myśli, mężem czynu, a nie próżnych negocyacyj i polecił d. 10 października Possewinowi, który już od końca

[1] Teka Narusz. v. 91. dok. 83.
[2] Monum. Theineri III. str. 1.

lutego z rozkazu Grzegorza XIII. zamieszkał w Brunsberdze [1], aby coprędzej wysłał do sekretarza stanu, kardynała Rusticucci wszystkie dokumenta z ostatnich dwóch lat odnoszące się do sprawy moskiewskiej, a równocześnie postanowił wyprawić do w. księcia i dumnych bojarów poselstwo; słowem w jesieni 1585 r. podjął król sprawę moskiewską, przycichłą na chwilę, z nową energią.

Nakłoniła go do tego kroku jeszcze inna okoliczność. Oto w ciągu 1585 r. dochodziły króla coraz to pewniejsze wieści, że dom Habsburgów zamierza skorzystać z dobrej chwili i na tron wielkoksiążęcy w Moskwie forytuje arcyksięcia Maksymiliana. „Już od dawnego czasu, pisze król do biskupa Kromera pod d. 2 grudnia 1585, częste dochodzą nas wieści, że arcyksiążęta austryaccy pracują nad tem, ażeby na miejsce obecnego rządcy, mniej zdolnego księcia Moskwy, postawiono Maksymiliana, brata cesarza rzymskiego, i że nawet poselstwo moskiewskie było w tej sprawie u cesarza [2]. Świeżo zaś doniesiono nam z Gdańska, że nietylko pracuje nad tem austryacki dom, lecz że nawet zjazd książąt elektorów w Ratysbonie naradzał się nad tem, w jaki sposób wprowadzić Maksymiliana do Moskwy. Tymczasem jaki

---

[1] Ponieważ spory o Szathmar zaostrzały się coraz więcej, a Possewin w ich ułagodzeniu główny brał udział, przeto jenerał Akwawiwa prosił Papieża o wycofanie Possewina z tej sprawy, drażliwej równie dla cesarza Rudolfa jak dla króla, obawiając się narażenia któremukolwiek z nich. W skutek tych nalegań jenerała polecił Papież Possewinowi zamieszkać w Brunsberdze, daleko od królewskiego dworu.

[2] Dowiedział się o tem król od Bielawskiego, starosty grodzieńskiego, którego na zwiady w tym celu wyprawił. Ten doczekawszy się w Wrocławiu wracających z Pragi posłów moskiewskich, wybadał wszystko od ich tłómacza, którym był rodowity polak, Jakób Zaborowski. Zaprzyjaźnił się potem z posłami moskiewskimi (był nim Nowosilców, jak świadczy Karamzin, X. 44), którzy, że im się Niemcy nie podobali, wszystkiego mu się zwierzyli, i natrącali myśl wybrania carem Stefana, jeżeliby po śmierci królowej pojął za żonę wdowę po carze, którego śmierci wkrótce się spodziewali. Bielawski doniósł o tem królowi listem na ręce arcybiskupa gnieznieńskiego z Wrocławia d. 5 kwietnia 1585 r. pisanym, którego kopia znajduje się w Ms. bibl. kurnickiej (Akta do panowania St. Batorego, w tece ks. Polkowskiego).

jest stan rzeczy w Moskwie, trudno się dowiedzieć, naszym bowiem ludziom i kupcom po za Smoleńsk wstęp do głębi Moskwy zabroniony“ [1]. Istotnie było się czego obawiać. „O niemieckich praktykach nic nie pisze, odzywa się prymas Karnkowski w swym okólniku do wszystkiej szlachty, bo to najprostszy może obaczyć jakie niebezpieczeństwo Koronie z nich urość może. Przyjdzieli w ręce Niemcom moskiewska ziemia, bezwątpienia starać się będą jakoby Prusy i Inflanty, które sobie dawno *vindicant* od nas odebrali, a snadnieby im tego dokazać przyszło, mając ratunek od szwedzkiego i duńskiego króla, ludzi swego narodu, zaczem nas jako w ogródku z obu stron ogarnąwszy i Koronęby za czasem opanowali. Widzi to i Turczyn i zapobiega temu, a my, o które gra idzie, snem twardym na to śpiemy“ [2].

Nie spał jednak Batory, postanowił dotrzeć do dna rzeczy i zręczną akcyą na dworze kremlińskim obalić wszelkie, jeżeli jakie były, roboty niemieckie w tej mierze. Sposobność nadarzała się po temu. Z końcem listopada a początkiem grudnia 1585 r. odbyła się rada senatorów litewskich w Grodnie. „Była tu *gravis deliberatio,* powiada współczesne źródło. Gdy król JM. z Krakowa do Grodna miał odjeżdżać, czausz (goniec) turecki dał przystawowi list od baszy do panów i bojar moskiewskich, aby go dał królowi JM., a król JM. żeby go przez swego posłał do Moskwy... Alec (Aleko) basza pisze Moskwie szeroce, że snać sobie obieracie pana w innych ziemiach, ale was cesarskiem imieniem napominamy, abyście go obrali z pośrodku siebie, nie możecieli, tedy poszlijcie do Porty, tam się dowiecie kogo będziecie mieli wziąść za pana; uczynicieli inaczej, pokoju mieć nie będziecie od Turka i od Tatar i od innych sąsiad, zwłaszcza od Polski. Król JM. z wielu miejsc ma tę wiadomość, że Rakuszanie praktykują o ziemię moskiewską i przyszły sejm ma być

[1] Teka Narusz. vol. 91 dok. 84. Porównaj Karamzina: X. 42. „Batory miał u nas między kupcami litewskimi własnych szpiegów, dlatego Teodor polecił im, aby w Smoleńsku tylko handlowali“.

[2] Teka Narusz. vol. 91. dok. 101. Mylnie położono rok 1586. W bibl. kurnickiej ten sam dokument datowany r. 1585 i treść tego dowodzi.

w Regensburgu o to: *expedit*-li Rzeszy ująć się za to państwo, a kogo tam posłać z cesarskich braci? Toby już o nasze Inflanty i Prusy gra szła, a my Polacy bylibyśmy *inter incudem et malleum* (między młotem a kowadłem). *Ergo* co tu czynić? *expedit*-li nam też myśleć o sobie? a potrzebnali abyśmy też posłali do Moskwy praktykować także ze swej strony, żeby Moskwa króla JM. wzięła za pana sobie? Polacy snadniej się zgodzą z nimi, niżeli Niemcy: jedna religia, jedna mowa, obyczaje, suknie, sąsiedztwo *et id genus*. Owa rychlej przypadną do nas". Na tę „deliberacyą" takowa zapadła „konkluzya": „Posłać na praktykę do Moskwy, *neque deesse sibi*, a Pana Haraburdę, kasztelana mińskiego wyprawić, który tam w Moskwie zachowanie ma" [1].

Zgodził się na to król. „Ponieważ w tym czasie, pisze w zmiankowanym wyżej liście do Kromera, zaszły pewne sprawy, nad któremi według zwyczaju senatorowie w. księstwa Litwy z bojarami moskiewskimi się naradzają, przeto zdało się licznie tu zebranym senatorom litewskim i tym, którzy z Korony są przy boku naszym, ażeby wysłano stąd w imieniu senatu litewskiego męża zdolnego do bojarów, któryby rozprawił się z nimi o niejakie krzywdy w tych czasach tutaj wyrządzone, i wybadał zarazem co się tam dzieje; a jeżeliby znalazł sposobność dokazania czego dla dobra naszego i Rzpltej, aby jej nie zaniedbał, a nas o wszystkiem jak najprędzej uwiadomił" [2].

Senatorowie pochwalili ten zamiar: „Oznajmujemy Szczerości Waszej, pisze król do marszałka w. l. Krzysztofa Radziwiłła pod d. 18 grudnia 1585, iż zdało się niektórym Panom Radom naszym Korony polskiej i W. X. L., aby poseł od nas i od panów Rad naszych do Moskwy był posłan dla wielu przyczyn, między któremi ta nie jest mniejsza, iż brat cesarza JCM. chrześcijańskiego z pomocą wielu chrześcijańskich panów bierze się na państwo moskiewskie, a snać za wezwaniem bojar moskiewskich. O czem acz już ze wszech stron dosyć wiadomości mamy, wszakoż na pewno przez to poselstwo dojść będziem mogli, jeżeli się

[1] List z Grodna jednego przyjaciela do pana marszałka koronnego (Opalińskiego) d. 2 grudnia 1585. Ms. bibl. kurnickiej.
[2] Teka Narusz. v. 91 d. 84.

to dzieje z wiadomością i podania wszystkiej Rady moskiewskiej, czyli jeno od kilku bez wiadomości drugich, jako nas wiedzieć doszło. Jeżeli tedy innego pożytku z tego poselstwa nie odniesiem, tedy to samo, że drugich (bojarów), którzy o tem nie wiedzą, przestrzeżemy, zaczem podobno w niwecz się obrócić będzie mogło te przedsięwzięcie, które po małym czasie, a najdalej po naszym żywocie byłoby z wielkiem niebezpieczeństwem i ze złem tych państw... Tenże poseł od nas (nietylko od senatorów) będzie miał list do w. kniazia Moskwy, do którego jeno o krzywdach poddanych naszych, które się teraz pod pokojem dzieją, piszemy“ [1].

„Posłem tym, był mąż znakomity Michał Haraburda, oddawna znany i przyjęty na dworze moskiewskim za doskonałą znajomość naszego języka, głęboki rozsądek, grzeczność a nadewszystko, za przywiązanie do wiary greckiej“ [2]. Takie pochwały daje polskiemu posłowi Karamzin. Istotnie był Haraburda zręcznym dyplomatycznym ajentem i na kilka zawodów nawiedził Iwanowe państwo; raz w lutym 1573 gdy od Litwinów jeździł do Nowogrodu do Iwana, bawiącego się mordowaniem 18.000 ludzi, aby wybadać jego usposobienie i odwrócić oręż jego od Inflant; drugi raz w styczniu 1582, gdy jako sekretarz króla JM. brał udział w układach i pokój Zapolski podpisywał [3].

Z początkiem r. 1584 w nagrodę dawnych usług i na zachętę do nowych, konferował mu król kasztelanię mińską, a teraz w marcu 1586 r. wyprawił go na dwór kremliński, wiemy już z jakiemi poleceniami. Tą razą nie sprzyjało szczęście kasztelanowi mińskiemu, bo też i misya jego była arcytrudną. Według relacyj urzędowych rosyjskich miał d. 10 kwietnia uroczystą audyencyą u w. księcia Fiedora, otoczonego cesarzykami podbitych krajów: Krymu, Sybiru, Tiumenu i Czerkas. Poczem rozpoczął konferencye z dumnymi bojarami od skarg na prześladowanie kupców litewskich, którym po za Smoleńsk ruszyć się nie

---

[1] Teka Narusz. v. 91. d. 88.

[2] Karamzin. X. 32.

[3] Morawski. Dzieje nar. pol. 111—10. Relacye nuncyuszów w Polsce I. 436.

wolno, i na przedłużenie ciężkiej niewoli jeńców inflanckich. Na skargę odpowiedziano mu skargami, „że brat nasz Stefan wypuścił tylko młode dzieci bojarów i strzelców i trochę prostych chłopów, a za znakomitszych jeńców wziął 54.000 rubli okupu, oprócz tego niektórzy wcześniej wykupieni, a inni jeszcze teraz zostają w więzieniu w Litwie i Polsce u panów, którzy ich trzymają w norach i za okup męczą". To znów wypominano, że udających się z jałmużną do patryarchy greckiego Rosyan, Misenina i Korobejnika opadnięto i zrabowano w przejeździe przez Litwę. Przystępując do właściwego celu swej misyi, jął polski poseł oświadczać się w imieniu króla i senatorów obojga narodu z niekłamaną chęcią zachowania wiecznego przymierza Polski i W. Ks. Moskwy przeciw wspólnym wrogom. Nie należy spierać się o oddanie tych lub owych prowincyj, bo spory te nie załatwią się, tylko krwi rozlewem. Niechaj będzie zgoda i pokój, obydwaj monarchowie Stefan i Fiedor niechaj żyją jak najdłużej, ale obydwaj są śmiertelni, „jeżeli więc Bóg pierwej zeszle po duszę Stefana króla a potomków po nim nie zostanie, to państwo i korona Polski i W. Ks. Litewskie połączy się z Moskiewskiem hospodarstwem pod ręką hosudara (w. ks. Fiedora), Kraków z Moskwą, a Wilno z Nowogrodem. Jeżeli zaś Bóg pierwej zeszle po duszę waszego cara, wtenczas moskiewskiemu hosudarstwu należy być pod ręką (panowaniem) naszego pana (Stefana), a innego wam pana nie szukać. Wielkie to dzieło polecono mi wam przedstawić i spisać akt dotyczący".

Łatwo pojąć jakie wrażenie wywarła podobna mowa na bojarów, którzy z teroryzmu Iwanowego jeszcze nie ochłonęli dobrze. Mówili też bojarowie posłowi: „nam o panu naszym tego słowa, które ty wypowiedziałeś, wymienić nie godzi się.... rzecz to dla dobrej sprawy nie przystojna". Naradziwszy się zaś z w. księciem a raczej z Borysem, oświadczyli, że w. książe chce zawrzeć z Stefanem pokój na podstawie *statu quo* (szto ninie za kim jest) „o tem zaś słowie o hosudarze (o śmierci Fiedora) bojarzy to mówili, że o tem i mówić nie wypada". Nazajutrz, był to trzeci dzień konferencyj z bojarami, powtórzył Haraburda swój projekt w znacznie zmienionej formie: „Jeżeli Bóg poszle po duszę pana waszego, wtenczas państwo moskiewskie złączy się

z królestwem polskiem i w. ks. litewskiem i będą razem pospołu; państwa różne a głowęby jedną nad sobą mieli (personalna unia Korony, Litwy i Moskwy). A znów, gdy Stefana króla niestanie, wtenczas naszym obydwom państwom Korony polskiej i w. ks. Litwy, wolno będzie według praw naszych obrać sobie waszego hosudara... będzie zaś nam nie potrzeba obierać waszego hosudara, to i w tem nam wolno" (t. j. możemy sobie obrać królem kogo chcemy). Na to mu bojarowie. „Ty teraz Michale, prawisz wbrew dawnej twej rozmowie, jaką trzeci dzień temu z nami mówiłeś, wywracasz rzecz w inny sposób, i nam z tobą o tem i mówić nie ma co. My o twej sprawie donosili metropolicie, arcybiskupom i biskupom i całemu soborowi, a metropolita z całym soborem zabronił nam duchownie (pod klątwą), że nam odtąd nie mówić o tem".

Próbował jeszcze polski poseł układów co do zwrotu dawnych prowincyj, domagał się nietylko Smoleńska i Siewierza, ale Nowogrodu i Pskowa. Odpowiedziano mu nie bez dumy: „Ani gonty jednej z małego swego grodu i z żadnego nie odda hosudar. A teraz Moskwa nie ta co dawniej, teraz od Moskwy bronić wam nie Połocka, nie inflanckiej ziemi, wam teraz bronić od Moskwy — Wilna". „Haraburda ubolewając nad tem, kończy Karamzin, że bojarowie i duchowieństwo nie pojęli wielkiej i dobrej myśli, pokłonił się najprzód carowi a potem bojarom, którzy oddzielnie przyjmowali go w przedsionku do sali audyencyonalnej, podali mu ręce i list grzeczny do panów królewskich, mówiąc: „byłeś u nas w rzeczy wielkiej wagi, lecz niczegoś nie dokazał. Car nie cierpiąc rozlewu krwi, przez posła swego porozumie się z królem" [1].

Opuściwszy Moskwę 30 kwietnia, stanął Haraburda z końcem maja przed królem w Grodnie i zaledwo zdołał zdać sprawę z swego poselstwa, zapadł ciężko na zapalenie płuc i życie (w czerwcu) zakończył.

Równocześnie z misyą Haraburdy toczyły się żywe układy z Stolicą św. Wspomnieliśmy wyżej, że król polecił (w paźdz. 1585 r.) Possewinowi, aby czemprędzej wysłał wszystkie akta

[1] Karamzin X. str. 32—34, noty 69—72.

dotyczące spraw moskiewskich kardynałowi Rusticucci. Possewin zastosował się po niejakim oporze do tego rozkazu. Oto co pisze w tej mierze do rzeczonego kardynała pod d. 25 paźdz. 1585 r.

„Polecił mi przed 10 dniami król JM., ażebym przesłał na ręce W. E. kilka pism odnoszących się do sekretnych rokowań w sprawie moskiewskiej, podjętych przezemnie z rozkazu ś. p. Grzegorza XIII. Nie mogłem (choć nie mało się o to starałem) uchylić się od wypełnienia tego polecenia. Dość mi będzie wspomnieć W. E., że dołączony tu list otrzymałem od J. E. kardynała di Côrno, inne zaś listy tego kardynała znajdą się z pewnością w Rzymie, a zwłaszcza dwa listy datowane pod koniec sierpnia lub z początkiem września roku zeszłego z Lublina, a mianowicie: list uwierzytelniający mię, napisany własnoręcznie przez tego monarchę do św. p. Grzegorza XIII. i obszerny list z wyjaśnieniem pewnych szczegółów, który sam napisałem do kardynała di Côrno. Oprócz tego wysłałem do kardynała di Côrno długi list w tym przedmiocie, pisany do mnie do Pragi przez w. kanclerza tego królestwa. Rzecz tę rozjaśnić jeszcze może drugi mój komentarz o sprawach moskiewskich, wysłany do tegoż kardynała z rozkazu papieskiego, tudzież brewe wysłane przez Ojca św. do w. księcia moskiewskiego, kiedym przed trzema laty odprowadzał posłów tego księcia; i ostatnie brewe przysłane mi tego roku dla nowego w. księcia, które to brewe wyprawiłem z Warszawy przez własnych posłów w. księcia w połowie marca b. r. Wszystkie te pisma znajdować się powinny w spisach Mons. Bucapadulio, obecnego sekretarza“ [1].

„Ale ponieważ wraz ze śmiercią księcia, do którego byłem wysłany, zmieniła się postać rzeczy i usposobienie umysłów, mógłbym jeszcze niejedno donieść, gdybym miał cyfry, lub gdybym sądził za rzecz konieczną z tem się komu zwierzyć. Obecnie zanadto jest rzeczą niebezpieczną posyłać w całości te pisma przez pewne prowincye (Niemcy) i dlatego wstrzymałem się z ich wysłaniem. Dwie przyczyny pobudziły króla do powierzenia mi tych swoich zamysłów. Pierwszą przyczyną była rozmowa w tym względzie z JKs. Wirgilim Crescentio, o czem sam JKs. Wirgili

[1] O tych dokumentach mówiliśmy w rozdz. I-ym.

doniósł bawiącemu przy kardynale Batorym JKs. Reszce. Drugą przyczyną było przybycie czausza tureckiego do Warszawy. Czausz ten przybył z powodu pewnych zamków budujących się na granicach polskich z zapytaniem, w jakim celu Polacy je budują a zarazem wiózł list do w. księcia moskiewskiego i powiedział królowi, że sułtan bardzo pragnął dowiedzieć się, czy w. książe prosił o pomoc innych książąt zagranicznych, a zwłaszcza niemieckich".

„Następnie król. JM. zaczął rozprawiać o innych rzeczach, o których już poprzednio doniosłem, i dodał, że w razie gdyby jego poddani nie chcieli się zgodzić na tę wyprawę, on wspomógłby raczej jakiegobądź cudzoziemca, niżby miał dopuścić, żeby Moskwa wpadła w ręce tureckie. Wtedy bowiem, jak mi mówił król JM. zbyt wielkie siły złączyłyby się z Turkami na zagładę chrześcijaństwa, a zwłaszcza tych krajów" [1].

Tymczasem w Rzymie żywiono życzliwe usposobienie dla w. księcia Moskwy. W brewe z d. 21 grudnia 1585 do „Teodora pana Rosyi", donoszącym o swem na Stolicę Piotrową wstąpieniu, wspomina Sykst V. dawne poselstwa za Grzegorza XIII.: „Odtąd sądziliśmy, że wypada aby papież rzymski świadczył dalej wszelkie możliwe usługi względem w. książąt Moskwy". W rok niespełna potem zupełnie inaczej przemawiał Sykst V. do w. księcia Moskwy. Domagał się od niego zaspokojenia słusznych żądań Batorego, przypomniał mu nieszczęsny stan Rosyi a potęgę Polski; zagroził wreszcie, że gdyby w. książę przekładał wojnę nad pokój, to on, papież, nie będzie przeszkadzał temu i zostawi w. księcia jego własnemu losowi [2].

O tem brewe pomówimy niżej, a teraz pytanie, jakimże cudem dokonała się ta przemiana w Sykscie V.? Stało się to głównie winą czy zasługą Possewina.

Odebrawszy brewe papieskie do w. księcia Fiedora z dnia 21 grudnia 1585, nie odesłał go do Moskwy, ale wyczekując dalszych wypadków zatrzymał przy sobie. Tłómaczy się z tego kroku w liście z Grodna do nowego sekretarza stanu, kard. Azzolino pod d. 1 marca 1586 r.

---

[1] Gratiani de scriptis invita Minerva. I. 316.
[2] Turgenew Hist. Russ. Mon. II. 8.

„Z bardzo wielu przyczyn pragnę zachowania w tajemnicy brewe Ojca św. do w. księcia moskiewskiego i sądzę, że Ojciec św. nie będzie miał nic przeciwko temu, przynajmniej aż do nadejścia nowych wskazówek. Dwie główne przyczyny, które mię do tego skłaniają, są następujące: po pierwsze, że król Batory wielce pragnie i ma nadzieję uskutecznić wyprawę moskiewską, wkroczyć do Azyi i w ten sposób ułatwić państwom chrześcijańskim powstrzymanie zapędów tureckich przeciw chrześcijaństwu; powtóre, że nie ma zwyczaju (ponieważ uważaliby to za obelgę) wysyłać listów do w. księcia moskiewskiego, jak tylko przez osobno na to wyznaczonego posłańca, ponieważ i on swoje listy wysyła przez posła, a nadto przyłącza zawsze jakiś podarunek. Oprócz tego wysłał obecnie król (Batory) do w. księcia moskiewskiego jednego z swych sekretarzy, Michała Haraburdę Litwina, aby wybadał stan rzeczy, a zarazem natrącił mu o prośbie w. księstwa moskiewskiego już należącego *(gia pertinente)* do w. księstwa litewskiego, które złączone jest z tą koroną. W takim stanie rzeczy byłoby nadzwyczaj niebezpiecznem, gdyby w umyśle tego króla zrodziło się jakie podejrzenie przeciw Stolicy św. (która obiecała mu pomoc w wykonaniu tego zamiaru), bo wtedy (ponieważ jest umysłu wojowniczego i wzniosłego) rzuciłby się na inną drogę, (do wojny z cesarzem) byle nie zostawać w bezczynności. Na drogę tę już poprzednio po wielekroć usiłowali go wprowadzić z jednej strony Turek, a z drugiej zaś mniemana królowa angielska i kilku innych książąt protestanckich, i teraz nie opuściliby z pewnością nadarzającej się sposobności. Ale dotychczas potrafiła Stolica Apostolska za łaską Bożą przeciąć te knowania, pośrednicząc z niemałym trudem bądź to pomiędzy królem Batorym a królem szwedzkim, bądź pomiędzy królem a w. ks. moskiewskim, a w ostatnich czasach między cesarzem".

„Dodać należy, że brewe to (do Fiedora) nie zrobiłoby teraz może najmniejszego wrażenia dla waśni panujących w Moskwie, ponieważ w. książe jest głupkowaty i brak mu rozumu, a wielu bojarów ścierpieć nie może rządów jednego z krewnych tego księcia i kilku innych magnatów i dlatego żądają, aby król w jak najprędszym czasie wszedł z wojskiem do Moskwy. Za-

milczam już, że pewna część ludzi wpływowych *(di quei che governano)* posługiwałaby się tem brewem dla wykazania królowi, że J. Świętobliwość stoi po ich stronie. To zaś byłoby w tem królestwie, które stało zawsze pod posłuszeństwem Stolicy św., przyczyną mylnych zapatrywań się, żywionych ustawicznie przez heretyków i schizmatyków, którzy przez kilka dziesiątków lat potrafili zamknąć nuncyuszom Stolicy św. tę wielką bramę Północy i Wschodu. W tych dniach król JM. domagał się odemnie natarczywie, ażebym w jak najkrótszym czasie udał się do Ojca św. i przedłożył mu w tajemnicy wszystkie plany królewskie i stan rzeczy tutejszych, których inni nie widzieli i nie zbadali. Wytłómaczyłem się, że nie mogę się podjąć tej misyi bez rozkazu mych przełożonych. Wskutek tej rozmowy król wysłał stosowny list do naszego O. jenerała, teraz oczekuję co mi wola Boża rozkaże“ [1].

Ponieważ misya Possewina do Rzymu nie tak prędko mogła przyjść do skutku, potrzeba bowiem było przeprowadzić negocyacye nietylko z Papieżem ale i z jenerałem zakonu, przeto król Batory chwycił się prędszego środka i swego synowca, kardynała Andrzeja postanowił wyprawić w kwietniu do Rzymu. „Sądzę, pisze Possewin do kard. Azzolino z Warszawy pod d. 2 kwietnia 1586, że wnet po nadejściu tego listu, albo wprzód jeszcze, przybędzie do Rzymu kardynał Batory z długą instrukcyą co do trzech spraw, jakie mu król stryj jego poruczył. Po pierwsze, zaleca mu król, aby oddał się zupełnie na usługi tej Stolicy św. i J. Świętobliwości. Powtóre, żąda pomocy w sprawie moskiewskiej, podnosząc sposobną porę, łatwość i korzyść, jakiej się stąd może spodziewać całe chrześcijaństwo i zaleca mu, że gdyby J. Świętobliwość postawił jakie warunki, ażeby z temi odniósł się najprzód do króla. Ostatnie zlecenie tyczy się spraw siedmiogrodzkich, a w szczególności wskazuje król JM. konieczność wspierania tego księstwa jako przedmurza chrześcijaństwa... Król JM. życzy sobie, aby ja sam uwiadomił poufnie o tem wszystkiem Ojca św. i W. Eminencyę. Ja z mej strony w poufnych rozmowach, do których miałem sposobność przez mniej więcej 40 dni,

[1] Gratiani de scriptis invita Minerva I. 319.

starałem się usposobić przychylnie króla dla wszystkiego, cobykolwiek Ojciec św. postanowił“ [1].

Z innego jeszcze źródła podać możemy dokładniejszą treść owej tajemnej instrukcyi, o której wspomina Possewin. Kardynał Andrzej miał najprzód wyrazić nadzieję, że nowy Pius V. wskrzesi świetne tradycye Lepantu; na pierwsze skinienie Papieża król polski gotów poświęcić z ochotą swe życie dla obrony Kościoła i rozszerzenia wiary św. Poczem miał żądać pomocy pieniężnej na wojnę z Moskwą, a żądanie to poprzeć całą siłą wymowy i argumentów, wskazując przedewszystkiem na niebezpieczeństwo grożące od Turków. Chorągiew ich z pewnością i to niezadługo powiewać będzie z murów Kremlina, jeżeliby Polacy zaniedbali opanowania Moskwy — a wtenczas biada Europie. Przeciwnie, skoroby książe chrześcijański zasiadł na tronie Monomaha, wtenczas unia z Rzymem nastąpi niezawodnie, i uzyska się podstawę strategiczną do opasania Turków obręczą z żelaza i ognia, i obalenia na zawsze jej potęgi. Co do kosztów, to połowę poniesie Papież, a drugą połowę pokryje król. Na wypadek gdyby Moskwa nie chciała się dobrowolnie połączyć z Polską, to do zawojowania jej potrzeba 80.000 wojska i trzech lat czasu; a ponieważ utrzymanie jeźdzca kosztuje 10 dukatów na kwartał, piechura 7, przeto koszta całej wyprawy wynosiłyby 200.000 dukatów kwartalnie. W razie gdyby Sykst V. przyjął bardzo życzliwie powyższą propozycyę, miał kard. Batory poruszyć religijne sprawy w Siedmiogrodzie [2].

Tymczasem dojrzewała misya Possewina do Rzymu. Niewiedząc jeszcze o rezultacie poselstwa Haraburdy do Moskwy, przewidywał wszelako, że projekt połączenia dwóch tych państw pod jedno berło jest za hazardowny, udać się nie może. Przewidywania te ziściły się. Z końcem maja wrócił Haraburda do Grodna, zdał sprawę królowi, którą ten powtórzył szczegółowo w liście do Possewina z Grodna pod d. 22 lipca, polecając mu jak najśpieszniejszy wyjazd do Rzymu:

„Sprawy moskiewskie w coraz to gorszym stanie, jak do-

[1] Gratiani de scriptis invita Minerva I. 321.

[2] Archiw. watyk. Teka Theinera (według ks. Pierlinga str. 205).

niósł nam o tem kasztelan miński Haraburda, który dosyć nie w porę na zapalenie płuc tu umarł. Strzelkałów i Godunów najwyższą władzę sobie przywłaszczyli, opierają się temu inni znaczniejsi bojarzy i lud moskiewski; cały prawie naród moskiewski nam i naszej sprawie sprzyja. Dlatego wyprawiają tu do nas posłów w imieniu całej Moskwy *(a tota Moschovia)*, którzy w uroczystość św. Piotra, według kalendarza ruskiego, mieli stanąć w Smoleńsku; za dwa lub trzy tygodnie spodziewamy się ich tutaj. A chociaż nie wątpimy, że Strzelkałów i Godunów taki temu poselstwu nadadzą kierunek, żeby ono ich powadze i rządom w niczem nie uwłaczało, to wiemy jednak, skoro do nas ci posłowie przyjdą, w jaki sposób z nimi rozprawić się należy".

„Z późniejszych wieści dowiedzieliśmy się, że Tatarzy przekopscy wraz z Turkami we dwadzieścia kilka tysięcy wpadli do Moskwy i zamek Bracławski (sic) wraz z miasteczkiem odległy od miasta Moskwy o mil 36 spalili, z wojskiem moskiewskiem bitwę stoczyli, zabiwszy w nim 5000 ludzi, blisko 15.000 jeńca uprowadzili w niewolę. Mówią, że niebawem znacznie większe ich siły połączywszy się z Turkami, z Tatarami nogajskimi, kazańskimi i astrachańskimi, gotują walną wyprawę na Moskwę. Widzisz więc Wielebność Twoja, jak wszyscy, którzy przechodzą drogą, wiejadłem przewiewają Moskwę, pozbawioną pasterza i obrońcy" [1]. Loiczny stąd wniosek, który zapewne wyprowadzał król także, że skoro naród chrześcijański ma zginąć z ręki pohańców, to należy go ratować, uprzedzając ich napad wojenną wyprawą.

Na ten jednak wniosek nie chciał zgodzić się Possewin, obawiając się słusznie, że wobec grozy niebezpieczeństwa od Turków, Stolica św. nie przyzwoli łatwo na wojnę między chrześcijańskimi panami. Rachuby swoje polityczne osnuł on na innej kanwie. W liście z Poznania d. 5 lipca do kard. Azzolino rozwodzi się szeroko nad tem, że jedynym środkiem ratunku, aby nie skompromitować Stolicy św., a nie zrazić Batorego, byłoby, wywrzeć nacisk na w. księcia Fiedora, iżby uwzględnił żądania

[1] Gratiani de scriptis invita Minerva I. 323.

polskie co do zwrotu pewnych prowincyj. Na tej podstawie rozwinąć będzie można akcyę dyplomatyczną, przeprowadzić to co sprawiedliwe, zająć się sprawą wiary katolickiej w Inflantach, a w miarę tego, jaki obrót układy wezmą, uregulować będzie można pieniężne subsidia [1].

Te były jego plany, a skoro tylko w lipcu nadeszły listy od Papieża i od sekretarza stanu donoszące, „że przyjazdu jego w Rzymie z upragnieniem wyglądają“ [2], wnet wybrał się do świętego miasta, stanął tam w pierwszych dniach września i otwartemi rękami przyjęty, miał natychmiast posłuchanie u Ojca św. i długą konferencyę z kard. Azzolino. Układy toczyły się w wielkiej tajemnicy, do której przypuszczono tylko posła weneckiego, Jana Gritti'ego. W gruncie rzeczy Sykst V. był przeciwny wojnie z Moskwą, raz dlatego, że w obec grozy potęgi tureckiej nie mógł pochwalić wojny między chrześcijańskimi panami, a powtóre, że obawiał się, aby ta wojna, tak niepopularna dla polskich panów i szlachty, nie stała się przyczyną rozterki domowej i nie poważniła króla z narodem. Mamy na to dowód w liście Possewina do kard. Azzolino z Insbruku d. 10 styczn. 1587 r., a więc w cztery tygodnie po śmierci Batorego pisanym, gdzie wyraźnie powiada: „okazuje się coraz jaśniej, z jaką przezornością postępował Ojciec św. nie chcąc popierać zamiarów zmarłego króla, co do wojny z Moskwą *(non volere secondare le voglie del Re morto circa la guerra di Moscovia)*, aby tak idąc wbrew woli tego królestwa, nie ściągnąć na Polskę waśni i nieszczęść“ [3].

Z drugiej zaś strony pojmował Papież doskonale, że dla króla Batorego coś koniecznie uczynić należy, obrał więc wskazaną przez Possewina drogę i wystąpił w roli pośrednika, domagając się stanowczo od w. ks. Fiedora zwrotu ziem i miast

---

[1] Archiw. wat. Teka Theinera (nota ks. Pierlinga).

[2] Listy te wręczył królowi nuncyusz 22 lipca. Tego samego dnia przesłał je król z Grodna Possewinowi dodając: „Z listów tych dowiesz się, że nietylko ci wolno przybyć do Rzymu, ale że przybycia twego chciwie tam oczekują“. Gratiani de script. inv. min. I. 323.

[3] Gratiani de scriptis invita Minerva I. 305.

niegdyś do W. Ks. Litwy należących; od polskiego zaś króla zaniechania wojny i zwrócenia swego oręża przeciw Turkom. Medyacyą papieską przeprowadzić miał Possewin i dlatego wysyła go Sykst V. w ponownej legacyi do Moskwy. Wszelkich środków miał użyć legat papieski w Kremlinie, byle przeszkodzić wojnie polsko-moskiewskiej, a obydwóch książąt i obydwa narody związać w sojusz zaczepno-odporny przeciw Turkom. Persya miała być także wciągniętą do tej ligi. Na taką wojnę, na wojnę przeciw nieprzyjaciołom krzyża św., Papież gotów był dać pomoc pieniężną i jako pierwszą ratę miał przesłać niebawem 25.000 dukatów.

Zamiary Syksta V. przedstawia nam najlepiej jego brewe z d. 20 listopada 1586 r. do w. księcia Fiedora, o którym nadmieniliśmy wyżej. Na wstępie przypomina mu potrójną legacyą w. książąt Moskwy do Stolicy św. (Iwana Wasylewicza do Klemensa VII., a na dwa zawody Iwana Groźnego do Grzegorza XIII.), podnosząc to życzliwe przyjęcie i to skuteczne poparcie, jakiego u rzymskich Papieży wielcy książęta doznali. „Chcemy cię więc (pisze Sykst V.) niniejszym listem nietylko pozdrowić i naszą zupełną dla ciebie życzliwość okazać, ale posyłamy także tego samego, którego przed kilku laty wysłała jako swego legata Stolica św., Antoniego Possewina z naszego towarzystwa, męża nader nam miłego i naszych zamiarów świadomego, a w sprawach tamtejszych biegłego i dla ciebie i dla twego państwa do usług gotowego. Odebrawszy więc od niego pozdrowienie i list nasz, pragniemy, abyś we wszystkich rzeczach niemniejszą dał mu wiarę, jaką dawał Iwan Wasylewicz twój ojciec, on zaś dawał ją największą“.

„Niezmiernie stroskani jesteśmy (nie możemy bowiem tego zaprzeczyć) tem, co nam o Stefanie królu polskim doniesiono, że on związany będąc przysięgą do odzyskania ziem od księstwa litewskiego i królestwa oderwanych, chce odzyskać ziemie należące do księstw: Smoleńska, Pskowa, Nowogrodu, i jak już o tem kilkakrotnie tobie oznajmił, postanowił po wyjściu ostatniego rozejmu praw swoich wojną dochodzić. Poleciliśmy więc ukochanemu synowi naszemu Antoniemu Possewinowi, ażeby, o ile tylko tego powagą naszą dokonać może, postarał się, aby wojna i rzeź

pomiędzy chrześcijanami nie miała miejsca. Otrzymamy to od ciebie łatwo, jeżeli zechcesz uwzględnić stan twego państwa i wojenne siły Stefana króla *(si rerum tuarum, et Stephani Regis virium rationem habendam putaris)*, a nie odstąpić od tego, czego prawo i słuszność się domaga. Wszystkiego sobie możesz obiecywać po naszej życzliwości i po najwierniejszej pomocy ukochanego syna Antoniego Possewina. Jak najbardziej unikać należy niezgód i wojen, bo im łatwiej je wywołać, tem trudniej uspokoić. Co gdyby się stało (a nie chcemy tego), nie moglibyśmy nie ubolewać nad tem, ale nareszcie pocieszyćbyśmy się musieli świadectwem naszego sumienia i myślą, żeśmy z swego obowiązku się wywiązali. Pragniemy więc, ażebyś w tej jak w każdej innej rzeczy, wiarę dał słowom Antoniego i cokolwiek ci doradzi w sprawach tyczących się dobra twoich krajów, abyś to przyjął umysłem i sercem, jakiego się po tobie wielce spodziewamy“ [1].

Czy król Batory zadowolniony był z tej decyzyi papieskiej? W braku bliższych dokumentów trudno odpowiedzieć stanowczo. To pewna, że swej myśli wojowania z w. ks. Moskwy nie porzucił zupełnie. Przewidywał snać, że w. książe żądanych prowincyj nie zwróci, że więc rozprawiać mu się przyjdzie orężem. Relacye Haraburdy nie były pocieszające, chociaż król pisząc do Possewina w najkorzystniejszem stara się przedstawić je świetle. Nie od całej Moskwy *(a tota Moscovia)* przyjść miało poselstwo, bo wobec wszechwładzy Godunowa wdanie się bojarów i szlachty było wprost niemożebnem, zresztą ta *tota Moscovia* nigdy nie nawykła samodzielnie radzić o sobie i od siebie legacyj wyprawiać. Była to więc zwykła taktyka Godunowa zwlekać sprawę wymianą poselstw, a przez nawiązanie stosunków z wychodźcami rosyjskimi na Litwie, dostać języka o rzetelnych zamiarach króla i usposobieniu litewskich panów. Wypowiada to otwarcie Karamzin: „Było naszem życzeniem zwlekać czas w nadziei, że w kraju nieprzyjacielskim (w Polsce) szczere chęci do zawarcia pokoju zobaczymy. W tych ostatnich stosunkach z Batorym, nasz rząd

[1] Turgenew Hist. Ros. Monum. II. 10. Podobny list pod tą samą datą wysłał Sykst V. do króla Batorego.

miał jeszcze cel oddzielny i ukryty: była to chęć powrócenia wygnańców i zbiegów z dni rządów Iwana nie tak z litości, jak dla widoków kraju.... Car (Fiedor) pisał do nich łaskawe listy... obiecując im niepamięć ich wykroczeń, urzędy i żołd, jeżeli oni z żalem i przywiązaniem powrócą do Moskwy dla podania nam potrzebnych wiadomości o wewnętrznym stanie Litwy, o widokach i środkach jej polityki“ [1]. Napady Tatarów nie nowiną były w Moskwie i nie od nich miała ona zginąć. Jednę przegraną powetowano wnet zwycięstwem, dodając żołnierzom animuszu „kijami“. Tych bowiem, którzy uciekli z placu boju, bito kijmi przed zamkiem w. księcia, a znaczniejszych żołnierzy oprowadzano po głównych ulicach miasta ćwicząc ich pletniami [2]. To też król w liście do Kromera, zapraszając na radę senatu, gdzie już nie potrzeba było ubarwiać rzeczy, pisze wyraźnie z Grodna 22 czerwca: „Szlachetny Michał Haraburda, kasztelan miński, powracając z Moskwy, dokąd w poselstwie był wysłany, nic innego nam nie doniósł (nihil aliud nobis retulit) jak, że mają być wyprawieni tutaj posłowie moskiewscy z poleceniem traktowania o rzeczach ważnych. Na dzień św. Piotra, według star. kal. za dwa tygodnie stanąć mają w Orszy, a stamtąd jak najprędzej tu do nas przybyć powinni“ [3].

Poselstwo to sprawował ponownie znany nam już ks. Trojekurow; dodani mu do boku: dworzanin Teodor Andrzej Pisemski i diak Tomasz Drużyna Petelin. Opuściwszy 28 czerwca Moskwę, stanęli 15 sierpnia w Grodnie i oddawszy list bojarów do senatorów litewskich, wnet rozpoczęli z nimi układy, domagając się stałego przymierza, na podstawie oddania „dawnych posiadłości Rosyi“, Kijowa, Podola i Wołynia i zwrotu całych Inflant. Oburzeni tem senatorowie mieli powiedzieć: „My bojarów waszego hosudara karmimy chlebem, a oni naprzeciw naszego chleba miotają kamień. A jaki on (car Fiedor) ze swojem zdrowiem (t. j., że chory i bezdzietny) to my wiemy; jest w nim nabożeństwo, ale przeciw nieprzyjaciołom to nie jemu stanąć.

---

[1] X. 39.
[2] Theiner. Annal. Eccl. III. 446.
[3] Teka Narusz. vol. 91. dok. 100.

A w Moskwie co się dzieje to my wiemy". Na to im Trojekurow: „Wy mówicie, że hosudarstwo hosudara naszego jest grzeszne, a my na hosudarstwie naszem grzechu nie widzim, jeno miłość Bożą i błogosławieństwo. Wy z Bogiem nie biesiadowali a człowiekowi nie dano znać, co potem będzie. Według pisma, kto złorzeczy carowi, ten śmiercią niech umrze; a hosudar (król) wasz dorodny hosudar i rozumny i szczęśliwy". Na takich bezowocnych sporach ubiegło dni kilka, wreszcie ks. Trojekurow odstąpił od Kijowa, Wołynia i Podola, żądał tylko samych Inflant lub przynajmniej sześciu ważniejszych inflanckich zamków. Na to mu litewscy panowie: „bierzcie całe Inflanty, ale zawojujcie je pierwej". I znów jęli przedkładać korzyści i warunki unii obydwóch państw pod jednym panem. „Trojekurow im oświadczył, że w. książe nie może w tak ważnej sprawie bez ogólnej rady ziemskiej stanowić, że potrzeba nie mało czasu dla wezwania wszystkich członków do Moskwy z Nowogrodu, Astrachanu, Sybiru; żądał zatem rozejmu na czas dłuższy". Zrozumieli Litwini wybieg. „W wielkiem księstwie Moskwy, rzekli mu, nie ma zwyczaju naradzać się ze stanami; w. książe postanowi, bojarowie powiedzą tak jest, i rzecz skończona", i kazali mu precz odjechać. Zrozumiał nareszcie Trojekurow, że wojna grozi nieuchronnie, że Litwini, zamiast jak dawniej opierać się, z obawy zniszczenia swych prowincyj, wojennym planom króla, poprą go teraz z tem większą siłą, im na twardszy ze strony posła natrafili opór. Zwrócił się więc do zwyczajnej a nader korzystnej w takich razach taktyki, żądał przedłużenia rozejmu choćby o dwa miesiące tylko, i nowego poselstwa od państw obydwóch. Powtórzyć się miały negocyacye i targi traktatu zapolskiego i znów, jak widzieliśmy wyżej, nie kto inny tylko Possewin byłby pośrednikiem i jednaczem stron poróżnionych. Podczas rozejmu „posłowie z obydwóch stron mieli się zjechać nad rzekę Iwasią między Orszą a Smoleńskiem, w celu ułożenia się: 1°. jak w. książe ma żyć w przyjaźni z Stefanem, 2°. w jakich warunkach państwa ich pod jedno berło przejdą w razie śmierci Fiedora lub Stefana, 3°. jakiemi miastami Litwa i w. księstwo Moskwy rządzić mają niezaprzeczenie, jeżeli się połączyć nie zechcą... Zdrowa polityka, dodaje Karamzin, zmuszała nas, o ile można było, wojny unikać. Jeszcze Stefan był pełen żywości ducha

i ciała, gdy Trojekurowa odsyłał; okazały i dumny w grzecznościach, z twarzą surową podał mu rękę i kazał się kłaniać Fiedorowi“ [1].

W rzeczy samej król Stefan nie wierzył w skuteczność układów, paliła go formalna gorączka wojowania z Rosyą, z drugiej zaś strony żywił wielki żal do narodu za lekceważenie, z jakiem na sejmie 1585 projekt jego o wojnie z Moskwą przyjęto, a przed przybyciem ks. Trojekurowa nie tuszył sobie lepszego powodzenia w tej mierze na sejmie przyszłym. Z uczuć tych spowiada się szczerze przed biskupem Kromerem w liście z Grodna d. 24 czerw. pisanym. „Ile razy kilka poprzednich sejmów obraz sobie przypomnę, widzę jasno, że sejmy te zakończyły się nietylko bez żadnej dla Rzpltej korzyści, ale owszem ze szkodą najważniejszych spraw, a z największem naszem znudzeniem i przykrością (fastidio et molestia). I dlatego zaniechalibyśmy raczej odprawiania sejmu, jak abyśmy mieli pracę i przykrość napróżno podejmować. Ponieważ jednak ustawy i prawa królestwa domagają się tego, aby w pewnych czasach sejmy się odbywały, ponieważ nadto wiele spraw w Rzpltej potrzebuje sejmu“ przeto król zwołuje sejm, dokąd, kiedy i jakie sprawy polecić ma w instrukcyach posłom i na sejmie w mowie od tronu, o to wszystko pyta król o zdanie biskupa. „Wreszcie zapytuje, czy należy uczynić jaką wzmiankę (w instrukcyach i na sejmie) o okazyi moskiewskiej, albo raczej całą tę ważną sprawę milczeniem zgoła pominąć, a to tem bardziej, że sprawa ta przedłożona na ostatnim sejmie prawie ze wzgardą odepchnięta (vix non plane contemtum sit) i nam też przy takiej niewdzięczności ludzkiej i trudy i wydatki nie mogą być tak bardzo miłe i przyjemne. Z drugiej zaś strony rozum nakazuje, że i teraz nie należy zaniedbać tej sprawy, choćby dla pokazania potomności, która zwykle sprawiedliwie i zdrowo sądzi o przeszłości, żeśmy w takiej i tak sposobnej chwili dla Rzpltej obowiązku swego nie zaspali. W sprawie tak chwiejnej i wątpliwej, co nam czynić należy, chciej Szczerość Twoja zdanie swoje nam wyjawić i napisać“ [2].

[1] Karamzin X. 39. 40.
[2] Teka Narusz. vol. 91. dok. 101.

Jak brzmiała odpowiedź Kromera i innych panów radnych, nie umiemy powiedzieć, to pewna, że po odjeździe ks. Trojekurowa król był zdecydowany sprawę wojny rosyjskiej przedłożyć sejmowi. Skłaniały się też do niej umysły senatorów, którzy zrozumiawszy wreszcie, że drogą układów nietylko nic się nie uzyska, ale owszem Rosya przybiera coraz to zuchwalszą postawę, starali się wpłynąć i na „młodszą bracią“, aby przyszły sejm (zwołany na 2 lutego 1587) nie opierał się wojennym zamysłom króla i potrzebny pobór uchwalił. „Już też i sejmiki przedsejmowe odbywały się i niemal wszystkie sprawie tej przychylnemi się okazały“, pisze Heidenstein [1].

Słusznie więc daje Batoremu to wspaniałe *encomium* Karamzin: „Rosya go (Batorego) nie cierpiała, ale szanowała: albowiem on, będąc nieprzyjacielem naszym, dopełniał tylko prawnej powinności, jaką monarsze widoki kraju wskazują i lepiej od lekkomyślnych panów swoich znał niepodobieństwo istotnego pokoju i trudności połączenia swego królestwa z państwem moskiewskiem“ [2].

Była więc wojna za pasem. Już też i Possewin w początkach grudnia wyruszył z Rzymu w towarzystwie nowego nuncyusza Anibala z Kapuy, wioząc z sobą nowe listy z d. 20 listop. do króla i do w. księcia, o których wspomnieliśmy wyżej. Podejmowani uroczyście w Wenecyi, zachowali w ścisłej tajemnicy właściwy cel swojej misyi, zmierzali z końcem grudnia ku granicom Polski. Tymczasem wyroki Boże były inne. Przez cały rok 1586 mieszkał Batory w Grodnie, podnosząc gospodarstwo ekonomij królewskich, budując zamki, zaprowadzając zwłaszcza w lasach grodzieńskich wielkie polowania, które były jedyną jego rozrywką, a równocześnie urządzał Inflanty, uspokajał buntującą się Rygę, zażegnywał burze od Wschodu biorąc w rygor Kozaków, układał wraz z w. kanclerzem plan zmiany wolnej elekcyi królów, słowem, pełen żywości i ducha rozwinął działalność taką, jaka na wielkiego króla przystała. „Temi uwagami, powiada współczesne źródło, cały zajęty, powrócił do Grodna z polowania,

[1] Rerum polon. lib. 7.
[2] X. 41.

a tęgiemi mrozami owego kraju przeziębiony, nagłą w sobie uczuł słabość i nadzwyczaj nieco dłużej spoczął. Za nadejściem dnia świątecznego 7 grudnia, nie mógł się jednak wstrzymać, aby nie poszedł do kościoła kazania i mszy św. wysłuchać. Odtąd słabość coraz większej nabierała mocy, a gdy ciało zaczęło stygnąć, członki martwieć, w sześć (pięć) dni potem, 12 grudnia dokonał życia" [1]. Nazajutrz po śmierci króla pisał prymas Karnkowski do biskupów i senatorów: ...„Cum enim Respublica Polonica nunc demum Ipsius merito respirare et ad hostes suos debellandos perpetuoque compescendos faciles aditus nacta videretur — ereptus est, in quo nunc spes omnis salusque Nostrum omnium universa sita est. Właśnie wtenczas, kiedy zdawało się, że dzięki Jego pracom Rzplta polska odetchnęła i do zwyciężenia zupełnego i poskromienia nieprzyjaciół swoich łatwą drogę znalazła — porwany jest z pośrodku nas ten, w którym teraz złożone były nadzieja i powszechne zbawienie nas wszystkich" [2]. Ukorzyć czoło przed niezbadanemi wyrokami Boga.

---

[1] Mowa pogrzebowa w tece ks. Polkowskiego pod r. 1586. Szczegóły choroby i śmierci króla Batorego w tece Narusz. vol. 91. dok. 108.

[2] Teka Narusz. vol. 52.

X. Stanisław Załęski.

KLEMENS KSIĄŻE METTERNICH
1773—1859.

(Ciąg dalszy.)

VI.

Z zerwaniem kongresu w Pradze, rozpoczął się peryod, najważniejszy w dziejach napoleońskich, zakończony kongresem w Wiedniu.

„Medyacya, powiada Metternich, będąca jakby pomostem między pokojem i wojną, upadła sama z siebie. Miejsce Austryi było po stronie sprzymierzonych; pozostawało określić podstawę i cel rozszerzonego przymierza". Pomimo kilkomiesięcznych układów przedwstępnych między trzema mocarstwami i umowy w Reichenbach, pomimo głębokiego przekonania o potrzebie zgody, pomimo obecności na miejscu monarchów i ministrów, rzeczy szły powoli i oporem. Od zerwania kongresu w Pradze, do podpisu traktatu koalicyi w Cieplicach czeskich, cały upłynął miesiąc, a później co chwila niemal występowały nowe trudności i wątpliwości.

Od początku koalicyi, do końca kongresu wiedeńskiego najważniejsze sprawy traktowano ustnie, w poufnych konferencyach, o szczegółach których milczą urzędowe akta; niejedno monarchowie osobiście między sobą rozstrzygali. Z tego powodu, pamiętniki Metternicha, pozwalając wglądnąć za kulisy, objaśniają wiele epizodów, dotąd niedokładnie znanych, i nowe rzucają światło na poczęcie i narodziny dzieła roku 1815.

Ciągła obecność monarchów w głównej kwaterze wojsk sprzymierzonych i w miejscach narad, obiecująca na pozór uproszczenie biegu interesów, często przeciwny wywierała skutek; lecz jedno i drugie sprawiało, że osobisty udział głów koronowanych w kierunku spraw europejskich był znaczniejszy i istotniejszy, niż zwykle bywa. Cesarz Franciszek, najmniej skory do mięszania się w rzeczy, z natury swej przypadające ludziom rzemiosła i urzędowym doradcom, jak najrzadziej i tylko w ostatniej potrzebie występował na scenę, reprezentując wobec sprzymierzonych sąsiadów stary porządek świata, rozsądek, spokój i umiarkowanie, co wszystko mu nad nimi przewagę zapewniało. W codziennych stosunkach, wyręczał się Metternichem, a ten traktował wprost z Aleksandrem, który opornie wprawdzie, ale coraz zupełniej poddawał się kanclerzowi austryackiemu.

Aleksander miał dużo ambicyi szlachetnej, lecz nieokreślonej, zanadto wielkie ogarniającej obszary i siłę woli niepopartej. Dążąc naraz do różnorodnych celów, wydawał się i był w istocie niestałym w zamiarach i w postępowaniu, pragnął wszystkich zadowolnić, wszystkim dogodzić i podobać się; obiecywał zbyt łatwo i niezawsze mógł słowa dotrzymać; dobierał sobie doradców najrozmaitszego kalibru, a dbał przedewszystkiem o odegranie wielkiej i pierwszej roli. Od śmierci Kutuzowa, który najostrzejsze prawdy cesarzowi śmiało wypowiadał i niezmiernie imponował, otoczony był ludźmi, co nieśmiejąc mu sprzeciwiać się otwarcie, uderzali w jego słabe strony. Wiadomo, jaki wpływ wywierał na umysł Aleksandra jego dawny guwerner, Laharpe, Szwajcar rodem, z przekonania stronnik rewolucyi francuskiej, w polityce ideolog i filantrop. Podczas kampanii 1812 r., wielu zdolnych oficerów pruskich wstąpiło w służbę rosyjską; Stein, przez Napoleona z Prus wypędzony, stał się doradzcą cesarza w sprawach niemieckich, a znaczenie Prusaków wzrosło w niepomierny sposób, odkąd Fryderyk Wilhelm do przymierza z Rosyą przystąpił. Rosyanie, mianowicie wojskowi, przeciwni byli dalszej wojnie z Francuzami, z obawy niepowodzeń, grożących utratą odniesionych korzyści; niechętnie, upornie, z nieufnością znosili ustępstwa, robione przez cesarza dla wspólnej sprawy i dla ułatwienia koalicyi. Nesselrode, pochodzeniem i wychowa-

niem Niemiec, rosyjską mową do końca życia nie władający, bliższy zachodnim i germańskim wyobrażeniom, aniżeli reszta rosyjskiej dyplomacyi, przez cesarza wysoko ceniony, głosu przeważnego nie miał. Inni, idąc za przykładem kanclerza Rumiańcowa, który urząd porzucił, żeby nie przyłożyć ręki do polityki Aleksandra, przypominali cesarzowi losy dawnych koalicyj, odwodzili go szczególniej od związków z Austryą, twierdząc, że Austrya psuć będzie grę Rosyi, gorzej od Anglii; Anstett, jeden z najczynniejszych dyplomatów w tej porze, pełnomocnik na kongresie w Pradze, pomawiał Metternicha o udawanie, fałsz i podstęp. U każdego niemal Rosyanina, dno duszy zdaje się być zrobione z niedowierzania; mało który wolny jest od przesady w tej wadzie; najczęściej, nietylko bliźniemu, ale samemu sobie nieufa. Pod tym względem, Aleksander był czystej krwi Rosyaninem, a jak we wszystkiem, tak i w podejrzliwości, miewał paroksyzmy: raz wierzył bez zastrzeżeń, to znowu nie znał miary w obawie, że będzie zawiedziony. Gorąco pragnąc zwycięstwa nad Napoleonem, pragnął tem samem przyjścia do skutku koalicyi; niedowierzanie i chęć odegrania pierwszej roli wśród gotujących się wypadków, czyniły go bardzo drażliwym i zazdrosnym, a w stosunkach trudnym. W sprawach europejskich był do pewnego stopnia nowicyuszem, bo wzrósł w odmiennych wyobrażeniach i okolicznościach; przesiąknięty filantropią XVIII. wieku, wiele mówił o szczęściu ludzkości i ludów, które po swojemu rozumiał; chciał godzić ogień z wodą, zapuszczał się w spekulacye o przyszłości, której panem nie był, upajał i zapalał świetnością własnych, często urojonych pomysłów. W Metternichu znalazł niebezpiecznego partnera. Metternich zawsze wiedział, czego chce i którędy tam droga prowadzi; dawał się cesarzowi wygadać do woli, dopóki nie spłonie słomiany ogień, potem nawracał do rzeczy i podbijał Aleksandra zaklęciem na dobro świata, albo dogmatycznem orzeczeniem, których miał zapas niewyczerpany. Aleksander ustępował, brnął w kłopoty, bolał nad złamaniem danego słowa, nad zniszczeniem ukochanych projektów; przyrzekał sobie w duchu, że innym razem twardszy będzie — zwykle na próżno. Czasem tylko postawił na swojem, znienacka i w tajemnicy; w dyskusyi ulegał, choć mógł się nieraz przekonać, jak łatwo dwór wiedeń-

ski godził się z silnem postanowieniem jego i z faktami spełnionymi. W wielkich i pomniejszych kwestyach, Metternich kierował Aleksandrem i przez Aleksandra wpływał na Fryderyka Wilhelma.

Kiedy inni myśleli o sobie, albo za marami gonili, Metternich musiał za wszystkich myśleć o Europie, o tem co zrobić z kupą gruzów na stałym lądzie nagromadzonych. Z dawnego porządku kamień na kamieniu nie został; znikły państwa, trony, dynastye, traktaty, wiekami uświęcone stosunki; powstały sztuczne wolą jednego człowieka stworzone i trzymane organizmy; nastało wielkie zamięszanie w umysłach, trawionych gorączką nieokreślonych i nieświadomych siebie aspiracyj.

„Dążyliśmy, mówi Metternich, do przywrócenia spokoju na podstawie porządku. Jako środek wiodący do celu, wskazałem memu monarsze: wyrzeczenie się ze strony sprzymierzonych wszelkiego zamiaru zdobyczy, więc powrót Francyi, Austryi i Prus do dawnych granic; przyjęcie za zasadę rozróżnienia, jakie czyni prawo narodów między zdobyczą spełnioną i uświęconą traktatem, a zaborem *via facti,* dokonanym bez formalnego zrzeczenia się ze strony wywłaszczonego; w następstwie, zwrot bezzwłoczny i bezwarunkowy takich terytoryów ich dawnym posiadaczom, podczas gdy kraje uwolnione przez sprzymierzonych z pod panowania francuskiego, uważane będą jako wspólna własność mocarstw skoalizowanych. Nakoniec, odroczenie do chwili zawarcia pokoju układów o rozdział tej własności wspólnej i rozstrzygnięcie tej kwestyi na kongresie europejskim. Co do urządzenia Niemiec, porzuciwszy myśl przywrócenia dawnego cesarstwa, zamierzyliśmy dążyć do ustanowienia konfederacyi państw niemieckich".

Myśli tu wyrażone, służyły za podstawę pracom kongresu wiedeńskiego. Prusy i Rosya przyjęły je w zasadzie, żeby rozpoczęcie działań wojennych przyspieszyć.

Wojska sprzymierzone składały się z rozmaitej natury i wartości żywiołów. Austryacka armia, nietknięta, zachowała stare, wyborne kadry, przez arcyksięcia Karola zorganizowane, zapełnione nowozaciężnym żołnierzem; według Metternicha „pałała chęcią pomszczenia dawnych upokorzeń, ale przyzwyczajona do karności i posłuszeństwa, czekała cierpliwie rozkazów". Rosyjska,

pod względem spójności mocno zachwiana, dumna pogromem Francuzów, szła niechętnie na daleką wyprawę i za domem tęskniła. Pruska, dorywczo zlepiona z żywiołów sfanatyzowanych, do wściekłości posuwająca nienawiść do Francyi, żyła jedną tylko myślą: zrabować i zniszczyć Paryż; rwała się naprzód, wiedząc, że Prusy nie mają prawie nic do stracenia, a wszystko do zyskania; główną jej siłę stanowiła nienawiść i rozpacz; to samo robiło z niej element bardzo niebezpieczny, trudny do utrzymania na wodzy. Sprzymierzeni liczebnie górowali nad Napoleonem. Rosyanie i Prusacy lekceważyli Napoleona, który jednak upadł nie tyle pod ciosami obcych, jak w skutek tego, że Francya go odstąpiła. W kampanii 1814, Napoleon przewyższył samego siebie w genialnem prowadzeniu wojny; sprzymierzeni nie mieli nikogo, coby mu dorównywał zdolnościami i urokiem. Cesarz Aleksander marzył o tytule wodza naczelnego koalicyi, czego Austrya, pamiętna bitwy pod Austerlitz, śmiertelnie się bała. Między Prusakami nie brakło wojskowych talentów, ale najdzielniejsi, Gneisenau, Blücher, słusznie uchodzili za graczów, gotowych wszystko ryzykować na jedną kartę. Ostrożny cesarz Franciszek chciał widzieć na czele człowieka, posiadającego jego zaufanie, i przeprowadził nominacyę ks. Józefa Schwarzenberga. Przy niejakim talencie i doświadczeniu, Schwarzenberg charakterem i temperamentem szczególnie był usposobiony do prowadzenia tak trudnego przedsięwzięcia, jakiem była ówczesna wojna. Znał doskonale Napoleona z czasów swej ambasady w Paryżu, nie lekceważył go, czuł jego przewagę, nie kusił o szybkie i świetne czyny, ale działał ostrożnie, wielkiemi masami; nieprzystępny próżności i zazdrości, spokojem potrafił utrzymać zgodę w obozie sprzymierzonych, rozbrajać niechętnych i zazdrosnych.

Na nalegania Aleksandra, pokuszono się o wzięcie Drezna. Zaledwie armia przekroczyła saską granicę, Aleksander oświadczył, że tak dalej iść nie może, że on sam obejmie naczelne dowództwo i weźmie za szefa sztabu jenerała Moreau, który będzie kierował operacyami wojennemi [1]. Cesarz Franciszek kazał

[1] Moreau, zwycięzca z pod Hohenlinden, republikanin, osobisty wróg Napoleona, który w 1804 r. skazał go na banicyę do Ameryki, od sierpnia bawił przy Aleksandrze.

na to odpowiedzieć, że w takim razie odstąpi od koalicyi. „Dobrze, odparł Aleksander, odłóżmy tę kwestyę na później ale na Austryę spadnie odpowiedzialność za nieszczęścia, jakie wyniknąć mogą“. W dwa dni potem, Moreau zginął od kuli francuskiej, przy boku Aleksandra. „Sam Bóg między nami rozstrzygnął!“ zawołał Aleksander, spotkawszy Metternicha. Porażka pod Dreznem o tyle wyszła na dobre sprzymierzonym, że Aleksander mniej się wdawał w ruchy strategiczne; trudność w utrzymaniu zgody w niczem się nie zmniejszyła. „Trzeba było, mówi Metternich, tyle pilnować sprzymierzonych, co Napoleona“. O Aleksandra opierali się marzyciele, projektowicze, intryganci, Stein i hegemonowie pruscy, Bernadotte zamyślający o koronie francuskiej. Bitwa pod Lipskiem była owocem rachuby i rozwagi Schwarzenberga, zaraz jednak pokazało się, jak Aleksander pojmuje jedność w postępowaniu. Napoleon cofał się za Ren, wypadało przeto ustanowić administracyę tymczasową w krajach niemieckich, przez Francuzów ewakuowanych. W duchu obowiązujących umów, administracya winna była być wspólną i neutralną, Aleksander tymczasem uprzedził decyzyę sprzymierzonych, obiecawszy Steinowi, że go postawi na czele rządu tymczasowego. Znaczyło to tyle, co wydać Niemcy na łup hegemonów pruskich i stronnictwa rewolucyjnego, które obok sprawiedliwych dążeń, zmierzało do wprowadzenia w Niemczech demokratycznych instytucyi i zaszczepienia na nieprzygotowanym gruncie idei, z których wynikły następnie długie zatargi między rządzącymi i rządzonymi. Po ustąpieniu Francuzów za Ren, gdy widocznem było, że pokój stanąć może dopiero pod murami Paryża, Schwarzenberg radził podzielić armię na trzy części, prawe skrzydło z Blücherem przeprawić za Ren między Moguncyą i Kolonią, środek między Manheimem i Bazyleą, lewe skrzyło skierować przez Symplon i Genewę ku Lyonowi. Aleksander zarzucił, że plan austryacki pociąga za sobą zgwałcenie neutralności Szwajcaryi, którą szanować przyrzekł był Laharpowi, oraz dawnej guwernantce swej siostry. Laharpowi szło nie tyle o oszczędzenie Szwajcaryi przechodu obcych wojsk, jak żeby zapobiedz przywróceniu tam dawnego porządku i zapewnić bezpieczne schronienie dla swych przyjaciół politycznych, skompromitowanych w ościennych kra-

jach. Tego rodzaju pobudki nie mogły ważyć tam, gdzie się losy świata rozstrzygały. Armia austryacka przekroczyła granicę szwajcarską za zgodą władz tamtejszych, o czem Aleksandrowi powiedziano kiedy wszystko było skończone. „Nie wiesz, skarżył się Metternichowi, jaką mi wyrządziłeś przykrość, ale co się stało nie odstanie; pod względem strategicznym ruch jest wyborny, idźmy więc do celu i nie mówmy o tem". Nawet wojsko rosyjskie przeszło Ren w Bazylei, tylko Aleksander zawarował, że gwardya przejdzie pierwsza, w nowy rok grecki.

W Bazylei przyłączył się do głównej kwatery lord Castlereagh. Odtąd monarchowie i ministrowie czterech mocarstw ani na chwilę prawie się nie rozłączyli; Metternich zyskał dzielnego poplecznika w zimnym i twardym Angliku. Pod koniec stycznia 1815, ognisko polityki europejskiej przeniesiono na terytoryum francuskie, do Langres; z zachowania się Napoleona wynikało, że zmiana tronu we Francyi będzie konieczną. „Mieliśmy do wyboru powrót Burbonów, rejencyę z królem rzymskim, synem Napoleona, albo wybór nowego monarchy, pisze Metternich. Dobre prawo i rozum, interes Francyi i Europy, przemawiały za przywróceniem Burbonów". Aleksander miał swego kandydata, Bernadottego, niedawno marszałka Francyi, figurę ze wszech miar nieszczególną. „Naród francuski, twierdził Aleksander, nienawidzi Burbonów; przywołać dawną dynastyę, jest to narazić Francyę i Europę na nowe przewroty. Obcy nie powinni Francuzom narzucać monarchy. Pójdziemy na Paryż i zajmiemy miasto. Przed wejściem do Paryża wydamy manifest z oświadczeniem, że nie chcemy się mięszać do ustanowienia formy rządu i do wyboru panującego. Zwołamy zgromadzenia wyborcze pierwszego stopnia, dla wyboru deputowanych, którzy obydwie kwestye w imieniu narodu rozstrzygną". — „Będzie to, zarzucił Metternich, nowa konwencya i powtórna rewolucya, którą wzniecać nie jest celem przymierza". — „Mamy siłę zbrojną, wystarczającą do utrzymania porządku, odparł Aleksander; deputowani orzekną tylko o formie rządu i osobie panującego. Monarcha dobrowolnie przez naród przyjęty, najmniej napotka trudności w ustaleniu swej władzy. Cała rzecz polega na tem, żeby dobrze pokierować przy-

szłem zgromadzeniem. Mam pod ręką człowieka, co tego dokaże. Tym człowiekiem jest Laharpe".

Stanowisko gabinetu wiedeńskiego w tej sprawie było dyktowane dwojakiego rodzaju względami. Kwestya dynastyczna we Francyi służyć miała za precedens w urządzeniu znacznej części stałego lądu i rozstrzygnąć na jakiej zasadzie dopełni się obsadzenie opustoszałych tronów. Cesarz Franciszek, a z nim Metternich i większość ludzi stanu, bronił legityzmu, powrotu do dawnego porządku, opartego na prawach nabytych i długiem używaniem uświęconych. Zasada prawowitości usuwała mnogie przeszkody; zdetronizowane dynastye wracały do dawnych siedzib i dzielnic, roszczenia pretendentów i stronnictw upadały same z siebie. Powrót Burbonów przedstawiał dla Austryi tę wielką korzyść, że uchylał rejencyę Maryi Ludwiki i zwalniał dom habsburgski od odpowiedzialności za czyny rejentki. Raz dopuściwszy we Francyi ustanowienia formy rządu i wyboru panującego przez zgromadzenie narodowe, trzebaby było tą samą drogą postępować wszędzie, albo narazić się na zatargi z ludnością i włożyć na mocarstwa sprzymierzone obowiązek robienia policyi europejskiej. Ówcześni ludzie stanu nie bez przyczyny, nie z uporu tylko, obawiali się przypuszczenia do udziału w rządzie klas dotąd od spraw publicznych zdala trzymanych, świeżo wciągniętych w wir bieżącej polityki, niemających doświadczenia w prowadzeniu interesów, które domagały się gwałtownie swobód i przywilejów, a nie przedstawiały rękojmi, że tych nabytków z miarą i rozsądkiem używać potrafią. Pozostawało wreszcie pytanie, gdzie szukać wyrazu woli ludności i jak ten wyraz na wierzch wydobyć. Głosowanie powszechne i parlamentaryzm, w naszych czasach, nikogo nie przestrasza, bo doświadczenie nauczyło ludzi, jak się z takiemi rzeczami obchodzić, jak je prowadzić, jak obrócić na korzyść tych, co władzę i siłę dzierżą; z drugiej strony, ludność nauczyła się odróżniać treść od pozorów, swobody użyteczne od teoretycznych przywilejów; przywykła szanować legalność i legalną walczyć bronią. Pół wieku temu praktyka głosowania, wyborów, obrad, była obcą rządzącym i rządzonym. Pierwsi, upatrywali w „angielskim systemie" zgubę rządów i społeczeństw; zwolennicy nowych pojęć lekarstwo niezawodne na cierpienia

ludzkości. Pierwszym na samo wspomnienie obradującego zgromadzenia, stawało przed oczami widmo konwencyi, teroryzmu i anarchii. Liberaliści, jak ich nieco później u nas nazywano, powoływali się na przykład Anglii. Szkoła angielska, najumiarkowańszy odcień liberalizmu, rozumowała według metody filozofów XVIII. wieku: Anglia zawdzięcza konstytucyjnej formie rządu wolność, porządek i siłę; niech ją inne narody naśladują, a staną się jak ona wolne, dobrze rządzone i potężne. Tak uczyła loika, zredukowana do elementarnego wyrazu, ślepa i umysł ludzki uwodząca, która jednak światem nie rządzi i w życiu społeczeństw nie znajduje zastosowania. Anglicy dobili się swobód w pocie czoła, krwawą i długą pracą; konstytucya angielska nie urodziła się od razu, ale wykształciła stopniowo; nie była nigdy i dotąd nie jest spisaną, ciągłym ulega modyfikacyom, ma korzenie w układzie społecznym i charakterze narodu, żyje w obyczaju, wyobrażeniach i uczuciach wszystkich warstw ludności. Natomiast, widzimy jak konstytucye teoretycznie doskonałe, napisane przez ludzi uchodzących za bardzo mądrych, uchwalone przez legalnych reprezentantów narodu, pozostają martwą literą, chybiają celu, stają się narzędziem despotyzmu partyi. A przecież nie można powiedzieć, żeby teraźniejsze pokolenia nie były politycznie wytrawniejsze, do używania swobód dojrzalsze, aniżeli pokolenia żyjące w pierwszej połowie bieżącego stulecia, które uboższe były w doświadczenia, jakie myśmy zebrali wśród twardych, srogich nieraz przejść. Jak wówczas rzeczy na świecie stały, przychylenie się rządów do postulatów liberalnego stronnictwa prowadziło, według wszelkiego prawdopodobieństwa, do powszechnego olbrzymiego przewrotu społecznego i do zwycięstwa krwiożerczej demagogii jakobińskiej, która w liberalnym obozie sama jedna przedstawiała siłę i czyn, podczas gdy żywioły umiarkowane, złożone z teoretyków i doktrynerów, łudziły się, że pisane instytucye i piękne mowy starczą, żeby ludźmi rządzić.

W samej Francyi, jakąż wagę mieć mógł wyraz woli narodu, objawiony pod naciskiem siedmiukroć obcych bagnetów? Dość za to było posłuchać co się mówi między ludźmi, żeby przekonać się, że Francuzi życzą sobie powrotu Burbonów, nie przez miłość dla prawowitej dynastyi, ale ze zmęczenia, przez

wstręt ku Napoleonowi i pragnienie spokoju. Na bagnety liczył Aleksander nietylko dla utrzymania porządku publicznego, ale także dla poparcia swego kandydata i wywiązania się z obietnic, udzielanych dawnemu swemu mentorowi i ajentom Bernadottego, nakoniec, dla ziszczenia jednego z najgorętszych marzeń: pisania konstytucyi.

Nikt może w Europie bardziej od Aleksandra nie zapalał się do angielskiego ideału, ale nikt podobno tego ideału fałszywiej od niego nie pojmował. Właściwie mówiąc, Aleksander o rzeczy samej, o treści konstytucyonalizmu, najmniejszego nie miał pojęcia. Filantropia kazała mu dążyć do szczęścia ludów, powierzonych jego pieczy; filozofia nauczała, że szczęście ludom zapewnia doskonałe prawodawstwo; żeby być doskonałem, prawodawstwo powinno było szukać światła u reprezentantów społeczeństwa. Taki był jego punkt wyjścia. Słowianin, wzrosły i wychowany w wyobrażeniach autokratycznych, pan samowładny milionów ludzi, nie przypuszczał, że pierwszym początkiem konstytucyjnego porządku, w prawdziwem znaczeniu, jest podział władzy i poświęcenie ze strony panującego przywileju absolutnej woli. On chciał zachować władzę niepodzielną, ale okryć absolutyzm sankcyą reprezentacyi narodowej. Imaginacyą ukochawszy zewnętrzność angielskich instytucyi, rwał się jak do zakazanego owocu, do obrócenia w rzeczywistość pięknego snu i sądził, że dość kartę konstytucyjną napisać i ogłosić, żeby plony zbierać i okryć się wieczną chwałą. W moc pisanych formuł tak święcie wierzył, że podczas pobytu w Londynie, zażądał od lorda Grey recepty, jak stworzyć w Rosyi opozycyę, opozycyę taką jak w Anglii, nieodbicie potrzebną dla rządu, wedle zgodnego zdania doktrynerów. Grey, nie wiedząc dobrze o co chodzi, udał się do Metternicha po radę, bo, dodał, jeźli cesarz chce Rosyę obdarzyć konstytucyą, na opozycyi mu zabraknie, o to może być spokojny. Silną nareszcie pobudką dla Aleksandra była żądza popularności i wyróżnienia się między monarchami: wszyscy monarchowie przeklinali djabelski wynalazek, wysławiany przez opinię publiczną; on, najpierwszy „tyran“ w Europie, słowem i czynem stawał po stronie przyjaciół ludzkości, zamierzał wprowadzić wolne instytucye w Rosyi, w Polsce, a na początek we Francyi, na którą cała Europa zwracała oczy.

Od projektu zgromadzenia narodowego i kandydatury Bernadottego odstąpił, skoro cesarz Franciszek silnie się temu oparł i zagroził cofnięciem wojsk austryackich. Pogróżka była łatwiejszą do wyrzeczenia, niż do wykonania, i najzupełniej zbyteczną, gdyż zbytecznem było uciekać się do heroicznych środków dla skruszenia wątłej woli Aleksandra. Z epizodu wywołanego niepotrzebnie, w tajemnicy przed ministrami rosyjskimi, pod natchnieniem pokątnych doradców, Aleksander odniósł nową porażkę, nowy uszczerbek na własnem znaczeniu wobec sprzymierzeńców. Raz jeszcze przecież postawił na swojem, podpisując bez wiedzy dworu wiedeńskiego konwencyę, mocą której Napoleon otrzymał wyspę Elbę. Szczęśliwym tego pomysłu nazwać nie można. Wobec faktu spełnionego, Metternich ustąpił, przepowiadając w niedługim czasie powrót Napoleona i powtórną z nim walkę. Aleksander nie wyciągnął stąd nauki, że gabinet wiedeński nie lubi muru głową przebijać i groźniejszy jest w słowie, niż w czynie. Za to Metternich coraz zupełniej przenikał zagadkowy charakter cesarza, imponował mu bystrym w przyszłość poglądem. Widząc spełniające się przewidywania Metternicha, nie badając przyczyn własnych zawodów, Aleksander w własnych oczach malał, tracił wiarę w siebie, cudzemu wpływowi stawał się coraz bardziej przystępnym i uległym. Anegdoty historyczne objaśniają lepiej niż co innego, jak zawiązał się stosunek Aleksandra z sprzymierzeńcami, dla nas tyle szkodliwy; dla czego świetne plany polskie Aleksandra na nędznym skończyły się rezultacie.

VII.

Przy zawarciu pierwszego traktatu paryskiego, z 30 maja 1814, rola Austryi była niezaprzeczenie piękną, rozumną i umiarkowaną; w stosunku do Europy, godną wielkiego mocarstwa chrześcijańskiego, przezorną z austryackiego stanowiska. Gabinet wiedeński bronił Francyę od zemsty i rozbioru, od chciwości i zawziętości Prusaków, starał się oszczędzić Francuzom upokorzeń, żeby nie zostawić w narodzie nasienia odwetu. Baczył na przywrócenie równowagi między mocarstwami, żeby pokój świata, o ile można, zabezpieczyć i utrwalić. Dążył do usunięcia zasady

zdobyczy wojennych, po długiej i krwawej wojnie pierwsze trzymającej miejsce; postawił natomiast zasadę restytucyi i równowaźników, pozwalającą oprzeć nowy porządek na podstawie prawa i słuszności, zawsze lepszej i pewniejszej od wyroków siły i przemocy. Rolę Austryi znakomicie ułatwiało położenie jeograficzne państwa, natura monarchii habsburgskiej, charakter i temperament cesarza Franciszka i Metternicha. Z wyjątkiem wybrzeży Adryatyku, których posiadanie było żywotnym dla Austryi interesem, inne nabytki terytoryalne podrzędne dla niej miały znaczenie, wobec bezpieczeństwa i spokoju nadal, zapewnionego dziedzicznym krajom. Państwa jednolitej narodowości mają granice naturalne, których utrata robi ranę trudną do zabliźnienia; dla wielojęzycznej Austryi takie granice nie istnieją. Dla domu austryackiego nabytek lub utrata jakiej prowincyi, zwłaszcza odległej i luźnie z ogniskiem związanej, było rzeczą zwyczajną, w historyi często powracającą, a ludom pod berłem Habsburgów zjednoczonym, wcale obojętną. Cesarz Franciszek mógł czynić ofiary na ołtarzu dobra powszechnego; inni monarchowie takich zbytków nie bardzo dopuszczać się mogli. Dla Rosyi zrzeczenie się Polski znaczyło tyle, co usunięcie z Europy; dla Prus zaokrąglenie granic było kwestyą życia i śmierci; dla Anglii Malta stanowiła o panowaniu na morzu Śródziemnem. Austrya szukała dla siebie przedewszystkiem bezpieczeństwa i spokoju w równowadze powszechnej. Aby uniknąć bezpośredniego sąsiedztwa z Francyą, dom austryacki zrzekł się Belgii, o którą dość było się upomnieć, żeby ją odzyskać. Ani cesarz, ani Metternich nie potrzebował staczać z sobą walk, aby innych w umiarkowaniu przewyższyć: interes państwa pozwalał im na bezinteresowność; wszystko co wiemy o jednym i o drugim, każe wnosić, że gorących namiętności nie znali i że umiarkowanie dość łatwo i tanio im przychodziło. Umiarkowany w żądaniach dla Austryi, stanąwszy na gruncie prawa i słuszności, Metternich zdobył siłę, jaką daje dobra sprawa; umiejąc rozeznać granicę, gdzie się kończy interes żywotny każdego państwa, a gdzie łakomstwo zaczyna, potrafił uchwycić miarę koniecznych ustępstw i tem skuteczniej opierać się przesadzonym roszczeniom. Nie w czem innem tkwiła wyjątkowa pozycya i przewaga Metternicha na kongresie wiedeń-

skim, którego dzieło było w znacznej części jego dziełem własnem, o ile to zastosować się da do jednego człowieka i do narad zbiorowych, rozpoczętych na gruncie nieco idealnym prawa i słuszności, a zmuszonych godzić wcale nieidealne dążenia ludzkie.

Sposób przyjścia do skutku koalicyi i prowadzenia kampanii 1814 roku, zrodził obecność monarchów na kongresie w Wiedniu i płynące stąd następstwa. Cesarz Franciszek byłby się chętnie zrzekł zaszczytu ugaszczania potentatów całej Europy, bo zdrowy rozsądek ostrzegał go o skutkach, a wrodzona oszczędność radziła unikać bardzo dotkliwych dla skarbu wydatkow; lecz chyba wojna była w stanie monarchów od zjazdu powstrzymać. Za Aleksandrem i królem pruskim zjechali niemal wszyscy panujący i książęta krwi stałego lądu, każdy z zamiarem wytargowania jak najwięcej dla siebie; naczelnicy domów medyatyzowanych, reprezentanci miast i korporacyj, dyplomaci czynni i nieczynni, Żydzi niemieccy, domagający zniesienia ścieśnień prawnych, suplikanci wszelkiego pochodzenia i rodzaju, łaknący zaszczytów, orderów i pieniędzy. Jawnymi i tajnymi zabiegami, rozczynem złota, czem było kogo stać, forytowano publiczne i prywatne interesa; Wiedeń zmienił się w olbrzymie targowisko. *Le congrès danse, mais ne marche pas,* mówił ks. de Ligne, ale pomimo festynów i bankietów, wrzała walka widoków i namiętności ludzkich. Urzędowe posiedzenia kongresu były rzadkie i nieliczne, układy toczyły się za kulisami bez przestanku, a w nich koronowane głowy niepomiernie wiele zabierały miejsca.

Cesarz Aleksander przybył z zamiarem wzięcia odwetu za wielokrotne przegrane, w gorżkiem usposobieniu, z żalem do sprzymierzeńców, lecz przez nich opanowany i przyuczony do noszenia jarzma; przytem osobiście poróżniony z pełnomocnikami Anglii, Austryi i Francyi. Lord Castlereagh był Aleksandrowi podwójnie antypatyczny, jako minister Anglii, której cesarz nienawidził a bał się, tudzież jako człowiek zimny i cierpki w obejściu. Talleyrandowi cesarz nie mógł zapomnieć, że po wejściu do Paryża udawał pokorę i uległość, w parę tygodni zaś przerzucił się na przeciwną stronę i odtąd mu językiem dokuczał. Dla cesarza Franciszka czuł wielki respekt, ale go nie lubił za upor i zacofane wyobrażenia; króla duńskiego i bawarskiego

wprost nie cierpiał; Metternichowi nie przebaczał psot ustawicznych, w nim upatrywał główną dla siebie zaporę, osobistego przeciwnika, rywala w polityce i w przyjacielskich stosunkach. Jedynego przyjaciela liczył w królu pruskim, całkowicie sobie oddanym. Był nadto pod wpływem sióstr i kobiet, przez które znajdowały doń przystęp rozmaite niechęci i zazdrości.

Najważniejszą sprawą dla Aleksandra, można powiedzieć jedyną, była Polska. Od młodości myślał o Polsce, chciał naprawić krzywdę, przez babkę wyrządzoną; zrósł się z tą myślą, przywiązał się do niej sercem, ambicyą, interesem, wyobraźnią, wszystkiem, co człowieka do czegoś przywiązać zdolne. W głowie coraz nowe snuł plany, coraz inne czynił obietnice; planów i obietnic ostatniem słowem bywało zawsze: coś i jakoś, ale nigdy na nieszczęście nie przyszło do określenia celu i środków. Przed wstąpieniem na tron, wydawało mu się, że jego wola wystarczy do odbudowania niepodległej Polski. Wstąpiwszy na tron, zmienił punkt widzenia, zobaczył, że mu niewolno dobrowolnie zrzec się tego, co poprzednicy nabyli, że naród na to nie przystanie, że on sam przypłacić gotów koroną, albo życiem; że wywołać może niezmierne wstrząśnienie, dla Rosyi i dla Polski zgubne. Nieprzekraczając granic możliwości i prawdopodobieństwa, Aleksander mógł dążyć do połączenia w jedno wszystkich dzielnic Polski, pod wspólnem z Rosyą berłem, i do dania Polsce osobnego bytu, odpowiadającego dziejom i charakterowi narodu. Same z siebie niesłychanie trudne, przedsięwzięcie takie stawało się możliwem tylko w wyjątkowych okolicznościach, za zgodą i przyczynieniem Polaków. Siła rzeczy, położenie Europy, wypadki szybko i potężnie działające, wszystko jednem słowem spełnieniu podobnego zamiaru na zawadzie stanęło. Aleksander przecież w zamiarze wytrwał. Jak mocno dbał o Polskę, najlepszym dowodem, że wytrwał, choć był niestały, choć go Polacy odstąpili, choć naród rosyjski i Europę miał przeciw sobie.

W epoce, kiedy Aleksander najśmielsze dla Polski roił plany, powiernikiem jego, doradzcą, aniołem stróżem szczególniej, był ks. Adam Czartoryski, najlepszy patryota, czysty jak kryształ, zacny jak cnota, ale miękki jak wosk, w polityce idealista, niestworzony do działania, niemający w sobie dość siły i energii,

żeby czasem owładnąć, dość wytrwałości, żeby go pilnować. Dopóki razem przebywali, Czartoryski służył Aleksandrowi jakby za spowiednika politycznego i za chodzące sumienie; patrząc na niego, Aleksander przypominał sobie Polskę; prześladowało go widmo, niedające spokoju. Na takim włosku wisiała nasza przyszłość, o ile ona od Aleksandra zależną była. I ten włosek zerwał się. W miarę, jak polityka oddalała cesarza od spełnienia polskich zamysłów, owo chodzące sumienie stawało się coraz bardziej uciążliwem, stosunki między przyjaciółmi coraz drażliwsze. Cesarz rad był pozbyć się widma, Czartoryski zrozumiał o co idzie i usunął się. Za grzech mu tego nie można poczytać. Cesarz miał zresztą tysiączne sposoby pozbycia się księcia, a czując się nie zupełnie niewinnym, jak wszyscy ludzie słabi, nie przebierał w znalezieniu ofiarnego kozła. Samemu sobie pozostawiony, co gorsza, wydany na pastwę doradzców Polsce nieprzychylnych, lub chcących użyć cesarza za narzędzie do celów, z dobrem Rosyi niemających nic wspólnego, Aleksander odetchnął, o Polsce nie potrzebował myśleć. Nierozstrzygniętą jest kwestyą, czy Adam Czartoryski chciał i mógł zbliżyć się do cesarza w przededniu wojny 1812, osiąść w obozie i polskich pilnować interesów. Żaden Polak tam się nie zjawił, nie stanął jak widmo przeszłości, nie budził sumienia Aleksandra, zabiegów pruskich pokrzyżować nie usiłował. Roboty pruskie były wprost na krzywdę naszą skierowane. Gabinet berliński, moralny sprawca rozbioru Polski, rządził się zasadą, że wzrost Prus, ich pożytek i dobro, jest kardynalnem prawem świata, wyższem nad prawo pisane i sprawiedliwość, prawem, przed którem wszystko winno ustąpić i wszyscy czoła schylić. „Prusy, powiada Gentz, przyszły na kongres z niepomiarkowaną niczem żądzą zaborów, rozszerzenia swych posiadłości kosztem całego świata, bez względu na zasady sprawiedliwości, nawet bez względu na prostą przystojność. Namiętność zdobyczy nie wypływała ani z charakteru króla, ani z charakteru pierwszego minstra: Fryderyk Wilhelm III., jakkolwiek więcej niż miernych zdolności umysłowych, był przecież w gruncie uczciwym człowiekiem, a Hardenberg najlepszym z ludzi. Lecz system dworu pruskiego, od wieku niezmienny, pozostaje zawsze jeden i ten sam, niezależny od osób“. Jeszcze

na początku wojny, Prusacy zredukowani do posiadania Berlina i Wrocławia, z imienia tylko istniejący, mieli czoło żądać Hanoweru, choć Anglia jedno z pierwszych miejsc w poczwórnem przymierzu zajmowała, choć wojna prowadzoną była za angielskie pieniądze; i dotąd historycy pruscy mają czoło twierdzić, że odmowa Hanoweru była krzywdą, o pomstę niebios wołającą. Kto śmiał coś podobnego Europie proponować, ten był do wszystkiego zdolnym, skoro szło o Polskę i sprawa toczyła się z Aleksandrem. Aleksander potrzebował Prus. Pominąwszy idyosynkrazye spokrewniające politykę pruską i rosyjską, zażyłość między dworami, Aleksandra wiązało wspomnienie scen dramatycznych przy grobie Fryderyka W., przysiąg zamienionych przed królową Ludwiką; rozczulał się nad heroizmem Yorka; narozdawał był co niemiara obietnic różnym Prusakom. Prusy, wiedząc o tem wszystkiem, wiedząc, że Austrya dąży do „rozwiązania“ księstwa warszawskiego, zwróciły się wyłącznie ku Aleksandrowi, który księstwo miał w rękach. W skutek przejścia Yorka na stronę Rosyan, w Berlinie wzięła górę partya militarna, na równi z innymi chciwa ziemi i ludności, ale bardziej od innych dbająca o zaokrąglenie i strategiczne bezpieczeństwo granic. Podczas gdy hegemonowie i teutonizm sięgał po Hanower, Saksonię, Alzacyę, Lotaryngię i wszystko, co się wziąć dało na cztery strony świata, wojskowe stronnictwo kontentowało się granicami roku 1804, z poprawką wzdłuż brzegów Wisły, a przynajmniej zwrotem granic trzeciego podziału. W styczniu 1813, wysłano do Kalisza Knesebecka, jednę z tęgich głów partyi, w celu zawarcia formalnej umowy o nowy rozbiór Polski. Aleksander, rad nie rad, musiał ustąpić, bo Prusak był twardy jak kamień. Szczęściem w obozie rosyjskim bawił Stein, chwilowo bez urzędu, najpopularniejszy człowiek w Niemczech, przy cesarzu dobrze widziany. Lekceważąc kramarstwo strategiczne, Stein wolał Prusy naprzód w Niemczech posuwać i za skrawek Polski kupić Aleksandra na rzecz niemieckich planów. Ku wielkiemu umartwieniu tamtoczesnych i dzisiejszych Prusaków, Aleksander, poparty przez Steina, zobowiązał się przywrócić Prusom rozmiary terytoryalne i statystyczne z przed roku 1806, lecz z księstwa zwrócić tyle tylko, ile trzeba, żeby stare Prusy złączyć z Szląskiem, kompensatę

zaś wyjednać w Niemczech, w niewymienionej z nazwiska Saksonii. Tym sposobem, Aleksander ocalił Warszawę i kawał księstwa, dał jednak początek targom o Saksonię i Polskę na kongresie, gdzie sam jeden całej Europie czoło stawić musiał.

Austrya radaby była ujrzeć Polskę przywróconą, mieć w niej „poduszkę“ od strony Rosyi i Prus. Na rzecz niepodległej Polski, chętnieby była oddała odrobinę Galicyi, z wyjątkiem Spiża i Wieliczki. Wszystko pod warunkiem, że o Polskę bić się nie będzie. Przed wojną rosyjską, liczyła na Napoleona, że Polskę odbuduje, i zawiodła się. Gdy nikt inny do tego ochoty nie okazywał, rządziła się, według słów Metternicha, prawidłem, żeby ubiegać się o rzeczy możliwe i, mogąc wybierać, wybrać złe najmniejsze, czyli wrócić do trzeciego podziału. Myśl ta powstała jednocześnie z utworzeniem księstwa warszawskiego, które służyło Napoleonowi za podstawę działań zaczepnych na Północy i groziło Austryi utratą Galicyi. Wojna 1809 jeszcze dotkliwiej dowiodła Austryi, czem jest dla niej taka Polska bezimienna, ślepe narzędzie cudzej ambicyi. „Rozwiązanie“ księstwa wraca odtąd ciągle, jako niezmienny postulat polityki gabinetu wiedeńskiego. Pamiętny dziejów i losu Napoleona, niedowierzający Aleksandrowi, w Rosyi upatrujący potęgę zdolną światu zaciężyć gorzej niż Francya, potęgę niedosiężoną i niezłomną, rząd austryacki z trwogą dowiedział się o zamiarze Aleksandra zagarnięcia całego księstwa, stanowić mającego przednią straż Rosyi, w środku Europy usadowioną. Chciano więc w Wiedniu tę straż jak najdalej ku Północy odsunąć, wzmocnić Prusy nad Wisłą, zrobić z Prus wał obronny od strony Rosyi, wreszcie Austryę zaokrąglić i komunikacye z Bukowiną zapewnić. Umowa kaliska to wszystko utrudniała, grożąc w dodatku pozbawieniem Austryi drugiej „poduszki“, Saksonii, której doniosłość i znaczenie wojny Fryderyka W. w pamięci Austryaków głęboko wyryły.

Na pierwszem zebraniu kongresu, złożonem z pełnomocników Anglii, Austryi, Prus i Rosyi, Nesselrode oświadczył, iż cesarz Aleksander żąda, jako słuszną nagrodę poniesionych ofiar, całego księstwa warszawskiego, którem rozporządzi według własnego upodobania i nada mu konstytucyę, jaką za najlepszą uzna. Deklaracya nie zrobiła wielkiego wrażenia, wiedziano bowiem jak

łatwo Aleksander ustępuje. Niebawem jednak dwór wiedeński ujrzał się odosobnionym w kwestyi polskiej. Prusy były związane uległością osobistą króla, bardziej niż konwencyą kaliską, a najbardziej nadzieją otrzymania Saksonii. Anglia, z początku popierająca Austryę, odsunęła się od niej. Jak wszyscy Anglicy, lord Castlereagh, obok idyosynkrazyj protestanckich, uczuwał niejakie sympatye dla Polaków; jako minister, miał bez przerwy na myśli stanowisko gabinetu w parlamencie. Życząc sobie wzrostu protestanckich Prus, widząc Polaków tulących się w Wiedniu pod skrzydła Aleksandra, słysząc z Londynu mowy opozycyi za Polską, zaprzestał oponować oddaniu księstwa Aleksandrowi i anneksyi Saksonii do Prus. Aleksander, mocno rozdrażniony, próbował osobistego wstawienia u cesarza Franciszka, który odrzekł, że ma zwyczaj ministrom zostawiać, co do ministrów należy, i jemu to samo radzi, bo tym sposobem najłatwiej ministra każdego upilnować. Nie pozostało więc Aleksandrowi, jak traktować z Metternichem. Czy to przez wstręt do Metternicha, czy też, aby módz powiedzieć, że ustępuje przed wolą Europy, Aleksander okazał się zakłopotany i Metternicha odesłał do Hardenberga. Kanclerz pruski, ciałem i duszą oddany Metternichowi, przypuścił szturm do „sumienia“ Aleksandra i powołał się na ową rozmowę cesarza z austryackim kanclerzem. Hardenberg był głuchy jak pień, Aleksander mocno niedosłyszał; mogło przeto zajść nieporozumienie w najniewinniejszy sposób; dosyć, że Aleksander posądził Metternicha o przekręcenie swoich słów przed Hardenbergiem i postanowił wyzwać go na pojedynek. Sprawa wytoczyła się przed cesarza Franciszka, który otrzymał od Aleksandra, że przed wyzwaniem formalnem, zażąda od Metternicha wyjaśnień. Jakoż, adjutant Aleksandra, jenerał Ożarowski, przyszedł do Metternicha z oświadczeniem, że cesarz domaga się, aby Metternich przyznał, że w opowiedzeniu mianej rozmowy, zaszły omyłki. Metternich odrzekł, że gotów jest sprostować wszystko, co Hardenberg źle zrozumiawszy, niedokładnie zaraportował. Na tem skończyła się historya pojedynku, ale noga Aleksandra nie przestąpiła więcej progu Metternicha, a spotykając się codziennie na dworze i w salonach, udawali obaj, że się nie widzą. Tymczasem, w parlamencie angielskim podniosła się

burza na gabinet, za wydanie Saksonii na łup Prusaków. Obrony sprawy polskiej podjął się był, na żądanie ks. Adama, Brougham, jak adwokat w trybunale, za pięć tysięcy dukatów; teraz rodzina Koburgów znalazła adwokatów dla Saksonii. Do Wiednia zjechał Talleyrand, z misyą odzyskania dla Francyi należnego miejsca w gronie mocarstw i spostrzegł, że swego nie dokaże inaczej, jak popierając widoki gabinetu wiedeńskiego, z którym miał wspólny interes w wyrzuceniu Murata z Neapolu. Prusacy zmiękli na punkcie Saksonii, obliczywszy, że biorąc po trochu na prawo i na lewo, i w Saksonii i w Polsce, łatwiej przyjdzie zyskać na ogólnej sumie ziemi i ludności, a w dodatku posunięciem granicy, Berlin od najścia Rosyan zasłonić. Pierwsi więc teraz cisnęli Aleksandra, o podział księstwa. Lord Castlereagh wdał się w długą korespondencyę z Aleksandrem, niby poufną, ale przeznaczoną dla publiczności i oddawna powszechnie znaną, w której straszył cesarza odbudowaniem Polski. Gdy wszystkie rządy otwarły archiwa po rok 1815, jedni Anglicy bronią przystępu do swoich; nie wiadomo przeto co się za kulisami działo, ale sądząc po faktach, trudno wierzyć w szczerość pisanych oświadczeń i gróźb. Jedno nie podpada kwestyi, to, że traktat potrójny z 3 stycznia 1815, między Anglią, Austryą i Francyą, przeciw Aleksandrowi zawarty, był niewinną komedyą, równie jak memorandum austryackie, dniem pierwej datowane i proponujące przywrócenie Polski w dawnych granicach.

W traktacie Rosya nie była wymieniona, ale przeciwko Rosyi tylko traktat był zwrócony. W tajemnicy chowany, doszedł do wiadomości Aleksandra dopiero w kwietniu, przez Napoleona, który go znalazł w biurku Ludwika XVIII., w Tuileries. Talleyrand, co nad nowem przymierzem najgoręciej pracował, żeby dowieść swemu panu, że Francya burbońska znowu wiele znaczy w Europie, z góry wiedział, że do wojny nie przyjdzie. Z ową wojną projektowaną, rzecz się miała jak z zamierzoną w 1848 w Wrocławiu rewolucyą: wszystko było gotowe, mówili Wrocławianie, tylko nam odwagi zabrakło. Sprzymierzone mocarstwa miały armie mocno przetrzebione, finanse wyczerpane, ochoty do wszelkiej wojny, ani odrobiny, tem mniej do wojny z Rosyą. Gonić Aleksandra w głąb Rosyi, nikt nie myślał. Cały

świat wołał o pokój, wszyscy potrzebowali wytchnienia. Wszczynać wojnę, znaczyło napowrót sprowadzić Francuzów do Niemiec, drażnić lwa drzemiącego na Elbie, budzić w wojsku francuskiem wspomnienia rewolucyjne i napoleońskie. I o cóż zresztą bić się miano? Dobrze przed zawarciem traktatu, pod koniec roku 1814, Prusy zrzekły się połowy Saksonii, Aleksander przystał na rozłamanie się z sąsiadami polskim bochenkiem chleba, ofiarował Prusom województwo gnieznеńskie i poznańskie, Austryi okręg tarnopolski, ustąpiony w 1809 księstwu; Kraków i Toruń miały być zmienione w wolne miasta, królestwo polskie miało otrzymać konstytucyę. Odkąd go opuścił król pruski, Aleksander miał przeciw sobie całą Europę; resztę dokonały zaklęcia, żeby nie rozbijał kongresu, żeby światu zapewnił dobrodziejstwa jedności i zgody.

O odbudowaniu Polski raptem ucichło; natomiast rozpoczął się targ o granicę nowego podziału. Każdy sąsiad występował z wielkiemi pretensyami, żeby na krakowskim skończyć targu. Austrya żądała Nidy, potem już tylko Sandomierza, Krakowa i Wieliczki, obiecując Krakowa nie fortyfikować. Metternich zachęcał Hardenberga, żeby Prusy jak najwięcej zagarnąć się starały, bo zyskanie każdego cala ziemi nad Wisłą, Austrya uważa za „znakomitą poprawę“ ogólnego położenia. Rachując mile kwadratowe i „dusze“, kramarząc się o rzeczki i strumyki, Prusacy i Austryacy piędź po piędzi ziemi zdobywali, a Aleksander „dla szczęścia Europy i ludzkości“ ustępował. Tylko się przy nazwie królestwa polskiego i konstytucyi uparł. Anglicy przyklasnęli konstytucyi, bo to schlebiało dumie narodowej, ale o jakość nie pytali; dość im było, że konstytucyą zasłonią w parlamencie inne uczynki gabinetu. Dla innych rządów, zamierzających utrzymać w całej pełni ojcowski absolutyzm, konstytucya polska była istnym kamieniem obrazy, podnietą dla propagandy liberalnej w reszcie Europy. Prusacy jedni nie martwili się zbytecznie ani postępami Rosyi w Polsce, ani konstytucyjnymi rządami w Warszawie. Nie obawiajcie się, mówili innym, żeby Rosya zyskała na sile zaczepnej, wskutek pomnożenia poddanych polskich: Rosyanie i Polacy nigdy w zgodzie z sobą żyć nie potrafią, powstaną między nimi niesnaski, dla rządu wynikną same kłopoty; kon-

stytucyi także się nie lękajcie, bo Polacy nadużyją swobody, a Rosyanie zazdrościć im będą przywilejów, jakich sami nie mają. Cesarz Franciszek ślepo przywiązany do absolutyzmu monarchicznego; Metternich, bez porównania mniej przeciwny liberalnym reformom niż wielu współczesnych, ale położeniem zmuszony bronić stanowiska swego monarchy; król pruski, co w chwili wielkiego strachu przyrzekł poddanym udział w rządzie i nad wycofaniem się z obietnicy medytował, najbliżsi sąsiedzi, przyjaciele, sprzymierzeńcy, odwodzili Aleksandra od zamiaru dania konstytucyi Polakom. Nie pod obcym naciskiem, lecz wbrew życzeniu kongresu, Aleksander wprowadził do aktu końcowego wzmiankę o konstytucyi królestwa; on także wymógł zastrzeżenie, obiecujące Polakom pod trzema rządami „instytucye narodowe“ i swobodę komunikacyi.

Co Polacy w Wiedniu robili, kiedyś się zapewne dokładniej dowiemy. Cały ciężar polskich interesów spoczywał na barkach ks. Adama Czartoryskiego, z którego nieznanych dotąd papierów, niejeden szczegół interesujący na jaw wyjść powinien. W pamiętnikach współczesnych, pisanych przez ludzi zdala stojących i czerpiących informacye ze słuchu, albo z gazet, co do treści bardzo ubogich, widać tylko, że w porze kongresowej i po kongresie trafnie oceniano u nas postępowanie Aleksandra w Wiedniu. Później dopiero, za Mikołaja, powstała gadka o Europie, wkładającej na Rosyę obowiązek nadania królestwu konstytucyjnej formy rządu. Dopóki dyplomacya emigracyjna upominała się u mocarstw zachodnich o interwencyę, na mocy traktatu wiedeńskiego, niepodobieństwem było ogłaszać dowody, że Aleksander udzielił konstytucyę z własnej woli, wbrew zdaniu Europy, na kongresie zgromadzonej. Do wiadomości powszechnej doszło zaledwie parę wierszy z listu ks. Adama do jenerała ziem podolskich: „Wszyscy chcą wydrzeć Polskę Aleksandrowi, który źle obsłużony przez swoich, niepokojony przez innych, dobrze się przecież trzyma. Wszystkie gabinety są przeciw nam, za nami nikt słowa rzec nie śmie“. Świadectwo wystawione Aleksandrowi w tych wierszach przez ks. Adama, popiera najzupełniej powyżej skreślone przedstawienie rzeczy i zgadza się z świadectwami uczestników narad wiedeńskich, Metternicha, Gentza, Talleyranda.

Czartoryski przybył do Wiednia, kiedy sprawa już była mocno zachwianą i od dawna źle poprowadzoną. Niepowetowaną szkodę wyrządziło Polsce ustąpienie rządu i ks. Józefa Poniatowskiego z wojskiem z granic księstwa. Armia cofała się, nie próbując oporu, ani układów; Rosyanie zajęli kraj nieprzyjacielski, w wojnie z Rosyą pozostający; zajęli bez żadnych warunków, jako zdobycz wojenną. Postępek ks. Józefa daje się wytłómaczyć okolicznościami czasu. Dla ówczesnego żołnierza ojczyzną była wielka armia, zgromadzona pod sztandarem Napoleona; wiara w geniusz, potęgą i gwiazdę wielkiego wojownika, stłumiła inne uczucia, rodziła przekonanie, że Napoleon wróci, zwycięży i Polskę odbuduje; honor wojskowy kazał wytrwać przy chorągwi i bić się do ostatka. Przedewszystkiem żołnierz, żołnierz w ówczesnem pojęciu, ks. Józef działał jako dowódzca korpusu wielkiej armii, powierzonego mu przez Napoleona. Do odegrania roli politycznej zbywało mu na zdolnościach i na znajomości ogólnego położenia w świecie, sądził rzeczy z własnego, żołnierskiego stanowiska; nieszczęście chciało, że jego osobiste postępki tak wiele ważyły na szali losów narodu. W właściwym porządku, kierunek nawy politycznej przypadał w udziale rządowi, lecz ten rząd, niestety, istniał zaledwie z nazwiska.

Od pierwszego do ostatniego dnia, księstwo warszawskie nie miało własnego rządu, w prawdziwem słowa znaczeniu. Napoleon stworzył księstwo, żeby mieć na Północy punkt oparcia strategiczny i militarny, wielki obóz, niewyczerpane źródło ludzi i żywności. Z natury rzeczy, armia była wszystkiem u Napoleona; stąd poszło jej wyjątkowe znaczenie i przewaga w oczach rządu i w oczach narodu, który upatrywał w niej jeszcze zadatek lepszej przyszłości i symbol ojczyzny. Król, sejm, rada administracyjna, służyła za dekoracyę, lub za podrzędnych wykonawców woli Napoleona, bo głównym wykonawcą bywał zawsze ktoś, z ramienia cesarza przysłany. Król saski był lubiony i popularny, jako osobiście najlepszy z ludzi; rzadko przebywając w Warszawie, nikomu nie zawadzał, srogość systemu łagodził, ile mógł; ale stosunek narodu z królem był bardzo platoniczny. Wiedziano aż nadto dobrze, jak mało król i rząd władzy posiada, jak jeden i drugi wisi na łasce Napoleona. Epoka napoleońska ubogą była

w silne i niepodległe charaktery, które cesarz łamał wszelkimi sposoby. U nas, po demoralizacyi czasów saskich i stanisławowskich, po upadku na duchu porozbiorowym, cudem Opatrzności zakwitła odwaga wojskowa, o cywilnej straciliśmy pojęcie; ustało zepsucie w życiu publicznem, nieskazitelność wielu mężów zdobiła, lecz brak zasad religijnych i wyrobionych przekonań, brak przezornej rachuby, niedołężność polityczna, lekkość charakteru, spotyka się u wszystkich niemal, wtenczas u steru stojących ludzi. Szli, gdzie ich ramię Napoleona pchało; samym sobie zostawieni, zmysły tracili.

Wybierając się na kampanią rosyjską i licząc na zwycięstwo, Napoleon nie odrzucał myśli przywrócenia Polski z nazwiska, to jest, zamiany księstwa warszawskiego na królestwo polskie, przyłączenia doń Galicyi, którą Austrya była gotowa odstąpić za Ilyryę, może jakiego kawałka Wołynia i Litwy, może nawet wszystkiego po Dźwinę i Dniepr. Wszystko zależało od rezultatu wojny. Przewidując trudność przedsięwzięcia, Napoleon nie chciał wiązać się przed czasem wobec Polaków i wobec Rosyi, zwłaszcza wobec tej ostatniej, żeby sobie zachować swobodę zakończenia wojny i zawarcia pokoju w chwili stosownej, dla Francyi może krytycznej. Ale, przewidując właśnie trudności kampanii, potrzebował pomocy Polaków do zgniecenia Rosyi, i dlatego mówić kazał Polakom, że jeźli podniosą się jak jeden człowiek i ojczyznę odzyskają, Polska w dawnych odrodzi się granicach. Zasłyszawszy o naszych konfederacych i pospolitych ruszeniach, wskrzesił je na papierze. Zawiązanie konfederacyi nie przedstawiało samo w sobie nic trudnego: zebrało się grono mężów popularnych, gotowych podpisać manifest i rzucić światu słowa: Polska będzie, Polska już jest! Z pospolitem ruszeniem rzecz się miała inaczej. W pojęciu Napoleona, pospolite ruszenie stanowiło środek do osiągnięcia praktycznego celu, mianowicie do wystawienia dwukroć sto tysięcy ludzi pod bronią, staraniem i kosztem Polaków. Żądając od Polaków czegoś podobnego, Napoleon liczył chyba na cuda i sam pewno o skutku wątpił. Naszych zasobów w ludziach i pieniądzach nikt lepiej nie znał, jak on sam. W księstwie, Dyogenes z latarnią nie byłby znalazł tylu rekrutów; co było zdolnego do noszenia broni, Napoleon wybrał; co

w domu jeszcze zostało, rząd nie powoływał do służby, z powodu pustek w skarbie. Blokada kontynentalna nikomu uciążliwszą nie była, jak mieszkańcom księstwa i dopełniła miary nędzy powszechnej; kilkoletnie zboże leżało w śpichrzach, handel ustał, ziemia straciła wartość, pieniądz znikł, podatki nie wpływały. W 1811 skarb nie był wstanie opędzić kosztów przemiany jednego pułku kawaleryi lekkiej na ciężką, u gdy król błagał Napoleona o zasiłek, Napoleon przysłał kilka tysięcy rubli w fałszywych banknotach rosyjskich, przygotowanych na kampanię, i dalszych subsydiów uparcie odmawiał. Cała nadzieja zgromadzenia ludzi i pieniędzy, spoczywała w Litwie. Litwę tymczasem Rosyanie w ryzie trzymali; i dopóki nie ustąpili, indywidua zaledwie mogły przemykać się do księstwa. Do indywiduów też tylko, stosunkowo nielicznych, zredukować należy, opartą na podaniu Mickiewicza legendę o zapale, jakim Litwa płonąć miała na wiosnę 1812 roku. Szlachta litewska, religijniejsza od naszej, nieprzesiąknięta francuskiemi nowostkami, konserwatywna, mocno przywiązana do własnych praw i instytucyj, które Rosya szanowała, przytem politycznie więcej wyrobiona, w postępowaniu rozważna i rachunkowa, wcale nie pragnęła przejść pod zwierzchnictwo Napoleona i księstwu losu nie zazdrościła. Kodeks cywilny, uprawniający rozwody, nazywano w Litwie prawem bezbożnem; pobór rekruta, podatki, ani w setnej części nie dorównywały ciężarom, jakie ponosili mieszkańcy księstwa. Aleksander nie poddał się wszystkim rygorom blokady, tolerował w portach pawilon amerykański, Litwa przeto materyalnie mniej cierpiała od księstwa. Znaczna część szlachty litewskiej, z różnych pobudek, otwarcie trzymała z Aleksandrem, podczas gdy reszta o dobrodziejstwach Napoleona, w księstwie aż nadto widocznych, nie chciała słyszeć, wskrzesicielom nie wierzyła na słowo, żądała dowodów namacalnych i rękojmi. Pomimo zajęcia Litwy przez Francuzów, do pospolitego na Litwie ruszenia nie przyszło; przemowa Napoleona w Wilnie do deputacyi sejmowej, najgorętszych ochłodziła; zrobiono, co kazał obowiązek, entuzyazm sam Napoleon niepodobnym uczynił.

Gdyby nawet Polska była wystawiła ową armię krociową, ta armia byłaby w odwrocie z Moskwy przepadła. Czy Polacy

uczynili wszystko dla Napoleona, którego sprawę za własną uznali, co uczynić mogli, to inna kwestya. Wiele zrobić, niepodobieństwem było, w skutek wyczerpania kraju. A cudów któż miał dokazywać? Ambasador francuski, arcybiskup de Pradt, dusza konfederacyi, dowcipny gaduła, próżny jak paw, odważny jak zając, więcej psuł, niż pomagał; nie był w stanie natchnąć w innych geniuszu organizacyjnego, którego sam nie posiadał. Rada jeneralna konfederacyi była piątem kołem u wozu; bez niej nic począć nie można było, z nią ani kroku zrobić. Poczciwi ludzie, składający radę, podpisywali manifesta i listy dziękczynne za akcessa, dla rozrywki składali ody; drżeli na myśl gniewu Napoleona, wzdychali nad klęskami wielkiej armii i pocieszali się nadzieją, zamiast gromadzić rozbite wojsko i o przyszłości myśleć. W tak ważnej porze, kiedy trzeba było niepospolitej bystrości i energii, kierunek sprawy krajowej pozostał w ręku grona, które głowę do szczętu straciło. Ze strachu przed Napoleonem, rada niedopuściła do układów z Aleksandrem, ofiarującym bardzo świetne warunki; przed Rosyanami wcześnie zrejterowała, nie troszcząc się o kraj, i wreszcie, akta zgubiwszy, rozeszła się po Galicyi. Szkoda była niewielka ostatecznie, bo armia o zdanie rady nie pytała, a ks. Józef tylko Napoleona uznawał.

Słyszałem, że z postępku ks. Józefa powstać miał jakiś „kapitał moralny narodu“; być może, ale, jak sum bajońskich, ani tego kapitału, ani procentów od niego, ludzkie oko więcej nie ujrzało. Jedynym kapitałem, jaki po odwrocie Napoleona posiadaliśmy, była nasza ziemia, spuścizna po ojcach i dziadach. Zdrowy rozsądek nakazywał bronić tej ziemi od najścia nieprzyjaciela; obowiązek obrony spoczywał na wojsku, które naród wystawił i utrzymywał dla bezpieczeństwa kraju, nie na usługi Napoleona. Po tylu ofiarach z krwi i mienia, wypłaciliśmy z lichwą dług wdzięczności, zaciągnięty u Francyi i Napoleona. Wedle prawa narodów, byliśmy sprzymierzeńcami cesarstwa francuskiego, własnością Napoleona nigdy. Rosyanie wstępujący w granice księstwa, godzili na Francyę pośrednio; nas bezpośrednio dotykali i odbierali nam byt. Zamiast iść za Napoleonem, armia polska miała inny, siłą rzeczy wskazany obowiązek: bro-

nić ziemi ojczystej przed najściem nieprzyjaciela, a niemogąc obronić orężem, wejść z nieprzyjacielem w układy, żeby wyjednać dla kraju byt choć najskromniejszy, lecz po ludzku zapewniony. Ks. Józef innego był zdania. Armia polska ustąpiła bez boju i zmarniała. Ziemia polska przeszła w obce ręce, jako zdobycz wojenna. Służba dla ojczyzny na obczyznie, gdzie „spotkania plac, powietrze“, przechodziła w tradycyę narodu.

Na kongresie, Aleksander podjął się z interesu i z dobrej woli roli adwokata polskiej sprawy, i prowadził ją jak mu było najdogodniej. Różne możemy mu robić zarzuty, nawet słuszne, ale uderzywszy się w piersi, przyznać musimy, żeśmy sami dla siebie mniej niż nic zrobili. Najlepsze sprawy, Opatrzności i cudzemu staraniu powierzone, zwykle na tym świecie szwankują. W kraju, Polacy choć nic już do stracenia nie mieli, odmawiali Aleksandrowi i Czartoryskiemu najlżejszego poparcia, prostego nawet adresu. W Wiedniu, gdzie wszystkich było pełno, jedni Polacy świecili nieobecnością; oprócz starań ks. Adama, nie ma śladu polskich zabiegów. A do ostatniej chwili była jeszcze niejedna rzecz do załatwienia i naprawienia. Należało postarać się o bliższe opisanie owych „instytucyj narodowych“, o obwarowanie przyrzeczonej swobody handlowej, o lepszą dla królestwa granicę, o rewindykacyę majątku publicznego i zabezpieczenie go na przyszłość od grabieży, o tanią sól i chleb powszedni, o jakiekolwiek rękojmie tej odrobiny, jaka ocalała. Wszystko, począwszy od bytu politycznego, skończywszy na interesach materyalnych, spoczęło na łasce i niełasce rozbiorowych rządów.

Les absents ont tort, niesie francuskie przysłowie. Na nieobecnych Polaków zwalano, co komu nie dogadzało; Polska płaciła koszta zgody o sporne punkta, których było bez liku. Reorganizacya Niemiec i Włoch, wynagrodzenia terytoryalne, prawodawstwo morskie, nie mówiąc o innych kwestyach mniej ważnych, wzniecały nieustanne i niekończące się spory. Czem sprawa była mniej ważną, tem trudniej przychodziło się z nią uporać. Zwłaszcza sprawy graniczne stały się jabłkiem niezgody. Interes partykularny nie znał wstydu, chciwość jednego podniecała apetyt sąsiadów; każdy wynajdywał coraz to nowe tytuły prawne, zasłaniał się „równowagą“, która matematycznie ująć się i ozna-

czyć nie dawała. Austrya, w początkach tak umiarkowana, idąc za powszechnym przykładem, jęła się kramarzyć o Włochy; Piemont zażądał Genui, wyciągnęła przeto dłoń po Wenecyę. Zebrany w chwalebnej intencyi odbudowania Europy na prawie i sprawiedliwości, kongres przeobrażał się w arenę najpospolitszych zatargów, na której walczyły między sobą widoki polityczne i widoki prywatne, stare antypatye i świeże sympatye, zazdrość i próżność wielkich i małych. Gabinetom wielkich mocarstw uprzykrzyła się niewdzięczna robota, rozjemstwo między nienasyconym drobiazgiem, który wziął za godło: drzeć łyka co najwięcej. Główne kwestye były w zasadzie rozstrzygnięte, żeby wyjść z chaosu, trzeba było zaimponować tłumowi zgodą naczelnych państw, a naczelne państwa, to byli nasi sąsiedzi. Aleksandrowi obrzydł pobyt w Wiedniu; rozgoryczony, pobity w najdonioślejszym punkcie, nie dbał jak dbać był powinien, o formalną stronę rzeczy i o szczegóły, pozostawione ministrom rosyjskim, otwarcie naganiającym politykę cesarza w Polsce.

W trakcie tego, przyszło wylądowanie Napoleona. „W nocy z 6 na 7 marca, opowiada Metternich, odbyła się u mnie konferencya pełnomocników pięciu państw, trwająca do trzeciej z rana. Kładąc się spać, poleciłem, żeby mnie nie budzono, w razie nadejścia jakiego kuryera. Pomimo to, około godziny szóstej, kamerdyner przyniósł mi depeszę od konsula austryackiego w Genui, z napisem: pilno. Położyłem ją nieodpieczętowaną na stole i usiłowałem zasnąć. Sen nie wracał, więc, koło wpół do ósmej, otworzyłem kopertę, która zawierała co następuje: Komisarz angielski Campbell[1] wpłynął do portu, dla zasięgnięcia wieści o Napoleonie, który znikł z Elby. — Nie tracąc chwili, pobiegłem do cesarza Franciszka; ten posłał mnie do cesarza Aleksandra i króla pruskiego, aby wyjednać rozkazy wstrzymujące pochód wojsk sprzymierzonych. Od trzech miesięcy nie mówiłem z Aleksandrem. Przyjął mnie zaraz, wysłuchał i bez namysłu powziął decyzyę, zgodną z postanowieniem mego monarchy. — Mamy jeszcze, rzekł potem, osobistą sprawę do załatwienia; jesteśmy obaj chrześcijanami, nasza święta religia nakazuje nam zapomnie-

[1] Komisarze mocarstw pilnowali Napoleona na wyspie Elbie.

nie win wzajemnych: uściskajmy się i przeszłość zapomnijmy. — „O wpół do dziewiątej Fryderyk Wilhelm przystąpił do deklaracyi sprzymierzonych. O dziesiątej pełnomocnicy czterech mocarstw byli zgromadzeni w moim gabinecie; rozkazy do wojsk wysłane". — Wojna z Napoleonem przecięła zatargi kongresowe; prace kongresu ograniczyły się do redakcyi instrumentów, bardzo licznych i obszernych. Traktaty o Polskę noszą datę 3 maja, akt końcowy 9 czerwca[1]. Dość te daty porównać z chronologią dziejów studniowego panowania Napoleona, żeby sobie wyobrazić, co wtenczas głównie zajmowało umysły. (C. d. n.)

Henryk Lisicki.

---

[1] Kompletny, niewątpliwie autentyczny tekst umów zawartych w Wiedniu, znajduje się w zbiorze dokumentów, ogłaszanym w Petersburgu, z polecenia ministerstwa spraw zagranicznych, przez prof. F. Martensa, pod tytułem: *Recueil des traités et conventions conclus par la Russie avec les puissances étrangères.* Zbiór wychodzi w porządku alfabetycznym mocarstw. Dotąd ukazał się zupełny zbiór traktatów z Austryą, od najdawniejszych czasów do roku 1878, tudzież pierwszy tom traktatów z Prusami *(Allemagne)*, sięgający po rok 1764. W dalszym ciągu zapowiedziane są traktaty z Polską. Między dokumentami jest wiele dotąd wcale nieznanych, lub błędnie reprodukowanych. Po rok 1848, weszły do zbioru umowy tajemne, nadto każdy dokument poprzedzony jest obszernym wstępem historycznym. W tych objaśnieniach autor trzyma się stanowiska własnem położeniem i naturą wydawnictwa wskazanego; przebija w nich tendencya dzisiejszej polityki gabinetu rosyjskiego. Natomiast, obfitują one w wyjątki z depesz dyplomatycznych, memoryałów i innych aktów współczesnych, i z tego powodu stanowią wielkiej wagi materyał dla historyi powszechnej i dla dziejów naszych. Niedługo dojdziemy do kompletnego i autentycznego zbioru traktatów między Polską i Rosyą, tudzież umów zawieranych o Polskę, między Rosyą i innemi mocarstwy.

PRZYCZYNEK DO DZIEJÓW ODRODZENIA W POLSCE.

Andrzej Patrycy Nidecki, jego życie i dzieła. Przedstawił Kazimierz Morawski. Część I. (1522—1572). Kraków 1884".

Jakób Facciolati w przedmowie do swych *Syntagmata de gymnasio Patavino*[1] cytuje sąd Bailleta wydany o dziele Cezara Berlaeusa, przedstawiającem w ogromnych sześciu tomach historyą uniwersytetu paryskiego. Sąd nie pochlebny, gdyż Baillet twierdzi, że Berlaeus należy do rzędu tych uczonych, którzy ogromne tworzą dzieła, nie będąc wstanie napisać książki dobrej a krótkiej. W obecnem sprawozdaniu mamy szczęściem do czynienia z utworem wprost przeciwnym. Prof. Kazimierz Morawski w ostatniej swej pracy podaje nam rzecz zupełnie nową, na samych źródłowych poszukiwaniach opartą. W niewielkim tomie wielkie jest bogactwo treści, obraz późniejszego odrodzenia w Polsce bardzo pracowicie nakreślony i w doskonałe ujęte ramy.

Zanim przejdziemy do szczegółowego rozbioru dzieła, któremu słusznie nadać można miano położone na czele niniejszego sprawozdania, może nie od rzeczy będzie zastanowić się: nad cechą odrodzenia w ogóle, humanizmu w szczególności, tem bardziej, że wobec bardzo odmiennych o tej epoce sądów warto sobie o niej wyrobić zdanie. Uwagi następujące odnoszą się głównie do pierwszych odrodzenia czasów, których widownią są wyłącznie Włochy.

---

[1] Patavii 1752 ap. Joann. Manfrè.

I.

Nie miejsce tu roztrząsać, na czem polega tajemnicza siła italskiej ziemi, a w szczególności Rzymu, ale to pewna, że się koło niej, jak w około osi obracają dzieje historyi i cywilizacyi. Jak w starożytności tam się powoli skoncentrowała historya pogańskich ludów, tak w świecie chrześcijańskim całe wieki średnie w najściślejszym z Rzymem pozostają związku, a wielki przełom który u schyłku wieku XIV. ludzkość z wieków średnich na koleje nowożytnej poprowadził historyi, tamże swój początek bierze. Zawiązek zaś wszelkiego ducha religijnego, czy politycznego, umysłowego czy artystycznego, można idąc po nitce do kłębka, prawie niezmiennie w wiecznem odnaleźć mieście.

Kiedy w końcu szóstego wieku Europa tuż po powodzi wędrówki narodów i tylu a tylu wojen i wszelkiego rodzaju przewrotów w chaotycznym znajdowała się stanie, Grzegorz W. sam jeden na straży zachodniej stanął cywilizacyi, a podjąwszy walkę z exarchatem raweńskim i zmierzywszy okiem wielkiego męża stanu sprawę i wroga, tak, że po trzynastu wiekach walka ta między Rzymem a Wschodem w indentyczny niemal sposób się toczy. Blisko trzy wieki później, Jan VIII. nadzwyczajn dzielnością i męstwem zadaje Saracenom klęskę i tak stanowczo ich pochód na Włochy i resztę Europy wstrzymuje, że dopiero na samym schyłku wieków średnich do Europy, ale zupełnie inną się dostają drogą, krusząc zaporę, jaką im zniewieściałe, do gruntu zniszczone państwo bizantyńskie przeciwstawić mogło. Grzegorz VII. i Innocenty III. rzucają podwaliny do całej średniowiecznej budowy państwa i Kościoła, która dopiero nowym z tejże ziemi wyrosłym i przez długie lata się przygotowującym prądom w XV. wieku ustępuje. Albowiem i humanizm i w trop trop za nim idąca reformacya nie byłyby się odrazu rozkrzewiły i swoje doniosłe na Kościół i społeczeństwa wywarły skutki, żeby nie były zastały gruntu przez Arnolda z Brescii a później Marsyliusza Padewskiego i innych reformacyi poprzedników przygotowanego. Tylko, że za czasów Marsyliusza Fiegna i Wawrzyńca Walli nie stało już potężnej św. Bernarda dłoni, która owego pierwszego, najgroźniejszego z herezyarchów średniowie-

cznych skruszyła. Ziarno było rzucone i reformacya w pierwszych swoich zapędach korzystała z robót przygotowawczych humanistów włoskich. Wiadomo bowiem, że pismo Walli, zbijające podanie o darowiźnie Konstantego, i które dało hasło do polemicznej przeciw Kościołowi literatury, we Włoszech było zaginęło i poszło w zapomnienie, z którego dopiero Hutten je wydobył i drukiem ogłosił.

Musiał się więc ten wielki ruch umysłowy początku piętnastego wieku, który rozpocząwszy się na niwie naukowej bardzo szybko na sprawy religijne i polityczne się rozciągnął, a który zowiemy odrodzeniem, również na włoskiej wytworzyć ziemi, boć była ona jego naturalną kolebką i chodziło tylko o nawiązanie dawnych starożytności. Szczątki autorów klasycznych mogły być i były rzeczywiście po całym świecie rozproszone, ale zapał niezmierny z którym odgrzebano z gruzów pogańską cywilizacyą tylko we Włoszech był możliwym. Smutnym jednakże jest fakt, że co głównie dzięki Kościołowi, połączonym z nim szkołom i cichej pracy mnichów zachowanem zostało, miało być użyte jako broń przeciw Kościołowi i wszelkim instytucyom chrześcijańskim. Nie twierdzimy tu bynajmniej, by reformacya i cała ówczesna fermentacya, która wstrząsnęła wiekami średnimi, tem mniej by straszny ówczesny stan obyczajów we Włoszech był wyłącznie humanistów dziełem; na to wiele innych czynników się składało, bo tak wielki przewrot, działaniem i wpływem ludzi jednej klasy, choćby najznakomitszych, dokonanym być nie mógł. Humaniści byli raczej odzwierciedleniem swej epoki, ale że się do rozkrzewienia ówczesnych wyobrażeń tak złych jak dobrych znakomicie przyczynili, to rzecz prosta, tem bardziej u ludzi tak nadzwyczajnie zdolnych, pracowitych i ruchliwych. Dziwnym zbiegiem okoliczności nowe prądy, które wówczas nietylko we Włoszech, ale na całym Zachodzie krążyć poczynały, zeszły się na ten sam czas z wydobyciem na jaw skarbów starożytności i zajęciem Konstantynopola przez Turków; to bogactwo faktów, jak niemniej gorączka i żywotność owych czasów, wytworzyły ten szereg ludzi tak dziwnych, różnorodnych, a mimo licznych swych usterków, bądź co bądź sympatycznych, którzy przez sto z górą lat trzęśli Europą i na ukształtowanie społeczeń-

stwa europejskiego niepomiernie wpłynęli. Opromienionych blaskiem odrodzenia uważano ich za prawdziwych dobroczyńców ludzkości, a chociaż zdania tego nie dzielimy, chociaż łatwo przypuścić można, że i bez nich literatura starożytna byłaby prędzej czy później wyszła na jaw, mimo to wdzięczność im się należy za wielki zapał z jakim się do dzieła wzięli. Zapał ich zaś był prawdziwym i szczerym: to stanowi najpiękniejszą humanizmu stronę, tylko z jego pomocą można było tak wielkiemu w krótkim stosunkowo czasie podołać dziełu. Że to była epoka świetna, w której życie potężnym buchało płomieniem, a krew szybko w żyłach krążyła, tego zaprzeczyć niepodobna, i że w naszym utylitarnym wieku możemy pozazdrościć tych czasów, kiedy odkrycie mowy Cycerona lub kilku nieznanych Plauta komedyj całem cywilizowanem wstrząsało społeczeństwem, to więcej jak pewne; skąd się zaś wzięły ciemne i niebezpieczne humanizmu strony, i jakie okoliczności na wytworzenie zgubnego kierunku, jaki na społeczeństwo humaniści wywarli, wpłynęły, nad tem się w kilku słowach zastanówmy.

II.

Dlaczego ludzkość potrzebuje ciągłej odmiany i bezwiednie dąży do czegoś, jeżeli nie lepszego, to w każdym razie różnego, tego wytłómaczyć trudno, ale to pewne, że prócz zakamieniałych społeczeństw Wschodu, u narodów mniej więcej wolnych, żadne urządzenia społeczno-państwowe bardzo długo utrzymać się nie zdołały, ale prędzej czy później ulegając powolnym przeobrażeniom upadały, ustępując miejsca nowym, częstokroć odmiennym zupełnie zasadom. W takich epokach przejścia, ludzkość ulega pewnemu rodzajowi gorączki, zanim się nowa kolej rzeczy ustali. Mają także czasy swoje złe i dobre strony, ale zarazem pewne wybitne cechy, po których je łatwo rozpoznać można. Nastanie takiego nowego porządku rzeczy bywa niemal regularnie poprzedzanem rozluźnieniem obyczajów i ostudzeniem wiary, ludzie zaś udział czynny w nim biorący odznaczają się wielkiem życiem, energią i siłą uczucia, a nęcąc ogół nowością zasad przez siebie głoszonych, pociągają zarazem dopiero co wspomnianymi przymiotami.

Właśnie taka epoka nastała dla Europy, dla Włoch mianowicie, za czasów poprzedzających odrodzenie. Zapał do wojen krzyżowych już dawno był ostygł, średniowieczna budowa państwa na feudalizmie oparta na wszystkie strony poczęła się rysować, ścisła metoda scholastyczna umysłom już nie wystarczała, surowe obyczaje średniowieczne ustępowały rozwiązłości, a w trop za tem tradycyjne uszanowanie dla zwierzchności i władzy w ludzkości słabły. Szukali ludzie czegoś nowego, miotały nimi jakieś nieokreślone aspiracye, dotychczasowy stan rzeczy wydawał im się jakby pęta nie do zniesienia, jak ciemnica, z której jakimbądź kosztem na światło wydobyć się należy, wolne obyczaje starały się zaprzeczać wszystkiemu, co je dotychczas w karbach trzymało. Na taką to chwilę wypada odkrycie i wydobycie z zapomnienia świata starożytnego. Wszystkiem ten zaczarowany świat nęcił, cudownością formy, pogodą, spokojem, swobodą zupełną, żadnego jarzma skłonnościom natury nie nakładającą.

Otóż i mamy czego nam potrzeba (i niewyraźne aspiracye ustalają się od razu); porzucić jako niepotrzebny balast dotychczasowy porządek rzeczy, wrócić do świata pogańskiego, z którym nas łączą tradycye naszej ziemi rodzinnej. Tak musiano mniej więcej we Włoszech rozumować i zwrócono się gwałtownie i nagle ku starożytnej cywilizacyi. To wszystko nam tłómaczy niesłychany szał, jaki na południu zawładnął społeczeństwem dla wszystkiego, co ze starożytnością miało związek; albowiem cokolwiekbądź w innych krajach Europy się działo, chociaż i gdzieindziej reformatorskie tendencye się odzywały, główny ruch i impuls wyłącznie z Włoch pochodził. Było to zaś coś tak wyjątkowego, tak nagle wybuchło, chociaż niektórych autorów klasycznych już dawniej nieco odkryto, gdyż Leonard Bruni Petrarki sięga czasów, a Poggio zaraz po nim następuje, że tego szału samą chciwością nauki wytłómaczyć sobie nie można. W naukowej działalności humanistów nęciła przedewszystkiem forma, ale w znaczeniu praktycznem dążyli jedni bezwiednie, inni z zupełną świadomością do przywrócenia pogaństwa, pod względem społecznym i obyczajowym. I rzeczywiście uderzać musi, że prawie wszyscy pierwszego okresu humaniści, i to najwięksi, byli ludźmi najgorszych obyczajów, a zarazem zaciętymi papiestwa i klaszto-

rów wrogami, co im zresztą nie przeszkadzało na służbie Papieży pozostawać.

Były to czasy zepsucia obyczajów tak powszechnego, że dosięgało, zaprzeczyć temu niepodobna, i Kościoła i głównych instytucyj kościelnych, a zarazem czasy największej przewrotności politycznej, dla której Włochy średniowieczne prawdziwą były szkołą. W jednym i drugim względzie ludzie ówcześni rozejrzawszy się po dziedzinie klasycznej literatury, mogli znaleźć naśladowania godne wzory. A czego człowiek szuka, to zawsze znajdzie. Dodać jeszcze należy, że pierwsi humaniści mało po grecku umiejąc, głównie rzymskimi się zajmowali pomnikami. Wprawdzie w miarę jak po zdobyciu Konstantynopola i greckie rękopisy i bizantyńscy uczeni z Bessarionem, Teodorem Gazą, Argyropulem na czele do Rzymu napływać poczęli, humaniści włoscy zadziwiająco szybko po grecku się wyuczyli, ale naukowo literaturą grecką mało się zajmowali, a niektórzy fanatycy jak np. Pomponius Laetus, wcale się po grecku uczyć nie chcieli z obawy, by sobie nie popsuć zacięcia Cyceroniańskiego! Zresztą nie były to umysły zdolne do zgłębienia monumentalnych dzieł Platona lub Arystotelesa, tem mniej do nastrojenia się według dyapazonu tragików greckich, a w ich działaniu naukowem i społecznem wpływu literatury greckiej zupełnie dopatrzeć się nie można. Zanadto byli ruchliwi i gorączkowi, zanadto bieżącej oddani chwili, a bujność życia i rozkosz używania, przy obyczajach więcej jak lekkich ówczesnego społeczeństwa, nadawała im wybitną zmysłowości cechę, której choćby przy największem dla nich uwielbieniu niemożna nie potępić. Rzymska zaś literatura, zwłaszcza po-Augustowska podawała im wzory bezgranicznego rozpasania, których też naśladować nie omieszkali. Trudno dziś pojąć jak ludzie niezmordowanej pracy, całą duszą naukowym badaniom oddani, mogli zarazem w takiem tarzać się błocie. Można to chyba tem tylko wytłómaczyć, że byli to ludzie, o których krewkości, jak mówi Szujski w „Odrodzeniu i reformacyi“, nie mamy dzisiaj wyobrażenia. Zadziwiać bowiem słusznie może, jak humaniści w niektórych swych pismach odrazu najwyuzdańsze starożytności elukubracye przesadzili. Takie rzeczy jak *facetiae* Poggia, albo *Hermaphroditus* Panormity, pisma Lucyana lub *libri amorum*

Celtesa, wobec których i Dekameron Boccaccia blednieje, oburzają, zadziwiają nawet wyuzdaniem bez granic. Takich wzorów starożytność nam nie przekazała. Rzeczywiście świat pogański był o wiele gorszy, ale miara jego zepsucia nie znajduje się właściwie w Lucyanie lub lirykach greckich, ani w Apuleju, Petroniuszu lub Juwenalu, ale w spokoju z jakim Platon, Horacy, Seneca lub Cycero, pierwsze umysły starożytności, przyznają się do zbrodni, które dzisiaj w ostatnich moralnej zglinizny zaułkach się ukrywają.

Starożytność za wiele miała ducha estetycznego, by nadużywać pisma do takich celów i w rozmazywaniu szkarady moralnej się lubować. W czasie Odrodzenia jednakże wszystko uchodziło, byle w ładną i zręczną ubrane łacinę. Napróżno Franciszkanie pisma Panormity na stosie palili, kiedy go cesarz Zygmunt publicznie w Sienie jako poetę wieńczył, a król Alfons neapolitański jako główną swego dworu ozdobę do siebie powoływał. Na takiej jednakże pochyłości trudno się utrzymać i wreszcie skończyło się na tem, że później cała Italia legła u stóp Aretyna, który „jako zjadliwa ropucha, jak mówi Grimm, w niedostępnych siedząc bagnach weneckich, stamtąd na wszystkie strony swe zatrute rozpuszczał strzały“ [1]. Byli to ludzie namiętni w pracy, namiętni w używaniu, a mimo tych wybryków wielce pociągający, bo do czego się brali robili całą duszą, a ta ruchliwość i żywotność objawiała się między innemi w walkach na pióra, jakie pomiędzy sobą toczyli. Polemika ta stanowi niemniej ciekawą humanizmu stronę. Tak zwane *invectivae*, jakie na siebie miotali Poggio, Walli, Filelfo, Perrotti, Guarini i *tutti quanti*, przechodzą pod względem potwarzy, wyszydzania, niepohamowanej żądzy szkodzenia sobie wzajemnie, wszystko, co sobie wyobrazić można, i żeby temu wierzyć co na siebie pisali, musielibyśmy, jak słusznie powiada Reumont, uważać wszystkich humanistów za prawdziwe moralne potwory. Nie można jednak tych ludzi sądzić w oderwaniu od ich czasów i otoczenia. Na niwie polityki i sztuki działo się zupełnie tak samo; dziś zaś, kiedy to wszystko przebrzmiało, pozostały się bądź co bądź niespożyte ich zasługi

[1] Grimm: Michel Angelo III. 183.

na polu nauki i cywilizacyi, bez nich bowiem, cała nowoczesna filologia wcaleby nie istniała.

W skutek ciągłego ze starożytnością, mianowicie rzymską obcowania, doszli humaniści do zadziwiającej w języku łacińskim biegłości. Zjednało im to niezmierną przewagę i wziętość i do podejmowania najrozmaitszych czynności zdolnymi czyniło. W owej epoce jeszcze żaden z języków nowożytnych nie był się dostatecznie wykształcił, i po za obręb swego kraju wcale nie wychodził, a co tylko nie należało do codziennego użytku, bez wyjątku w łacińskim się odbywało języku. Nie mówiąc już o Kościele i nauce, które innego języka wcale nie znały, to cokolwiek się stykało z urzędem lub sprawą publiczną, bez języka łacińskiego obejść się nie mogło. Stąd ludzie biegle nim władający bardzo byli poszukiwani i do najrozmaitszych używani czynności, a tym sposobem szybko bardzo do znaczenia dochodzili. Widzimy ich też na najrozmaitszych i to bardzo wysokich stanowiskach. Przy wielkich zdolnościach, ruchliwości i gorączkowej czynności rozwijała się w nich owa uniwersalność, którą już księgarz florencki *Vespasiano da Bisticcio,* bardzo ważna z czasów odrodzenia osobistość, jako cechę humanizmu uważa. Prof. Morawski, cytując (str. 107) sąd Ruggierego nuncyusza o Polakach i ówczesnej polskiej cywilizacyi, słusznie Polakom zarzuca to zbytnie rozstrzeliwanie swej czynności; zapominać jednakże nie należy, że było to cechą humanizmu w ogóle, tylko że usposobienie takie, trafiwszy u Polaków na bardzo bujną rolę, musiało się jeszcze spotęgować i do tak często i słusznie zarzucanej nam powierzchowności doprowadzić. Ma się to tak samo i z chciwością, którą autor Nideckiemu zbytnio zdaniem naszem wyrzuca, chociaż uważa ją jako cechę humanizmu w ogólności. Że Nidecki ubogi z urodzenia a zawdzięczający wszystko wyłącznie niezmordowanej swej pracy, o sobie nie zapominał, dziwić nas nie powinno; ujemna zaś ta strona, łagodzona jest bardzo prawdziwie rodzinnym i obywatelskim duchem, z jakim pamięta o wszystkich swoich krewniakach, miejscu urodzenia i zakładach dobroczynnych; ale cóż to w porównaniu ze znaną chciwością humanistów włoskich. Przypatrzmy się tylko jak Poggio frymarczy rękopisami, jak Filelfo się targuje o cenę przepisywania, a dodawszy do tego, że ci sami ludzie,

którzy co chwila papiestwo, duchowieństwo i klasztory zaczepiali, najbezecniejszemi pismami plugawili naukę i truciznę w społeczeństwie rozsiewali, u tych samych Papieży w bezczelny sposób o utrzymanie żebrali, to się przekonamy, że chciwość humanistów polskich, której zresztą nie zaprzeczamy, o wiele była skromniejszą. Wszakże ten sam Walla, który swego nadzwyczajnego talentu w tem podkopywaniu papiestwa, a w każdym razie doczesnej jego władzy nadużywał, później dla miłego grosza błagał o przebaczenie i do łaski papieskiej nadaremnie kołatał, aż go wreszcie Mikołaj V. przez słabość dla filologa w kancelaryi swojej umieścił [1].

Jużto jeżelibyśmy chcieli porównać humanistów włoskich z polskimi, to przyznając pierwszym wyższość nauki, a zwłaszcza inicyatywy w dziele odrodzenia, w czem zresztą nad humanistami całej Europy górują, to w naszych ludziach odrodzenia nie możemy nie uznać dużo więcej szlachetności a nawet czystego ducha naukowego, bo z mniejszą przymieszką religijnej i politycznej treści, i na tem kończymy te przedwstępne uwagi.

III.

Humanizm bardzo już wcześnie bo za czasów Zbigniewa Oleśnickiego do Polski się przedostawał, a z przybyciem Kallimacha, później Bony i coraz to częstszem przebywaniem Polaków na uniwersytetach zagranicznych, włoskich mianowicie, w wyższem naszem społeczeństwie zapuszczał korzenie. Znalazłszy tu bardzo bujną rolę, odrazu silnie zakwitnął i w kilku bardzo świetnych okazach sławę imienia polskiego rozszerzył, dając jeden dowód więcej wrodzonej zdolności i bystrego dowcipu naszego narodu; szkoły jednak nie wytworzył, i ostatecznie pozostał tylko odbiciem ruchu zachodniej i południowej Europy. W całej naszej historyi działanie zbiorowe, konsekwentne, tradycyjne należy niestety do bardzo nielicznych wyjątków, za to znów usiłowania indywidualne,

[1] *Gregorovius:* Geschichte der Stadt Rom. VII. 548 sq. i w ogóle cały 6-ty rozdział księgi 13-ej gdzie pominąwszy racyonalistyczne i nienawistne dla papiestwa i katolicyzmu poglądy autora, znajduje się mistrzowski naprawdę obraz odrodzenia.

wielka ofiarność i patryotyzm ludzi, których bądź ród, bądź powołanie na czele społeczeństwa stawiało, w historyi żadnego narodu tak świetnie się nie przedstawiają jak u nas. Co dla należności i bytu narodu jest ważniejszem, nie trudno rozpoznać, ale ten brak ciągłości i zmysłu organizacyjnego pociąga za sobą, że w żadnej dziedzinie ani w polityce, ani w nauce lub w sztuce nie potrafiliśmy utworzyć szkoły, w najszerszem tego słowa znaczeniu, z wyjątkiem może jednej sztuki wojskowej. Brak szkoły zaś pociąga za sobą brak inicyatywy; ostatnia bowiem nie wyskakuje jak Pallas z Jowisza głowy, ale jest wynikiem sumy danych warunków i pewnej ciągłości działania, które jakaś wybitniejsza osobistość w jednę całość skupiając, jako nową ideę w świat puszcza. Dlatego też, musimy to ze smutkiem wyznać, ani w dobrym ani w złym kierunku nie stanowiliśmy czynnych żywiołów, ale pozostając najczęściej w stanie biernym ulegaliśmy ideom, prądom samorodnie wytworzonym, ale skądinąd do nas przybywającym.

Owa przewaga działania indywidualnego nad żywiołem zbiorowym przebija przez całą książkę prof. Morawskiego, chociaż autor myśli tej nigdzie wyraźnie nie wypowiada. Do rozwoju bowiem u nas humanizmu i nadania mu takiej świetności, że stanął zupełnie na wysokościach nauki europejskiej i jako równy z równym z potencyami czy zachodniej czy południowej oświaty przestawał, dużo mniej się przyczynił uniwersytet, niż potężni mecenasi jakich nauka w wyższem społeczeństwie, mianowicie zaś w biskupach, szczególniej krakowskich znalazła. Na stolicy krakowskiej zasiadł wtedy szereg takich biskupów, jakich pod względem opieki nauce udzielanej chyba żaden kraj wykazać nie może. Począwszy od Tomickiego do Piotra Myszkowskiego, z wyjątkiem jednego Gamrata, jeden po drugim zasiadają mężowie nadzwyczajnej sławy naukowej. Sami wysoko wykształceni i w humanizmie rozmiłowani, gromadzą koło siebie co tylko wybitniejsze zdolności w kraju się ukazują. Z nadzwyczajną hojnością nietylko młodzież koło siebie gromadzą, ale co rok pewną liczbę swoim kosztem za granicę tak dla dopełnienia nauk, jak dla utrzymania czucia z ruchem umysłowym Zachodu i Południa, wyprawiają. Opiekę zaś swą nietylko na uboższą młodzież, ale za-

równo i na synów najwyższych rozciągają rodów. W skutek tego tworzy się ten dziwnie piękny i zastanowienia godny polor umysłowy i naukowy w najwyższem naszem społeczeństwie, którego w żadnym innym nie znajdujemy narodzie, a którego tradycya aż do ostatnich przechowała się czasów. W możnych rodach za granicą spotykamy wojowników, polityków, mężów stanu, ale uczonych, prawdziwych nauki i sztuki mecenasów, oprócz we Włoszech, nie widzimy wiele, a ta piękna strona pozostała przywilejem szlachty polskiej.

Ten obraz episkopatu polskiego, roztaczającego światło koło siebie, bardzo pięknie i udatnie Morawski nam przedstawia, ukazując zarazem ciągły i nieprzerwany stosunek w jakim owi mężowie z najpierwszemi powagami zagranicznej oświaty i nauki pozostawają; siła tu poszukiwań z najrozmaitszych źródeł czerpanych, które dają wcale pochlebne świadectwo o ówczesnych usiłowaniach Polski na polu naukowem, i wielka to zasługa wydobyć to wszystko z zapomnienia. W tej sferze i w tem otoczeniu stawia Nidecki pierwsze kroki na polu naukowej sławy, dostając się po pierwszych studyach i młodości w twardej zapewne szkole niedostatku spędzonej na dwór kujawskiego biskupa. Swą wielką pracowitością, zdolnością i biegłością w języku łacińskim, jak się zdaje bardzo już wcześnie nabytą, staje się bardzo prędko ulubionym i prawie niezbędnym potężnego swego protektora sługą i towarzyszem, nie odstępując go w jego ruchliwym i okazałym, ale częstokroć zbyt materyalnym żywocie. Obraz całej działalności Zebrzydowskiego, jego chwiejność, chwilowe porywy gorliwości o wiarę przy grzesznej pobłażliwości na wybryki duchowieństwa, ustępstwa w rzeczach wiary i moralności, jego stosunek z Erazmem „arcymistrzem“ w szkole zmienności, znakomicie przedstawiony. Zebrzydowski wyniesiony po wielu zabiegach na stolicę krakowską, przenosi się do Krakowa, a za nim dąży wierny jego ammanuensis, Andrzej Patrycy[1]. Tutaj Nidecki już więcej znany, zawiązuje stosunki z ważnemi bardzo osobistościami, jakoto: z Górnickim, Benedyktem z Koźmina, mianowicie Piotrem

[1] Do rozdziału „pierwsze lata w Krakowie“ bardzo ładny wstęp, dający obraz ówczesnego życia w stolicy kraju (str. 48 sq.).

Myszkowskim, a niemniej z ludźmi podejrzanej bardzo wiary lub wprost odszczepieńcami jak Lismanin[1], Orzechowski, na dworze bowiem biskupim, ludzie wszelakich opinij wolny miewali przystęp, co nas dziwić nie powinno u człowieka, którego całe życie na ciągłem paktowaniu z najważniejszymi obowiązkami pasterza schodziło, i któren w końcu „opuścił Kraków, zbrzydziwszy sobie burze i zamieszki reformacyjne“ (str. 85).

Mimo ciągłych zajęć, na których mu pewno w owych czasach tak pod względem politycznym jak religijnym burzliwych, nie zbywało, Nideckiego natura ciągnie do lasu, alias na zagraniczne uniwersyteta, i wkrótce wyjeżdża do Padwy.

Z uniwersytetów włoskich Padwa oddawna największy pociąg dla Polaków miała. Więcej humanistyczna niż surowa, głównie prawnicza szkoła Bonońska, dla Polaków, nigdy nie skorych do zgłębiania specyalnych gałęzi, ale za ogólnym polorem i wykształceniem goniących, musiała mieć urok niepospolity; do tego bliskość Wenecyi, z którą Polska często miewała stosunki, nieco bliższa droga, boć i to w owych czasach miało swoje znaczenie, wszystko razem było powodem, że „pociąg i napływ Polaków do Padwy wielkim był i znacznym w owych czasach“ (str. 57). Jak dawno jednak to już miało miejsce, dowodem, że Facciolati w dziele *Fasti Gymnasii Patavini*, już pod rokiem 1270 cytuje jako rektora niejakiego *Nicolaus Polonus, archidiaconus Cracoviensis*, o którego osobie niestety żadnych bliższych szczegółów nie posiadamy. Dla Nideckiego pierwszy ten pobyt w Padwie płodnym był w następstwa, tutaj bowiem nastąpiło pierwsze z Kochanowskim spotkanie i zawiązanie stosunków z humanistami włoskimi, jakoto z Robortellem i Pawłem Manucym, synem słynnego wydawcy, również bardzo czynnym księgarzem i drukarzem. Niemniej korzystał z tego pobytu do wydoskonalenia się w języku łacińskim, co mu po powrocie do kraju zaraz posłużyło, gdyż wpadłszy na największe reformacyjne zamieszki, musiał niejedno dla pryncypała swego redagować, na co nam autor biografii w odnośnym rozdziale kilkakrotne przytacza dowody.

[1] Stosunek z Lismaninem sięgał czasów najpierwszej młodości, str. 28 sq.

Ten pierwszy jednakże pobyt filologowi naszemu nie wystarczył; z większym zasobem wiedzy, mając już grunt przez poprzednio zawarte stosunki przygotowany, jedzie po raz wtóry na południe, jako do znajomej już humanizmu siedziby i łatwo sobie wystawić z jaką rozkoszą na to żniwo naukowe musiał się wybierać. Nie zawiodły go oczekiwania, bo w ciągu tego powtórnego pobytu dopełnia swe studya, gromadzi zadziwiający zasób wiadomości i wchodzi w ścisłe, niemal przyjazne stosunki, z najznakomitszemi akademii Padewskiej siłami, a mianowicie Karolem Sigoniuszem „najświetniejszym filologiem włoskim owej epoki". Nazwisko Sigoniusza dla każdego Polaka wielce jest pociągającem, gdyż łączy się z nim pamięć najlepszego uczonego i męża stanu najznakomitszego jakich Polska wydała, Nideckiego i Zamoyskiego. Obu z ową gwiazdą humanizmu łączyły bardzo blizkie stosunki, co zapewne później do zbliżenia się tych dwóch mężów przyczyniło; wspomnienia uniwersyteckie, chociaż nie równoczesne, ale do tego samego odnoszące się mistrza, stały się spójnią, „która rozwinęła się później w dozgonny stosunek przyjacielski".

Jeżeli się myśli, że Nidecki za drugim razem półtora zaledwie roku w Padwie przesiedział, że w ciągu tego czasu zebrał materyały do głównego swego dzieła naukowego, że będąc jeszcze młodym taką zyskał powagę i poszanowanie dla swej wiedzy, iż go pierwsi uczeni jako równego traktują, to podziwiać musimy nietylko jego „mrówczą pracę", ale i moc woli, oraz świadomość celu, która miasto rozstrzeliwać się na rozmaite strony, wszystkie siły na jedno zadanie wytęża. A pokusa była wielka, bo i koledzy polscy, aczkolwiek wcale nie mierni (Fogelweder, Dudicz, Podoski i t. d.) wcale innym świecili mu przykładem, a nauki wówczas bynajmniej jeszcze nie były doszły do tak wyraźnego jak w czasach naszych rozdziału. Dowodem tego i ścisły stosunek jego z Gabryelem Falloppio [1], słynnym anatomii profesorem, o czem Morawski (str. 71) wspomina. Nie uległ jednakże tym pokusom Nidecki, a poświęciwszy się raz Cyceroryańskim studyom, całą pracę i zasób naukowy do jednego wielkiego skiero-

[1] Gabryel Falloppius umarł bardzo młodo w 40-ym roku życia, a mowę na jego pogrzebie miał Jan Zamoyski.

wał dzieła, do wydania fragmentów Cycerona. Tylko tym sposobem coś ważnego, mającego przez wieki stałą zachować wartość, stworzyć można; taką zaś była praca jego, która według zdania Morawskiego, pozostała „najznakomitszem dziełem filologicznem, jakie z Polski i z pod pióra Polaka wyszło". Gotował się do niego długo, a musiał się doń zabrać zaraz po powrocie do kraju i nieprzerwanie nad niem pracować. Bardzo zaś jest ciekawem jak jego przyjaciele, tak krajowi jak zagraniczni, jego się pracą zajmują i udział w niej biorą, przesyłając mu swe uwagi, spostrzeżenia, lub nieznane dotąd materyały. Cały ten rozdział płynący w pełnym humanizmie i przedstawiający jego rozkwit, tak w kraju jak na wszechnicy, jest obok rozbioru wydania fragmentów najlepszym z całej książki. Widzimy tu cały zastęp znakomitych naprawdę filologów i uczonych, jak Herbest i Górski, mecenasów jak Padniewski, Myszkowski, Tarnowski hetman, wreszcie dla dopełnienia humanistycznego obrazu nie brakuje i gwałtownej szermierki literackiej, do której się wmięszał pod obcem nazwiskiem i Orzechowski. Była to piękna dla polskiej nauki chwila i słusznie podziwiać można nietylko bujność ówczesnego ruchu naukowego, literackiego i drukarskiego [1], ale również osobliwszą biegłość, do jakiej humaniści polscy w języku łacińskim dochodzili. Słusznie też podnosi Morawski sławę, jaką kancelarya królewska w skutek wybornej redakcyi zagranicą zyskiwała. Pod względem jednak łaciny Nideckiemu i Orzechowskiemu bezsprzecznie pierwsze się należy miejsce. Łatwość nieporównana, dowcip, giętkość tej mowy, która pod ich piórem do nowego zupełnie wracała życia i najdrobniejsze odcienia myśli z całą oddawała swobodą, serce humanisty prawdziwą radością napawać może. Pisali dobrze Kochanowski i Zamoyski, a u tych dwóch

[1] Mnóstwo rzeczy wtedy drukowano w Krakowie, Warszawie, Wilnie, Lwowie, Lublinie, Poznaniu, Wrocławiu, Gdańsku, Rakowie i t. d. nie mówiąc o książkach polskich autorów wychodzących licznie za granicą, w Hiszpanii, Prusach, Austryi, Hollandyi. Drobny to szczegół, że n. p. Herburta z Fulsztyna istnieją dwa wydania zupełnie odmienne z tegoż samego roku (1536).

Co do biblij, które bądź w Polsce bądź nakładem polskim za granicą wychodziły, tych liczba jest zadziwiająca.

mężów, inne cele mających na widoku, zadziwiać może szczególniejsza bystrość filologiczna i zapał dla nauki klasycznej; pisali biegle Hozyusz i Kromer, wreszcie ludzie specyalni jak Herbest, i Górski, ale listy, pisma naukowe i polemiczne Orzechowskiego i Dr. Patrycego jaśnieją całą świetnością najwyższego humanizmu europejskiego, i możnaby je tylko porównać z mowami Mureta lub czwartą inwektywą Walli. Dodajmy do tego, że im nie przychodziło na myśl porównywać się z Wirgilim, Liwiuszem i Cyceronem i całą plejadą autorów greckich, jak to czynili włoscy humaniści, a głównie Filelfo w sławnych swych dystychach, w których nie wiadomo czemu więcej się dziwić, czy gładkości wiersza, czy bezdennej niemal próżności i zarozumiałości piszącego, a będziemy mieli obraz prawdziwych polskich uczonych, u których (co głównie do Nideckiego odnosimy) tylko nieudana skromność z prawdziwą zasługą i nauką w zawody iść może.

Że Nidecki jako główny temat i zadanie pracy naukowej obrał Cycerona, jest rzeczą bardzo naturalną, a że sobie jako założenie wybrał całkowite wydanie fragmentów, to tylko dowodzi jego odwagi i szerokiej podstawy naukowej, która mu pozwoliła jednym zamachem się porwać na najtrudniejsze zadanie filologiczne; zadanie do tego niewdzięczne, gdyż niemogąc rachować na poklask ogólny i szeroki rozgłos, musi się zadowolnić uznaniem ciasnego kółka specyalistów. Że to uczynił w sposób nader gruntowny i stworzył rzecz samoistną, z którą się późniejsze uczonych pokolenia koniecznie rachować muszą, za to prawdziwa mu się należy wdzięczność. Cyceron dla humanistów był po prostu bożyszczem; inaczej też być nie mogło. Humanistom początkowo głównie chodziło o formę, później o poprawność tekstu, co zaś do treści klasyków, do korzystania z niej pod względem politycznym, społecznym i wojskowym, to nastąpiło dopiero o wiele, wiele później. Otóż pod względem formy Cyceron i Wirgiliusz, mianowicie pierwszy musiał zupełnie wyłączne i osobne zajmować miejsce. Gdzie chodziło o symetryczną ściśle odważoną budowę zdania, potoczystość i zaokrąglenie peryodu, o najwyższą poprawę i wykończoność stylu, kiedy głównym wielu uczonych zabiegiem było jak największe wydoskonalenie się w mowie łacińskiej,

to Cyceron pozostawał oczywiście jedynym i niedościgłym wzorem. Na znaną jego próżność, na wysuwanie uporczywe swej osoby na pierwszy plan, na bardzo nieznaczny wpływ polityczny, jaki rzeczywiście wywierał, żadnej wtedy nie zwracano uwagi. Dzieła Cycerona, pod względem religijno-obyczajowym bardzo ciekawe, co do wymowy i stylu nazawsze paragonem pozostaną; wszystkie następujące pokolenia na nim się pisać i mówić uczyły, a po dziś dzień każdy tęgi stylista, polski mianowicie, bez jego praktyki obyć się prawie nie może. Ale że jego filozofia z rozmaitych zeszyta skrawków, żadnego nie wywarła wpływu, że pod względem siły, jędrności, i treści z Sallustyuszem, Tacytem, Cezarem lub Liwiuszem, nie mówiąc o dużo potężniejszych klasykach greckich, wcale w porównanie iść nie może, o tem humaniści, tak nasi jak zagraniczni, zacietrzewieni w „boskiej“ jego formie, żadnego nie mieli wyobrażenia[1]. Ale że Nidecki w swoim czasie nie znalazł godniejszego celu długoletniej, bardzo niepospolitej pracy i zabiegliwości naukowej, to nas dziwić nie może. Wszyscy humaniści robili to samo, wszyscy pisali mowy i listy na wzór Cyceroniańskich, a naśladowania te taką miewały wziętość, że stanowiły osobny przedmiot wykładów[2]. Nideckiemu zaś winniśmy owszem zupełne uznanie, że miasto puszczać się na pomysły własnej rzeczy, które jak tyle innych elukubracyi humanistycznych, byłyby dzisiaj pokryte pyłem zapomnienia, pozostawił dzieło pomnikowe sumiennego i gorliwego filologa.

Naukowej wartości wydania fragmentów Cycerona rozbierać tu nie możemy, nie mając nawet wydania tego pod ręką; uczynił to autor biografii dostatecznie, wolimy więc *jurare in verba magistri*, co czynimy tem snadniej, że nie często się zdarza praca tak sumienna, której każde twierdzenie i każdy szczegół

---

[1] Ciekawem jest porównanie ze sobą sądu o Cyceronie dwóch ludzi, których trzy nieomal wieki rozdzielają, a którym znajomości rzeczy z pewnością odmówić nie można, Montaigne'a i Mommsena. Zgadzają się niemal na to samo z tą tylko różnicą, że co Mommsen powiedział w sposób przesadzony, grnby i niesmaczny, Montaigne powiada z umiarkowaniem, dowcipem i elegancyą Por. *Montaigne: Essais* livre I. chap. 38; tom III. p. 13 (Paris Firmin Didot 1833). *Mommsen Roemische Geschichte* III. 562 sq. 602 sq.

[2] Por. Morawski str. 6.

natychmiast źródłowo jest poparty, a której autor przenigdy się w cudze pióra nie stroi. Co zaś bardzo podnieść należy, to przedziwne owe zasady filologiczne i ścisłą metodę naukową Nideckiego, którą dopiero Morawski na jaw wydobył. Chociażby nic innego w dziele tem nie było, to przypomnienie tak wybornych zasad przez polskiego uczonego postawionych i ściśle w praktyce stósowanych, biografii tej rzeczywistą nadaje wartość.

Doprowadzenie do skutku tak ważnego i trudnego dzieła filologicznego tem więcej podziwiać należy, że Nidecki już w r. 1560 był w kancelaryi królewskiej, gdzie służba nadzwyczaj była ciężką; już to z powodu ustawicznej zmiany miejsca, już w skutek wielkiej różnorodności obowiązków (str. 120). Służba publiczna w Polsce nigdy praktycznie zorganizowaną nie była; kompetencye władz i zakres działalności każdej z nich nie były nigdy ściśle ograniczone, nie mogło więc być stósownego podziału pracy; stąd zbytnie przeciążanie jednych, zupełna nieczynność innych organów, a niemoc w całej machinie rządowej. Widzimy też Nideckiego najrozmaitszemi politycznemi, dyplomatycznemi, religijnemi zajętego sprawami, częstokroć bardzo delikatnej natury; gdziekolwiek zaś się znajdował, zawsze umiał być gorliwym i wielce użytecznym, i szybko uznanie każdego przełożonego zyskiwał. Była to wyjątkowa jak na Polaka organizacya, a że za tak ciężką pracę zbyt może natarczywie żądał wynadgrodzenia, dosyć jest naturalnem i nad miarę się tem gorszyć nie ma powodu; późniejsze czasy rzeczypospolitej aż nadto smutny nam dają przykład chciwości i niepohamowanej pożądliwości, z jaką się ubiegano o starostwa i najwyższymi urzędami państwa frymarczono, często bez żadnej rzeczywistej zasługi. W każdym razie na korzyść Nideckiego przemawia ta okoliczność, że mimo ciężkiego zawodu, jakiego w swych zabiegach w skutek twardego względem niego postępowania Kromera doznawał, nie zepsuło to, ani nie oziębiło pomiędzy nimi przyjaźni (str. 143).

Nakoniec wypada tu podnieść, o czem zdaniem naszem Morawski zanadto mimochodem wspomina, że Nidecki nigdy w wierze się nie zachwiał. Będąc od najpierwszej młodości w stosunkach z Lismaninem, pozostając tak długo przy boku chwiejnego Zebrzydowskiego, a na dworze jego spotykając zapewne Orze-

chowskiego, który potęgą swego talentu, rzutnością swej namiętnej natury, niejednego na swoją stronę mógł przeciągnąć, mógł Nidecki bardzo łatwo wiarę utracić i zupełnie odmienną pójść koleją. Że wówczas w Polsce również jak na całym zachodzie wiara była osłabła, i obyczaje zwolniały, na to dowodów nie brak; a nie wspominając o innych, toć same rozkoszne figliki Reya i fraszki Kochanowskiego (np. do Ojca świętego), będące najlepszym obrazem codziennego życia owych czasów, wskazują nam dosadnie, jak się na wiarę i obyczaje zapatrywano. Dziwić się tylko wypada, że ówczesne doktryny jeszcze większego nie uczyniły spustoszenia, a zarazem uznać, że w Polsce nie tak było źle pod tym względem, aniżeli w zachodniej i południowej Europie. Co zaś do naszych humanistów, to pominąwszy pojedyńcze wybryki, w których naprawdę więcej żartobliwego humoru niż grzesznej zmysłowości, to nigdy i nigdzie nie dostrzeże się tego rozpasania pióra, którem humaniści ościenni najprostszą uczciwość obrażali. Cokolwiekbądź dla Nideckiego pokusa mogła być wielką, nie uległ jej jednakże, a jak w całem jego życiu, w jednolitym kierunku naukowej pracy, w żelaznej wytrwałości, tak i pod tym względem pokazuje nam się stały charakter męża, który z drogi sumienia nie zbacza, a mimo przeszkody i postronne wpływy ze swego toru zbić się nie daje. Nie zachwiawszy się zaś nigdy w swych katolickich przekonaniach, mógł się później tem snadniej na pole apologetycznych przenieść zapasów, o czem w następnej części dzieła dowiedzieć nam się przyjdzie; z upragnieniem też takowej oczekujemy.

Takiegoto to męża, „którege nazwisko było mało znanem, prawie zatartem w Polsce“ (III.) praca prof. Morawskiego krajowi przypomniała. Zasługa nie mała, tem bardziej, że na wielki nasz wstyd, Niemcy więcej o nim wiedzieli, aniżeli my sami. Co do rzeczy samej już kilkakrotnie wspominaliśmy, że obrobioną jest bardzo gruntownie i że autor na wzór swego bohatera nie szczędził pracy i trudów na zgromadzenie bogatego materyału. Właśnie to bogactwo źródeł naprowadza nas na jedyny zarzut, jakibyśmy książce uczynić mogli, t. j., że więcej autorwi chodziło o wynalezienie faktów, aniżeli o zręczne takowych ugrupowanie i powiązanie ze sobą, a do tego niektóre rozdziały wy-

magały koniecznie szerszego obrobienia [1]. Zresztą książka czyta się łatwo i przyjemnie, o ile to przy tak ściśle naukowej pracy jest możebnem. Ale czytając serce się kraje na wspomnienie tej świetnej przeszłości naszego kraju, kóry pod względem politycznym, wojskowym i dyplomatycznym stojąc na równi z ościennemi mocarstwemi, pod względem oświaty, niemal że ich nie przewyższał. Wykazanie zaś tego staje się rzeczywistą zasługą, bo służyć może za podnietę dla dzisiejszego pokolenia. Kto się tego rodzaju źródłowemi badaniami zajmował, temu wiadomo jak długiej i wytrwałej wymagają pracy, i jak to trudno z nitki dojść do kłębka. Profesor Morawski podał nam zaś kłębek tak ślicznie uwity, że każdy historyk, a mianowicie filolog polski, winien mu za to prawdziwą wdzięczność.

Dr. Paweł Popiel.

---

[1] Jakikolwiek wypadnie sąd o fakturze tej książki, to w każdym razie jest wybitną autora zasługą, że dał u nas przykład tych pracowitych monografij, co z popiołów żywe wskrzeszają postacie. W istocie któż wiedział o Nideckim? Ledwo filologowie z profesyi znali go jako pierwszego wydawcę fragmentów Cycerona. Otóż autor, znajdując w tym okruchu zabytek naukowej sławy narodu, podjął go z zamiłowaniem, szukał dalej wytrwale, nie szczędził pracy, zabiegów, podróży, odkrył nieznany Nideckiego testament i wiele listów, i z tych rozrzuconych i zagrzebanych szczątków potrafił złożyć plastyczną, życiową całość, która budzi interes, nietylko jako filologiczna illustracya, ale jako przedstawiciel humanizmu w Polsce i (jak 2-a część tego dzieła wykaże) jako szermierz wiary w ówczesnej religijnej walce. *(Przypisek Redakcyi).*

ŚW. TOMASZ Z AKWINU

i dzisiejsza filozofia.

(Ciąg dalszy.)

Ten wysiłek Kanta dla uratowania filozofii był ważnym jako zasiew przyszłego jej zwrotu. Droga, którą uważał za pośrednią, było to oszańcowanie empiryzmu racyonalistycznym idealizmem. Z empirystami trzymał się systemu doświadczalnych spostrzeżeń, z idealistami szedł drogą idealnego poznawania. Ale nie znalazł przejścia z teoryi wrażeń zmysłowych do teoryi idealnych pojęć, nie odszukał mostu między zmysłami a rozumem. Most ten, wskazany niegdyś tak dokładnie przez dawnych scholastyków, dla niego został zagadką. Krytyka jego milczy o scholastycznym łączniku rozumu i zmysłów. Poznawanie empiryczne i transcendentalne, są to u niego dwa światy zupełnie odrębne, bez wspólnego ogniwa, bez spójni, bez przejścia. Poznawanie empiryczne dostatecznie uzasadnia się wrażeniami, wywartemi na zmysły przez pozasobny świat materyi, ale pojęcia idealne budzą się w duchu człowieka całkiem niezawiśle od świata zewnętrznego. Stąd więc wnosi Kant, że rozum ludzki posiada sam przez się pewne pojęcia, dane *a priori* czyli z góry, przed zetknięciem z przedmiotem, z których wrodzoną swą siłą przędzie nić wiedzy transcendental-

nej. Czy w tym świecie idealnym wiernie odźwierciedla się świat zewnętrzny, na to Kant nie znajduje dowodu. To też po tyloletnich trudach, na schyłku życia swego doszedł do tego wniosku, że wszelka w ogóle metafizyka jest rzeczą niemożebną.

Ostatecznym więc wynikiem jego filozofii było, że prawdziwa wiedza opiera się wyłącznie na spostrzeżeniach zmysłowych, a że przedmiotem tych spostrzeżeń są tylko zjawiska jestestw, więc i wiedza nasza ogranicza się na poznaniu ich tak, jak się nam zjawiają, nie przenika zaś i nie poznaje czem są same w sobie. Pod tą zwierzchną postacią zjawisk kryje się wprawdzie istota jestestw, lecz dla nas jest ona zagadką zgoła nierozwiązalną. Mamy wprawdzie oprócz wiadomości empirycznych, obfity zapas pojęć idealnych, których chcielibyśmy użyć odnośnie do istoty świata zewnętrznego; są w nas nawet pojęcia czysto transcendentalne, jak n. p. o Bogu, o duszy, o jedności świata, ale wszystkie te pojęcia to tylko formy podmiotowe naszego rozumu; czy zaś te formy są zgodne z prawdą, czy się w nich odbija świat zewnętrzny — o tem wcale nie wiemy.

Takim smutnym wnioskiem zakończył Kant swą krytykę. Jednak to o czem Kant zwątpił, było już w dawnej filozofii gruntownie obrabianym i powszechnie znanym pewnikiem. Ten most między zmysłem a rozumem, którego Kant napróżno szukał, był już dawno odkrytym. Ale potępiwszy ryczałtem i pogardliwie tę starą filozofię scholastyczną, pogardziwszy nią, nie wiedziano nawet co w niej jest — i dlatego tak omackiem błądzono i zabłądzono. Gdyby był Kant znał tę filozofię, bezwątpienia i to ogniwo dwóch światów nie zostałoby dlań tajemnicą, a krytyka jego szczerze dążąca do pracy odrzuciłby go nie mogła. Czy podmiotowe idee rozumu naszego, za pomocą których chcielibyśmy pojmować świat zewnętrzny takim, jakim on jest w sobie, mają wartość przedmiotową? Czy są one istotnie idealnem odbiciem tego świata? Oto problem, którego mylnem rozwiązaniem Kant własne swe dzieło, podjęte w chlubnej myśli dźwignięcia nowej filozofii, w niwecz obrócił. Kant odpowiada przecząco — bo te idee są to tylko formy podmiotowe, nie mające żadnego związku z przedmiotem. Filozofia zaś scholastyczna na to pytanie odpo-

wiada twierdząco, właśnie dlatego, że między ideą poznającą a przedmiotem poznanym istnieje ścisły związek. Most ten, czyli przejście od świata zewnętrznego do idei i od idei do rzeczywistego przedmiotu, stanowi dwojaka siła naszego rozumu, przetwarzająca poznawanie zmysłowe. Zjawiska zewnętrzne wrażając się w zmysły człowieka, wywołują poznanie umysłowe. Pojedyńczość duszy streszczającej w sobie wszystkie swe władze, tłumaczy nam, dlaczego obecność zmysłowego fantazmatu jest bodźcem dla rozumu, który wrodzoną swą władzą porównywania i abstrakcyi zwleka z owego fantazmatu łupinę odźwierciedlonych w nim znamion materyalnej jednostki i przejmuje go w siebie już jako pojęcie ogółowe *(idea universalis)*. Siłą dedukcyi rozum wnioskuje ze zjawisk przedmiotów o ich istocie, bo istota przedmiotów jest przyczyną ich zjawisk. Tak więc istota przedmiotu, owo νοούμενον Kanta nie jest nieznanem X, ale ilością wiadomą. A zatem i transcendentalną treść jestestw, choć nie bezpośredniem doświadczeniem, poznajemy jednak rzeczywiście. Tą samą władzą dedukcyjną rozum sięga jeszcze głębiej — ze skutków dochodzi przyczyn: bo wszystko, co w skutkach się zawiera, w przyczynach też, lubo nie zawsze tym samym sposobem, zawierać się musi. Tą drogą dochodzi rozum do rzeczywistego poznania Boga, duszy ludzkiej i innych jestewstw, lub prawd stojących po za obrębem bezpośredniego doświadczenia. Takiem było według dawnej filozofii to ogniwo, wiążące wewnętrzny świat myśli ze światem zewnętrznym, a ogniwo rzeczywiste, sięgające w głąb istoty przedmiotów. Gdyby Kant umysłem wolnym od uprzedzeń zgłębił był tę teoryę scholastycznej filozofii, wiek nasz uniknąłby może tych rozumowych obłędów, w które zaplątał się właśnie pod wpływem krytycznych wysiłków Kanta. Z pewnością nieznaną byłaby nam do obecnej chwili najniedorzeczniejsza z form panteizmu, panteizm idealny.

Już Fichte posunął się olbrzymim krokiem naprzód, a raczej na dół po śliskiej drodze, obranej przez Kanta. Kant utrzymywał, że wszystkie nasze wrzekome pojęcia o przedmiotowości *(Dinge an sich)*, są czysto podmiotowemi formami naszego rozumu, na podstawie których niemamy prawa wnosić, że ta rzeczywistość wiernie odpowiada obrazom tych form idealnych. Lecz

skądże wiemy, czy ta rzeczywistość w ogóle istnieje? Wszak to przypuszczenie, ten sąd nasz, którym ze zjawisk widzialnych pozwalamy sobie wnioskować o przyczynach niewidzialnych, jest znów tylko umysłową formą podmiotu. Tę wątpliwość, do której Kant daje powód, Fichte postawił jako pewnik: Przedmiotowość bytuje tylko w rozumie człowieka, tj. myślące ja *(das denkende Ich)* i świat przedsobny jest w gruncie rzeczy jedną i tąż samą istotą. Duch to ludzki siłą myśli, własne swe podmiotowe formy stawia przed sobą jako odrębne jestestwa. Kant przyjął jeszcze istnienie ponadświatowego, osobowego Boga, jako warunek niezbędny i jedyny środek ocalenia praw moralności. Fichte, choć nie odrzuca istnienia Boga, nie uważa go jednak za konieczny warunek do osiągnięcia celu — jego zdaniem wystarcza świadomość moralnego porządku w świecie, porządku będącego dziełem twórczej działalności myślącego ducha. System Fichtego słusznie nazwano nihilistycznym idealizmem, bo istotnie on unicestwia świat przedmiotowy, sprowadzając całą jego realność do podmiotowych tylko form ludzkiego ducha. W systemie tym rozwiała się wszelka rzeczywistość, nawet rzeczywistość indywidualnej jaźni *(des Ich)*, tej jaźni, która przecież myśli i myślą swą stwarza w sobie cały wszechświat zewnętrzny!!!

Wobec tej próżni bezdennej, jakże przypuścić można jakiekolwiek działanie człowieka, jakąkolwiek dążność moralną? A jednak zadaniem człowieka, który zwątpić powinien o rzeczywistym bycie nawet swej własnej jaźni, jest właśnie działać na zewnątrz i to działać moralnie. Aby więc uratować możliwość działania, trzeba, sądzi Fichte, wezwać na pomoc wiarę. Myślący duch musi uwierzyć w rzeczywistość swej jaźni, w rzeczywistość świata zewnętrznego, w rzeczywistość fizycznego i moralnego porządku. Ale cóż, kiedy i wiara jest znów tylko podmiotową formą ducha — formą bynajmniej nie realizującą ani jaźni, ani podmiotów. W takim nihilizmie nie mógł świat długo znajdować upodobania. Rzeczywistość ratować trzeba było koniecznie. Szelling postanowił zostać tym wybawcą, ocalić realność idealnym panteizmem. U Fichtego twórcza myśl ludzkiego ducha spływa w tożsamość ze światem tworzonym przez siebie. U Szellinga takim twórczym czynnikiem jest Absolut, którego Bogiem nazwać

można. Absolut ten myślą swoją rozwija się na zewnątrz, wysnuwa ze siebie zjawiska, staje się wszystkiem wśród świata: wszechbytem i wszechistnością.

Smutne na tem polu położył zasługi Hegel posuwając panteizm do ostatecznych krańców możliwości. Najgorszą jest jednak, że w swój system wcielił prawdy religijne. Wszystkie te prawdy wiary i największa część prawd moralnych, są w jego systemie czczemi tylko słowami, obranemi z wszelkiego dodatniego znaczenia, które w mityczną formę ujęte, nic nam innego nie przedstawiają, jak tylko idealny rozwój absolutu. Tak więc Hegel ze swoją filozofią dotarł ostatecznie do tej mety, do której już dawno doszli empirycy t. j. do materyalizmu pokrytego płaszczem idealizmu. Wszystko jest tylko materyą, nawet to, co Bogiem, nazywamy; oto hasło filozofii empirycznej. Wszystko jest Bogiem nawet i materya: oto ostatnie słowo racyonalistycznego idealizmu. Różnica między dwoma tymi systemami zachodząca, zbyt jest małą; Bóg, duch i materya są jedną i tą samą istotą, a natenczas obojętną zupełnie jest rzeczą, czy tę jednę jedyną istotę nazwiemy Bogiem czy też materyą.

W tych dwóch filozoficznych prądach występuje w jaskrawych barwach charakterystyczna cecha naszego wieku: zmysłowość i pycha. W pierwszym widzimy ducha ludzkiego, lgnącego ku porządkowi zmysłowemu, i dlatego poniżającego się do rzędu materyi — w drugim pycha przypisuje sobie wszystko to, co co Bogu się przynależy, i dlatego podnosi nawet materyę do godności bóstwa. Takim był rozwój filozofii po zerwaniu jej z tradycyami starych filozofów i zerwanie to sprowadziło tak smutne i opłakane następstwa.

Zanim zwrócimy uwagę naszą na kształty, w jakich w naszych czasach występuje ostateczny rozwój nowszej filozofii, popatrzmy raz jeszcze na to, do czego doszła scholastyczna filozofia przez Kościół uprawiana, od tej chwili, w której z nią zerwała nowsza filozofia. W katolickich szkołach w ogóle mówiąc, zatrzymano starą metodę scholastyczną w głównych jej rysach. Mniemano natenczas, że potrzeba czasu wymagała więcej pozytywnej i polemicznej formy w uzasadnieniu nauki wiary, stąd spekulatywne

poznawanie wiary usunięto na drugi plan. Chociaż i w tym peryodzie czasu Kartezyusz znalazł swoich wielbicieli, to jednak nie nauczono się od niego pozytywnego powątpiewania, ale pod formą powątpiewania starano się tylko o naukowe wyjaśnienie prawdy, której to metody i św. Tomasz i w ogóle cała scholastyczna filozofia oddawna już się trzymała. Niektóre nawet pewniki Kartezyusza zostały adoptowane od przedstawicieli kierunku katolickiego jak np. od Fenelona, Bossueta, Tomasina, Gérdila i innych, ale ci wszyscy nie stanęli ostatecznie w przeczności ze scholastyczną filozofią. Niebawem miało się stać inaczej. Nowsza filozofia zaczęła wydawać owoce. Pierwszem żniwem wyrosłem z tego posiewu, to rewolucya francuska, która rozszerzyła się na całą niemal Europę, przekształciła ją zupełnie, nietylko narodom nowe formy narzucając, ale wsiewając zarazem w umysły i serca ziarno zgubnych swych zasad. Kościół w wielu krajach złupionym został ze zbawiennego wpływu na nauki, których monopol przywłaszczyło sobie państwo; zakony, w którychby system św. Tomasza dalej był się propagował, zostały częścią zniesione, częścią usunięte od steru nauk, częścią zaś zmuszone powierzać kształcenie swej młodzieży ludziom, których państwo powołało do urzędu nauczania.

Jakież to nauki opanowały całą Francyę, Niemcy i naszą Polskę, która już byt swój samodzielny utraciła? Oto wsteczny kierunek empiryczny i racyonalny, i przeciwna wierze filozofia przyjmują się tamże jako dźwignie oświaty, stara zaś filozofia obarczoną została trzechsetletnią tradycyonalną nienawiścią i wzgardą, co tem łacniej uskutecznić się dało, że ją ledwie z imienia tylko znano. Hiszpania zaś, gdzie stara filozofia jeszcze przez długi szereg lat uprawianą była, odstąpiwszy swego opatrznościowego posłannictwa, utraciła zarazem wszelki wpływ i spadła ze swego majestatycznego piedestału do rzędu ułudnej, fantastycznej tylko wielkości. Włochy przez sekciarstwo rozdarte popadły w zupełne otrętwienie umysłowe. Chociaż gdzieniegdzie pojawia się wznioślejszy jakiś talent, odznaczający się w dziedzinie katolickiej nauki, to jednakowoż utraciła ona wszelki wpływ, bo uczonemu światu schodziło wtedy na wspólnym środku porozu-

miewawczym. Jak bowiem w średnich wiekach cała Europa tworzyła niejako jednę instytucyą naukową z tego powodu, iż wszyscy uczeni porozumiewali się między sobą jednym językiem łacińskim, tak teraz cała Europa pokawałkowaną została na odrębne zakłady naukowe dlatego, że każda narodowość uprawiała nauki w rodzinnym swym języku, a tak utrudnioną została wymiana zdań, ten tak wielką rolę odgrywający czynnik w naukowym świecie.

Tak więc stara katolicka filozofia, która w szkołach katolickich przez cztery wieki rozwijała się i tak pięknie zakwitła, znika zupełnie, wypchniętą nawet będąc ze szkół katolickich; tylko gdzieniegdzie udało się zgromadzeniom zakonnym od wrzawy i zgiełku świata oddalonym, skromny naznaczyć jej przytułek — a natomiast antagonizm luterski przeciw tej filozofii trwa dalej i wkradł się już nawet do serc katolickich uczonych, którzy scholastyczną filozofię zaledwie znali o tyle, o ile im poznać ją dozwalały niektóre okruchy, opadłe z niej w chwili jej usunięcia.

Trzeba nam się jeszcze nieco zastanowić nad ostatecznym kresem, do którego w naszych czasach doszła nowoczesna filozofia, zwracając uwagę naszą na wyższe zakłady naukowe rozsiane po całej Europie, i zestawiając filozoficzne dogmata w tychże zakładach wyznawane od ostatnich pięćdziesięciu lat, spostrzeżemy między nimi dziwną sprzeczność i wzajemne wykluczanie się. Ujrzymy w nich prawdziwy chaos najróżnorodniejszych opinij. Filozofia scholastyczna natomiast przedstawia nam zdumiewającą harmonię i jedność, drobne zaś różnice między autorami zachodzące nie dotyczą się rzeczy samej, ale raczej sposobu jej objaśnienia i tłumaczenia [1]. Ta piękna jedność jest niezbitym dowodem, że po stronie scholastycznej filozofii była prawda, z dru-

[1] Powyższą prawdę niech nam będzie wolno dla lepszego zrozumienia stwierdzić przykładem. Każdemu lepiej z naukami obznajmionemu, znaną jest szkoła Tomistów i Moliny. Punkt sporny rozróżniający te szkoły zawartym jest w nauce o łasce. W istocie prawdy zgadza się jedna i druga szkoła, t. j. że wola ludzka pod działaniem łaski zostająca nie traci swej wolności, tłumaczenie zaś i objaśnienie tej prawdy, w jaki sposób wola ludzka pod działaniem łaski zostająca zachowuje swą wolność, rozdziela obydwa obozy.

giej zaś strony ten chaos różnych zdań i opinij w obozie nowożytnych filozofów, jest dla nas równie dostateczną rękojmią obłędu, w jaki nowsza filozofia popadła. Podczas bowiem gdy prawda jest tylko jedna, chociaż można ją w tysiączne sposoby objaśniać i uzasadniać, to i zerwanie z tą jedną prawdą może się w tysiączny stać sposób, i popchnąć umysły w prawdziwy labirynt fałszu. Najlepszy dowód, na jak błędne obecnie drogi zeszła nowożytna filozofia, przedstawia nam postępowanie nie małej liczby uczonych, powołanych do wprowadzania młodych umysłów w tajemniczy gmach filozofii. Filozofia scholastyczna, to nieznane dla nich X, aby iść zaś na ślepo za pierwszym lepszym nowożytnym filozofem, na to zdobyć się nie mogą, tak dalece rażą i biją w oczy ich błędy; dlatego nie pozostaje nic innego jak poprzestać na eklektycznym i historycznym systemów przeglądzie. Brak im nici Arjadny, przecząca zaś krytyka, okazuje ostatecznie tylko fałsz, ale nie wyświeca prawdy, i tak mogą uczniowie najwięcej poznać, gdzie jest fałsz, a nie będą wiedzieli, gdzie jest prawda zawarta.

Chociaż nowoczesna filozofia nie zgadza się bynajmniej w swych pewnikach, to jednak możemy rozróżnić w niej jakieś pewne prądy ogólne, które pochłaniają w sobie strumyki różnorodnych zdań nowszych filozofów.

We Francyi i Anglii w pierwszej połowie wieku przebija się prąd sensualistycznego materyalizmu. Rewolucya nie była jeszcze dostateczną dla ludzi wskazówką, mogącą ich pouczyć, gdzie jest fałsz zawarty. We Francyi całe mnóstwo filozofów rzuca się oburącz do naprawy machiny rządowej, i widzą jedyny środek zbawczy w socyalizmie i komunizmie. Na czele tych reformatorów ustroju państwowego stanął Proudhon, którego ideałem społecznym anarchia, jego bóstwem zło, a prawna własność, kradzieżą. W ostatnich czasach materyalizm w obydwu tych narodach przyswoił sobie nową nazwę: pozytywizmu. Jest to ostateczne słowo materyalizmu, uznaje on tylko naturę i zjawiska, zadaniem zaś filozofa jest uporządkowanie rzeczonych zjawisk i sprowadzenie ich do pewnej symetrycznej jedności, granic zaś tych ciasnych pozytywiście przekroczyć nie wolno. Szukać przyczyn tychże zjawisk, jest niepodobieństwem, wykrywać transenden-

talne przyczyny i cele ich, to szaleństwem, któremu hołdować mogła tylko starych filozofów metafizyka i teologia. Wiedza nie sięga po nad zmysły, precz więc z metafizyką, precz z teologią! Jak niema w ogóle mówiąc przyczyn, będących przedmiotem metafizyki, tak nie ma też i Boga, przedmiotu teologii. A przecież istnieje religia, jak nas uczy koryfeusz pozytywizmu August Comte, ogłaszając potrzebę religii. Wielka istota *(le Grand-Être)*, którą czcić każe, to ludzkość, jednak nie w całości swej wzięta, ale tylko ujęta w tych wyższych genialnych mężach, wynoszących się po nad zwykły poziom miernoty i genialnym nastrojem swych umysłów stanowiących jednę całość. Ci uprzywilejowani mężowie wstępują na opróżniony tron bóstwa. Kult tej religii zawarty we wzajemnej miłości, zewnętrzny i symboliczny wyraz przedmiotu adoracyi: to fetysze. Dlatego nowy zupełnie fetyszyzm jest punktem środkowym tej nowej religii. Oto opinia Comta, obłąkanie umysłu ludzkiego, przybrane w ułudną szatę filozofii. Tak się mści na ludziach zerwanie z prawdą! Filozofia, która oderwała ludzkość od czci prawdziwego Boga, skończyć musiała na bałwochwalstwie człowieka.

Dziś we Francyi obok dalszego rozwoju nauki Comta, budzi się pewna reakcya spiritualizmu. Ale w Anglii pozytywizm zapanował wszechwładnie i znalazł w tak zwanym ewolucyonizmie Darwina i Herberta Spencera ostateczny swój wyraz. I we Włoszech dość dużo filozofowano według nowszej mody. Obok Gioberta i Rosminiego, którzy jeszcze utrzymać się chcieli na gruncie chrześcijańskim, występują w największem zamięszaniu: idealizm heglowski, pozytywizm francuski i najskrajniejszy sceptycyzm, pracujący nad pojednaniem rozstrzelonych i wzburzonych umysłów.

W Niemczech idealizm Hegla szybkim krokiem zbliżał się ku zupełnemu upadkowi. Jednak nie jego przeciwnicy przyspieszyli tę chwilę — znali oni wprawdzie słabe strony tego systemu, jednak pod ręką nie mieli nic innego, czemby tę lukę zapchali, jak tylko nowy obłęd filozoficzny. Przyjaciele to i uczniowie Hegla podminowali system swego mistrza, wyprowadzając z przesłanek ostateczne wnioski, nie zasłaniając ich napuszystością słów, ale w najprostszy wypowiadając je sposób. Do ich rzędu przede-

wszystkiem zaliczyć musimy Feuerbacha i Dawida Straussa, którzy idealizm Hegla przetworzyli w najskrajniejszy materyalizm. Odzierzył on w całej pełni prawo obywatelstwa, bo opierał się się zarazem na olbrzymim rozwoju wiadomości przyrodniczych, z coraz to nowszemi występujących zdobyczami. W stronniczem zapatrywaniu się wydano sąd, że wiedza przyrodnicza jedynie prawdziwą jest wiedzą, zasługującą na to zaszczytne miano, wszelki inny kierunek filozoficzny sięgający w świat ponadzmysłowy obarczono nazwą mary, do czego przedewszystkiem przyczynili się nowsi filozofowie, wystawiający każdego myślącego człowieka pod pręgierz marzycielstwa. I tu wystąpił Karol Vogt popisujący się z niezbyt miłą dla człowieka, dbającego o swą godność, nauką o pochodzeniu człowieka od małpy. Podano nam jako wynik gruntownych badań, że myśl niczem innem nie jest, jak tylko wyrobem mózgowym (Vogt, Moleschott) tego samego rzędu, co wydzieliny wątroby. Büchner z tą samą powagą głębokiego myśliciela objawia nam swe zdanie, że myśl jest to suma różnorodnych do jednego celu skierowanych sił; i nic dziwnego, że z tego składu mamy tak zadziwiający wynik, gdy coś podobnego widzimy w kombinacyi sił składających się na zadziwiający skutek, wywołany maszyną parową. Darwinizm, importacya z Anglii, z takim oklaskiem od niemieckich przyjęty myślicieli, coś więcej nam przyniósł przez to, że przypuszczenie Vogta podciągnął pod prawa ogólne, i wydał jako produkt wytrawnej, głębokiej wiedzy pouczając zdumiałą ludzkość, że wszystkie twory istniejące w świecie zmysłowym przez miliony przemian powstały ostatecznie z kilku zaledwie form zasadniczych. Zdobycz to wytrawnej zaiste i głębokiej nauki!

W tym kierunku w najnowszych czasach niepoślednie zebrał zasługi Hartmann przez to, że materyalizm przekształcił w nihilizm, i dotarł do ostatecznych krańców negacyi. Pierwiastkiem wszystkich istniejących rzeczy jest w jego teoryi nieświadoma siebie pierwotna wola, która niczem innem nie jest jak negacyą wszystkiego. Tej nicości zachciewa się szczęścia, a spodziewając się znaleźć to szczęście w świadomości siebie przechodzi wszystkie fazy darwinistowskiej ewolucyi, i tym sposobem wytwarza

z siebie świat. Gdy już świat się wyłonił, rozwija się dalej w postępowym pędzie aż do kresu swego rozwoju t. j. do człowieka, w którym pierwotna wola dochodzi do świadomości siebie. Dotarłszy do świadomości siebie widzi nieświadome jak się fatalnie zawiodło, chciało znaleźć szczęście, a nie znalazło w świecie nic innego, jak zawód i cierpienie. Gdy to rozczarowanie stanie się zupełnem przekonaniem, wtedy nieświadome rozpocznie zapewne drogę wsteczną t. j. innemi słowy, świat powróci do nicości. Taki to jest ostatni płód zarozumiałego racyonalizmu! Dalej już w obłędzie umysł ludzki postąpić nie jest w stanie. Tak więc i ta nowsza filozofia dobiegła do swej mety. Cóż to musi się dziać w duszy każdego myślącego człowieka, który widzi jakie to owoce wydała nowoczesna filozofia! Naszym czasom dają to zaszczytne miano epoki nigdy nie widzianego rozwoju umysłu ludzkiego; epoki oświaty czerpiącej te pochwały ze zdobyczy naukowych, jakie wiedza w tychże czasach uczyniła, ale te pochwały nie dodają nawet złamanego szeląga do wartości tej filozofii, której to niby te łupy nauka zawdzięcza. Przeciwnie stwierdza to historya, że czasy i narody chyląće się do upadku zwykły zakrywać wnętrzne swe rany fantastyczną szatą frazesów, błąd nazywają zdobyczą, a ciemność oświatą, i sprawdzają się słowa Salusta w takiej właśnie epoce upadku wyrzeczone: „*Amisimus vera nomina rerum*“.

Dla zdrowego rozumu jest rzeczą wystarczającą zastanowić się nad tymi owocami, by potępić drzewo, które je wydało, po owocach bowiem poznajemy wartość drzewa. Chrześcijanin ma prócz tego innny jeszcze, silniejszy powód, który nie pozwala mu brać tej filozofii za jasną pochodnię, a tym powodem jest słowo Namiestnika Chrystusowego na ziemi.

Pius IX. wydał 8 grudnia 1864 r. Syllabus, czyli spis kardynalnych błędów, które nasz wiek opanowały i tyle szkody pod względem religijnym, społecznym i moralnym mu wyrządziły. Otóż błędy te potępione w Syllabusie, są tylko logicznymi wnioskami, wyprowadzonymi z przesłanek filozofii, o której mówimy, i dlatego z takiem oburzeniem przyjęto słowa Namiestnika Chrystusowego, który odważył się na wrzekomych zdobyczach naszego wieku wycisnąć znamię błędu i fałszu.

Pobieżny rzut oka na zdania w Syllabusie potępione, okaże nam, że te zdania są w istocie czystymi wynikami tej filozofii.

W pierwszych siedmiu orzeczeniach potępia Syllabus panteizm, naturalizm i absolutny racyonalizm. Jakeśmy to widzieli, są to właśnie główne prądy nowszej filozofii. Następujących siedm zdań wymierzone są przeciw bezwzględnemu racyonalizmowi. Ten kierunek powstał z inicyatywy niektórych katolickich uczonych, którzy chcieli zasłonić wiarę przeciwko ogólnej wzgardzie i ażeby tego dopiąć, podwójną sobie obrali drogę. Raz starali się oni dogmata wiary rozumowo wytłumaczyć i sądzili, że przy odpowiednim rozwoju umysłowym dadzą się wszystkie tajemnice wiary rozumowo wykazać, a tak zepchnęli prawdy wiary do rzędu prawd racyonalnych; to znów mniemali, że filozofia w swych zaciekaniach rozumowych nic powinna się oglądać na wiarę, a Kościół jako strażnik wiary nie ma się co troszczyć o zdobycze filozofii. I jedną i drugą drogą tak często i tak chętnie szła filozofia, i wpadała z jednych błędów w drugie.

Cztery zdania potępiają obojętność w rzeczach wiary, która znowu niczem innem nie jest, jak plonem wyrosłym z posiewu zarozumiałego racyonalizmu, jadem, zawdzięczającym swe istnienie walnej zasadzie protestantyzmu: dowolnemu tłumaczeniu. Paragraf piąty zawiera w streszczeniu potępienie socyalnych doktryn powstałych z filozofii Rousseau'a, a rozwiniętych przez Proudhona w najczystszej krwi socyalizm i komunizm. Dziewiętnaście zdań następujących zawierają praktyczne uznanie nauki o absolutyzmie państwa i naczelnej jego władzy wyższej po nad Kościół i jego prawa. W siedmnastu nowych zdaniach występuje ta sama wszechwładza państwa nietylko o ile przywłaszcza sobie wyższość po nad religię i jej wyznawców, ale o ile sobie przyznaje wyłączny monopol wychowania i naukowego kształcenia młodzieży. Są to nauki nowszej filozofii uwieńczającej swój system panteistyczny Heglowskiem ubóstwieniem państwa. Z pojęcia bóstwa państwa wywiązały się logiczne wnioski, które po dziś dzień jeszcze nurtują w społeczeństwie. Spółczesna nauka prawa występuje w dziewięciu następnych zdaniach na scenę, opierających się na dawno już z widowni świata znikłych systemach Hobbesa

Rousseau'a i innych tymże podobnych myślicieli. I tę naukę pogromiło słowo papieskie.

Inne znowu zdania, potępione jako zgubne doktryny, odzierają małżeństwo z godności sakramentu, znoszą jego nierozerwalność i podporządkowują kontrakt matrymonialny z wykluczeniem władzy duchownej, pod powagę władzy cywilnej. Są to wspólne nauki materyalistów i racyonalistów wszelkich odcieni, odmawiających Kościołowi boskości posłannictwa. Są to przedewszystkiem najmilsze marzenia kommunistów, którzyby ze związkiem małżeńskim, chcieli znieść zarazem wszelkie prawo własności. Jak bowiem Marx, jeden z koryfeuszów tego systemu się wyraża, prawo własności opiera się na prawie dziedzictwa, prawo zaś dziedzictwa wypływa z prawa małżeńskiego, im więc świętszem i więcej cenionem będzie małżeństwo, tem więcej nietykalnem będzie prawo własności.

W końcu następuje potępienie tych zdań, które pod hasłem liberalizmu usiłują państwo zupełnie oderwać od Kościoła, i dlatego głoszą wolność wyznań, aby pod tą maską ujarzmiać wolność Kościoła. Wszystkie te zdania, które Stolica Apostolska w wielu swych odezwach jako brzemienny fałsz napiętnowała, a później zebrała ich wykaz, wyszły na świat pod okrzyczaną nazwą Syllabusa, aby wiernych Chrystusowych uchronić od zarazy niewiary i niemoralności, będącej poniekąd owocem wyrosłym na drzewie nowożytnej filozofii.

Czyż te są tylko ostatecznie owoce nowszej filozofii? Gdyby wszystkie te błędy zawrzeć się dały w ciasnym obrębie szkół, lub w pismach tych pseudouczonych, już byłoby dosyć złego. Ale co jest najgorsze, że nauki te w tak mądrych frazesach z katedr profesorskich wypowiedziane, zstępują zwolna i na ulicę, dostają się do kawiarni, do chatek ubogich, do nędznych warsztatów rzemieślniczych, i znajdują wszędzie jak najmilsze przyjęcie. W imię nauki występują ci ludzie ślepo, czy świadomo za narzędzie piekłu służące wobec niewykształconych, głosząc takie n. p. zdania, że Boga niema, a stąd niema nieubłaganej sprawiedliwości, lub dzwigającej i dodającej otuchy opatrzności Bożej, a zatem, że człowiek sam sobie pomagać musi, nie oglądając się na do-

broć lub złość środków; że niema życia pozagrobowego, a zatem niema i wiecznej zapłaty, skąd krok tylko jeden do zniesienia istotnej różnicy między złem a dobrem. Upadają tedy więzy krępujące namiętności, wszystko zdaje się być pozwolonem, co tylko przyjemność sprawia przejściowej egzystencyi człowieka, bo w takim razie używanie epikura, to punkt kulminacyjny wszelkiego szczęścia. Oświatą ma to być, że religia chrześciańska należy do rzędu baśni, słudzy Kościoła oszustami, nauki które wygłaszają, to czyste androny zmierzające do tego, aby ubogim narzucić jarzmo duchowej i materyalnej niewoli. Przez oświatę tego rodzaju, wyrwanym zostaje człowiek z nadprzyrodzonego porządku zbawczego, a postawionym w porządku czysto naturalnym, gdzie nie znajduje dla sił swoich przez grzech starganych i osłabionych żadnej dźwigni moralnej, a wyrzekłszy się wiary, nową ciemnością ogarnięty traci kardynalne pojęcia o uczciwości i cnocie. Oświata, która w ten sposób wydziera ubogim ich Boga, negując wszelką powagę Boską na ziemi, wydziera i doczesnej władzy zupełnie konsekwentnie jej pochodzenie od Boga. Nie dziw więc, że poddany, takiemi pryncypiami się powodujący, nie widzi w doczesnej władzy panującego nic innego, jak tylko piastuna przemocy; ucieka się to do woli narodu, to do uzurpacyi, to do innego podobnego powodu, by sobie wytłumaczyć, skąd mu ta władza. Wobec takich zasad czy władza państwa czem innem się wydawać może, jak tylko ciężarem nie do zniesienia?

Jak często w imię oświaty nie ogłasza się ubogim ewangelia Proudhona, że wszelka własność jest kradzieżą, że bogacze są oszustami i złodziejami, a ubodzy oszukanymi i okradzionymi? Jakie uczucia muszą się odzywać w duszy ubogiego człowieka, gdy widzi jak bogacz kąpie się w dostatkach, gdy on tymczasem zaledwie ma czem głód zaspokoić i nagość swą okryć? Jeżeli tego rodzaju zasady pod nazwą oświaty przyjmą się w społeczeństwie ludzkiem, wtedy zerwane wszelkie tamy broniące moralności, porządku i spokoju; wszystko wtedy zaleje niszcząca powódź ogólnego przewrotu i wybije godzina potopu religijnej i socyalno-politycznej rewolucyi.

W tem wszystkiem mamy odpowiedź na pytanie, jakieśmy sobie postawili na początku drugiego punktu niniejszej rozprawy,

Leon XIII. zrozumiał potrzeby czasu. Obecne czasy, to czasy ogólnego przewrotu, zagrożone strasznym a nie dającym się jeszcze obliczyć kataklizmem. Przewrotne zasady, które zaczepia jako wrzekomą oświatę wieku, gotują to spustoszenie i prowadzą ludzkość na brzeg otchłani, zwrot zaś ku dobremu zdaje się prawie niemożebnym. Te zasady są zdobyczą nowej filozofii, jakeśmy to widzieli, która doszła do tej ostateczności dla tego, że nie chciała się oprzeć na pewnym fundamencie starej filozofii by na tej podstawie dalej budować, ale ze wzgardą i lekceważeniem zerwała z jej tradycyami, stwierdzonemi doświadczeniem wieków.

X. A. Langer.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Ogniem i Mieczem. Powieść z lat dawnych p. Henryka Sienkiewicza.

(Dokończenie.)

III.

Wojnę powiem okrutną, sroższej, której ani
Krwawszej nigdy nie było, odkąd zamieszkani
W pola te niezmierzone nasi tu Sarmaci,
W męstwo, dzielność i sławę naonczas bogaci,
. . . . . .
Uprzedzały tę burzę i naszą ruinę
Znaki wzgórę niebieskie . . . . . .
. . . Słoneczne rok przedtem zaćmienie,
Niezwyczajnie straszliwe, jakie w srogiej owej
Naonczas defekcyi przy Zbawicielowej
Śmierci było widziane; także prędko potem
Rozczochrany Kometa, niźli się kto o tem
Mógł dowiedzieć, dziesięć dni strzelając od siebie
Jadowite zarazy, przegorzał na niebie,
Nawet tedy gdy się ta Chimera rodziła
Szarańcza niebywała świat tu nasz zaćmiła i t. d.
. . . . . .

Tak rozpoczyna się poemat: Woyna domowa z Kozaki i Tatary.... tocząca się dotąd.... na cztery podzielona księgi oyczystą Muzą od Samuela z Skrzypny Twardowskiego... w Krakowie R. P. 1660. Wierny tradycyom współczesnych kronikarzy i nasz autor równie

złowrogo i legendarnie zaczyna swoją powieść „Ogniem i Mieczem“ od owych „znaków na niebie i ziemi zwiastujących jakoweś klęski i nadzwyczajne zdarzenia“, któremi przepełniony był rok 1647. Ale w świetle zdarzeń i zamysłów w przyszłość brzemiennych z lat poprzednich, następna „burza i ruina“ nabiera nowej jeszcze grozy i tragiczności.

Kiedy zachód Europy od trzydziestu lat prawie tonął w morzu krwi i zniszczenia przez wielkie zdrady, srogie najazdy i rozpaczliwe obrony, zmieniające bogate ziemie niemieckie w „arabskie pustynie“, kiedy tam, jak później u nas „płonęły miasta, wsie, kościoły, dwory, a ludzie przestawali mówić, jeno jęczeli albo wyli jak psy“, kiedy reszta świata gorzała dokoła pożarem długich niszczących wojen, „jedna Polska — jak mówił Opaliński — zażywała błogich darów pokoju, i jako bezpieczny spektator z brzegów morza patrzyła spokojnie na szalejącą przed nią burzę bałwanów“. Nigdy naród nie miał tak głębokiej świadomości swego szczęścia, nie czuł się tak wolnym, potężnym, ubłogosławionym zewsząd, jak wówczas[1]. Pokój Polanowski z Moskwą (z r. 1634), rozejm Sztumsdorfski ze Szwecyą na 26 lat (w r. 1635) i z tegoż roku pokój z Turcyą, wszystkie te świetne na pozór powodzenia wojskowe i dyplomatyczne z pierwszych lat panowania Władysława IV., ubezpieczały Polskę chwilowo od trapiących ją obaw i wojen z czasów Zygmunta III. To też jako prawda brzmieć mogły w pamięci i w poczuciu narodu jeszcze i u schyłku rządów Władysławowych owe dumne słowa Jerzego Ossolińskiego w Stolicy świętej, kilkanaście lat temu wobec Papieża Urbana VIII. wyrzeczone, gdy prawił u stóp jego tronu wymowny poseł cycerońską łaciną: „Cokolwiek tedy narodów okrywa północ Europy, jak szeroko od Karpat do Kaspijskiego morza, od Lodowatego Oceanu do morza Czarnego, wszystko to, Ojcze św., za przyklęknięciem Władysława przed tronem Twym upada, bo wszystkie narody tamte albo prawem dziedzicznem do jego Majestatu należą, albo orężem podbite za Pana uznają... A to wszystko największą wspaniałością, a zgoła rzymską cnotą stanęło. Nagrodziliśmy starożytnemu miastu (Rzymowi) srogością

[1] Szajnocha. Dwa lata... str. 246. ed. Warsz. Tom. 8.

przodków naszych obrażonemu, gdyśmy jego prawa i obyczaje przyjęli. Tu (w Rzymie) źródło naszej wolności, słuszności, sprawiedliwości i prawa, ugłaskały dzikość Sarmatów religia i muzy łacińskie... i t. d." Była to prawdziwa „Pax Romana", mówi słusznie Szujski, owe dziesięć lat rządów Władysława przed rokiem 1646; tylko na ostatecznych kresach Rzeczypospolitej nie obeszło się i w tym czasie bez buntów Kozactwa i tatarskich, choć mniejszych najazdów, pod Ochmatowem (w r. 1644) skarconych. I kozaczyzna zdawała się już na zawsze zgnębioną, (w r. 1635) gdy Koniecpolski powściągnął bunt kozaków pod Sulimą, i gdy stanął wreszcie *Kudak*, nadzorujący i poskramiający podejrzane ruchy mołojców ku granicom Turcyi, a w r. 1638 ścięto przewódzcę buntu, Atamana Pawluka, i uchwałą sejmu odebrano kozakom wszystkie „przywileje, jurysdykcye, prerogatywy, chcąc mieć tych, których *fortuna belli servavit* w chłopy obróconem pospólstwem". Ale nowa ta konstytucya wywołała nowy bunt pod Ostrzaninem i Hunią (w r. 1638), wprawdzie znowu stłumiony przez Koniecpolskiego i Jeremiego Wiśniowieckiego, niemniej przeto jednakże sprawa kozacka była zawsze jeszcze kwestyą otwartą, nierozstrzygniętą i niepokojącą. Tak więc ów sławiony pokój w Rzpltej polskiej wystawionej zewsząd na tak rozlicznych nieprzyjaciół, nie był w gruncie pokojem zupełnym, niczem nie zamąconym, — a zwłaszcza w ostatnich latach panowania Władysława, gdy król gotował wielką na Wschód wyprawę.

Ten właśnie „zamysł królewski" apoteozowany przez Szajnochę w osobie króla, ponad wszelką miarę, kosztem dobrej sławy całego narodu, stał się przez śmierć przedwczesną króla ową nieszczęsną puszką Pandory, z której zamiast spodziewanych owoców zenitu chwały i potęgi dla Rzpltej, wypadły na kraj nasz nieobliczone klęski i upokorzenia, z jakich się już nigdy potem otrząść naprawdę nie zdołał, a których straszny początek tak żywo nasza powieść kreśli.

„Król Władysław IV. uważał się zawsze w wyobraźni swojej za mocarza, jakim się na początku panowania swego był ogłosił w Rzymie *Urbi et Orbi* przez usta posła swego, a później kanclerza; uważał się za prawego dziedzica Moskwy i Szwecyi i za powołanego do złamania potęgi Islamu i wyparcia półksię-

życa z granic Europy. W miarę jednak jak tracił nadzieję, aby wobec szczęścia wojennego Szwecyi sprzymierzonej z Francyą w trzydziestoletniej wojnie mógł odzyskać to, co uważał za ojcowiznę swoją, myśl wojny z Turcyą, na czele europejskiej krucyaty i na razie w przymierzu z Moskwą, przedewszystkiem go opanowała. A że wówczas Polska wojny z Turcyą, ani Turcya wojny z Polską wcale sobie nie życzyły, umyślił więc król, idąc w tem za tradycyą ojca swego, zmusić Rzpltę do wojny, wywołując zaczepkę ze strony nieprzyjaciół. I w tym celu zaraz po zwycięskiej z Tatarami bitwie pod Ochmatowem, zwołał radę senatu, i przeprowadził uchwałę (29 lutego 1645 r.), aby odtąd Tatarom t. z. upominków nie dawać, by ich, lenników Porty do nowych najazdów na Polskę pobudzić, a tem samem w dalszych następstwach pożądany *casus belli* z Turcyą na Polskę sprowadzić. Równocześnie zaś rozpoczął król już wtedy na swoją rękę wojenne przygotowania, kazał budować arsenały w Krakowie, we Lwowie, w Warszawie, sprowadzał inżynierów i rzemieślników z zagranicy i materyały wojenne sposobił.

„Z wiosną 1645 r. wybuchła oczekiwana wojna Turcyi z Wenecyą, ogromna flota turecka, wioząca potężną armię lądową i morską, wyprawiła się na zdobycie wyspy Krety, uważanej za twierdzę i bramę Włoch. Z drugiej strony Islam-Gierejhan, nie otrzymawszy od Polski zwykłych podarków i dowiedziawszy się, że król w uniwersałach na sejmiki i na sejmie Rzpltę do wojny przeciw niemu namawiał, wysłał do sułtana z prośbą o pozwolenie wtargnięcia do Polski wszystkiemi ordami... Jednocześnie zaś z wieścią o bliskiem wtargnięciu Ordy przybył do Warszawy poseł wenecki *Tiepolo* z prośbą o pomoc, żądał on mianowicie, aby król dla rozerwania sił tureckich rozkazał kozakom wypłynąć na Czarne Morze i spalić lasy na wybrzeżach i galery, które tam Turcy budowali.

„Przyszły także do Warszawy wiadomości niewątpliwe, że obaj hospodarowie, wołoski i multański, postanowili korzystać z wojny turecko-weneckiej i zrzucić jarzmo pogańskie; że wysłali w tym celu posłów do króla polskiego, że Grecy i Bułgarzy i inne przez Turków podbite narody zamyślają podnieść powstanie, a wreszcie, że car moskiewski wysyła posła w celu zawarcia ligi

przeciw Tatarom. Z końcem tegoż roku 1645 przybył także do Warszawy hetman Koniecpolski. Jechał on na swój ślub do Rytwian, ale myśląc ciągle o wojnie z Ordą i o zdobyciu Krymu, chciał utwierdzić króla w raz powziętym zamiarze, przedłożyć swoje projekta i bronić ich osobiście tak, aby służyły za dyrektywę w postępowaniu z posłami moskiewskimi, których przybycia się spodziewano. W obecności kilku zaufanych senatorów przedłożył hetman królowi i kanclerzowi swój „dyskurs o zniesieniu Tatarów krymskich w lidze z Moskwą". Oprócz tego przyniósł on królowi zastraszającą wiadomość, którą przed wyjazdem z ziem swoich odebrał, że Kozacy nie chcąc żyć dłużej w takim ucisku i krzywdząc sobie, że im na Morze Czarne chodzić nie wolno, skąd przedtem wielkie odnosili łupy, że wodzów z pośród siebie mieć nie mogą, ale pod tyrańskiemi rządami komisarzy i półkowników polskich zostawają, postanowili jarzmo zrzucić i dobijać się dawnych wolności. A nauczeni doświadczeniem, że sami szlachcie nic nie poradzą, zaczęli oni od niedawnego czasu traktować z Tatarami, obiecując poddać się Hanowi, byle im szczerze na Lachów pomógł. I tylko przez to jedynie, że im Islam Gierej jeszcze nie dowierzał, liga dotąd nie była do skutku przyszła. Hetman Koniecpolski nie widział innego sposobu do rozerwania tych związków, jak przyspieszenie wojny z Krymem i pozwolenie Kozakom wyjścia na Czarne Morze o co właśnie poseł wenecki upraszał. Radził zaś królowi, aby tę wiadomość w największym sekrecie zachować, iżby Kozacy widząc swoje spiski odkryte, nie zechcieli przyspieszyć ligi z Tatarami.

Pobyt i relacye Koniecpolskiego utwierdzały króla w zamyśle wojny tureckiej jako nieodzownej, zezwolił zatem na wyprawę morską Kozaków, o co Tiepolo przedtem bezskutecznie upraszał, i 13 stycznia 1646 r. stanął układ, że Kozacy wypłyną w pierwszych dniach wiosny na 40 czajkach na morze, na co Tiepolo obowiązywał się wypłacić 20 000 talarów zazaz a resztę 40.000 talarów we dwóch latach.

Wszystko więc zdawało się sprzyjać królewskim zamysłom. Zbrojenia się Wenecyi, subsydya ofiarowane od książąt włoskich za pośrednictwem Tiepolego, gotowość kozacka, poselstwo moskiewskie, tatarskie i obu hospodarów, które w tym

czasie rzeczywiście nadeszły, wszystko to zachęcało króla do czynu tem bardziej, że Turcya była rozdartą niepokojem wewnętrznym, zagrożoną wojną domową. W prowincyach jej azyatyckich i europejskich gotowało się powstanie, które Wenecyanie podsycali. Można się więc było spodziewać, że za zbliżeniem się polskiego wojska, wszyscy chrześcijanie w Turcyi, wszystkie uciśnione ludy zamienią skargę w okrzyk radości i rzucą się w ramiona oswobodziciela. Spodziewał się też król, że Papież i cesarz i książęta włoscy i niemieccy, że Francya, Hiszpania a nawet Szwecya poprą jego zamiary. Chciał Persyę i Marokko nakłonić do wojny z sułtanem, liczył, że Moskwa po zdobyciu Krymu da mu posiłki... słowem zamyślał poruszyć cały świat i na czele chrześcijańskich monarchów zniszczyć potęgę półksiężyca i na jej gruzach odbudować cesarstwo wschodnie!“ [1].

Nawet i nowe małżeństwo króla, które właśnie w tym czasie zawarł z Maryą Ludwiką Gonzagą, córką księcia de Nevers, wchodziło w te plany. Książe uważał się za dziedzica Paleologów i występował nawet jako pretendent, małżeństwo to więc ze spadkobierczynią pretendenta, było aż nadto znaczące. Wypowiedział myśl króla wyraźnie kanclerz Ossoliński, gdy przy wjeździe królowej do Warszawy (10 marca 1646 r.) powitał ją w imieniu króla w kościele temi znaczącemi słowy: „Korona polska otoczy nowym blaskiem prześwietny ród Twój, w którym drga ostatnia kropla krwi Paleologów, z pewną przy pomocy Boskiej nadzieją, odzyskania dawnej potęgi“, a nawet w urzędowym akcie oprawy królowej stały słowa: „w rodzie jej widziano złączone imię, nadzieję i świetność cesarstwa wschodniego“, a wróżbici i astrologowie, tak wielką rolę grający w owym czasie, przepowiadali jej już dawno koronę grecką; król zaś tego rodzaju przepowiedniom wierzył i sam sobie także nieraz przyszłość w gwiazdach czytać kazał, i jemu też gwiazdy podbój państwa ottomańskiego wskazywać miały.

Tak przedstawia się ów wielki „zamysł“ króla Władysława wśród pierwszych przygotowań do wprowadzenia go w życie,

[1] Kubala. Jerzy Ossoliński. Tom II.

według ostatnich skrzętnych badań p. Kubali, do którego książki o Ossolińskim po bliższe jeszcze szczegóły odsyłam.

Król mawiał, że go *fatum* jakieś na wschód ciągnie, byłoż to tylko przywidzeniem zbyt rozbujałej żądzą sławy wyobraźni schorzałego monarchy?

Dziś kiedy rzecz dawno skończona, akta procesu zamknięte i Polska wymazana z karty Europy, możemy w świetle całej przeszłości naszej i późniejszej katastrofy przyjść do wyraźnego przekonania, że od czasu połączenia się z Litwą i Rusią, od czasu Jagiellonów Polską, stawszy się wielką rzeszą narodów na wschodzie Europy, rzeszą, zasobami ludności i przestrzeni opanowanej dorównującą zachodniej rzeszy germańskich ludów, miała przed sobą w szesnastem i siedemnastem stóleciu, do spełnienia pod karą śmierci, to samo zadanie jakie Niemcy w swoim czasie spełniły na zachodzie. Polska, doprowadziwszy różnorodną rzeszę swoich ludów w przeciągu dwóch wieków orężem, pługiem i kulturą do dziwnie zwartej, łacińskiej i szlacheckiej jednolitości cywilizacyjnej, o niezmiernym zasobie przyrodzonych sił ekspenzywnych, które czekały tylko na swego Karola Wielkiego, ta Polska miała przed sobą z logiki faktów własnych dziejów swoich koniecznie wypływającą tę alternatywę, to fatalne *aut, aut:* albo, rozwinąwszy całą swą potęgę, stanąć na długo jako odnowione Wschodnie Imperium Rzymskie na gruzach bizantyńskiego cesarstwa i ottomańskiej porty, — albo inaczej... zginąć politycznie pod ciosem tejże samej żywotnej idey podniesionej wrogo i zwycięsko przeciw niej przez kogo innego, jak to się też rzeczywiście stało przez Piotra W. Bo jak Rosya tylko przez tę bramę korony wschodniego cesarstwa bizantyńskiego wypłynęła jako wielkie mocarstwo na widownię powszechnodziejową, tak też i Polska w swoim czasie innej do tego drogi ni bramy nie miała, jak przez tę samą ideę wschodniego cesarstwa, ale z poprawką: Unii z Kościołem rzymskim i sławiańsko-łacińskiej, a nie bizantyńsko-greckiej kultury.

Była ta idea wyraźnem przekonaniem królów polskich od Stefana Batorego, a po części już nawet od Warneńczyka, w tem poczuciu, że koniecznie trzeba zagarnąć Moskwę i półwysp bałkański z Carogrodem. I Stefan Batory, gdy po śmierci Iwana

i Fiedora gotował się do wielkiej na wschód wyprawy, nie tak dalekim był już od spełnienia tego zadania, którego przedwczesna śmierć dokonać mu nie pozwoliła. „Wielkość Moskwy zgasnąć mogła w ostatnim dziesiątku lat tego wieku“, mówi rosyjski historyk *Karamzyn*, opisując tę chwilę dziejową, bo Stefan gotów był „oburącz“ pochwycić sposobność, a złączywszy Moskwę z Polską albo na korzyść swoją przeistoczywszy ją, na czele zjednoczonych sił chrześcijańskich, odnowić zapasy z Islamem, pójść do Stambułu, gdzie także podówczas ułatwiały sprawę niezgody jawiące się między Portą a Tatarami. Zakładał on sobie wszystkie ludy chrześcijańskie z pod jarzma półksiężyca wyswobodzić, a Papież Sykstus V. utwierdzał go w powziętej myśli własnoręcznymi listami. Król Stefan wiedział dobrze, że droga do Stambułu na Moskwę prowadzi.

A jakże blizko spełnienia tego samego zadania postawiła opatrzność Zygmunta III., gdy syna jego Władysława obrano carem (w r. 1610) ale i tego, przez naród, prawda, należycie nie poparty, nie umiał wyzyskać i zmarnował sposobność bezpowrotnie.

Otóż najwyraźniej z tą samą myślą Batorego, nosił się król Władysław IV., ze świadomym sobie, jak widzieliśmy, celem odnowienia wschodniego cesarstwa, siłą Polski w pierwszym rzędzie, i sprzymierzonych książąt chrześcijańskich. A gdy mówił król, że to jest jego przeznaczeniem, że *fatum* go do tego ciągnie, musimy widzieć w tem, może niezupełnie samowiedne, ale instynktowe poczucie powszechnodziejowego zadania Polski, płynącego z rdzenia jej dziejów, jakie król z wysokości tronu lepiej niż inni mógł widzieć i pojmować; — bo istotnie tylko w tem była Polski droga i żywot, a inaczej śmierć polityczna i rozkład prędzej czy później.

„Rzeczpospolita nie umie użyć swych sił i sama o nich nie wie, ale jest potęgą olbrzymią. Gdyby jaki człowiek schwycił w ręce tę potęgę, wtedy ktoby mu się oparł? A któż mógł zgadnąć, czy straszne niebezpieczeństwo, czy bliskość przepaści i zguby nie potłumi zamieszek niezgody wewnętrznej, prywaty, zawiści panów, warcholstwa, gadanin sejmowych, swawoli szlacheckiej, bezsilności króla? Wtedyby pół miliona, samego her-

bowego ludu, mogło ruszyć w pole.... O tej uśpionej potędze Rzpltej wiedział król Władysław, i dlatego całe życie pracował nad tem, by z największym w świecie mocarzem rozpocząć walkę na śmierć, bo tylko w ten sposób potęga owa przywołaną do życia być mogła. Gwoli temu przekonaniu nie wahał się król rzucać iskier na prochy kozackie... rozumiał i to także, jak mimo całej słabości strasznym był opór tej Rzpltej. W taką bezładną, źle powiązaną, rozdartą, swawolną, nierządną, biły przecież nieraz najgroźniejsze ze wszystkich, fale tureckie — i rozbijały się o nią jak o skałę. Tak było pod Chocimem, na co własnemi patrzył oczyma"... Powyższa domniemana przyczyna obaw Chmielnickiego po Korsuńskiem zwycięstwie jego nad Hetmany (Ogniem i Mieczem Tom I. str. 360), czyż nie z tem większą jeszcze słusznością mogła była w swoim czasie żywić najśmielsze królewskie plany i nadzieje?

Ale nie dosyć mieć wielki zamysł i czuć jego konieczność i siły potemu, trzeba prócz tego mieć szczęście i umieć go przeprowadzić; przysłowia *in magnis voluisse sat est*, nie można stosować do monarchów, odpowiedzialnych za losy narodów. Zadanie ciążące nad Polską za czasów Władysława było już stokroć trudniejsze, niż za jego poprzedników, bo tymczasem Moskwa tą samą ideą wschodniego cesarstwa żyjąca, (od Iwana Wasylewicza ożenionego z córą Paleologów w r. 1472) urosła w siłę. A król nie był geniuszem, co gorzej, rozwiązłem życiem od młodości stargał zdrowie ciała i duszy, ciągłymi bólami nękany, gdy był w domu prawie nie wstawał z łoża, a gdy mógł wstać, rzucał się w odmęt uciech, łowów i zabaw, póki siły starczyły i żył rozrzutnie i nieopatrznie, nic więc dziwnego, że wielkie zamysły jego, tajemnicą osłaniane, wyglądały na *aegri somnia*, i że naród mu nie ufał. Bo też i dziwnie sobie poczynał, a środki jakich się król imał, by swoje plany urzeczywistnić, były iście hamletowskiej natury, prowadziły bowiem do wprost przeciwnych rezultatów, niż sobie zamierzał. Chciał cały naród porwać do wielkiego czynu, i rzucić wszystkie siły Polski na wschód w odmęt niebezpiecznej wojny; jedynie polskiemi siłami, polską krwią mógł zwyciężyć, a najmniej dbał o pozyskanie mas, albo przynajmniej przewódzców narodu, dla swych wielkich planów. Oto-

czył się cudzoziemcami, Włochami, awanturnikami z całego świata, którymi się w pierwszym rzędzie we wszystkiem posługiwał, wierząc w siłę małej dworskiej gabinetowej intrygi, jaką w Rzeczypospolitej rządzić było najtrudniej. Jestto jeden z najciekawszych rozdziałów książki p. Kubali o Jerzym Ossolińskim, gdy charakteryzuje nam tych mnogich rezydentów Włochów, jacy się wówczas na dwór polski do Warszawy pościągali. Taki *O. Waleryan Magni*, teolog, astrolog, filozof, milczący i pokorny mnich kapucyn, który chciał zostać Papieżem, i gadatliwy brat jego młodszy *Franciszek Magni* dyplomata, który miał nadzieję zostać królem gdzieś na wschodzie, po szczęśliwie odbytej polskiej kampanii z Turkami; albo *Fantoni, natione Italus, sorte plebejus, ingenio poeta, conditione musicus*, który z muzykanta został kanonikiem i sekretarzem króla do spraw najtajniejszych, wreszcie Jan Babtysta *Tiepolo*, poseł wenecki, potomek księcia Kandyi z r. 1212. i domniemany dziedzic tej wyspy, w razie szczęśliwego zakończenia wojny, oto towarzystwo, z którem król był najbliżej, z nimi najwięcej przestawać lubił, bo z nimi najswobodniej o swych planach wojennych rozmawiał, „oni tylko mają wolny przystęp do pana, mawiali współcześni, odźwierni pilnują podwojów i nie ustąpią, nie uchylą portyery nikomu, póki im kto z tych „wielkich“ nie każe“. Prócz tego utrzymywał król i po obcych dworach agentów jak Scatoni, Forbes, Ursi, Paccitelli, Buchalino, Bausidius.

Z polskich panów jeden kanclerz posiadał największe jego zaufanie, (a i z nim nie we wszystkiem był szczery) i hetman Koniecpolski, najbardziej był wtajemniczony w królewskie zamysły, a osobą swoją dawał najwięcej rękojmi, że cała sprawa dobrze będzie pokierowaną. Ale tego zabrał Bóg w najkrytyczniejszej chwili!

„Hetman był przyjacielem króla, i miał wielki wpływ na szlachtę, a ustaloną władzę nad wojskiem. Czujnością swoją trzymał w posłuszeństwie Kozactwo, a w ręce swoje ujął wiele sekretnych nici, służących zamysłom królewskim; zastąpić go było niepopobieństwem. Był to wielki wojownik i znakomity gospodarz, wspaniały i dobroczynny, pełen ognia i geniuszu, czynny, mężny i słowu swemu wierny, w dochowaniu sekretu

scisły, w przyjaźni nieomylny; brzydził się kłamstwem, szanował prawa i obyczaje ojczyste, a cnotom swoim dodawał blasku wielką nauką i dowcipem. Szlachta widziała w nim stróża praw i bezpieczeństwa Rzpltej... Ci którzy wiedzieli o projektach królewskich i obawiali się zmienności, choroby, a wreszcie śmierci królewskiej, w nim całą nadzieję szczęśliwego zakończenia sprawy pokładali, a wielu było takich, co ze śmiercią Koniecpolskiego koniec Polski przepowiadali. Hospodar wołoski z przerażeniem przyjął wiadomość o jego zgonie i wyrzekł te prorocze słowa: „Wy Polacy nie wiecie jeszcze coście stracili, ale nie minie dwa a najdalej trzy lata, kiedy nie tylko wy, ale całe chrześcijaństwo żałować będzie straty tak wielkiego senatora i hetmana“ [1]. W kilka tygodni po jego bytności w Warszawie (w styczniu 1646 r.), o której mówiłem wyżej, i po ślubie z panną Opalińską, spadła jak grom wieść o jego śmierci na ucztujący dwór i całą Warszawę na weselu córki Ossolińskiego. Król, którego podagra w łóżku trzymała, „płakał nad tą stratą, niewypowiedzianie zmartwiony, pisze Tiepolo, był między trwogą i nadzieją co dalej nastąpić miało, lękał się bardzo buntu Kozaków, którym groził Koniecpolski, a który zniszczyłby wszystko“ [2]. I rzeczywiście było czego się obawiać, gdyż po śmierci Koniecpolskiego, każdy niemal krok królewski naprzód, był nowym błędem. Otóż lękając się buntu kozackiego, „który zniweczyłby wszystko“, wysłał król nad Dniepr co prędzej Hieronima Radziejowskiego, który udał się tam do swego dawnego znajomego, do assawuły Barabasza i temu oddał pismo, w którem król zapewniał, że Kozacy do dawnych praw przywróceni zostaną, a Barabasz uwiadomił o tem znaczniejszych Kozaków, mianowicie kuma swego Bohdana Chmielnickiego, używającego już wielkiego miru między Kozactwem. Jego to Radziejowski szczególnie królowi polecił.

Inaczej byłby go polecił Koniecpolski gdyby żył, bo znany mu był setnik Czechryński Chmielnicki jako ten, co już od dawna konszachty z Tatarami utrzymywał. Przez dwa lata niewoli w Krymie przyuczył się Bohdan języka tatarskiego i tu-

[1] Kubala. Jerzy Ossol. Tom II.
[2] Ibid.

reckiego i obyczajów tamtejszych tak dobrze, że między Tatarami później za tajemnego wyznawcę Mahometa mógł uchodzić, nie zapomniawszy przytem i łaciny ze szkół kijowskich i kolegium Jezuickiego w Jarosławiu, czy we Lwowie. Niebawem po uwolnieniu się z więzów niewoli, pociągnęła go ochota rycerska w pomoc Czehin-Gerajowi do Krymu, a „dopiero później dowiedziano się i o jego dawnych z bejem perekopskim Tuchjem kointeligencyach, niewiadomo jakiemi czarami czy jakąś fatalnością niedostrzeżonych". Dobrze więc znane były Chmielnickiemu najskrytsze drożyny „na dół", jak u Kozaków znano powszechnie półwysep krymski, gdzie mógł on zawsze znaleźć przyjaciół. Już w ciągu r. 1645 dojrzał między Kozakami zamysł powstania z pomocą tatarską, o czem właśnie relacyonował królowi Koniecpolski za ostatniego pobytu swego w Warszawie, a nie była to rzecz nowa między Kozakami, owe z Tatarami porozumienia, bo już w latach 1623—25, bratali się Kozacy z Ordą, a i po jednym ze wspólników Ostrzaninowych, Atamanie Huni pozostał list do sułtana Gałgi, w którym (dnia 26 lutego 1635 r.) upraszał Tatarów o posiłki przeciw Lachom. W r. 1646 zawiązały się jeszcze ściślejsze rokowania z Ordą o przymierze i wspólną wojnę z Koroną, a raczej ze szlachtą. Tajni donosiciele Koniecpolskiego wpadli na trop tych układów. Nie wiadomo wprawdzie, kto jako herszt spisku wskazanym został, ale to wiadomo, że hetman najbardziej Chmielnickiego się obawiał, a czując się bliskim śmierci, miał wyrzec w gronie poufnych przyjaciół, iż „spokojniej rozstawałby się z tym światem, gdyby przed śmiercią ubezpieczył był Ukrainę od Chmielnickiego" [1].

Zapewne więc inaczej niż Radziejowski byłby Koniecpolski polecił królowi Chmielnickiego, który z wiosną 1646 r. z Barabaszem, Eliaszańką i Nestoreńką do Warszawy przybył, gdzie zaraz powołano ich wszystkich w nocy na pokoje królewskie na tajną naradę, którą według późniejszych zeznań więźniów kozackich na sejmie elekcyjnem po śmierci króla (6 lutego 1684) „odbył król z siedmią rajcami i Kozakami". Wtedy to żądał król, aby Kozacy byli gotowymi lądem i morzem na nieprzy-

[1] Szajnocha. Dwa lata z dziejów naszych.

jaciela, którego miał nie wymienić [1]. Kozacy mieli ofiarować 50,000 ludzi, „a każe król, mówili, stanie i 100,000 na jego skinienie“, za co król obiecał, że ich do dawnych przywilejów przywróci, i że liczbę regestrowych do 20,000 podniesie. Układy te odbywały się w największej tajemnicy, i jeśli mamy wierzyć słowom Radziejowskiego, to nawet Ossoliński o obietnicach danych wówczas Kozakom przez króla nie wiedział [2]. „Ażeby i Czarnem Morzem Krym nie miał ze Stambułu posiłków, część Kozaków zaporoskich miała iść czółnami dla infestowania Ponti Euxini, i powstrzymywania posiłków, jeśliby które morzem przyjść chciały“ [3]. Hetmanem nowego wojska mianowany został Barabasz, Bohdanowi zaś przypadło ważne pisarstwo polne i naczelne dowództwo w wyprawie morskiej. Za godło nowego porządku rzeczy, przyjęli nowi naczelnicy kozaccy z rąk króla chorągiew błękitną z orłem na pół białym na pół czerwonym i buławę hetmańską turkusami sadzoną. Zaś na uzbrojenie czółen otrzymali 6,000 talarów z weneckich pieniędzy, a do wszystkiego przydano kilka listów królewskich z poświadczeniem udzielonych swobód, które dopełniły miarę zadowolenia. Owe to listy wydarł później podstępem Chmielnicki Barabaszowi, by z niemi na Sicz uciec, i rozpocząć bunt niejako w imieniu króla przeciwko panom i szlachcie. I tak Chmielnicki, który pzybył do Warszawy, może tylko w nadziei odzyskania słobódki wydartej mu przez Czaplińskiego, wrócił do Sobótowa z wysokim urzędem wojskowym, który pod pewnym względem dawał mu władzę książęcą nad ludem, bo dawał mu wolność werbowania wojska. Sam król więc, nie mogąc wcale jeszcze na pewne liczyć na to, że wojna z Turcyą przyjdzie do skutku, i czy będzie mógł siłę kozacką użyć po swej myśli, wbrew prawom i ostatnim konstytucyom Rzpltej względem Ko-

[1] Pastorius str. 55 Chmielnicki ad belli in non nominandum hestem movendi secretum erat admissus. Cyt. Kubali.

[2] Dyaryusz Oświęcima Rkpis Ossol. 224 str. 868. (Cyt. Kubali).

[3] Linage de Vauciennes słyszał to od samego Radziejewskiego (l'origine véritable du soulevement des Cosaques contre la Pologne. Paris 1674). Linage spotykał się w Paryżu w domu księcia d'Arpajon z wygnanym z Polski Hieronimem Radziejowskim i słyszał z ust jego, że był na Ukrainie, gdzie przywiózł Barabaszowi listy królewskie (Cyt. Kubali).

zaków, uzbroił ich, posądzanych już o związki z Tatarami, za weneckie pieniądze, a tem samem tlejące już zażewie buntu najskuteczniej rozniecił.

Żeby król albo kanclerz już wtedy umyślnie wojnę domową na Ukrainie chciał wywołać, aby siły Rzpltej tem łatwiej na Wschód porwać, i przezto swój zamysł do skutku doprowadzić, a oraz i anarchię szlachecką przykrócić i władzę monarszą wzmocnić, wydaje mi się to nieprawdopodobnem przypuszczeniem. W onym sekrecie belli *in non nominandum hostem*, do którego, jak pisze Pastorius, Chmielnicki wówczas miał być przypuszczonym, tkwiła oczywiście wojna z Turcyą, przygotowywana dotąd w największej tajemnicy pod pozorem wojny ze samem tylko Tatarstwem, i nic nie uprawnia nas do tego, żeby już wówczas pod owym „nieznanym nieprzyjacielem“ rozumiano kresowych możnowładzców.

Później dopiero, gdy sejmy z r. 1646 i 47 nową konstytucyą króla skrępowały i rozpuszczenia cudzoziemskich zaciągów na nim wymogły, zdecydował się król podobno i na to, aby zarzewie buntu kozackiego na korzyść swego zamysłu wyzyskać [1], i w tym celu wysłał w lecie 1647 r. na Ukrainę aż samego Ossolińskiego, aby z Chmielnickim i Kozakami w ściślejsze jeszcze wszedł porozumienie. „Chcąc podnieść raz jeszcze swój dawniejszy zamysł wojny z Turcyą, pisze Piotr Chevalier, według tego co słyszał z ust ówczesnego posła francuskiego na polskim dworze *de Bregy*, był król w porozumieniu z Chmielnickim, i tenże działał za jego wolą i rozkazem podnosząc bunt w tym celu, aby król miał powód do zebrania wojska przeciw Kozakom“, bo będąc raz na wschodzie ze swą armią i ułożywszy się na prędce z Kozakami z ich zadowoleniem, mógł potem pójść zazem z nimi i dalej. I stąd było u Kozaków powszechne przekonanie, że choć podniosą bunt przeciw „królewiętom“, król się o to gniewać nie będzie. Ale na wiosnę roku 1646 sytuacya w Rzeczypospolitej była jeszcze taka, że na wojnę tatarską łatwa była zgoda, a na

[1] Według świadectw Grondskiego, Kemenego, Piotra Chevalier, Gazette de France z r. 1648 i Jabóba Sobieskiego, który słyszał z ust samego Chmielnickiego „iż król kazał im wolności szablą dobywać“ (Michałowski, księga pam. str. 120.

otwartą wojnę z Turcyą niepodobna. Wiedział o tem dobrze Ossoliński, i dlatego całą wyprawę na Wschód li tylko pod pokrywką wojny z Ordą przygotowywał, by ją niebawem rozpocząć. Rzeczy nawet zaszły już tak daleko, że w końcu lipca 1646 r. miał król ruszyć do Lwowa, 4 sierpnia miał się połączyć z hetmanem Potockim i ruszyć ku Kamieńcowi, stamtąd miał hetman z częścią wojska i pańskimi poczty, których miało być 30.000, iść dalej ku Dnieprowi, by tam w połączeniu z Moskwą stanąć przeciw Tatarom. Król zaś w 40 kilka tysięcy kozaków miał iść między Dnieprem, Bohem i Dniestrem na Oczaków, Białogród i inne pobliskie miasta nadmorskie, by wytępić Tatarów Budziackich, a przytem także i Turcyą zaczepić. Aby zaś Turcy lądem nie przeszkadzali, obiecali hospodarowie Multański i Wołoski przejścia przez Dunaj bronić. Taki był plan kampanii na r. 1646. Wszystko było jak najlepiej przygotowane, prawną podstawę ewentualnej wojny z Turcyą wyszukał Ossoliński w niedopełnieniu przez Turcyę jednego z głównych artykułów pokoju z r. 1634, względem Budziackich Tatarów, których porta obowiązała się była przesiedlić, a ich koczowiska spalić, czego wcale nie zrobiła. Król zaś zasłonięty był konstytucyą, obowiązującą go „do odwracania niebezpieczeństw grożących Rzpltej ze strony Tatarów“ [1]. Na tym fundamencie jedynie mógł król pod pozorem wojny odpornej, rozpocząć wojnę zaczepną. Po takim czynie Rzplta musiała w koniecznych następstwach przyjąć wojnę z Turcyą, jeśli nie chciała czekać na straszną zemstę sułtana. Ale wszystko zależało od tego, żeby się z tym dalszym zamiarem wobec całego kraju nie zdradzać, i tylko wojnę przeciw Tatarom mieć na ustach. Tymczasem król popełnił znowu wielki błąd, który wszystko popsuł. Będąc najlepszej myśli, po przedstawieniu komedyi w zamku w Warszawie 29 kwietnia, popłynął w nocy statkiem z żoną do Strzembowa na polowanie i tam pod naciskiem Tiepolego, (który jak najprędzej cały ciężar wojny tureckiej z Wenecyi na Polskę chciał zrzucić), zdecydował się król otwarcie z ogłoszeniem wojny przeciw Turcyi wystąpić, i 9 maja wróciwszy z polowania, rzeczywiście publicznie ją zdeklarował i z gwałtownym pośpiechem ostateczne przygotowania wojenne poczynał, myśląc, że faktem dokonanym naród porwie i pokojową

[1] Kubala. Ibid.

opozycyę w kraju stłumi. A było to prawdziwie Hamletowem pchnięciem szpadą, którem król zamiast zabić Turka, zabił Polonię i zgubił cały swój zamysł, gdyż dopiero przez to zrzucenie maski, opozycyę w całym kraju najgwałtowniej przeciw sobie obudził. Nawet kanclerz przeciw królowi teraz stanąć musiał, i odmówić pieczęci na zaciągi wojsk przeciw Turcyi wbrew traktatom i prawom Rzpltej. To samo zrobił kanclerz litewski Radziwiłł, a za nimi wszyscy magnaci, biskupi i senatorowie. Co gorsza, rzecz cała poszła teraz przed forum krzykliwych sejmów i sejmików, na pastwę niskich anarchicznych namiętności, plotek i waśni społecznych, i cały ów tak misternie przez kanclerza ułożony plan poszedł w odwłokę, z największą ujmą powagi tronu i zdrowia Rzeczypospolitej.

Najpoważniejszym wyrazem powszechnej opozycyi w kraju, był list do króla przez pierwszego podówczas magnata polskiego księcia Stanisława Lubomirskiego wydany: „.....Do nóg W. Kr. Mości upadłszy, pisał ów pan na Wiśniczu, suplikuję pokornie, abyś seryo rozważyć raczył.... czy się to wszystko nie dzieje z naruszeniem praw i swobód naszych, czy poprzysiężona przez WKM. deklaracya o niezaciąganiu wojsk i podnoszeniu wojny bez wiedzy Rzpltej nie zostanie naruszoną, czy słusznie niestałe rady cudzoziemców przekładać nad domowe fundamentalne, życzliwe i doświadczone, jak gdybyśmy się WKM. sprzeniewierzyli kiedy, albo na podobnych przedsięwzięciach nie rozumieli, albo serca do śmiałych czynów nie mieli. Proszę WKM. chcieć łaskawie przebaczyć słusznemu żalowi, który tę uniżoną suplikacyę wyciska na mnie w tym celu, abyś zachował w poszanowaniu, jeśli nie dobro ojczyzny, jeśli nie prawa i swobody nasze, tedy przynajmniej wiarę królewską, tę ozdobę monarchów i podporę państw.... Jeśli zbyteczna żądza chwały podnieca do zwycięstw i tryumfów, czemużby nie ze swoimi raczej, niż z obcymi obmyślać podobne zamiary“?

„Że cudzoziemcy zdadzą się WKM. wygodniejsi do posług domowych, że sposobniejsi do prowadzenia spraw na dworach panów chrześcijańskich, że do prywatnych rad oni tylko bywają przypuszczani, mniejsza to jeszcze — nie tyle im tego zazdrościmy, ile się temu dziwimy; ale kiedy idzie o zdrowie ojczyzny,

kiedy wolność i majątki nasze w niebezpieczeństwie, kiedy porządek Rzpltej mięszać się poczyna — dla Boga! tu jużby nam należało mieć pierwszy głos w radzie i więcej na doświadczonej cnocie naszej i odwadze polegać, niż na pomysłach niedojrzałych dojutraszków. Niemasz przykładu, aby Rzplita czego panom swoim odmówiła, ilekroć ją o co należytym sposobem prosili i dziś dług wdzięczności WKM. wypłacić gotowa, niedając się w tem wyprzedzić cudzoziemcom, którzy własnym interesem cudze sprawy mierzyć zwykli.... Jeśli nam wojować przyjdzie, ja pewnie nie zepsuję ochoty i owszem przykładem będę dla drugich, mam też i synów, którzyby mię zastąpili, bylem wiedział co to wżdy za wojna, na którą u nas przez munsztuk trąbią: a gdzieindziej głośniej, bo nietylko przygotowania ale i plan kampanii i ledwo nie rozkazów o przeglądzie wojsk, o prowadzeniu pułków, o lidze z postronnymi nie drukują, a my o niczem nie wiemy, choć o naszą skórę idzie i na nasze włosy gości nam stręczą ci, którzyby się tem uchronili sami radzi. Obawiam się, abym wolnym głosem nie zdał się grzeszyć przeciw Majestatowi WKMci, ale żem dobrodziejstwami dla domu WKM. obowiązany, dlatego tem poufalej wnoszę przed WKM. nie obwinienia, ale przestrogę i ufam, że przyjdzie czas, kiedy WKM. uznasz różnicę między tymi, coć się chcą przypodobać, a między wiernymi i życzliwymi poddanymi swymi“ [1].

Dokument ten jest najlepszą illustracyą ówczesnej chwili tragicznego nieporozumienia między królem a narodem, które wywołało długą burzę sejmową (z r. 1646 i 47) równającą się prawie rewolucyi, a w dalszem następstwie pociągnęło za sobą straszną wojnę domową, uzbrojoną nieopatrznie przez samego króla. A gdy do tego jeszcze przyszło największe nieszczęście, jakie wówczas naród spotkać mogło, nagła śmierć króla w chwili, gdy już on jeden tylko, nawet po Żółtych wodach i po klęsce Korsuńskiej jeszcze mógł był zostać panem sytuacyi i samem pojawieniem się na Wschodzie całą burzę zażegnać, niszczącą nawałę w inną odwracając stronę, — zapadł już wtedy ostatecznie nad Polską wyrok Opatrzności, że wielkiej misyi swojej powszechno-dzie-

[1] Cyt. Kubali. J. Ossol. Tom II.

jowej spełnić nie zdoła, i że jej całe dzieje polityczne, od Bolesławów szczęśliwie poczęte, przebrzmią, jako zarysowany i założony pięknie i szeroko, ale nigdy nie wykończony, kolosalny szkic Wschodniego Imperium Mundi, które tymczasem komu innemu, na innych wcale podstawach, dostało się w udziele.

Kończę już ów pobieżny komentarz z dzieł historyków wyjęty, jakoteż własne uwagi nad ową najbardziej stanowczą chwilą przełomu w naszych dziejach, którą autor „pow. z lat dawnych“ obrał sobie za punkt wyjścia dla swojej twórczości. Boję się, że i tak już nadużyłem cierpliwości łaskawych czytelników, lecz chciałem naprzód złożyć dowód, jak dalece autor w ówczesną atmosferę wypadków, tajemniczych zamysłów i panujących w Rzpltej obaw i nadziei wniknął, gdy w pierwszych rozdziałach swej powieści każe n. p. mówić Zaćwilichowskiemu: „Wszystko to furda, jeśli, jak mówią, wojna z Bisurmanem praeparatur, a podobno że tak jest, bo choć Rzplta wojny nie chce i nie mało już królowi sejmy krwi napsuły, wszelako król może na swojem postawić“ (str. 48 T. I.), albo (str. 50 T. I.). „I przez takiego to starca (Barabasza), warszawscy statyści chcieliby Kozaków w ryzie utrzymać. Bóg z nimi. Ufali też i samemu Chmielnickiemu, z którym kanclerz w jakoweś układy wchodził, a któren podobno srodze ufność zawiedzie“, albo wreszcie gdy mówi sam Chmielnicki do Siczowego Towarzystwa: „Moście panowie! Z łaski przychylności i dyszkrecyi Najjaśniejszego cara krymskiego, pana wielu ludów etc... z pozwolenia miłościwego króla Władysława i dobrej ochoty odważnych wojsk zaporoskich, ufni w naszą niewinność i sprawiedliwość Bożą, idziemy pomścić strasznych i okrutnych krzywd naszych“ i. t. d. [1]... Chciałem też zarazem szczególny tu położyć nacisk na ważność ówczesnej chwili naszych dziejów, gdyż właśnie w tej ze wszechmiar wyjątkowej tragiczności historycznego przedmiotu, w którego rdzeni powieść „Ogniem i Mieczem“ jest zawarta, widzę wytłumaczenie sekretu, dla czego ta powieść tak dziwnie i tak żywo pobudza wszystkie władze naszej duszy, bardziej niż niejedno dzieło historyczne, do zastanowiania się nad tą jedyną w swoim rodzaju

[1] Taką samą wierność atmosfery historycznej można stwierdzić w całem dziele. (Przyp. Recenzenta).

historyą, jaką są Polski dzieje, i nad tajemnicą losów narodu, który choć w ciągu kilku wieków tak świetnie, na najprawdziwszym gruncie cywilizacyjnym się rozwijał, tak wielkie rokował nadzieje, przecież jako państwo zginął, — a jako naród żyć nie przestał! — I nie przestanie, dopóki nie zatraci w sobie godności powszechnego poczucia się w tradycyjnej jednolitości cywilizacyjnej, językowej, religijnej... a co nas jeszcze czeka w pomroce dalekich wieków przyszłości, wie tylko Ten, „dla którego lat tysiąc, jest jakoby dzień jeden".

To jednak nie ulega wątpliwości, że nasze dzieje przedrozbiorowe dopiero przez ścisłe, porównawcze zestawienie ich z dziejami wielkiej Rzeszy Niemieckiej — nie zaś z drugorzędnych organizmów państwowych historyą, — staną się dla nas jasne i zrozumiałe, i że naród, co w chrześcijańskiej Europie tak wielką miał przeszłość, — a dotąd żyje z niezastygłą twórczością swego ducha, — ostatniego słowa swego w dziejach świata i cywilizacyi, chyba jeszcze nie powiedział!

IV.

Co najbardziej zapewnia na zawsze pomnikową i poetycką wartość powieści „Ogniem i Mieczem", streszcza się w jednem słowie: język. *Le langage poétique, c'est la poésie même,* powiedziano słusznie. Kto w rodzinnym języku nie znalazł i niema pewnego rodzaju sobie tylko właściwego, a nowego, i pięknego sposobu wyrażania myśli i uczuć, cierpień i działań, ten nie jest prawdziwym poetą, choćby spisał tomy gładkimi wierszami w utartych w swoim czasie konwencyonalnych terminach, formułkach i kadencyach, — jak znowu przeciwnie, kto ten szczęśliwy dar niebios posiada, że włada językiem w oryginalny a piękny sposób, językiem wypowiadającym treść jego własnej indywidualności, i przez to samo odsłaniającym nam niejako nowe strony ludzkiego ducha, ten zasługuje na imię poety, bez względu na to, czy pisze wierszem lub prozą, czyli dramat, epopeja, sonet, powieść jest jego dziełem, czy też jaki genialny szkic naukowy w dziedzinie historyi lub metafizyki. Kamieniem probierczym prawdziwego talentu poetyckiego jest zawsze piękny język, bo

w gruncie: język to poezya! poezya to język! Choćby kto miał nie wiem jak bujną wyobraźnię, a nie wyrobił w sobie posłusznego organu, odpowiedniego języka do oddania swoich pomysłów, może być duszą poetyczną — nie będzie poetą, historya literatury poetyckiej imienia jego z chlubą nie zapisze. Bo też niczem innem, jak dowcipnym paradoksem jest znane słowo Lessinga, gdy mówi przez usta malarza książęcego w tragedyi Emilia Galotti, że „Rafael, choćby bez rąk się był urodził, byłby pomimo to największym malarzem". Rafael bez rąk, a z duszą poetyczną, z plastyczną i twórczą wyobraźnią byłby zapewne, niemogąc inaczej, próbował malować słowami, i byłby może został wielkim poetą, lecz nigdy malarzem, a tak samo nie może być poetą ten, co nie umie malować słowami.

Ale Sienkiewicz jest prawdziwym poetą, bo mamy już dziś osobny a śliczny język Sienkiewicza, którego przyrodzone i pracą nabyte bogactwo w tej ostatniej powieści w całym blasku występuje.

Czemże ten język pow. „Ogniem i Mieczem" tak bardzo nas uderza? jakież są jego szczególne cechy, zalety i znamiona?

Na pozór brzmi on jakby jakiś język staroświecki, tak, iż zdawać by się mogło, że autor pisząc powieść z XVII. wieku, chce przemawiać do nas językiem ówczesnym, lub przynajmniej bardzo do niego zbliżonym, podobnie jak „Imci pan Narwoj" albo Soplica, opowiada swoje dzieje i pamiątki językiem z przeszłego wieku. O taką jednakże intencyę autora „Ogniem i Mieczem", zdaniem mojem, wcale posądzać nie można, i dlatego zarzuty, jakie sam nieraz słyszałem, jakoby autor w tonie języka staroświeckiego utrzymać się nie umiał, same przez się upadają wobec tego, że język „pow. z lat dawnych", język opowiadającego, widocznie nie ma do tego pretensyi, żeby trzymać się ściśle w granicach gamy staropolskiego języka. Sienkiewiczowi było, widać, w tej formie za ciasno, jaką był sobie nałożył w poprzednim małym szkicu swoim: „Niewola Tatarska". Już sam tak wielki przedmiot historyczny, objęty pomysłem pow. „Ogniem i Mieczem" z natury swojej nie mógł znieść więzów formy „Niewoli tatarskiej", to też rozsadził ją, i autor wyrósł z niej na coś więcej, niż na mniej lub bardziej utalentowanego i uczonego wirtuoza w skali dawnego języka. Po-

mimo całej staroświecczyzny, tam gdzie ona jest na miejscu w ustach osób żywo w powieść wprowadzonych, jako w swoim czasie działających, język tej „pow. z lat dawnych“ jest zresztą w gruncie językiem na wskróś nowożytnym, dzisiejszym, a nawet najnowszym, najświeższym, bo niezmiernie wzbogaconym, i jakby ze starego spiżu na nowo ulanym. I w tem właśnie tego języka piękność największa i wartość iście pomnikowa, że chociaż jest on nieraz do najsubtelniejszej polichromii naszych dzisiejszych uczuć i wyobrażeń całkiem dostrojony, nie trzyma się on przecież ani języka naszych poetów z epoki romantyzmu, ani wciska się w obce teraźniejsze wzory, lecz jest bezpośrednio na nowo zaczerpniętym po trosze z tych wszystkich różnorodnych a obfitych źródeł, jakie w kolei wieków, rozlewający się po szerokich ziemiach Rzpiltej rodzimy zdrój żywy polskiego języka zasilać mogły.

Jestto więc, rzekłby muzyk, staropolski nasz język na nowo schromatyzowany, wedle półtonami rozszerzonej skali naszych dzisiejszych pojęć, uczuć i wyobrażeń, jakiemi tak bardzo dzisiaj zaostrzony „zmysł historyczny“ naszego wieku przywykł obejmować, niby przedmiotowo, a przecież po naszemu, przeszłość dawno minioną, pragnąc by nam była tak żywo obecną, jak najbliższa teraźniejszość. I tak znalazł nasz autor dla swej „pow. z lat dawnych“ najświetniejszy językowy wyraz, który umie w oryginalny sposób być razem i nowym, świeżym i klasycznie dawnym, łącząc w sobie woń staroświecczyzny, dawną prostotę i siłę, z upajającym urokiem bujności, czułości i subtelności nowoczesnej.

Wprowadzając nas w świat kresowy „z lat dawnych“, Sienkiewicz niczem nie gardzi, żadnym prowincyonalizmem, ani szlacheckim makaronizmem, ani też żadnym pierwiastkiem gminnych napół dzikich gwarów, które na kresowej polszczyźnie swoje piętno wyciskały; używa jednak wszystkiego z największą miarą. Główny zaś ton barwności języka tej powieści, nadaje ta jakaś nie zawsze wiernie z natury powtórzona, ale dziwnie wyrazista, często urocza kresowa rusczyzna mnogo wplątana nietylko w gotowych czysto ruskich nazwach, wyrazach i dykcyach, i napół ruskich rozmowach kresowych mieszkańców, ale i w opisach natury i w niektórych dramatycznych chwilach powieści tak często nas uderzająca swoim odrębnym, bo ruskiemu tylko językowi właści-

wym szykiem i kadencyą urywanych słów i zdań, które w język nasz szczęśliwie wprowadzone, dodają mu śpiewności i prostoty języka ruskich dumek. A chyba żaden z naszych pisarzy nie rozporządzał większym zapasem słów i nazw na wszystko, i jeśli *copia verborum* ma być niezawodną miarą pisarskiego, poetyckiego talentu, jak twierdzą niektórzy dzisiejsi niemieccy i angielscy uczeni, robiąc mozolne statystyczne zestawienia porównawcze cyfer ilości słów rozmaitych, zawartych w dziełach Szekspira, Goethego, Miltona i t. d., natenczas myślę, że pod tym względem nasz autor nie pozostał w tyle poza największymi, bo jakże bogaty słownik mieszczą w sobie już teraz jego dzieła! ...choć autor jeszcze młody.

Ale ważniejszem jest to, że autor swego bogactwa słów nie nadużywa nigdy do oratorskich lub stylowych popisów, nie robi z języka sztuki dla sztuki, lecz język jest u niego zawsze li tylko wiernym sługą, najposłuszniejszem narzędziem jego twórczej wyobraźni, w jej pracy nad żywem oddaniem przeszłości, natury, duszy ludzkiej. Taki jak jest świetny, ten język pow. „Ogniem i Mieczem", jest on tylko prostym wynikiem naturalnego stosunku, wyjątkowej, dziwnie ze wszystkiem współczującej indywidualności autora do swego przedmiotu.

„Artysta prawdziwy — mówi słusznie jeden z najnowszych estetyków [1] — nietylko zna historyą, przeszłość, on ją widzi. Historya dlań: to charaktery, typy, działania, usiłowania, namiętności indywidualne, które on jasno widzi i odczuwa, to są ludzie w działaniu z całą swą fizyonomią, strojem, ze swym odrębnym sposobem bycia, czucia i myślenia, to są armie i machiny wojenne, wielcy wodzowie i rycerze w strasznej walce ze sobą zmięszani, gdzie mąż uderza na męża, miecz na miecz itd." Powyższe słowa żywcem do Sienkiewicza zastosować można. Pod wrażeniem przeszłości znanej autorowi dobrze ze źródeł, pamiętników, pomników, języka etc., wyobraźnia jego, gdy jest w swym twórczym nastroju, kształtuje mu sama z siebie, z Bożej łaski, mnogie postacie, typy, i to widocznie nietylko w ich zewnętrznej aparycyi, w sposobie ich bycia i ruchu w różnych sytuacyach,

[1] Gabriel Séailles. Essai sur le génie dans l'art. Paris 1883.

coby wystarczało dla malarza, lecz zarazem tak, że autor czuje co one myślą w każdej danej chwili i słyszy wyraźnie co one mówią i jak się wyrażają. Intuicya wzroku, dopełnia się tu intuicyą słuchu, tak że autor potrzebuje tylko podpatrzeć, podsłuchać i zapamiętać to, co mu jego wyobraźnia w gotowej już przędzy wysnuła, by już tem samem módz wiernie i pięknie rzecz oddać. Inaczej nie można sobie wystawić, jak się to dzieje, że postacie tej „pow. z lat dawnych", nietylko że mówią między sobą językiem swego wieku, ale prócz tego każda ma swój odrębny sposób wyrażania się, płynący z jej natury jako typu. Inaczej tego faktu wytłumaczyć nie podobna, jak tylko przypuszczając u poety wyobraźnię syntetyczną, o takiej sile, że widzi, słyszy, czuje swój przedmiot, człowieka do głębi naraz i ze wszystkich stron jego i nie potrzebuje dopiero składać go refleksyjnie, racyonalnie z różnych elementów. Największych zaś cudów pod tym względem dokazała muza Sienkiewicza w postaciach: gaduły Zagłoby, w konceptach i fortelach niewyczerpanego, i tego pół dzikiego, fantastycznego watażki, Bohuna, albo tego małego, pucołowatego pedanta, chciwca i mściwca zaściankowego: Rzędziana; a nie chcę wcale przez to podniesienie trzech, uwłaczać wartości także i innych wielkich lub małych figur bez liku, z których każda własnym mówi językiem.

Wczytując się uważnie w tę powieść, rozkosz prawdziwa śledzić stosunek autora do przedmiotu, który nam przedstawia, stosunek to prawdziwie miłośny. Niepodobna go zbadać, określić, ale przez język utworu przeziera on najwyraźniej. Gdy pamięć autora zatrzymała wiernie w ogólnym charakterze cały zasób skarbów językowych z czytanych źródeł, pomników, z obcowania z ludem itd. poetycka wyobraźnia, na podnietę gruntownej znajomości rzeczy przeszłych, zajmujących autora do głębi, wręcz odpowiada mu twórczo gotowemi postaciami, które roją się mnogo, żyją, działają, mówią, płaczą, walczą, śmieją się, krzyczą... i przejmują autora dreszczem miłości do nich i gorączką podzielenia się ze światem temi wizyami przeszłości, przez które jest on jakby opętanym. I tak powstały te żywe postacie, zachwycające nas sceny i opisy, rozdziały i tomy powieści, pokąd płodna, czarodziejska muza wszystkie te cuda ulubieńcowi swemu w oczy rzucała, w uszy kładła, w myśli snuła i w księgi mieścić kazała.

Działające osoby powieści mówią między sobą po prostu, jakby podsłuchanym i mniej lub więcej zapamiętanym językiem przeszłości, ale za to step, jego szumiące trawy, bujne zioła, kraśne kwiecie, dzikie pola i dzikie dusze; dalej jassyr, czerń rozpasana, srogie walki, podniosłe bohaterskie czyny i okropne zbrodnie i rozpacze, mordy i pożogi, albo echa miłosne i najświętsze uczucia i tysiączne inne rzeczy, mówią do nas także i z tej „powieści z lat dawnych", nowym językiem autora, jego własnym językiem znanym nam już z „Janka Muzyki" i z „Bartka Zwycięzcy", tylko że podniesionym tutaj do jakiejś wyższej skali i potęgi, — zapewne przez długie a tak bliskie obcowanie autora z najmłodszemi dziećmi swojej wyobraźni, z ukochanymi towarzyszami pancernymi XVII. wieku, i z poetycznem choć srogiem i dzikiem Kozactwem.

Ileż klasycznych miejsc chciałoby się tu przytoczyć, aby się niemi nacieszyć! ale trzebaby chyba powtórzyć pół książki. Nie mogę jednak oprzeć się pokusie, żeby przynajmniej tego żywo nie przypomnieć, jak dziwnie pięknie ten sam zawsze step mieni się tu w oczach autora według tego, z kim na nim przebywa w swojej wyobraźni. Gdy na początku niejako on sam wznosi się po nad stepem, obejmując go orlim wzrokiem dziejopisa, mówi o nim: (str. 3. Tom I.)

....Ile tam walk stoczono, ilu ludzi legło, nikt nie zliczył, nikt nie spamiętał. Orły, jastrzębie i kruki jedne wiedziały, a kto z daleka usłyszał szum skrzydeł i krakanie, kto ujrzał wiry ptasie, nad jednem kołujące miejscem, to wiedział, że tam trupy i kości niepogrzebione leżą... Polowano w trawach na ludzi jakby na wilki lub suchaki. Polował, kto chciał. Człek prawem ścigan chronił się w dzikie stepy, orężny pasterz trzód strzegł, rycerz przygód tam szukał, łotrzyk łupu, Kozak Tatara, Tatar Kozaka... Step to był pusty i pełny zarazem, cichy i groźny, spokojny i pełen zasadzek, dziki od dzikich pól, ale i od dzikich dusz....

A dalej nieco, gdy ma się na tym stepie pojawić „duch czy człowiek" koło opustoszałej stanicy, niby syn ciemności, który wyrasta później na „legendowego smoka, którego kroki wyciskały krew, oddech wzniecał pożary", gdy nam autor ma pokazać po raz pierwszy Chmielnickiego, „noc zapada nad pustynią a z nią nastaje godzina duchów", i step roi się od strasznych upiorów, jakimi go nocą napełniała wyobraźnia ludu.

Gdy zaś zakochany Skrzetuski jechał po nim na czele swych ludzi z Łubniów do swej lubej, to na stepie był ranek i on: (str. 17 tom I.).

...jechał jakby morzem, którego falą ruchliwą była kołysana wiatrem trawa. A wszędy pełno wesołości i głosów wiosennych, krzyków, świergotu, pogwizdywań, kląskań, trzepotania skrzydeł, radosnego brzęczenia owadów; step brzmiący jak lira, na której gra ręka Boża. Nad głowami jeźdców jastrzębie tkwiące nieruchomie w błękicie nakształt pozawieszanych krzyżyków, trójkąty dzikich gęsi, sznury żórawiane — na ziemi gony zdziczałych tabunów... ot leci stado koni stepowych, widać je jak porą trawy piersią, idą jak burza i stoją jak wryte, otaczając jeźdców półkolem; grzywy ich rozwiane, chrapy rozdęte, oczy zdziwione! Rzekłbyś, chcą roztratować nieproszonych gości. Ale chwila jeszcze — i pierzchają nagle i nikną równie szybko — jak przybiegły — jeno trawy szumią, jeno kwiaty migocą. Tętent ucichł, znowu słychać tylko granie ptactwa... Niby wesoło, a jakiś smutek wśród tej radości, niby gwarno a pusto — o! a szeroko, a przestronno! Koniem nie zgonić, myślą nie zgonić... chyba te smutki, tę pustosz, te stepy pokochać i tęskną duszą krążyć nad niemi"...

A gdy Helena marząc o swym rycerzu ukochanym, jak to on „zatroszczy się o nią, nie opuści, przyhołubi raz na zawsze", jechała z Zagłobą po stepie wśród skwaru południa senna i znużona, to:

...Step szumiał słodko, z kwiatów wychodziły zapachy silne i upajające, czerwone głowy bodiaków, purpurowe kistki roztocza, białe perły mikołajków i pióra bylicy pochylały się ku niej, jakby w tym Kozaczku przebranym, o długich warkoczach, mlecznej twarzy i kraśnych ustach, rozpoznały siostrę-dziewczynę. Chyliły się tedy ku niej, jakby chciały mówić: nie płacz krasnodliwo, my także na opiece Bożej. Jakoż uspokojenie przychodziło do niej od stepu coraz większe. Zacierały się obrazy mordu i pogoni w umyśle, a natomiast ogarniała ją jakaś niemoc, ale słodka, sen począł kleić jej powieki, konie szły wolno — ruch ją kołysał. Usnęła...

I tak zawsze step szeroki wtóruje głębiom uczucia serc ludzkich, a nic dziwnego, że najwspanialej zawtórował on sercom własnych dzieci, sercom jak on sam dzikim, pustym i pełnym dzikości pustynnej, w dzikości tej ponad wszystko rozkochanym, gdy pułki pod Chmielnieckim wyszły z siczy, „gdy dowbysze zagrzmieli w kotły i teorbaniści wyjechali na czoło wojska,... puścili cugle i z oczyma utkwionemi w niebo uderzali struny teorbanów, li-

taurzyści bili w swoje miedziane kręgi... i pieśń przez tysiące głosów śpiewana, wstrząsnęła powietrzem i stepem:

Hej wy stepy, wy rydnyje,
Krasnym ćwitom pisanyje,
Jako more szyrokije!

...a te wszystkie odgłosy wraz z monotonnemi słowami pieśni i przeraźliwym, niesfornym świstem piszczałek tatarskich zlały się w jakąś nutę ogromną, dziką, smętną, jak sama pustynia, i upojenie ogarnęło wszystkie pułki, głowy chwiały się w takt pieśni i wreszcie zdawało się, że cały step rozśpiewany kołysze się razem z ludźmi i końmi, i chorągwiami... a spłoszone stada ptactwa zerwały się ze stepu i leciały przed wojskiem, jak drugie wojsko powietrzne!

Cóż za muzyka! ileż poezyi we wszystkich powyższych ustępach, w tej tak prostej, a tak głęboko odczutej symbolice natury z uczuciami człowieka; w owej sympatyi tak różnych dusz, z tym samym zawsze w swej rozmaitości stepem!

Opisy bitew to także arcydzieła w swoim rodzaju. W każdej oczywiście ta sama mordęga, zwyczajnie jak w bitwach, a przecie każda tak inna, w innym trzymana nastroju. „Żółte Wody" podane nam przez refleks w zbolałem, choć rozkochanem, a przecież kraj ponad wszystko na ziemi miłującem sercu chorego bohatera Skrzetuskiego, jakżeż inne są od tego turnieju rycerskiego pod Machnówką; w tym opisie zdaje się jakby autor musiał trzymać na wodzy swoją prozę, aby nie wpadła zupełnie w rytm Homerowskiego hexametru, według polskiego tłómacza prof. Pawła Popiela, bo często nawet w ten rytm popada:

. . . . . Jeden Burdabut na czele
Swoich kalnickich ludzi o miłosierdzie nie prosił.
Brakło mu miejsca do walki, więc czynił sobie rum nożem,
Starł się naprzód z brzuchatym panem Dzikiem i pchnąwszy...

Takich wierszy i zwrotów Homerowskich w tym ustępie dużo. A zaś w opisie dwudniowej bitwy pod Konstantynowem, przeważa znowu po Autorze historyk. Jestto jakby relacya żołnierza w sztuce wojennej biegłego; książe Jeremi, ów wszędzie obecny wódz nad wodzami, srebrzystym pancerzem błyszczący, roztacza tu swe genialne plany, ruchy i zwroty strategiczne, autor daje nam poznać jego wielką sztukę, a zarazem i swój wysoki artyzm, zwłaszcza w pysznym opisie szarży hussarskiej, zakończonej owym

tak bardzo pociesznym epizodem zdobycia chorągwi pułkowej przez Zagłobę. Dalej klęskę Pilawiecką podaje nam autor w całej jej hańbie i sromocie przez żywe odbicie tego gromu nad gromy w zrozpaczonych sercach naocznych świadków, rzecz całą opowiadających i dzielących ból swój z bolem słuchających opowiadania towarzyszów broni. Nareszcie oblężenie Zbaraża, to już więcej niż sam opis bojów, wojennych trudów i nadludzkich wysileń; tu jakieś nowe namaszczenie uświęca polski obóz, nastrój wysoce religijny panuje w tym całym ustępie dzieła, nastrój krzyżowców z dziką grozą gminoruchu wieje z tych rozdziałów i pobudza myśl do tysiącznych refleksyj i symbolicznych porównań ówczesnych walk z obecnem naszem położeniem... I tak wszystkie te boje polskie, których w powieści tak wiele, nie nużą wcale czytelnika, bo w każdy nowy rozdział wojenny umiał autor wlać nową siłę, urok gradacyi, a tem samem uniknąć szkopułu jednostajności.

Ale nie! nie podobna nam iść tak dalej w ślad za wszystkiemi pięknościami tej powieści, nie skończyłbym nigdy — a kończyć by już trzeba, choć właściwie nic jeszcze nie mówiłem o niewyczerpanych inwencyach fabuły powieściowej, o tylu niezrównanych a nowych choć z duchem owych czasów tak zgodnych pomysłach sceneryi, scen, obrazów i sytuacyj płynących z osnowy romansu. Jakże nie wspomnieć przynajmniej Rozłogów z jej kniaziami, dworu w Łubniach, z ks. Gryzeldą i jej fraucymerem, Kudaku z jego cyklopem jednookim Grodzickim, porohów Dnieprowych z Nienasytcem, Siczy z jej barbarzyńskiem „towarzystwem“ i nieludzkiemi egzekucyami zdrajców; jakżeż pominąć straszniejszą od wszystkiego Bohunową zemstę nad kniaziami w Rozłogach i ową jedyną w swoim rodzaju Odysseę Zagłoby z Kozaczkiem, zmienionych w Dida ślepca z teorbanem i z niemym przewodnikiem. Jakżeż dalej nie podnieść pierwszorzędnej piękności owej nocnej przeprawy Bohunowego orszaku, prowadzącego uśpioną Helenę w kolebce przez Wraże Uroczyszcze i Tatarski Rozłóg do Czortowego Jaru, „którędy źle by było przejeżdżać po północku nim kur zapieje“, i później owe sceny wróżb i czarów potężnej wiedźmy Horpyny i scen Bohuna z Heleną w jej złotej klatce, gdzie ona choć w niewoli dzikiego Kozaka jest jakby królową,

a on jej niewolnikiem. Wreszcie nie można nie wspomnieć przynajmniej, o owej tragikomicznej przygodzie pana Zagłoby na weselu w podolskim futorze, przedstawionej tak żywo, *con amore è con brio*, albo o mistrzowskim Małego Rycerza z Bohunem pojedynku i w końcu o wzmiankowanych już klejnotach poezyi, jak męczeńska śmierć, odbicie zwłok i pogrzeb Longinusa i „wodna próba“ Skrzetuskiego. Wszystko to są obrazy tego rodzaju, że gdy się je raz przeczyta, na zawsze utkwią w pamięci na to, by tem chętniej do nich znowu wracać. Ale poprzestać muszę na powyższych wzmiankach, nie wdając się w bliższą ocenę tych wszystkich piękności, co łaskawy czytelnik, myślę, daruje mi tem łatwiej, że oceniło je już tak pięknie, godnie i szczegółowo inne, wprawniejsze od mojego pióro w Przeglądzie Polskim.

Ograniczam się więc ile możności na podniesieniu z jak największym naciskiem, według sił moich, przedewszystkiem tylko tego, co w tym całym utworze jest *cum dulci* także i *utile*, co zdaniem mojem, z tem nowem dziełem sztuki na świat przyszło nowego dla nas, a pożytecznego, ożywiającego i odświeżającego naszą literacką i naukową (w dziedzinie historyi) atmosferę, i co rozszerza nie poślednio i pogłębia znacznie naszą narodową samowiedzę.

Dlatego też muszę w końcu, choć w kilku słowach, zwrócić uwagę łaskawych czytelników jeszcze na trzy ważne bardzo historyczne kwestye, które, albo nie dosyć uwzględniane i mało rozświecone albo też zbyt doraźnie przez nowszą krytykę naszej przeszłości zasądzone na niekorzyść dobrej sławy narodu w jego własnej opinii, zostały tu w tej pow. „z lat dawnych“, z natury jej przedmiotu, na nowo żywo poruszone tak, że w nowem świetle nam się pokazują, co na dojrzałość sądu w bliższem badaniu tych spraw na przyszłość niezawodnie wpłynie. Mam tu na myśli: 1° kolonizacyę naszą i w wogóle panowanie polskie na wschodnich kresach Rzpltej, 2° wartość dodatnią, cywilizacyjną kresowych możnowładzców, i stosunek ich do Korony i do kierunku polityki warszawskich statystów, i 3° z powyższymi dwoma rozdziałami naszych dziejów ściśle związaną kwestyę kozacko-ruską.

Najwznioślejsze i najdramatyczniejsze trzy chwile naszej

powieści, trzy jej szczyty, w których koncentruje się i kulminuje historyczna, głęboka jej treść i wartość, mianowicie: pożegnanie księcia Jeremiego ze swem państwem, ze swą „zadnieprską idyllą“, tegoż „rozmowa z Bogiem“ w kaplicy na zamku Zbaraskim, i najwspanialsza rozprawa Skrzetuskiego z Chmielnickim w namiocie na Siczy; trzy te sceny uderzają, choć w poetycznej formie, jednakże w samo jądro powyższych trzech odłamów naszych dziejów. A intuicya poety stawia nam je przed oczy żywiej, szerzej, plastyczniej, zrozumialej, i z większą prawdą i siłą zgłębia ich wyżyny i przepaści, niż stało się to w któremkolwiek z naszych dzieł historycznych, o tych samych rzeczach traktujących i wyrokujących.

Żeby módz uwidocznić w szczegółach, do jakiego stopnia jakiś nowy duch tu zawiał, w przeciwieństwie do poprzednich a przedwczesnych nieraz sądów i wyroków o powyższych sprawach historycznych, trzebaby chyba o tem osobną napisać rozprawę, na którą to już miejsca niema. Naznaczam więc tylko, że ktokolwiek z naszych historyków odtąd zajmować się będzie, czy naszą na kresach kolonizacyą, czy kresowem możnowładztwem, czyli też sprawą ruską w XVII. wieku, nie wątpliwie w sądzie historycznym o tych rzeczach, chcąc nie chcąc, liczyć się będzie musiał z „pow. z lat dawnych“ Sienkiewicza — chociaż to tylko powieść. I to właśnie stanowi obok wysokiej wartości artystycznej, także i wielką wartość przedmiotową tego dzieła, i nie małą zasługę Autora, który znalazł nową drogę dla pow. historycznej taką, że i fachowi historycy, jak wiem o tem dobrze, przed tą powieścią uchylają czoła. — A jakiekolwiek w tym utworze, w całości kompozycyi mogą być usterki, tego jednakże nie uznać nie można, że Autor, choć sam sobie nową dopiero toruje drogę, mimo tego jedzie po niej od razu tak pewnie, śmiało i dzielnie, jakby po dawno ubitym gościńcu.

Szczęść Boże tak i nadal!

A my biedni, i tak już podbici zupełnie „Ogniem i Mieczem“, zostajemy teraz w miłem oczekiwaniu, rychło nas Autor, jak słyszę, zaleje nowym Potopem... piękności.

Dr. Ignacy Skrochowski.

Polityka austryacko-polska wobec myśli Aleksandra Wielopolskiego przez Jerzego Moszyńskiego T. I. str. 307. T. II. str. 331. Kraków 1884.

Książki, która może nam wydawać się bałamutna, nawet szkodliwa, jeżeli napisana z dobrą wolą, sumieniem i talentem, nie wolno zabijać milczeniem, zwłaszcza jeżeli zasady, których autor bronić zamierza, choćby je kompromitował, były prawdziwe. Hr. Jerzy Moszyński wydrukował dwa tomy, w których obszerniej i dosadniej rozprowadza myśli udzielone publiczności lat temu cztery w broszurze pod tytułem: „Rzut oka na politykę Polsko-Austryjacką".

Pięknie to i zasłużenie głębokie przekonanie śmiało i bezwzględnie wypowiedzieć, ale zapomnieć nie należy że polityka, publicystyka, nie ten cel mają jedyny, aby swoje zaspokoić sumienie, które obok najlepszej wiary może być błędnem. Publicystyki, polemiki, celem jest działać na przekonania tych przynajmniej, co na jednym stoją moralnym gruncie, pośrednio na wypadki. Wielkie niebezpieczeństwo przypuścić, że wszyscy są w błędzie, a że piszący jeden się nie myli, jeden wierny prawdzie, jeden odważny. Kto tak rozumuje, zostanie sam, a dawno Mędrzec Pański powiedział, *vae soli*, biada samemu. W rozumieniu autora wszyscy są w błędzie. On jeden ma przywilej dopatrzyć się prawdy, serce, aby ją ukochać, odwagę, aby ją wypowiedzieć, a zarozumienie to posuwa tak daleko, że postawiwszy jako swój ideał Margrabiego Wielopolskiego nie dopuszcza aby ktokolwiek ocenił i zrozumiał tę wyniosłą postać i z p. Lisickim, którego nikt nie posądzi aby myśli Wielopolskiego nie był przyjacielem, surowiej niemal się obchodzi jak ze swoimi przeciwnikami. Rezultat książki jest zatem taki: jeden Wielopolski wskazał Polakom właściwą, zdrową, sumienną politykę, a politykę tę jeden zrozumiał Jerzy Moszyński. Szanując nad wyraz charakter, poświęcenie, sumienność i talent autora, nie łatwo nam taki sąd wyrzec, ale tak jest. Każdy się myli, nikt zdania swego otwarcie wypowiedzieć nie śmie, ani Koźmian, ani Tarnowski, ani Szujski, ani nawet Lisicki, o drogach sumiennych jakiemi postępować mamy, jeden wskazał je Wielopolski, jeden zrozumiał je i w całej pełni gotów ich bronić Moszyński. Z bez-

przykładną niemal skrzętnością i pracą zebrał co tylko w publikacyach dziennikarskich, ulotnych, książkowych, zebrać można, aby przeciwników swoich skarcić i wskazać na ich sprzeczności, niekonsekwencyę, małoduszność, a opromienić tę dążność, którą uważa jako myśl polityczną Aleksandra Wielopolskiego. Czy autor wie jaka była myśl ostateczna na głębi tej potężnej duszy, czy wie czego to gorące serce pragnęło jako cel ostateczny, czy rozumie, że margrabia był tyle niedoświadczony w polityce, aby mniemać, że jeden człowiek, jedno pokolenie, może wobec wypadków i przewrotów przyszłości, zakreślić obręcz żelazną poza którą nie przekroczą w żadnym razie dążności narodu? Takim politykiem margrabia z pewnością nie był, wiedział co było potrzeba na dzień dzisiejszy, genialnie nietylko to wskazał, ale przeprowadził. Jak prawdziwie polityczny człowiek, robił co w danej przypadło chwili, przyszłości przesądzać ani jej zagradzać nie chciał, zostawił ją Opatrzności. Ale to pewno, że nikt nie zrobił tyle co on dla wzmocnienia i zdrowego odrodzenia narodowego żywiołu. Śledząc genezę myśli margrabiego, to ona powstała nie w głowie, ale w sercu. Kiedy szalony ruch 1846 r. wybuchnął jak piorun z czarnej chmury, mimo wstrętu do ludzi i zasad, chwilowo się zawahał, chwilowo ktoby uwierzył, chciał na kartę postawić byt swój, rodziny i kraju, zaufanie jakie miał u włościan, szacunek jaki dla nich żywił, rozpacz, były pochopem.

Zwrot ludu w Galicyi, rzeź, udział czynny organów biurokratycznych a moralny ministra, dla którego miał dotąd cześć najwyższą, oddziałały strasznie na uczucia, zasady, cały kierunek człowieka i objawiły się też w piśmie, które było czynem, a na zawsze zostanie pomnikiem. A jednak choć niby tak stanowczy, w r. 1848 naradzał się we Wrocławiu, pojechał na zjazd do Pragi, marzył o wytworzeniu południowo-zachodniej Słowiańszczyzny i dopiero przytłumienie węgierskiego powstania we krwi szlachty węgierskiej, system Bachowski, wojna Krymska i panowanie łagodne Aleksandra II. zwróciło stanowczo nadzieję jego i kierunek ku Rosyi. Lata przebyte w wiejskiej samotności posłużyły do wyrobienia planu postępowania, z którym chciał już wystąpić za pierwszą bytnością cesarza w Warszawie, a czemu przeszkodziło tylko nagle wyrzeczone słowo: „precz z marzeniami“.

Ale nie był to człowiek coby odstępował raz powziętego zamiaru, w chwili najgwałtowniej obudzonych nadziei powraca do dzieła, a chociaż samozwańczy spisek wybuchem krwawym utrudnia mu, zdobywa stanowisko aby na niem, powiedzmy prawdę, więcej w dwóch latach zrobić, jak w łatwiejszych stosunkach całe pokolenia. Czy był poparty, albo czemu nie był, czyja w tem wina, jakie stąd straty, oto dzisiaj już mniejsza, ale nie mniejsza jak sobie autor myśl Wielopolskiego, którą stawia nam za modłę, wystawia.

Powracając ustawnie do tej myśli, gromiąc ludzi przewodnich Galicyi że inną się rządzą, nie określił jej wcale i określić jej nie mógł, bo niema do tego danych, bo Wielopolski człowiek praktyczny, sumiennie działając, bez zdrady monarchy, który mu zaufał, wprowadzał instytucye zbawienne dla nas, nieszkodliwe dla Rosyi, których celem był naturalny rozwój i stosunek mogący cesarstwo zasłonić od choroby, która je toczy. O zlaniu lub rozpłynieniu żywiołu polskiego w rosyjskim, nie było tu nigdy mowy, i tu różnica, którą nie wiem czy autor dostrzegł między margrabią a tym, który jego spadek przedstawił, ale go nie odziedziczył. Spasowicza przepaść dzieli od Wielopolskiego. Ideałem jego zdaje się zlanie na konstytucyjnym gruncie, za równo jak wolni z wolnymi Rosyan i Polaków, z zatraceniem tych żywiołów, które treść naszej przeszłości stanowią.

Czy mógł tego Wielopolski pragnąć, czy mógł poświęcić kapitał duchowy i społeczny, który nasza nagromadziła historya, czy mógł zapomnieć o wierze katolickiej, hierarchii społecznej, zachodniej cywilizacyi? Nigdy. Czy pragnąłby tego hr. Jerzy Moszyński? Nie należy zatem w szlachetnym zapale zbyt potęgować zasad prawdziwych i stosować ich do przedmiotu, którego nie objęło się wszechstronnie. Stąd że Wielopolski korzystając genialnie z okoliczności usposobienia monarchy, stawiał instytucye zbawienne, a przez fanatyzm jednych a małoduszność drugich nie był popartym, wyprowadza autor proces przeciwko ludziom przewodnim Galicyi i oto jest właściwe całej jego pracy jądro.

Gdyby nie sumienny i dobroduszny zapał, który autorem miota, słusznie możnaby mu zrobić zarzut, jakiem prawem mięsza, zapewne bezwiednie, różnorodnych stronnictw w Galicyi aspiracye.

Pisze jakby nie wiedział, a wie wszystko, że w koronnym kraju naszym są dwa prądy, które jak różnem płyną korytem, tak nie wolno ich mięszać ze sobą bo dążą do innej przystani. Czy to w Galicyi nie ma ludzi potępiających rewolucyjne ruchy? Czy ludzie co wyrzekli „przy Tobie panie stoimy i stać chcemy", przystoi o złą podejrzywać wiarę? czy sprawiedliwie można ich oskarżać, że chcą poróżnić Austryę z Rosyą, czy to prawda? Czy można o tę złą wiarę posądzić ludzi, którzy odwagi cywilnej zaprawdę tyle dali dowodów, co autor książki, tylko że ją właściwiej zastósowali? Tak przemawiać nie należy, bo nieprzyjaciołom dość dają broni miejscowi nasi przeciwnicy i tacy ludzie jak autor książki, nie powinni ich popierać. Autor który zbytnie moralizowanie potępia, nie szczędzi nam morałów. Zdaje mu się, że kilkoma zdaniami wziętemi z ksiąg mądrości albo z Ewangelii wojować można. Tak nie jest, polityka to rzecz bardzo trudna, bo nietylko zwichnęły się zasady, ale skaził się polityczny język.

Narody w pełni używania praw swych, jak to doskonale widzieć może p. Moszyński, błądzą po manowcach, kiedy nasze społeczeństwo w sejmie i radzie państwa, w publicystyce większością dąży do prawdy. Hr. Moszyński zakochał się w jednym przykładzie, jednej formule. To nie wystarcza, systematu nie rozwinął w tak ciężkich sprawach, jak te które poruszył, nie da się, powtarzamy, wojować sentencyami z pisma świętego, których nie należy tłumaczyć dowolnie, ani zdaniami z Le Playa. Kto potępia tych co posługują się ułamkami prawdy, winien postawić całość, tego nie zrobił i nie potrafi.

Autor pełen rycerskiego ducha rozumie, że najtrudniejsze polityczne zadania dadzą się krzyżową sztuką przeciąć. Od lat 150-ciu, książki, katedry uniwersytetów, teorye i praktyka rządów, pracowały, aby zasady prawa publicznego zwichnąć; od lat 150, w ślad tej nauki, społeczeństwo europejskie przechodzi straszne wstrząśnienia, które nie skończyły się jeszcze, bo zwykle zwrot następuje dopiero, kiedy ludzkość dochodzi do ostatnich następstw błędu. Społeczeństwo polskie, w pośród cierpień jakie przechodzi, wobec niesprawiedliwości jakiej jest ofiarą, a która jest złą doradczynią, potrafiło wyrobić w swojem łonie zastęp ludzi silnych przekonań, zdrowego sądu, doświadczenia, którzy przeważny wpływ

wywierają na ustrój i losy kraju. Nie w równym zapewne stopniu przyszli do posiadania prawdy, nie każdy trafnie ją wskazuje. Ale czy p. M. rozumie że to łatwy proces? Nie on jeden spostrzega popełnione błędy w teoryi, słabości w praktyce; widzą je równie dobrze i drudzy, ale nauczyło ich doświadczenie, historya, że zwroty społeczne odbywają się powoli, i dlatego cenią ludzi, którzy choć niezupełnie dopisują im w nauce i działaniu, to jednak z poświęceniem i wytrwałością, choćby nie umieli postawić absolutnej prawdy, umieją zawsze na ostrze spotkać się z błędem.

Wyjątkową był tu postacią Szujski, który przywilejem dobrej wiary, a intuicyą wyższego umysłu, odgadł prawdę polityczną i choć nie przedstawił jej w logicznym systemacie, bo to nie było jego zadaniem, bo to była w jego ręku kluczem, którym otwierał najtrudniejsze zagadki jakie napotykał na polu polityki w teoryi i praktyce. Niechże autor tak lekko tych ludzi i tego stronnictwa nie waży, niech ich nie kompromituje lekkomyślnem podejrzeniem, bo doprowadzili kraj do normalnego stanu, a po stu latach dowiedli, że Polacy są *regirungsfähig:* t. j. umieją zająć stanowisko w sprawach publicznych, czego, przyznam chętnie, pierwszy dał przykład Wielopolski. Ubolewać, że dobre chęci nie są ocenione i że zaufanie obywatelskie nie daje sposobności aby krajowi służyć, na nic się tu nie przyda, kiedy kto chce chodzić pojedynkiem, a mówiąc ciągle o organizacyi, hierarchii i zszeregowaniu, nie umie poddać się karnie w jednym kierunku.

Bezwzględność naszego sądu, wywołana bezwzględnością autora. Jeżeli tak, to może kto powiedzieć, skoro książka nic nie warta, to po co o niej pisać. Bo w książce tej napisanej z rzetelnym polemicznym talentem, jeżeli ogół razi absolutnością nieuzasadnioną w nauce, przesadą, która nawet prawdę robi wątpliwą i wstrętną, to w szczegółach tyle spostrzeń i uwag trafnych, tyle dobrej woli i miłości dobra publicznego, taka siła przekonania, że nietylko wzbudza dla autora uszanowanie, ale wiele cennych spotkać można wskazówek.

Jak tylko opuszczając pole polityki ogólnej, na którem daje folgę sympatyom i antypatiom osobistym, przechodzi do poje-

dynczych pytań, spraw i sądów, zdrowy rozsądek i miłość dobra powszechnego biorą górę i hr. M. złote mówi słowa.

Z niemałym bolem przyszło nam tak mówić o książce hr. M., bo czujemy z każdej karty, że nam jest bratem w dążnościach, przekonaniu, miłości i wierze; bo wiemy jak każda myśl wyższa, każdy czyn dobry zapala to szlachetne serce. Karty poświęcone wychowaniu, stosunkom włościańskim, kwestyi gminnej, nietylko warto czytać, ale w pamięci zachować. Nie wolno ludziom naszego obozu lekceważyć człowieka i pisarza, który wierzy w Boga w Trójcy św. jedynego, nie wolno dla błędów w polityce praktycznej, zapomnieć, że wyznaje się jako wierny syn Kościoła, zdrowo wiele pytań społecznych rozwiązuje, kiedy nieunoszony temperament nie zaślepia zdrowego poglądu. Dlatego przekonani jesteśmy, że kto przeczyta całą książkę, co nie łatwo dla rozwlekłego stylu, zamknie ją z uczuciem szacunku dla autora.

X.

Socyalizm spółczesny przez Emila de Laveleye. Warszawa 1884.

Fatum jakieś cięży na naszem piśmiennictwie, że co najgorszego jest w zagranicznej literaturze, co najwięcej truje żywioły naszego duchowego życia, to się u nas najprędzej tłumaczy. Istna kuźnia polskich tłumaczeń takich Büchnerów, Darwinów, Spencerów i. t. p. w Warszawie istnieje. Teraz na domiar złego zachciało im się czegoś o sprawie socyalnej, bo choć to kwestya niemiła pozytywistom, jest jednak aktualna i trudno ją przemilczeć. Wybrano tedy dzieło Emila Laveleye *Le socialisme contemporain*, kwintessencyę liberalizmu i niem świeżo nasz język obdarzono.

Kiedym czytał tę książkę, przypominały mi się wciąż wiekopomne słowa Donoza Cortesa, jak liberały tracą głowę, kiedy katolicy i socyaliści z potężną swoją logiką kwestye międzyspołeczne roztrząsają.

Tak i p. Laveleye przeglądając nowożytne systemy i szkoły społeczne, przysłuchując się groźnym i logicznym reklamacyom socyalistów, patrząc na wielkie czyny katolickich patronów ludu, sam traci głowę, złe widzi ale rady nie wie, tu i owdzie próbuje krytyki, ale bez dodatniej tezy, zawsze niepewny siebie, bez za-

sady, bez gwiazdy, bez światła... *Laissez faire*, może to się jakoś ułoży — to jego dewiza. Doprawdy, chcesz wyleczyć sumiennego liberała, naprowadź go na sumienne studya socyalne.

Jeden rozdział w tej książce szczególnego wart napiętnowania: t. j. VIII. p. t. „Socyaliści katoliccy". Autor tu nie uczciwie igra słowami, nazywając socyalistami wszystkich, co się trudnią nauką społeczną albo losem pracujących zajmują, począwszy od bisk. Kettelera, do hr. de Mun. Jeszcze zaś nieuczciwiej pomawia Kościół o dążność do sojuszu i transakcyi z socyalizmem, w celu odzyskania władzy nad światem. Autor przecież uznaje, że choć w niejednych wnioskach katolicy przyznają słuszność socyalistom, jednak zasady katolickie są diametralnie przeciwne zasadom socyalizmu. Któż zaś nie wie, że Kościół wszystkiego raczej odstąpi niż joty od swoich zasad? W jednym tylko punkcie zasadniczym katolicyzm godzi się z socyalizmem, t. j. w potępieniu liberalnych doktryn i liberalnego ustroju społeczeństwa. Czują to przez skórę liberalni, począwszy od ks. Bismarka aż do p. Laveleye i dlatego oba widma, czarnego i czerwonego internacyonału, łączą się w ich wyobraźni w jedno straszydło.

Taka jest książka „socyalizm społeczny". Życzymy jej szczerze, żeby wiecznie odpoczywała na składzie, a szanownemu tłumaczowi, żeby innym razem szczęśliwszym był w wyborze pracy.

X. M. Morawski.

ZAPISKI BIBLIOGRAFICZNE.

DE MEDIIS CONSERVANDI SPIRITUS, seu de mediis ad virtutes initio vitae spiritualis acquisitas postea conservandas et augendas, V. P. Nicolai Lancicii S. J. Editio recens emendata a *Rudolpho Hoppe S. J.* Cracoviae 1884; p. 248.

Drugie to już dziełko dawnego ascety, O. Łęczyckiego, w przeciągu niespełna roku, opuściło prasę drukarską. Podobnie jak w pierwszem dziełku „De meditationibus rerum divinarum recte peragendis"..., tak i w obecnem znać, że wydawca ukochał całem sercem wielkiego mistrza ducho-

wnego życia i nie szczędził pracy i wytrwałych zachodów, byle nowe to wydanie wypadło nietylko dobrze, ale o ile można najświetniej. Staranność ta okazuje się nietylko w pięknym poprawnym druku, ale w ścisłości cytat z Ojców Kościoła i mnóstwa świeckich i duchownych pisarzy. Kto wie, że całe nieraz rozdziały O. Łęczyckiego składają się niemal z samych misternie dobranych cytat, ten pojmie, że cytaty te wszystkie sprawdzić i poprawić było rzeczą tem trudniejszą, że poprzednie wydania O. Łęczyckiego nie grzeszą w tym względzie dokładnością. Tyle o zewnętrznej szacie nowego tego wydania. Co do treści samej, wobec tylu dawniejszych i nowszych powag, oddających bez zastrzeżenia najwyższe hołdy polskiemu ascecie, nie widzimy potrzeby długo się rozwodzić. Jak sam tytuł wyraża, przechodzi O. Łęczycki w tem dziełku różne sposoby służące do nabycia, zachowania i pomnożenia nabytej pobożności i doskonałości. Środkami tymi w szczególności są: wierność i posłuszeństwo rozkazom Boga i przełożonych, rachunki sumienia, rozmyślania, pobożne przyjmowanie komunii św., porada roztropnego spowiednika, staranność o wypełnienie rzeczy i przepisów na pozór drobnych, wystrzeganie się pewnych błędów a przedewszystkiem wszelkiego choćby tylko cienia nieskromności. Każdemu z tych środków poświęca O. Łęczycki osobny rozdział, wchodząc w najdrobniejsze nawet szczegóły, a zawsze opierając się na wzorach i naukach najsłynniejszych mistrzów duchownego życia. Prawdziwie złota to książka dla wszystkich, co bądź sami pragną dążyć, bądź innych mają prowadzić po stromej ścieżce żywota doskonałego. *B.*

Kazania na niedziele i święta całego roku *Ks. Piotra Skargi S. J.* Trzecia część: Kazania odświętne przez cały rok. We Lwowie 1884, Gubrynowicz i Schmidt; stron. 400.

O dwóch pierwszych częściach tego wydawnictwa zdaliśmy już obszernie sprawę, podnosząc jego zalety i niedostatki. W ukazującej się obecnie trzeciej części, zawierającej kazania odświętne podano w odsyłaczach waryanty z pierwszego wydania krakowskiego z roku 1595. Można z nich przekonać się, jak pilnie Skarga krzesał swoje dzieło, a mianowicie jak gorliwie tępił germanizmy przy ponownem onegoż odczytywaniu. Również dołączono objaśnienia do niektórych wyrazów dziś istotnie całkiem niezrozumiałych jak n. p. str. 191: twarz nierozumna (t. j. stworzenie nierozumne); str. 235: wiłować (bredzić); str. 340: wykłusać (zjeździć, skarcić) itd. Ubolewać wypada, że w podobny sposób nie wydano zaraz I. i II. części Kazań. W dodatku do III. części ogłoszono nadto osobno: O rozumieniu przodku ewangeliej św. Jana, kazanie czynione r. 1598, wyjęte z trzeciego wydania Kazań z r. 1602, które później Skarga w czwartem wydaniu z r. 1609 przerobił i skrócił, dokładając je pod zmienionym tytułem do kazania na dzień Bożego Narodzenia. Szkoda, że przy tej sposobności nie oddrukowano również pierwotnego te-

kstu kazań na IV. niedzielę adwentu i na III. niedzielę Wielkiejnocy, także przez Skargę mocno zmienionych lub całkiem przerobionych. Ogłoszono jedynie na końcu, zdaje się dlatego tylko, jak sam Skarga w jednem wydaniu się wyraził, „iż karty zbywało", wykreślone później przez autora z kazania na IV. niedzielę w post gorące upomnienie do senatorów i ziemskich posłów, zebranych w Krakowie 1595 r. przypominając znany wstęp do kazań sejmowych. „Radźcie o tym okręcie, w którym sami siedzicie" — przestrzega ojców narodu mąż Boży — „który jeśli się zatopi, wasze się też prywatne tłomoczki nie zostoją".

Po summaryuszu treści pojedyńczych kazań, zebranym z marginesów dawnego wydania, przydano jeszcze na końcu wyjęty z pierwszego wydania z r. 1595, a począwszy od IV. wydania z r. 1609 opuszczany podwójny alfabetyczny Regestr do nauk, pierwszy dogmatycznych na zmocnienie katolickiej wiary przeciw heretykom, drugi moralnych: do naprawy obyczajów. Obydwa te regestry przedrukowane były ostatni raz w wydaniu wileńskiem z r. 1793, gdzie nie wiedzieć dla czego porządek ich odmieniono, dając drugiemu miejsce przed pierwszym. W wydaniu Bobrowicza nie ma ich zupełnie.

Przy tej sposobności prostujemy pomyłkę popełnioną na str. 456 w I. tomie „Przeglądu", gdzie powiedziano, że ostatniem wydaniem Skargi zajmowali się ks. Aleksander Maryański wspólnie z p. Bernardem Kalickim. Otóż winni jesteśmy oświadczyć, że p. Kalicki w tej pracy żadnego nie brał udziału. *S. Z.*

Obrazki z życia Jana Kochanowskiego przez *Podolankę*. Kraków 1884. str. 29.

Autorka „Pieśni o Sobieskim", obdarzyła nas znowu z okazyi jubileuszu Kochanowskiego nową wiązanką poetycznych kwiatów, które znowu nie są także „bez barwy i woni", jak to autorka chciałaby w nas wmówić w swej „Pieśni wstępnej". W osobnych kształtnych obrazkach, przesuwa się przed naszemi oczyma „Młodość poety", „Dwór Czarnoleski", „Urszulka", a wreszcie w obrazku „Przyjaciele" zarysowuje się półbohaterska postać Jakóba Podlodowskiego, którego zgon sprowadził śmierć przedwczesną czarnoleskiego wieszcza. Jeśli Kochanowski, jak pięknie kończy się ten zbiorek, „ma woń leśnego kwiatu" i drogi nam jest „swą prostotą i szczerotą myśli", to i obrazki te poetyczne przypominają nam Kochanowskiego, nietylko tem, że mówią o Kochanowskim, ale również owym swojskim, a nie wyszukanym urokiem myśli szczerych i prostych we wdzięczną przybranych szatę.

SPRAWOZDANIE

z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

Listy z Warszawy.

I.

Usposobienie i temperament Warszawy. — Teatr. — Stosunki dziennikarskie. — Spekulacya w publicystyce. Jej oddziaływanie na opinię. Ruch księgarski. — Belletrystyka. — Sienkiewicz i losy jego ostatniej powieści. — Kraszewski i cykl jego historycznych powieści. Na tułactwie. — Na Polesiu. — Klasztor.

Warszawa ma niewątpliwie w usposobieniach swych i zewnętrznej postaci coś z tych miast Wielkiej Grecyi, żyjących wyłącznie w chwili bieżącej i dla niej, z Tarentu lub Sybaris. Życie płynie tu bujną i potężną falą, ale po wierzchu, rzadko sięgając głębi; ludzie rzucają się gorączkowo do każdej nowości, jak dziecko do zabawki świeżej — i za chwilę stygną, znalazłszy nowy przedmiot zajęcia dla wrażliwej, nerwowej natury. Nie wiem, czy jest drugie miasto, w któremby tak łatwo było znaleźć oddźwięk dla każdej poczciwej myśli i pożytecznej pracy; brak jednak tutejszemu społeczeństwu zdolności, a może także i chęci oddzielania zadań drugorzędnych albo i całkiem wątpliwej użyteczności, od głównych i najbardziej ważnych jego celów i dzięki temu publiczna, obywatelska działalność Warszawy robi potroszę wrażenie jednego z tych sklepów *bric-à-brac*, w których obok oleodruków i dwuzłotowej porcelany, napotkać można autentycznego Tycyana lub Robbiów.

Ta gorączkowa wrażliwość temperamentu wywołuje przedewszystkiem jednę z najbardziej charakterystycznych właściwości Warszawy — teatromanię. Nigdzie chyba teatr nie zajmuje tak wybitnego miejsca w życiu publicznem i nie absorbuje uwagi tak szerokich kół towarzyskich. Nowa sztuka, zmieniona obsada

roli, choroba aktora, są wypadkami dnia. Dzienniki zwłaszcza robią z teatru jakąś świątynię publicznego życia, oś środkową, około której obracają się wszystkie interesa i potrzeby ogółu, a mały udział publiczności na przedstawieniach, nazywają nieledwie zdradą kraju. Oczywiście, że na to wyjątkowe podnoszenie znaczenia warszawskiego teatru wpłynęły przyczyny od społeczeństwa tutejszego niezależne i bezwarunkowo potępiać to anormalne zjawisko trudno. W każdym razie zaznaczyć je trzeba, jako jeden z niewątpliwie ujemnych objawów tutejszego życia.

Śmiesznem byłoby zaprzeczać potrzebie i cywilizacyjnemu znaczeniu teatru, ale znaczenie to może on mieć wtedy tylko, gdy ideały sceny nie będą się znajdowały w rozdźwięku z ideałami, z prawami etyki chrześcijańskiej. Owoż niezaprzeczenie, rozdźwięk ten istnieje tutaj i bodaj czy obecnie nie jest silniejszy niż dawniej. Nie robię z tego zarzutu dyrekcyi, wiedząc w jak trudnych znajduje się warunkach, jak mało może, i jak wiele musi. To pewne jednak, że i etyczny i umysłowy i artystyczny poziom sceny tutejszej obniżył się znacznie, a z nim — smak i estetyczna skala sądu u publiczności. Zamiast podnosić myśl, scena coraz bardziej stara się ją rozrywać jakimkolwiek kosztem. Zamiast szukać poważnego pokarmu dla ducha, publiczność coraz częściej ugania się za lekką wesołością, za pospolitym dowcipem, za pieprzną przyprawą. Że zaś dziś jak dawniej teatr jest rodzajem fetyszu społecznego, którego tknąć pod klątwą nie wolno, zrozumieć łatwo, jak źle oddziaływa na społeczeństwo, przyjmujące bez krytyki to wszystko co mu daje scena, choćby to była trucizna.

Tłusta farsa zamiast komedyi, a jeżeli już dramat, to na jaskrawych effektach i drażliwych sytuacyach oparty — oto co najczęściej na afiszu spotkać można. Nieraz artyści, dawne tradycye pamiętający, drastyczność sytuacyi ratują grą przyzwoitą, ale i to bywa, że dla przypodobania się coraz grubszym i niższym upodobaniom publiczności, aktorowie nowej szkoły uwydatniają dwuznaczne wyrazy i alluzye nieprzystojne, szarżują, pewni niestety, że w nagrodę otrzymają hałaśliwy śmiech i oklask. Szlachetna tradycya sztuki zaciera się coraz bardziej i dziś już, zamiast oddziaływać na ogół w sposób kształcący umysł i smak,

najpierwsza polska scena rozszerza wśród publiczności znajomość i zamiłowanie sztuk „nieprzeznaczonych dla panien", choć niestety, co wieczór można to sprawdzić, że i panienki na nie chodzą. I jeśli, jak to zdarzyło się ostatnimi czasy, autor skądinąd bardzo utalentowany, mający i wiele polotu i szlachetne aspiracye, da się skusić fałszywym przyjaciołom i wystawi na scenie utwór napisany zręcznie, ale oparty cały na najpotworniejszem powikłaniu niedozwolonych uczuć i cudzołożnych związków — publiczność będzie oblegała raz po raz kasę a w krytyce znajdzie się zaledwie odosobniony zarzut zgorszenia i duchowej trucizny.

Nie mając oczywiście zamiaru dawania wam teatralnych sprawozdań, uważałem przecie za niezbędne dla charakterystyki Warszawy tych słów kilka postawić na wstępie. Są one wiernem zwierciadłem tutejszych usposobień i stosunków nietylko w zakresie teatru.

O stosunkach dziennikarskich mieliście specyalne sprawozdanie, nie potrzebuję ich więc szerzej dotykać. Noszą one na sobie całkiem podobną do teatralnych cechę, wywołaną temi samemi przyczynami. Prasę uważają tu bardziej niż gdzieindziej za duchową przewodniczkę społeczeństwa i przyznać trzeba, że pod pewnymi względami znaczna część pism umie temu zadaniu odpowiedzieć. Jest w nich wiele taktu, wiele uczciwości osobistej, zwłaszcza wiele instynktu w rozpoznawaniu, co w pewnych, najważniejszych kwestyach można i godzi się robić i radzić, a co nie, w trzymaniu ręki na tętnie życia publicznego i w solidarnem, harmonijnem dostrajaniu się do ogólnego tonu. Natomiast są i wady, będące konsekwencyą zalet tych: podporządkowywanie ogólno-ludzkich prawd i gwiazd przewodnich życia pięknym, zacnym, niezbędnie ważnym i drogim, ale lokalnym i nieraz ciasnym uczuciom, potrzebom, obawom, interesom. Co za tem idzie, jest pewna jednostronność i niekonsekwencya poglądów, jest brak stałych zasad, objawiający się n. p. w gorącem popieraniu interesów kościelnych i uczuć zachowawczych, w Niemczech dajmy na to, i równoczesnem apoteozowaniu a przynajmniej tłómaczeniu radykalnych wybryków we Francyi i Włoszech. W ten sposób w jednym Nr. dziennika znaleść można, a raczej znajduje się **zawsze**, codzień hymn

pochwalny na cześć Windhorsta i okrzyki oburzenia na niegodziwych klerykałów francuskich; słowa uwielbienia dla Garibaldego i dla Piusa IX.; entuzyastyczną biografię Gambetty i surowe potępienie zachcianek swojskich jego naśladowców. Radykalizm w teoryi, za granicą; zachowawcze zasady, religijne wierzenia w praktyce, w miejscowych stosunkach — w ten sposób da się streścić myśl przewodnia lepszych, uczciwych dzienników tutejszych. Próby wyrobienia zasad stałych i przeprowadzenia ich konsekwentnie w dzienniku zachowawczym niezupełnie się powiodły, i przeważnie około paru pism dwutygodniowych, oraz jednego tygodnika, którego nagłówek wyraźnie określa tendencyę, grupuje się mała garstka ludzi, którzy o ile możności trzymają się jednej tylko drogi, i drogą tą idą naprzód nie zbaczając na prawo ani na lewo.

To co mówiłem odnosi się do pism porządnych — niestety, nie wszystkie są takiemi.

Większość pism warszawskich założoną jest i podtrzymywaną przez spekulacyę, i ogółem wziąwszy, pisma te nie należą do gorszych. Właściciel stawia na czele zazwyczaj ludzi poważnych, z wyrobionem miieniem i rzeczywistą zasługą, dając w ten sposób społeczeństwu gwarancyę, że zamiast zdrowego ziarna, nie wkradnie się do jego przedsiębiorstwa plewa. W istocie ogółem wziąwszy plew niema; pismem kierowanem przez ludzi zacnych, zgorszyć się i zepsuć — trudno. Ale nie robiąc złego. pisma te i dobrego robią niewiele, i to wypływa wprost z warunków wydawnictwa. Dbając wyłącznie o materyalne powodzenie, właściciel musi naginać pismo do upodobań publiczności, zamiast publiczność do pewnych z góry nakreślonych celów nawracać; nie pozwala redaktorowi zaznaczać wyraźniej stanowiska i dążności, żeby ludzi innych opinij nie odstraszyć. Stąd przedewszystkiem ten eklektyzm przekonań, cechujący prasę, a pod jej wpływem i społeczeństwo tutejsze.

A nie dość na tem. Bywa i gorzej, jeżeli np. wydawca ma pewne indywidualne lub koteryjne cechy i zasady, od ogólnych zasad społeczeństwa odrębne, jak to zdarza się nader często z wydawcami innego wyznania, i jeżeli, choćby oględnie i potrochę, zechce te zasady czytelnikom narzucać, albo też przeciwnych

niedopuszczać. Objaw to panujący w prasie tutejszej a niebezpieczny, bo grożący z czasem wyzuciem z najbliższych sercu i najświętszych ideałów społeczeństwa. Prasa wiedeńska jest wymownym przykładem do czego dojść może słowo publiczne w rękach ludzi, niezwiązanych całą swą istotą z otaczającem społeczeństwem i jego tradycyami. Prasa wiedeńska także uczy nas, jak nisko można upaść, gdy interesa prywatne splatają się z publicznymi przez dzierżawców opinii, gdy słowo drukowane pełnić musi funkcyę ich posługacza. W Warszawie złe nie dosięgło jeszcze takich, jak gdzieindziej rozmiarów, tembardziej jednak wymaga leczenia. Bywały już wypadki, że dzienniki wprowadzały w błąd, albo przynajmniej próbowały nagiąć opinię dla interesu, dla spekulacyi swoich akcyonaryuszów; bywa daleko częściej, że śmielsze słowo, że otwarte wyznanie zasad chrześcijańskich i zachowawczych znajduje drzwi zamknięte w najporządniejszych skądinąd pismach, ze względów osobistych lub prenumeracyjnych. Z czasem może być i, jeśli się nie zaradzi, będzie gorzej.

Obok pism poważnych i uczciwych, przynajmniej w ogólnych zarysach, spekulacya stworzyła ostatnimi czasy szereg pisemek brukowych, żyjących plotkami lub tłumaczeniami starych skandalicznych romansów. To już objaw niezdrowy całkiem i mocno szkodliwy. Pisemka takie rozchodzą się bardzo, zwłaszcza w niższych warstwach i może nieumyślnie, ale niezaprzeczenie demoralizują je. W porównaniu z rewolwerową prasą wielkich stolic Zachodu, złe tutaj jest stosunkowo jeszcze bardzo małe, ale niezaprzeczenie rośnie ono szybko. W ogóle dziennikarstwo tutejsze znajduje się na pochyłości, po której nieustannie z matematyczną ścisłością posuwa się na dół.

Wobec pism założonych i podtrzymywanych przez spekulacyę, pisma tendencyjne, mające na celu wyłącznie propagowanie pewnych dążności, są stosunkowo nieliczne. Będę miał sposobność wrócić do nich innym razem przy charakterystyce odcieni, dających się dostrzedz w pojęciach tutejszego społeczeństwa.

Z powodu ogólnego nieurodzaju, ciężkiego przesilenia ekonomicznego, przez jakie przechodzi kraj i innych jeszcze przyczyn, których łatwo się domyśli każdy, w stosunkach księgar-

skich panuje zastój od jakiegoś czasu, książek wychodzi mało i to prawie wyłącznie są albo dzieła fachowe, albo różne sprawozdania i roczniki towarzystw, albo wreszcie — odbitki i przedruki z pism peryodycznych. Choroba naszego czasu — skupianie całej produkcyi literackiej w dziennikach, dosięgła tu szerszych niż gdziekolwiek rozmiarów. Z jednej strony znaczna ilość pism peryodycznych, względnie wysokie honorarya i ogromne, bezprzykładne zapotrzebowanie pracy, na którą miejscowe siły literackie (mówię oczywiście o rzeczywistych i za takie uznanych) nie są w stanie odpowiedzieć — z drugiej bojaźliwość księgarzy i niemiłosierne eksploatowanie autorów przez nich, zmuszają poprostu do drukowania w pismach peryodycznych takich nawet rzeczy, które ani rozmiarami, ani treścią do tego rodzaju publikacyi nie nadają się wcale. Dlatego też krytyka literacka tutejsza jest właściwie tylko sprawozdaniem z działalności pism peryodycznych.

Oczywiście na czele ruchu literackiego stoją powieści. Tych konsumuje publiczność i potrzebuje ich najwięcej, w naszych czasach zaś stały się one najżywotniejszym i najbardziej potężnym wyrazem literackiej twórczości, tem samem, czem w innej epoce i dla innych ludzi bywał dramat i epos. Na dramat zupełnie dobry i oryginalny nie zdobyliśmy się dotąd; poezya przestała jak dawniej poruszać serca i rozgrzewać umysły: rzadko odzywa się pełnym, głębokim dźwiękiem, a i wtedy oddźwięku jej braknie w społeczeństwie. W powieści za to znalazły swój wyraz estetyczne aspiracye dzisiejszego społeczeństwa, wyraz od tamtych zapewne niższy o tyle, o ile niższem jest wycackane *intérieur* mieszczańskie rodzajowego malarza, od wielkich kompozycyj Rubensa i Michała Anioła, ale w tym nieskończenie ciaśniejszym zakresie mogący stać się zupełnie doskonałym. Rodzaj jest mały, ale i w tym rodzaju można być wielkim.

Sienkiewicz dowiódł tego swoją ostatnią powieścią, o której mówią i piszą do znudzenia, nie wyczerpując do dna niezmiernie obfitego materyału, zawartego w niej przez autora. Wartości utworu, który niezaprzeczenie jest jednem z pierwszorzędnych i najwyższych kilku dzieł, na jakie zdobyło się pokolenie współczesne, nie zmniejszają ani przesadzone pochwały i cokolwiek Ameryką trącąca reklama, jakiej tu używali czasem po za ple-

cami autora niezbyt zręczni przyjaciele, ani tem mniej zaciekłe ujadania — inaczej nazwać tego nie można, — zawistnych wrogów Sienkiewicza, literatów, mających tem więcej miłości własnej, im mniej ją usprawiedliwia talent. Nic ciekawszego naprawdę od losów tej powieści w naszej publicystyce. Z początku próbowano zabić ją milczeniem, przez długi czas nie wspominano ani słówkiem o utworze, będącym niewątpliwie największem zjawiskiem literackiem chwili obecnej, kiedy powodzenia, bezprzykładnego dotychczas, niepodobna było ukryć, zaczęły się pojawiać, naprzód tyralierskie strzały drwinek i konceptów, potem ciężka artylerya recenzyj drobiazgowych i rozwlekłych, próbujących przez lupę wynaleźć, a następnie rozdmuchać pojedyńcze istotne lub pozorne usterki powieści. Recenzye te pisywali czasem, szczegół charakterystyczny, autorowie licznych historycznych powieści, na których wartości zły smak czytelników nie umiał jakoś poznać się. Publiczność nie dała się w błąd wprowadzić, i pod tym względem nic Sienkiewiczowi nie grozi. Bardziej niebezpiecznym i dla powieści i dla jej autora mógłby stać się zbytek popularności i powodzenia, przekraczanie właściwej miary w ocenie jego talentu, a zwłaszcza nader nieszczęśliwe porównania tego talentu z twórczością mistrzów, nieskończenie odmienną i w treści i w znaczeniu. Porównywać trzeba zawsze ostrożnie bardzo, zwłaszcza gdy niedość jasno określony rezultat porównania, może być dziwnie komentowany przez mniej wykształcony i do sądu kompetentny ogół. Sienkiewiczowi wyrządza się krzywdę, stawiając go obok Szekspira, a *Ogniem i Mieczem* obok Pana Tadeusza. Jest to podnoszenie chwilowe, kosztem sławy w następnych pokoleniach. Historya literatury przykładów podobnych daje nam wiele: zawsze w takich razach po zbytniem podniesieniu się fali następować zwykł upadek, tłum rozbija wczorajsze bożyszcze i biegnie w inną stronę, nowych wrażeń szukać. Sienkiewicz nadto jest w modzie, żeby nie wolno było mieć obawy na przyszłość — nie o jego talent, który niewątpliwie w pełni sił swych dziś jest dopiero i na długi szereg lat zapowiada szereg powieściowych arcydzieł — ale o jego powodzenie. Kto wie czy sam Pan Tadeusz, gdyby mu przy pojawieniu robiono taki rozgłos i przyjęcie, nie poszedłby po kilku, kilkunastu latach na naj-

wyższe, zapomniane półki bibliotek, na których Bóg wie kiedy dopiero wynalazłby go i wskrzesił na podziw świata jakiś bibliofil.

Że powodzenie powieści Sienkiewicza, nawet w dzisiejszej swej cokolwiek hałaśliwej formie, i pominąwszy parę literackich egzageracyi, jest najzupełniej zasłużonem, to kwestyi nie ulega. Co jednak jest jego słabą stroną, to, że się odnosi niezupełnie do najwybitniejszych, podziwu godnych zalet Ogniem i mieczem. Publiczność niedostatecznie ocenia tło dziejowe z tak cudowną intuicyą odtworzone przez Sienkiewicza i głęboki podkład etyczny, na którym opiera się jego dzieło. Większość czytelników odczuwa instynktownie czarowną piękność opisów natury i plastykę wspaniałą obrazów bitwy, ale przedewszystkiem śmieje się z konceptów i przygód Zagłoby i interesuje się fabułą, losami dwojga kochanków, albo rozkochanym mołojcem kozackim. To pociąga ją przedewszystkiem, że powieść cała jest szeregiem obrazów, z których każdy tworzy barwną, zajmującą całość; że w niej tyle silnych effektów i taki świetny, pieszczący oko koloryt; przedewszystkiem zaś, że czytając, nie wymaga pracy i natężenia myśli, a wrażenie wywiera łatwe, miłe, nie całością, ale każdym epizodem, każdą niemal kartą. Ten feljetonowy charakter powieści (pisanej podobno w istocie pojedyńczymi epizodami, obliczonymi na feljeton), jest jedną z tajemnic uroku jaki wywiera na publiczność, wymagającą żeby ją karmiono lekkim, na drobne części posiekanym pokarmem i nie znoszącą w innej formie nawet arcydzieła.

Kiedy mowa o Sienkiewiczu, mimo woli na myśl nasuwa się Kraszewski. Ostatnimi czasy słyszy się zbyt często porównanie tych dwóch pisarzy, i porównanie to rzadko wychodzi na korzyść sędziwego autora Starej Baśni. Nie wiem czy słusznie. Są to przedewszystkiem odmienne całkiem rodzaje talentu, a zwłaszcza różnym jest sposób jego zużytkowania. Sienkiewicz, twórczość swą skupia na daleko mniejszej przestrzeni, poświęcając jej świeże siły, niezmęczone wrażenia i przetrawiwszy ją w myśli; nie dziw, że jest głębszą i doskonalszą. U Kraszewskiego rozlewa się szeroko bardzo, obejmuje wszystkie niemal zakresy, zawsze z łatwością równą, z rutyną nieporównaną, nie dziw jednak, że w tych warunkach jest płytszą o wiele i arcydziełem być nie może.

Gdyby Kraszewski ze swoim talentem poświęcił rok na napisanie jednej powieści, kto wie jak świetnym blaskiem mógłby talent ten nas olśnić. Tymczasem on pisze na rok dziesiątek powieści, niezliczoną ilość korespondencyj i literackich przeglądów, a obok tego prowadzi korespondencyą prywatną tak obszerną, jak mało kto, — gra i maluje. Rzecz prosta, że na tem wartość utworów jego traci; w takich warunkach jednak, jak są pisane, bez namysłu i opracowania, przez człowieka złamanego fizycznie i przygnębionego ciężką moralną troską, mają jeszcze nieraz wartość niepospolitą i o całą głowę przewyższają powódź pracowicie wysmażonych miernot belletrystycznych, zalewających pisma peryodyczne i księgarskie wystawy. Nie ubliżam kilku rzeczywistym talentom młodszego pokolenia zwłaszcza, to pewne jednak, że jeśli redaktor chce być pewnym powieści, któraby czytelników zajęła i pismu przysporzyła prenumeratorów, musi o nią prosić Kraszewskiego. Powieść będzie niezmiennie w drugiej swej połowie z gruba tylko, naprędce ociosana, nie dość rozwinięta, w szczegółach — luźnie związana, w charakterach — niewykończona, ale pomimo to każdy ją z chęcią weźmie do ręki i z przyjemnością do końca przeczyta, tyle w niej będzie wprawy, umiejętnego zainteresowania czytelnika, tak zręcznie z maestryą prawdziwą, choć jakby od niechcenia tylko rzucane będą rysy, z których sama jasno, barwnie, ciekawie złoży się całość.

Z nowszych utworów Kraszewskiego ostatnie powieści z historycznego cyklu najmniej znalazły szczęścia u publiczności. Są w nich w istocie wady, wypływające przedewszystkiem z założenia, jakie sobie postawił autor. Chciał on w szeregu obrazów illustrować niejako polską historyę, postacie też jakie na scenę wyprowadza i cała powieściowa akcya służy mu jedynie na uwydatnienie pewnych rysów charakterystycznych i historycznych momentów. W teoryi wygląda to świetnie; praktycznie myśl Kraszewskiego, pomimo świetnego jej wykonania, pokazała się niezgodną z zasadniczemi wymaganiami dobrej powieści. W każdej, czy będzie historyczną czy nie, pierwszy plan wypełniać musi fikcya, fabuła — a jeżeli nawet fabuła ta najściślej opiera się na rzeczywistości, toć i w takim razie powinna ona stanowić odrębną, zaokrągloną całość, zastosowaną wyłącznie do estetycznych wy-

magań i technicznych warunków romansu. U Walter Scotta stało się to prawem niezmiennem: historycznem jest tło i część działających osób, czasem też rozstrzygający moment powieści łączy się w jedno z momentem dziejowym — ale jeżeli nawet autor ostatni ten moment przedstawia, to zawsze przedstawia go pojedyńczo, nie kusząc się o obrazowanie całego rozwoju przyczyn i wyników. Kraszewski przeciwnie, fikcyę powieściową na drugi plan usuwa, bohaterów romansu nie uwydatnia należycie, nie umie dla nich czytelnika zainteresować, bo sam ich lekceważy. Natomiast w szeregu obrazów, częstokroć luźnie powiązanych i nietworzących organicznej całości, daje kolejną charakterystykę wypadków i ludzi, panujących nad losami Polski w ciągu wieków. Pojedyńczo wzięte obrazy te są ciekawe bardzo, znać, że mistrzowska ręka wycisnęła na nich swe piętno, wrażenia po sobie nie zostawiają jednak. Zacierają się wzajemnie a często kłócą z sobą, podobne do łańcucha, złożonego z odmiennych ogniw. Każda z tych powieści wygląda potroszę na kronikę historyczną, w powieściową formę ubraną; tylko, że jak na historyę za wiele w tem belletrystycznej ornamentacyi, a na romans znowu, chociażby historyczny — zamało.

Pominąwszy zarzut ten główny, tak nieszczęśliwie niestety wpływający na losy i na belletrystyczną wartość historycznych powieści Kraszewskiego, znajdują się w nich niezaprzeczenie dyamenty czystej wody. Z sumiennością rzadką, z intuicyą niezmierną sędziwy autor umiał przejąć się duchem epoki i charakter jej nadać swoim kreacyom. Są to wszystko ludzie pojęciami, uczuciami, namiętnościami harmonizujący z czasem swoim — najściślej się też do tego i tło powieści stosuje. Opisy, niektóre zwłaszcza, malownicze i plastyczne, wszystkie barwne i wdzięczne. Zdaje się, że dolatuje od nich zapach starych miodów, żywicy leśnej i zielonych wianków, że się słyszy echo wojennych okrzyków i dziewiczego korowodu. Gdyby powieści tych było mniej, gdyby w nich zwłaszcza historyk nie kładł wędzidła na poetę i romansopisarza, znalazłyby one niewątpliwie równe uznanie, jak głośne opowiadania z saskich czasów, od których to opowiadań rzadko mają pod względem literackim niższą wartość, a czę-

sto, żeby tylko zacytować Starą Baśń, przewyższają je znacznie.

Z najnowszych powieści współczesnych Kraszewskiego, jakie mam w tej chwili pod ręką, jedna, Na tułactwie, jest kartką z życia wyjętą, a w powszedniej swej prostocie tragiczności pełną. Kraszewski przedstawia w niej człowieka rzuconego na obczyznę przez losy przeciwne, a zwłaszcza przez złych ludzi. Typ to czysto-polski, natura uzdolniona, dobra, pełna porywów szlachetnych, ale miękka i chwiejna, jak trzcina naginająca się pod każdym podmuchem wiatru. Nic charakteru, wytrwania, ochoty i umiejętności do pracy — tem więcej zaś skłonności do słodkiego lenistwa i spokojnego używania życia. Nie dziw, że przy podobnem usposobieniu człowiek ten, który w sprzyjających i łatwych warunkach mógł przejść przez życie bez pożytku wielkiego, ale też bez szkody i plamy — potyka się, upada i to co kochał, pociąga w otchłań. Dzieje jego tułactwa, nakreślone z prawdą wielką, mogą służyć za przykład i za ostrzeżenie. Któż nie zna podobnych? kto nie spotkał takiego człowieka na swej drodze i nie widział jak powoli, krok za krokiem, grunt mu z pod nóg się usuwał? Szczegółom zarzucić można wiele. Niechęć do Galicyi i Poznańskiego uniosła autora za daleko, podyktowała mu kilka rysów przesadnie ciemnych, a nawet i całkowicie fałszywych. W ogóle w powieści pessymizmu jest nadto — nie zmieniając głównych jej zarysów, światła trochę przydałoby się może. W każdym razie jednak książka to pożyteczna, przeczytać ją, pomyśleć nad nią, warto.

Na Polesiu za to, powiedzieć można śmiało, nie udało się Kraszewskiemu. Jest tam wprawdzie parę scen doskonałych, postacie zarysowują się wybornie, książka czyta się, jak zawsze u Kraszewskiego, z zajęciem — ale na dobrą powieść — tego zamało. Jak w poprzednim tak i w tym utworze autor wysuwa najprzód jednę tylko główną postać, około której grupują się wszystkie osoby i wypadki powieści. Jest to gatunek arystokratycznego Kopciuszka, hrabia sierota, pokrzywdzony i zaniedbany przez rodzinę i odpłacający jej aż do śmierci nienawiścią nieubłaganą. Wzbogaciwszy się sknerstwem i pracą niezmordowaną, dla oddalenia spadku od czyhającej i łaszącej się rodziny, żeni

się z biedną dziewczyną, córką pijaczki i hultaja, podsuniętą mu przez nikczemnych rodziców w mniej ambitnych celach. Historya stosunku, a wreszcie pobrania się tego starego stetryczałego prostaka z młodą dziewczyną, na której autor skupił wszystkie promienie swojej powieści, robi dziwnie niemiłe, prawie wstrętne wrażenie. Jest to bądź co bądź historya brzydkiego targu, w którym czynnikami rozstrzygającymi są nienawiść i chciwość, a jaśniejszej, sympatycznej strony, doszukać się trudno, nawet w biernej całkiem, bladej, niewyraźnie rysującej się bohaterce — ofierze. Kiedy się skończy powieść, której rezultatem jest, że hrabinie po śmierci męża dostał się majątek i że wyszła za mąż za młodszego i przyjemniejszego profesora, w którym kochała się jako pensyonarka, nasuwa się pytanie: po co to pisane? Etyczna strona pominięta w powieści całkiem, postacie wstrętne lub blade, rozwiązanie nie zostawia po sobie innego wrażenia, oprócz dziwnego jakiegoś rozstroju i niesmaku. Czytelnik mówi sobie: czyż naprawdę świat ten składa się z samych tylko karykatur, albo złych, albo śmiesznych a zawsze brzydkich, i czy artysta ma prawo narzucać nam fotografie kilku najbardziej ujemnych, wyjątkowych zjawisk życia, za jego ogólny typowy obraz?

Klasztor zaczyna się pysznie. Wiadomo, że nikt nie dorównał Kraszewskiemu w ekspozycyi — w Klasztorze jest ona prosta bardzo, pozbawiona wszelkich upiększeń i sztucznego zaciekawienia, ale w prostocie tej jest artyzm wysoki, jest coś, co czytelnika przykuwa cichym, spokojnym a bardzo silnym urokiem. Tych kilku starych mnichów w małym klasztorku wiejskim robi wrażenie malowideł *en grisaille*, które w pierwszej chwili pomija się obojętnie, ale raz wpatrzywszy się w nie, jeśli są piękne, oczu od nich czasem trudno oderwać.

Obrazek klasztoru śliczny, jest jasny i ciepły. Na tem tle rozwija się akcya, której osią przewodnią jest rozdźwięk, wprowadzony do zacisza klasztornego przez świeckiego człowieka, który — ranny — szukał tu schronienia. Jeden to z owych awanturników drugiej połowy XVIII. w., bez wiary i moralności, z przeżytem szyderstwem i cynicznym żartem na ustach, których panowanie Augustów tyle u nas namnożyło; natura potężna ale zwichnięta, niepohamowana w namiętnościach a niezdolna prze-

ciwności znieść; dawniejsza nieledwie — a słaba. Nic ciekawszego od zetknięcia się tego wulkanu, wybuchającego co chwila bluźnierstwem i ironią, z prostym, cichym światem synów św. Franciszka; kollizya jest dramatyczną naprawdę, bo się przeczuwa, że to Opatrzność przywiodła szaleńca tego za kratę, żeby w niej po zawikłaniach i burzach świata znalazł spokój serca i ciszę.

Takiem jest założenie. Na nieszczęście Kraszewski, co mu się często trafia, nie umiał być w dalszym ciągu konsekwentnym i splątawszy wątek powieści kilku ostro akcentowanymi epizodami, zostawił ją — bez rozwiązania. Wprawdzie pod koniec wraca bohater do klasztoru, ale wraca nie jako nawrócony pokutnik, jako syn marnotrawny do domu ojca, ale jak włóczęga ponury, szukający zapomnienia w pracy fizycznej, i tak też umiera pod ramionami krzyża, od krzyża daleki. W życiu mogło się to zdarzyć,—powieści odbiera to etyczną podstawę, robi ją bezcelną i niedokończoną. (Dok. nast.)

Z Krakowa.

Znaczenie zjazdów naukowych. — Zjazd imienia Kochanowskiego. — Ważniejsze jego desiderata. — Wystawa. — Czwarty zjazd lekarzy i przyrodników w Poznaniu.

W porozbiorowej dobie naszej, zjazdy naukowe mają nietylko wartość swoję dla nauki i wiedzy, ale rozdzielonych słupami granicznymi łączą w jednej dodatniej myśli nad organiczną pracą kraju i są do pewnego stopnia wyrazem umysłowego rozwoju naszego. Dwa takie zjazdy odbyły się w tych ostatnich tygodniach; jeden historyczno-literacki w Krakowie 28, 29 i 30 maja dla uczczenia 300 letniej rocznicy śmierci pierwszego poety polskiego z XVI. w., Jana Kochanowskiego; drugi w Poznaniu — a był to czwarty z kolei zwyczajny zjazd lekarzy i przyrodników, dnia 3, 4 i 5 czerwca. Dzienniki podały szczegółowe sprawozdanie z obydwóch zjazdów; nam tylko wypada zanotować ważniejsze momenta.

Inicyatywa zjazdu imienia Jana Kochanowskiego, wyszła z krakowskiej Akademii umiejętności, a była tylko wykonaniem myśli rzuconej przed czterema laty przy zamknięciu zjazdu na

cześć Długosza. Oprócz *Nowej Reformy* i *Djabła*, które podsuwały zjazdowi jakieś cele koteryjne „stańczykowskie“, prasa polska i wykształceńsza społeczność polska przyjęła wiadomość o zjeździe przychylnie, a sam zjazd z uznaniem. Nie był on tak świetny, ani tak liczny jak zjazd Długosza, bo z natury rzeczy poeta piszący po polsku nie mógł budzić tak szerokiego zajęcia za granicą, jak historyk XV. w. piszący po łacinie, a tem samem dla obcych przystępny i służący im często za źródło do naukowych badań. W kraju nawet, w obecnej dobie racyonalizmu, gdzie ruch naukowy przeważnie w historyczno-przyrodniczym zwrócił się kierunku, a poezya od lat niemal 20 prawie zapomniana i lekceważona dlatego, że niepowołane pióra do niej się zabrały, znaleźć musiał zjazd im. Kochanowskiego nie równie mniej uczestników. Pomimo to, zjazd ten przedstawiał zgromadzenie wcale poważne i liczbą (przeszło stu członków) i naukową wartością. Byli tam profesorowie uniwersytetów, krakowskiego i lwowskiego, profesorowie i nauczyciele szkół średnich, kilkunastu ludzi pióra, między tymi najwybitniejsi pp. Jarochowski i Spasowicz, prezes i wiceprezes zjazdu, głośny swym pozytywizmem, p. Chmielowski, redaktor warszawskiego *Ateneum*, i dr. Pilz, zdolny redaktor petersburskiego *Kraju*. Nie brakło też i na widzach; obszerna sala Sukiennic nie była pustą; panie zwłaszcza i panienki, pomimo suchych nieraz i nużących debat — ściśle naukowe rozprawy nie zawsze bywają zabawne — z wielkiem zajęciem i większą jeszcze wytrwałością przysłuchiwały się uczonym wywodom. Dzięki sprężystości prezesa zjazdu, dr. Jarochowskiego, który, według słów jego własnych, oddaną sobie na 24 godzin władzę, „pojmował na seryo“, debaty odbywały się z wielkiem życiem i porządkiem i wyczerpnęły cały program zjazdu. Program ten obejmował dwanaście referatów; wszystkie dla nauki wielce ważne, niektóre w szerszych nawet kołach budzące wielkie zajęcie. Wiadomo, że zjazdy naukowe nie wydają uchwał, ale wypowiadają swoje „desiderata“, życzenia, które świat uczony uwzględnia o ile może, i przyczyniają się wiele do uregulowania i systematycznego prowadzenia badań i prac na tem lub owem polu nauki.

Dla ułatwienia pracy podzielono referaty na dwie sekcye: historyczno-literacką i lingwistyczną. Rozprawy tej ostatniej pełne

erudycyi i głęboko uczone, do żadnych prawie jasno sformułowanych nie doprowadziły wyników. Za to sekcya historyczno-literacka postawiła kilka doniosłych desideratów, na które też większość zjazdu godzić się zdawała. Oto ich streszczenie:

1° Ponieważ religijne misterya XIV. i XV. wieku w Polsce bardzo mało są znane, przeto w braku innych źródeł należy się rozpatrzyć bliżej w zbiorach kazań tej epoki, znajdujących się w rękopisach bibliotek publicznych, a nawet prywatnych. Kazania te bowiem należały bardzo często do integralnej części misteryów, zastępowały poniekąd między aktami „chór grecki“ i dzieliły się zwykle na ośm części. Podział ten zachował w XVI. jeszcze wieku ks. Skarga w kazaniu na Wielki Piątek. (Referat dra. Tomkowicza).

2° Historya literatury politycznej od końca XIV. w. prawie nam nieznana; należy więc rozczytać się uważniej w ówczesnych autorach, mianowicie w Kadłubku, którego długi czas używano za podręcznik szkolny i w uchwałach synodów, aby módz zrozumieć, w jakiej mierze i jakiemi drogami polityczne prądy na Zachodzie, przybywały do Polski. (Referat prof. Bobrzyńskiego).

3° Ponieważ panuje wielki nieład w sposobie wydawania dzieł pisarzy XVI. i XVII. wieku, tak pod względem porządku i tekstu dzieł jak i objaśnień tekstu, przeto należy zachować porządek taki, któryby stopniowy rozwój duchowy autora uwydatnił, uwzględniając wszelako porządek przez samego autora wskazany. W tekście należałoby unikać modernizowania pisowni w dziełach przeznaczonych dla uczonego świata. Przeciwnie zaś w dziełach, jak Żywoty Świętych Skargi, które są przystępne dla ogółu czytających, godzi się zaprowadzić pisownię dzisiejszą. Dopiski należy umieścić u dołu tekstu, ująć je w treściwą i jasną formę i ograniczyć do tego, co gwałtem potrzebne do czytania i zrozumienia dzieła (Referat prof. R. Pilata).

4° Żywo zajmują umysły badania nad humanizmem w Polsce. Otóż ważnym do nich czynnikiem są wypisy z metryk z uniwersytetów zagranicznych, mianowicie niemieckich i włoskich, i dlatego do sporządzenia takowych wysłać koniecznie należy zdolnego stypendystę. Podjąć także w tym celu należy studyum statystyczne nad stosunkiem, w jakim prowincye i miasta polskie

przysyłały studentów na akademią krakowską, a wreszcie śledzić źródła, z których poeci nasi czerpali natchnienie. (Referat prof. Morawskiego).

Najważniejszym ze wszystkich, zdaniem naszym, i niecierpiącym zwłoki, ale trudnym do wykonania, był desiderat prof. Tarnowskiego: postarać się jak najprędzej o napisanie dobrego podręcznika historyi literatury polskiej dla szkół średnich. Nader ożywiona dyskusya wykazała, jak po macoszemu, i to w myśl systemu szkolnego istniejącego podziśdzień, traktowano u nas dotąd ten tyle ważny dla wykształcenia młodych umysłów przedmiot. Istotnie, nawet przy najlepszych chęciach rządu nie możnaby na razie przedmiot wykładać godnie dla braku odpowiedniego podręcznika. Historyczno-literackie fałsze Bentkowskiego, Maciejowskiego i Wiśniewskiego powtarzane przez lat kilkadziesiąt, udarowane prawie obywatelstwem, wkradły się zarówno do istniejących dotąd „rysów i zarysów historyi literatury polskiej“ jak do ustnych wykładów i pisemnych elaboratów szkolnych. Potrzeba będzie wiele czasu i wiele pracy, zanim się uda wyrugować je zupełnie, pierwszym jednak i koniecznym do tego warunkiem, sumiennie i gruntownie opracowany podręcznik, któryby nie gubił się w szczegółach i dyskusyach wątpliwych dotąd, ale podał pewne, już zdobyte na tem polu rezultaty, nie wyprzedzał badań ale szedł za niemi i zebrał tych badań owoce. Dzieło takie przechodzi siły jednego człowieka, a znów rozdzielić je na kilku, to tej zbiorowej pracy nie będzie dostawało jednolitości. I w tem właśnie tkwi trudność, której nie rozwiązał ani szanowny referent, ani nikt z tych, co głos w tej sprawie zabierali. W każdym razie jawne, publiczne przyznanie się, że się dotąd nie miało i nie ma odpowiednej książki o historyi literatury polskiej, ma tę wielką korzyść, że już przecież nie będzie wolno tak bezmyślnie powoływać się jako na powagi, bądź to w dziełach i rozprawach, bądź też w ustnych wykładach, na istniejące u nas dotąd historyczno-literackie „rysy i zarysy“.

Żałować wypada, że w cykl referatów zjazdu nie weszła kwestya: jaki wpływ wywarły psalmy Kochanowskiego na wykształcenie ludu polskiego. Przy wielkim braku szkół ludowych w XVI. i XVII. wieku i rzadkiej wówczas znajomości czytania,

psalmy te śpiewane po kościołach, w domu i na polu przy pracy, były dla ludu naszego nietylko bodźcem do pobożności, ale prawie jedynym wzorem języka książkowego, jedyną dlań literaturą.

Po zamknięciu zjazdu otwarto wystawę im. Kochanowskiego w dwóch mniejszych salach Sukiennic, należących do Muzeum narodowego. Kustosz i sekretarz jego p. Ziemięcki przy pomocy komitetu potrafił nagromadzić znaczną ilość rzadkich wydań dzieł Kochanowskiego, dokumentów, pism i drzeworytów odnoszących się do tej epoki. Z autografów Kochanowskiego jeden tylko list jego do Fogelwedera, użyczony uprzejmie przez hr. Ostrowskiego, można było oglądać. Za to bogaty był dział tkanin, kobierców, haftów, sprzętów domowych, kosztowności i wspaniałych obrazów z epoki odrodzenia, dostarczyły je głównie kościoły krakowskie, i rodziny zamieszkałe w Krakowie i jego okolicach. Katalog wystawy wymienia 196 „portretów i dzieł sztuki XVI. wieku". Przy zamknięciu wystawy dnia 20 czerwca o godz. 4-tej wykonano śpiew chóralny trzech psalmów Kochanowskiego (ps. 1, 48, 91) według czterogłosowej muzyki z psałterza Gomółki, drukiem ogłoszonego w Krakowie 1580 r.

Równie poważną cechę nosił czwarty zjazd lekarzy w Poznaniu, a uczestniczył w nim znaczny zastęp lekarzy nietylko z innych dzielnic polskich, ale i z Czech pobratymczych, „Czescy delegaci, pisze „Kuryer poznański" (nr. 127), profesorowie, lekarze, uczeni, biorą udział po raz wtóry w polskich zebraniach naukowych; najprzód w Krakowie na trzecim i teraz w Poznaniu na czwartym zjeździe lekarzy i przyrodników polskich. Polacy wzięli znaczny udział w jednym ze zjazdów czeskich w Pradze roku zeszłego. Łączność ta jest dla nas wielce pocieszającą... z czasem stanie się ściślejszą i lepiej zrozumianą... W zjeździe przebijała od początku do końca ta wielka myśl: przez pracę do prawdy, a jak słusznie dodał w przemówieniu swem Dr. Milewski, do Boga". Referaty i desiderata zjazdu poznańskiego zrozumiane i ocenione być mogą tylko przez ludzi fachowych, wszystkich jednak żywo obchodzić powinien odczyt Dra. Żulińskiego ze Lwowa, o przeciążaniu naukowem w szkołach, ze stanowiska medycznego. Dla usunięcia złego podał prelegent 14 środków. Naukę rozpocząć należy po skończonym 7 roku dziecka,

liczba godzin codziennej nauki i długości lekcyi odpowiednia wiekowi, a ograniczona do minimum. Poważne przedmioty szkolne przeplatane lżejszymi i mechaniczną robotą. Przestanki międzygodzinowe ściśle zachowane. Gimnastyka ma być codzienną przeciwwagą naukowego wytężenia umysłu i t. d. Najważniejszym jest, zdaniem naszem, punkt 11-ty: egzamina maturalne zastąpić egzaminem corocznym z klasy do klasy, uwzględniając zawsze więcej rozwój umysłowy jak pamięć ucznia. Nad tym punktem rozwinęła się nader żywa dyskusya. Radca Motty żądał formalnego oświadczenia się sekcyi za zniesieniem matury; o uzdolnieniu ucznia niech da zdanie grono nauczycieli. Przy tej sposobności zaznaczono gwałtowną potrzebę reformy szkół pod względem higienicznym, a my dodamy, że równie, jeżeli nie bardziej jeszcze naglącą, jest ona u nas pod względem naukowo-moralnym. Jak niesłychanie bowiem zgubnem jest zapoznanie albo lekceważenie (to ostatnie bodaj czy nie ma miejsce w naszych szkołach) czynnika religijnego i surowe przestrzeganie moralności w wychowaniu, dowodem tego Włochy i Belgia. Włochy przez lat 14, Belgia przez lat 6, ulegały winą swych rządów temu antireligijno-liberalnemu prądowi edukacyjnemu — i cóż się stało? Oto ludność katolicka włoska sprzykrzyła sobie takie gospodarswo i do rad municypalnych i prowincyonalnych wybiera tylko tych, którzy za wprowadzeniem religii do szkół i chrześcijańską edukacyą młodych pokoleń wyraźnie się oświadczyli. W Belgii dążenia rządu do odchrześcijanienia szkoły obok innych zakusów socyalistycznych, przeraziły ludność do tego stopnia, że przy nowych wyborach do parlamentu, dokonanych według nowej rządowej ustawy wyborczej, partya konserwatywna katolicka poważną otrzymała większość 32 głosów, z łona jej wyszedł rząd nowy z p. Malou na czele, a pierwszą jego czynnością będzie przywrócenie nuncyatury brukselskiej i zniesienie ministerstwa oświaty inaugurowanej przez upadłe ministeryum, masona Frère-Orbana, a głoszącej bezwyznaniowość szkoły. Obyśmy już raz dali pokój próbom liberalnego systemu uczenia, który w innych chrześcijańskich krajach okazał się tak szkodliwy. *Z. S.*

Druk ukończony dnia 25 czerwca 1884.

ENCYKLIKA LEONA XIII. PAPIEŻA
O MASONII.

Jak wszystkie poprzednie Encykliki Leona XIII., tak szczególnie ostatnia *Humanum genus* z dnia 20 kwietnia r. b. odsłania i leczy zarazem najniebezpieczniejsze rany i choroby naszego wieku. Jakoż Encyklika *Quod apostolici muneris* wytyka i gromi potworne i przewrotne zasady socyalizmu i komunizmu, które wyrosły z tak nazwanej umiejętności oderwanej od Boga, a raczej z zaprzeczenia istności najwyższej istoty, pana i stwórcy wszech rzeczy. W Encyklice *Arcanum* bierze Leon XIII. świętość i nietykalność związku małżeńskiego w obronę, a z nim rodzinę chrześcijańską przeciw zamachom tejże fałszywej nauki, które ten najgłębszy i ostateczny fundament społeczeństw i państw podważają! Z świętością bowiem tego związku runąć musi cała budowa na tej podstawie spoczywająca. W Encyklice *Diuturnum* przypomina Leon XIII. całemu światu odwieczną naukę chrześcijańską o władzy politycznej i wykazuje, jak cudownie zgadza się z przyrodzonym rzeczy porządkiem.

W ostatniej Encyklice, o której mowa, obejmuje Leon XIII. wszystko, co w poprzednich powiedział, a w szczególności obejmuje rodzinę, społeczeństwo, Kościół i państwo i odsłania całemu światu źródło, z którego wszelkie złe, co ludzkość, a zwłaszcza w obecnych czasach trapi, wypływa, a tem złem jest silnie i misternie zorganizowana sekta masońska, która się teraz po całym świecie nad miarę rozwielmożniła i uzuchwaliła. Jej najprzedniejszem zadaniem jest, wykorzenić religię chrześcijańską, odbudo-

wać społeczeństwo na podstawie czysto przyrodzonej, bez Boga, bez wiary w nieśmiertelność duszy, a następnie bez kary lub nagrody, jednem słowem wyzuć rodzinę, społeczeństwo i państwo z wszelkiego charakteru chrześcijańskiego. Stąd zdarcie świętości z węzła małżeńskiego i zamienienie go na umowę zwyczajną, czyli kontrakt cywilny, stąd odjęcie szkole publicznej charakteru religijnego, zaniedbanie ćwiczeń religijnych, wyrzucanie ze szkoły krzyżów; stąd wykluczenie religii z życia publicznego i politycznego — *saluberrimam religionis catholicae virtutem*, są słowa Encykliki, *a legibus, ab administratione reipublicae excludunt* — stąd ubóstwienie państwa, bo, jeśli człowiek sam sobie Bogiem i panem, jakżeby nim nie miało być państwo? Szalona i fałszywa wolność przedzierzga się tu, jak zwykle wszystkie wyuzdane ostateczności, w tyranią prawdziwie pogańską, bo trudno sobie wyobrazić okropniejszy stan niewoli, jak być zaprzedanym duszą i ciałem urojonemu bałwanowi państwa.

Ojciec św. widząc z wyżyn swego najwyższego pasterstwa jaśniej, niż ktokolwiek inny, a nadto wsparty łaską tego, którego zastępuje na ziemi, groźne dla swej trzody niebezpieczeństwa, poucza ją i ostrzega przed sidłami zaciętych przeciwników jej zbawienia. Sam to wypowiada, w jakiej myśli tę Encyklikę ogłasza: „W tak oczywistej potrzebie, w tak okrutnej i uporczywej walce przeciw wszystkiemu, co imię chrześcijańskie na sobie nosi, poczytujemy za Naszę powinność, zwrócić uwagę na niebezpieczeństwa, wskazać nieprzyjaciół i, o ile zdołamy, stawić ich planom i podstępom opór, aby ci, których zbawienie Nam poruczone, nie zginęli na wieki, aby królestwo Jezusa Chrystusa, którego strzedz mamy, nietylko się ostało i w całości utrzymało, ale nadto wzrastało i szerzyło się po całej kuli ziemskiej.“ Trudno streścić osnowę tej Encykliki, której każde niemal słowo na złotej odważone szali pełne jest treści. Lecz, aby o niej mówić, trzeba się tego podjąć.

Ród ludzki na dwa rozpada się obozy, chrześcijański i antychrześcijański, królestwo Boże i królestwo szatańskie. Od wieków walczyły te dwa obozy z sobą, ale nigdy z taką zapalczywością i gwałtownością, jak w naszych czasach. Sprawcą tej walki i wodzem w boju jest sekta masońska, silnie i sztucznie

zorganizowana i po całym świecie rozgałęziona. Dziś doszła ona już do takiej potęgi, że się z swemi zamiarami zburzenia Kościoła katolickiego w tym stopniu, jak dawniej, taić nie potrzebuje i jawny przeciw majestatowi Boskiemu rokosz podnosi.

Idąc śladem poprzedników swoich, a mianowicie: Klemensa XII., Benedykta XIV., Piusa VII., VIII. i IX. i Grzegorza XVI., którzy pod surowemi karami kościelnemi zakazali do sekt tego rodzaju przystępować, uważa Leon XIII. za rzecz bardzo znowu potrzebną przypomnienia wiernym nauk i przestróg przez Kościół danych. To wystąpienie Papieży oburzyło wolnomularzy czyli masonów, ale mądrzy i roztropni ludzie, a nawet i państwa niektóre przyznały Papieżom słuszność. Jakoż w Holandyi, Austryi, Szwajcaryi, Bawaryi, Hiszpanii, Sabaudyi i wielu innych została sekta masońska prawem zakazana. Lecz nie wszędzie i nie zawsze znalazł głos Papieży powolność. Stąd poszło, że ta sekta w ciągu półtora wieku ponad wszelkie oczekiwanie wzrosła w potęgę. Zuchwałością swoją i podstępami zdołała się wcisnąć w wszystkie rangi urzędów tak, iż dziś, jak się zdaje, całe opanowała państwa. Skutkiem tego było i jest podkopanie powagi tak kościelnej jak świeckiej, a z niemi upadek dobra pospolitego. O przyszłość zatem należy się lękać, nie dla Kościoła, bo on ma silniejsze, niż złość ludzka, fundamenta, ale o państwa i społeczeństwa, w których ta zaraza górę bierze.

Od samego początku Naszego pontyfikatu stawialiśmy na różnych polach opór temu złemu, wytykając socyalne niedostatki i szkodliwe wady, na jakie ta sekta całe społeczeństwo naraża. Tą razą postanowiliśmy w samo źródło złego ugodzić, w samą sektę masońską, w jej naukę w ogólności, w jej plany, sposób myślenia i działania, aby odsłonić i stawić wiernym przed oczy całą szkaradę tej zarazy. Wszystkie tajne sekty, z jakiegokolwiek wypływają źródła, jakąkolwiek noszą nazwę, z masonii ostatecznie wiodą swój początek i do niej znowu wracają. Jakkolwiek dziś ośmieleni swobodą i potężnemi protekcyami, występują jawnie i festyny swoje publicznie obchodzą, ukazują jednak yle tylko swego oblicza, ile im dogodnie, reszta zaś czyli istota rzeczy pozostaje pod ziemią; co zatem świat widzi, jest tylko pozorem, obsłoną okrywającą to, co światła nie znosi. Co więcej,

sami nawet członkowie dzielą się na rozmaite stopnie, urzędy, dostojeństwa i t. d., z których najwyższym tylko znane są ich cele, środki i t. d. reszta zaś nic o tem nie wie i przeznaczona jest do najściślejszego wykonywania rozkazów, milczenia i bezwzględnego posłuszeństwa. Straszliwą przysięgą krępują się wstępujący i poddają najsurowszym karom, a nawet karze śmierci w razie nieposłuszeństwa, wydania tajemnicy i t. p. Nie wiedząc na co i po co, bo ostatecznego celu nie zna, oddaje się człowiek z duszą i ciałem w najstraszniejszą niewolę bez świadomości komu; jest to obrazą zdrowego rozumu i przyrodzonej etyki. Słusznie przeto nazywa Encyklika to postępowanie dzikością sprzeciwiającą się przyrodzeniu — *immanitas quaedam est, quam rerum natura non patitur*. Ojciec św. zastrzega się tu wyraźnie, że mówi o samej sekcie tylko, o jej pryncypalnych zasadach i organizacyi, nie zaś o pojedyńczych osobach do niej należących, pomiędzy któremi może być wielu, którzy nie są wprawdzie bez winy, że się bez świadomości w taką zaprzedali służbę, ale mogą jednak nie podzielać niecnych celów całej sekty.

Ostatecznem masonów zadaniem jest wytępienie religii chrześcijańskiej, a mianowicie katolickiej, a następnie wszelki jej wpływ, a nawet ślad z ustroju państw, z instytucyj publicznych wyniszczyć i wszystko na czysto naturalnych podstawach odbudować. Z tego wynika, że odrzucając nadprzyrodzone objawienie Boskie, muszą także odrzucać Kościół katolicki, który jest właśnie stróżem przechowującym ten skarb nauki objawionej. Z tej przyczyny Kościół katolicki musi być przedmiotem ich szczególnej nienawiści, dlatego także walka przeciw niemu najzaciętsza, nieubłagana, bo on jest jedyną i zarazem najpotężniejszą przeszkodą do osiągnienia ich celów. Gdzie przeto mogą i jak mogą, jawnie i skrycie, gwałtem lub podstępem, nie przebierając w środkach, prześladują go na każdym kroku, wykluczają z prawodawstwa, administracyi, sądownictwa, szkoły, jednem słowem z całego obszaru życia publicznego, bo jego wpływ stoi im wszędzie i zawsze na zawadzie. Jak łatwo pojąć, wzmaga się i zaostrza ta nienawiść przeciw Papiestwu. Obdarli je najpierw z władzy świeckiej, do utrzymania niezawisłości swej nader potrzebnej, a potem jęli

się rączo do pracy nad jego zburzeniem zupełnem, aby namiestnika Chrystusowego nie było na ziemi.

Nieświadomych i nieostrożnych uwodzą, przedstawiając im, że przez wstąpienie do masonii nie mają potrzeby wyrzekać się religii katolickiej, że owszem masoni szanują wszystkie religie i wyznania przez przestrzeganie tolerancyi. Po niewczasie dopiero przekona się każdy, co to jest ta tolerancya. Gdzie bowiem wszystkie religie bez wyjątku równego doznają poszanowania, tam niewątpliwie nie masz żadnej.

Na tej pochyłej drodze dochodzą szybko do zaprzeczenia istności Boga, rządów opatrzności i nieśmiertelności duszy. Jedne loże przyjmują jeszcze, że Bóg jest, drugie zaś utrzymują, że go nie masz i od niejakiego czasu spory z sobą o to wiodą. Z upadkiem zaś tych teoretycznych podstaw runąć muszą wszelkie fundamenta przyrodzonej nawet etyki. O wyższych, nadprzyrodzonych cnotach, których bez łaski Boskiej nabyć nie można, nie mówimy tu wcale; albowiem z takim przewrotem naturalnego rzeczy porządku i naturalne cnoty tracą swoję podstawę. Wszystkie te niedorzeczne twierdzenia opierają się na tej głównej fałszywej zasadzie, że natura ludzka, rozum, wola, uczucia nie zostały przez grzech pierworodny skażone, a następnie, że człowiek z natury nie ma skłonności do złego; walka zatem z namiętnościami, złemi skłonnościami jest urojeniem — zaspokojenie ich jest jedynem i skutecznem lekarstwem. Stąd pochodzi, że masonia tego ohydnego naturalizmu w najrozmaitszy używa sposób, aby przez prasę, teatra, a nawet przedmioty sztuki te namiętności podsycać, a potem im schlebiać. Przebiegłość ich odgadła tę tajemnicę, że powolniejszych do swych robót nie znajdą służalców, nad ludzi na duchu upadłych i namiętnościami strawionych. Dlatego w nieograniczonej wolności pozwalają pić z kielicha rozkoszy, aby z nich mieć ślepe narzędzia na swoje usługi. Jak małżeństwo, będąc świecką czysto sprawą, świeckim tylko ulegać ma prawom, tak i szkoła oswobodzona być powinna z wszelkiego wpływu religii, a zwłaszcza takiej, która stałe i niewzruszone ma zasady. Każde dziecko, gdy dorośnie, może sobie potem obrać religię, jaka mu się spodoba. Z tego powodu duchowni nie mają

mieć przystępu do szkoły. Do dopięcia tego celu wszystkie środki są godziwe.

Państwo bez Boga musi być koniecznie i bez religii. Po 1800 latach chcą wskrzesić pogaństwo. Szalona to bezbożność! Jest to prawdziwie szatańska nienawiść ku Chrystusowi. Upadek taki jest daleko cięższy, niż dawnych pogan, którzy utrzymywali, że łatwiej miasto w powietrzu zbudować, niż państwo bez religii. Jak bowiem każdy pojedyńczy człowiek życie i wszelkie dobra od Boga odbiera, za to mu dzięki składać powinien, tak samo państwa i narody. Bóg jest stwórcą i najwyższym panem wszech rzeczy, od niego także może tylko wszelka władza na ziemi pochodzić. Podwładni zatem nie mają prawa zwalniać się od obowiązku posłuszeństwa według swego upodobania, bo władza ma swoje ostateczne źródło w Bogu.

Jakkolwiek masoni sami nie przyznają się do tego, aby socyalizm i komunizm był dzieckiem ich sekty, to jednak zbyt oczywistą jest rzeczą, że zasady i doktryny masońskie konsekwentnie wprost do niego prowadzą. Pozbycie się bowiem bojaźni Bożej, odrzucenie przykazań Bożych, wzgardzenie wszelką powagą i władzą, rozpuszczenie cugli namiętnościom, schlebianie masom obietnicami, które nigdy ziszczone być nie mogą, musi ostatecznie do najzupełniejszego przewrotu wszech rzeczy doprowadzić.

Nareszcie potwierdzając wszelkie przez poprzednich Papieży wymierzone przecim masonom kary kościelne, wzywa Leon XIII. biskupów, aby wszelkiego dołożyli starania do ukrócenia zuchwałych tej sekty zapędów. Sam zaś z swej strony poleca biskupom następujące w tej mierze środki. Najpierw zdzierać maskę z tego związku i ukazać go wiernym w jego całej przewrotności i szkaradzie, aby się nikt pozorem zewnętrznym nie dał ułudzić i uwieść. Narażanie się lekkomyślne na takie niebezpieczeństwo, już jest grzechem i dlatego Kościół tak surowo tego zakazuje. Powtóre, gruntowne oświecenie wiernych o prawdach chrześcijańskich w naukach katechizmowych, które jest najsilniejszym puklerzem przeciw potwornym błędom i ponęcie do skażenia dobrych obyczajów. W tej mierze powinno biskupów całe duchowieństwo, a nawet i świeccy przejęci duchem miłości Boga i swej ojczyzny wszel-

kiemi siłami wspierać. Pożytecznem nader do tego celu jest wstępowanie do trzeciego zakonu św. Franciszka. Przezeń bowiem ćwiczą się ludzie coraz bardziej w cnotach chrześcijańskich, a nadto, co w naszych czasach socyalną ma wartość, zbliżają się do siebie i bratają się z sobą wszystkie warstwy i klasy nie w sposób masoński i komunistyczny, ale prawdziwie chrześcijański. Po trzecie, zakładanie szkół rzemieślniczych pod przewodnictwem duchownych. Pięknemby to było zadaniem większych szczególnie przedsiębiorców, gdyby w ten sposób nad robotnikami i ich rodzinami taką rozciągnęli opiekę. Do tego celu najskuteczniejszym środkiem być mogą konferencye św. Wincentego à Paulo. Po czwarte, pilne i baczne czuwanie nad szkołami i zakładami, w których się wychowuje młodzież, nadzieja przyszłości. Zbawienną byłoby rzeczą, aby po dobrem się przygotowaniu każdy młodzieniec, zanim przystąpi do pierwszej komunii św., złożył przyrzeczenie, że nie przystąpi do żadnego związku, dopóki się pierwej swego proboszcza lub spowiednika nie poradzi. Nakoniec, ponieważ wszystkie wysilenia ludzkie bez błogosławieństwa Bożego pożądanego nie zdołają przynieść owocu, przeto poleca Ojciec św. modlitwę i wzywanie przyczyny N. Maryi Panny i wszystkich Świętych.

Oto w krótkich słowach nauki i przestrogi, jakie Leon XIII. daje wiernym w przedmiocie sekty wolnomularskiej i zarazem środki, których przeciw tej zarazie ze skutkiem użyć należy. Encyklika ta podobnie jak wyżej wymienione, nie ma charakteru definicyi dogmatycznej, ale mimo to ma jednak znaczenie aktu wykonywającego urząd najwyższej powagi nauczycielskiej Namiestnika Chrystusowego. Należy to do praw i powinności następcy Piotra św., któremu Pan polecił: Paś baranki moje, paś owce moje. Papież, spełniając rozkaz Zbawiciela i wykonywując tem samem akt swego posłannictwa, ma prawo jako najwyższy pasterz żądać, aby wierni jego głosu z uległością słuchali. Sprzeciwiać się zatem słowom z tego miejsca wypowiedzianym, byłoby szalonem zuchwalstwem i zgorszeniem.

Encyklika ta, określając ściśle zdrową naukę chrześcijańską o podstawach i najgłówniejszych prawach rodziny, społeczeństwa i państwa, przemawia wprawdzie do biskupów tylko formalnie,

ale przemawia tak, iż głos jej wszyscy wierni słyszeć mogą i do niego zastosować się powinni. Papież, odzywając się formalnie tylko do biskupów, korzysta tylko z ich pośrednictwa i zwraca ich uwagę na to właśnie, co uważa teraz za najpilniejsze.

W toku samej Encykliki, jak słuszna, nie zapuszcza się Papież w poszukiwania historyczne o początkach tej sekty, czy je wywodzi z Egiptu, Starego Testamentu czy z klasycznego pogaństwa, o jej dziejach, przekształceniu, o ich rozmaitych obrządkach szkockich, niemieckich, o jej licznych i rozmaitych stopniach, bo to są przedmioty, które mogą być podane w wątpliwość, chociażby jak najrzetelniej zostały przedstawione. Natomiast bierze i roztrząsa to tylko, co jest zupełnie pewnem, co przez samych nawet wolnych mularzy nie może być zaprzeczonem. Encyklika bowiem nie jest uczoną rozprawą, nie ubiera się także w żaden aparat uczoności, a mimo to czuć jednak w każdem zdaniu, w każdem niemal słowie głębokie zrozumienie i przeniknienie rzeczy całej na wskróś. Ci, co są bliżej z naturą tej sekty obeznani, znajdą jeszcze w tej Encyklice pod tym nawet względem bardzo wiele rzeczy ciekawych, a zwłaszcza, co do jej ocenienia. Że jest na czasie, że dla obudzenia czujności biskupów i wiernych była potrzebną, że do dziś dnia jest bardzo wielu, którzy w swej dobroduszności nie wierzyli, aby to było prawdą, co im się zdarzyło o masonach słyszeć, nie przypuszczali, aby masonia pod ziemią kierowała wypadkami politycznemi i sprawami publicznemi, z dotychczasowej obojętności przebudzi i do pilniejszej baczności zachęci, o tem ani na chwilę nie wątpimy, bo tyle przynajmniej zrozumieją, żeby Papież przeciw czczym marom i urojeniom w tak uroczysty sposób głosu swego nie podnosił, nadto, że do tego potrzeba niepospolitej odwagi, aby tak dotkliwie zataszczyć tę podziemną potęgę, która zdołała swoich zwolenników z nicości lub niemocy wydźwignąć i na tronach osadzić. W swej mądrości i przezorności nie byłby Leon XIII. takiej walki rozpoczął bez dostatecznej i niezbędnej potrzeby. Sam fakt zatem, że to uczynił, powinienby każdego, który sobie dotąd rzecz tę lekceważył, do głębszego się nad nią zastanowienia i troskliwszego czuwania nad sobą i tymi, których opatrzność jego pieczy poruszyła, pobudzić.

Mamy nadzieję, że pomiędzy innemi ta Encyklika i ten owoc przyniesie, a to samo jużby dla tej sekty ciężkim było ciosem.

W trzech szczególnie punktach wykazuje ta Encyklika szkodliwy wpływ tej sekty, obejmujący niezmierne obszary. Najpierw burzy wszelką religię, bo nietylko znosi cały skarb objawienia Boskiego, ale nadto wywraca swoją przewrotną doktryną przyrodzone nawet prawdy religijne, t. j. te, których człowiek za pomocą przyrodzonego światła rozumu nabyć może. Powtóre wykazuje, że bez tych prawd teoretycznych niemasz na czem oprzeć przyrodzonej nawet moralności tak w pojedyńczych ludziach, jak w całości. Po trzecie wyjaśnia, że zastosowanie tych przewrotnych zasad masońskich podważa fundamenta rodziny, społeczeństwa i państwa.

Co do pierwszego, nie ulega najmniejszej wątpliwości, że zasady mąsonii tak tych lóż, które jeszcze uznają egzystencyę Boga przez swoję wyobraźnię wymarzonego, jak tych, które jej zaprzeczają, w samem założeniu swojem wszelką religię, a nawet wyobrażenie o niej znoszą. Bo kto niby przyznaje egzystencyę Boga, a odmawia mu mocy objawienia, odezwania się do swego stworzenia, nadania mu swego przykazania, rządzenia niem, wymierzenia mu kary lub nagrody, zaprzecza w istocie jego egzystencyi. Cóż to bowiem za Bóg, który nie może nic mówić, nic działać, niczem na swoje stworzenie wpłynąć, niem kierować? Czyż to nie martwy, nikczemny bałwan, dłutem z kamienia wykuty? Jakże człowiek rozumem i wolą obdarzony mógłby do niego się modlić, jemu dzięki lub uwielbienie składać? Czy sobie kto ten utwór wyobraźni lub myśli ludzkiej wystawia jako jakąś niepojętą istotę rzeczywistą, czy jako ideę, absolut w Hegloskiem, czy jako substancyę w całym świecie rozlaną Spinozy i innych indyjskich lub greckich filozofów znaczeniu, w każdym razie na jedno wypadnie, bo któż z rozumnych ludzi przed takiem bożyszczem myśli lub wyobraźni ludzkiej na kolana upadać i cześć Boską oddawać mu będzie? Swojemu własnemu Bogu, jak go sobie wymarzyli Spinoza, Hegel i t. p., nie byli zdolni ołtarzy stawiać. Czemże tedy są te wszystkie marzenia w szumne, napuszone i na pozór uczone przybrane frazesy i słowa wobec Boga prawdziwego, jak nam go najprostszy katechizm chrześcijański

przedstawia? Takiego Boga, jak nam go masonia wraz z swoimi mędrcami podaje, nikt się nie boi, nikt nie czci, nikt nie wielbi, nikt w swoich uczynkach i sprawach na niego się nie ogląda Dziś, a mianowicie w Niemczech opanowały masonią wyobrażenia panteistyczne podług zakroju Hegla, a w siedmnastym wieku podług wyobrażeń Spinozy, który podobnie, jak w naszych czasach Hegel, był w owym czasie ich ulubieńcem. Oni go w swym czasie wzięli pod swoją opiekę przed prześladowaniem żydów, jego współwyznawców. Jak u Hegla, tak i u niego jest Bóg i świat tą samą substancyą, która się w dwojakiej formie objawia, w formie myśli (duch) i w formie przestrzeni (materya). Z tej ogólnej substancyi, którą zowie *natura naturans*, rodzą się wszystkie kształty całego świata, które zowie *natura naturata*. Masoni w ciągu wieków rozmaitym hołdowali systematom filozoficznym, które nic albo bardzo mało miały wspólnego z prawdami chrześcijańskiemi, ale z żadnym tak się ściśle nie połączyli i nie zrośli, jak własnie z panteistycznemi. Teraz Hartmann, autor „filozofii nieświadomego“ (des Unbewussten) stanie się niewątpliwie ich teoretyczną podstawą. Kto jakośkolwiek obeznał się z ich obrządkami i symbolami, jak cyrkla, trójkąta i t. d., zrozumie to łatwo. Dla zupełnych zaś „profanów“ w tej sztuce, a szczególnie dla młodzieży, którą zewnętrzny aparat umiejętny łudzi, a tajemniczość nęci, jest to rzeczą nader niebezpieczną, bo spodziewają się, że pod tą wspaniałą obsłoną znajdą rzecz odpowiednią a gdy doznają zawodu, już sobie przysięgą zamknęli wrota do odwrotu na zawsze. Straszna to łapka dla młodych niejasnemi i czczemi ideałami uniesionych!

Z takich luźnych, mglistych i ciemnych wyobrażeń o Bogu, jakże łatwe, a nawet nieuchronne przejście do wyraźnego ateizmu! W istocie każdy mason i panteista jest już w gruncie ateistą, bo te zasady prowadzą drogą logicznej konieczności do ateizmu. Słusznie przeto Ojciec św. mówi, że to jest albo skutkiem ułomności albo pychy ludzkiej. — *In maximis enim rebus tota errare via audacter ingressi, praecipiti cursu ad extrema delabuntur, sive humanae imbecillitate naturae, sive consilio justas superbiae poenas repetentis Dei.* W łonie bowiem samej sekty powstały niesnaski o to, czy Bóg jest, lub czy go niemasz, które się zakończyły tem,

że postanowiono przyjmować do związku tak deistów jak ateistów. Każdego, mówi jeden z najidealniejszych masonów niemieckich, Dr. Seydel przyjmujemy, żyda, muzułmanina lub poganina, katolika lub protestanta, mystyka lub racyonalistę, materyalistę lub Heglistę". W takiem położeniu rzeczy o cóż się w istocie swarzyli? Zaiste nie o uznanie istności Boga, ale raczej o przestarzałą formułę ich dokumentów i urzędowych odezw, które się rozpoczynają szumnym nagłówkiem: „na chwałę najwyższego Budownika światów i t. d." (le grand architecte de l'univers). Używamy tu tego wyrazu „Budownika światów", bo go tak polskie loże nazwały. To wyrażenie czcze i puste jeszcze niektórym lożom ateistycznym nie mile przypominało egzystencyą Boga, dlatego w r. 1866 domagały się zmiany tej formuły. Spór ten rozstrzygnął Wielki Wschód belgijski oświadczając: „Jeżeli idea Boga występuje w lożach pod nazwą wielkiego „Budownika światów," to w tem wyrażeniu przechowuje się tylko tradycya zakonu, ale przez to Wielki Wschód nie myśli narzucać jakiegoś dogmatu." (Les franc-maçons et les sociétés secrétes par Alex. de St. Albin etc. Paris 1867. str. 349). Jakże się dziwić, że wśród takiego chaosu wyobrażeń, do dziś dnia ateizm wszystkie już opanował loże?

Zresztą pomiędzy jednym a drugim kierunkiem, czyli pomiędzy deizmem, jak go masoni uważają, a ateizmem mniejsza w istocie zachodzi różnica, niżby się na pozór wydawać mogło. Najpierw deizm, jakeśmy to już wyżej pokazali, prowadzi konsekwentnie do ateizmu, oba zatem w dalszych wynikach dochodzą z czasem do tych samych rezultatów. Jakoż oba kierunki odrzucają objawienie Boskie, a następnie upadek człowieka i skażenie natury ludzkiej przez grzech, uważają zatem człowieka co do jego stanu umysłowego i moralnego za doskonałego z przyrodzenia. Ojciec św. kładzie szczególniejszy przycisk na ten fałsz, który najfatalniesze pociąga za sobą następstwa, kiedy z odwołaniem się do soboru Trydenckiego powiada: *parentem humani generis negant deliquisse; proptereaque liberum arbitrium nihil viribus attenuatum et inclinatum putant.* Przeciwnie przyrodzone siły i przezacność natury ludzkiej ponad wszelką wynoszą miarę *(exaggerantes naturae virtutem et excellentiam).* Że te fałszywe przy-

puszczenia czynią całe dzieło Odkupienia rodu ludzkiego niepotrzebnem, zbytecznem, ci tem samem je znoszą, któż tego nie widzi? Bo, pocóż podnosić tego, który nie upadł, po co oczyszczać tego, który już czysty, wieść do doskonałości już doskonałego, jednem słowem po co odkupienie, kiedy nie ma nikogo potrzebującego odkupienia? Lecz mimo tej przewrotnej teoryi nie są w stanie zaprzeczyć, że na świecie jest dobra, ale także i zła wola, że są dobre, ale także i złe skłonności w człowieku, że „niestety, to złe do wielkiej wzrasta potęgi.“ Niemasz bowiem w całych dziejach ludzkości faktu wybitniej i wyraźniej występującego nad ten, że prawdy, prawidła moralności, mowa tu jedynie o przyrodzonych, tylko wśród ustawicznej i zaciętej walki utrzymane być mogą, a często pod nawałą błędu i złego upadać się zdają. Tego i sami masoni mimo błędnej podstawy teoretycznej zaprzeczyć nie śmieją, to poganie nawet w znanych powszechnie słowach:

Video meliora proboque, deteriora sequor,

głośno wyznają. Wreszcie całe pogaństwo mimo wysokiej cywilizacyi klasycznej jest jednak tak w dziedzinie umysłowego obłąkania, jak zepsucia obyczajów i niemocy wydźwignienia się z tego upadku o własnych siłach najoczywistszym dowodem ciężkiego skażenia natury ludzkiej. Jakże tu wybrnąć z tej sprzeczności? W nauce chrześcijańskiej rozwiązują się te zagadki same jasno i nie pozostawiają najmniejszej wątpliwości. Zadaniem bowiem odkupienia jest, nietylko przywieść człowieka do nadprzyrodzonej szczęśliwości, ale nadto naturę jego przez grzech skażoną do pierwotnej przywrócić czystości i do najwyższej doprowadzić doskonałości. Tym ideałem, w którym człowieczeństwo blaskiem swej prawdziwej piękności opromienione jaśnieje, jest sam Odkupiciel. Na ten wzór niedościgły wszyscy się zapatrywać, do niego myśl, wolę i serce podnosić powinni. W nim jedynie, a potem w naśladowcach jego, jest, iż tego sponiewieranego użyjemy wyrazu, „humanitaryzm“ prawdziwy, chrześcijański. Ten ideał, którego nikt z ludzi w zupełności osiągnąć nie zdoła, jest celem pracy i usiłowań całego życia nad udoskonaleniem siebie. Lecz chrześcijanin wierzy, że tę doskonałość osiągnąć tylko może w Chrystusie i przez Chrystusa, nie zaś własnemi, niedołężnemi

siłami. To uświęcenie czyli udoskonalenie się, jest zatem dziełem łaski Boskiej i pracy ludzkiej. Jakże u masonów? Tu siły Boskiej niemasz, bo ją odrzucili. Któż tedy tego dzieła doskonałości ma dokonać? Niedołężny człowiek przez niedołężnego człowieka, skażona natura przez skażoną naturę, schorzałe serce przez również schorzałe ma być uleczone. Cóż to za przewrotność! Na czem chrześcijanin kończy, na osiągnieniu doskonałości, od tego mason zaczyna, bo się doskonałym rodzi. Z tej właśnie przyczyny, że wychodzi z fałszywego i urojonego ideału, popada koniecznie w dalszych następstwach w otchłań ciemności umysłowej i traci sternika woli, tam brak światła, a tu mocy.

Z tego pokazuje się jasno, że teoretyczne zasady masonii w tak uderzającej znajdują się sprzeczności z chrześcijańskiemi, a w szczególności katolickiemi, iż jedne wykluczają drugie. Rzetelny zatem chrześcijanin, katolik, nie może być bez ciężkiej obrazy sumienia masonem, chociażby nawet nie było kar kościelnych, chyba, że ani jednym ani drugim nie jest rzeczywiście, co także jest zdrożnem, bo albo zdrowy rozum albo prostą uczciwość obraża. Niechże to nasze zdanie potwierdzi własnemi słowy jeden z wysokich dostojników masonii: „Jakże się dziwić, że dawna nieprzyjaźń pomiędzy Kościołem katolickim a masonią trwa do dziś dnia, że w państwach katolickich loże surowo zakazane? Masonia i katolicyzm wykluczają się nawzajem, to są antypody. Jeśli katolicyzm i protestantyzm w swoich fundamentalnych zasadach nie są w stanie zgodzić się z sobą, to tem mniej może to nastąpić z masonią, która przyznając się do nauki li tylko ludzkiej, tak Boga jak człowieka samym tylko mierzy rozumem. Fundamentalna idea masonii spoczywa tylko na intelligencyi ludzkiej... Czyż ta idea sama nie musi być silną nieprzyjaciółką katolicyzmu? Nie jestże mu logicznie wprost przeciwną, nie jestże z swej istoty wprost przeciwną tak samo ortodoksyi protestanckiej i pietyzmowi? ... Pytam się zatem, czy podobną jest rzeczą, aby katolik mógł zostać prawdziwym masonem? Jakim sposobem, przyznając się do doktryn masońskich, które są w oczywistej z Kościołem jego sprzeczności, mógłby pozostać wiernym swej religii?... Znam wprawdzie członków Kościoła katolickiego, którzy lubią uczęszczać na kazania protestanckie,

znam żydów, którzy uczęszczają do Kościoła chrześcijańskiego. Ale tego rodzaju ludzie nie są już prawdziwymi żydami. Katolik, żyd, który jest masonem, jest nim tylko pozornie. Dwa bowiem przekonania różne od siebie, nie mogą w jednej duszy razem z sobą zamieszkać, jedno z nich musi być koniecznie dla formy tylko, dla oka. Jeżeli katolik lub żyd szczerym jest zwolennikiem masonii, nie może być szczerze przywiązanym do Papieża lub Mojżesza; może dla oka pozostać członkiem swego Kościoła, może wypełniać jego przepisy i zachowywać zwyczaje, ale wewnątrz jest zwolennikiem racyonalizmu masońskiego.“ (Die Gegenwart und Zukunft der Freimaurerei in Deutschland. Leipzig. 1854 wyjęte z dokumentów Neut'a I. str. 170).

Jaką na ruinach najwyższych prawd teoretycznych zbudować etykę, łatwo bardzo wyciągnąć konsekwencye tak dla pojedyńczych ludzi, jak całych społeczeństw. Kładzie na to przycisk Encyklika w tych słowach: „*His autem dilapsis, quae sunt tanquam naturae principia... quales futuri sint privati publicique mores, facile apparet.* Nad tem zatem nie potrzebujemy się długo zatrzymywać. Kto bowiem w Boga, w nieśmiertelność duszy itd. nie wierzy, w jakimże może pozostawać do niego stosunku? Na tem jeszcze nie koniec, gdyż ateizm prowadzi konsekwentnie, a nawet i psychologicznie do nienawiści Boga (odium Dei). Wiadomo, że kiedy Proudhon był przyjmowany do sekty masońskiej, na zapytanie mistrza: „co winien Bogu?“ odpowiedział: „wojna Bogu.“ System nie uznający istności Boga, w którym człowiek sam sobie Bogiem i panem, może się tylko zdobyć na etykę tak nazwaną „autonomiczną,“ podług której człowiekowi wszystko wolno, co tylko chce i co może. Brak możności jest jedyną dla uczynków jego granicą. To jest wolność w ich rozumieniu tego wyrazu. Zastosować tę zasadę do moralności indywiduów, społeczeństw i państw, zbyt jest rzeczą prostą i jasną, abyśmy o niej mówić potrzebowali; a zwłaszcza, że zbyt często obecnie na jej panowanie patrzeć musimy. Z tej przyczyny pozostawiamy czytelnikowi samemu wyprowadzić sobie z niej wyniki.

Natomiast zwracamy raczej uwagę na rzecz, która na pozór zdrożnością swoją mniej razi, a mimo to niezmierną ma pod względem moralności „doniosłość,“ tj. „tajemniczość,“ tajność ma-

sonii. Dziś są wprawdzie sprawki masonów tajemnicą tylko dla tych, którzy nie chcą wiedzieć i przekonać się o prawdzie; ale masonia sama jest nią jednak i otacza się pewnym urokiem, pewną ponętą, która jest wyborną i prawie niezawodną łapką dla niedoświadczonej młodzieży. Ostentacyjnie mówią o swej tolerancyi i głoszą publicznie, że przez przystąpienie do masonii nikt się nie potrzebuje swej religii wyrzekać, owszem, że w niej może wszystkie powinności religijne z największą swobodą wypełniać. Co więcej, aby wobec świata udowodnić, że ich twierdzenia są rzetelne i pozyskać u ludu zaufanie i dobre imię, polecają nawet swoim członkom branie udziału w nabożeństwach publicznych. W tym celu wielki mistrz Verhaegen w Brukseli z książką do nabożeństwa pod pachą regularnie w niedziele i święta do kościoła uczęszczał. Słusznie przeto zwraca Ojciec św. szczególnie na ten wyrafinowany podstęp uwagę wiernych. Tajemnica ta jest tem ściślejsza, im ją troskliwiej przechowują nietylko na zewnątrz, wobec „profanów," jak wszystkich niemasonów nazywają, ale nawet w swem własnem łonie. To, co się dzieje w stopniach wyższych jest zupełną tajemnicą dla tych, którzy się znajdują na niższych, a każdemu się wydaje, że wie wszystko. Szczególnie trzy pierwsze stopnie: u c z e ń, c z e l a d n i k i m i s t r z, którą powszechnie niebieską lub symboliczną nazywają lożą, służą masonii istotnie tylko za narzędzie, za prostych exekutorów jej postanowień i rozkazów. Mimo to, że jeszcze nic nie wie, musi jednak każdy pierwej, niż zostanie na kandydata, ucznia przyjęty złożyć przysięgę straszliwą. Aby przekonać czytelnika o prawdziwości tego, co o tym przedmiocie mówi Encyklika, przytaczam jednę rotę tego rodzaju przysięgi dosłownie: „Przysięgam w imię najwyższego Budownika wszechświata, że nigdy nie wyjawię sekretów, znaków, dotykań, nauk i zwyczajów wolnych mularzy, i że nadto wieczne zachowam milczenie. Obiecuję i przysięgam Bogu, że nigdy nic nie wyjawię, ani piórem, ani znakiem, ani słowem, ani ruchem, że nigdy nie dam nic pisać, litografować, ani wyryć, ani drukować, ani publikować z tego, co mi do tej chwili zostało i co mi jeszcze w przyszłości powierzonem zostanie. Gdybym zaś słowo dane miał złamać, przyjmuję i poddaję się następującej karze: żeby usta moje rozo-

gnionem palono żelazem, żeby mi rękę ucięto, żeby mi język wyrwano, żeby mi gardło przerznięto, aby ciało moje w czasie przyjmowania nowego brata na hańbę mej niewierności i przerażenia drugich, wisiało w loży, aby je potem spalono i popiół z niego na wiatr rzucono, iżby najmniejszego nie pozostało śladu mej zdrady. Tak mi dopomóż Panie Boże i jego św. Ewangelia. Amen." Loże nie uznające istności Boga zmieniły pewno w niektórych punktach tę formę. Sławny nawet Voltaire, który przecież dostateczne złożył dowody swego uzdatnienia do tej sekty masońskiej, musiał tę przysięgę złożyć. Prócz tego musi się każdy przed przyjęciem zobowiązać do bezwzględnego posłuszeństwa. Sam akt złożenia takiej przysięgi już jest straszliwym grzechem i nieledwie owocem obłąkania. Czemże są śluby zakonne w porównaniu z takiem się zaprzedaniem z duszą i ciałem w najstraszliwszą niewolę? Komu się zaprzedaje? Nie wie. W jakim celu? Nie wie. Jedno tylko wie z pewnością, że w razie niedotrzymania przysięgi, zginie. Możnaż się pod cięższe i okrutniejsze jarzmo poddać? Tymczasem w zakonie wszystko jest jawne, każdy, nim zostanie do złożenia ślubów przypuszczony, musi się z regułą swego zakonu poznać gruntownie, zna cel, do którego ma dążyć, środki, których ma do jego osiągnienia używać, wie, komu ślubuje posłuszeństwo i zna jego granice, wie, że go może przełożonemu odmówić, gdyby mu miał coś złego nakazać. Cóż to za jasne i wydatne różnice pomiędzy tajemniczością masonii, a jawnością zakonów, za którymi rozum i prawidła moralności głośno przemawiając, a mimo to wszystko, niemasz jednak, krom Papiestwa, przedmiotu, któregoby masonia więcej nienawidziła, jak zakony; podnosi przeciw nim krzyk, jako zakładom ujarzmiającym ducha wolności i swobodę myśli, jednem słowem obsypuje te instytucye katolickie gradem najdosadniejszych i najsilniejszych frazesów potępienia, na jakie się język ludzki zdobyć zdoła. To są manewry godne tej sekty. Co jeszcze dziwniejsza, że te niewolniki w nieznane sobie zaprzężone jarzmo, nie wiedzące nawet, kto je pogania, śmią wyrzucać katolikom, że się poddają Boskiej Kościoła powadze, jawnej, znanej całemu światu. Trudno o większą przewrotność!

Przyrodzone światło rozumu i prawidła moralności zakazują

człowiekowi przystępować do związku, którego ustaw, celu i środków do jego dopięcia używanych nie zna. Już Sokrates z tego powodu odmówił przystąpienia do misteryów Eleuzyńskich, oświadczając, że, jeżeli to, co tą tajemnicą okrywają, jest czemś dobrem, należy go udzielić wszystkim, a jeżeli złem, tak samo, aby go się strzegli, w żadnym przeto razie nie godzi mu się zobowiązywać się do sekretu. W naszych szczególnie czasach, w których najwięcej prawią o godności, a najmniej o powinnościach człowieka, poniewierają ją w sposób uderzający. Bo w istocie niegodną jest rzeczą człowieka obdarzonego rozumem i wolą łączyć się z sprawą, której nie zna, zobowiązywać się do pracowania nad dziełem, o którem nie wie, czy złe lub dobre, godziwe lub niegodziwe, a co jeszcze niegodniejszą, zobowiązywać się w sposób, który wycofanie się czyni niemożebnem. Takiego nierozważnego kroku rozsądny i sumienny człowiek nie powinien uczynić. Wszystkie inne stowarzyszenia ogłaszają, publikują swoje statuta i na mocy zapoznania się z niemi wzywają do brania w nich udziału, tymczasem masonia odwrotną obiera sobie drogę. Sam zatem akt przystąpienia już jest uczynkiem niemoralnym, bo się sprzeciwia rozumowi i przyrodzonym prawidłom moralności.

Zajrzyjmy tylko do niektórych sfer społecznych, aby w nich ocenić wpływ masonii. Nie mówimy tu już o rodzinie, bo wartość węzła małżeńskiego w ich oczach, o czem wyżej była mowa, wystarcza, aby z tego odpowiednie wyniki wyciągnąć. Tu tylko nadmieniamy, że masoni oddawna wszelkich dokładali usiłowań, aby i niewiastę do swego związku wciągnąć, co im się nareszcie udało. Pomiędzy innemi założyli w tym celu lożę tak zwaną „mopsa“ dla niewiast, która na początku bieżącego stulecia rozlewała swoją truciznę po Warszawie. Mistrzyni miała tytuł „wielkiej mopsy“. Bezecny akt przyjęcia i połączone z nim ceremonie poniżają i poniewierają płeć niewieścią do tego stopnia, iż ta, która się na przebycie tych prób narazi, do wszystkiego może być zdolną, prócz do założenia i pielęgnowania ogniska rodziny chrześcijańskiej. Przebiegłość masonów przeniknęła tajemnicę potęgi niewiasty w obrębie rodziny i z tego właśnie powodu ugodziła w tę stronę, aby z tej królowy rodziny zedrzeć urok majestatu i wcisnąć się do niej. Któż jest w stanie obliczyć, ile ta

zaraza już zrządziła i jeszcze zrządza spustoszenia moralnego: „Swobodna miłość," „emancypacya kobiet" i t. p., są pierwszemi jawnemi owocami tego masońskiego wpływu.

Aby ocenić doniosłość szkodliwego wpływu tej masońskiej tajemniczości na moralność publiczną, rzućmy choćby tylko pobieżnie okiem na szersze koła społeczne. Masoni sami opisują najwyborniej swoję tajną exystencyą wśród ludzi. „Najwięksi, najmędrsi ludzie, nadali naszemu związkowi taką konstytucyę, która o ich mądrości wiecznie świadczyć będzie. W potrójnej ukryci nocy, chodzimy pomiędzy naszymi wrogami i niepostrzeżeni przenikamy ich słabości i zdobywamy sobie w ten sposób panowanie nad ich umysłem i sercem. Ich namiętności służą nam w chwili, kiedy sami tego nie przeczuwają, za bodziec do poruszenia ich i wciągnienia w naszą grę, aby ich znienacka zmusić do wspólnego w duchu naszym pracowania z nami, podczas gdy mniemają własne zaspakajać życzenia. Wystąpienie jawne do boju byłoby nieroztropnością, przez rozpowszechnianie liberalizmu trzeba było zwolna to olbrzymie dzieło, jakie sobie pycha zbudowała, podkopypać. W własnym cieniu swej powagi pracuje masonia nad spełnieniem wielkiego powierzonego jej dzieła. Potężna, straszliwa masonia na każdym kroku was ściga, wasze poruszenia tropi, w najskrytsze tajniki duszy waszej wrasta i wśród ciemności, jakiemi się otaczacie, nie spuszcza was z oka. Jej tajny a niechybny wpływ porozbija wasze plany; jej potężne ramię wywinie wam sztylet z ręki." (Wiener Journal für Freimaurer, Manuscript für Brüder. Jahrgang II. Heft I. s. 66. Wyjęte z Eckerta: Die Frage der staatlichen etc., gdzie autor tych słów użył za motto). Cóż to za stan społeczeństwa, w którem tyle istot ukrytych uwija się, aby talenta, dobroć i t. p. „profanów" wyzyskać! Jeden człowiek w licznem towarzystwie, o którym się wie, że jest tajnemi węzłami skrępowany, wystarczy, aby wszystkich pozbawić swobodnej i wesołej rozmowy; a cóż dopiero w całem społeczeństwie? Mason wie, kogo ma przed sobą, kim i czem jest ten, z którym ma do czynienia, a „profan" nie przeczuwa nawet, z kim się wdaje, i w skutek tego jest wobec niego bezbronnym. Jakiż to okropny musi wywrzeć wpływ na ukształcenie charakteru tych ludzi, którzy żyją połową pod i po-

łową nad ziemią? Nigdy się nie zdradzić z tem, czem w istocie jest, czego chce, ciągle się taić, ukrywać wobec „profanów“ w mowie, uczynkach, a nawet gestach, a jednak z nimi przestawać, czyż to wszystko nie musi z samego przyzwyczajenia i nałogu prowadzić do obłudy, w obec której i Faryzeuszowie byli jeszcze dziećmi. W społeczeństwie zatem, w którem ta sekta licznych ma zwolenników, zostaną wszystkie stosunki pomiędzy ludźmi zatrute nieufnością i podejrzliwością. Możeż to być moralnie dozwolonem?

Gdybyśmy ten szkodliwy wpływ tajemniczości masońskiej tropić chcieli po obszerniejszych i ważniejsznch obrębach społeczeństwa i państwa, jak n. p. w sądownictwie, administracyi, parlamentach, wyborach, a nawet w radach wielkich gmin miejskich, przeraziłby nas widok tego, co się tam za kulisami dzieje. Ułomność i krewkość serca ludzkiego, której masoni nie uznają, taki w powszechnem przekonaniu stanowi pewnik, że się z nią prawodawstwa nawet liczą i szkodliwemu jej wpływowi zapobiegają. Jakoż zazwyczaj bliski krewny nie może sądzić sprawy krewnego, świadectwo bliskiego krewnego przeciw krewnemu lub za nim nie ma tej wagi, co świadectwo obcego, co więcej, w niektórych radach publicznych ograniczona jest także liczba krewnych, jaka do nich może być przypuszczona. Dzieje się to oczywiście z przyczyny, aby zapobiedz niebezpieczeństwom, jakie z słabości serca ludzkiego wyniknąć mogą dla wymiaru sprawiedliwości i słuszności. Temu złemu stara się przezorność ludzka zaradzić, bo te stosunki są jawne i dlatego mogą podlegać kontroli tak zwierzchności, jak całej publiczności, a mianowicie części interesowanej. Ale jakże tego dopełnić z Masonami „którzy w potrójnej ukryci nocy,“ są tak dla zwierzchności jak dla publiczności niewidzialnymi, a następnie żadnej nie ulegają w tej mierze kontroli? Czyż zatem nie mogą często zachodzić przypadki, że „brat brata“ sądzi, „brat brata“ promuje bez najmniejszego względu na sprawiedliwość przynależną „profanom?“ Na to mają Masoni tylko wykręty i wybiegi, ale zaspokajającej odpowiedzi nie dali i nie są wstanie dać. A cóż tu powiedzieć o politycznych ciałach czyli parlamentach? Biedni wyborcy, których serca kandydat kilku szumnemi i dosadnemi frazesami sobie zdobędzie; mniemają, że

znaleźli dzielnego swoich interesów obrońcę, a nie wiedzą, że ich wybraniec już jest w innej, tajnej i niewolniczej służbie, w której odbiera komendę z sfer nikomu nieznanych i pod najsurowszą karą słuchać jej musi. Zwracamy tu tylko uwagę na te przedmioty, pozostawiając wyciąganie wniosków i rzucenie okiem na to, co się w świecie dzieje, czytelnikowi, bo dalszem rozprowadzeniem rzeczy przekroczylibyśmy ramy tej rozprawki.

Wszystko to razem dowodzi, jak potrzebną, jak pożyteczną jest ta Encyklika, w której Ojciec św. przypominając przestrogi poprzedników swoich, daje nam nauki zastosowane nie już do czasów, ale nawet do dni, w których żyjemy. Wszystkie wielkie loże Niemiec w końcu maja zgromadzone oświadczyły, że nie dadzą urzędowej odpowiedzi na Encyklikę papieską. Pojmujemy, bo dobra odpowiedź niepodobna, lepsze zatem milczenie. W chwilach, w których niemasz nic tak świętego, czegoby ząb wątpliwości nie naruszył, nic tak niedorzecznego i przewrotnego, czegoby nie utrzymywano i nie broniono, podnosi serce katolika głos, dochodzący go z opoki Piotra św. i zapewniający, że idąc przezeń wskazaną drogą wśród powszechnego zamieszania, nigdy nie zbłądzi. Chociażby zatem ta Encyklika nic nam więcej nie była przyniosła nad to zaręczenie, czego się wśród tej zarazy trzymać, a czego i jakiemi sposobami jej unikać mamy, jużby dla nas była nieocenionem dobrodziejstwem. Każdy inny może się wahać, katolik nie ma wątpliwości. Szczególnie chwyta za serce rada Ojca św., aby młodzi przy pierwszej komunii św. złożyli przyrzeczenia proboszczom lub spowiednikom swoim, że bez ich rady do żadnego związku nie przystąpią. Czyżby tego świętego obowiązku nie powinni dopełnić i rodzice w chwili, kiedy dzieci swoje z pod rodzicielskiego wypuszczają oka? Daj Boże, aby skorzystali z ojcowskiego upomnienia głowy Kościoła!

X. Biskup Janiszewski.

KLEMENS KSIĄŻE METTERNICH
1773—1859.

(Ciąg dalszy.)

VIII.

Drugi pokój paryski uzupełnił i w pewnej mierze utrwalił dzieło kongresu wiedeńskiego. Francya została ostatecznie zamkniętą w dawnych granicach przedrewolucyjnych; Napoleona wysłano na wyspę św. Heleny, skąd już żywym wrócić nie miał. Dawne dynastye napowrót zasiadły na tronach. W środku Europy stanęła pod honorowem zwierzchnictwem Austryi Rzesza niemiecka, potęga obronna i pokojowa, niezdolna do zaczepnego wystąpienia, miarkująca zaborcze widoki pojedyńczych członków związku. Mocarstwa niegdyś jądro koalicyi stanowiące, Anglia, Austrya, Prusy i Rosya, podjęły się roli poręczycielki traktatami ustanowionego porządku terytoryalnego, lecz gdy Anglia poczęła się usuwać od wewnętrznych spraw stałego sądu i poświęcać coraz wyłączniej pieczy nad własnem bogactwem, rola gwarantów przeszła na trzy mocarstwa północne, spojone interesem utrzymania podziału Polski i zażyłością stosunków między monarchami i gabinetami.

Jak każde dzieło wielkie i doniosłe, dzieło kongresu znalazło gorących chwalców i zawziętych przeciwników; pierwsi upatrywali w niem samą mądrość i same dobrodziejstwa, drudzy same błędy i źródło nieszczęść późniejszych. Prawda leży pośrodku. Dzieło kongresu, jak każde dzieło rąk ludzkich, było niedoskonałe, zraniło niejeden interes poszanowania godny, wzbu-

dziło niechęci, nie mogło rościć pretensyi do wiecznej trwałości. Oceniać je należy z stanowiska ogólnego, europejskiego, a z tego stanowiska oceniając, przyznać, że musiało mieć rzeczywistą i zdrową podstawę, kiedy przetrwać zdołało cztery dziesiątki lat, — do wojny włoskiej, i tyleż prawie lat, — do kampanii krymskiej, pokoju międzynarodowego Europie zapewnić.

Owe lat czterdzieści pokoju stanowią główny i wielki argument obrońców dzieła kongresu. Pokój trwały i po ludzku pewny, nie z dnia na dzień wyżebrany, jest bądź co bądź niezmiernem dobrodziejstwem dla ludzkości, dla każdego mocarstwa i kraju, dla każdej rodziny. I wśród najgłębszego pokoju bywają cierpienia, nieraz liczne i dotkliwe, lecz maleją one w porównaniu z klęskami wojennemi, gdy człowiek nieustanie ryzykuje wszystko, życie, dach nad głową, chleb powszedni, byt długą często i krwawą zdobyty pracą. Do zjednania światu dobrodziejstw długiego pokoju kongres niezaprzeczenie się przyczynił, rozkładając siły w sposób niedopuszczający skupienia przemocy na jednem miejscu. Prędzej możnaby mu zarzucić przesadę w ubieganiu się o materyalną równowagę, tak trudną, prawie niepodobną do uchwycenia, gdyby kongres nie miał wymówki w dziejach pory, w atmosferze, wśród której obradował, w naturalnej reakcyi wywołanej nadużyciem siły. Kongres stał się prócz tego punktem wyjścia polityki dalszej gabinetów; dał kierunek opinii powszechnej, która prędko przywykła uważać pokój za stan normalny świata, za jaki przedtem wojna uchodziła. Zarówno w równowadze materyalnej między mocarstwami, jak w zgodnem usposobieniu rządów i ludów, pragnących wypoczynku, i w mocy przyzwyczajenia, czerpał pokój europejski rękojmię istnienia i trwałości. Wiecznie trwać nie mógł, skończył się jak wszystko kończy się na ziemi; lecz to wartości dzieła kongresu nie umniejsza. Wojna każda rodzi się z jakiegoś traktatu, który niedogadza jednej ze stron podpisanych i zniewala ją do odwołania się do wyroku siły.

Zarzucano kongresowi handel ziemią i ludźmi, lecz ten handel był stary jak Europa, której dzieje są nieprzerwanem pasmem transformacyi terytoryalnych; a nikt tego handlu dalej nie posunął od Napoleona, nikt z większą od niego pogardą przyrodzo-

nych warunków, Europy na szmaty nie krajał. Kongres starał się przynajmniej zachować szkielet stałego lądu, utworzony wiekami, zgodny z jeografią i historyą naszej części świata. Liczenie mil kwadratowych i „dusz“, kongresowi tak często i gorzko wyrzucane, było w zwyczaju przy zawieraniu traktatów i rzeczą dużo wówczas mniej grzeszną, niż się dziś wydaje, bo uczucie narodowości drzemało i dopiero zbudzić się miało, pod naciskiem rewolucyjnej tendencyi wynaradawiania słabszych przez silniejszych.

Kongresowi włożono na barki winę „świętego przymierza“, o którem przez pół wieku słuchaliśmy, jako o grzechu pierworodnym nowej Europy, źródle nadużyć i prześladowań. Akt świętego przymierza jest wydrukowany w każdym zbiorze dokumentów dyplomatycznych, figuruje w zbiorze praw rosyjskich, ale nie miał i mieć nie mógł znaczenia, jakie mu przypisywano. Urodził się w kilka miesięcy po zamknięciu kongresu, z obcowania cesarza Aleksandra ze starą i brzydką Egeryą sekciarską, baronową Krüdener i z adwokatem nazwiskiem Bergasse [1]. „W trakcie układów poprzedzających drugi pokój paryski, opowiada Metternich, cesarz Aleksander oświadczył mi, że jest zajęty wielkiem przedsięwzięciem. Są rzeczy, mówił, w których uczucie musi rozstrzygać. Gdyby szło o jaki interes, księciabym najprzód o radę zapytał, ale sprawa, którą mam na myśli, należy do rzędu spraw, w których ministrowie poradzić nie zdołają: monarchowie sami o niej orzec winni. Proszę powiedzieć cesarzowi Franciszkowi, że pragnę rozmówić się z nim w przedmiocie, z którym jemu samemu mogę się zwierzyć; potem będzie miał prawo zdania księcia zasięgnąć.“ Tak się stało. Aleksander zaniósł swój autograf aktu świętego przymierza cesarzowi austryackiemu, a ten wręczył go Metternichowi, nie tając, że mu się bardzo niepodoba taki gatunek traktatu religijnego, między grekiem, katolikiem i protestantem. „Nie potrzebowałem długiego namysłu, dodaje

[1] Mikołaj Bergasse, 1750—1832, adwokat w Lyonie, deputowany na zgromadzenie stanów jeneralnych, monarchista i gorący przeciwnik rewolucyi, autor rozgłośnych pism ulotnych, między innemi broszury: *Essai sur la propriété*, za którą podczas drugiej restauracyi był sądownie ścigany.

Metternich, żeby zobaczyć, że pod płaszczykiem religii kryją się nieokreślone aspiracye filantropiczne; że nie ma w tem materyału na umowę międzynarodową; że niejedno da powód do fałszywych interpretacyi z religijnego stanowiska.“ Przez grzeczność dla autora, cesarz Franciszek i król pruski podpisali akt, nie w pierwotnem brzmieniu, lecz z poprawkami Metternicha, który go mocno wodą zaprawił. Później położył swój podpis rejent angielski, następnie Ludwik XVIII. i król holenderski.

Zobaczmy treść aktu, trudną do streszczenia, jeszcze trudniejszą do przetłumaczenia po polsku, zredagowaną w mglistym języku, odźwierciedlającym niejasne pojęcia, i w fantastycznej francuszczyznie.

„Monarchowie, w skutkek wielkich wypadków zaszłych w ostatnich trzech latach, a jeszcze bardziej w skutek dobrodziejstw, jakie podobało się Boskiej Opatrzności zlać na mocarstwa, których rządy w niej (Opatrzności) umieściły zaufanie i nadzieję, nabywszy przekonania, że niezbędnem jest oprzeć wzaemne stosunki mocarstw na wzniosłych prawdach, jakie naucza wieczna religia Boga Zbawiciela, uroczyście oświadczają, że akt niniejszy ma jedyny cel oznajmić w obliczu świata niewzruszone postanowienie wzięcia za regułę w zarządzie wewnętrznym i w stosunkach politycznych przepisów świętej religii, przepisów sprawiedliwości, miłosierdzia i pokoju, które nietylko w życiu prywatnem obowiązują, lecz winny także kierować postępkami panujących, jako jedyny sposób utrwalenia instytucyj ludzkich i zaradzenia ich ułomności.

„Zgodnie z słowami Pisma św., które nakazuje wszystkim ludziom uważać się wzajemnie za braci, trzej monarchowie pozostaną złączeni węzłami prawdziwego i nierozerwalnego braterstwa i uważać się będą za współziomków. W każdem zdarzeniu nieść sobie będą pomoc. Względem poddanych i wojsk swoich uważać się będą jako ojcowie rodziny i kierować jednymi i drugimi w duchu braterstwa, dla obrony religii, sprawiedliwości i pokoju.

„Między rządami i między poddanymi, jedyną zasadą panującą będzie: służyć sobie wzajemnie; niezmienną dobrotliwością świadczyć o braterskiej miłości, jaka wszystkich ożywiać powinna; uważać się nawzajem za członków jednego narodu

chrześcijańskiego, — gdyż trzej monarchowie sprzymierzeni, sądzą się być delegatami Opatrzności do rządzenia trzech gałęzi jednej rodziny i wyznają, że lud chrześcijański, do którego oni sami i ich poddani należą, nie ma innego pana, prócz tego, który sam mocą włada, w którym złożone są skarby nieskończonej miłości, nieskończonej wiedzy i nieskończonej mądrości, pana innego, jak Bóg, nasz Boski Zbawiciel Jezus Chrystus, Słowo Najwyższego, Słowo życia. Monarchowie zalecają z najczulszą troskliwością swoim ludom, jako jedyny sposób cieszenia się pokojem płynącym z czystego sumienia i jedynie trwałym, codzienne umacnianie się w zasadach i wykonywaniu obowiązków, wskazanych ludziom przez boskiego Zbawiciela."

Każdy proboszcz katolicki, nawet każdy pastor protestancki powtarza takie rzeczy co niedzielę, tylko przystępniej, jaśniej i z większym słuchaczów pożytkiem. Monarchowie mogli powtarzać sobie to wszystko w cichości serca, co wieczór przy pacierzu; występować przed światem nie było prawdziwie z czem. „Nikt nie śmiał, pisze Gentz, powiedzieć cesarzowi Aleksandrowi, że połowa Europy szydzić będzie z jego fanatyzmu religijnego, podczas gdy druga oskarży go o obłudę." Pomysł Aleksandra pozostanie świadectwem, do jakich aberacyi dochodzi umysł ludzki, gdy zamiast trzymać się prostej wiary i pozytywnej religii, popadnie w chorobliwy mistycyzm i przeniesie ten mistycyzm na grunt spekulacyi politycznych. Cokolwiekbądź jednak zarzucić można aktowi św. przymierza w imię zdrowego rozsądku, deklamacye w nim zawarte nie zagrażały wolności, nie zapowiadały ucisku, nie były dzwonem złej wróżby, za co później pospolicie uchodziły. Między gabinetami nigdy więcej o akcie mowy nie było; powoływał się nań tylko Aleksander, dając monarchom moralne nauki, że nie umieją rządzić i w rządzeniu pomiatają „zasadami czystej moralności", w akcie zamieszczonemi.

Natomiast, potrójne przymierze miało racyę bytu w wspólnym interesie utrzymania granic, ustanowionych na kongresie, tudzież obrony przeciwko coraz silniej występującym dążnościom rewolucyjnym. Z biegiem czasu i rozwojem wypadków, walka z rewolucyą stała się najsilniejszą więzią i główną sprawą po-

trójnego przymierza; zaród zaś tej walki istniał i tkwił głęboko w naturze rzeczy.

Rewolucya nie jest czem innem, jak jednym z objawów nadużycia daru wolnej woli. Opatrzność postawiła niewzruszoną zasadę, że władza w społeczeństwie musi istnieć, musi być sprawowaną i szanowaną; resztę, sposób wykonywania władzy, to zwłaszcza, co nazywamy formą rządu, zostawiła ludzkim zabiegom i układom. Nie ma w tej mierze absolutnego ideału; każda forma rządu jest dobrą, jeżeli spełnia swe przeznaczenie i wiedzie społeczeństwo do celu, przez Stwórcę wskazanego. Między rządzącymi i rządzonymi zachodzi zawsze naturalny antagonizm, albowiem każda jednostka dąży niezmiennie do zdobycia jak najszerszej możności używania daru wolnej woli: rządzeni dążą do swobód, do niezależności od rządu; rządzący do rozszerzenia własnych atrybucyi i niezawisłości od rządzonych. Stąd wypływa walka o podział władzy, stanowiąca treść życia politycznego społeczeństw, walka nieprzerwana, prowadząca do rozmaitych form rządu; godziwa, o ile w godziwych zamkniętą jest granicach i godziwymi toczoną środkami, o ile jest legalną. Gdy granice godziwości i legalności przekracza, podpada pod kategoryę rewolucyi, potępionej przez prawa Boskie i ludzkie, prawa zarówno obowiązujące poddanych, rządy i monarchów.

Stara jak społeczeństwo ludzkie, rewolucya zmienia tylko cel chwilowy, postać i środki działania. W dzisiejszej formie swej, rewolucya datuje od reformacyi, będącej największym i najdonioślejszym przewrotem rewolucyjnym nowszych czasów. Kiedy Luter podniósł bunt przeciwko władzy Papieża i powadze Kościoła rzymskiego, średniowieczny układ społeczny i polityczny mocno był już zachwiany, w skutek zepsucia obyczajów, w skutek upadku bojaźni Bożej, która była, jest i będzie duszą społecznego i politycznego ładu. Utrzymywała się jednak pewna ilość swobód obywatelskich, odpowiadająca pojęciom i potrzebom czasu. Kościół nie przestał być filarem budowy, Papież kluczem sklepienia i moralnym zwierzchnikiem nad świeckimi władcami. Władza panujących była materyalnie bardzo ograniczoną. Skarb monarchy miał ściśle oznaczone źródła dochodu; nadzwyczajne daniny wymagały przyzwolenia stanów i korporacyi, składać ma-

jących takowe; nie istniały regularne wojska; wychowanie publiczne spoczywało w ręku Kościoła; każdy stan rządził się sam, według własnych praw i zwyczajów. Jak zawsze na świecie, silniejszy uciskał słabszego; lecz nieznanym był i niepodobnym ucisk jednego człowieka, jednej klasy panującej i rządzącej. Kościół potrzebował wewnętrznej reformy i sam ją przedsięwziął. Pozostając w jedności z Kościołem, Niemcy zachowywali możność odzyskania najlepszej rękojmi przeciwko uciskowi świeckiej władzy przez przywrócenie prymatu Papieża i odżycie bojaźni Bożej, która ostatecznie sama jedna może choć do niejakiego stopnia miarkować despotyczne zachcianki potentatów tego świata. Z reformacyą ta nadzieja znikła. Przyjmując nową wiarę, panujący zrywał z Rzymem, z hierarchią duchowną, z religią wkładającą na człowieka wyraźne przepisy; wierzył w co chciał, znosił się z Bogiem bezpośrednio i przysądzał sobie prawo wglądania w sprawy sumienia poddanych. Popęd do odszczepieństwa szedł z góry, od panów feudalnych, chciwych absolutyzmu i majątków kościelnych: jedno z drugiem było nierozłączne. Hierarchia kościelna dzierżyła znakomite przywileje i obszerne włości, czyniące z niej wielką potęgę i nieprzełamaną zaporę samowładztwu monarchy. Obalając hierarchię kościelną, monarcha znosił tę zaporę, niszczył stan moralnie i materyalnie najpotężniejszy, bogacił się łupami i masy przeciągał na swoją stronę. Niejeden mieszczanin przylgnął do nowej wiary w nadziei osiągnięcia łatwiej zbawienia duszy; żeby nowej wierze do zwycięstwa dopomódz, garnął się pod skrzydła księcia współwyznawcy, niósł mu krew, mienie, przywileje stanu i korporacyi; zrzekał się praw, które mu zapewniały swobodę obywatelską i których nigdy więcej oglądać nie miał. Chłopa ciągnięto do odszczepieństwa przynętą zniesienia dziesięcin i danin kościelnych, wzbudzając w nim drapieżność i zawiści społeczne. Rozszczepienie się na dwa wrogie odłamy wielkiej rodziny europejskiej, wywołało długie pasmo zaburzeń i wstrząśnień, wznieciło krwawe wojny i rozpasanie zwierzęcych instynktów. W Niemczech rozbitą została równowaga społeczna, na hierarchii i organizacyi stanów oparta; we Francyi, w próżni wytworzonej przez zniesienie feudalizmu, rozrósł się absolutyzm monarchiczny jak polip sturamienny, ciało

społeczne na wskróś przeniknął i rozsadził. Wśród wojen władza koncentrowała się w ręku panujących, z wojen wypłynęły stałe armie, podpory i narzędzia despotyzmu. Takim trybem reformacya rozpoczęta pod hasłem wolności, przeprowadziła rewolucyę w góry, wyszła na pożytek absolutyzmu monarchicznego, niemniej jak anarchia oddalonego od chrześciańskiego ideału, i w ostatecznym rezultacie na długie czasy stłumiła wolność polityczną i obywatelskie swobody.

Jednocześnie reformacya przysposobiła dezpotyzmowi wroga w emancypowanym umyśle ludzkim, który pychą uniesion, stał się także wrogiem chrześciańskiego porządku świata. Umysł ludzki używa daru wolnej woli na kształcenie się własne, na badanie i poznawanie rzeczy bliższych i dalszych, na rozszerzenie zakresu własnej wiedzy i potęgi; przenosi się coraz na inne pola, zmienia kierunek i sposoby badania, które wykwitają w systemy filozoficzne. W epoce reformacyjnej umysły zwracały się ku rzeczom najbliższym, ku fenomenom natury i zjawiskom materyalnego świata. Scholastycyzm, chociaż oparty na zdrowej zasadzie, że filozofia jest sługą teologii, usechł był chwilowo, popadłszy w martwe, formalistyczne spory, i nowym potrzebom nie odpowiadał. W miejsce jego wstępowała nowa metoda doświadczalna i indukcyjna, przeznaczona oddać niepospolite usługi wiedzy ludzkiej, w właściwym i ograniczonym zakresie; lecz do badania rzeczy nadprzyrodzonych niezdolna, a potrzebująca stróża w wierze objawionej i przewodnika w religii. Zerwawszy pęta kościelne, obaliwszy dogmata, postawiwszy zasadę wolnego rozbioru w rzeczach wiary, reformacya popchnęła badania naukowe na manowce niedowiarstwa; dała początek niezawisłej umiejętności, która idąc coraz dalej wytkniętym torem, poczęła podkopywać wszystko co święte, wszystko co potrzebne dla porządku i spokoju społeczeństw. Francuzi, ludzie praktyczni, spopularyzowali niezawisłą umiejętność, zastosowali ją do polityki i stworzyli sztukę wywracania. Filozofia XVIII. wieku obdarzyła Europę systemem na pozór prostym i loicznym, przystępnym dla wszystkich, pełnym ponętnych obietnic, którego ostatniem słowem wolność nieograniczona jednostki i równość w używaniu, a punktem wyjścia obalenie tego, co istnieje. Gdy rewolucya francuska pokazała, jak się brać

do rzeczy, we wszystkich krajach Europy powstałała chęć naśladowania przykładu Francyi, w mniejszym lub większym stopniu, stosownie do temperamentu narodowego i miejscowych okoliczności. Patrząc zdaleka i uprzedzonem okiem, widziano w rewolucyi francuskiej same dobre strony; złych namacalne doświadczenie nie mogło wykazać, a obrońcy rewolucyi nie zaniedbali zwalić na ofiary teroryzmu winy gwałtów i nadużyć. Poskromiwszy siłą żywioły anarchiczne i prąd wywrotu z dołu idący, Napoleon sam dalej prowadził dzieło rewolucyi, wywracał trony i dynastye, nakładał prawa i obyczaj z ideałem rewolucyjnym zgodne.

Po przywróceniu pokoju, społeczeństwo europejskie przedstawiało jakby kupę ruchomego piasku. Podstawa religijna w XVIII. wieku mocno podkopana, do reszty została zburzoną; w wyższych warstwach panowało niedowiarstwo, w niższych obojętność i ciemnota; wpływ Kościoła był przecięty, bo w samej Francyi „restauracya ołtarzy“ ograniczyła się ostatecznie do przywrócenia form administracyi kościelnej; w innych krajach kościoły miejscowe pozbawione hierarchii, związków z Apostolską Stolicą, środków wychowania i nauczania, rozstrojone w karności, nie miały tej nawet co we Francyi możności sprawowania posłannictwa swego. Odrodzenie religijne zaledwie ukazywało się pod postacią romantyzmu katolickiego, którego wyrazem był Châteaubriand, albo mistycznych mrzonek, mniej więcej sekciarskiej natury. Żadna moralna potęga nie walczyła z rewolucyjnemi pojęciami, ale szerzyli je liczni i gorliwi propagatorowie, znajdujący niezmierne ułatwienia i przystęp do wnętrza społecznego.

Za dawnych, dobrych czasów, masy nie zajmowały się polityką. Niższe mianowicie warstwy żyły zamknięte w ciasnej sferze, po za którą nie wyglądały. Mieszczanin siedział w sklepie, albo za warsztatem, ani myśląc o tem, co się dzieje w stolicy i na szerokim świecie. Chłop, w jeszcze bardziej ograniczonym horyzoncie żyjący, stanowił nieruchome a posłuszne mnóstwo. Dopiero wojny napoleońskie, nieoszczędzające najdalszego zakątka, obudziły masy z uśpienia. Ludzie, niegdyś obojętni na sprawy świata, poczęli się niemi trudnić, rozbierać i sądzić, z własnego stanowiska poziomych interesów. Wyprawy wojenne uczyły mło-

dzież, że świat nie kończy się za najbliższą górą; dawały sposobność rozglądnięcia się w obcych stosunkach, i wywarły wpływ podobny temu, jaki później sprawiły koleje żelazne. Na wyższych szczeblach towarzyskiej drabiny jeszcze większy ruch głowy ogarnął, jeszcze większe nastąpiło wrzenie, spowodowane obfitością wrażeń, nowych poglądów, nieprzetrawionych pojęć, nieokreślonych aspiracyi. W przeciągu dwudziestu lat, Europa pod względem ewolucyi wyobrażeń, poszła dalej naprzód, niż dawniej w ciągu całego wieku; wystąpiły na jaw nowe żywioły, nieznane potęgi; wschodziła jutrzenka ery demokratycznej, wschodziła w oczach pokoleń, które bywszy świadkami olbrzymich przewrotów, straciły wiarę w trwałość jakiegokolwiek porządku rzeczy, a także zmysł moralny, władzę rozróżniania między tem co się godzi i nie godzi.

Rządy trwały w przekonaniu, że jedynie dawna forma samowładztwa monarchicznego odpowiada dobru państw i ludów. Koło rządów kupiły się klasy, używające dotąd przywileju udziału w rządzeniu i z rządami tworzyły zastęp konserwatywny, pod hasłem utrzymania ustanowionego porządku. Między dwoma obozami, rządowym i ludowym, nie łatwo mogła zgoda stanąć, bo rządowy nie chciał nic ustąpić, a ludowy nie znał miary w żądaniach, nie dając rękojmi, że ustępstwa potrafi rozumnie zużytkować. Kompromis mógł przyjść do skutku kiedyś dopiero, na podstawie faktów spełnionych. Tymczasem siła materyalna była jedyną podporą legalnego stanu i spokoju wewnętrznego.

Wiele powieści o złościach i niegodziwościach ówczesnych rządów, czas sam między bajki włożył. Na złe czasy i na zły rząd człowiek nigdy wyrzekać nie przestanie, a można być pewnym, że gdy najwięcej się skarży, to dlatego, że sam sobie poradzić nie umie. Bądź co bądź, każde społeczeństwo ma rząd, na jaki zasługuje, na jaki go stać; ludzie bowiem niem rządzący, nie spadają z powietrza, lecz są kośćmi z jego kości i krwią z jego krwi. Restauracye monarchiczne, dopełnione w Niemczech, Włoszech, Francyi, Hiszpanii, wznieciły domowe zapasy stronnictw, rozjątrzone odwetem i zemstą ze strony zwycięzców; zarazem wróciło do steru wielu ludzi innej epoki, innych wyobrażeń, nierozumiejących swego czasu, obcych między swoimi, zużytych,

odwykłych od spraw, lub nieudolnych. „Widzę, powiada Metternich w liście poufnym, widzę tylu monarchów, uważających samych siebie za rodzaj anachronizmu i nadużycia, że nie dziwiłoby mnie, gdyby jeden po drugim wyszedł z własnej woli na dziada kościelnego.“ Między ludźmi stanu, nie jednemu na dobrą sprawę nie należało stada gęsi powierzyć; przecięciowo jednak biorąc, ówcześni władzcy nie byli ani gorsi, ani lepsi od otaczających społeczeństw; nie zbywało im ani światła, ani talentu, ani dobrej woli, lecz na równi ze społeczeństwami, z których wyszli, cierpieli na niedostatek zdolności organizacyjnych, który sprawiał, że ich krytycy i przeciwnicy także nic zdrowego, ani trwałego nie zbudowali i po sobie nie zostawili.

Drugim szkopułem rządów stała się ślepa wiara w siłę fizyczną, której przewaga była po ich stronie, bo wojny dały im dyktaturę i zostawiły w spadku krocie bagnetów. Ufne w bagnety, rządy zamierzały naśladować Napoleona, który im pokazał, co może centralizacya administracyjna i prawodawcza, silną i nieubłaganą kierowana ręką. Ale nie każdemu Pan Bóg dał głowę Napoleona, potrzebną do wystawienia i utrzymania takiej machiny, jaką on we Francyi zbudował. Omyłka w rachubie srodze się zemścić miała na rządach; przeceniając własną siłę, lekceważąc przeciwnika i potęgę ruchu powszechnego, wystawiły się na następstwa dalszych omyłek.

Dopóki walka z Napoleonem pochłaniała uwagę rządów, nie pora była myśleć o wewnętrznych reformach. Gdy pokój wrócił, ludzie rządzący odwykli byli od domowego gospodarstwa, przytem zmęczeni, wyczerpani na ciele i umyśle, po tylu latach natężonej pracy i hazardownych wysileń, potrzebowali odpocząć i użyć nieco spokoju. Rządowi zaś nigdy spocząć nie wolno, takiemu mianowicie, co wszystko w swoich koncentruje rękach; bo skoro się do spoczynku ułoży, wszystko w biegu staje, lub na wspak idzie i rzecz publiczna cierpi. Zresztą, każdy prawie rząd jakieś projektował ulepszenia, ale odkładał je na później, gdy ucichnie wrzawa przez nowiniarzy wzniecona, gdy przejdzie paroksyzm rewolucyjny. Na nieszczęście były to dopiero pierwsze dreszcze rewolucyjnej febry, po których miała nastąpić gorączka i dalsze coraz gwałtowniejsze napady.

IX.

W chwili rozpoczęcia pokojowej ery, Metternich znalazł się na szczycie osobistego znaczenia. Miał wszystko prawie o co ludzie zwykli się ubiegać: tytuł książęcy potrójny, w Austryi, Hiszpanii i Neapolu; Złote Runo, wielką wstęgę św. Stefana, Andrzeja, Orła czarnego, Legii honorowej i niemal wszystkich orderów europejskich; moc różnego gatunku honorów i odznaczeń, których spis parę arkuszy zapełnia [1]. Austryi i swemu monarsze oddał był wielkie i niezaprzeczone usługi, światu znakomicie dopomógł do wyzwolenia się z pod przemocy Napoleona; przewodnicząc koalicyi i obradom kongresu, ojcował niejako nowemu porządkowi Europy.

Pierwsza część jego publicznego zawodu, najświetniejsza, w których prawdziwych dokonał arcydzieł, przeszła całkowicie do historyi. Otwierała się druga, trzydzieści lat z okładem trwać mająca, w ciągu których Metternich dźwigał ciężki przywilej, zasłużonej i niezasłużonej odpowiedzialności za wszystko, złe i dobre, co się w Europie działo; grał rolę mniej więcej podobną do tej, jaką później odgrywał Napoleon III. a jaką teraz odgrywa ks. Bismarck; rolę, którą zawdzięczał położeniu Austryi i swemu własnemu stanowisku.

W upadku po koalicyi, Austrya wzięła naczelne w Europie miejsce, nader trudne do utrzymania na długo. Mocarstwo chcące innym przodować, musi samo bez ustanku iść naprzód, reprezentować jakiś kierunek wyraźny, pociągać za sobą resztę na drodze postępu, będącego kardynalnem prawem życia. Austrya natomiast

---

[1] Rodzina Metternichów otrzymała w 1804 za skonfiskowane przez Francuzów dobra, opactwo Ochsenhausen nad Renem, do którego cesarz niemiecki przywiązał tytuł książęcy; w 1813 tytuł ten rozciągnięto do wszystkich potomków Klemensa Metternicha, obojej płci, w prostej linii. Nieco później otrzymał prawo noszenia herbu domu habsburgsko-lotaryngskiego; następnie donacyę państwa Daruwar w Węgrzech i Johannisbergu nad Renem; w 1821 godność kanclerza dworu i stanu; w 1831 gwiazdę brylantową św. Stefana. Przy ustanowieniu krzyża zasługi dostał jedyny taki krzyż, do noszenia na szyi. O kluczu szambelańskim i haftach tajnego radcy, zbytecznem zapewne wspominać.

przyjęła za dogmat nieruchomość i chciała całą Europę do jednego z sobą sprowadzić mianownika, bez względu na niepodobieństwo takiego przedsięwzięcia, bez względu na to, że jej własna budowa wewnętrzna wymagała spiesznej i radykalnej poprawy.

Do wstąpienia na tron Maryi Teresy, monarchia austryacka trzymała się dawnego ustroju federalistycznego. Węgry miały swoję konstytucyą i koronę, Czechy odrębne stanowisko, każda prowincya rządziła się wewnątrz według historycznego i zwyczajowego prawa, pod powierzchowną kontrolą centralnego rządu, który cały czas i starania poświęcał polityce dynastycznej i sprawom cesarstwa niemieckiego. Dawna forma federalistyczna, za ostatniego panowania zwłaszcza pozbawiona silnej i czujnej głowy, nieodpowiadała wymaganiom czasu i położenia, nie była zdolną dać Austryi sił odpornych, niezbędnych dla oparcia się naciskowi sąsiednich, zcentralizowanych i militarnych mocarstw, a nawet do utrzymania powagi cesarskiej w stosunku do pomniejszych członków Rzeszy. Wojny z Fryderykiem W. namacalnie dowiodły, jakie stąd niebezpieczeństwa Austryi zagrażają. Szukając lekarstwa, niezdołano oprzeć się pokusie pójścia za przykładem Europy, gdzie przeważała dążność do centralizacyi władzy i absorpcyi wszystkich czynników życia społecznego przez wszechwładne państwo, uosobione w monarsze i rządzie.

W radzie stanu Maryi Teresy poczęto mówić o „wytworzeniu prawdziwego ducha narodowego, zlaniu w harmonijną polityczną jednomyślność różnorodnych narodów monarchii,“ czyli innemi słowy, o zniemczeniu wszystkich poddanych cesarzowej. Bartenstein, Van Swieten i inni doradcy Maryi Teresy, praojcowie dzisiejszych centralistów, liberałów i germanizatorów, zamierzali zadekretować jedno prawodawstwo dla wielojęzycznej monarchii, wprowadzić język niemiecki w szkole, sądzie i urzędzie, w nadziei, że pomału znikną cechy narodowe, mowa germańska wyruguje inne narzecza nawet z domowego zwyczaju, i żywioł germański na wieki w Austryi zapanuje. Już wtenczas rozpoczęto stosować system germanizacyi i praktykę mięszania się rządu we wszystko, lecz na zawadzie stały formy i zwyczaje federalistycznego ustroju, tudzież brak głównego narzędzia, biurokracyi. Za-

pędy germanizatorów hamowała bogobojna i mądra monarchini; ona, na przykład, już pod koniec życia, osobiście nakazała drukować książki szkolne po czesku, „jako koniecznie potrzebne.“ Popęd był jednak dany, a Józef II., współrejent, silnie go popierał.

Pełną władzę objąwszy, Józef zabrał się do roboty, żeby starą Austryę wywrócić i nową, idealną zbudować. Syn matki bogobojnej i pobożnej, troskliwie przez nią chowany, wyrósł na dziecko XVIII. wieku, niedowiarka, filantropa, bałwochwalcę czystego rozumu, czciciela absolutnej loiki. Nie bojąc się Boga, a siłę mając w ręku, sądził, że mu wszystko wolno, przywłaszczać sobie cudzą ziemię prawem kaduką, znosić dawne instytucye, dyktować prawa Kościołowi, kasować i łupić klasztory, przerabiać poddanych na Niemców i z mienia odzierać. W stosunkach z sąsiadami, naśladował Fryderyka W., któremu nie dorównywał talentem. Kochał ludzkość, więc pragnął szczęścia poddanych, które pojmował na swój sposób i swój sposób pojmowania cudzego szczęścia uznawał najlepszym, jedynie prawdziwym i trafnym. Żeby poddanych uszczęśliwić na własne kopyto, przywłaszczył sobie nieograniczoną władzę; odebrać postanowił poddanym wszystko, do czego najbardziej byli przywiązani, począwszy od praw i instytucyi, skończywszy na mowie; wydał niezliczoną ilość ukazów i ustanowił moc urzędników, obowiązanych pilnować, aby każdy szukał szczęścia tam, gdzie go cesarz szukać każe, i żył według woli cesarza. Pierwszą zaś i ostatnią powinnością każdego było: zostać Niemcem. Gdy jeden magnat węgierski zaprotestował przeciwko zamierzonym zmianom, Józef tak mu odpisał: Jestem cesarzem niemieckim, wszystkie przeto kraje, jakie posiadam, są prowincyami mego państwa; język niemiecki jest uniwersalną mową mego państwa; nie widzę przeto powodu, żeby w jednej jakiej prowincyi prawa pisane były w innym języku, lub aby innego języka urzędowego używano. — Węgrzy tak się centralizacyi i germanizacyi oparli, że cesarz musiał ustąpić; w Belgii zbrojne wybuchło powstanie, z powodu reform. W innych krajach monarchii tem uporniej, tem gwałtowniej przeprowadzić usiłowano zamierzone zmiany, o ile się dało w praktyce, wreszcie na papierze. Skutek był taki, że stara Austrya runęła,

lecz nowa nie powstała; miejsce starej polityki habsburgskiej, której dom austryacki wielkość i świetność zawdzięczał, zajęła tradycya jozefińska, dążąca do wynarodowienia i zgermanizowania obcych plemion, uznająca państwo panem wszechwładnym sumienia, wolności i majątku poddanego.

Patent o tolerancyi, wymierzony na szkodę katolicyzmu, przyniósł wprawdzie swobody innowiercom, lecz Kościół katolicki, Kościół większości, został zdegradowany do znaczenia wydziału administracyi ogólnej. Józef dążył do utworzenia Kościoła rządowego, który nawet narodowym byćby nie mógł, bo narodowość austryacka jest mytem. Utrudnił związki z Rzymem, uczynił hierarchię kościelną zawisłą od rządu, na równi z biurokracyą; przewrócił nauczanie teologiczne i herezyą zaraził; władzom administracyjnym powierzył nadzór nad wewnętrznym zarządem kościelnym; zostawił po sobie mnóstwo przepisów uciążliwych, prawo kanoniczne naruszających, których rozwodniony ekstrakt, niedawno uchwalony, równa się srogością pruskim prawom majowym [1]. Wychowanie publiczne, w ręce rządu oddane, użyte za broń przeciw religii i narzędzie germanizacyjne, oprócz innych szkód dotkliwych, skazało Austryę na to, że we wszystkiem mierność była i jest cechą nieodłączną. Sądy administracyjne, policya, zawisłe sądownictwo, zrobiły rząd panem wolności i życia poddanych. Zniesienie *de facto* instytucyi stanowych, bez zezwolenia których skarb nie mógł czerpać w kieszeni poddanych, było pierwszym krokiem do potwornego fiskalizmu pod wszelką postacią: podatku, grabieży, majątku publicznego, kościelnego i prywatnego, redukcyi monety, „dobrowolnych“ pożyczek nakładanych pod rygorem przymusu, i różnych „operacyi finansowych.“

Z reform Józefa, między któremi znalazła się niejedna dobra i pożyteczna, najlepsze popsuł chaos prawodawczy i przydusił formalizm biurokratyczny. Prawodawstwo, jeśli ma się przyjąć i być płodnem, winno wychodzić z tego, co istnieje w życiu i odpowiadać zwyczajom i potrzebom ludności. Nie licząc się wcale z rzeczywistością, zwyczajami i potrzebami, prawodawstwo

[1] Jak wiadomo, prawa kościelne austryackie obowiązują, lecz nie są wykonywane.

jozefińskie miało na celu zniszczyć dzieło natury i czasu, wtłoczyć życie w formy konwencyonalne. Drugim warunkiem płodności i pożyteczności prawodawstwa jest organiczna budowa, tudzież kodyfikacya jasna, przystępna, niedopuszczająca samowolnej interpretacyi litery i ducha prawa. Prawodawstwo jozefińskie powstało w głowie bałamutnej, dziwacznej i zarozumiałej, pod wpływem manii; układane było dorywczo i pospiesznie, przez ludzi chcących wszystko naprzód przewidzieć i każdy szczegół uregulować, a niemających czerpanego z praktyki doświadczenia. Zgromadzono tym sposobem nieprzebrany arsenał szczegółowych rozporządzeń, bez organicznej więzi, zredagowanych w języku umyślnie sfabrykowanym, odbijającym zamęt w głowach prawodawców panujący; — miliony paragrafów, często ze sobą sprzecznych, wśród których gubili się stróże i wykonawcy prawa.

Urzędnik miał sobie poleconem, żeby wszystko działo się według przepisu i żeby bez ustanku donosił wyższym władzom, co zrobił i robi dla wprowadzenia w życie obowiązujących przepisów. W oczach urzędnika, który najczęściej musiał dopiero uczyć się paragrafów, każdy paragraf był równie ważny, równie święty. Ucząc się paragrafów, przyjmował język urzędowy, będący zbieraniną hieroglifów i liczmanów, wyrażających pojęcia chaotyczne, nieprzetrawione, niewyklarowane, a raz nawyknąwszy do używania takiego języka, przestawał myśleć i sądzić, rdzewiał, stawał się machiną bezmyślną. Ślęcząc nad sylabizowaniem kodeksów i stylizowaniem raportów, nie miał czasu obeznać się z otaczającym światkiem, nie wyglądał za cztery ściany izby urzędowej i troszczył się tylko o to, co stoi w aktach. Obowiązany zmuszać ludzi do uległości paragrafom praw wstrętnych, ściągał na siebie nienawiść i nienawiścią odpłacał podwładnym. Ludność i biurokracya, rząd reprezentujące, stanęły naprzeciw siebie jak dwa wrogie obozy. Przechodząc przez rozmaite alembiki, raporta gromadziły się po instancyach; czem wyżej, tem mniej zgodne z istotnym stanem rzeczy. Rząd centralny, wszystko w swoich rękach skupić pragnący, nietylko nie rządził, ale nawet nie wiedział, co się w państwie dzieje.

Cesarz Franciszek znajdował, że wszystko co jest, dobre jest. Zajęty wojnami, w początkach panowania, nie mógł pilnie

oddawać się wewnętrznym sprawom, ale z doświadczenia nie wyciągnął wniosku, że machina rządowa w chwilach niebezpieczeństwa zupełnie nieradna i zatrzymująca się w biegu, poprawy wymaga. Sam tępego umysłu, rzadko obierał za doradców ludzi talentu; obrany z ducha inicyatywy i nienawidząc zmian, tłumił w innych czynność i rzutność. Sumienny w wykonywaniu monarszego rzemiosła, chciał wiedzieć z raportów, które czytał pilnie, ale nie spiesząc się, i wglądał w najdrobniejsze szczegóły, korespondując z komisyami nadwornemi, między któremi rozproszony był zarząd wewnętrzny. Istniała wprawdzie konferencya ministrów, lecz ministrowie nie mieli władzy nad komisyami, a zbiorowe narady należały do nadzwyczajnych wyjątków. Zanim się zdecydował, cesarz potrzebował długiego namysłu, pragnął rzecz zgłębić, zebrać opinie rozlicznych dykasteryi, i w tej mierze do pedantyzmu posuwał zamiłowanie urzędowego porządku. Ważniejsze zwłaszcza sprawy wędrowały latami z rąk do rąk, czasem wracały do cesarza, częściej grzęzły w biurokratycznym labiryncie. W podobnym składzie nie było miejsca ani na wszechwładztwo ministeryalne, ani na inicyatywę ministeryalną.

Metternich podlegał ogólnemu prawu. W początkach urzędowania nie mógł otrzymać od cesarza pozwolenia na sprowadzanie wina francuskiego w większej ilości nad tę, jaką każdemu sprowadzić było wolno. Z czasem, zarobiwszy sumiennie na zaufanie monarchy, zdobył wielką samodzielność w sprawach zagranicznych. Z urzędu miał prawo wiedzieć co się dzieje wewnątrz; wiele obcując z cesarzem, częstszą znajdywał sposobność zabierania głosu w ogólnych kwestyach; ale daleko było do tego, żeby mógł wywierać wpływ przeważny, lub skuteczną inicyatywę. Potrafił ustrzedz się tej rdzy austryackiej, która nawet w naszych czasach tak prędko ludzi publicznych okrywa i niszczy; znał stosunki i wady administracyi; nie był ani tak zatwardziałym w reakcyi, ani takim wrogiem reform i postępu, za jakiego uchodził. Przeciwnie zawczasu dążył do radykalnej i na ową porę bardzo szerokiej reformy wewnętrznej. Na nieszczęście, nie był to człowiek twardo chcący, żelaznej i wytrwałej woli, osobistej ambicyi, zdeterminowany przeprzeć wszystko, co za dobre, pożyteczne i konieczne uzna. Dlatego może, zdobywszy się na inicyatywę,

nie zdołał przemódz bierności cesarza i jedynej niezłomnej w Austryi potęgi, ducha biurokratycznego. Najmądrzejsze jego pomysły, czyściec biurokratyczny pochłaniał.

W kwestyi wewnętrznej reorganizacyi monarchii, Metternich stanął na stanowisku historycznem, tem samem, jakie później w 1860 zajęli autorowie patentu październikowego, jakie dziś zajmują autonomiści i federaliści. Trzymając się prawdy, że Austrya jest, pod wspólną dynastyą, związkiem narodowych i politycznych jednostek, mających wrodzone cechy odrębne, przeszłość dziejową rozmaitą, obyczaje i zwyczaje, prawa i przywileje długiem używaniem uświęcone, chciał pogodzić system rządowy istniejący z naturą monarchii, zatrzymać w biegu niwelatorski prąd józefiński, uprościć mechanizm rządu centralnego i ład w nim zaprowadzić. Plan swój rozwijał stopniowo, ostrożnie, żeby nie zrazić i nie przestraszyć cesarza; dowodząc cesarzowi, że zmiany będą nieznaczne i wyjdą na pożytek władzy monarszej, „Miałem — powiada — niemałe obawy, tak co do cesarza, który czuł nieprzełamany wstręt do wszelkich zmian w administracyi, jak co do naczelników departamentów rządowych, w rzędzie których liczyć tylko mogłem na pomoc trzech: hr. Stadyona, ministra finansów, ks. Schwarzenberga i hr. Zichy.“

Gdy w roku 1806, cesarz Franciszek zrzekłszy się godności cesarza niemieckiego, wziął tytuł cesarza Austryi, koronacya w manifeście przewidziana, odłożoną została na później, z powodu wojennych zamieszek. Po przywróceniu pokoju, Metternich nalegał na odbycie koronacyi, której w jego myśli asystować miały deputacye stanów wszystkich krajów monarchii i „składając hołd homagialny, otrzymać tem samem zaręczenie, że prawa konstytucyjne każdego kraju, będą nadal zachowane i szanowane.“ Cesarz nigdy nie zdobył się na dopełnienie obrzędu koronacyjnego. Projekt Metternicha przywrócenia rady stanu, jak za Maryi Teresy, dyskutującej ustnie materye prawodawcze, nie wszedł w życie. Jesienią 1817 roku, Metternich podjął sprawę wewnętrznej reformy, w memoryale datowanym z 17 października, w którym na wstępie stara się uspokoić drażliwość cesarza na punkcie zmian w istniejącym porządku.

„Długie doświadczenie, pisze, dowiodło W. C. Mości, że

niema nic przeciwniejszego moim dążeniom, jak chęć robienia zmian w administracyi bez potrzeby i przedsiębrania reform dla reform. Pragnę jedynie ładu w rządzie, bo nieład wynika z mechanizmu zbyt skomplikowanego. W państwie austryackiem, gdzie panowanie Maryi Teresy i teoretyczne próby Józefa drogę reformom utorowały, nie potrzeba wielkich wysileń dla osiągnięcia poprawy. Należy tylko zbadać przyczyny złego i rezultat badań sprowadzić do najprostszego wyrazu. Myśli dziś W. C. Mości przedłożone, nie zawierają nic nowego; nieraz je W. C. Mości udzielałem częściowo, oddawna bowiem wady naszej administracyi i środki zaradcze wpadają mi w oczy. Nasz mechanizm polityczny spoczywa na podstawie tak pewnej, że niema właściwie żadnego koła do usunięcia u dołu. Moje propozycye dotyczą tylko głównych sprężyn, całość poruszających, a i pod tym względem nietrzeba zmian radykalnych w ustanowionych formach: dość będzie zaprowadzić porządek w częściach, mianowicie w organicznych członkach władzy centralnej. Nie twierdzę, żeby przyjęcie moich propozycyi miało znieść wszelkie nadal trudności, lecz nikt nie zaprzeczy, że system oparty na rozumnych i jasno określonych zasadach, czyni wszelki postęp łatwym, podczas gdy zamięszanie pojęć i atrybucyi w łonie najwyższej władzy, wszelki postęp niepodobnym czyni. Każda instytucya ludzka doskonali się z czasem, skoro opiera się na prawdziwych i sprawiedliwych zasadach; natomiast dążność do wzmagania inercyi i konfuzyi jest fatalnem następstwem przeciwnego stanu... Rząd nasz, taki jaki jest, spoczywa na zasadzie centralizacyi, zbyt rozszerzonej w codziennem zastosowaniu. Machina idzie, bo niższe jej koła są silne i funkcyonują regularnie, a na czele administracyi stoi zdolny monarcha.“ Tu Metternich odwołuje się do poczucia obowiązków monarszych, tak silnego u cesarza Franciszka, i czyniąc alluzyę do fizycznego i umysłowego niedołęstwa arcyksięcia Ferdynanda, następcy tronu, pyta: „Co się stanie, gdy nieunikniona z czasem katastrofa dotknie monarchię? W. C. Mość wiesz o tem, jako ojciec, jako człowiek, jako monarcha. W. C. Mość powołanym jesteś odwrócić złe grożące niechybnie, a jeden ku temu pozostaje środek skuteczny: w oczach i pod opiekuńczem ramieniem W. C. Mości władza

najwyższa winna być ukonstytuowaną w sposób taki, żeby musiała pozostać na dobrej drodze, a przynajmniej, żeby trudno jej było zbłąkać się. Czy W. C. Mość wystawiasz sobie Austryę, pozbawioną wpływu monarchy, na którym kierunek państwa prawie wyłącznie spoczywa teraz? Lecz niedość ustanowić zasady, aby rozległej administracyi zapewnić siłę i trwałość; zwłaszcza w początkach, panujący i podwładne narzędzia winni nauczyć się, jak działać w nowej sferze. W życiu państw lata często są tylko chwilami przelotnemi, dlatego W. C. Mość nie uczynisz nic dla przyszłości, jeśli dopiero u kresu życia swego przedsięweźmiesz wielkie postanowienia w rzeczy ogólnego porządku na przyszłość obliczone; gdyż nie w zasadzie tylko, lecz także w wyborze środków przeprowadzenia zamierzonej reformy, leży rękojmia trwałości moralnego dzieła. Słabego charakteru monarsze trudno przyjdzie zmienić prawidła rządzenia, oparte na trwałych posadach, lecz nie zdoła takich prawideł stworzyć i wprowadzić w życie.“ Jakby widzeniem przyszłości tknięty, Metternich przepowiedział, co się stać miało kiedyś.

Przejdźmy do propozycyi, które czytelnik wraz z motywami w streszczeniu poniżej znajdzie.

„Codzienny bieg spraw w monarchii dowodzi, że pomimo mnóstwa dobrych praw i reguł administracyjnych, rząd nie posiada siły, jaką mieć może i powinien.

„Cesarstwo austryackie, w skutek różnorodności składowych żywiołów, tworzy rodzaj państwa federacyjnego, pod jednym i wspólnym monarchą. Główne części, Węgry, Czechy, obie Austrye, Siedmiogród, Horwacya i t. d. posiadają dawne konstytucye, mniej lub więcej dotąd zachowywane lecz niemniej istniejące i każdemu krajowi właściwe. Inne kraje później przyłączone, Tyrol, Voralberg, Galicya, Lombardya i Wenecya i t. d., otrzymały od monarchów odrębne konstytucye, odpowiednie miejscowym potrzebom i przeszłości. Wszystkie te kraje różnią się między sobą klimatem, mową, obyczajem i zwyczajem; każdy tworzy osobną koronę, noszoną przez cesarza austryackiego, i dawniej, przy każdej zmianie tronu trzy dopełniały się koronacye. Stan taki, uświęcony czasem, zasługuje na uwagę rządu, jest bowiem wy-

razem trwałym różnic narodowych, dzielących składowe części monarchii.

„Pod względem politycznym i jeograficznym, Austrya tworzy państwo, żeby tak powiedzieć otwarte, pośród kontynentu europejskiego, pozbawione jednej i nieprzerwanej granicy militarnej. Monarchia winna przeto w samej sobie, w administracyi politycznej, wojskowej i finansowej, szukać sił niezbędnych; a siła ta, u nas jak wszędzie, jest wynikiem reguł rządowych, jasno określonych i sumiennie stosowanych. W tej mierze, dwie są możliwe dla Austryi drogi: zlanie zupełne żywiołów monarchii w jedyną formę rządu; albo prawowite poszanowanie konstytucyi pojedyńczych krajów, mających sankcyę loiki, mowy, klimatu, obyczaju, tradycyi i długiego istnienia, a jednocześnie poddanie tych krajów pod działanie silnego i dobrze uorganizowanego rządu centralnego.

„Myśl zlania w jedno służyła za podstawę systemu, rządowego cesarza Józefa, którego panowanie nosi cechę hazardownych teoryi. On pierwszy spróbował fuzyi, lecz po kilku latach doświadczenia musiał wyrzec się swego zamiaru.

„Zupełne zlanie w jedno różnorodnych żywiołów może być tylko rezultatem gwałtownej rewolucyi; w najlepszym razie, rząd nie zdoła uniknąć niebezpieczeństw takiej rewolucyi inaczej, jak rozwijając w najwyższym stopniu energię i konsekwencyę w postępowaniu. Wypadki ostatnich lat trzydziestu dowiodły tej prawdy. Zresztą, trudności jakie napotkać musi system zlania w państwie, liczącem tyle różnych języków i tyle różnych ras, którego posiadłości złączyły się inną drogą, niż drogą pobojów, nieodłączne są od natury rzeczy. Nieudana próba cesarza Józefa, a szczególnie wyrzeczenie się przezeń powziętego zamiaru, czynią rzecz do tego stopnia trudną, że z punktu prawa i sumienia uważam system bezwzględny fuzyi, gwałtownie zastosowany do wszystkich żywiołów monarchii, za hypotezę próżną i tembardziej hazardowną, że podobne przedsięwzięcie nieomieszkałoby wywołać myśli centralnej reprezentacyi narodu, jakkolwiek myśl ta, wzięta sama w sobie, jest nierozsądną w obecnych okolicznościach.

„Pozostaje mi więc rozebrać pytanie, jakim sposobem wzmocnić można działanie rządu, zachowując względy należne narodowości mieszkańców i istniejącym konstytucyom, tudzież ograniczając do minimum zmiany w przyjętych regułach rządowych.

„Stawiam jako fakt, iż rząd, aby być silnym, potrzebuje mieć coś więcej niż dobre prawa. Niezależnie od sprawiedliwych zasad, sposób działania rządu musi być w zgodzie z jego położeniem. W Austryi rzecz ma się przeciwnie. Monarchia złożona jest z najróżnorodniejszych żywiołów, lecz nawet na stopniach tronu, ta rozmaitość tłumaczoną jest w sposób zbyt ciasny, albo zbyt absolutny. Węgry i kraje z Węgrami złączone używają przywilejów tak daleko idących, że paraliżują one działanie wielkiej machiny politycznej, podczas gdy inne prowincye znikają w systemie administracyi i są, żeby się tak wyrazić, absorbowane przez wspólne centrum. Węgier sądzi się niepodległym, podczas gdy narodowość innych krajów zużywa się i gubi w starciach między prowincyami i rządem, gubi się na szkodę całości. W obecnej organizacyi wyższej władzy, noszącej charakter narodowy niemiecki, tkwi dążność niewątpliwa do systemu fuzyi, podczas gdy machina polityczna spoczywa na zasadzie wręcz przeciwnej, a w dobrze zrozumianym interesie, powinna opierać się na przeciwnych podstawach. Tendencya wyżej wskazana, wynikająca z organizacyi wyższej administracyi, paraliżuje działanie rządu, wzniecając ustawiczne starcia; pod jej wpływem cel dobroczynny centralizowania władzy rządowej, wyradza się w manię mięszania się w szczegóły i zabija prawdziwego ducha w rządzie.

„Począwszy od dołu, organizacya nasza jest dobra i rozumna. Stosuje się to mianowicie do podziału na cyrkuły i odrębnej administracyi prowincyonalnej, która szanując narodowość mieszkańców, czyni możliwym sprawiedliwy i ojcowski zarząd. Lecz u góry znajduje się rząd w właściwym znaczeniu wyrazu, ognisko wszystkie władze obejmujące: sprawy zagraniczne, administracyę wewnętrzną, to co u nas nazywa się *politicum;* skarb, wojsko, sprawiedliwość, policyę, rachunkowość. Każda z tych gałęzi obejmuje dwie części: ogólny kierunek, który można nazwać moralnym, oraz manipulacyę, czyli stronę techniczną, obejmującą

środki wykonawcze, która winna być podporządkowaną pierwszej i zostawać z nią w ścisłym związku.

„W tym duchu utworzone zostało ministerstwo finansów, w miejsce prezydencyi izby skarbowej; podobną reformę zastosować proponuję do administracyi wewnętrznej.

„Wychodząc z założenia, że system fuzyi, pociągający najpierw za sobą zniesienie nazwy królestw i prowincyi, jak się to stało we Francyi w początkach rewolucyi, jest na bok usunięty, uważam za najstosowniejsze postawienie na czele administracyi wewnętrznej, tworzącej ministerstwo spraw wewnętrznych pierwszego kanclerza, mającego pod sobą czterech kanclerzy:

„Kanclerza dla Czech, Morawii i Galicyi;

„Kanclerza dla Austryi górnej dolnej, Styryi, Salcburga i Tyrolu;

„Kanclerza dla Ilyryi i Dalmacyi;

„Kanclerza dla Lombardyi i Wenecyi; reprezentujących w łonie ministerstwa miejscowe interesa prowincyi pod ich zarządem zostających, a wobec zarządów prowincyonalnych, broniących zasad i jedności rządu.

„Sprawy zwyczajne i kwestye wyższej administracyi będą rozstrzygane na konferencyach ministeryalnych; kanclerze czuwać będą nad wykonaniem powziętych postanowień.

„Wtedy kancelarya węgierska i siedmiogrodzka stracą dzisiejszy, wyjątkowy charakter i wyjątkowe znaczenie, zejdą do rzędu odnóg wspólnej administracyi; a przez to uczynimy pierwszy krok na drodze powolnej i stopniowej reformy tych krajów.

„Na początek prosiłbym, abyś W. C. Mość raczył nakazać utworzenie, obok ministerstwa spraw zagranicznych i finansów, ministerstwa spraw wewnętrznych i ministerstwa sprawiedliwości, następnie zamianować pierwszego kanclerza i czterech kanclerzy prowincyonalnych.“

Cesarz, przyjąwszy formy przez Metternicha wskazane, zgodził się na utworzenie „połączonej kancelaryi nadwornej“ i kancelaryi prowincyonalnych. Hr. Saurau został mianowany kanclerzem, ministrem spraw wewnętrznych; hr. Lasansky kanclerzem Czech, Morawii i Szlązka; baron Geisslern wicekanclerzem dla Austryi i Ilyryi; hr. Mellerio kanclerzem Lombardzko-Weneckim. Królestwo

Galicyi i Lodomeryi pominięto milczeniem; Ilyryę przyczepiono do arcyksięstw austryackich. Na formach wszystko się skończyło.

Metternich zaproponował coś więcej: utworzenie rady państwa, złożonej z członków mianowanych przez cesarza, tudzież z delegatów stanów prowincyonalnych, z atrybucyą dyskutowania budżetu i projektów do praw ogólnego interesu. Ciekawe są losy planu Metternicha. Cesarz zwlekał rozpatrzenie z roku na rok; dopiero w 1827, przebywszy śmiertelną chorobę, oświadczył kanclerzowi, że jest zdecydowany nakazać zbadanie jego propozycyi. Upłynęło znowu lat sześć na niczem. Wreszcie pod koniec 1834, cesarz rzekł, że wyrzuca sobie tak długą zwłokę, ale w ciągu następnego roku rzecz niezawodnie załatwi. W dwa miesiące potem umarł! Dopiero w 1852, po upływie lat ośmnastu, cesarz Franciszek Józef wznowił projekt Metternicha; przyszła do skutku rada państwa z samych starych dygnitarzy, i po kilku latach cichego żywota, przeobraziła się w radę „wzmocnioną," która absolutnym rządom koniec zgotowała.

Jednocześnie Metternich wysłał był zaufanego ajenta nazwiskiem Tito Manzi, do Włoch, w celu zdania sprawy o stanie rzeczy na całym półwyspie i w posiadłościach austryackich. Streściwszy w obszernym raporcie, z 17 listopada 1817, sprawozdania wysłańca, tak konkluduje:

„Nieukontentowanie powszechne wynika tak dobrze z cierpień, spowodowanych szeregiem lat nieurodzaju i zastoju w interesach, jak z opłakanej administracyi rządów. Na południu, tudzież w Bolonii i Genui panuje gwałtowna agitacya w umysłach, podtrzymywana przez rozmaite sekty, których dążenia są niepokojące, ale których obawiać się zbytecznie nie ma powodu, gdyż brakuje im wspólnego kierunku, planu przez wszystkich przyjętego i widomych naczelników. Ruchu rewolucyjnego we Włoszech nie należy bać się, dopóki agitatorowie nie znajdą zachęty i poparcia u jakiego mocarstwa zagranicznego, a takie niebezpieczeństwo obecnie nie istnieje. Istnieją natomiast przyjazne okoliczności, z których moglibyśmy skorzystać, aby rząd austryacki uczynić we Włoszech popularnym i zjednać opinię dla naszej sprawy; możemy nawet zdobyć przywiązanie sąsiednich ludności, niezadowolnionych z losu swego i swoich rządów. W królestwie Lom-

bardzko-Weneckiem partyzanci dawnych rządów przyznają, że nasza administracya jest lepsza niż w innych częściach Włoch; pomimo to i tam mocne panuje nieukontentowanie, jak to W. C. Mość wie z raportów gubernatorów i z doniesień policyjnych. W. C. Mość wie zapewne także, że zwłoka w biegu interesów, zamiar przypisywany rządowi W. C. Mości, zgermanizowania włoskich prowincyi, skład sądów, codzienne nasyłanie urzędników sądowych Niemców, drażniące Włochów przewlekanie się w nieskończoność sporów, wynikłych między dworem wiedeńskim i Stolicą Apostolską, są główną przyczyną panującego powszechnie zniechęcenia. Ponieważ powyższe przyczyny łatwo usunąć, znając ojcowskie zamiary W. C. Mości, sądzę moim obowiązkiem powtórzyć na tem miejscu to, co nieraz miałem zaszczyt W. C. Mości przedstawiać, mianowicie położyć nacisk na konieczność i doniosłość poprawy, zdolnych usunąć wady administracyi, wprowadzić więcej życia i czynności w bieg spraw. Należy poczynić ustępstwa duchowi publicznemu i własnej miłości narodu, nadając tym prowincyom administracyę, dowodzącą Włochom, że niezamierzamy traktować ich na jednej stopie z krajami niemieckimi monarchii i niechcemy zlać z nimi prowincyi włoskich. W tym celu trzeba powierzać urzęda sądowe ludziom zdolnym i dawać Włochom pierwszeństwo przed obcymi; starać się o zjednanie nam duchowieństwa i pisarzy, wpływ wywierających na opinię publiczną. Nie wątpię, iż oczekiwany rezultat da się osiągnąć bez wielkich trudności i bez zboczenia od przyjętych zasad, których zastosowanie w formach zmienione być winno. Mam nadzieję, że gdy niechęci znikną wraz z przyczynami, Włosi zwrócą się ku Austryi i poczną upatrywać w Austryi jedyny rząd, zdolny im spokój i porządek zapewnić. Wtedy, silni wpływem, jaki daje opinia publiczna, nie będziemy potrzebowali lękać się szkodliwych wpływów postronnych."

Na Metternicha nie spada przeto odpowiedzialność za szkody wyrządzone w Austryi przez absolutyzm, tendencye centralizacyjne i germanizacyjne, niedołęztwo rządu i długoletni zastój. Bez przesady dodać można, że na owe czasy był on jedynym w Austryi, świadomym celu i środków postępowcem i reformatorem. Arysto-

kracya austryacka, trzymająca się zasad monarchicznych, znajdowała doskonałem wszystko, co od monarchy pochodziło, i albo stroniła od spraw publicznych, albo też tykając się ich, przechodziła do obozu biurokratycznego, na dwa wielkie podzielonego odłamy, z których jeden, konserwatywny, stał ślepo przy literze i formach ustanowionego porządku; drugi, liberalny, hołdował z niemniejszem zaślepieniem jozefińskiemu absolutyzmowi. Średnia klasa oświeceńsza jeszcze nic w polityce nie znaczyła. W Czechach zniemczona, dostarczała rządowi lichego materyału urzędniczego; w innych krajach słowiańskich była bardzo nieliczną, mało oświeconą i nieczynną; w niemieckich prowincyach zaś obałamucona pojęciami jozefińskiemi i zachodniemi, do odegrania roli politycznej niezdatna i pretensyi do niej niemająca. Adwokacki liberalizm dopiero w kilkanaście lat później zakwitł w Wiedniu. Stołeczna ludność żartowała sobie z rządu i z opozycyi, lubiła spokój i zabawę, szanowała dynastyę, nie dbając o resztę świata, leżącą za murami miasta. Ruch umysłów, tak silny na Zachodzie i w Niemczech, we Włoszech wzrastający gwałtownie, nie przekraczał granic właściwej Austryi i dopiero z tamtej strony Litawy objawiał się pod postacią sporów między Węgrami i rządem wiedeńskim. Prócz Metternichowskich planów, nie ostał się z tego czasu żaden inny ślad reformatorskich dążności. Projekta Metternicha należy sądzić nie z dzisiejszego stanowiska, lecz według miary ówczesnej, a tak je oceniając, trudno zaprzeczyć, że stanowiły one wielki i niezaprzeczony postęp. Kto winien, że pozostały pobożnem życzeniem „wszechwładnego ministra,“ Bogu jednemu wiadomo. Pod starość, cesarz był coraz ociężalszy, bardziej uparty, większy pedant; Metternich zawsze zbyt miękki. Obaj dobrze chcieli, bo przy wszystkich wadach i nałogach, cesarz Franciszek był monarchą sumiennym i człowiekiem obowiązku; lecz choć w różnym stopniu, obu krępował system rządzący w Austryi. W państwie rozległem, wielojęzycznem, złożożonem z krajów najrozmaitszej natury, przesadzona centralizacya nie dozwalała ludziom u steru stojącym zdawać sobie dobrą sprawę z potrzeb i stosunków miejscowych, w każdej prowincyi odmiennych. Najgenialniejszy minister musiałby chyba całe życie, jak żyd wieczny tułacz podróżować, żeby wiedzieć, co się wszędzie

dzieje; siedząc w stolicy, zdany jest na łaskę podwładnych i na własny sąd, na mniejszej lub większej niewiadomości oparty. Upor cesarza w znacznej części pochodził stąd, że patrząc na wewnętrzny stan państwa przez oczy biurokracyi, znając go jedynie z raportów, wystawiał sobie, że rzeczy lepiej idą, niż szły w istocie. Metternich, człowiek innego świata i innych pojęć, nawykły sądzić własnym rozumem, łatwiej prawdy dochodził; nauczony codziennem doświadczeniem, jaki chaos u góry panuje, rząd centralny najpierw zamierzał poprawić, lecz wobec cesarza pozbawiony był najdzielniejszego argumentu, nie znając bowiem położenia u dołu, w prowincyach szerzącego się nieładu, nie mógł cesarzowi wyświecić skutków fałszywego systemu. Co do znajomości prowincyonalnych stosunków, był zostawiony własnemu przemysłowi, czerpał informacye z doniesień swoich ajentów i ludzi prywatnych, albo też z tego, co mu udzielano urzędową drogą. Z urzędu poświęcając się sprawom zagranicznym, baczył najpierw na kraje, których położenie wiązało się z europejską polityką; dlatego tak pilnie śledził bieg rzeczy we Włoszech, gdzie zresztą znajdował wielkie ułatwienia w zebraniu pewnych wiadomości. Czem dalej ku Północy i Wschodowi, tem mniej się troszczył o miejscowe stosunki, tem mniej je znał; o Galicyi wiedział nie wiele więcej jak o Chinach. Nie jego też obowiązkiem, lecz gubernatorów i zwierzchniej władzy administracyjnej było oświecać rząd o potrzebach prowincyi. Biurokracya nie spełniała elementarnego obowiązku tego i tem samem tłumiła inicyatywę wszelkiej reformy. Przy większej energii, Metternich byłby może zdołał zwyciężyć bierny opór cesarza, lecz zachodzi jeszcze pytanie, czy obaj byliby byli w stanie zamierzonych dokonać reform, znaleźć zwłaszcza ludzi w nowym kierunku postępować chcących i umiejących. Z starą biurokracyą ani kroku naprzód zrobić nie było można, bo zagrzązłszy w prost przeciwnych wyobrażeniach i w formalizmie, najmniejszej nie przypuszczała zmiany. Naturalnym czynnikiem wewnętrznych reform powinny były być sejmy stanowe. Zasiadali w nich ludzie niezależni, z własnego doświadczenia znający stosunki, wśród których żyli, tronowi albo bardzo przychylni, albo wobec rządu bardzo potulni, nie występujący z wielkiemi roszczeniami, których skromne i po-

korne postulata rząd winien był, w własnym interesie, cierpliwie wysłuchiwać i rozpatrywać sumiennie. Biurokracya prowincyonalna nie cierpiała i takiej nawet krytyki i kontroli. Zamiast sejm prowadzić, gubernator teroryzował panów stanowych, zrażał ich niezręcznem postępowaniem, zamykał im usta i czemprędzej do domu odsyłał, a przedkładając wyżej, postulata sejmowe nie zaniedbywał opatrzyć komentarzem, dowodzącym, że instytucya niepotrzebna, może stać się szkodliwą i władzy monarszej groźną. Cesarz dbał o swoje przywileje, więc mięszania się rządzonych nie cierpiał; mając niezliczone kłopoty z sejmami węgierskimi, tembardziej lękał się podobnych trudności w innych krajach i wszelkimi sposoby znaczenie sejmów stanowych poniżał. Z tego samego powodu był mu solą w oku nasz sejm w Warszawie. „I ja mam stany u siebie, chwalił się przed Gołowkinem; pozwalam im zbierać się, ale gdy mi się naprzykrzają, daję im klapsa, albo do domu odsyłam.“ Następstwa okazały, na czem się to skończyć miało. Tymczasem sejmy wprawdzie rządowi nie zawadzały, lecz i pożytku nie przynosiły nikomu. Gdyby, jak chciał Metternich, deputaci stanów weszli byli do rady państwa, mieli w niej głos przy układaniu budżetu i stanowieniu praw, rzeczy mogły były inny wziąść obrót, sejmy prowincyonalne odzyskać należne znaczenie, rząd znalazł byłby sposób kontrolowania urzędników, źródło lepszych informacyi, podporę w konserwatywnych warstwach ludności. Lecz projekt Metternicha spoczął w archiwach, wszystko po dawnemu zostało i coraz bardziej ku zgrzybiałości i upadkowi się chyliło. Czekając rozstrzygnięcia zasadniczej kwestyi, zanadto może zrażony przewłoką i biernością monarchy, Metternich coraz rzadziej i pobieżniej dotykał wewnętrznej polityki, którą nikt prócz niego się nie zajmował, bo, począwsy od cesarza, wszyscy odrabiali tylko urzędową pańszczyznę.

Austrya, przyjąwszy nieruchomość za dogmat i stan normalny w państwie, układała się do snu długiego. Z urzędu ministra spraw zagranicznych, Metternich obowiązany był czuwać, żeby zewnętrzne wypadki i wpływy tego snu nie przerywały. Kwestye międzynarodowe, załatwienia oczekujące, były podrzędnej wagi, nie zagrażały harmonii między sprzymierzeńcami; ale

w Europie wrzało jak w kotle, każdy dzień przynosił odgłosy borb między rządami i poddanymi. Nowe objawy postępów ducha wywrotu, których gabinet wiedeński niemym widzem pozostać nie mógł, ze względu na wewnętrzne położenie Austryi, na posiadłości włoskie i polskie, na stanowisko w Rzeszy niemieckiej. Domowe stosunki austryackie postawiły Metternicha w fałszywej pozycyi, na pochyłości wiodącej stopniowo do roli naczelnego policyanta Europy, która mu nałożyła jeszcze prędzej niezaradność rządów, nieumiejących uśmierzyć kłótni z poddanymi, podołać wichrzeniom sekt religijnych i tajnych towarzystw, nadużyciem słowa i druku, moralnemu nieładowi umysłów i materyalnym nieporządkom. (C. d. n.)

Henryk Lisicki.

NEUENBURG W KURLANDYI.

Są mury, które stoją wieki, cegła z nich nie wypadnie, kamień do nich nie przyrośnie; patrzą one na wiele pokoleń nieruchome — niezmienne.

Do takich obecnie już nader rzadkich gmachów należy zamek Neuenburg, wzniesiony na samym początku XIV. stulecia w dzisiejszym powiecie tukumskim, należącym do jednej z najżyzniejszych okolic Kurlandyi. Okolica ta odznacza się zarazem i niezwykłą rozmaitością krajobrazów; piękna a na pół dzika, choć czuć w niej wszędzie człowieka i jego pracę. Nieopodal odwiecznego zamczyska ciągnie się łańcuch wzgórz wyniosłych, zwanych po niemiecku *die Galgenberge*, po łotewsku *Kartawukalni*, co znaczy „góry szubienic“ — i rzeczywiście ongi wznosiły się tu groźne szubienice, na których wielu krnąbrnych krajowców kończyło żywot burzliwy, a w XIII. stuleciu stanął na szczycie tych wzgórz gród starodawny łotewski, jeszcze przed rokiem 1300 ostatecznie zburzony.

Wzgórza te, poprzerzynane licznymi parowami, pokrywają ciemne bory, złożone przeważnie z wyniosłych, śmiało ku niebu strzelających sosen. W parowach tu i owdzie błyszczą bystre potoki, których szum nadaje szczególny powab romantycznej okolicy. W niektórych jej częściach wszelkie gatunki drzew, jakie tylko klimat Kurlandyi znosi, splatają się w gąszcz leśną. Król puszczy dąb, lipa i olcha, klon, jesion, wiąz i jodła, żyją tu w zgodnem sąsiedztwie.

Okolice Neuenburga z powodu uroczego przeciwieństwa, wytworzonego przez wyniosłe wyżyny i głęboko wcznięte pa-

rowy, oraz doliny, ciemne zarośle i jasno zielone łąki, odznaczają się niezwykłą malowniczością, dodającą niemało uroku odwiecznemu zamkowi, wzniesionemu już w roku 1301 przez prowincyonalnego mistrza inflanckich Krzyżaków, Gotfryda Roggę. Przetrwał więc ten niemy świadek starodawnego rycerstwa niemal sześć stuleci nie zmieniając postaci, a i dziś jeszcze zdumiewa siłą i mocą. Niezwykle mocne mury i baszty, silne krzyżowe sklepienia, podtrzymujące część dolną, nadają czworobocznemu gmachowi charakter poważny i surowy. Braknie mu wszelako owych pięknych form ostrołukowych, do których oko wędrowca w tym kraju poniekąd nawykło.

Wnętrze zamku dotąd najstaranniej utrzymane i całkowicie zamieszkałe; sklepienia wielkiej sali zamkowej pokrywają bogate sztukaterye, oraz malowidła z mitologii greckiej wzięte, a rzeźby drewniane, przedstawiajace najrozmaitsze sceny myśliwskie, zdobią prastary strop głównej wieży [1].

Historya Neuenburgu od wzniesienia zamku 1301 roku, aż do końca inflancko-krzyżackiego zakonu 1562 roku, ginie w pomroce wieków, odtąd zaś zlewa się całkowicie z dziejami starodawnego rodu von der Recke. Na początku XVI. stulecia należał Neuenburg do rozległej komturyi dobleńskiej, miał znaczną załogę i służył częstokroć za miejsce wypoczynku zasłużonym dygnitarzom zakonu krzyżackiego.

Przedostatni komtur dobleński Ewert de Schueren już od roku 1545 zamieszkiwał zamek, a w roku 1548 założył wieczystą predykaturę przy miejscowym kościele. W tym celu złożył sumę wynosząca tysiąc pięćset marek ryskich. Fundacyą uroczyście potwierdził mistrz prowincyonalny Herman de Brüggeney przydomku Hazenkamp.

Ostatnim komturom dobleńskim, zawiadującym równocześnie i zamkiem neuenburskim, był znany powszechnie Thiesse von der

[1] Ciekawe rzeźby wieżowego sufitu oddaje wybornie tablica XVII. słynnego dzieła, którego tytuł całkowicie przytaczamy: *Constantin Graf von der Recke-Volmerstein* und *Otto Baron von der Recke*. „Geschichte der Herren von der Recke mit 14 Illustrationen.“ Breslau, 1878 in 4⁰ majori, stronnic 420, oprócz licznych dodatków i tablic.

Recke, posiadający w Westfalii dziedziczną majętność Uentrop. To też dumny rycerz pisywał się stale „wolnym panem na Uentropie“ (freier Herr zu Uentrop in Westphalen).

Ten możny współzawodnik Gotarda Kettlera, co równocześnie z nim dobijał się o zaszczytną posadę prowincyonalnego mistrza zakonu inflanckiego, wymógł na Gotardzie w dniu 10 kwietnia roku 1560 w Dyamencie obietnicę, że ten, gdy otrzyma od króla polskiego Zygmunta Augusta wszystkie ziemie zakonne na prawie lenno-wieczystem, wyrobi mu prawa dziedziczne na zamki: dobleński, neuenburski, grenchofski i inne, należące niegdyś do odwiecznej komturyi dobleńskiej.

Ponieważ zaś, jak powszechnie wiadomo, nie wszystkie ziemie byłego zakonu inflanckiego, ale tylko sama Kurlandya przez Zygmunta Augusta Kettlerowi wieczyście nadaną została, nie czuł się więc on obowiązanym ustępować ostatniemu komturowi dobleńskiemu: ani warownego zamku Dobleny, ani też należących doń dóbr i zamków: neuenburskiego, hofcumberskiego, auceńskiego i grenchofskiego.

Hardy wszakże komtur, ufając sile obronnego zamku, ani myślał o poddaniu się nowo-kreowanej władzy książęcej Gotarda i przez lat kilka utrzymywał się stale w jego posiadaniu, aż nakoniec, w dniu 27 sierpnia roku 1566, gdy się do swych posiadłości westfalskich wybierał, nieopodal wsi Kruszkaln ujętym został w niewolę przez księcia Kurlandyi, pomimo że był zaopatrzonym w tak zwany *salvus conductus,* w imieniu króla Zygmunta Augusta wydany.

Gotard osadził go w więzieniu najprzód w Mitawie a następnie w warownym zamku Hofcumberge[1]. Ugodę z Gotardem w Hofcumberge w roku 1575 zawartą, jako przymuszoną, odwołał uroczyście Recke i dopiero w dniu 18 lutego 1576 roku przyszło do trwałej zgody pomiędzy nim a Gotardem, pod tym wszakże warunkiem, że książe kurlandzki mu ustąpi wszystkich dóbr neuenburskich, które wraz z zamkiem tegoż imienia dotąd pozostają w dziedzicznej posiadłości starodawnego rodu von der

[1] Porównaj „słownik geograficzny ziem polskich“ Warszawa 1882, tom III., str. 92, artykuł *Hofcumberge.*

Recke. Przytem hardy ten komtur zdołał sobie wyrobić takie stanowisko, że już jedynie od króla polskiego, a nie od księcia Kurlandyi, miał być zależnym.

Za to nietylko on, ale i ród jego niejednokrotne dawali dowody wierności Rzeczypospolitej polskiej.

Pierwszy dziedzic Neuenburga Thiess von der Recke umiera w roku 1580, pozostawiając dwóch małoletnich synów, Dydryka i Matyasza, z których starszy Dydryk odziedzicza po nim dobra Uentrop w Westfalii, a młodszy Matyasz, obszerny okrąg neuenburski wraz ze starożytnym zamkiem tegoż imienia.

Jakkolwiek następnie wiele przyległości neuenburskich stopniowo poprzechodziło w inne ręce skutkiem połączenia się córek tego starodawnego domu z najrozmaitszymi rodami kurlandzkimi, sam atoli zamek i przynależne doń główne dobra od przeszło trzech stuleci pozostają stale w linii Matyasza von der Recke, który, jak wiadomo, niezatartemi głoskami zapisał swe imię na jednej z najpiękniejszych kart dziejów polskich, na karcie opisującej cuda waleczności i znajomości sztuki wojennej nieśmiertelnego Jana Karola Chodkiewicza i dzielnych jego hufców [1].

I któż z Polaków nie przypomni sobie z prawdziwą rozkoszą i chlubą, że w wiekopomnej bitwie pod Kirchholmem, głośnej na całym świecie, Szwedzi przeważni liczbą, pewni już byli zwycięstwa, gdy wierny lennik Polski, młody książe kurlandzki Fry-

---

[1] Biblioteka miejska w Rydze posiada rzadki już dzisaj łaciński szczegółowy opis bitwy pod Kirchholmem, zajmujący 10 arkuszy in 4°, a noszący tytuł: „Carolomachia: qua felix victoria, ope divina, auspiciis serenissimi et potentissimi Sigismundi III., Poloniae et Sueciae regis, magni Lithuaniae ducis etc., etc., per illustrissimum D. Joan. Car. Chodkievicium comitem in Szkłow et Bychow etc. etc. de Carolo, duce Sudermanniae S. R. M. perduelli V. Kalend. Octob. A. D. 1605 in Livonia, sub Kirkholm reportata, narratur. Serenissimo principi Vladislao a Christophoro Zawisza in alma Vilnensi academia S. J. studioso, d. d.“ (Vilnae, typis academicis, A. D. MDCVI). Niektórzy uczeni przypisują utwór powyższy księdzu Jezuicie Wawrzyńcowi Boyerowi, nauczycielowi Krzysztofa Zawiszy (późn. wojewody mińskiego), gdyż istotnie trudno przypuścić, aby młodziuchny student tak mógł władać piórem. Zwycięstwo to pod Kirchholmem, głośne po całym świecie, wyrył Thum na miedzi; we Flandryi tkano je w bławatach.

dryk z zastępem 300 jeźdźców, złożonym wyłącznie z młodzieży należącej do najstarszej szlachty kurlandzkiej, zjawił się niespodzianie na lewym brzegu Dźwiny, przeszedł wpław rzekę i uderzył z tyłu na nieprzyjaciela. Napad ten, jak wiadomo, sprawił wielki popłoch w szwedzkich szeregach i przechylił szalę zwycięstwa na naszę stronę. Stanowczej zaś klęski Szwedów o mało nie dopełniło schwytanie króla-przywłaszczyciela. Młody, niespełna trzydziestoletni dziedzic zamku neuenburskiego, Matyasz von der Recke, już Karola IX. pochwycił za ramię; lecz Henryk Wreede, poświęcając się za swego pana, stanął pomiędzy nim a dzielnym Kurlandczykiem. Otrzymał wprawdzie Wreede cios śmiertelny, ale Karol Sudermańczyk wydostał się szczęśliwie z niebezpieczeństwa. Wszakże miecz jego i kapelusz ze sznurem kosztownym, istne *spolia opima*, pozostały w ręku kurlandzkiego szlachcica, jako zwycięskie trofea, dowodzące, że miał już w ręku dostojnego jeńca. Kapelusz historyczny już dawno w zamku neuenburskim zniszczyły mole, miecz zaś dotąd stanowi najkosztowniejszy klejnot zamkowej zbrojowni, a tego klejnotu każde muzeum polskie ordynacyi Reków pozazdrościć może.

Okolice zamku głównie ozdobił ojciec teraźniejszego dziedzica dóbr neuenburskich. Wspaniałe zabudowania, otaczające starodawny zamek od strony Mitawy, nadają mu pozór małego miasta. Dwa ogrody zamkowe, tak wielki jako i mały, już w pierwszej połowie bieżącego stulecia zamieniono na prześliczne parki. Zielenieją w nich dotąd odwieczne lipy, pod których cieniem słynna Eliza von der Recke pisała niegdyś liczne a tak cenione utwory[1].

[1] Dla tych czytelników, których dzieła Elizy von der Recke bliżej obchodzić mogą, przytaczam ustęp króciuchny z książki: *Geschichte der Herren von der Recke*, wydanej przed kilkoma laty w Wrocławiu. Czytamy tam na stronnicy 310 o tej autorce: „Ueber den Werth ihrer schriftstellerischen Thätigkeit wollen wir uns jedes Uhrtheils enthalten, ebenso auch nicht die zahllosen Kritiken, Recensionen, Biographien etc. reproduciren, welche diese allgemein bekannte und bewunderte Dichterin gefunden. Ihre Werke sind selbst der reinste Spiegel ihrer Persönlichkeit und der beste Commentar zu Allem, was sich über sie sagen und empfinden lässt. Will der Leser unter den vielen Schriften, die Elisa betreffen, leichter das Beste herausfinden, so verweisen wir auf: *Tiedge*. „Anna Charlotte Dorothea, letzte Herzogin von Curland.“ Leipzig, bei Brockhaus 1823. —

W liczbie pamiątek historycznych, starannie przechowanych w zamku neuenburskim, znajdujemy cenny zbiór numismatyczny, w którym na pierwszym planie widnieją monety wybijane w roku 1549 przez mistrza inflanckiego zakonu Krzyżaków *Jana IV. v. d. Recke*, a w roku 1545 przez księcia biskupa dorpackiego *Josta v. d. Recke*.

Są tu i monety, jakie biskup paderbornski *Teodor Adolf von der Recke* w roku 1651 wybijać rozkazał.

Zbiór portretów rodzinnych całego szeregu odwiecznych dziedziców zamku neuenburskiego niemniej na uwagę zasługuje. Tu dla nas najbardziej jest ciekawym portret wspomnianego już wyżej dzielnego pułkownika (kurländischer Landhofmeister und Kriegs-Oberster) *Matyasza von der Recke*, który, jak to już mówiliśmy, w dniu 26 września r. 1605 w bitwie pod Kirchholmem wiekopomne położył zasługi.

Dobra neuenburskie w prostej linii jego potomków dotąd stale pozostają; składają one obecnie nietylko właściwe ziemie zamkowe „Schloss Neuenburg“ (po łotewsku *Jaun-pils*), które zrasza strumień tejże nazwy, ale i pięć przyległych majętności: Doroteenhof (po łotewsku *Andertes-mujża*), Neuhof (po łotewsku *Jaun-mujża*), Pławniki (po łotewsku *Plawneku-mujża*), Georgenhof (po łotewsku *Jura-mujża*) i Marienhof (po łotewsku *Maringe-mujża*).

Obszar znaczny przez nie zajmowany zaludnia 2751 mieszkańców płci obojga; ludność ta złożona przeważnie z włościan Łotyszów a w części i z niemców-mieszczan. Jak jedni, tak i drudzy są wyznania protestanckiego.

Parafia neuenburska (Kirch-spiel Neuenburg), graniczy na północ z parafią tukumską, na wschód z mitawską, na zachód z oberhauptmaństwem goldyńskiem a na południe z parafią auceńską.

Tiedge. „Elisa v. d. Recke, geb. v. Medem“ in den Zeitgenossen Nr. XI. — 76 (1818). — „La Prusse litéraire par *Denina* tome III. — *Rassmann*. „Pantheon“ pag. 261. — Conversations Lexicon XII. 607. — „Brockhaus Conversations Lexicon“, Lepzig 1830 IX. — 75. — *Schindel*. „Deutsche Schriftstellerinnen“ II. — 126. — 152. III. — 232. *Meusel's* G. T. VI. — 243, X. — 450; XV. — 109, XIX. — 261. Zajrzeć też musi bezstronny czytelnik do znanego dzieła profesora Goedecke: „Grundriss zur Geschichte der deutschen Dichtung“ Hanover 1859, Band II. pag. 1115.

Zbór parafialny neuenburski ma osobną filię w Annenhofie. W granicach tejże nader obszernej parafii istnieją oprócz tego zbory protestanckie w Blieden z filią w Szturhofie, oraz w Lesten z filią w Sztrutteln.

Do pracy naszej używaliśmy mapy dóbr neuenburskich z roku 1564 (ogłoszonej w roku 1878 na tablicy XVI. dzieła: „Geschichte der Herren von der Recke"), oraz kilku map tegoczesnych rękopiśmiennych i następujących dzieł i kompendyów:

1. *Dr. Possart* „Geographie von Kurland," Stuttgardt, 1843, pag. 288—290.
2. *Statistische Jahrbücher für Kurland,* o ile drukiem są ogłoszone.
3. *W. S. Stavenhagen.* „Album baltischer Ansichten". Mitau, 1866, Theil I. Artikel „Neuenburg."
4. *Constantin Graf von der Recke-Volmerstein* und *Otto Baron v. d. Recke.* „Geschichte der Herren von der Recke mit 14 Illustrationen," Breslau 1878, in 4⁰ majori, stronnic 420, oprócz dodatków i tablic.
5. *Gustaw Baron Manteuffel,* artykuły: Doblena Hofcumberge i Kirchholm w Słowniku geograficznym ziem polskich, wydawanym w Warszawie przez Władysława Walewskiego (Tom II. str. 63—65, Tom III. str. 91—93 i tom IV. str. 101—104), a także artykuł „O wystawie historycznej w Rydze," ogłoszony w dzienniku „Słowo" Nr. 179—194 z roku 1883.

Br. Gustaw Manteuffel.

ŚW. TOMASZ Z AKWINU
i dzisiejsza filozofia.

(Dokończenie.)

III.

Pozostaje nam jeszcze odpowiedź na drugie pytanie: Czy środek zaradczy podany przez Leona XIII., a zawarty w zwrocie do filozofii św. Tomasza, jest zdolnym do osiągnięcia zamierzonego celu.

Odpowiedź na to pytanie zawiera się w trzech punktach: jaki środek podany, jaki cel do osiągnienia, jaki między tym środkiem, a tym celem stosunek. Środkiem, który Leon XIII. przedstawia, jest filozofia św. Tomasza. Czyż to znaczy, że wyrzec się mamy zdobyczy naukowych tylu wieków, i wrócić na nowo do zbyt ciasnego kółka, w jakiem zawarta była oświata w XIII. wieku? Jak niedorzecznem byłoby twierdzić, że wówczas wiedza ludzka doszła do kulminacyjnego punktu, tak żaden rozumny człowiek, a najmniej Leon XIII., pragnąc rozkwitu wiedzy nie może zamknąć jej w ówczesnym kole. Owszem z radością uznaje Stolica Apostolska wszystko, do czego doszła wiedza przez mozolne a wytrwałe badanie w dziedzinie filologii, historyi, archeologii, a przedewszystkiem na polu badań przyrody. Rzeczywiście można tu ujrzeć kolosalny postęp, prawdziwy skarb nowo odkrytych prawd, o których wiek XIII. ze swoim św. Tomaszem nawet nie marzył. Nie wszystko zapewnie jest prawdą nieomylną, co się w dzisiejszych czasach zdobyczą nauki nazywa; ta sama wiedza,

która z takim tryumfem występuje przed nami ze swemi odkryciami, nieraz na tych samych zasadach oparta, potępia to, co wczoraj za niezbitą uznała prawdę; tego jednak zaprzeczyć nie można, że liczne prawdy, które dotychczas leżały ukryte w łonie natury, dzisiejsze badania wydobyły na jaw. Uznajemy przeto i Leon XIII. uznaje wielki postęp w naukowym świecie.

Jest jednak równie pewną, że wszystkie te prawdy li tylko na polu czysto materyalnych kwestyi i empirycznych badań odkrytemi zostały, gdy tymczasem dziedzina transcendentalnych, idealnych, czysto rozumowych badań nie może się poszczycić równie wielkim postępem. Zestawiając pisma takiego św. Tomasza z całym ogromem prac nowszych filozofów, znajdziemy u niego samego na polu transcendentalnej wiedzy daleko większą obfitość prawd, aniżeli u wszystkich nowszych filozofów razem wziętych. Czasem nowsi wstępują wprawdzie na drogę transcendentalnych badań, ale jakżeż często stawiają zdania, których proste objaśnienie już je zbija dostatecznie; otóż te liczne błędy, w które popadli nowsi, zerwawszy z tradycyami starej filozofii, mają być przez filozofię św. Tomasza usuniętymi, co więcej zupełnie wykorzenionymi.

Czyż więc scholastyka z wszystkiemi swemi subtelnościami, z całem nagromadzeniem niepotrzebnych dystynkcyi i kwestyi, które już dawno ustąpić musiały z widowni badań naukowych, ze swemi kłótniami *de lana caprina*, z całą swoją nużącą a ciężką frazeologią, ma na nowo odżyć? Czy ona ma nas popchnąć na nowe, jedynie prawdziwe tory wiedzy? Takie pytania wyrywają się z ust wielu myślicieli. Tak! Filozofia św. Tomasza ma to przywieść do skutku, jednak nie w tej wstrętnej postaci, w jakiej zwykle ją przedstawiają. Dlatego to Leon XIII. nie podał scholastyki w ogóle za środek zaradczy, ale w szczególności scholastyczną filozofię św. Tomasza. Kto wczytał się w jego dzieła i wniknął w ich ducha, ten wie, że zarzuty, jakiemi słusznie niejednego z dawnych scholastyków obarczają, nie tyczą się bynajmniej Anioła szkoły. U niego nie znajdziesz czczej igraszki słów, ani marnego popisywania się z dowcipem; tu tylko głębie, do których zstępuje jego geniusz, i wysokości, na które się wznosi, by wszystkie tajniki prawdy transcendentalnej, o ile

możność ludzka na to pozwala, wyświecić i uzasadnić. Nie spotkasz u niego drobnostkowych dystynkcyi, nieobjaśniających, ale zaciemniających tylko sporne kwestye; gdzie tylko z dystynkcyą wystąpi, tam zawsze ma na oku rozróżnienie rzeczywistej prawdy od fałszu przybranego w pozory prawdy.

Ma i św. Tomasz kwestye, które dziś już ustąpiły z pola naukowego, a może nawet podnoszonemi być nie mogą; ale i w tych kwestyach tkwi myśl zasadnicza, która i dziś w nowszych badaniach służyćby mogła za gwiazdę, przewodniczkę wiedzy. Oprócz tego odpowiada na dość sporą liczbę pytań, które dziś z wielką szkodą wiedzy, zupełnie wykluczonemi zostały z jej dziedziny. Co się zaś tyczy sposobu wyrażania św. Tomasza, ktokolwiek zna jego naukową terminologię, oddaje świadectwo niezrównanej jasności Doktora Anielskiego. Sama zaś terminologia jak w każdej gałęzi wiedzy, tak przedewszystkiem w dziedzinie filozofii musi być odrębną i dla profanów nie odrazu zrozumiałą.

Czyż więc mamy przyjąć w pokorze system św. Tomasza, jakby w nim nauka doszła do swego zenitu, ponad który już się wyżej wznieść nie jest w stanie? I to nie jest myślą Leona XIII., jak to ze słów jego wynika. „I nauki przyrodnicze, które dziś tak popłacają, i wspaniałemi swemi odkryciami w zdumienie wszystkich myślicieli wprawiają, z powrotem do dawnej filozofii nietylko nic nie utracą, ale wielką odniosą korzyść. Do rozwoju ich bowiem nie przyczynia się samo zestawianie zjawisk i zastanawianie się nad przyrodą. Ze stałości bowiem i niezmienności zjawisk, trzeba się wznosić do poznawania wewnętrznego ustroju ciał, trzeba badać ich prawa, którym podlegają, wykrywać przyczyny zjawisk, od których zawisła jedność w różności. Na wszystkie te pytania scholastyczna filozofia może wiele rzucić światła, jeżeli tylko wdroży się umysł w sferę jej pojęć.“ Zaleca więc Ojciec św. by się nie ograniczać na samych tylko zjawiskach, ale stąd brać inicyatywę do badania natury i istoty rzeczy, które nie są bezpośrednim przedmiotem zjawisk. Starzy włączali te zagadnienia w zakres „metafizyki,“ podczas gdy zjawiska same i wynikająca stąd wiedza stanowiły tło „fizyki.“

Nowsi zwykli nazywać tę gałęź filozofii, transcendentalną. To wstąpienie nauk w metafizyczną lub transcendentalną dzie-

dzinę, jest ostatecznem ich wykończeniem i udoskonaleniem, a filozof w ścisłem tego słowa znaczeniu wnikający wyłącznie w istotę rzeczy i ich przyczyny ma niezaprzeczone prawo do włączenia wszystkich tych metafizycznych rezultatów w swój zakres i w swój system. Kiedy więc Ojciec św. spodziewa się daleko większego rozwoju wiedzy na tem filozoficznem polu, przez przyzwanie na pomoc filozofii św. Tomasza, to z pewnością ma na oku i sam rozwój tejże filozofii przez nowsze zdobycze wiedzy. Suma bowiem prawd wynikająca z połączenia tych dwóch kierunków wiedzy, należy się nowszym naukom, i jest niezaprzeczenie niepoślednią częścią samej filozofii.

Byłoby to zanadto nieroztropnem mniemaniem, które i w głowach scholastyków trzymających się bezwzględnie starej filozofii, na chwilę powstać nie powinno, że rzeczona filozofia doszła już do ostatecznych krańców doskonałości. Jak bowiem Melchior Kanus scholastykę o całą gałęź wiedzy wzbogacił, gdy w dziele swojem *de locis theologicis* teologiczną metodę dowodzenia, przedtem praktycznie przez Ojców Kościoła i scholastyków wyznawaną, podciągnął pod formuły naukowe; tak też i po dziś dzień z pewnością przez nowsze nauki filozofia scholastyczna wiele zyskać może. Każdy, który tylko zna zakres prawd dawnej filozofii, chętnie się na to zgodzi. Jest tam wiele jeszcze kwestyj, które dostatecznie nie zostały zbadane, lub rozwinięte; jak Kanus przysłużył się wiedzy teologicznej, tak można podobną usługę oddać nauce o naszem rozumowem poznawaniu (o co już niektórzy się pokusili), zbadać źródła, z których rozum wiedzę swą czerpie, wykazać przyczyny błędów, wyświecić ostateczną normę, czyli kryterium prawdy. Tak samo dział etyki i prawa naturalnego w scholastycznej filozofii nie jest jeszcze dostatecznie opracowany. Są i inne jeszcze kwestye, które scholastycy dość skrzętnie opracowywali, do których jednak wykończenia nowsze badania znacznie przyczynić się mogą. Tak n. p. wewnętrzna istota ciał i ich sił wiele zyskać może z rezultatów chemii nowoczesnej, powstawanie zmysłowych wrażeń z tak licznych badań dzisiejszej psychologii, nauka o stworzeniu z ustawicznie wzrastających i mnożących się odkryć paleontologicznych i geologicznych. Nie mniej światła mogą rzucić na objaśnienie i uzasadnienie prawd

wynalazki dzisiejszej fizyki i t. d. A zatem, gdy Encyklika nam mówi, że mamy powrócić do nauki św. Tomasza, to nie znaczy że mamy doktrynę XIII. wieku przyjąć jako absolutnie doskonałą, ale że zamieszanie i obłęd dzisiejszej filozofii, wynika z zerwania zupełnego z dawną; że odrzucono bogatą spuściznę wiekowej pracy, a szukając nowych zupełnie torów, puszczono się na fałszywe; żeby więc wyjść z tego obłędu i zamieszania, wrócić trzeba do zasad starej filozofii, sformułowanej przez św. Tomasza, a stamtąd dopiero rozpocząć dalszą budowę. Do tej budowy podają obfity materyał z taką skrzętnością i niezmordowaną pracą uprawiane nauki doświadczalne. Ba! nawet same błędne drogi, po których chodziła dotychczas filozofia, dla postępu nauk nie są bez korzyści. Jeżeli ktoś do pewnego celu zmierzając, zejdzie z prawdziwej drogi, i zbłąka się na bezdrożach, wtedy najprostszy środek do wyjścia z błędnej drogi w tem się zawiera, by wrócił do punktu, z którego rozchodzi się prawdziwa i błędna droga. Leon XIII. wskazuje nam to miejsce rozstajnych dróg, a jest niem filozofia św. Tomasza, filozofia jeszcze niezamącona niedostatkami i przesadami, w jakie popadła późniejsza scholastyka w czasie swego przekwitu, a tem więcej oddalona od zasadniczych błędów i fałszywych teoryi, w jakich nowożytne szkoły ugrzęzły. Ten zaś powrót do filozofii św. Tomasza nie ma być martwem zasklepieniem się w jego pryncypiach, wyniszczającem dalszy rozwój wiedzy, ale zaczerpnięciem ożywczej siły, tryskającej z jego zasad, i dodającej odwagi i mocy do dalszej pewnej i trwałej budowy z materyału, przez nowszych badaczów tak obficie dostarczonego.

Taki jest podany od Papieża środek zaradczy; jakiż cel ma się tym środkiem osiągnąć?

Cel najbliższy i bezpośredni, do którego zmierza Ojciec św. jest naprawienie filozofii *ab imis fundamentis*. Naprawa ta nowszej filozofii przez oparcie się na nauce św. Tomasza, ma na oku potrójne dobro: Obronę i winne uszanowanie wiary, pomyślność społeczeństwa ludzkiego i rozwój wszech nauk. „Napominamy was najusilniej, Czcigodni Bracia, mówi Leon XIII. w swej Encyklice, ażebyście dla obrony i chwały katolickiej wiary, dla pomyślności ludzkiego społeczeństwa, i dla wzrostu wszystkich nauk,

przywrócili złotą mądrość św. Tomasza, i według możności ją rozkrzewiali". Duchowy gmach nowej filozofii trzeba rozwalić; fundamenta są słabe i wiotkie, ponieważ błąd w nich lub jednostronna prawda z błędem jest zmięszana a niezliczona ilość kamieni, do tej budowy wziętych, równie jest słabą, bo błędem zarażoną. Dawne fundamenta chrześcijańskiej filozofii trzeba znów odgrzebać, by na nich dalej budować; kamienie, które przystają do dawnych fundamentów, mają po ociosaniu do niej być użyte, co zaś nie zgadza się z niemi, ma być po prostu odrzuconem i tak ma powstać nowy gmach, twierdza broniąca wiary, ochraniająca społeczeństwo od szkodliwych wpływów, punkt środkowy gwarantujący rozwój wiedzy.

Obrona i cześć dla wiary, oto pierwsza rzecz, która ma być osiągniętą. Filozofia żadnemu z artykułów wiary nie przepuściła. Tajemnicę Trójcy przenajświętszej odrzucono ze stanowiska matematyki, tajemnicę Ołtarza ze względu na fizykę, stworzenie świata na rzekome wymaganie geologii i paleontologii, nawet nieśmiertelność duszy zaprzeczono, jako niezgodną z wynalazkami nowszej fizyologii. Gdzie nie było pod ręką nauki do przeciwstawienia wierze, tam starano się wykazać sprzeczność w postulatach chrześcijańskiej nauki; tak postąpiono sobie z nauką o Odkupieniu rodzaju ludzkiego, z nauką o łasce i o upadku człowieka, i karze za upadkiem idącej. Nie dosyć mając na tem zwalczaniu poszczególnych wiary artykułów, filozofia uderzyła szturmem na same podstawy i principia wiary. Ponieważ wiara supponuje przekonanie o istnieniu Boga ponadświatowego, który może stworzeniu udzielić ze skarbnic swej prawdy, dlatego okrzyczano to przekonanie jako niedorzeczność; raz nauczano, że nie ma Boga pozaświatowego, to znów co nazywamy światem i przyrodą, wystawiono jako Boga samego, rozwijającego się w postępowym pochodzie. Inni, zapewnie szczersi, zaprzeczyli bez ogródki istnienie Boga, a uznali wyłącznie naturę, po za którą i po nad którą nic nie istnieje. Zaprzeczono też konsekwentnie możliwość nadprzyrodzonych prawd, i również konsekwentnie orzeczono, że rozum ludzki sam sobie wystarcza i wrodzoną swą bystrością dotrzeć może do ostatecznych krańców wszelkiej prawdy. Dalej, by wyłamać się z pod prawa wiary, targnięto się na dowody, któ-

remi Bóg swe objawienie uwierzytelnia przed ludzkością, na cuda i proroctwa. Wezwano na pomoc wszelką istniejącą wiedzę, by tylko dowieść, że cuda i proroctwa są niemożliwemi.

Nie brakło i takich filozofów, którzy zamiast wystąpić z bronią argumentów przeciw wierze, obrali sobie krótszą ale wygodniejszą drogę ironii i sarkazmu. Wystawiali tajemnice wiary na śmiech i urągowisko pospólstwa, a że do tysiąca dusz prędzej trafia ten sposób oppugnowania wiary, aniżeli wrzekomo naukowe argumenta, dlatego też całe masy ludu dały się uwieść lekceważeniu i natrząsaniu z wiary i odpadły od Kościoła. Tak n. p. Wolter przez swoje sarkastyczne naigrawanie się z wiary daleko więcej uwiódł umysłów aniżeli ciężko uczeni encyklopedyści swojemi napuszonemi argumentacyami.

Prawo restytucyi ciąży więc na filozofii, musi przeto wrócić tę cześć religii, którą jej wydarła. Co filozofia w pierwszych wiekach chrześcijaństwa uczyniła dla wiary, gdy ją uprawiali apologeci, to i dziś ma filozofia przywieść do skutku. O takiej filozofii wyraził się św Augustyn: „Tej wiedzy zadaniem jest wiarę rodzić i wzmacniać“ [1], Filozofia r o d z i w i a r ę, t. j. obok łaski, która w sercu jako pierwszorzędna przyczyna wiary działa, występuje i filozofia z naukowem przekonaniem, dotyczącym przesłanek wiary; okazuje nam rozumowo istnienie jednego Boga, który może się objawić rozumnemu stworzeniu, i dowodzi faktu Objawienia, przedstawiając mądrość i prawdomówność boską, i wskazując na boskie uwierzytelnienie objawienia przez cuda i różne znaki. Filozofia k a r m i wiarę, jak bowiem pokarm żyjącym istotom udziela wzrostu i rozwoju, tak i prawdziwa filozofia przyczynia się ze swej strony do wzrostu i rozwoju wiary. Umysł filozoficznie wykształcony jest zdolnym do porównywania i zestawienia między sobą tajemnic wiary, a przez logiczne wnioski wyprowadza coraz to nowsze prawdy w powyższych jakby w nasieniu włącznie *implicite* zawarte.

Filozofia b r o n i wiary „zbijając zarzuty przeciwko niej podnoszone, okazując zarazem niewierzącym jak nierozsądnie

---

[1] *Huic scientiae tribuitur illud, quod fides saluberrima gignitur nutritur, defenditur et roboratur*“. De Trinit. lib. 14 n. 1.

przeciw wierze występują[1]." To zaś filozofia może uskutecznić albo bezpośrednio, okazując błahość zarzutów, albo pośrednio, wyświecając skażone źródło powątpiewań przeciw prawdom nadprzyrodzonym wznoszonych, i podnosząc nierozsądne mierzenie nieskończonej prawdy bożej skończonym i zewsząd ograniczonym rozumem ludzkim.

Wreszcie filozofia umacnia wiarę, t. j. umacnia ją w nas samych, raz okazując nam umiejętną wartość dowodów teologicznych, drugi raz oświecając je światłem prawd przyrodzonych spowinowaconych z nadprzyrodzonemi, ażeby je więcej i głębiej w nas wpoić; takie bowiem analogiczne wyjaśnianie prawdy nadprzyrodzonej zrozumialszą ją czyni, choć zasłony tajemnicy ostatecznie z niej nie zdejmuje[2]. Przedewszystkiem zaś filozofia ma nas umocnić w wierze, wdrażając nas w zrozumienie tajemnic, o ile się tylko to da do skutku przywieść. Filozofia, jeżeli tylko idzie za światłem rozumu, nie sprzeciwia się nigdy wierze, bo jedna i druga pochodzi z tego samego źródła, z nieskończonej mądrości bożej, tak jak i wiara prawdom rozumowym nigdy nie stoi w drodze. „Niech tego rodzaju mniemanie, mówi św. Augustyn, dalekiem będzie od nas, jakoby Bóg szczególniej w nas nienawidził tej zalety, rozumu, przez który nas z pośród innych tworów żyjących wyszczególnił. Niech będzie dalekiem od nas to przypuszczenie, że wiara wyniszcza w nas rozum, ponieważ nawet wiary miećbyśmy nie mogli, gdybyśmy rozumnych nie mieli dusz. W niektórych artykułach wiary, których obecnie nie rozumiemy, ale które kiedyś pojmiemy, wiara uprzedza w nas zrozumienie prawdy, ażeby tym sposobem przygotować nas do przyjęcia światła gruntowniejszego zrozumienia. Stądto prorok pański słusznie powiedział: „Jeżeli mu nie uwierzycie, nie zrozumiecie[3]."

Obrona wiary jest tedy pierwszym owocem, którego się Ojciec św. z odnowienia filozofii spodziewa; pomyślność społeczeństwa ludzkiego to drugie jej zadanie. Że filozofia pierwszo-

[1] Anselm. lib. 2. ep. 41.
[2] Św. Tom. Contr. Gent. l. I. c. 8.
[3] Do Konsent. list. 120. n. 3.

rzędnie przyczynić się do tego może, temu nikt nie jest w stanie zaprzeczyć. Zasady tryskające z różnych prądów filozoficznych wniknęły we wszystkie warstwy społeczeństwa ludzkiego, i wywołały w nich ten sam kierunek, który w samychże systematach był ześrodkowanym. Racyonalizm z katedr profesorskich głoszony przekształcił się w niewiarę u ludu, panteizm teologów zmienił się w gruby ateizm, w którym nawet niewykształcony umysł dziwnie się lubuje. Socyalizm uczonych przyjęła z oklaskiem klasa robotnicza jako komunizm. Rozkrzewiana przez filozofię wolność i równość wyrodziła się na wyuzdaną swawolę, uznającą wolność tylko dla niewiary, dla innych zaś przekonań mająca na zawołanie wszelkie środki uciemiężania i tyranii. Że powszechnie przebija się chętka do używania, co więcej, że epikureizm uważają za konieczność, umiarkowanie i wstrzemięźliwość za głupstwo — wszystko to zawdzięcza ludzkość filozofii sensualistów. Zdarzyło się filozofom to, co opowiadają o jakimś nieszczęśliwym czarowniku, który zaklął duchy i na scenę wywołał, ale odwołać ich nie był w stanie.

Musi więc filozofia ze swej strony przyłożyć rękę do naprawienia tej szkody, którą wyrządziła. Postarać się winna o nowe zdrowe zasady, na którychby oparła nowy porządek moralny i społeczny. Prawa obyczajowe muszą wystąpić przeciw prawom namiętności, prawa ludzkie muszą ustąpić prawom bożym. Powaga musi znowu na ziemi w nadnaturalnej stanąć aureoli, prawo własności święcie być poważanem. Małżeństwo i wychowywanie dzieci nie mają być więcej ofiarami bożka państwa, odartemi z religijnego charakteru. Oto cel, do którego także zmierzać powinna filozofia! Nie będzie to dziełem lat kilku, ale jak nad rozkrzewieniem zgubnych zasad filozofia wieki całe pracowała, tak i nad wykorzenieniem ich zarówno wieki mozolnej poświęcić będzie musiała pracy. Ale rozpocząć dzieło odrodzenia ludzkości musi jak najrychlej.

Trzecie dobro, które filozofia ma osiągnąć, to prawdziwy a nie pozorny tylko rozwój nauk. Lecz w czemże katolicka filozofia może się przyczynić do ich rozkwitu? Zwykły to zarzut, który podnoszą przeciw Kościołowi katolickiemu, że krępuje

i ubezwładnia wszelkie badania, a że wolność i swoboda niezbędnym jest warunkiem do badań naukowych, dlatego nigdy się nie udadzą pod zwierzchnictwem Kościoła.

Ażeby z tego rodzaju zarzutem wystąpić, trzeba już poprzednio mieć przekonanie, że chrześcijanizm i katolicyzm na błędnej są drodze. Póki bowiem objawioną religię jako taką z winną czcią przyjmujemy, póki przyznajemy nauczycielstwu Kościoła posłannictwo i strzeżenie nauki objawionej w całej swej czystości i nieskazitelności, dopóty tego rodzaju zarzut jest niesprawiedliwym. Jeżeli objawiona religia rzeczywiście istnieje, to i zasady jej i nauki nie mogą się sprzeciwiać prawdziwej wiedzy, bo pochodzą z nieskażonego źródła prawdy bożej. Gdy przeto wiedza w swych badaniach dojdzie do jakich rezultatów niezgadzających się z objawieniem, wtedy winni przedstawiciele rzeczonej nauki wyznać: Ponieważ Bóg w nauce swej jest nieomylnym, my więc w naszych badaniach błąd popełniliśmy.

Jeżeli z zapewnieniem szczególniejszej pomocy Ducha św. istnieje w Kościele od Boga postanowiony urząd nauczycielski, któremu Bóg powierzył czuwanie nad nauką w Kościele wyznawaną, wtedy ma zarazem prawo przeciwstawiania prawdy objawionej rezultatom badań naukowych, niezgadzających się z objawieniem, i wypowiedzieć im śmiało na mocy urzędu swego: Rezultat badań waszych jest błędem, i wy w waszych badaniach rozminęliście się z prawdą. Niech wiedza na swych skrzydłach wznosi się jak najwyżej, ale jeżeli stanie w sprzeczności z objawioną prawdą, niech spuści skrzydła, bo uporne obstawanie za taką pozorną zdobyczą, popchnie ją w bezdeń błędu i fałszu. Filozofia odpowiadająca nauce katolickiej nie wytępia rdzenia prawdziwych naukowych badań, ale je tylko rozwija, zarzuca tylko pęta na swawolę błędu. Przez ten niby negatywny wpływ wiary i harmonizującej z wiarą filozofii zapewnia się pozytywny rozwój nauce. Czyż nie jest daleko pewniejszym postęp na drodze prawdy, kiedy kilka dróg się zamyka z ostrzegającym napisem: błędne drogi?

Nasuwa się tu zarzut, że nauki właśnie w ostatniem stuleciu i to w ostatnich jego lat dziesiątkach tak wspaniale się roz-

winęły, a przecież od wiary i od katolickiej filozofii nigdy tak się nie oddaliły jak obecnie.

Dalekim jestem od przeczenia prawdziwemu postępowi wiedzy, ale o czem raz już wspomniałem, i co wypowiadają koryfeusze pozytywizmu, rozwój rzeczony tyczył się wiedzy w czysto materyalnej dziedzinie z wykluczeniem sfery prawd umysłowych. Filozofia doszła do tego, że ograniczyła się na świecie zmysłowym; prawdy zaś nadzmysłowe, albo wprost zaprzeczyła, albo skeptyczne co do nich wypowiedziała: *Ignorabimus.* Aliści ograniczanie się na samych zjawiskach — co pozytywizm dzisiejszy za jedyną prawdziwą wiedzę ogłasza — nie jest nawet wiedzą w ścisłem i umiejętnem znaczeniu. Jeżeli sumę doświadczeń, zestawianie i rozkład zjawisk, nazwiemy wiedzą, to wyznać musimy, że to dopiero wiedza początkujących. Prawdziwi zaś uczeni spotykając się oko w oko z prawami życia i ruchu, nie zatrzymują się przy nich, ale rwią się coraz wyżej, sięgają coraz głębiej aż do wnętrza istoty rzeczy, nie ograniczają się na zewnętrznych badaniach, ale wnikają w przyczyny i powód zjawisk. *Ascensus ad causas supremas et ultimas* było zawsze hasłem prawdziwie gruntownej wiedzy. Do tego sposobu traktowania rzeczy niezbędnym środkiem jest zdrowa, wytrawna filozofia. Jak bowiem wprawne oko badacza z łatwością dostrzega zjawiska, które usuwają się przed zwykłem okiem profana, tak też i filozof, którego przedmiotem prac jest wnikanie w ostatnie przyczyny wszelkiego bytu, daleko większej wprawy nabędzie w tej mierze.

Zdrowa przeto filozofia, na gruntownych oparta zasadach, zapewnia prawdziwy rozwój wiedzy, azatem słowo papieża i w tej materyi jest pełnem znaczenia i doniosłości.

Przystępuję wreszcie do ostatniego pytania, czy filozofia św. Tomasza może nam dać dostateczną rękojmię, że jest zdolną doprowadzić nas do tego potrójnego celu?

Co się tyczy obrony wiary, to nie podlega najmniejszej wątpliwości. Dowodem tego jest samo powstanie scholastycznej filozofii, która według Leona XIII., skupiła się w filozoficznej obronie prawd chrześcijańskich. Rozwinęli już tę obronę Ojcowie Kościoła a scholastycy dopiero według metody Arystotelesa ujęli ją w systematyczną całość. Dowodem tego także pobieżny rzut oka na

przedmioty traktowane przez św. Tomasza. Niema tam najmniejszej kwestyi, któraby się nie odnosiłała do wyświecenia wiary. A wszystkie odcienia błędów nowszej nawet filozofii są już tam z góry zwalczone.

Racyonalizm i materyalizm, te prądy dzisiejsze, grożące pochłonięciem prawd wiary, według zasad św. Tomasza, są niedorzecznością. Jak racyonalizm jedną tylko sferę prawd przyjmuje, które rozum ludzki dostatecznie rozwinięty wrodzonem swem światłem pojąć może, tak znowu św. Tomasz dwojaki rodzaj prawd rozróżnia, prawdy, które rozum pojąć może i prawdy, po nad rozum sięgające, które tylko rozum boży pojmuje.

Jednak i te prawdy dla rozumu ludzkiego przystępniejszemi się stają przez objawienie, które lubo nie może doprowadzić nas do zupełnego ich zrozumienia, rozjaśnia jednak i wzbogaca umysł daleko wyższem i doskonalszem ich pojęciem. Nauki przedwstępne, torujące drogę do takiej rozumowej wiary, badają jej fundamenta, przekonując nas o rzeczywistem ich istnieniu, o nieomylnej ich prawdzie, o ich sile niczem niezachwianej. Probierze boskiego objawienia, proroctwa i cuda, przepuszczone przez przetak surowej krytyki, zwycięzko z niej wychodzą jako prawdziwe żelazne listy boskiego posłannictwa. Same nawet prawdy objawione podlegają analizie rozumu, z której dwojaki wypływa rezultat: najprzód, że rozum przeciw tajemnicom wiary nie może postawić żadnego niezbitego dowodu, a zatem, że pewność samego faktu objawienia w niczem zachwiać, ani nadwerężyć się nie da; a możnaby o samym fakcie objawienia wątpić, gdyby rozum mógł w jego tajemnicach jakąkolwiek sprzeczność wykazać. Powtóre drogą analizy rozumowej przychodzimy do przekonania, że umysł nasz nawet o tajemnicach objawienia może utworzyć sobie pojęcie, jakkolwiek niedokładne i niedoskonałe, przecież niefałszywe, ani błędne. Rozum bowiem czerpie swe wiadomości z poznawania rzeczy stworzonych, a cały wszechświat w każdym pyłku i w każdym atomie nosi piętno Boskiego Mistrza swego. Przyroda jest zwierciadłem, z którego tysiącem promieni tryska ku nam obraz Stworzyciela. Rozum chwyta te rozprysłe promienie, zlewa je w jedną całość i tak tworzy sobie obraz Stwórcy, choć w zarysach i w analogicznem

tylko podobieństwie. Taką jest nauka św. Tomasza, zawarta przeważnie w filozoficznej jego sumie *contra Gentes*.

W summie teologicznej na wielu miejscach te same znajdujemy poglądy. *Quaestiones disputatae de veritate,* a w szczególności qu. 14, komentarz do dzieła Boecyusza *de Trinitate,* oraz wiele ustępów z komentarza do sentencyi Lombarda, są świetnym szeregiem dowodów, odpierających zarzuty i teorye racyonalizmu. Również i materyalizm nie byłby może odrodził się na nowo, gdyby dawnej filozofii nie zakopano w pyle zapomnienia. W 17. tomach *in folio* dzieł św. Tomasza nie ma prawie stronnicy, na którejby jakiś błąd materyalistów nie był wytknięty i dosadnie odrzucony. Umiejętna teorya Anielskiego Doktora o powstawaniu w nas intellektualnych pojęć, toruje drogę między skrajnemi doktrynami idealizmu i materyalizmu, i błędy obydwóch uchyla.

Właśnie ta kwestya była zawiązkiem wszystkich błędów nowszej filozofii. Dawni też nominaliści w tym względzie zboczyli z drogi prawdziwej. Kant, choć szczerze szukał prawdy, na tym punkcie również fałszywy wskazał kierunek. Nieznajomość i zaniechanie starej filozofii zamknęła dla wszystkich jedyną drogę jasną i prawdziwą [1]. Panteizm w dwojakiej szacie idealnej i materyalnej upada rozbrojony i odarty z wszelkiego uroku w obec nauki św. Tomasza o Bogu i o dziele stworzenia. Obok Boga pozaświatowego, stojącego po nad wszelkiem stworzeniem w nieskończonej pełni doskonałości, obok Boga, który nie snuje ze siebie jak z kłębka, nici światów i stworzeń, lecz wiecznie ten sam, nieodmienny, słowem swej wszechmocy wywołał z nicości wszechświat zmianom podległy, — obok takiego Boga, panteizm ostać się nie może. Dość spojrzeć na ogólny wykaz treści dzieł św. Tomasza, aby znaleść tysiące miejsc, rozwijających tę naukę z nadzwyczajnym polotem i głębokością myśli.

Podobnie nauka św. Tomasza o świecie materyalnym, czyli jego filozofia natury jest najlepszą odpowiedzią na negacyę meta-

---

[1] Odnośnie do tej teoryi zob. Quodlib. 8.; De veritate qu. 10. De Spir. creat.; Sum. c. Gent. l. 2, c. c. 59, 62, 65, 75, 76, 77, i Summa I. qu. 79. a. 3; qu. 84. a. 6, qu. 85, a. 1. Cf. S. Thom. Contr. l. 3.

fizyki, z którą występuje pozytywizm. Jakkolwiek św. Tomaszowi brakowało wiele danych, które dzisiejsze badania w instrumenta uzbrojone przyniosły, to jednak stokroć korzystniej byłoby dla nauki zbadać jego teoryę o istocie i własnościach ciał, o ich siłach, i t. p., a zbadać ją i uzupełnić odpowiednio do najświeższych odkryć i wiadomości przyrodniczych, aniżeli nie poznawszy pogardliwie odrzucać. Wszystkie dzieła św. Tomasza tchną tak wysokim nastrojem, metafizyką tak podniosłą, że wymownem świadectwem tem olśnieni, nie możemy nawet przypuścić, aby teorya jego mrzonką tylko być miała, jakiemś podmiotowem przywidzeniem bez przedmiotowej wartości.

W psychologii gdyby świat uczony był sobie przypomniał to, co stara szkoła uczyła o zjawiskach, które czynnościami rozważnej duszy nazywamy, może nie popadłby w ten obłęd przeczący istnienia wszelkiej niemateryalnej duszy, a tłumaczący myśl i wolę fosforescencyą mózgu. Podług nowych teoryi wszelkie życie jest prostym rezultatem materyalnego mechanizmu, tylko motor mechanizmu tego pokryty zasłoną tajemnicy. Podług filozofii scholastycznej, właśnie ten mechanizm jest rezultatem wyższego od materyi pierwiastka, objawiającego się działaniem, które przez samą materyę wytłumaczyć się nie da. A choć ten pierwiastek innym jest w swej istocie u ludzi, innym u zwierząt, a innym u roślin, zawsze jednak i wszędzie on jeden stanowi główną przyczynę t. z. objawów życiowych [1]. Jak psychologia materyalizmu najwznioślejsze prawdy wiary w niwecz obraca, a wraz z niemi podkopuje moralność i szczęście jednostek i narodów, tak psychologia św. Tomasza z Akwinu wznosi dla nich w tym względzie potężną warownię. Rzecz to więc niewątpliwa, że w psychologii Anielskiego Doktora wiara nasza znajduje najpewniejszą obronę. Wszystkie prawdy zasadnicze, na których opiera się cały gmach tej wiary, wychodzą z pod pióra św. Tomasza w takiej pełni światła i uderzają taką siłą przekonania, że choć całe wieki

[1] Op. 43. quaest. de Anima; Quodl. 10. qu. 3.; Quodl. 3. qu. 13; c. Gent. l. 2. c. c. 49, 50, 51, 52, 57, 58, 59, 60. — In lib. II. sentent. dist. 17. — Sum. I. q. q. 75, 76, 79, 89. — De potent. q. 3. — De spirit. creatur. — De verit. q. q. 22, 24, 25, 26. — De potent animae.

przesunęły się po jego księgach, pewności ich zachwiać nie zdołały. Umiano z lekceważeniem o nich mówić, i nie czytać ich wcale, bo na to niewiele potrzeba, ale nikt jeszcze nie umiał dowodami odeprzeć jego dowodów i wykazać ich błędność.

Praktyczną część naszej wiary, t. j. etykę chrześcijańską uzasadnia filozoficznie. Ale jakżeż gruntownie ją uzasadnia, jak przejrzysto i wspaniale ją rozwija! Owa zgubna filozofia „praw człowieka“ nigdyby wzrosnąć nie mogła, gdyby się stale trzymano filozofii bezwzględnych praw boskich. Niema wyższej, wznioślejszej filozofii od tej, która jednostkom i całej ludzkości wskazuje jako jedyny cel i posłannictwo w tem życiu przejściowem, dobroć bożą odźwierciedlać w swej duszy, podobieństwem ze swoim Stwórcą coraz więcej zbliżać się do Niego, uwydatniać w sobie odblask nieskończonej Jego doskonałości i objawem tym uwielbiać Go na ziemi. Skutkiem najwyższej doskonałości, jest też szczęście najwyższe — oto druga prawda, która cudowną koroną wieńczy i dopełnia tę moralną strukturę teoryi Anielskiego Doktora. Istota szczęścia zasadza się nie na b i e r n y m tylko b y c i e, lecz na czynnem używaniu. Najwyższá zaś rozkosz rozumnego człowieka winna zaspokoić żądze władz jego najwyższych. Pojmować i kochać dobroć bożą udzielającą się cudownie człowiekowi, podnoszącą go i wywyższającą aż do szczytu nieba — oto szczęście rozumnej natury, szczęście, które osiągnąć jest jej jedynem zadaniem na ziemi.

Filozofia św. Tomasza nietylko dla wiary daje bezpieczny przytułek, obronę i udowodnienie, lecz cała ludzkość mogłaby jej zawdzięczać niczem niezachwiane bezpieczeństwo, dobrobyt, nienaruszalność porządku społecznego, i całość praw państwowych, gdyby prawdy przez nią wskazane do życia praktycznego zastosować zechciała. Zdanie to słusznie paradoksem nazwaćby można, gdybym chciał twierdzić, że filozofia św. Tomasza zdolna jest przekształcić dzisiejsze społeczeństwo nasze, naprawić jego rozstrój, powstrzymać upadek. Nie — tego dokazać nikt dziś nie jest w stanie bez cudu boskiej wszechmocy i miłosierdzia. Czy zaś obecne społeczeństwo nasze godnem jest cudu takiego, o tem słusznie wątpić można. Dla naszego społeczeństwa nauka św. Tomasza zdaje się być spóźnionem lekarstwem. Zanim pokolenia

przesiąkłe jadem zgubnej filozofii, znów prawdą ożywić się dadzą, wprzód ludziom przekonać się trzeba o gorzkich owocach tej fałszywej oświaty, którą odurzeni odrzucają dzisiaj ze wstrętem każdą naukę przez Kościół polecaną. Nie potrzeba mieć daru proroctwa, by kataklizm w niedalekiej przewidzieć przyszłości. Historya ludzkich pokoleń, choć każdy człowiek z osobna pełną włada wolnością swej woli, rozwija się jednak zawsze podług tych samych praw. Jaki los bezbożna filozofia zgotowała Francyi z końcem przeszłego stulecia, taki sam los ta sama filozofia zgotuje całej Europie — bo te same przyczyny wywołują i skutki te same. Jednak to pewne przewidywanie zbliżającego się nieszczęścia nie uwalnia nas od obowiązku użycia środków zachowawczych i odpornej broni. Bo tym sposobem na glebę świata przynajmniej zasiew upadnie, który i wśród szalejącej burzy kiełkować będzie, który i w zamęcie ogólnego przewrotu rozwinie się skrycie, aby kiedyś przy odbudowaniu nowego społeczeństwa pełnym wybujać kłosem. Że zaś tomistyczne zasady zdolne są podać dłoń pomocną zagrożonemu społeczeństwu, dość już wykazaliśmy to powyżej. Gdzież znaleść silniejsze podpory socyalnego porządku jeżeli nie w religii i moralności? A w jakiejż znów filozofii religia i moralność więcej bezpieczeństwa, więcej światła, więcej przekonywującej siły mieć może, jak właśnie nie we filozofii św. Tomasza z Akwinu?

Wchodząc w szczegóły socyalnej filozofii św. Tomasza, znajdujemy tu umiejętną krytykę wszystkich tych bezrozumnych systemów materyalizmu czy panteizmu, z których wysnuły się dzisiejsze zapatrywania na państwo. A obok tej krytyki znajdujemy wiele innych pewników, które najwyższym urzędom na ziemi w jakąkolwiek formę państwową przyodzianym, przyznają władzę od Boga nadaną, władzę opromieniającą jej przedstawiciela odblaskiem boskiego majestatu. Dzieło św. Tomasza *De regimine principum* jest zarówno tarczą ludu przeciw nadużyciom rządzących, jak i obroną rządzących przeciw niekarności poddanych. Doktór Anielski wskazuje zwierzchnikom, że władza im dlatego jest dana, aby troskliwem staraniem o dobro publiczne podawali każdemu z osobna najlepsze i najłatwiejsze środki do osiągnięcia ostatecznego celu; podwładnych zaś poucza, że władza zwierzchności nie jest z tego świata, ale pochodzi od tego, *per quem*

omnes reges regnant. Dopóki zasada ta nie straci swego znaczenia u rządzących i podwładnych, dopóty zapewnione jest obopólne ich dobro. Mogą wprawdzie niekiedy ludzkie namiętności, porwane wirem chwilowego uniesienia zatruć to szczęście, ten spokój zamącić, lecz zamęt ten będzie tylko chwilowym, przemijającym jak burza. Inaczej się dzieje, gdy miejsce tych zasad zastępują teorye, wyrosłe na gruncie materyalizmu i niewiary. Wtedy klęska nie jest chwilową, nie przemija jak zamieć, ale wciąż wzmaga się i rośnie, rozrywa wszystkie groble i tworzy chaos, który tylko ręka Wszechmocnego uśmierzyć zdoła.

Kilka słów jeszcze powiedzieć nam wypada o korzystnym wpływie filozofii św. Tomasza na rozwój wszystkich gałęzi wiedzy ludzkiej. Gruntem tej filozofii jest prawda; jedna zaś prawda drugiej nigdy nie może stanąć na zawadzie, owszem jedna drugą rozjaśnia, podpiera, toruje drogę do jej poznania. Jak wszystkie prawdy w jestestwie Boga, z którego pochodzą, w jedność się zlewają, jak wszystkie tworzą jedno w boskiej Mądrości, pojmującej je w sobie samej, tak też wszystkie te prawdy, o ile je nasz rozum częściowo poznaje, muszą zgodnie łączyć się z sobą. Niedorzecznością więc byłoby twierdzić, że filozofia, oparta na prawdzie, może nauce jakąkolwiek przynieść szkodę. Jednak na innej jeszcze drodze chcielibyśmy wykazać, jak zbawiennie oddziaływaćby mogła filozofia św. Tomasza na rozwój wszelkich umiejętności. Rzućmy okiem na pole doświadczenia i przeglądnijmy cały zasób zdobyczy i odkryć dokonanych w każdym zakresie wiedzy. Czy w tem bogactwie nowych wynalazków będziemy mogli wskazać choć jeden stojący w sprzeczności z teoryą Anielskiego Doktora? Nie, między prawdziwemi zdobyczami nauki podobnego nie znajdziem wynalazku. Mówię między p r a w d z i w e m i, bo ileż to mamy wrzekomych odkryć naukowych, które dziś uchodzą za niemylne rezultaty najściślejszych badań, a jutro odrzuca je sąd uczonych jako hipotezy niezgodne z faktami. Gdzie tylko zaś prawdziwy postęp ma miejsce, tam służy on niewątpliwie do wyświecenia i pełniejszego pojęcia systemu starej szkoły, a owoce takiego postępu zlewają się zawsze w harmonijną całość z ustrojem ogólnych zasad tego systemu. Co więcej nawet, wglądając w życie duchowe takich mężów, co odkry-

ciami swemi naukę na nowe popchnęli tory, i nowemi wzbogacili prawdami, nie trudno przekonać się o tem, że zasady chrześcijańskiej filozofii uzdolniły ich do tego, i że właśnie z tych zasad choć z pomocą dokonanych spostrzeżeń, wybłysły nowe prawdy i nowe odkrycia. Jeden ze znakomitych znawców nowożytnej fizyki przekonywająco udowadnia to nasze twierdzenie na przykładach najsławniejszych uczonych, takich, jak: Kopernik, Kepler, Bakon, Galilei, Newton, Leibniz, Ampère, Liebig, Fresnel, Faraday i wielu innych. Autor ten jest protestantem, i ztąd też świadectwo jego tem mniej podejrzanem być powinno [1]. Zasady zaś tej filozofii chrześcijańskiej nigdzie się nie odbiły w rysach tak jasnych i wyrazistych, z taką dokładnością i wykończeniem, jak w szkole scholastyczuej a nadewszystko w pismach Tomasza z Akwinu. Niechby więc tyiko zechciano zastósować filozofię jego do udoskonalenia nauk, a wobec namacalnych doświadczeń znikłyby niewątpliwie dotychczasowe uprzedzenia.

Wykazaliśmy dotychczas, że filozofia Anielskiego Doktora ma dość sił żywotnych w sobie, aby uleczyć w przyszłości rany naszego społeczeństwa, zniszczyć ów prąd niewiary, ową żądzę wywrotu społecznego porządku. Zechciejmyż jeszcze w jednym kierunku zwrócić uwagę na szkołę scholastyczną w kierunku jej metody cywilizacyjnej. Dzisiejszy nasz świat chełpi się nad wszelki wyraz wszechstronnem szerzeniem oświaty, jak gdyby monopol jej, wyłącznie jemu tylko przysługiwał. Że zaś obecna cywilizacya najściślej się łączy z religijnym indyferentyzmem, z ateistyczną naukowością, nazwaną wolnem badaniem, z niczem nieukróconą swawolą w życiu socyalnem, to fakt oczywisty, niezaprzeczony. Temu rodzajowi cywilizacyi odpowiada oczywiście stosowna metoda kształcenia się i nauki. Zupełnie inaczej pojmowała scholastyka tę oświatę i tę naukową metodę. Zobaczmy czy to była tylko ciemnota. Zasady na których opierała się Scholastyka w swej metodzie kształcenia, są następujące: 1-o Celem wszelkiego wykształcenia jest posiadanie prawdy. Prawda zaś w teoryi scholastycznej to nie fantastyczne płody umysłu bez przedmiotowej podstawy i wartości, ale zgodność myśli z rzeczy-

[1] La Physique moderne par Ernest Naville. Paris 1883.

wistością. Mozolne śledzenie tej prawdy nazywało się umiejętnością, a filozofia jako umiejętność wszelkiej wiedzy ludzkiej była treścią prawd fundamentalnych, które obejmują rzeczywistość, nie w pojedyńczych jestestwach do niej należących, ale w jej najwyższej i najogólniejszej widowni, w pierwotnem jej źródle, w najgłębszych i ostatecznych przyczynach. Kto tylko chciał stanąć na wyżynie ludzi wykształconych, musiał się najprzód tym studyom poświęcić: bo wtedy dopiero mógł być uważanym za zdolnego do głębszego badania pojedyńczych działów umiejętności. Nadto ponieważ prawda uważaną była za wspólną własność całej ludzkości, za wspólne dobro, które wspólnemi siłami zdobyć i wydoskonalić należało, dlatego wspólny też wybrano język łaciński, który światło prawdy wszędzie umiał rozlewać, nie znajdując żadnych przeszkód na granicach plemion i narodów. Jakżeż wszystko obecnie pod tym względem na niekorzyść się zmieniło. Właściwa filozofia dzisiaj nie istnieje, a nauka pod jej imieniem krążąca, to tylko historya systemów i obłędów ludzkich [1]. Wiedza straciła swój charakter powszechności, nabyty za pomocą łacińskiego języka, graniczne słupy zamknęły ją w ciasnych obrębach osobnych narodów i strzeże tych granic stereotypowa formułka: „*Tous droits reservés*“. Najprzód trzeba cło opłacić, zanim światłu wschodzącemu w jednym narodzie wolno będzie i nad drugiego krainą zaświecić.

Drugą zasadę, mającą wybitne znaczenie w scholastycznej metodzie kształcenia, można w ten sposób sformułować: Wykształcenie zdobywa się tylko mozolną umysłową pracą. Racya wewnętrzna tej zasady jest ta, że i prawdę nieinaczej znaleść można, jak tylko tymże mozolnym umysłowym trudem Człowiek nie przychodzi na świat z gotowym kapitałem prawd

[1] I Scholastyka ceni wysoko historyę filozofii, lecz nie uznaje jej za filozofię właściwą. Oto, co mówi św. Tomasz o tych obydwóch naukach: „Necesse est accipere opiniones antiquorum, quicunque sint... Et hoc quidem ad duo erit utile. Primo quia illud quod bene dictum est ab eis, accipiemus in adjutorium nostrum. Secundo, quod male enunciatum est, cavebimus“. De anim. l. I. lect. 2. — „Studium philosophiae non est ad hoc quod sciatur quid homines senserint, sed qualiter se habeat veritas rerum.“ De coelo l. I. lect. 22.

drzemiących w jego rozumie, które tylko ocucić wystarcza z uśpienia, aby przyjść do ich świadomości. Nieskończona mądrość Boska wlała rozumowi ludzkiemu, wrodzone prawa logicznego myślenia, które, jeśli od nich nie zbacza, doprowadzić go mogą do poznania prawdy. Ta sama nieskończona Mądrość wycisnęła też ślad wiekuistych swych myśli w stworzonym i pod zmysły podpadającym świecie, a rozum ludzki obdarzyła znów zdolnością, czytania tych myśli w księdze widzialnego świata. Świat zmysłowy jest podstawą myśli, myśl rozpoczyna od spostrzeżeń, doświadczeniem zmysłów żywi się, rozszerza i wzbogaca; lecz nie zadowalnia się tylko tem co jej wrażenia zmysłowe podają, ale siłą ducha wdziera się do wyższej dziedziny niedostępnej dla zmysłów. Jakąż tedy drogą dosięga duch tych sfer nadzmysłowych? Z jednej strony dochodzi on tam bez trudu, samorzutną władzą duchowego widzenia, z drugiej zaś mozolną już pracą dedukcyi. Nieraz myśl jak błyskawica oświeci rozum człowieka, ukazując mu prawdę bez zasłony, jasną i przejrzystą. Ale promienie takiego światła nie zawsze świecą człowiekowi, zabłysną niespodzianie ale i gasną w okamgnieniu. Geniusze częściej doświadczają chwil takich, ale i u nich niezwyczajny to nastrój ducha, tylko błysk krótkotrwałego natchnienia. A w dodatku jakże często natchnienie takie nie jest słoneczną iskrą prawdy, ale błędnym tylko ognikiem złudzenia. Sprawdza się więc i na polu umysłowej pracy owa klątwa pierworodnego grzechu: *in sudore vultus tui comedes panem.* Ten pot uciążliwej pracy, którym myślący duch okupuje sobie wstęp do transcendentalnego świata, z jednej prawdy wysnuwając drugą, jestto dedukcya czyli wnioskujące myślenie, którego wyrazem naturalnym jest syllogizm. Z tej też przyczyny z szczególniejszą troskliwością zajmowała się scholastyka syllogizmem, stawiając osobne prawa, podług których budować go należało, aby bezpiecznie dojść po nim do poznania prawdy, nie zbłąkawszy się w labiryncie błędu. Nam się dziś zabawką wydają owe rozprawy dawnych filozofów o syllogizmie [1]. Lecz bądźmy

[1] Nie myślę tu wcale usprawiedliwiać tego, co np. taki Wolff w swej scholastyce mówi o magicznej sile syllogizmu. Takie teorye to nie wchodzą w skład scholastyki; są to tylko ślepe wystrzały ja-

sprawiedliwymi. Dzisiejsi badacze podejmują każdy pyłek, i poddają go pod sąd wszystkich umysłów, analizują i ważą. Dawni zaś uczeni podejmowali podobną mozolną a drobnostkową pracę nad zbadaniem zjawisk myślącego ducha, aby się przekonać na pewno, kiedy czynności jego wiodą niechybnie do prawdy. Nasza zaś wolnomyślna uczoność nie mogąc ścierpieć krępujących a nieugiętych praw myślenia, nie dobrze na tem wychodzi.

Trzecim żywiołem, który scholastyka w ukształceniu człowieka jako zasadę wprowadzić chciała, jest samodzielność myśli i rozumowania. Wolność myśli i wolni myśliciele, wszak to dzisiejsze hasło, brzmiące po całym świecie w imię oświaty. A jednak w żadnej epoce nie było jeszcze takiego niewolnictwa ducha, jak wśród naszego stulecia. Przypatrzmy się, czyż oni w najważniejszych kwestyach myślą samodzielnie? Bynajmniej. To tylko co nagotowały pisma publiczne stanowi umysłową strawę ogromnej większości, a ta strawa bez zastanowienia połknięta, tkwi w kościach, i w żyłach krąży. I nie dziw, bo umysły tak się już zaprawiają za młodu, że do samodzielnej pracy duchowej mało są zdatne. Mistrz podaje młodzieży rezultat swych długich, uciążliwych badań: uczeń nie ma pola do dyskussyi, nie ma nawet wprawy do rozsądzenia powodów, więc tylko o ile mistrz w nim zaufanie wzbudzi, wierzy mu na słowo; a im znakomitsze jest imię mistrza, tem bezwzględniejszą staje się wiara. Pospólstwo wierzy swym przywódzcom, uczeni swym dziennikom, młodzież swoim mistrzom. Inną zupełnie jest metoda scholastyczna. Tu szkoła (*schola* ztąd nazwa scholastyki) ma prawdziwie wielkie i wzniosłe zdanie; bo w tej szkole rozbudza się samodzielność młodego myśliciela. Nauka nie spływa do jego głowy lejkiem ślepej wiary w powagę mistrzów, ale uczeń sam własnym sądem przychyla się do jej przyjęcia i przyswaja ją sobie. Zadaniem nauczyciela nie jest domagać się wiary w gotowy rezultat własnych badań, ale rozbudzić w uczniu siłę myśli i nią pokierować. Doktrynę swą wykłada on we formie zagadnień krótkich i ściśle określonych. Dalej przedkłada powody przemawiające za i przeciw

---

kiejś śmiesznej pedanteryi, wysilającej się chyba na to, aby prawdziwą szkołę scholastyczną na pośmiewisko wystawić.

postawionej kwestyi, skutkiem czego uczeń poniekąd zmuszonym się widzi do przyjęcia roli sędziego, do porównywania przeciwnych powodów, aby stanowczo jedne przyjąć, drugie odrzucić i tak rozstrzygnąć przedłożoną kwestyę. Skoro się już ostatecznie na jednę przechylił stronę, znów musi myśl swą natężać, aby wykazać bezsilność przeciwnych dowodów; musi więc to, co w nich jest prawdziwem, oddzielić od fałszu, musi wynaleść błąd we wnioskowaniu, i to wszystko w jasnej i dokładnej formie odróżnić *(distinguere)*. Układ pism Tomasza z Akwinu jest najlepszym okazem metody kształcenia w ówczesnej szkole używanej. Stąd axiomat scholastyki: *Docere est adminiculari exterius inventionem discipulorum propriam.*

Tym więc sposobem wyrabia się samodzielność myśli, a z nią też samodzielność woli w działaniu i co za tem idzie — samodzielność charakteru. Człowiek więc w ten sposób wykształcony, jest wolnym, samoistnym myślicielem na całem polu ludzkiej wiedzy i rozumowych badań; jedna tylko wiara objawiona zakreśla mu granice, ale granice, które nie mogą mu drogi do prawdy zamykać. Stąd widać jak niesłusznie zarzucają średnim wiekom niewolnictwo myśli. A wiek nasz, który ten zarzut czyni, czyż jest od niego wolnym? Pod imieniem liberalizmu narzucają się dziś człowiekowi pewne opinie, poglądy i zasady — a biada mu jeśli ich nie przyjmie, bo wtedy ogłaszają go za nieuka, wstecznika, krzewiciela ciemnoty — słowem, staje się on formalnym banitą intelligencyi. Ta właśnie tyrania obcych opinii i ten brak samoistnego myślenia sprawił w naszych czasach, że tak łatwo mogła niewiara znaleźć tylu wyznawców, socyalizm tak licznych zwolenników, darwinizm tylu wiernych czcicieli. To wszystko przyprowadza nas do oczywistego wniosku, że Ojciec św. poznał dobrze swój wiek i skutecznego jął się środka do zleczenia jego ran, kiedy wskazał na filozofię Doktora Anielskiego [1]. Świat uczony jednak mało na to zwraca uwagi. On ma tyle innych kwestyi piekących na porządku dziennym. Co mu do filozofii średniowiecznej? A przecież śmiało powiem, że ta średniowieczna filozofia dawno już odpowiedziała na wielką liczbę

[1] Ob. Pesch S. J. Welträthsel 2. B. Anhang.

tych kwestyi; nad których rozwiązaniem najoświeceńsze umysły po dziś dzień się trudzą. Wszystkie te zdobycze dzisiejszej mądrości, które Stolica św. w Syllabusie naznaczyła piętnem błędu, aby dzieci katolickiego Kościoła ochronić od tych zgubnych teoryi, co pieszczą ucho szumnemi słowy, ale z serca i rozumu wydzierają drogocenny skarb prawdy; wszystkie te zdobycze, powtarzam, są we filozofii św. Tomasza dawno zwalczonem stanowiskiem. Gdyby wejrzano głębiej w system Tomasza z Akwinu, przyznaćby musiano niewątpliwie, że w całej historyi ludzkiej wiedzy, nie pojawił się jeszcze ani jeden system filozoficzny, któryby doskonałością swą dorównywał systemowi św. Tomasza. System ten stanowi jednolitą całość, której pojedyńcze części zgodnie wiążą i zlewają się ze sobą. Części te bowiem łączy najściślejsza konsekwencya; jedna część drugą uzasadnia, oświeca, wyjaśnia; przerw i luk niema między niemi, lecz owszem każda kwestya wiąże się tu najściślej z poprzednią i następną, na pierwszej opiera się jak na niezbędnem założeniu, druga jest koniecznym jej wnioskiem. Wszystkie części łączą wzajemne ogniwa, tak, że pomimo bogatej swej różnorodności prawdziwie w cudną jedność się spływają. Pojedyńcze prawdy występują w najżywszem świetle, w ostrych rzucone zarysach, jako przeciwstawienie błędom, ukrywającym się nieraz pod płaszczykiem podobnym może, lecz zawsze unikającym wyrazistości i światła. Co więcej system ten nie ogranicza się na przedmiotowych tylko poglądach, lecz stoi w najściślejszym związku z prawdami wiary św., z nich czerpie światło i moc swoją i na odwrót rozumowej wierze światła i siły dodaje. Czyż zatem dzieło jego wolne jest od wszelkich usterków? Tego nikt nie twierdzi: bo wszelka wiedza ludzka jest, według słów Apostoła dziełem niedoskonałem. Jednak niedostatki te, jeśli je zestawimy z błędami innych, są bardzo nieznacznymi, jeśli zaś porównamy je z całością systemu i jego zaletami, to oko dojrzeć ich nawet nie zdoła. Nic więc dziwnego, że sekciarska zawiść, jaką wywołała reformacya przeciw scholastyce, a w szczególności przeciw filozofii św. Tomasza, dziś już słabnie. Tudzież rozczarowanie, jakiego świat doznał w tylu innych systemach, zanadto było widoczne i dotkliwe. Już więc od pół wieku rozpoczął się pewien zwrot do dawnej filozofii, do

systemu św. Tomasza, aby w nim szukać wyjścia z labiryntu zbyt jawnych błędów. Zwrot ten zyskuje coraz więcej przyjaciół, im szersze tworzy się kółko ludzi czytających Anielskiego Doktora. — Włochy Francya, Niemcy mają już dziś swe scholastyczne katedry; i w innych też stronach ten sam prąd niezadługo powieje. A jeśli Papież teraz podniósł swój głos w sposób szczególnie uroczysty, stało się to dlatego, że i niebezpieczeństwa zewsząd groźniejsze przybrały rozmiary i potrzeba obrony okazała się daleko bardziej naglącą, a wreszcie z tej też przyczyny, że nowy ruch scholastyczny więcej usposobił serca do ochoczego przyjęcia słów Namiestnika Chrystusowego. Może, da Bóg, słowo to przyjmie się kiedyś w sercu całego społeczeństwa, podniesie je, oświeci i na inne pchnie tory — wówczas ziści się i na Namiestniku Chrystusa na ziemi, to co napisane jest o Słowie Bożem: *Verbum meum ad me vacuum non redibit.*

X. A. Langer.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Wewnętrzne dzieje Polski za Stanisława Augusta: 1764—1794. *Tadeusz Korzon:* Badania historyczne ze stanowiska ekonomicznego i administracyjnego. T. I. i II. Wydanie Akademii Umiejętności w Krakowie.

Porozbiorowe dziejopisarstwo nasze siliło się zwykle o ujęcie w całość wszystkich dziejów narodu, — przedsięwzięcie będące czystem niepodobieństwem, dopóki pojedyńcze epoki nie zostaną wyjaśnione i opracowane. Jedną z głównych pobudek do porywania się na pracę nad siły, było to, że szukano przedewszystkiem w przeszłości odpowiedzi na pytanie: dlaczego Polska upadła; odpowiedź znaleźć się mogła tylko w całości dziejów. Wynikały stąd mniej więcej niefortunne, mniej więcej chaotyczne kompilacye, z których naród o własnych dziejach bardzo niedokładne powziął wyobrażenie, i które głównego problemu rozstrzygnąć nie były w stanie, gdyż dzieje powierzchownie znane, nie wykrywały wszystkich źródeł upadku. Najnowszej szkoły wielką zasługą i zaletą, że szuka prawdy u źródła, zbiera dokumenta, pomnaża trwałe zdobycze pracy historycznej, znosi cegiełki do przyszłej budowy. I ona wszakże wytacza przeszłości proces zawzięty, zawziętszy niż kiedykolwiek, feruje wyroki, w imię metody od wczoraj narodzonej i w imię tak zwanych wyników nauk społecznych i politycznych.

Nowa metoda jest niezaprzeczenie wielką pomocą w pracy historycznej, lecz nie wystarcza sama jedna do odbudowania przeszłości, jak się składa zegarek z kółek i czopów. Nauki społeczne i polityczne spoczywają dopiero w kolebce, daleko im

do rzędu umiejętności ścisłych. Jak dotąd stanowią pęk luźnych teoryi i hypotez, nieraz śmiałych i kunsztownych, które rodzą się i giną jak jętki; wczorajsze pewniki idą dziś między stare przesądy. Sądzenie przeszłości według wcale nieustalonych prawideł, bywa marną robotą a nie czem innem zazwyczaj, jak stosowaniem do odległych czasów naszych pojęć, uprzedzeń i fikcyi bieżących. Widzieliśmy to już nieraz, pod inną postacią i pod innem mianem. Przybyła jedynie sankcya, albo ściśle mówiąc, firma naukowa, która olśniewa dobrodusznego czytelnika, mającego niesłychany respekt dla imienia nauki, a w ludziach zawodu rodzi często twarde doktrynerstwo, zaciemniające i krzywiące sąd historyczny.

Jak każdy inny sąd historyczny opierać się musi na gruncie stałym i trzymać ustalonych reguł. Takiego gruntu i reguł nauka dać nie może, sama bowiem dla siebie szuka daremnie oparcia i osi; odrzuca wszystko, czego sama nie odkryła i nie dowiodła; uboga w pozytywne rezultaty i pewniki, obfituje jedynie w negacye i wątpliwości. Każe historykowi być astronomem, obserwującym fenomena życia społecznego i politycznego, lecz uzbraja go w szkła farbowane, przez które wielu rzeczy nie dojrzy w misternej mechanice świata zaginionego, a co dojrzy, widzi w sztucznem świetle dzisiejszych pojęć, które nauka w formułki odziewa.

Do niedawna bito u nas pokłony przed boginią wolności. Przekonawszy się, jak wielkie miejsce słabość rządu trzyma między przyczynami upadku Polski, pod wrażeniem ciężkich prób, przez jakie nasz naród przechodzi, pod wpływem powszechnej reakcyi w umysłach i uczuciu chwilowej konieczności koncentrowanej władzy, poczęto chylić się ku drugiej ostateczności, ku bałwochwalstwu silnego rządu, branego za jedno z rządem zcentralizowanym na dzisiejszy model. W ślad za ogólnem usposobieniem, dziejopisarstwo mozoli się nad zagadką, dlaczego w Polsce rząd silny utrwalić się nie zdołał. Racya ostateczna jest jedna: każde społeczeństwo ma rząd, na jaki się zdobyć może, na jaki go stać. Źródło niemocy rządu tkwiło w społeczeństwie; o opór czynny i bierny społeczeństwa, o niedostatek materyału na stworzenie lepszego rządu, rozbijały się usiłowania reformy. Historyi pozostaje określenie natury środków przedsiębranych, których we-

wnętrzna wartość była nader rozmaitą i nierówną. Wszystkie podciągać pod jednę miarę i jednakowo pochwalać, byłoby taką samą przesadą jak sławić, niedawnym obyczajem, każdy wybryk szlacheckiej anarchii.

Trzymając się z nieubłaganą loiką założenia, że rząd silny byłby niezawodnie Rzpltą od upadku uchronił, i wziąwszy za ideał rząd silny w dzisiejszem pojęciu teoryi o państwie i praktyki, historyk dochodzi prostą drogą do fałszywych wniosków i niesprawiedliwych sądów, sankcyonuje powagę dziejów wszelki krok, do celu upragnionego obiecujący prowadzić.

Ufundowanie silnej władzy monarszej, uważanej pospolicie za rękojmię silnego rządu, nie mogło dopełnić się inaczej, jak kosztem praw i przywilejów innych stanów Rzpltej. Przywileje te szły tak daleko, że skazywały na niemoc Rzpltę; ograniczyć je, przyprowadzić do równowagi, pogodzić z dobrem powszechnem, było bez wątpienia przedsięwzięciem godziwem i zbawiennem, wspólnem wszystkim dążeniom do wewnętrznej reformy. Nie wypływa stąd wszakże, aby wszystko, co czynił monarcha w celu ukrócenia przywilejów, zasługiwało na bezwzględną pochwałę, wszelki zaś opór ze strony posiadaczy przywilejów, na bezwarunkowe potępienie. Nie idzie zatem, aby królom przyznawać niezaprzeczone, zasadnicze prawo uciekania się aż do uzurpacyi i gwałtu, a jego przeciwnikom za grzech śmiertelny poczytywać obronę swego dobra. Musi być jakaś granica, jakieś *criterium* wyższe nad hypotetyczny utylitaryzm.

Ratunek ojczyzny, termin bardzo elastyczny i miecz obosieczny, którym można było Polskę zbawić, albo zaprzepaścić. Raz przyznawszy królowi, w imię ratunku ojczyzny, władzę nieograniczoną nad poddanym, kładzie się krzyżyk na wszelkie inne prawa, a doświadczenie wieków uczy, że absolutyzm nie zwykł zatrzymywać się na pół drogi, lecz wnika coraz głębiej i w końcu wszystko wisi na łasce jednego człowieka. W Polsce miecz samowładztwa można było bezpiecznie powierzyć niejednemu królowi, o czem jednak dowiedzieliśmy się po niewczasie; pytanie, coby z nim był zrobił pierwszy Waza, łaknący odzyskania Szwecyi, Sobieski, dopóki był uwikłany w francuskie machinacye, August II. pożądliwie spoglądający na godność cesarską. Historya

zapisała owoce absolutyzmu Filipa hiszpańskiego, Ludwika XIV., Józefa II., Napoleona I.: skąd więc pewność, że nam działoby się lepiej, gdyby naszymi dziadami rządził był jaki Iwan Groźny?

Władza monarchów rosła wszędzie i trzymała się siłą faktów spełnionych; nikt nigdy i nigdzie nie zrzekał się dobrowolnie przywilejów i swobód nabytych. Trudno więc brać za złe dawnym Polakom, jeśli się nie rwali pod *absolutum dominium*, które i nam nie bardzo się uśmiecha. Jedno im słusznie zarzucić możemy, to że dbając mocno o przywileje i swobody, o dobrodziejstwa wolności, nie poczuwali się do obowiązków z przywilejami złączonych. W opozycyi ich było nieraz wiele ślepoty i grzesznego uporu, ale bywały i głębsze racye. Często spotykamy zarzut, czyniony duchowieństwu i Kościołowi katolickiemu, że w różnych czasach bronił do upadłego swojej własności, sprzeciwiał się roszczeniom królów, groził klątwą kościelną uzurpatorom, nie poddawał się z niemą rezygnacyą władzy świeckiej. Odłożywszy na bok materyę zasadniczą początku i misyi Kościoła, które naznaczają Kościołowi osobne stanowisko w społeczeństwie i w państwie katolickiem, prosta słuszność każe pamiętać o dwóch rzeczach. Kościół jako instytucya, ma swoje prawa i reguły, któremi się rządzi i których przekraczać mu nie wolno. Kościół jako instytucya na ziemi działająca, potrzebuje samorządu wewnętrznego, niezależności i chleba powszedniego. Jeżeli więc stan duchowny obstawał przy prawach i potrzebach Kościoła, robił tylko to, co robić był powinien i robić musiał. Nie widzieć tej prawdy może chyba wzrok patrzący na przeszłość przez pryzmat terazniejszych stosunków, umysł tak rozmiłowany i zacietrzewiony w jeometrycznej loice, że zrozumieć nie może, dlaczego lat temu dwieście lub trzysta inaczej świat wyglądał niż dzisiaj. W naszych czasach, Kościół jest mniej więcej wszędzie poddany pod władzę świecką, ogołocony z niezależności, na łasce skarbu publicznego lub hojności wiernych: czy wyszło to na korzyść społeczeństwom, czy nasze stosunki obecne bardzo zbliżyły się do ideału? A trzymając się kwestyi finansowej, około której rzecz głównie się zazwyczaj obraca, bo majątki kościelne miały zapełnić pusty skarb Rzpltej, przypomnijmy sobie, gdzie poszły olbrzymie sumy, w różnych miejscach i czasach z grabieży mienia duchownego

zrealizowane, gdzie się podział majątek Jezuitów i biskupstwa krakowskiego w Polsce, miliardy zagrabione w Austryi, w Niemczech, we Francyi, we Włoszech. Cząsteczka zaledwie dostała się skarbowi publicznemu, reszta utonęła w kieszeniach prywatnych; właściwy cel zaboru nie dopisał. Fenomen niezmiennie się powtarzający, wart wzięcia w rachubę przez naukę. Mając to wszystko na pamięci, sprawa nieco inaczej wygląda, w opozycyi hierarchii kościelnej odnajduje się coś więcej, prócz samego przywiązania do marnych dóbr tego świata. Podobnie rzeczy się miały z oporem szlachty przeciwko zniesieniu elekcyi, rozszerzeniu władzy królewskiej, odebraniu szlachcie rozmaitych przywilejów, które elekt obowiązywał się szanować. Nasi poprzednicy dbali o nie, jak my w Galicyi dbamy o autonomię, którą potomność nazwać może piątem kołem u wozu i bezużyteczną zawadą. Nie znali fikcyi o państwie wszechwładnem, stałych armii, systemu podatków z dodatkami, biurokracyi, obowiązku posyłania dzieci do szkoły rządowej, tak jak nam obce są wynalazki, które kiedyś nasi wnukowie niezawodnie spłodzą, i jeżdżąc balonami będą z politowaniem wspominać o naszych żółwich podróżach koleją żelazną; albo mówić, żeśmy chyba głów na karku nie mieli, żeby dać się niszczyć przez militaryzm. Jesteśmy teraz pokorni jak owieczki, dajemy się wodzić na pasku od kolebki do grobu, bo przywileje przodków odebrano nam siłą i wzięto w kleszcze nasze społeczeństwa, rozproszone na atomy indywidualne, odwykłe od samorządu, bo nareszcie skomplikowane stosunki wymagają większego zcentralizowania władzy; lecz nie wyrzeklibyśmy się z dobrej a nieprzymuszonej woli nawet prawa wyboru do rad gminnych. Niejednę z naszych instytucyi czeka potępienie w imię przyszłych wyników nauk politycznych i społecznych, choć każda ma racyę bytu w rzeczywistości, w naszych stosunkach i wyobrażeniach. Tak samo, zaglądając głębiej w przeszłość gołem ale dobrem okiem, przekonamy się, że ówczesny stan był oparty na realnej podstawie, wytworzył się naturalną pracą czasu i miarą naszych teoryi sądzić się nie da.

Najskuteczniejszem lekarstwem na gorączkę naukowego doktrynerstwa jest z jednej strony doświadczenie życia, z drugiej coraz głębsza i zupełniejsza znajomość dziejów. Przyczyni

się do tego, pomimo usterek tą właśnie gorączką spowodowanych, książka, której tytuł na wstępie wypisany, dotykająca przedmiotu dotąd odłogiem pozostawionego, mianowicie stanu ekonomicznego i administracyjnego Polski pod Stanisławem Augustem.

Autor idzie torem wskazanym przez nową szkołę; za wzór wziąwszy prawdopodobnie dzieło Taine'a o epoce rewolucyjnej, zamierzył przedstawić wewnętrzną budowę Rzpltej w ciągu ostatnich lat trzydziestu niepodległego bytu i w niej szukać „przyczyn i istoty upadku państwa polskiego.“ O ile uda mu się drugą część zamiaru spełnić, pokaże się po wyjściu całej pracy, której dotąd mamy dopiero połowę, dwa tomy, traktujące o rozległości kraju, ludności, rolnictwie i sprawie włościańskiej, handlu i przemyśle, miastach i mieszczaństwie, zasobach skarbu i ogóle bogactwa narodowego.

Największą trudność przedstawiała strona statystyczna, będąca szkieletem i rdzeniem książki, więc oznaczenie obszaru terytoryalnego, ogólnej liczby mieszkańców i liczby szczególnych klas społeczeństwa, cyfr produkcyi, wywozu i przywozu, dochodów i przychodów skarbowych. W niedostatku urzędowej statystyki i urzędowej rachunkowości, autor radzić sobie musiał zbieraniem dat po wszelkich możliwych źródłach. Przewertował archiwum koronne w Warszawie, niektóre, dotąd nietykane prywatne zbiory dokumentów, akta rozmaitych magistratur, polskie i cudzoziemskie druki współczesne, z mrówczą pracowitością pozbierał wszystkie napotkane cyfry i wskazówki, i starał się wynaleźć obliczenia, najbardziej do rzeczywistości zbliżone. Ścisłość obliczeń, opartych na niezupełnych, lub przypuszczalnych datach, na zawsze pozostanie zagadkową; statystyk z profesyi może niejeden zrobić im zarzut, albo też inaczej grupując cyfry, do odmiennych dojść rezultatów, które również wątpliwościom podlegać nie przestaną. Nie zmniejsza to zasługi p. Korzona, spoczywającej w podjęciu pracy mozolnej i przetarciu drogi dla następców, jakoteż w zgromadzeniu mnóstwa rozproszonego materyału, co, jak się zdaje, autor za główny cel sobie postawił. Zbierał więc wszystko, co mu się nasunęło; przytacza i dyskutuje cyfry, podania, opinie, na pierwszy rzut oka nie wytrzymujące rozbioru. Drobiazgowość taka nie jest bez pożytku dla każdego, kto w tym kierunku da-

lej pracować zechce; zwykły czytelnik dozna nieraz uczucia człowieka zgłodniałego, który zamiast dostać gotowej strawy, przypatrywać się musi w kuchni płukaniu mięsa i nastawianiu rondli.

Drugą trudność niemniejszą, napotkał autor w odbudowaniu społecznego mechanizmu Rzpltej. Taine, kreśląc obraz Francyi przedrewolucyjnej i rewolucyjnej, miał nieprzebraną kopalnię świadectw z pierwszej ręki, kontrolujących się wzajemnie, których zestawienie pozwalało stworzyć obraz mozajkowy, mający się do rzeczywistości jak mozajka do malowidła. P. Korzon podobnych ułatwień nie znalazłszy, trzymał się przedewszystkiem głosów sejmowych i literatury peryodycznej, a zatem poszła najsłabsza strona jego książki. Mowy, broszury, artykuły dziennikarskie bronią zazwyczaj jakiejś tezy, przedstawiają rzeczy w postaci potrzebą wskazanej, w świetle niekoniecznie prawdziwem, zbyt często grzeszą egzageracyą, przemilczeniem i przekręcaniem prawdy; nie mogą więc służyć ani za dowód ostateczny, ani za podstawę do wniosków rozstrzygających. Zbytek urywkowych cytacyi szkodzi ekonomii książki; autor opiera na nich sądy, które utrzymać się nie potrafią.

W przedmowie autor oznajmia, że „szuka szczerze, gorliwie prawdy i niczego prócz prawdy, nikomu nie schlebia, ani ludziom, ani stanom, ani nawet zasadom.“ Że prawdy szukał, świadczy każda niemal stronnica; znaleźć prawdę niezawsze mu się udało, raz dlatego, że to siły ludzkie przechodzi, drugi raz znowu z innej przyczyny. Z żyjących pisarzy, jeden Taine dokazał tej sztuki, że o ile to człowiekowi jest możliwem, pozbył się przekonań i opinii osobistych. Sam w nic nie wierzy, ale rozumie, że kto inny wierzyć może i tego mu za złe nie bierze. Nie jest ani rojalistą, ani republikaninem, nie należy do żadnego stronnictwa, nie przyjmuje żadnego ideału, niczego nie odrzuca bezwzględnie. P. Korzon mówiąc, że „nie schlebia zasadom,“ chciał zapewne wyrazić, że żadnych zasad nie uznaje, albo wszystkie na bok odkłada, jako niepotrzebny balast, krępujący swobodę sądu historyka. Daleko mu jednak do takiej doskonałości. Odepchnąwszy zasady, zatrzymał w całej mocy bieżące pojęcia i liberalne doktryny naszego czasu, któremi przeszłość mierzy, i szuka prawdy z naprzód

powziętą myślą wykrycia tego, co z góry za prawdę niezaprzeczoną uznaje.

Pokazuje się to zaraz przy rozbiorze pytania, dlaczego Polska upadła w walce z dwoma skoalizowanemi państwami, kiedy Francya pokonała skoalizowaną Europę. Trzy tego widzi autor przyczyny: pozycyą jeograficzną, stosunek sił fizycznych i brak rządu zcentralizowanego. Na dwa pierwsze punkta zgoda. Co do trzeciego autor następnie rozumuje: „Gdybyż przynajmniej tymi dziewięcio milionami dosyć luźnie rozmieszczonymi (ludności polskiej), mogła rozrządzać jakakolwiek władza w całości, bez wyjątków, ograniczeń i zawad! We Francyi władza centralna od dawna już nabyła takiej potęgi, że dosyć było kilku uchwał Zgromadzenia Ustawodawczego, aby znikły przywileje stanów, granice prowincyi, szczątki samorządów średniowiecznych, plemienne i językowe rozmaitości, nawet religijne ustawy. Pierwszy, lepszy co stanął przy korbie machiny centralizacyjnej, minister królewski czy Żyrondysta, Robespierre czy dyrektor Barras, każdy mógł rozrządzać mieniem, wolą, osobą, życiem wszystkich prawie dwudziestu sześciu milionów Francuzów.“ Porównanie na nieszczęście niczego nie dowodzi, hypoteza stoi na kulawych nogach. W zwycięstwach, jakie pod koniec XVIII. wieku Francya rewolucyjna odnosiła nad skoalizowaną Europą, władza centralna nie miała udziału. Zajęta wewnętrznem przerabianiem Francyi, niszczeniem przywilejów, szczątków samorządu, ustaw religijnych, rzuciła na oślep rękawice monarchicznej i konserwatywnej Europy, nieprzygotowawszy środków do walki i nie będąc w stanie obroną kierować. Na odparcie nieprzyjaciela ruszyły tłumy ochotników, źle odziane, nieuzbrojone, bez najmniejszej organizacyi; poszły niewskutek dekretów rządu, lecz z własnej ochoty, aby bronić zdobyczy rewolucyjnych i uniknąć powrotu dawnego porządku; aby uratować zyskane korzyści i rękojmię spełnienia dalszych obietnic rewolucyi. Jednych pchała nienawiść ku szlachcie i duchowieństwu, drugich obawa o własność świeżo gwałtem nabytą, innych strach, że wrócą się podatki, cła i ciężary zniesione. Praktyka wojny wyrabiała wodzów i wytwarzała armię. Zgromadzenie ustawodawcze, doskonaląc centralizacyę, pracowało na rzecz przyszłych sprawców zamachów stanu: pierwszy lepszy co od korby chwilo-

wych odpędził sterników, chwytał za korbę i Francyą rządził do czasu. Walka z koalicyą nie skończyła się z XVIII. wiekiem, jak rewolucya nie została zamkniętą ani ogłoszeniem konsulatu, ani przyjściem cesarstwa. Francya nietylko nie pokonała koalicyi, lecz owszem przez koalicyę pokonana, dwukrotnej doczekała się inwazyi, chociaż przy korbie machiny do wysokiego stopnia udoskonalonej, stał jeden z największych geniuszów wojennych i administracyjnych nowego czasu. Dopóki gorączka sławy paliła Francuzów, dopóty Napoleon był panem Francyi i panem świata; gdy paroksyzm minął, runęła jego władza, pomimo że była całą, nieograniczoną, bez wyjątków i zawad. Koalicya, nie mając ani jednego wodza równego Napoleonowi, napotykając na każdym kroku niezmierne, wszelkiego rodzaju przeszkody i trudności, zwyciężyć zdołała dzięki wewnętrznej sile, jaką jej dawała zgodna rządów i ludów wola złamania przemocy francuskiej. Samo mechaniczne skupienie władzy w podobnych czasach nie poradzi, jeśli masy nie są poruszone jakiemś głębokiem uczuciem, religijnem, patryotycznem, lub namiętnościami rozburzone. Centralizacya władzy na model francuski była w Polsce materyalnem niepodobieństwem, już z powodu rozproszenia szczupłej ludności na wielkiej przestrzeni, bo żeby człowieka w dłoni trzymać, trzeba go najpierw dosięgnąć i uchwycić. Przy najlepszej woli, nie mógł Stanisław August mieczem bronić Rzpltej, nie mając władzy zmuszenia poddanych do służby wojskowej; lecz jak słusznie ks. Kalinka zauważył, za Jana Kaźmierza rząd polski był jeszcze mniej zcentralizowany niż w 1792, a przecież Rzplta potrafiła wydobyć się z przepaści, gdy naród wolę znalazł w sobie do czynu.

Przy rozczłonkowaniu ludności na wyznania, autor zalicza Unitów i Ormian między „akatolików," na równi z protestantami, dyzunitami, żydami, raskolnikami, a nawet cyganami, którzy nie mają podobno pretensyi stanowienia osobnego wyznania. Oddzielenie Unitów od jedności z Kościołem katolickim, do którego należą, różniąc się tylko obrządkiem, poszło zapewne z niewiadomości, nieczyniącej grzechu, lecz cechującej zapatrywania autora na sprawy religijne i w związku będące z religią. Stojąc przy doktrynie tolerancyi w dzisiejszem pojęciu, równoznacznej z rów-

nością praw politycznych, dochodzi do wniosku, że ścieśnienia doktrynie przeciwne, czyniły ludność niekatolicką w Polsce żywiołem politycznie martwym, lub zgoła Rzpltej wrogim. Jest w tem odrobina prawdy, lecz do całej prawdy daleko. Idealnej tolerancyi jeszcze świat nie widział. W współczesnej Anglii, Kościół katolicki jest wolnym jak nigdzie, to jest, pozostawionym samemu sobie, ale katolik duchowny (?) świecki nie będzie dopuszczony do gabinetu, do tajnej rady; sprzeciwia się temu obyczaj, silniejszy od pisanego prawa. W innych krajach, gdzie większość mieszkańców jest katolicką, a zasada tolerancyi w prawa zasadnicze wprowadzona, widzimy ciągłą walkę z Kościołem, odmawianie Kościołowi samorządu i swobód, jakich używają w pokoju protestanci, żydzi, sekciarze wszelkiego gatunku. W praktyce codziennej dzisiejszego świata, tolerancya znaczy wolność dla każdego wyznania i systemu filozoficznego, który z Kościołem katolickim zerwał; podczas gdy znaczyćby powinna równość praw i swobód dla wszystkich bez wyjątku. Tolerancya absolutna musi przeto być sprzeczną z istotą rzeczy i z naturą ludzką, kiedy w życiu ziemskiem przyjąć się i zrealizować nie może. Istnieje ona jedynie jako abstrakcya, której nie należy przenosić w czasy, gdy jeszcze nie była wynalezioną i gdy była wstrętną każdemu myślącemu człowiekowi. Z drugiej znowu strony, wielkie zachodzi pytanie, czy przypuszczenie dysydentów do równości przywilejów, czy zrównanie żydów z chrześcijańską ludnością, mogło przynieść pożądany skutek, uleczyć dysydentów z sympatyi ku ościennym mocarstwom i zwyczaju paktowania z niemi, obudzić w żydach przywiązanie do polskiej ziemi i „obywatelskie uczucia.“ Protestanci i dyzunici nie liczbą groźni byli Rzpltej w XVIII. wieku, lecz tem zwłaszcza że byli, i samem swem istnieniem dawali Prusom i Rosyi powody i preteksta do interwencyi w wewnętrzne sprawy Rzpltej. Od czasów Piotra W., we wszystkich umowach między Rosyą i Prusami wraca niezmiennie punkt o opiece nad dysydentami w Polsce, lecz kwestya dysydentów wystąpiła na seryo dopiero wtenczas, kiedy zabrakło innego, lepszego pretekstu do wzniecenia sporu z Rzpltą. Wiedząc z doświadczenia, jak łatwo wywołać *un grido di dolore*, ile razy tego potrzeba; jak elastycznem jest pojęcie o ucisku na-

rodowym i religijnym, możemy być pewni, że nawet po zupełnem równouprawnieniu dysydentów i nadaniu im najszerszych przywilejów, Rosya i Prusy mogły w każdej chwili znaleźć pozór do wstawienia się za dysydentami, i słabej, niemocą trawionej Rzpltej, równie wielkie zgotować kłopoty: wszak dośćby było bójki ulicznej w jakiem miasteczku nadgranicznem, lub kłótni między zakrystyanem i cerkiewnym. Co się nareszcie żydów tyczy, każde dziecko wie, jak się zachowywali Polacy Mojżeszowego wyznania w roku 1863, pomimo dwoma laty pierwej inaugurowanego braterstwa i reform margrabiego Wielopolskiego. P. Korzon sam przyznaje, że żydzi mieli w Rzpltej prócz swobody religijnej, obszerny samorząd, następnie, że opieka, jaką żydów otoczył sejm czteroletni, konstytucya trzeciego maja, Kościuszko, żadnej zmiany w usposobieniu żydów nie sprawiła, „żydzi nie okazali żadnemi ofiarami uczuć obywatelskich; jedynym objawem życzliwości dla ginącej Polski była dobra wola Józefa Aronowicza i Berka Josielowicza, „klasycznego Berka z Kocka.“ Mąż stanu, dodaje, nie mógł wciągać ludności żydowskiej w rachubę, na wypadek walki o byt narodowy, przed upływem lat trzydziestu od chwili wprowadzenia reform, najlepiej obmyślanych i najstaranniej wykonanych. Trzydzieści lat dobiega, odkąd żydzi w Austryi osiągnęli wszystko, czego dusza może zapragnąć, lada żyd galicyjski powtarza: *bin oesterreichischer Staatsbürger*, lecz Austrya, w razie walki o byt, czy może rachować na ich austryackie uczucia i obywatelską ofiarność? Fakta kłam teoryi zadają i dowodzą, że empiryczne manipulacye nie wystarczają do zlania w jedno elementów sprzecznych, że organizm polityczny nie da się od społecznego oddzielić.

Pod natchnieniem własnych upodobań, p. Korzon bywa czasem wyrozumiałym, pobłażliwym, aż do rozczulającej naiwności. Sądząc protestantów powiada: „Wyznanie ewangielickie nie stanowiło już przeszkody do działalności społecznej, spotkamy też między protestantami wielu takich ludzi, co nie małe dla kraju położyli zasługi,“ i na dowód przytacza jakiegoś drukarza i jakiegoś inżyniera, „który z pobudek gorliwości obywatelskiej napisał dzieło ekonomiczno-finansowe w 1790!.“ Zaiste, różnica wyznania nigdy nie przeszkadzała rozwijać takiej „działalności

obywatelskiej," jak założenie drukarni, albo napisanie książki. Natomiast autor bardzo jest surowym dla duchowieństwa katolickiego, które „wydało tylu występnych, potępionych przez historyę, znienawidzonych przez naród, a nawet wieszanych lub skazywanych na szubienicę dostojników." Szukając „prawdy, a niczego prócz prawdy," przystojnem było zrewidować owe wyroki historyi i trybunałów rewolucyjnych, owe egzekucye uliczne, pobudki owej nienawiści; nie poprzestać na powtarzaniu kursujących podań, lub, przepraszam za wyrażenie, plotek, jak one zażycie trucizny przez prymasa Poniatowskiego „za radą Stanisława Augusta." Portrety prymasów i biskupów zakrawają na karykatury; o popularnych i zacniejszych dostojnikach kościelnych są zaledwie krótkie wzmianki. Duchowieństwo „pełniło w społeczeństwie czynności stanu uczonego, utrzymywało mnóstwo szkół, zajmowało mnóstwo katedr, z pisarzy stanu świeckiego zapewne nie znalazłoby się ani jednego, coby odbył kurs nauk bez nauczyciela księdza; użytkowało z nadanych mu dóbr lepiej, z mniejszą dla kraju szkodą, a z większym pożytkiem niż szlachta; poddani w dobrach duchownych używali znośniejszej doli, mniejsze mieli powinności i więcej od ucisku byli zabezpieczeni, niż w dobrach dziedzicznych szlachty;" wszystkie te zasługi autor podnosi, lecz opuszcza „rozbiór kwestyi, jakie to było nauczanie, o ile odpowiadało wymaganiom ówczesnym rozwoju nauki w Europie," i rozbiór drugiej kwestyi, jeszcze ważniejszej, jak spełniało „posługi religijne." W obrazie stanu duchownego brakuje przeto dwóch rysów najgłówniejszych.

Najzupełniejszym jest rozdział o sprawie włościańskiej; sytuacya prawna, zwyczajowa i istotne położenie chłopa wyjaśnione gruntowniej, niż w innych, dotąd znanych pracach tego rodzaju. Nie proporcyonalnie wiele miejsca zabierają jednak cytaty z druków współczesnych, głosy obrońców *statu quo*, utrzymujących, że chłop polski ma istny raj na ziemi, i repliki nowatorów, nieraz oczywiście pisane albo na przekor tamtym, albo pod wpływem pojęć rewolucyi francuskiej, albo nakoniec wyszłe z pod pióra egzagerantów w rodzaju zacnego Staszyca, który wiecznie utyskiwał, stękał, zrzędził, malował czarną farbą na czarnem tle, pod rozpalonym piecem, obłożywszy sobie głowę ręcznikiem uma-

czanym w gorącym winie [1]. Z przekrwawionego mózgu sypały się mądre przestrogi, złote i święte słowa, a obok niebotyczne hyperbole i filantropijne pomysły w gatunku hrubieszowskiej republiki chłopskiej, bardzo pięknie wyglądającej na papierze, w rzeczywistości dalekiej od zamiarów twórcy. Hugo Kołłątaj był ślepym zwolennikiem zasad rewolucyi francuskiej i chciał gwałtem w Polsce wprowadzić „prawa kardynalne na prawie natury zasadzone.“ X. Strojnowski powoływał się na „prawa natury i umowę społeczną.“ Zgryźliwy Ursyn lubił popularność i wietrzył z której strony wiatr w przyszłości zawieje. Pod wrażeniem ówczesnych deklamacyi i z dzisiejszego zapatrując się na rzeczy stanowiska, autor rzuca aksyomat: „na ogół, stan chłopa szlacheckiego w Polsce był, w stosunku do naszych dzisiejszych wyobrażeń, okropny; w stosunku do krajów zachodnich XVIII. wieku gorszy o tyle, o ile dowolność prywatna i egoistyczna władza licznej klasy oligarchicznej jest straszniejszą i uciążliwszą od porządku państwowego, od władzy chociażby nieograniczonej jednego monarchy...; niewola chłopa dóbr ziemskich w Polsce wieku XVIII. przewyższała srogością współczesne poddaństwo francuskie i niemieckie, jeśli nie wszędzie, to przynajmniej w Prusach i niektórych krajach austryackich.“ Porównanie stanu chłopa w Polsce, ze stanem chłopa w Niemczech i Francyi, jest bardzo trudne, gdyż tu i tam kwestya nie została dotąd dostatecznie wyjaśnioną. Z tego, co powszechnie wiadomo, wnosić wolno, iż prawne położenie chłopa w Polsce było lepszem, niż w Niemczech lub Francyi; ale wskutek niemocy władzy i niewykonywania praw u nas, byt chłopa polskiego spoczywał *de facto* na łasce, na dobroci lub złości szlachcica. „Dowolność prywatna i egoistyczna władza oligarchów“ istniała zarówno w Polsce, jak w Niemczech i Francyi; wszakże we Francyi, pod starą monarchią, obok władzy oligarchów ciążyła jeszcze na chłopie i nieograniczona władza monarchy, chłop francuski dźwigał dwa jarzma, podczas gdy polskiemu dodatkowe jarzmo państwa nieznanem było nawet z nazwiska: prędzej w królu miał i widział opiekuna. Chcąc dojść przez porównanie, jakie było położenie stanu włościańskiego w Polsce pod koniec

[1] Opowiada to szczegółowo kasztelan Koźmian w pamiętnikach.

XVIII. wieku, nie trzeba chodzić do Francyi lub Niemiec, lecz czerpać wskazówki z naszej własnej, niedawnej przeszłości. W Królestwie, w zabranych prowincyach, gdzie pańszczyzna i poddaństwo najdłużej się utrzymały, gdzie chłop pozostał *de facto* i po części *de jure* pod jurysdykcyą i władzą pana, i na opiekę administracyi i sądów nie więcej mógł liczyć jak za Rzpltej, gdzie w naszych oczach stosunek patryarchalny trwał w całej mocy, znajdziemy najlepszą miarę do wniosków o dawnych polskich stosunkach. W ciągu pierwszej połowy bieżącego stulecia, ani szlachcic, ani chłop tak bardzo się nie zmienił, ani w prawodawstwie i obyczajach tak radykalne nie zaszły zmiany, żeby biorąc w rachubę modyfikacye, sprawione okolicznościami i czasem, można było pomylić się zbytecznie. Szlachcic porozbiorowej epoki zachował długo jeszcze stare wyobrażenia, butę, popędliwość, władzę nad chłopem, przywilej bezkarności w stosunku do poddanych; kazał odrabiać pańszczyznę i na przymusowej robociźnie opierał swój warsztat rolniczy; sypał chłopu baty wedle upodobania, oddawał w rekruty, w gniewie groził szubienicą i — pogróżki nie dotrzymywał, a przytem był opatrznością wsi i chłopa. Chłop nie miał tytułu własności i swobody rozrządzania gruntem, nie mógł emigrować, odrabiał pańszczyznę; lecz przeciętne położenie chłopa było znośne, prawdziwy ucisk, eksploatacya chłopa przez pana, zdzierstwa i nadużycia należały do wyjątków; posiadanie gruntu utrzymywało się w rodzinie, której byt i chleb powszedni był zapewniony, nawet w czasach klęsk, na wypadek głodu, pomoru, ognia. I, w przecięciu, nieinaczej się działo w końcu XVIII. wieku. Panowie byli gorsi i lepsi, mniej lub więcej dbali o dobro poddanych. P. Korzon, w opisywaniu szczegółów zawsze sumienny i bezstronny, sprostował niejednę bajkę, niejedno fałszywe podanie o ucisku chłopa polskiego, wyliczył przykłady indywidualne zaprowadzonych ulepszeń, przytoczył świadectwa ludzi niepodejrzanych o parcyalność dla szlachcica, jak ów Holsche, urzędnik pruski; często natomiast myli się w syntetycznych sądach, wziąwszy za ideał uwłaszczenie, dopełnione w formie praktykowanej w Galicyi i w Królestwie, wypływy doktryny o wolności i równości, wraz z kwiatkami humanitaryzmu.

Kiedy za Stanisława Augusta pojawiły się pierwsze głosy, żądające zniesienia poddaństwa i pańszczyzny, dziewięć dziesiątych szlachty krzyknęło, że to zamach szalony na przyrodzony porządek świata. Zamoyski czynszujący chłopów, zwany był „burzycielem spokojności powszechnej.“ Przywiązanie do pańszczyzny przetrwało rozbiory i następne przewroty, objawiło się w sejmie 1831 r. i ustąpiło dopiero po długiej walce, do czego znakomicie przyłożyły się rachuby polityczne, które, nawiasem mówiąc, całkowicie zawiodły. Dziś z latarnią nie znajdzie w Polsce zwolennika pańszczyzny; nie chciałby jej powrotu żaden szlachcic, co niedalej jak ćwierć wieku temu, nie mając ani wozu, ani pługa, ani brony, ani konia ani wołu roboczego, przepowiadał koniec świata na słuch o reformatorskich projektach Towarzystwa Rolniczego. Pańszczyznę i poddaństwo potępia teraz nauka, polityka, jednomyślny wyrok całego społeczeństwa, ale obalone zostały siłą faktów; potem dopiero przyszła sankcya prawodawcza. Sto lat temu, garstka nowatorów, ubogich w argumenta przekonywujące, nie umiała wskazać praktycznego rozwiązania kwestyi. Nie sama tylko chciwość i ciemnota, „twardość słów szlacheckich,“ pobudzała szlachtę do oporu. Nie ustał był prąd emigracyi na wschodnie stepy czarnoziemu, który spowodował niegdyś zakaz opuszczania gruntów; zamiana pańszczyzny na czynsze spotykała nieprzełamane trudności. Udarować chłopów wolnością znaczyło tyle, co dopuścić wyludnienia i obrócenia w pustynię całych prowincyi, narazić na upadek produkcyę rolną, zniszczyć szlachtę i przyprawić o bankructwo Rzpltą. Zadekretować zamianę pańszczyzny na czynsze, nic łatwiejszego, lecz skąd chłop miał wziąść pieniędzy, kiedy w kraju gotówki brakowało, kiedy zbyt zboża był utrudniony i zarobek niepewny? Zamoyski ustanowił czynsze u siebie, pomimo to całe wsie, nie będąc w stanie czynszów płacić, odrabiały nadal pańszczyznę z dobrej woli. Po roku 1815, w Królestwie i w Galicyi, wielcy właściciele ziemscy cierpieli nędzę, bo niebyło sposobu sprzedać zboża; więc chłop musiałby był marnować zebraną z pola odrobinę i pójść na łup lichwiarzy albo też czynszu całkiemby nie płacił. Prawdopodobnie skończyłoby się na jednem i drugiem, z obustronną szkodą i szkodą kraju, stojącego rolnictwem. Twórcy ustawy trzeciego maja uczy-

nili dla stanu włościańskiego wszystko, co w danych okolicznościach uczynić byli w stanie; dalej idąc, łatwo mogli kraj wystawić na nieobliczone niebezpieczeństwa, poruszyć ciemne masy, na których poskromienie siła materyalna Rzpltej nie wystarczała; wszak i tak, zdarzyły się tu i owdzie ruchy chłopskie, wywołane wieścią o nadanych swobodach. W ostatecznym też rezultacie, autor nie śmie potępić „bojaźliwych reformatorów“ czteroletniego sejmu za to, że „nie wynaleźli sposobu opatrzenia włościan gruntami własnymi, i że im nie starczyło tchu na wygłoszenie okrzyku: wolność wszystkim chłopom polskim.“

Z tego, co poprzedza, nie trudno się domyślić, jak długim jest w książce p. Korzona spis win i nieprawości stanu szlacheckiego. Szlachcic jest zawsze najgłówniejszym sprawcą każdego złego, a szlachcicem powoduje szlachecki egoizm, szlachecka loika, szlachecka chciwość przywilejów i panowania, jak gdyby te wszystkie niecnoty były specyficzną własnością jednego stanu szlacheckiego. Szlachta nietylko w Polsce broniła własności ziemskiej od ciężarów publicznych, ale i mieszczaństwo, ilekroć przychodzi do rządów, takim samym przywilejem otacza kapitał ruchomy i źródła własnego bogactwa. Monopol rządzenia w Polsce, szlachta zdobyła kosztem krwi własnej i o ten monopol dbała tyle, co mieszczaństwo francuskie za Ludwika Filipa, osiągnąwszy władzę rękami zbałamuconego proletaryatu. Do sprawowania urzędów w Polsce wymagano tytułu posiadania kawałka ziemi, „podług loiki szlacheckiej przeto ziemia posiadała jakąś moc mistyczną, że czyniła posesyonata zdolnym do wszystkiego.“ Rzekoma loika szlachecka zgodną była z naturą i loiką rzeczy. Najprzód w każdym kraju, tembardziej w kraju wyłącznie rolniczym, własność ziemska jest podstawą istnienia społeczeństwa. Ludzkość mogłaby się ostatecznie obyć bez filozofów, poetów, literatów, dziennikarzy, fabrykantów, kupców, ale nie zdoła się ostać bez rzeczy człowiekowi do życia nieodbicie potrzebnych: pożywienia, odzienia i dachu nad głową, których dostarcza ziemia, potem ludzkim zdobyta. Stąd płynie tytuł stanu ziemiańskiego do znaczenia w społeczeństwie. Dalej, rządzenie krajem jest gospodarstwem na wielką skalę; bezpieczniej zatem powierzać rządy

ludziom obeznanym z rzeczą przez codzienną praktykę, aniżeli projektowiczom, którzy rzemiosła dopiero uczyć się muszą.

Traktując sprawę miejską, obrobioną w sposób bardzo staranny i zajmujący, winę upadku miast i mieszczaństwa przypisuje autor najbardziej szlachcie. Wiadomo powszechnie, że ruina miast w Polsce datuje od wojen szwedzkich za Jana Kaźmierza; przyznawszy to, p. Korzon ciągnie dalej w następny sposób: „W dawnych wiekach, pogańska Litwa, Tatarzy i inni sąsiedzi mało co mniejsze od Szwedów czynili spustoszenia; los nawiedzał Polskę swojemi klęskami zawsze w równej zapewne (?) mierze, i pożary „z dopuszczenia Bożego“ wynikały zapewne nie rzadziej (?); a jednak miasta i przemysł kwitną pod berłem Jagiellonów. Musimy przeto szukać innych przyczyn smutnego zjawiska.“ I szukając, dochodzi do przemocy i samowoli szlacheckiej. Bez kwestyi, szlachcic przyłożył się do zniszczenia miast, ale szlachcic niszczyciel przyszedł ostatni, gdy pomyślność miast była już podkopaną, raz przez ciśnięcie się mieszczaństwa między szlachtę, drugi raz przez Szweda. Wzbogacony mieszczanin marzył tylko o nabyciu własności ziemskiej i nobilitacyi; osiągnąwszy cel swoich marzeń, porzucał przemysł i handel, przyjmował od szlachcica przesądy i pogardę stanu, z którego wyszedł. Miasta, ogałacane z najprzedniejszego żywiołu, schodziły na podrzędne stanowisko i traciły siłę, potrzebną do obrony swych przywilejów. Najazd szwedzki był bezporównania straszniejszy, gospodarował w Polsce dłużej i gorzej, niż dawne inwazye pogan i Tatarów, przechodzące jak burza lub powódź; obrócił miasta w kupy gruzów, przywiódł do nędzy ludność miejską. Potem dopiero ruiny dopełniła szlachta, odbierając miastom samorząd, usuwając się od obowiązku płacenia ceł, psując coraz bardziej rząd Rzpltej.

Bardzo ciekawym jest rozdział o usiłowaniach stworzenia przemysłu w Polsce za Stanisławowskich czasów. Przykład szedł od króla, który nie szczędził własnej szkatuły, zaciągał długi osobiste, wznosił fabryki, protegował „kompanie,“ wpływem swoim wciągał magnatów w industryjne przedsięwzięcia. Nie było rzeczy, którejby nie próbowano i w początkach wszystko zdawało się iść przedziwnie. Po niejakim czasie, pokazywało się, że wyrób krajowy drożej kosztuje ak zagraniczny; pożarłszy ogromne

sumy, przedsiębiorstwa upadały jedne po drugich, największe, najkosztowniejsze, upadek najpierw i najdotkliwiej dosięgał. Na czele stała szlachta, nikt przecież nie powie, że specyficzne przywary szlacheckie sprowadziły klęskę. Prot Potocki i Antoni Tyzenhauz są typami ówczesnych finansistów i twórców industryi; ani jednemu, ani drugiemu nie zbywało na talencie, duchu inicyatywy, pracowitości, energii; obaj upadli, rzuciwszy się na przedsięwzięcia nad możność, jak w naszych czasach upadł Strousberg, Philippart, Bontoux i tylu innych mieszczańskiego pochodzenia spekulantów, choć żaden z nich nie był „zuchwałym magnatem polskim."

Z uwagą czytając książkę p. Korzona, przychodzi się do przekonania, że wieleby zyskała, gdyby autor ograniczył się był do samego przedmiotu, nie wiązał zamiarem dochodzenia „przyczyn i istoty upadku państwa polskiego," nie zapuszczał na pole historyozoficznych hypotez. O ile pierwsza część pracy jest ze wszech miar nauczającą i pożyteczną, o tyle druga obronna, ma wątpliwą wartość i niejednego w błąd wprowadzić może.

Akademii krakowskiej należy się wyraz wdzięczności za wydanie dzieła, które w przeciwnym razie mogło długo czekać na nakładcę. Od publikacyi, opatrzonej powagą najpierwszego ciała uczonego w Polsce, wolnoby może żądać nieco większej czystości języka. Autor kształcony widocznie w szkołach rosyjskich, pisze jak wszyscy prawie najmłodsi publicyści nasi, stylem noszącym znamię germańsko-rosyjskiego pochodzenia; rzeczą wydawcy, opiekuna mowy ojczystej, kłaść tamę dalszemu jej skażeniu. Natomiast, gdy wszędzie objawia się dążność uproszczenia pisowni, akademia komplikuje swoję w sposób, który zapewne naśladowców nie znajdzie, bo sprzeciwia się zwyczajowi oddawna przyjętemu. Nadto, przy mnogości błędów druku, nikt wiedzieć nie może, co położyć na karb reguły akademickiej, a co na karb omyłek zecera i korektora.

Henryk Lisicki.

ZAPISKI BIBLIOGRAFICZNE.

O Sakramencie pokuty według zasad św. Alfonsa i innych najznakomitszych autorów, opracował *ks. Dr. Adam Kopyciński*, prof. rz Teologii pasterskiej w seminaryum tarnowskiem. Tarnów 1883. — Część I. str. 299.

Nie ma na pozór nic łatwiejszego, w rzeczy zaś samej nic trudniejszego, jak wypracowanie jędrnego a wyczerpującego kompendyum teologii moralnej. Dowodem tego mnożące się coraz nowe takie kompendya: — mówiąc tylko o najbardziej znanych — niedawno wyszła teologia moralna ks. Gurego przerobiona i powiększona na podstawie notat ks. Ballerinigo, a w kilka zaledwie miesięcy później pojawiła się wyborna praca O. Lehmlkuhla T. J., która bodaj czy nie zajmie niebawem miejsca Gurego. Rzecz pocieszająca, że i u nas zabrano się do uprawy tego tak ważnego pola. Książka ks. Dr. Kopycińskiego nie obejmuje wprawdzie w swym planie całej teologii moralnej, ale bądź co bądź obejmuje część jej najważniejszą, w której poniekąd cała ta nauka mieści się, a przynajmniej najściślej z nią łączy. Kompendyum takie, mające służyć i dla uczniów i dla spowiedników, wtedy odpowiada swemu celowi, jeśli treść o ile można najbogatszą potrafi ująć w formę jak najbardziej przejrzystą, tak, żeby uczący się teolog, czy spowiadający kapłan w jednej chwili odnalazł obchodzącą go kwestyę, dowiedział się o odnośnych do niej zdaniach, a następnie na podstawie tych zdań i ogólnych zasad teoryi probabilizmu, jasny i wyraźny sąd sobie wyrobił. O ileż Dr. K. celowi temu odpowiedział? Wielkiego bogactwa treści, pewnej nawet erudycyi nietylko w teologii moralnej ale i dogmatycznej, odmówić mu nikt nie może. Tak np. rozbierając pytanie, jaka miłość usprawiedliwia grzesznika jeszcze przed przystąpieniem do spowiedzi, cytuje autor dogmatyczne dzieła Mazelli, Perronego, Palmierego, Hurtera, że wspomnimy tylko nowszych pisarzy. Ojcowie św., autorowie klasyczni jak św. Tomasz zw. Liguori, de Lugo, Suarez i inni, czasem nawet i polscy nasi pisarze, jak Sokołowski stają na zawołanie autora i w tekstach w ogóle dobrze wybranych, stwierdzają jego wykład.

Materyał więc jest dobry, starannie z erudycyą dobrany i gdyby materyał ten wlać w odpowiednią formę, książka Dra K. mogłaby stać się klasyczną. Ale właśnie tej starannej formy niedostaje. Przedewszystkiem brak jasności: główne zasady gubią się w szczegółach, ważne wyjątki z tych zasad nikną w długich rozprawach i niezawsze koniecznych szermierkach. Tak n. p. dysputy z autorami „Vindiciae Alphonsianae“ należało umieścić w notach, jeśli w ogóle stosownem

było z nimi dysputować, albo też czasami ich bronić. Opuściwszy te i inne mniej u nas potrzebne dysputy i przydługie cytaty, zostałoby więcej miejsca na dokładniejsze objaśnienie bulli „Apostolicae Sedis“. Niektóre cenzury w tej bulli zawarte, np. o czytaniu zakazanych książek, autor wytłómaczył zbyt pobieżnie, nie poruszając np. tak ważnej kwestyi o czytaniu książek naukowych, napisanych przez heretyków, którzy nie mają wprawdzie na celu bronienia herezyi, ale przy lada sposobności błędy jej wypowiadają.

Obok braku jasności razi i wprost już niezrozumiały makaronizm, mięszanina języka polskiego, łacińskiego a w notach i niemieckiego. Mniejsza już o wstawianie łacińskich słów w tekst polski (np. str. 20), ale dlaczego np. słowa św. Augustyna przytoczone są po polsku, a obok słowa św. Bernarda po łacinie? Dlaczego na str. 143 uchwała soboru trydenckiego przytoczona po łacinie, a na str. 145 po polsku? Dlaczego cały przykład praktyczny (str. 75) po łacinie? Pojmujemy, że mówiąc o niektórych kwestyach drażliwych (np. str. 175 i nast.) autor z ostrożności wolał użyć języka łacińskiego, ależ ów wypadek z Damazym na str. 75 mógł wcale przyzwoicie przedstawić się w polskiej szacie. Za to trudno nam pojąć, jak to spowiedź ma być „naga“ (str. 99). czem jest właściwie „podmiot“, który się ma spowiadać, a czem „żywioł“ spowiedzi, tem bardziej, że obok tego „żywiołu“ spotykamy się i z „materyą“ spowiedzi, która nie wiedzieć, czy jest tem samem co żywioł, czy czemś odmiennem. Trudno też zrozumieć np. to zdanie: „Jeżeli spowiednik nie może rozgrzeszyć penitenta, a l b o w i e m odracza, lub też zaprzecza mu rozgrzeszenia, powinien i t. d.“ (str. 141). Mamy wszelako wielką wyrozumiałość dla autora. Pierwsza to jego większych rozmiarów praca, a pisał ją pod nawałem zajęć profesorskich i innych użytecznych dla miasta Tarnowa i kraju zatrudnień. Niebawem okaże się powtórne wydanie tej książki, pierwsze bowiem wyczerpane zupełnie, a wtenczas, tuszymy to sobie, znikną owe braki formy i stylu. *J. B.*

Der Weg zum inneren Frieden v. P. von Lehen, S. J. nach der vierten Auflage aus dem Französischen übersetzt v. *P. J. Brucker S. J.* 9. Auflage. Freiburg im Breisgen. (Herdersche Verlags-Handlung 1883, cena 2.25 marek).

Dziełko to niewielkich rozmiarów (w 16-ce str. 451) ale treścią bogate, sprawiedliwie odpowiada swojemu tytułowi i zasługuje na to, żeby być w rękach osób dążących do doskonałości a zwłaszcza przewodników duchownych. Wewnętrzny pokój jest dla każdego człowieka pożądanym, a osobliwie dla dusz oddanych Bogu jest nagrodą ich pracy oraz dźwignią dalszego postępu. Tymczasem niedostateczna znajomość dróg bożych i sideł szatańskich przy pewnej lękliwości sumienia, zmienia im nieraz pociechy życia, pobożnemu właściwe, w gorzkie niepokoje, mogące ich nawet doprowadzić do zniechęcenia i opuszczenia drogi zbawienia. Dziełko obecne wskaże tym duszom prawdziwie cierpiącym, j a k w e w s z y-

stkich cierpienach mają się oddawać opatrzności boskiej, na czem polega, prawdziwa pobożność, jakich środków używać mają do osiągnienia pokoju szczególnie w najdotkliwszych pokusach i cierpieniach duszy. Oto treść dziełka. Autor tegoż O. Lehen, T. J. złączył w sobie doświadczenie roztropnego męża z wykształceniem i pobożnością zakonnika. Jako doktor praw i nauk wyzwolonych wstąpił we Francyi do zakonu Tow. Jezusowego; tam ukończywszy teologiczne studya pełnił urząd mistrza nowicyuszów. Nie poprzestając na własnem doświadczeniu przerzucał spore tomy ksiąg uczonych, a w dziełku swem przytacza zdania, nawet całe ustępy mężów światłych i odznaczających się prowadzeniem dusz jakimi byli św. Franciszek Salezy, Scupoli, Fenelon, O. de la Colombiere, O. Michel, O. Gaud, Duguet. Umarł w Angers w 62 roku życia. Niemieckie tłomaczenie przez O. Bruckera T. J. z 4-tego wydania francuskiego zaleca się w skutek skrócenia i uproszczenia doskonalszą formą i doczekało się już 9-go wydania.

Himmlisches Manna. Nach den Offenbarungen der heiligen Brigitta von *P. Schmoeger*. Pustet. Regensburg 1883. 416 str. 2 marki.

Objawienia te spisał Piotr, przeor Cystersów w Alvastra, cudem Świętej do tego spowodowany. Nadzwyczajne dary, łaski św. Brygitty uznali za prawdziwe Papieże: Grzegorz XI, Urban VI, Bonifacy IX i Marcin V. To przekonanie Kościoła okazuje się w modlitwie kościelnej na święto ś. Brygity: „Panie Boże nasz, który przez Twego Jednorodzonego błogosławionej Brygicie niebieskie tajemnice objawiłeś“... W wielkiem swem dziele o Najśw. Pannie, cytuje bł. Kanizy objawienia te na wielu miejscach, „ponieważ dla katolików dalszego udowadniania wcale nie potrzebują, (księg. 1. rozd. 7.)“. Dzieło to mieści w sobie wybór najpiękniejszych i najważniejszych objawień z ust własnych Boskiego Zbawiciela i Dziewiczej Jego Matki o tajemnicach stworzenia, wcielenia i odkupienia, o poczęciu, narodzeniu i życiu Najśw. Panny, o jej miłości i miłosierdziu dla ludzi.

Medulla pietatis christianae IV editio, 367 str. Coloniae Bachem 1883. 1 marka. — Manuale Sacerdotum. *Schneider S. I.* Editio IX. Bachem 5 m. 50 f.

Z łacińskich książek do modlenia po „Coeleste Palmetum“ Ojca Nakateni T. J., należy bezwątpienia książkę O. Schneidera za najlepszą uważać. Książkę tę wyszczególnia przedewszystkiem 31 medytacyj i doskonały dobór hymnów. Kościół modli się po łacinie, a więc i dzieci Jego powinny się starać tę mowę rozumieć. Modlitwy są po wielkiej części wyjęte z Ojców Świętych.

Wszystko, cokolwiek kapłanowi w wykonywaniu obowiązków powołania swego może być potrzebnem, zebrał O. Schneider w bardzo praktyczny sposób w swem *Manuale Sacerdotum*, które rozeszło się dotąd w poważnej cyfrze w 37.800 egzemplarzy po całym świecie. Dzieli się ono na

część ascetyczną i praktyczną. Pierwsza obejmuje 68 rozmyślań o najważniejszych cnotach stanu kapłańskiego, główne tajemnice wiary i święta roku kościelnego. Oprócz tego przygotowania i dziękczynienia po mszy św., porządek rekolekcyj i t. d. Część druga daleko obszerniejsza (Pars liturgica et pastoralis) zawiera rubryki i sposób sprawowania sakramentów (Summa Rubricarum, Administratio Sacramentorum), rozprawia o innych obowiązkach duchownych n. p. o wizycie biskupiej. Daje także przepisy co do wystawienia Najśw. Sakramentu, udzielenia benedykcyj i t. p. Na końcu umieścił autor 36 formularzy rozmaitych urzędowych podań do zwierzchności kościelnej. Traktat o Sakramencie Pokuty stanowi zupełne kompendyum z teologii moralnej. Traktat o małżeństwie, rozwięzuje wszystkie prawne i moralne trudności. *Manuale* służyć może za najlepszy podarek dla świeżo wyświęconych kapłanów.

Mgr. Salzano Archevêque d' Edesse vie de Saint *Thomas d'Aquin* traduit par l'abbé Vallée. (Paris, oeuvre de Saint Paul).

Całe życie doktora Anielskiego rozwinął autor w swej książce, która może być źródłem medytacyi dla tych co chcą postępować w wiedzy i cnocie. Najlepszym dowodem wartości tego dzieła jest breve, w którem Ojciec św. Leon XIII. przyznaje ważność pochwał oddanych mu szczodrze przez krytykę.

La perfection sacerdotale ou application de l'Eucharistie a la vie du Pretre, *L'abbé Gerardin* d'apres les Sainsts docteurs (Paris, oeuvre de Saint Paul).

Autor w swej książce podaje zbiór rad i myśli zaczerpniętych z pism Ojców Kościoła. Od chwili wyświęcenia się, aż do najdrobniejszych szczegółów dotyczących stanu duchownego, wszystkie wrażenia serca oddanego służbie Bożej są ściśle rozbierane i śmiało powiedzieć można, że niema położenia dla któregoby książka ta nie zawierała odpowiedniej rady i nauki. Poleca ją się też gorąco.

Z dzieł historycznych.

Akta do dziejów króla Jana III., sprawy r. 1683 a osobliwie wyprawy wiedeńskiej wyjaśniające, wydał *Franciszek Kluczycki*, członek Komisyi historycznej Akad. Umiejętności w Krakowie. Kraków. 1883. XXXIII. 704.

Wobec jubileuszu odsieczy wiedeńskiej, komisya historyczna Akademii Umiejętności zmieniła właściwy porządek w wydawnictwie aktów odnoszących się do panowania Jana III., a nie szczędząc starań i kosztów, wydała osobny tom dokumentów tyczących się wyłącznie pamiętnego r. 1683. Najlepszy to był i najgodniejszy sposób odpowiedzi na tendencyjne historye i artykuły zagraniczne.

Współczesne listy i relacye ludzi różnych charakterów i różnej narodowości, wyświecają najlepiej, jakiej wagi była odsiecz wiedeńska, jak się na nią zapatrywała i komu ją przypisywała cała Europa. Aby i zagraniczni uczeni korzystać mogli z polskich dokumentów, zamieścił wydawca obok polskiego tekstu dokładne tłómaczenie francuskie dokonane przez p. Juliusza Mien; ucierpiał wiele na tem wdzięk polskiego stylu, którego w żadnym obcym języku oddać niepodobna, ale treść może pierwszy raz oddana wiernie. Oryginalnych, po raz pierwszy drukowanych dokumentów, znajdujemy trzysta dwa, a są one pozbierane z niemałym zachodem z piętnastu publicznych i prywatnych archiwów. Czterdzieści siedm innych pism było już dawniej ogłoszonych. Przy takiem bogactwie aktów nie wolno skarżyć się na drobne jakie opuszczenie, ale zawsze szkoda, że wydawca nie miał pod ręką listu królowej szwedzkiej Krystyny z powinszowaniami i najwyższemi pochwałami dla Sobieskiego (z 23 października 1683. U Arckenholtzea. Mémoires pour servir à l'histoire de Christine. T. II. 219). List Krystyny jest nowym dowodem, jak w Rzymie zapatrywano się na Obrońcę Wiednia i jaki entuzyazm i „uwielbienie bez granic“ panowało tamdla jego „heroicznego męstwa“.

Szczególnie ciekawymi są listy odnoszące się do bitwy pod Parkanami i w ogóle do całej wyprawy węgierskiej. List Franciszka Taaffe pisany po angielsku, oddaje zasłużone pochwały męstwu Polaków a w szczególności Jabłonowskiego. Elektor brandenburski Fryderyk Wilhelm, winszował Sobieskiemu w osobnym liście odniesionego zwycięstwa pod Parkanami; w liście pisanym w trzy dni później zaklinał znów polskiego króla o wstawienie się do Leopolda za węgierskimi dyssydentami. Cytujemy na chybi trafił tę parę szczegółów, aby dać poznać, jak niezmiernie ważne i ciekawe dokumenta mieszczą się w tem jubileuszowem wydawnictwie. Jest ono jubileuszowem pod względem treści, ale wyznać należy, że zewnętrzny kształt i forma w niczem nie ujmuje treści. Błędów drukarskich, nawet w dokumentach włoskich i łacińskich, stosunkowo bardzo mało. Wyczerpujący spis (str. 653—704) imion i rzeczy ułatwia poszukiwania a cztery wierne facsimile uprzytomniają nam niejako najważniejsze osobistości występujące w decydującej tej walce krzyża z księżycem. *B.*

VITAE ET MIRACULA SS. Hedwigis et Annae, ducissarum Silesiae, wydał *Dr. Aleksander Semkowicz.* Odbitka z IV. tomu dzieła: Monumenta Poloniae historica. Lwów 1884, str. 165 in 4-o.

Do dokładnego zapoznania się z historyą jakiegoś czasu, należy koniecznie przypatrzeć się żywotom nietylko ludzi sławnych, ale i świętych tej epoki, tembardziej jeśli ci święci zajmowali zarazem znaczne i wpływowe stanowisko. Wiele ciekawych szczegółów, zwyczajów i obyczajów, które skądinąd poszłyby w zupełną niepamięć, zachowali nam pobożni pisarze żywotów współczesnych sobie świętych; a tak żywoty te mają wartość nietylko ascetyczną,

ale i historyczną. W tej myśli Dr. Semkowicz wydał z rękopisów w czwartym tomie „Historycznych pomników polskich“ dwa dawne żywoty św. Jadwigi, do których dołączył genealogię tej świętej i króciutki żywocik Anny, żony Henryka Pobożnego. Jak przystało na wydawnictwo tak poważne, Dr. Semkowicz nie zadowolnił się jednym kodeksem, ale porównał najstaranniej ośm różnych odpisów tegoż samego żywota św. Jadwigi, a drobne waryanty poumieszczał w przypiskach. Dawną ortografią, wyraźne nawet błędy zachował wydawca najskrupulatniej. Nie zbyt liczne, ale dobrane objaśnienia ułatwiają czytelnikowi korzystanie z tej pracy. Skoro będziemy mieli więcej takich i tak starannie opracowanych wydawnictw, wtenczas dopiero możliwą będzie prawdziwie gruntowna i wszechstronna historya Kościoła w Polsce. *B.*

Statuta capitularia ecclesiae cathedralis cracoviensis, mandato et impensis R. et Cl. *D. Caroli Teliga,* Decani capituli ecclesiae cathedrali cracoviensis edita. Cracoviae 1884 str. XVI. 330.

Myśl i środki materyalne na wydanie Statutów kapitulnych katedry krakowskiej zawdzięczamy ś. p. X. Karolowi Telidze, a staranne urzeczywistnienie tej pięknej myśli winniśmy niezmordowanemu Notaryuszowi Kapituły krakowskiej, X. Ignacemu Polkowskiemu. Wydawca opatrzył pomnikowe to dzieło obszernym wstępem i dwoma bardzo starannymi regestrami. Statuta kapitulne zawierały się w czternastu, a właściwiej mówiąc, w szesnastu rękopiśmiennych kodeksach, począwszy od statutów z czasu biskupstwa Jana Grota, aż do statutów z pierwszej połowy przeszłego wieku.

Zaraz w pierwszych uchwałach uderzają surowe przepisy co do jednostajności stroju kanoników i prałatów krakowskich i co do noszenia tonzury. Jeźliby który z kanoników nie znajdował się w stallach w czasie egzekwij za dusze królów, prałatów i dobrodziejów Kościoła, musiał płacić grosz kary. Osobne znów kary wyznaczone na zdradzających sekreta kapituły. Dekretem z 12 maja 1589, kapituła postanowiła obierać corocznie z swego grona dwóch cenzorów, którzy po bratersku i roztropnie czuwaliby nad obyczajami i sławą swych współbraci. Dekret ten wskazuje najlepiej, jak dobry duch panował w kapitule pod koniec XVI-go wieku. Uchwałą z 1604 r. zabezpiecza się kapituła przeciw możliwemu nepotyzmowi. Wiele uchwał odnosi się do przedłużenia lub skrócenia czasu wakacyj tak zwanych „tempus vindemiarum“ i „mensis amicorum“. R. 1733 postanawia kapituła, aby kanonik, odprawiający ośmiodniowe rekollekcye, nie tracił w tym czasie ze zwykłych dochodów i uważanym był za obecnego w katedrze.

Pod koniec ciekawego tego zbioru uchwał, znajdujemy reformę chóru i rzeczy do chóru się odnoszących, dokonaną r. 1596 przez kardynała Radziwiłła. Uchwały Radziwiłłowskie odnowili w głównych zarysach biskupi: Maciejowski, Tylicki, Gembicki. Z statutów tych odnosi się to pocieszające wrażenie, że w najgorszych nawet czasach Kapituła krakow-

ska stała twardo przy swych obowiązkach, a gdy pod jakimkolwiek względem czuć się dały braki, znachodziła zawsze w swem łonie mężów, którzy brakom tym starali się jak najspieszniej i najlepiej zaradzić. *B.*

KRÓTKI ZARYS HISTORYI Kościoła katolickiego przez *X. A. St. Stachowskiego.* — Poznań 1884.

Jest to zebranie mnóstwa wiadomości i notatek cennych z historyi Kościoła, ale organicznie nie związanych. Autor trzymał się mniej więcej metody Robitscha, którego książka jest w naszych szkołach średnich przyjęta. Podzieliwszy więc całą historyę na kilka okresów, traktuje w każdym wszystkie sprawy według tego samego porządku: Rozkrzewienie wiary. Przeszkody w tem rozkrzewieniu. Herezye. Hierarchia i Zakony. Obrzędy. Do tego oddany w przypiskach ruch naukowy i artystyczny. W ten sposób rzecz opowiedziana nie żyje, nie rośnie i nie rozwija się, ale układa w pewną ilość szufladek w głowie *ad hoc* przygotowanych. Szczególnie ostatni okres, od Lutra do nas, najgorzej na tem wyszedł, bo gdy w pierwszych dwóch rozdziałach przy rozszerzeniu wiary i przeszkodach, dochodzimy do rewolucyi francuskiej, do Napoleona i rozbioru Polski, o Lutrze dowiadujemy się w trzecim rozdziale gdzie mowa o herezyach. Schizma, która już w czwartym wieku kiełkuje a dotąd tak trwa uporczywie traktowana zbyt pobieżnie, żaden zresztą wiek i żadna sprawa nie jest podniesiona wyżej nad inną, wszystko jednako zanotowane. Duch książki dobry, miłość Kościoła widoczna, choć może zbytnia łatwość w przyznawaniu słuszności co do plam w Kościele. Jako obfity zbiór ściśniętych wiadomości, książka ta może być pożyteczną, choć uważać bardzo trzeba. Tak czytamy na str. 108 w przypisku że „Dante, Petrarka (!) i Boccacio (!!) unieśmiertnili się, wznosząc poezyę religijną do najwyższego stopnia doskonałości.“ Widoczny także w tej książce pośpiech, który obok braku jasności czyni tę książkę do szkolnego użytku zupełnie niewłaściwą. *X. E. S.*

STAROŻYTNOŚCI WITEBSKIE. Ułożył i wydał *A. Sapunów.* Witebsk 1883 r.

Autor starał się w tem wydawnictwie nagromadzić jak najobfitszy materyał do historyczno-statystycznego opisu Witebska. Na wstępie zamieszcza krótki rys historyczny tego miasta. W przyszłości zaś obiecuje napisać obszerną monografią Witebska, na podstawie zgromadzonych przez siebie źródeł.

Powyższy zbiór dzieli się na dwie części: w pierwszej podaje wydawca wyjątki z kronik litewsko-ruskich, lecz tylko takie, które mają jakikolwiek związek z miastem Witebskiem; w drugiej gromadzi dokumenta najróżnorodniejszej treści, obejmujące większą część obszernego tomu. Jedne z nich były już drukowane po rozmaitych wydawnictwach; inne zaś zostały dopiero po raz pierwszy ogłoszone drukiem. Źródła te odnoszą się do historyi miasta w ścisłem znaczeniu i do jego stosunków administracyjnych, sądowych i ekonomicznych. Są one najróżnorodniejszej treści

i znaczenia: np. powieść o pobycie w Witebsku i Pskowie Hieronima z Pragi, znanego stronnika Jana Husa; dokumenta do życia i czynów św. Jozafata Kuncewicza i t. d. Zamieścił tam również kronikę witebską, ułożoną w języku polskim przez mieszczan witebskich: Michała Pancernego, Gabryela i Stefana Awerki w latach 1760—68. Do czasów najdawniejszych autorowie wyżej wymienieni robili wyciągi kronik, a następnie podali krótki przebieg faktów i zdarzeń, dotyczących tego grodu białoruskiego. Szkoda tylko, że p. Sapunów podał tę kronikę w przekładzie na język rosyjski, jak również i wszystkie dokumenta wydane w języku polskim lub łacińskim, tłómaczył na rosyjski, czem zmniejszył wartość naukową własnej pracy i możność korzystania z niej dla nieznających języka rosyjskiego.

Obok materyału historycznego znajdujemy w „Starożytnościach Witebskich“ podobizny pieczęci i herbów Witebska i województwa witebskiego; dalej facsimilia przywilejów królewskich i podpisów królów, kanclerzy litewskich, biskupów unickich i dyzunickich, mapy księstw witebskiego i połockiego, mapy połockiego i witebskiego województw z r. 1579, plan zamku witebskiego z w. XVI-go, obrazy starożytnych cerkwi; nareszcie portrety biskupów unickich i dyzunickich. Na końcu umieszczono spis książąt witebskich, władyków, archimandrytów, wojewodów, kasztelanów, i gubernatorów. *Sulima.*

O KRONIKACH. *A. J. Markiewicz.* Zeszyt I. Odessa. 1883 str. 183.

Dotychczasowe prace historyków rosyjskich o kronikach, chociaż one stanowiły najważniejsze, a niekiedy nawet i jedyne źródło do dziejów Rosyi i Rusi — były niedostateczne. Pisano o tym przedmiocie bardzo wiele. Polenów i Byczków, wydawca „Połnaho sobranja ruskich letopisiej“, zwracali przedewszystkiem uwagę na warunki umiejętnego wydawania kronik; p. Kostomarów w swych prelekcyach podał charakterystykę autorów i dopisywaczy annałów; Bestużew-Riumin w „Historyi Rosyjskiej“ zrobił wykaz najważniejszych prac naukowych lub artykułów, mających na celu badanie kronik; p. Sołowjew, w pierwszym tomie swej obszernej historyi Rosyi, zajmuje się również kronikami ruskiemi i rosyjskiemi i stara się ocenić ich wartość i znaczenie dla historyka. Lecz brakło dotychczas pracy, któraby dawała pogląd na literaturę samego przedmiotu; pozwalała rozpatrzeć się w poglądach rozmaitych pisarzy historycznych na kroniki i kronikarzy. Tę lukę starał się zapełnić p. Markiewicz.

Praca jego powstała z wykładów na Uniwersytecie odeskim. Autor przedstawił cały szereg najróżnorodniejszych zapatrywań na kronikarzy i kroniki ruskie i rosyjskie, nie wypowiadając prawie własnych opinii lub występując z niemi bardzo rzadko. Głośnem zadaniem tej książki było dać obraz rozwoju poglądów na kroniki, co jednak zmuszało autora i do rozbioru samychże kronik. Skutkiem tego kronice Nestora i jego kontynuatorów, znanej pod nazwą: „Powiesti wremiannych let“, poświęca 83 stronic, zastanawiając się obszernie nad jej pochodze-

niem, osobą autora, nad układem, formą zewnętrzną i sposobem przedstawienia rzeczy.

Najpoważniejszą częścią tego dzieła jest bibliografia prac większych i mniejszych, nawet artykułów pojedyńczych, porozrzucanych po czasopismach naukowo-literackich, pochodzących częstokroć z pod pióra dziś zupełnie zapomnianych autorów. A więc znalazły tam miejsce sprawozdania z pierwszorzędnej wartości monografij, jak Schlözera, Pogodina, Bielajewa, Suchomlinowa, Kostomarowa, Śreźniewskiego, Byczkowa, Bestużewa-Riumina; oprócz tego wykaz pisarzy historycznych, omawiających znaczenie kronik w swych pracach, jak Sołowjew, Zabielin, Iłowajski i t. d.

Sulima.

Rezultaty antropologicznych badań pośród Mordwy-Erzi. *Włodzimierza Majnowa.* Petersburg. 1883.

Praca ta stanowi część „Materyałów do antropologicznego opisu Rosyi". Jestto dopiero początek obszerniejszej pracy. W dalszych zeszytach obiecuje autor dać opisy właściwości bytu i pogląd na kolonizacyę Mordwy-Erzi, która jest najliczniejszą gałęzią plemienia Mordwy, albowiem w granicach Rosyi dochodzi do 600,000 osób. Autor badał ją w następujących guberniach: niżegorodzkiej, penzeńskiej, sembirskiej, samarskiej; a nawet gałęź ta szczepu fińskiego znajduje się jeszcze w guberniach: astrachańskiej, ufimskiej, orenburgskiej i tomskiej, dokąd się przesiedliła, poszukując dobrej ziemi i wygodnego miejsca do zakładania osad.

Znaczna ilość mieszkańców jednej tylko odrośli Mordwy, daje nam dopiero możność przekonania się, jak licznemi są plemiona fińskie w obrębie Rosyi, pomimo nieustannego ich wymierania przy zetknięciu się z żywiołem rosyjskim, co znowu może posłużyć jako klucz do wyjaśnienia niejednego objawu z przeszłości tego państwa.

Antropologiczne prace Majnowa nad Mordwą-Erzią doprowadziły go do następujących wyników ogólnej natury: Mordwa-Erzi nawet w tych miejscowościach, gdzie utraciła swój język i strój narodowy i zwie się „Rusinami", zachowała dotychczas typ odrębny. Gałęź ta Finnów nie należy bynajmniej do narodów wymierających przy zetknięciu się z Rosyanami, jak inni Finnowie, chociaż jej do szybko rozmnażających się, zaliczyć nie można. Szczególniej wielka śmiertelność daje się dostrzegać wśród dzieci, których zwykle wymiera połowa.

Sulima.

Geografia gubernii kijowskiej. Ułożył *Mukałów.* Kijów. — 1883.

Ponieważ o specyalne dzieła, a chociażby tylko podręczniki do poznania rozmaitych części dawnej Polski dosyć trudno, dlatego wspomnieć tutaj wypada o wymienionej w tytule pracy pedagoga rosyjskiego. Oprócz właściwej geografii zawiera ona dosyć dokładne wiadomości etnograficzne i najważniejsze historyczne wiadomości o tej części dawnej Ukrainy.

W dziale etnograficznym daje w stosunku do rozmiarów podręcznika, może nawet za obszerną charakterystykę narodowości ru-

skiej, poprzestając jednak na krótkich tylko wzmiankach o polskich mieszkańcach gubernii kijowskiej. Najdokładniejszym ze wszystkich jest dział statystyczny. Historycznych wiadomości, jak na podręcznik geograficzny, dosyć dużo; ale autor nie robił pomiędzy niemi należytego wyboru, pomijając niekiedy daleko ważniejsze na korzyść widocznie takich, dla których miał szczególniejszą predylekcyą. O Humaniu podał np. taką tylko wiadomość: „miasto starożytne, głośne czynami Gonty i Żeleźniaka“, chociaż wypadało zrobić przynajmniej wzmiankę o głośnej w swoim czasie szkole bazyliańskiej.

Dla obznajomienia się jednak z najnowszemi datami statystycznemi tej części polskiej Ukrainy, książka ta może być pod wieloma względami pomocną.

Sulima.

Krótki rys historyi Izraelitów od czasu zburzenia drugiej świątyni do czasów najnowszych, skreślili *Majer Schlesinger,* naucz. szkół wydziałowych i *Salomon Spitzer* nauczyciel szkół ludowych. W Krakowie, nakładem autorów. 1883, str. 38.

Czy warto pisać, czy zwłaszcza opłaci się poddać krytyce nędzną kompilacyę opartą — jak naiwnie przyznają się autorowie w przedmowie — na trzech dziełach: Grätz'a, Wolfa i Kraushara i na dwóch, wyraźnie „dwóch“ encyklopedycznych rozprawach? Ale kompilacyę tę wydają zjednoczonemi siłami dwaj krakowscy nauczyciele, zapewne *ad usum* swych postępowych uczniów i uczennic, dedykują ją Dr. Warschauerowi, a co najważniejsza lakierują pokostem patryotyzmu, który nieostrożnych łatwo może przywabić i w błąd wprowadzić. Sposób napisania tej broszury, niech służy na przestrogę tym, którzy wierzą w Polaków „Mojżeszowego wyznania“. Sumiennej pracy i prawdy tam nie szukaj; płytkość, blichtr i tendencyjność, jest jej cechą. Autorowie zaręczają, że „nie powodowali się żadną stronniczością“, że „badali dzieła polskie i niemieckie“ (t. j. Grätza i Kraushara), niestety jednak, badania te nie zlały się w organiczną całość i stąd pochodzi, że na jednej stronnicy czytamy biało a na drugiej czarno, później znowu biało, a potem znów czarno.

I tak np. Papieże nie prześladowali żydów, owszem w ogóle mówiąc brali ich w opiekę; bronił ich też energicznie biskup koloński, bronił również energicznie św. Bernard. (str. 12). Dotychczas biało, ale cierpliwości, zaraz będzie czarno. Arcybiskup z Kantorbery namówił lud do rzucenia się na Izraelitów zamieszkałych w Londynie; „chciwy krwi Izraelskiej Jan Kapistran podróżował od miejscowości do miejscowości zmyślając w swych kazaniach najohydniejsze kłamstwa na Izraelitów... Każde takie kazanie zakończała krwawa kąpiel, sprawiana Izraelitom i to nieraz na środku rynku“ (str. 14). Włosy stają na głowie. Winniśmy wprawdzie wdzięczność Sz. Autorom, że za swym przewodnikiem Grätzem, nie odpisali dalszych tytułów, których ten historyograf nie nie szczędzi św. Kapistranowi, że nie nazwali go „katem ludzkim“ (Grätz, str. 177) „wichrzycielem żydów i heretyków“ (str. 182),

i t. d.; ale czy zastanowili się, że Kościół, który kanonizował łagodnego Bernarda, nie mógłby przecież uznać za świętego nurzającego się we krwi Kapistrana. W czasie kiedy św. Jan Kapistran, zaproszony od Fryderyka III. spełniał urząd inkwizytora, panowało między Chrześcijanami najwyższe oburzenie przeciw żydom. Oskarżono ich o okropne zbrodnie, o bezczeszczenie N. Sakramentu i mordowanie chrześcijańskich dzieci. Kapistran stosując się do praw ówczesnych oddał winnych czy podejrzanych, sądowi świeckiemu, a ten skazał ich na śmierć. Być może, że Grätz nie wyjaśnia tego dokładnie; ale dla uspokojenia możliwych skrupułów, możemy zaręczyć, że oprócz Grätza i Wolfa, istnieją jeszcze inni poważni pisarze, którzy się zajmowali kwestyą żydów i św. Kapistranem.

Obok św. Kapistrana występuje naturalnie, jak mu się to z urzędu i wieku należy, „straszny hiszpański inkwizytor Torquemada". Od warszawskich nakładców, którzy na brudnej bibule drukują okropne dzieje Torquemady, nie wymagamy naturalnie, aby wiedzieli z jakiego źródła płyną potworne bajki, które w kurs puszczają. Ale pp. Schlesinger i Spitzer wiedzieć powinni, że Grätz czerpie największą część podanych przez siebie szczegółów, z okrzyczanego zdrajcy kraju Llorente. Niemoralny ten pisarz, będąc sekretarzem inkwizycyi w Madrycie, spalił wszystkie akta, które zadawały kłam jego opowiadaniu. O inkwizycyi Sz. Autorowie mają bardzo słabe pojęcie i radziby im można szczerze, aby zanim zasiądą do jakiej innej pracy, odczytali sobie w tym względzie choć jednego niepodejrzanego autora, n. p. Rankego, (Fuersten und Völker. I. str. 242), lub Guizota (Cours d'histoire moderne. Paris 1828. T. V.). Prawda, po takiej lekturze, Torquemada nie byłby już tak dziko zajmujący, jakim się przedstawia w romansie V. Hugo, który być bardzo może, że Sz. autorowie czytali obok Grâtza, ale cóż robić, nie zawsze historyi, a nawet „Krótki rys historyi" wolno przemieniać na romans. Autorom należałoby się przypomnieć że Alfons X. panował w Hiszpanii w w. XIII. a że obecny król hiszpański jest już XII-ym tego imienia (str. 28); należałoby ich zapytać, jaki stosunek mogło mieć założenie Jezuitów do prześladowania Żydów we Włoszech i jak ci Jezuici mogli zaprowadzić inkwizycyę tam, gdzie ona wiek cały przed nimi istniała? Ale autorowie „Krótkiego Rysu" stoją wysoko ponad poziomem takich wymagań.

Zato pochlebnie aż nadto wyrażają się o narodzie polskim, który „chętnie do swej ojczyzny przyjął Izraelitów" (str. 17) o „świetnych czasach" Łokietka, kiedy to żydzi „nosili... jak ówczesna szlachta, szable przy boku i złote łańcuchy na szyi" (str. 21) o wiekach XVI i XVII., kiedy Izraelici „żyją w Polsce w niezakłuconym spokoju, cieszą się jak najlepszem powodzeniem" str. 31, a izraelita Betsola „ulubieniec Jana III., doszedł do takiego znaczenia, że kanclerze, hetmani, marszałki mu się kłaniali" (str. 35), ale dla czegoż ci uczeni autorowie nie wytłumaczą przyczyn i powodów tego uniwersalnego

zniechęcenia chrześcijan do żydów, dla czego nie wspomnieli, w jaki też to sposób ci żydzi tak chętnie przyjęci w Polsce, odpłacili się narodowi za to, odpłacają podziś dzień? Zamiast popisywać się niesmacznemi sympatyami dla Polski, należało swoim współwiercom wypowiedzieć prawdę i wskazać im, że niesłychana chciwość i arogancya, żydowska lichwa i chęć dominowania, były główną przyczyną ogólnej do żydów nienawiści; że w Polsce jak i indziej żydzi byli zawsze i są dzisiaj elementem rozkładowym, bo rozpajają lud, bo jak to świadczą kryminalne procesa, w przeważnej części przestępstw i zbrodni polskiego i ruskiego chłopa, jest żyd pośrednią lub bezpośrednią sprężyną; bo dając łatwo pieniądz na lichwę rujnują majątek chłopa i szlachcica; bo więksi i mniejsi przedsiębiorcy żydowscy z małymi wyjątkami wyzyskują w szkaradny sposób chrześcijańskiego robotnika i rzemieślnika; bo nie są „obywatelami“ ale „pijawkami“ polskiego społeczeństwa i to w przeważnej swej większości. To należało współwiercom swoim wyrecytować, a byłoby może zbawienniejszem jak bawienie się w słodkonudny patryotyzm polski „mojżeszowego wyznania“. *S. Z.*

Z dzieł literackich.

ZAPISKI I DOKUMENTA do dziejów instrukcyi publicznej w Polsce. Wizyta szkoły głównej koronnej przez Feliksa Oraczewskiego r. 1786. Wydał *Dr. Władysław Seredyński*, w Archiwum do dziejów literatury i oświaty w Polsce, wydawnictwo Akademii Umiejętności w Krakowie, str. 169—395. Kraków 1884.

Pierwszą część niniejszego tomu cennych wydawnictw Akademii stanowi „Katalog rękopisów kapitulnych katedry krakowskiej“, z którego „Przegląd“ zdał sprawę w jednym z poprzednich numerów. Księga protokółów: „Wizyty szkoły głównej koronnej“ odbytej między r. 1786 a 1788 przez Feliksa Oraczewskiego, rektora i wizytatora Jagiellońskiej Wszechnicy, jest nader ważnym i zajmującym materyałem do historyi naszej „Almae Matris.“ Wszystkich posiedzeń odbyło się trzydzieści i jedno, a poruszano na nich sprawy niemałej wagi: możliwe reformy i wydoskonalenia w sposobie wykładania nauk, uporządkowanie i pomnożenie biblioteki i gabinetów, a wreszcie sprawy majątkowe Akademii. Z ciekawością przeglądamy tabelle uczniów chirurgii i anatomii, których 213 miast i miasteczek polskich powinno było dostarczyć na naukę do Krakowa. Dość często wprawdzie spotykamy się z notatką „Ani ucznia, ani pensyi,“ ale znalazły się i takie miasteczka, które z własnej chęci przysłały więcej uczniów i pieniędzy, niż prawo ich do tego zmuszało. Charakterystyczną, ale wyborną i praktyczną jest uchwała. aby uczniów „Collegii moralis“ nie dręczyć nudnem i żmudnem przepisywa-

niem nauczycielskich seksternów, ale sprowadzić jednego z tylu drukowanych autorów i wedle niego wykłady urządzić.

Sądząc po aktach tych reformatorskich posiedzeń, spodziewać się należało wskrzeszenia dawnych świetnych czasów dla Akademii krakowskiej. Niestety! inne wypadki i wpływy przeszkodziły na długo spełnieniu tyle obiecujących nadziei. *B.*

Bibliografia jubileuszowego obchodu dwóchsetnej rocznicy potrzeby wiedeńskiej z r. 1683. Wydanie Redakcyi *Przewodnika bibliograficznego* Lwów 1884 IV. 108.

Zebrać, przedstawić w jednym obrazie wszystkie prace „piórem, pędzlem, czy dłutem," któremi w Polsce i zagranicą uczczono dwuwiekową rocznicę pamiętnej odsieczy Wiednia: oto zamiar, który powziął i przeprowadził z niemniejszą cierpliwością jak dokładnością, znany dobrze redaktor „Przewodnika bibliograficznego", Dr. Wisłocki. Praca opłaciła się, bo „Bibliografia jubileuszowego obchodu" jest istotnie w swym rodzaju niezmiernie zajmującą i charakterystyczną. Samych dzieł i rozpraw poważniejszych wyszło z okazyi jubileuszu 271; utworów teatralnych, powieści i poezyj 128, nie mówiąc już o najrozmaitszych mowach, kurendach, odezwach itd., które Dr. Wisłocki wylicza z podziwienia godną skrupulatnością. Szczególnie ciekawym jsst dział VII. bibliografii, zawierający wyliczenie główniejszych artykułów prasy peryodycznej o Sobieskim i jego jubileuszu. Naturalnie nie ma dziennika polskiego, czy to on wychodzi w Paryżu, czy w Bytomiu, w Petersburgu, czy w Milwaukee, w Rzeszowie czy w Chicago, któryby we wrześniu, 1883 roku, nie poświęcił obszerniejszych artykułów Sobieskiemu. Ale i zagraniczne, przedewszystkiem pobratymcze nam słowiańskie dzienniki nie pozostały w tyle. Prasa niemiecka, węgierska, włoska, angielska, nawet kilka gazet hiszpańskich, umieściły w ogóle przychylne dla Polaków rozprawy o wiedeńskiej potrzebie, jubileuszowych uroczystościach i obrazie Matejki.

Najciekawszy może jest spis przeróżnych afiszów, ogłoszeń np. o „bibułkach pod nazwą Sobieskiego" o „perfumach królowej Marysieńki i Sobieskiego pomadzie na wąsy", o chusteczkach i cukierkach jubileuszowych. Spis fotografij, obrazów i rycin przedstawia nam znowu jubileusz ze strony poważniejszej. Spis medali, medalików i medalionów jubileusyowych, ułożył X. kanonik Polkowski. Zoryentowanie się wreszcie w tej jakby nieustającej galeryi jubileuszowej, ułatwia staranny i wyczerpujący skorowidz abecadłowy. (str. 94—107) *B.*

Grundlegung zur Lehre vom erziehenden Unterricht. *Tuiskon Ziller.* Leipzig 1884.

Dzieło to napisane przez protestanta i z protestanckiego punktu widzenia, przypisuje państwu zanadto wielką rolę w wychowaniu, a religię uważa jak się zdaje, za czynnik czysto naturalny, zawiera jednak wiele prawd dodatnich i zdrowych poglądów moralnych, napisane z dobrą wiarą i poważnie, przeto wspominamy tu o niem.

Ziller, filozoficzny pedagog, au-

tor prac: Vorlesungen über allgemeine Pädagogik, allgemeine philosophische Ethik“ i wielu cennych rozpraw drukowanych w „Jahrbuch für wissenschaftliche Pädagogik“, uwzględniając dawniejszą i nowszą literaturę pedagogiczną, podaje w powyższem dziele przez prof. Teodora Vogta w powiększonych rozmiarach po raz wtóry wydanem, zasady pedagogiczno-dydaktyczne, dające się podczas nauki już to oddzielnie już to w połączeniu zastósować i porusza wiele kwestyj z teoryi codziennego doświadczenia, które pozornie z tytułem dzieła w żadnym związku nie pozostają. Obszerne to dzieło, 557 stron liczące, dzieli się na dwie główne części, z których pierwsza, mając za przedmiot stosunek między nauką a karnością, składa się z 11 paragrafów (Regierung und Unterricht, doppelte Art des Unterrichtes, die weltlichen und kirchlichen Gesellschaftskreise in ihrem Verhältnisse zum Unterrichte, die Schule als Erziehungsanstalt, Umfang des Unterrichtes, der Unterricht im Verhältnisse zur Zucht im allgemeinen, die Kunst des Unterrichtes, das Ueberwiegen des Unterrichtes bei der Erziehung, Vermehrung und Veredelung der Geistesthätigkeit durch den Unterricht, Hauptrichtungen der geistigen Thätigkeit beim Unterrichte, Zusammenfassung und Vorblick). W drugiej części przedstawia autor właściwy cel nauki (Interesse und Begehren, Fortsetzung über Interesse und Begehren, das unmittelbare Interesse im Verhältnisse zum mittelbaren Interesse und zur Liebe, Vielseitigkeit des Interesses als Schutzmittel gegen Begierden, als Hilfsmittel für irdische Wirksamkeit, als Rettungsmittel bei Stürmen des Schicksals, als Vollkommenheit in Bezug auf Persönlichkeit und Individualität.) Autor wychodząc z założenia, że wszelka wiedza powinna się przyczyniać do wyrobienia religijno-moralnego charakteru, największego skarbu człowieka, stawia między wieloma, psychologicznie i etycznie uzasadnionemi żądaniami także i to, aby w szkole, w tej pracowni ducha Bożego na każdej lekcyi wyciskano piętno religijne, z każdego nadarzającego się szczegółu stronę religijną wydobyto i aby książki, przeznaczone do szkolnej i prywatnej nauki, tchnęły duchem przeważnie religijnym. Należy bowiem wpierw być człowiekiem w właściwem tego słowa znaczeniu, a potem dopiero kolej na wykształcenie. Za podstawę tej pracy, posłużyły autorowi pedagogiczne poglądy Herbarta, łączy on jednak naukę wychowawczą z pojęciami religijnemi, twierdząc z całą siłą przekonania, że bez religijnego kierunku nie ma prawdziwej pedagogii. Dołączony spis ułatwia w szczegółowy sposób wyszukanie treści w wielu miejscach nagromadzonej. *J. D.*

SPRAWOZDANIE

z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

Listy z Warszawy.

(Dokończenie).

II.

Pani Orzeszkowa i charakter jej twórczości. — Pierwotni. — Do czego służy antyklerykalizm postępowym satyrykom? — Pani Konopnicka w roli „wieszczki“ warszawskiego postępu. — Dwa ostatnie jej utwory. — Dawni i nowi poeci. — Wacław Szymanowski, jego poezye i dramata. — Poezye Grudzińskiego, Kościelskiego, Czesława Hajoty. — Ostatnie powieści Przyborowskiego i Choińskiego. — Wydawnictwa wywołane przez jubileusz Odsieczy wiedeńskiej. — Epopeja rycerstwa w Niemczech i dramat niemiecki w XIX. w. Choińskiego. — Literatura ludowa. — Broszurki ludowe, wydawane przez warszawskich postępowców. — Książeczki protestanckie. — Wydawnictwa pp. Breslauera i Olawskiego. Książeczki ludowe najnowsze. — X. Filochowski i K. Promyk. Zorza i Gazeta Świąteczna.

Po Sienkiewiczu i Kraszewskim, mirem największym u czytelników a bardziej jeszcze u wydawców cieszy się pani Orzeszkowa. Zbytecznem byłoby podnosić znakomity talent autorki *Meira Ezofowicza*. Brak mu zapewne szerokiej skali, brak umiejętności zarysowania wielkiej, jednolitej kompozycyi o śmiałych, swobodnie rozwiniętych liniach. Ale, w zakresie niezbyt obszernym, talent ten umie stwarzać rzeczy bardzo doniosłe. Wysoki zmysł obserwacyjny, doskonała plastyka opisów, rzadka znajomość głębin ludzkiego serca i umiejętność oddania najdelikatniejszych odcieni uczucia — z tego składają się przymioty nowelli p. Orze-

szkowej. Obok tego są wady. Przedewszystkiem pessymizm. Panią Orzeszkową w zjawiskach życia uderzają przedewszystkiem ujemne niesprawiedliwości, niedole, niegodziwości, których winowajcami i ofiarami są otaczający ją ludzie. Córka swego wieku, nie zna wielkiego prawa moralnej równowagi i kompensacyi zagrobowej, na którem opierają się losy świata: nie wie, że z cierniów życia wykwitają kwiaty trwalsze od tych, których blask znikomy razi ją jak bezprawie, gdy go spotyka obok łez i jęków. Stąd powieści jej smutne są, i rozdzwiękiem zwykły się kończyć. Życie przedstawia dla niej szereg pytań, których rozwiązać nie umie, i nierozwiązaną zagadkę zostawia w końcu czytelnikowi, zamiast etycznego zaspokojenia, które koniec powieści przynosićby powinien.

Powtóre tendencyjność. Postacie drugorzędne, nie przedstawiające w myśli autorki pewnych drogoskazów i gwiazd przewodnich doskonałe są, w najlepszem słowa tego znaczeniu, realne; te, w których pani Orzeszkowa skupia wszystkie swe promienie, są konwencyonalnie, przesadnie idealizowane i wyśrubowane w górę, mimo niezręcznych pozorów realizmu. Dość przypomnieć Meira i starego ojca Elego Makowera w dwóch najlepszych powieściach autorki. W przeciwnym kierunku ta sama nienaturalność i konwencyjność charakteryzuje typy najbardziej ujemne, n. p. taki demoniczny niemal pan Graba.

Z tych dwóch powodów, powieści p. Orzeszkowej dobre są o tyle, o ile w nich autorka przedmiotowo przedstawia życie i ludzi, nie przeprowadzając własnych, z góry nakreślonych tendencyi. Stąd też nowella jej większą ma wartość od powieści, a powieść tem jest lepszą, im bardziej nowellę przypomina.

Pierwotni, najnowsza powieść p. Orzeszkowej, jest właściwie tylko rozszerzoną na cały tom nowellą, a właściwiej jeszcze albumem, zawierającym doskonałe, wprost z natury pochwycone fotografie kilkunastu typów. Niektóre z nich są nowe całkiem, większość nakreślona z prawdą wielką, czasami z animuszem, zawsze z artyzmem prawdziwym. Należą one niewątpliwie do najlepszych kreacyi autorki. Intrygi w powieści, akcyi nawet niema w tem prawie wcale: dotknięte natomiast zlekka najbardziej żywotne kwestye naszego społeczeństwa, niektóre drobne

całkiem. Taka kwestya socyalna, kwestya młodych pokoleń, idących wszystko rozwalać i niszczyć w imię postępowego *nihil*, koncentruje się w wybornym typie ex-studenta, który z wielkiej mądrości nie chciał uniwersytetu ukończyć i wolał u przybranych rodziców (był chłopskiem dzieckiem, sierotą, przybranym przez bezdzietnych dzierżawców) wymyślać na stary porządek rzeczy zgniłego społeczeństwa, leżąc z papierosem na kanapie. Któż nie zna takich reformatorów społeczeństwa, kończących swe marzenia na tłustym urzędzie, jeśli tylko los szczęśliwy zechce go mu zesłać. Dobrą także jest sylwetka rozpieszczonej, anemicznej jedynaczki, wychodzącej za starego szambelana, kiedy marzenia, snute wspólnie ze złotowłosym postępowcem, rozwiały się nagle; doskonała para dzierżawców i nadewszystko „cywilny generał“ urzędnik do szczególnych poruczeń przy generał-gubernatorze Turkiestanu, figura znakomicie narysowana, prawdy i życia pełna, a pomimo pewnej dozy komizmu przecie sympatyczna. W ogóle trudno o lepszą charakterystykę osób, z których niektóre mogą zostać jako typy w literaturze powieściowej.

Na nieszczęście u autorki tego kierunku i zasad, bez nuty fałszywej obejść się nie mogło nawet w tej, skądinąd dobrej i zdrowej powieści. Nie mówię o tem, że dla powstrzymania zapewne anatem ze strony arcykapłanów warszawskiego pozytywizmu, p. Orzeszkowa uważała za właściwe zrównoważyć ujemną postać postępowego apostoła typem dewotki wielkoświatowej i zarazem rozbić parę szyb w oknach u „klerykałów.“ Ci biedni klerykałowie płacą zawsze rachunki, ile razy któremu z postępowców przyjdzie na myśl powiedzieć słowo prawdy swoim współwyznawcom. Dewotki i kwestarki pobożne użył Narzymski za piorunochron w swoich Pozytywnych; i inny, żyjący dotąd, pełen talentu komedyopisarz, trafny, choć zjadliwy bardzo karciciel śmieszności i wad naszego społeczeństwa, do środka tego ucieka się zawsze, ile razy satyra jego zwraca się na lewo. Pani O. uważała za obowiązek swego postępowego sumienia popsuć nieprawdopodobnemi dziwactwami jednę z postaci, zarysowującą się dobrze w początkach i dla obrócenia w śmieszność czci katolików dla miejsc cudami słynących, nie wahała się w szeregu nieznacznych dowcipów i skarykaturowanych opisów jednego z tych

miejsc wprowadzać w błąd czytelnika i popełniać rozmyślną nieprawdę. Dla pisarzy tej samej co pani O. barwy i w ogóle dla wszystkich ludzi tego obozu każda praca publiczna zaczynać się powinna od rzucenia kamieniem w ogród sąsiadów inaczej myślących; niektórzy robią to ze świadomością złego; inni w dobrej wierze, nie wiedząc o tem, że pług, którym chcą orać niwę ogólną, napotka z czasem te same, przez nich niebacznie rzucone kamienie i zatrzyma się o nie albo nawet i stanie. Zdaje się, jakby pani O. należała do drugiej kategoryi. W powieściach jej ostatnich w Widmach, w Sylwku Cmentarniku a teraz i w Pierwotnych, widzimy ją dotykającą istotnych cierpień i niebezpieczeństw naszego społeczeństwa; niestety jednak, w zaślepieniu sekciarskiego fanatyzmu nie widzi jedynego lekarstwa na chorobę społeczną, i nie dość, znieważa rękę, podającą to lekarstwo.

Od pani Orzeszkowej do pani Konopnickiej jeden krok tylko, ale krok ten szerszy niż się zdaje. Tu umysł głębiej patrzący na życie, poważny, trzeźwy, w satyrze trafny, w analizie subtelny, zawsze jędrny i treści pełen; tam rozanielona w zachwycie nad sobą maniera, złożona z bardzo muzykalnego poczucia i w następstwie, z bardzo dźwięcznej formy, z wiecznie tych samych, ładnie ustrojonych, ale czczych frazesów, deklamacyi, kwiatów i kadzideł, obłokami mroźnemi zakrywających nicość treści i ubóstwo myśli twórczej. Talent, zdolny w małych rozmiarach wypieścić (czy może wymęczyć) ładne, wykończone cacko, ale do wyższego polotu za słaby, nieumiejący ani nowych dróg, ani świeżych strun znaleźć i zmuszony wciąż obracać się w kółko i z niebogatego zapasu swoich czynników składowych, wciąż nowe tworzyć kombinacye. Reklama stronnictwa, które „wieszczki“ potrzebowało, wyśrubowała tę śliczną katarynkę do wyżyn, na których dotąd stawiano tylko geniusze; spekulacya księgarska użyła jej obecnie za szyld dla nowego wydawnictwa, które ma „kobiety ze snu budzić“ i zwiastuje świt ery nowej w bombastycznych deklamacyach i bardzo zabawnej, z łez i gromów złożonej frazeologii; w tem też leży wytłumaczenie sukcesów p. Konopnickiej, że umiała dzisiejsze przesądy i upodobania publiczności wyzyskać, i ze swego talentu bardzo zręcznie „Kapital schlagen“.

Z dwóch jej utworów ostatnich druga serya poezyi powta-

rza to samo, co słyszeliśmy w pierwszej, kwili, piszczy, płacze, że na świecie wszystko źle i nie po myśli autorki; że tyrański dwór uciska chłopa, a świat niepoczciwy nie chce się podług fantazyi p. Konopnickiej przerabiać. Oczywiście, że przytem wytacza się proces panu Bogu, który światem rządzić nie umie i miejsca młodszym ustąpić powinien. Jako ramy służą mgły, blaski, sny, tęcze, róże, dymy i rymy, tworzące razem chaos, w którym więcej barw i muzyki niż sensu. Wrażenia z podróży skupiają się wyłącznie około osoby autorki, opisującej te błogosławione strony świata, które miały szczęście słać się pod jej stopy. Oprócz manierowanego stylu, owieszonego wieńcami sztucznemi, jak barokowe kościoły, nic w tem nie ma. Ani jednego ciepłego z duszy idącego promyka, nic, tylko roztkliwianie się i deklamowanie na zimno, *à la Victor Hugo*, i to z najgorszej ostatniej jego maniery.

W naszych czasach każdy żak i każda pensyonarka, którym uda się sklecić trochę rymów, pozują na geniuszów. Przyznam się, wolę epokę poprzednią, w której z poezyą przesadzano, ale też było komu brać na siebie wieszczów rolę...

Jednym z poetów tej minionej epoki jest Wacław Szymanowski, którego utwory ukazały się świeżo w zbiorowem wydaniu. Nie są to arcydzieła i autor za takie ich nie uważa zapewne. Z posad nie poruszają bryły świata, nie stają w roli rozjemcy między stwórcą a ludzkością, ani w roli sędziego wszystkich ludzkich wad i niedostatków, ale w każdym jest zdrowa, uczciwa myśl, wypowiedziana w jędrnej, pięknej, częstokroć wysoce doskonałej formie.

Pierwszy tom zawiera poezye ulotne, pełne werwy i wdzięku, czasem bardzo dramatyczne, częściej z lekkiem humorystycznem zacięciem. Są tam staropolskie gawędy, naśladujące ton i nastrój ludzi zeszłego wieku do złudzenia; jest i satyra dowcipna na stosunki współczesne; ale dowcip ten, to nie chorobliwa ironia Olejnego, ani żółciowy przeżyty pessymizm, cechujący młode pokolenie poetów. Satyra zasłużona, humor szczery i zdrowy, umiejący w uśmiechu złe skarcić bez nienawiści i bez nudnego morału. Dwa następne tomy zajęte są utworami dramatycznemi. Przeznaczone dla sceny, na której po większej części wyglądać

muszą bardzo dobrze, pod względem literackim nie są one wolne od usterek. W Sędziwoju np. główny moment psychologiczny słabo uwydatniony i niedostatecznie umotywowany, a cała budowa dramatu trochę nadto nagina się do pewnych z góry zakreślonych ram. W ostatniej próbie pomysł doskonały i bardzo dramatyczny, niedość wyzyskany; za to Posąg i Dzieje Serca mają naprawdę bardzo poważną wartość, świetny język, umiejętne użycie effektów, a jak w pierwszym tak i w tym bardzo zręczna budowa dramatu, składają się na trwałe i istotne powodzenie dla tych utworów. Pierwszorzędne zalety są i w Salomonie, który jednak zbyt mało rozwinięty jest, i dlatego myśl przewodnia dramatu nie występuje dostatecznie na pierwszy plan.

Ostatnie dwa tomy wypełnione są tłumaczeniami, w których Szymanowski nikomu chyba nie ustępuje z tłumaczów polskich, z wyjątkiem oczywiście Odyńca, zajmującego na tem polu wyjątkowe stanowisko. Tłumaczenia Szymanowskiego ograniczają się do francuskich autorów, których charakterystyczne cechy tłumacz umiał przedziwnie zachować. Zarówno Wiktor Hugo, jak Molier, wychodzą u niego doskonale; z właściwym sobie charakterem, a nawet tak trudne do tłumaczenia, delikatne i subtelne poezye Coppée'go nie tracą nic ze swego uroku. W ogóle wydanie dzieł Szymanowskiego przyszło w porę. Mogą one posłużyć za wzór, jak się zużytkowuje z korzyścią dla społeczeństwa talent miary średniej, ale w swoim rodzaju i zakresie wykształcony i doskonały, jak niewiele.

Wspomnieć trzeba choć pobieżnie o zbiorowem wydaniu poezyi Grudzińskiego, sympatycznego autora, o skali talentu niewysokiej, ale poczciwie i pięknie skierowanej; o poezyach Kościelskiego, w których obok rzeczy istotnie pięknych napotykają się rymowane dziwolągi, zapewne grzechy pierwszej młodości autora; o poezyach Czesława, naśladujących, jak to tu w modzie, Heinego, a po Heinem Musseta i Asnyka, przyzwoitych, ale bladych i mdłych, a czasem i trochę manierowanych.

Są jeszcze poezye Hajoty, młodej autorki, której rzeczywisty talent cokolwiek zanadto wyśrubowała w górę przychylna reklama i fałszywy nadała mu kierunek; są i nowelle tejże autorki, mające nieraz wiele trafnej obserwacyi życia, ale też

ą zbytnią dozę modnego tu realistycznego pessymizmu. Z najnowszych powieści wyróżnić można jeszcze Płowców Przyborowskiego i Z miłości Choińskiego.

Z poważnej literatury jest do zaznaczenia cały szereg wydawnictw, wywołanych rocznicą wiedeńskiej odsieczy. Więc przedewszystkiem wspaniałe wydawnictwo Łośkiego, rzecz pomnikowej wartości i pracy wielkiej, tem godniejszej uznania, że na nią zdobył się człowiek chorobą przykuty oddawna do łoża. Dyaryusz wiedeńskiej okazyi Mikołaja Dyakowskiego wydany przez p. Lewentala z sześciu wybornemi illustracyami Kossaka idzie zaraz potem. Pan Winc. Dawid b. redaktor *Wędrowca*, wydał Dziennik podróży po Europie młodych Sobieskich, oraz zbiór relacyi współczesnych o wiedeńskiej wyprawie; wreszcie p. J. A. Święcicki przełożył a p. Mathias Bersohn wydał panegiryk żyda hiszpańskiego Józefa de la Vegi na cześć obrońcy Chrześcijaństwa, p. t.: Tryumfy orła i zaćmienie księżyca. Ostatnie to dzieło jest pozbawionem wszelkiej wartości, płaskiem, nadętem pochlebstwem, w którem więcej mitologicznych porównań niż sensu. Zdaje się też, że wydawca miał raczej wyznanie i narodowość pseudo-poety na względzie, niż wartość utworu.

Na wyróżniającą wzmiankę zasługują dwa utwory z zakresu historyi literatury powszechnej. Dział to w piśmiennictwie naszem prawie całkiem niedotykany albo też traktowany tak powszechnie i nieudolnie, jak w szkolnych ćwiczeniach. Tym razem mamy do czynienia z dziełami specyalisty, który studyom swoim lata całe pracy mozolnej poświęcił, a na usługi jej oddał talent pierwszorzędny.

Nic ciekawszego od historyi tego człowieka. Zaczął on, jak wielu, od gwałtownych wybuchów nie bezwzględnego przeczenia może, ale silnie akcentowanej opozycyi przeciw staremu ustrojowi świata. Obóz postępowy mógł go słusznie za swojego uważać. Refleksya, proces wewnętrznego przetrawienia myśli i podnoszenie się coraz wyższe ducha doprowadziły go tam przez rozum, dokąd inni dochodzą przez wiarę. Dziś jest to jeden z ludzi najśmielej i najgłośniej broniących chrześcijańskiego i zachowawczego sztandaru, pomimo, że w niespokojnym temperamencie tkwią

jeszcze rozdźwięki pewne, przeszkadzające mu ostatecznie, bez zastrzeżeń zespolić się z wielką ideą, której służy.

Dwa ostatnie utwory krytyczne Choińskiego: Epopeja rycerska w Niemczech i Dramat niemiecki w XIX. w., są nader charakterystycznym objawem tego zwrotu ku zdrowszym pojęciom, ku reakcyi przeciw dotychczasowym przesądom i złudzeniom, jaki w ostatnich czasach daje się widzieć w piśmiennictwie naszem. Posługując się ściśle analityczną metodą, w przedmiotowem przedstawieniu i krytyce faktów pozytywnych, Choiński wykazuje w jednej z książek dodatne, podniosłe strony wieków średnich i bezzasadnie czynionych im zarzutów, w drugiej, brak gruntu i treści we współczesnym literackim liberalizmie. Wieki średnie nie są dla niego, jak były dla romantyków, wdzięcznym ostafazem? dla wyobraźni niespokojnej, wrażeń i tematów nowych spragnionej; patrzy on głębiej i widzi jaśniej. Widzi on w epoce Danta i św. Tomasza z Akwinu wielką głębię duchową, której naszym czasom braknie, rozpoznaje pod grubą powłoką potężne siły twórcze, wytrzymujące porównanie z geniuszami wieków ostatnich. Mieszczański, bezwyznaniowy liberalizm literatury niemieckiej wygląda dziwnie małym i bladym przy świetnym i świetnie odmalowanym obrazie epoki krzyżowych pochodów. Obie te książeczki, pisane przez człowieka, który w postępowych pojęciach wyrósł, choć nie zupełnie jeszcze z nich się otrząsnął, są tem cenniejszem świadectwem dla prawdy, i tem więcej przynieść mogą pożytku.

Nieśmiertelne dzieło o Naśladowaniu ma od trzech wieków ogromną, jemu wyłącznie i jego twórcy poświęconą literaturę, z której dałoby się ułożyć sporą bibliotekę. Przed 20 laty liczba wydań Naśladowania przenosiła trzy tysiące a polemika o jego autora obejmowała 240 dzieł oryginalnych — ostatnie lata zaś pomnożyły znacznie tę potrójną cyfrę, nie rozwiązując jednak ostatecznie zagadki co do osoby autora. Obecnie do tej literatury tak bogatej przybywa nowe dzieło, w języku naszym pierwszetej doniosłości i powagi, a znakomitą metodą naukową, erudycyą wszechstronną i gruntowną, trzeźwym i jasnym krytycyzmem nie dające się chyba żadnemu wyprzedzić z najcenniejszych dzieł obcych w tym przedmiocie.

Uczony współredaktor Encyklopedyi kościelnej i najznakomitszy u nas obecnie pracownik na polu bibliografii kościelnej, ks. Kan. Knapiński w sporej książce, p. t.: Kto jest autorem dzieła o naśladowaniu Chrystusa, przedstawia wyczerpującą historyę sporu pomiędzy zwolennikami autorstwa Tomasza a Kempis, Kan. reg. S. Augustyna (w. XV.), Jana Gersona, kanclerza uniwersytetu paryskiego i Jana Gersena, opata benedyktyńskiego z Vercelli (w. XIII). Spór, opierający się na różnobrzmiących starych rękopiśmiennych zagłówkach, doszedł w w. XVII. do wysokiego rozdrażnienia, powodując nieledwie czynne rozterki. Widownią jego była z początku Francya a w wieku następnym Niemcy, bojownikami zaś — przedewszystkiem członkowie zgromadzeń zakonnych, do których należeli, domniemani autorowie Naśladowania. W naszych czasach Niemcy bronią Tomasza a Kempis, Francuzi — Gersona, Włosi — Gersena. Ks. Knapiński obszernie i wyczerpująco rozbiera każdy z systematów, krytykując źródła i materyał naukowy, na jakim są oparte; wreszcie przekonywającą argumentacyą dowodzi słuszności Kempistów, przyznając autorstwo Tomaszowi. Praca to iście benedyktyńska, żeby użyć tej utartej nazwy, owoc studyów długich i mozolnych, których w naszej epoce mało kto podjąłby się, zwłaszcza dla celów, tak mało z chwilą bieżącą związanych, i jeżeli cieszyć się można, że literaturze naszej przybyło dzieło tak cenne, trudno zarazem nie żałować, że autor ograniczył je do szczupłej garstki polskich czytelników, pomiędzy którymi mało kto żywiej, specyalnie interesuje się. Wydana po łacinie np. książka ta znalazłaby niewątpliwie szeroki, zasłużony rozgłos.

Ks. Knapiński przygotowuje do druku obecnie obszerną monografię Norbertanów w Polsce. W pracy tej autor surowy sąd wydaje o zgromadzeniu, które z biegiem lat oddaliło się od myśli przewodniej, celów i reguły założyciela, i brakiem sił żywotnych i treści duchowej oddawna już konało, gdy je dotknęła ostateczna u nas zagłada.

Z nowości literackich tego samego kierunku wspomnieć trzeba jeszcze o drukującej się historyi N. Serca Jezusowego, napisanej przez ks. W. Witkowskiego, autora świeżo wyszłej parafrazy Tomasza a Kempis dla użytku Alumnów Seminaryum.

W poglądach swoich oryginalny, w wypowiadaniu ich śmiały bardzo i nieumiejący się uchronić od pewnych szorstkości formy i zbyt jaskrawych nieraz określeń, ks. Witkowski jest pomimo to człowiekiem istotnego talentu i głębokiej wiedzy, a nadewszystko gorącej, doświadczonej wiary. Brak mu czasem wstrzemięźliwości i chłodu, nawał cisnących się myśli nie zawsze ujęty jest w ściśle z góry określone karby — natomiast w pracach jego żywotności i siły jest wiele, myśl ich przewodnia, zacna i duchem chrześcijańskim przejęta, a ostatnie dzieło, owoc długoletnich studyów, odda niewątpliwie istotną przysługę społeczeństwu i zapełni poważną listę w kościelnej literaturze naszej.

Dla wszystkich czytelników klasycznie pięknych Listów z Podróży A. E. Odyńca, a któż ich nie czytał i nie zawdzięcza im wielu jasnych, roskosznych chwil, nie będzie obojętną wiadomość o mającym nie długo pokazać się na publiczną widownię nowym utworze sędziwego autora Barbary. Z „Listami“ łączy się on ściśle, tworząc zarazem i wstęp ich i uzupełnienie. Są to Wspomnienia z Czasów Wileńskich, owe opowiadania Deotymie, których urywki, w homeopatycznych dozach umieszczane w Kronice rodzinnej, budziły tak ogólny interes i sympatyę. Zbytecznem chyba byłoby życzyć powodzenia książce, której pojawienia wyglądano u nas dawno już i niecierpliwie bardzo; jeżeli o kim bowiem, to o Odyńcu powiedzieć można, że w dzisiejszych pracach nic nie zawdzięcza dawnej swej sławie, i że w każdej świeżość i barwność opisów, rzadki wdzięk formy i talent naratorski jedyny w swoim rodzaju, nadają urok dziwny, trwały i bardzo silny.

Na zakończenie słówko o literaturze ludowej.

Pole to ze wszystkich może najważniejsze i najbardziej domagające się uprawy umiejętnej. Ostatniemi czasy próbowano i próbują w tę rolę przyszłości rzucać chwast, zamiast dobrego ziarna. Z jednej strony pewne koła tutejszej intelligencyi i prasy wydają broszurki tanie, pisane w sposób przystępny i mające chłopom rozświecać w głowie. To rozświecanie odbywa się w taki sposób. Pisze się bardzo wiele i bardzo pięknych rzeczy o szkole, która mówiąc, w pewnych warunkach może być narzędziem czegoś innego całkiem niż oświaty, — o nauczycielu,

o doktorze medycyny, ale ani słowa o ks. proboszczu. Religii nie zwalcza się, ani wyśmiewa; byłoby to zawcześnie, cenzura nie puściłaby i lud mógłby się zniechęcić, ale pomija się ją milczeniem. Na początek dosyć jest z literatury ludowej zrobić coś w rodzaju tych nowych dzielnic w wielkich miastach, pełnych pałaców i fabrycznych kominów, między któremi nie jaśnieje ani jeden krzyżyk na kościelnej wieżyczce. Później, kiedy grunt zostanie przygotowany, można będzie zacząć przygotowywać dla użytku ludowego extrakt jadu, podżegań z bezwyznaniowo-socyalistycznej kuźni *Prawdy* i *Przeglądu tygodniowego*.

To jeden rodzaj propagandy, najniebezpieczniejszej, bo mądrze ze znajomością ludzi rozpoczętej i konsekwentnie prowadzonej. Książeczki takie, jak p. Laborski, albo Opowiadanie o Michałku Rybie, który doktorem został, nie zawierają w sobie nic krzycząco złego, nic, o co można byłoby zaczepić się, ale duch, myśl przewodnia niebezpieczne są, grożą wyrwaniem powolnem z umysłów i serc naszego ludu jego najdroższego skarbu wiary, jeśli nie teraz, to w przyszłości. Dlatego walczyć z takiemi utworami powinno się zawsze i wszędzie; powinno się od nich wymagać nie neutralności w rzeczach religijnych, neutralności, która w książce dla wyższych warstw przeznaczonej może wystarczyć, a tu byłaby pierwszym krokiem do negacyi, ale śmiałego, szczerego stwierdzenia katolickich zasad.

Drugie niebezpieczeństwo ludowi naszemu grozi od lutrów. Cała zachodnia kraina Królestwa roi się od Niemców, przeważnie protestantów, którzy w Łodzi mają ognisko swe i stamtąd zarówno jak i z Warszawy, prowadzą czynną choć cichą propagandę wśród ludności katolickiej. W Warszawie towarzystwo biblijne utrzymuje sklep pełen tanich wydawnictw protestanckich; pastorowie z Niemiec i Anglii przyjeżdżają tu na gościnne występy; była niedawno mowa o sprowadzeniu samego Stockera. Prócz biblii protestanckich po polsku, propagatorowie rozrzucają między ludem parogroszowe książeczki, pozornie wyglądające na dziełka pobożne katolickie i bezczelnie podszywające się pod nie. Zręcznie ukryta występuje w nich myśl przewodnia, polemika przeciw głównym dogmatom Kościoła i udowodnianie doskonałości protestantyzmu. Ze stanowiska zwykłej światowej

uczciwości jest to wysoka niesumienność; lud na szczęście nie daje się dotąd złapać na te plewy; miejmy nadzieję i na przyszłość.

Trzecim wreszcie ujemnym czynnikiem są wydawnictwa spekulantów, w rodzaju ohydnego Breslauera albo jego godnego rywala, żyda Olawskiego. Tamten wydawał Tajemnice Izabelli, ten obecnie puszcza w świat Ofiarę Inkwizycyi, plugawy paszkwil, bardziej jeszcze idyotyczny niż zły, a jako bezpłatne premium dodaje... obraz Matki Boskiej i Pana Jezusa. Jest to jeden z najwstrętniejszych pomysłów, na jakie propaganda antireligijna kiedykolwiek zdobyła się: przyciągać czytelników do książki niereligijnej, religijnemi przedmiotami kultu. Jest to w dodatku i bezprawie, ile, że prawa nasze zakazują żydom handlować chrześcijańskiemi świętościami.

Jako przeciwwagę tym wstrętnym ale szkodliwym zjawiskom literatura ludowa przedstawia poważny zastęp ludzi poczciwie i z pożytkiem pracujących. Kilkadziesiąt nowych książeczek leży w tej chwili przedemną — i wszystkie dać do ręki można wieśniakowi i rzemieślnikowi. O pracy, Kraszewskiego, Jak przysporzyć ziemi i chleba, Mizery, książeczki Gwiaździca, wyborne powiastki Janka z Bielca i Promyka; jest z czego stworzyć biblioteczkę parafialną. Bardzo wybitne miejsce między innemi należy się ks. kanonikowi Filochowskiemu. który od kilku lat umiejętnie i pracowicie działa na tem polu. Jego Opowiadania pielgrzyma, których już ze cztery tomy wyszło, są doskonałe, po prostu ale barwnie, ciekawie i bardzo poczciwie pisane; przynoszą pożytek istotny dla czytelnika, i umieją go wdzięcznym układem pociągnąć.

Wielkie to szczęście dla naszego ludu, że dwa dzienniki dla niego przeznaczone, znajdują się w dobrych rękach. Zorzę redaguje zacny i zasłużony p. Grajnert, a K. Promyk bardzo umiejętnie, z istotnym talentem i nieposzlakowaną tendencyą kieruje Gazetą świąteczną. W warunkach tutejszych trudno więcej żądać, daj Boże tylko, aby z czasem nie zwiększyła się liczba siewców złego ziarna, i żeby uczciwego posiewu chwast nie zaczął głuszyć.

Z Budapesztu.

Stan moralno-społeczny Węgier. — Rozwielmożnienie się wpływów semickich. — Przeludnienie stolicy. — Demoralizacya w klasach oświeceńszych. — Samobójstwa. — Pauperyzm na prowincyi. — Prasa peszteńska. — Polemika broszurowa. — Przedstawiciele literatury. — Wybory.

Węgry uzyskawszy od niedawna autonomię, zostają jeszcze pod wpływem pewnego oszałomienia, nie przebolawszy zaś jeszcze ran z niedawnej przeszłości, cierpią na brak wytrawności i objektywności w sądach a dojrzałości w zapatrywaniach, są zbyt pochopni do czynów niedostatecznie rozważonych poprzednio i niepomiernie, niemal chorobliwie wrażliwi. Starsza generacya, pamiętna ucisku za rządów Bacha i Hainau'a i wśród tych gnębiących wpływów wzrosła, za mało ma może inicyatywy; młodsza zaś generacya ma jej aż za wiele. Powstaje ztąd antyteza, częstokroć rażąca i nieraz szkodliwa. Na domiar złego sterem rządu nie kieruje mąż o wybitnym charakterze. Koloman Tisza należy do tych ludzi, którzy umieją zręcznie wyzyskać wady swoich współziomków dla osobistych widoków. Mając za sobą energiczne poparcie pewnej frakcyi mało sumiennej, lecz wielce ruchliwej, posiadając przytem dostateczną energię a nieporównaną ambicyę, narzucił się opinii publicznej, steroryzował ją; nadto starał się wszelkimi sposobami, w czasie ośmioletniego zarządu, stanowisko swe, zrazu nieco wątpliwe, ustalić. I doprawdy udało mu się nad spodziewanie. Pozyskał uznanie wielu zaślepionych lub naiwnych, lecz przedewszystkiem uznanie jak największe Izraelitów. Cała jego polityczna działalność na pozór liberalna w gruncie rzeczy jest Żydom przyjazna i znaczne a wielorakie niesie im korzyści. To też koterya handlowo przemysłowa spekulantów żydowskich, należy do najgorętszych zwolenników obecnego rządu, i popiera wszelkimi środkami politykę gabinetu Tiszy.

Żydzi węgierscy pomimo śmiesznego madjaryzowania swych nazwisk, z narodem węgierskim nic wspólnego nie mają i do solidarności z nim bynajmniej się nie poczuwają. Tak tu, jak i gdzieindziej, tworzą naród w narodzie, którego żywotne soki absorbują, niszczą niesumienną zazwyczaj konkurencyą stan

drobnych przemysłowców i rzemieślników, a lichwą rujnują włościan. Ludzie ci, miarkując, że tegoroczne wybory, w których opozycya po raz pierwszy energiczniej wystąpiła, zagrażają stałości obecnego gabinetu a tem samem własnym ich interesom, rozpoczęli agitacyę na wielką skalę, zebrali w jednym Peszcie za pomocą składek 200,000 złr, dla pozyskania wyborców po swej myśli. Złożyli je przeważnie kupcy peszteńscy. Jeden z posłów tutejszych p. M. W. stoi na czele agitacyi i złożył na powyższe cele 1000 złr. A Str... bogaty spekulant złożył 5,000 guldenów, M. Br... majętny kupiec również tyle, i t. d. Szczegóły powyższe z najpoważniejszych źródeł zaczerpnąłem, a w razie potrzeby bliższemi jeszcze danemi służyć mogę.

Rzecz niezawodna, że rządy Tiszy przyczyniły się wielce do zwiększenia potęgi żydowskiej w Węgrzech. Żydzi tutejsi są po większej części zamożnymi; handel, przemysł krajowy wyłącznie w ich rękach spoczywa, i nigdzie może w obecnej dobie nie osiągnęli tak przeważnego wpływu aż do najgłębszych korzeni organizmu państwowego.

Zgubny wpływ polityki rządowej w stolicy samej najbardziej uczuwać się daje. Centralizacya bowiem, będąc w Budapeszcie sztucznemi środkami potęgowaną, smutne przynosi owoce i niejeden groźny symptom wzbudza uzasadnione obawy na przyszłość. I tak n. p. ostatniemi laty powstała tu gorączka budowania i przebudowywania, niczem nieusprawiedliwiona, tak zwany „Gründerthum.“ Żydzi, lichwą lub spekulacyą giełdową wzbogaceni, wspaniałe budują tu pałace, we wszystkich niemal dzielnicach miasta, przeistaczają się skromne ulice zamieszkałe dawniej uboższą ludnością w pyszne bulwary, ceny atoli mieszkań w nowych budynkach nieprzystępne są nietylko dla biedniejszych, ale nawet dla średniej klasy. W ostatniem dziesięcioleciu zburzono kilkaset domów mieszczących wyłącznie rzemieślników i robotników fabrycznych, nie pomyślano zaś równocześnie o zaradzeniu powstałemu stąd brakowi, odpowiednich mieszkań dla klas uboższych.

W obec tak dotkliwego braku mieszkań tanich spotęgowanego ogólną drożyzną, pojąć można przyczynę opłakanych tutejszych stosunków sanitarnych. Z powodu niedostatku mieszkań o cenach przystępnych, z powodu nadto rzadkiej kontroli poli-

cyjnej nocuje nieraz 40 i 50 osób w jednej izbie. Przeszłego roku, w czasie nieledwie epidemicznie występującego tyfusu widziała się policya znagloną do nieco surowszej kontroli i wówczas właśnie odkryto w maleńkiem podwórzu 200 osób, przeważnie włóczęgów nocujących tamże w największym nieładzie, a prawie połowę na tyfus zapadłą do szpitala oddać musiano.

Przeludnienie stolicy wzmaga się z dniem każdym z powodu zbytniego a nieustannego przypływu ludności przeważnie ubogiej, mającej jednakowoż na prowincyi dostateczny choć skromny zarobek, przeistaczający się w stolicy w proletaryat liczny i groźny. Jak znacznym jest ów przypływ, o tem świadczy statystyka. Peszt bowiem, a raczej Budapeszt liczył przed trzema laty 360.000 mieszkańców, dziś zaś liczy ich 420.000; przyrost więc ludności w okresie trzechletnim wynosi 60.000. Zważyć przytem należy, że ów przyrost nie jest wcale normalnym, bo wyłącznie prawie spowodowanym jest napływem ludności z prowincyi. Tysiące robotników, rzemieślników, drobnych przemysłowców, zwabionych większą płacą w stolicy, opuszcza prowincyę najczęściej niepowrotnie; prowincye coraz bardziej wyludniają się, choć w nich zarobek o tyle łatwiejszym, o ile konkurencya się zmniejsza. Przybywają n. p. Słowacy ze Spiżu, z pod Koszyc i Preszowa, robotnicy wytrwali i zdolni, do robót zwłaszcza murarskich i ziemnych używani, przybywają pracowici Niemcy z komitatów zachodnich, zasilając przeważnie stan rzemieślniczy i drobnych przemysłowców; przybywają wreszcie Serbowie ze stron południowych, z pod Szabadki lub Uj-videku, drobnym handlem zatrudniający się. Ci wszyscy wzrostem stolicy, w której *de facto* tylko nędza wzrasta, przyciągani, udają się do Pesztu, zapewnie o szybkiem wzbogaceniu się marząc. I jakiż los spotyka tych ludzi? Najopłakańszy, zawierzając bowiem optymizmowi tutejszej prasy urzędowo-liberalno-żydowskiej, osiedlają się stale, rodzinę sprowadzają i popadają niebawem w jak największą nędzę, poznawszy niestety zapóźno płonność przesadnych nadziei i trudność zarobkowania wobec przemożnej konkurencyi żydowskiej. Tracą przytem resztę ubogiego mienia, nie będąc w stanie płacić wysokich podatków, a zwłaszcza czynszu z każdym kwartałem rosnącego. Zauważyć bowiem należy, iż tutejsze Gründerstwo nieodzo-

wnym krachem zakończyć się musi; krachem podobnym do wiedeńskiego z roku 1873. Trzeźwe umysły zgadzają się na to powszechnie.

Wystawa krajowa przyszłoroczna wszystkim tu głowę zawróciła, rozmaite spekulanty obiecują sobie z niej złote żniwo. Niejeden właściciel skromnego domku na przedmieściu zadłuża się niepomiernie, własność swą restauruje, o piętro lub dwa podnosi, ceny mieszkań w dwójnasób zwiększa, dalej zaś okiem nie sięga i zważyć nie chce, że owa wystawa sześć miesięcy potrwa, a że po wystawie nieusprawiedliwiającej wcale tak znacznych wydatków, ów cały pozorny tylko przypływ bogatszej ludności przeminie, a wówczas pozostaną puste mieszkania i próżne kieszenie. Wówczas tysiące robotników, a zwłaszcza przy budowlach zatrudnionych Słowaków, których tu całemi tłumami zwerbowano, pozostaną bez zajęcia i chyba grono aż nadto liczne proletaryatu zwiększą. Rząd obecny pragnąc uczynić prowincyę coraz bardziej zależną od stolicy, a tem samem byt swój ustalić, ułatwia budowlę wspaniałych pałaców na nowo powstałych bulwarach, zwalniając ich właścicieli od podatku gruntowego na lat 30, a przytem nie popiera budowania tak zwanych domów dla robotników, jak to w znaczniejszych miastach zagranicznych bywa. Ostatniemi czasy dopiero wystąpiono z podobnym wnioskiem, dość ospale roztrząsanym, a wcale energicznie niepopartym, tak dalece, że i miejsca odpowiedniego przeznaczyć nie umiano, i chyba dziesiątki lat przeminą, zanim ten projekt stanie się rzeczywistością.

Łatwo stąd pojąć, że rękodzielnik lub przemysłowiec zwabiony do Pesztu, wkrótce pada ofiarą swej łatwowierności. Żyd spekulant niemający odpowiedniego fachowego wykształcenia, zakłada fabrykę obówia, otwiera magazyn konfekcyjny i t. p., niesumienną konkurencyę rzemieślnika chrześcijanina rujnuje, a sam robi świetne interesa. Rzemieślnik bowiem sumienny dobry towar wyrabia, a więc i drożej stosunkowo musi go sprzedawać; żyd zaś daje jak najlichszy towar, robotników płaci jak najgorzej i słusznie przytem rachuje na wzięcie u publiczności, która przeważnie taniości poszukuje, a jakości wyrobu ocenić nie umie. Dalszym następstwem takowych warunków jest ów smutny fakt, że rzemieślnik zubożały zmuszonym bywa u konkurenta

żyda pracować za bezcen nieledwie. Kupiec chrześcijański również trudne ma stanowisko wobec konkurencyi żydowskiej, że tutaj tylko nawiasowo wspomnę o wielkich przedsiębiorstwach handlowych, wyłącznie w rękach żydów spoczywających.

Owa to plutokracya przemysłowo-handlowa, przez rząd protegowana, wywiera jak najszkodliwszy wpływ na stosunki ekonomiczne całego kraju. Pod formą tak zwanych Ringe na wzór wiedeński urządzonych i z wiedeńskimi solidarnie postępujących, monopolizuje ona wszelki obrót handlowy i ruch przemysłowy w rękach małej stusunkowo garstki niesumiennych spekulantów. Popiera ona nadto tak zwany Fleischwucher, Kornwucher i wszelką lichwę tego rodzaju; sprowadza zaś w dalszem następstwie niesłychaną drożyznę, a przytem przyczynia się Gründerstwem do braku mieszkań, wzmaga liczbę proletoryatu, i prowadzi jednem słowem kraj do ruiny.

Co gorsza, demoralizujące wpływy tej filosemickiej polityki nie oszczędziły nawet urzędników państwowych. Składają się oni wyłącznie niemal z protestantów, nadmieniam tę okoliczność, z powodu iż charakterystycznem jest zjawiskiem, że krajem przeważnie katolickim, bo aż 9 milionów katolików liczącym, zarządza mała stusunkowo garstka protestantów z kalwinem Tiszą na czele! Pochodzeniem swojem należą oni przeważnie do drobnej i zubożałej szlachty prowincyonalnej.

W Węgrzech bowiem zarówno, jak w Polsce, stan średni, mieszczański, jest bardzo nielicznym; żyd wypełnił ową próżnię między szlachtą a chłopstwem. Drobnej natomiast szlachty liczba jest znaczna. Szlachta owa szczupłymi rozporządzająca środkami, nie będąc w stanie swych dzieci wyposażyć w sposób odpowiedni, przeznacza synów do karyery urzędowej, do której, szczycąc się licznemi stosunkami a nieraz i bardzo wpływowemi protekcyami, zdobywa im łatwo przystęp. Tej szlachcie, przeważnie kalwińskiej, zazwyczaj materyalnym interesem, a rzadko wyższemi moralnemi pobudkami kierującej się, zależy przedewszystkiem na zabezpieczeniu sobie materyalnego dobrobytu. To też młoda generacya w ten sposób wychowywana, odznacza się rażącym brakiem zasad i wyższych poglądów, rzuca się zrazu gorączkowo do pracy, powodowana nie tyle patryotyzmem i chęcią przysłużenia się oj-

czyźnie, ile żądzą dogodzenia swej ambicyi i używania zmysłowych uciech. I tym to właśnie ludziom tak niskiej moralnej wartości zastawia sidła plutokracya przemysłowo-handlowa. Nic dziwnego, że tym torem wchodzi korupcya, malwersacye, przekupstwo, za czem idą skandaliczne procesa, a na końcu aż nadto częste samobójstwa, illustrujące zgubny wpływ spaczonej edukacyi. I tak w przeciągu kilku miesięcy oddano pod sąd czterech komisarzy policyjnych o przekupstwo oskarżonych; jeden z nich zastrzelił się w celi więziennej. Niedawno temu zastrzelił się ogólnie szanowany sędzia peszteński, a w liście ostatnim do przyjaciela oskarża jednego z intrygantów peszteńskich, którego przewrotnym manewrom dał się uwieść, jako moralnego sprawcę swej śmierci.

Mania samobójcza przybiera zresztą zastraszające rozmiary; w żadnem z miast europejskich tyle stosunkowo nie popełnia się samobójstw co w Peszcie. Starcy, młodzieńcy, ba dzieci nawet, bo 13-to i 12-to letnie dzieciaki, odbierają sobie życie, częstokroć z najbłahszych powodów. W przeciągu dwóch tygodni t. j. od 1—14 stycznia b. r. dwadzieścia sześć samobójstw naliczono, w drugiej zaś połowie stycznia, kilkanaście samobójstw miało miejsce. W kwietniu b. r. zmówiło się pięciu młokosów od 14 do 17 lat wieku, którym gdy zabrakło pieniędzy do wesołego, a raczej rozpustnego spędzenia wakacyi wielkanocnych, na godne zakończenie swej rozpusty udali się gromadą do lasku za miastem, gdzie wspólnie chcieli sobie życie odebrać. Jeden z nich padł ofiarą tego szaleństwa, drugi pozostał kaleką, innych zaś uratowano. Przed kilku tygodniami również zastrzelił się w Peszcie 16-letni młodzieniec niepospolitych zdolności i wielkie rokujący nadzieje. Nikt zrozumieć nie mógł powodów, które go do samobójstwa znagliły; po niejakim czasie dopiero odkryto w biurku jego list do jednego z przyjaciół pisany, w którym następujący ustęp się znajdował: „Nudzę się okropnie, przesyciłem się już wszystkiem i nie widzę nic innego przed sobą, jak bezcelowość długiego życia; cóż wreszcie na tem zależy, jeżeli lepianka li tylko z muszkułów, kości, nerwów złożona przejdzie w domenę nicości, dla której jest przeznaczoną.“

Ogólny indyferentyzm religijny, żeby nie powiedzieć ateizm,

wyradza tak groźne symptomata i wywołuje tak chorobliwe objawy. Napotkasz w Peszcie rodziny zamożne, wrzekomo chrześcijańskie, które wychowują dzieci w sposób zupełnie ateistyczny; zakazują jak najsurowiej nauczycielom, by nigdy imienia „Boga“ przed dziećmi nie wymawiali.

W tutejszej peszteńskiej radzie szkolnéj debatowano nad zniesieniem nauki katechizmu w szkołach ludowych a religii w ogóle w szkołach średnich; motywowano zaś ów projekt „sprzecznością“ zachodzącą między nauką religii, a naukami przyrodzonemi, mianowicie dlatego, że te ostatnie dowodzą, że świat nie został stworzonym w „sześciu dniach“, jak religia uczy. — Ciekawa illustracya do wiadomości teologicznych tych panów!

Wszystkie te smutne objawy sprowadzić się dają do jednego źródła, do zgubnej zarazy materyalizmu, powodującego się tylko niskim egoizmem, z pominięciem wszelkich względów religijnych lub moralnych. Wynika stąd pewien pessymizm, raczej może zwątpienie, rozprzestrzeniające się mianowicie między najniższemi warstwami towarzyskiemi, a zagrażające w dalszem następstwie całemu społeczeństwu. Brak zasad religijnych i moralnych działa tu o tyle szkodliwiej, o ile większy musi mieć wpływ na naród tak wrażliwy, a pozbawiony niemal zmysłu krytycznego, jakim jest naród węgierski.

Smutne stosunki społeczne w stolicy znajdują odgłos na prowincyi. Polityka obecnego rządu jak niemniej dbała o podniesienie stanu moralnego w kraju, rzucająca zaś na pastwę lichwie żydowskiej materyalny jego dobrobyt, polityka protegująca żydów, kalwinów, baptystów etc., wszystkich jednem słowem, byle nie katolików, polityka taka musi koniecznie na cały kraj zgubny wpływ wywierać. Ruch handlowy wywozowy całego kraju skoncentrowany w rękach żydowskich. Miasta Debreczyn, Szegedin, Miskolcz itd. szczycące się niegdyś czystą madyarską ludnością, są dzisiaj głównymi punktami żydowskiej agitacyi politycznej wykonywanej ma się rozumieć w celach ekonomicznej grabieży. W północnej stronie Węgier Słowacy, w południowej Serbowie, we wschodniej Szeklery, Rumuny, w zachodniej Niemcy, w środkowych wreszcie komitatach Madjary, wszystkie owe odrębne

szczepy zarówno bywają eksploatowane przez żydów, wycieńczane lichwą.

Drobne posiadłości wiejskie coraz częściej przechodzą w ręce żydowskie, pochłonięte ich wielkiemi kompleksami gruntowemi. Włościanin bowiem mimo największych wysileń i najgorliwszej pracy, przygnębiony ciężarem podatków państwowych, szkolnych, gminnych i t. p. nie będących bynajmniej w odpowiednim stosunku do lichego dochodu z nieznacznego mienia, częstokroć dobijany niesumienną lichwą, musi rad nierad wyzbyć się ostatniego kawałka ziemi, albo szukać tak zwanego okolicznościowego zarobku, i pójść za najemnika do sąsiada żyda. W przeciągu ostatnich 15 lat wzrosło zadłużenie włościańskich hipotek w przerażający sposób, a wydarza się nie rzadko, tam zwłaszcza gdzie lud nieokrzesany i bezmyślny, że gospodarz wiejski zaprzedaje spekulantowi żydowskiemu zboże na pniu i całą krescencyę. Pomimo tak ciężkich warunków dla węgierskiego rolnika, przyjęto niedawno w obu izbach wniosek rządowy i uchwalono na budowę wspaniałego gmachu sejmowego 15 milionów złr., które z czasem wystąpią pod formą dodatku do podatku i chyba do reszty zgnębią włościanina. Z takim też argumentem wystąpiła opozycya, składająca się przeważnie z mężów najzacniejszych w Węgrzech. Rząd w tej, jak i w innych sprawach, poniósłby niewątpliwie porażkę, gdyby nazwisk głosujących nie liczono, lecz je ważono.

Buta wszechmożnej plutokracyi przemysłowo-handlowej, popieranej filosemityzmem rządowym, musiała z czasem wywołać reakcyę. Antysemityzm zresztą, byle ów wyraz w ściślejszem brać znaczeniu (przeszłoroczne bowiem burdy uliczne w Peszcie, były w gruncie rzeczy właściwie anarchicznemi), ma także swą dobrą stronę, przyczynił się bowiem do obudzenia aż nadto ospałego poczucia religijnego między katolikami tutejszymi. Prasa bowiem żydowska, zwalczając wrzekomo antysemityzm, szkalowała w namiętny sposób (choć najczęściej *inter lineas)* wszystko co katolickie. Gwałtowne te zaczepki wywoływały i po dziś dzień wywołują żądzę odwetu i spowodowały solidarność w społeczeństwie katolickiem.

Bo też ta prasa peszteńska urządzona na wzór wiedeńskiej,

spoczywająca przeważnie w rękach żydowskich, przyczynia się do coraz większej demoralizacyi w kraju, a to tembardziej, że wielki tu brak ludowego pisma katolickiego, któreby paraliżowało jej zgubne wpływy. W Peszcie wychodzą wprawdzie dwa pisma w duchu szczerze katolickim: *Magyar Állam* i *Magyar Korona;* nie zaradzają jednak złemu, bo zajmują się prawie wyłącznie sprawami kościelnemi. Z gazet w węgierskim języku redagowanych, następujące wymienić należy: *Nemzet* (Naród) organ rządowy, a tem samem liberalny, mimochodem największe posługi oddający żydostwu; *Egyetértes* (Zgoda) nie mające żadnego wybitnego kierunku politycznego; *Pesti hirlap*, dziennik ultro-liberalny z programem bezwyznaniowym; wreszcie *Budapesti hirlap*, organ opozycyjny. Dzienniki w niemieckim języku redagowane, mają tutaj większe koło czytelników, aniżeli węgierskie. Najważniejszy *Pester Loyd* i *Neues Pester Journal*, pisma liczące razem przeszło 50.000 prenumeratorów, podtrzymywane nadto koteryą bogatych kupców i spekulantów żydowskich, którym niemało zależy na pokierowaniu opinii publicznej według swoich samolubnych widoków. W redakcyi wspomnianego *Neues Pester Journal* wychodzi nadto pismo ludowe, pod tytułem *Politisches Volksblatt;* liczy ono kilkanaście tysięcy czytelników i wywiera jak najszkodliwszy wpływ na uboższą ludność katolicką, pozbawioną, jak wspomnieliśmy, odpowiedniego organu, a tem samem niejako znagloną do codziennego czytania tej trucizny moralnej. Oprócz dzienników politycznych, wychodzi tu wielka ilość pism niemoralnych i skandalicznych, tak zwanych *Rewolverblätter.* Węgrzy szczycą się nieograniczoną wolnością prasy, wolnością większą niż w którymkolwiek innym kraju; większa tu zaiste, niż gdzieindziej, wolność szkalowania i oczerniania najzacniejszych obywateli, zakłócania spokoju rodzinnego, podejrzywania najszlachetniejszych intencyi, obrzucania błotem najpoważniejszych matron, plugawienia jednem słowem wszystkiego i wszystkich, celem wymuszenia grosza teroryzmem ohydy lub hańby. Jest niestety i publiczność lubująca sobie w tego rodzaju publikacyach, sprzyjających niskim popędom i brudnym namiętnościom; młodzież zaś, powodowana niezdrową ciekawością, rozkupuje chciwie owe pismidła i przyczynia się tem samem do coraz większego rozpo-

wszechnienia tej gangreny społecznej. Jedno z tych piśmideł nadało sobie aż nadto charakterystyczny tytuł *Cyankali;* niebezpieczniejszem jest atoli od owej trucizny, bo nie tylko ciało niszczy (czego wymownie dowodzą liczne samobójstwa prasą rewolwerową spowodowane) lecz i duszę zatruwa.

Nadmienić jeszcze wypada o licznych broszurach, które tu ostatnimi czasy niemałego narobiły hałasu, a wszystkie nieomal obrachowane były na łatwowierność i nieświadomość czytelników. W tych broszurach, funduszami przeważnie żydowskimi wydawanych, roztrząsano kwestye polityczne, socyalne, a nawet religijne; podczas ostatniej zwłaszcza sesyi parlamentarnej, rozbierano tendencyjnie każdy wniosek rządowy, potrącający o katolickie interesa, jak n. p. przy sposobności debaty szkolnej, a później w sprawie tak zwanych mieszanych małżeństw. Wiadomo, że przed kilku miesiącami wystąpił rząd węgierski z wnioskiem zaprowadzenia dowolnych ślubów cywilnych między chrześcijanami a żydami, tak zwane *Fakultativ-Mischehen.* Motywowano ów wniosek, potrzebą zapobieżenia szerzeniu się konkubinatu i dzikich małżeństw. Wniosek przyjętym został w izbie deputowanych, w izbie panów atoli upadł, mimo dwukrotnego głosowania. Najbardziej przyczyniło się do owego upadku, świetne wystąpienie wyższego duchowieństwa katolickiego, a mianowicie poważne i namaszczone przemówienie J. E. Prymasa Simora, pełne erudycyi a przytem dowcipem tryskająca mowa J. E. kardynała Haynalda i uczona a samym przeciwnikom imponująca mowa J. X. biskupa Szlaucha. Otóż świat żydowski obruszony stanowiskiem, jakie zajęło w tej sprawie wyższe duchowieństwo, posunął się aż do otwartych zaczepek przeciw dostojnikom kościelnym i przeciw katolicyzmowi w ogóle; ogłaszał je w ulotnych pisemkach i broszurach w stolicy i na prowincyi, sposobem anonsów, reklam, afiszów i t. p. Drobniejsze publikacye tego rodzaju odznaczyły się li tylko gburowatym stylem i duchem nienawiści. Większe atoli znaczenie przypisać należy rozprawom pseudo-uczonym, walczącym z większą rafineryą, bo z bronią sarkazmu i ironii, a opierającym się niby to na datach historycznych lub statystycznych. Wyższemu duchowieństwu katolickiemu zarzucano brak patryotyzmu, jakoby dostojnicy kościelni posiadając znaczne

dobra ziemskie, nie przeznaczali ani cząstki swych wielkich dochodów na ulżenie nędzy w kraju i na cele filantropijne. Zarzucano całemu katolicyzmowi i Papiestwu, że zamiast użyć swego przemożnego po wsze czasy wpływu dla dobra kraju, to ono wyrządza mu same szkody i krzywdy, a to już od 800 lat; że Papieże mimo znacznych materyalnych zasobów, nigdy krajowi nie udzielili skutecznej pomocy, w czasie klęsk narodowych i najazdów tureckich; że na losy kraju obojętnem patrzyli okiem, chociaż nieraz usiłowali wpłynąć na wewnętrzne jego stosunki. Jako dowód tego skąpstwa papieskiego przytaczano fakt, że jedyny datek Papieża ofiarowany Węgrom nie przenosił sumy 1000 dukatów. Jakiem tedy prawem, zapytywano, narzucają Papieże po wsze czasy swą opiekę Węgrom, skoro żadnych ofiar ponieść nie chcieli, dla sprawy węgierskiej, i ledwo się raz na lichy datek tysiąca dukatów zdobyli; datek o tyle skromniejszy, że w nader krytycznej dla narodu chwili, bo przysłany przed bitwą Mohacką, kiedyby i dwadzieściakroć większa suma nie starczyła. W obec tak bezczelnego twierdzenia, nie będzie od rzeczy przypomnieć, iż Papież Pius II. przesłał na pomoc Maciejowi królowi węgierskiemu 120.000 dukatów i 4.000 konnych; późniejsi zaś Papieże niemniej byli hojnemi, tak n. p. Papież Paweł II. przesłał królowi węgierskiemu 268.000 dukatów, Aleksander IV. królowi Władysławowi 80.000 dukatów, a wspierał go nadto rocznym zasiłkiem wysokości 40.000 dukatów, Klemens VII. przeznaczył na sprawę węgierską 50.000 dukatów, Pius IV. posłał Węgrom 50.000 dukatów, Klemens VIII. wyekwipował 10.000 żołnierzy, celem odsieczy Granu, a trzeciej części legionu polskiego kazał wypłacić żołd zaległy i t. d.

Równie niesprawiedliwy jest zarzut, wyższemu duchowieństwu katolickiemu czyniony, jakoby ono, mimo wielkich dochodów, mało poświęcało dla spraw i interesów narodowych. Tak n. p. J. E. kardynał Szitowsky wydał 2,470.000 złr. na cele wychowawcze, szkolne i filantropijne. Biskup Csanadzki Aleksander Bonnaz, wydał 2.000,000 złr. na podobne cele. Miasta wreszcie Gran i Kalocsa, rezydencya J. E. prymasa Simora i kardynała Hay-

nalda, świaczyć mogą wymownie o hojności owych dostojników kościelnych [1].

Prasa liberalno-żydowska, usiłuje widocznie wzbudzić antagonizm i wzniecić nienawiść pomiędzy katolikami i protestantami. Stara się więc uwydatnić za pomocą śmiesznych panegiryków wpływ protestantyzmu na tutejsze stosunki krajowe, wysławia „patryotyczną działalność protestantów i kalwinów“ w przeciwieństwie niby do indeferentyzmu katolików „za mało dbałych o dobro narodu.“ Zapomina jednak, iż naród węgierski dwom protestantom zawdzięcza k a t a s t r o f ę pod Vilagos t. j. Koszutowi i Görgejowi. Zapomina również, że katolik, hrabia Szechenyi, najbardziej się przyczynił do obudzenia poczucia narodowego a że katolik Franciszek Deak więcej zdziałał dla dobra narodu, niż całe grono protestantów, kalwinów i t. p.

Skoro już mowa o prasie, nie zawadzi wspomnieć o kilku znakomitszych pisarzach węgierskich. Na pierwszym planie postawić należy Maurycego Jokaja, którego dzieła, zwłaszcza powieści, na wszystkie niemal języki europejskie przetłumaczono i któremu przyznać należy talent niezwykły. Powieści jego odznaczają się zawsze jakąś tendencyą moralną i odbijają tem korzystniej, iż w rażącem stoją przeciwieństwie z utworami drugorzędnych pisarzy, propagujących zepsucie i rachujących na szkandał dobrze płatny. Maurycy Jokaj bawi się także w politykę, ale mizernym jest politykiem a parlamentarna działalność jego niejedną wywołuje krytykę. Jest on nadto redaktorem rządowego organu *Nemzet,* mieni się gorącym zwolennikiem polityki gabinetu Tisza, a należąc tem samem do obozu liberałów, używa wielkiej popularności. Zadziwićby powinno takie stanowisko zajęte przez męża niepospolitych zdolności, niepowodującego się bynajmniej ambicyą

---

[1] Piszą o tem katoliccy autorowie:

Lányi Károly: Zasługi duchowieństwa katolickiego w obec sprawy węgierskiej.

Pauer János: Zasługi katolicyzmu w obec narodu węgierskiego.

Horváth Mihály: Dwadzieścia pięć lat z historyi węgierskiej.

Więcej szczegółów podadzą nam węgierskie *Monumenta vaticana,* które już 15 lipca mają być ogłoszone.

lub prywatą. Zważyć atoli należy, iż Jokaj tak w prywatnem jak i publicznem życiu powoduje się częściej fantazyą, poetom właściwą, aniżeli zdrowym poglądem na świat i ludzi; posiada on zalety, lecz i wady poetów, i stąd to wyrodził się u niego pewien przesadny optymizm przedstawiający wszystko w różowych kolorach, a niezdolny do spostrzeżenia bardziej ukrytych wrzodów społecznych. Pozorne powodzenie i blask pozorny bierze on na seryo i daje się nim olśnić. Te też sami jego wielbiciele przyznają nieraz mimowolnie, iż rażącą upatrują sprzeczność pomiędzy jego wielkiem uzdolnieniem pisarskiem a nieudolnością polityczną. Oprócz Jokaja, mistrza w dziedzinie literackiej a dyletanta w polityce, dwaj są autorowie dramatyczni, główni przedstawiciele tutejszej muzy teatralnej: Grzegorz Csika i Kornel Abranyi. Zasilają oni scenę narodowę utworami wątpliwej moralności a nieraz wprost cynicznemi, stosując się w tym względzie do zepsutego smaku publiczności tutejszej, rozkoszującej w utworach schlebiających niskim namiętnościom a wychwalającym występek.

Pomimo tak niepocieszających objawów moralno-socyalnych nie sądzę żeby należało zwątpić o przyszłości narodu węgierskiego. Reakcya przeciw ujemnemu wpływowi polityki gabinetu Tiszy, poczyna coraz energiczniej występować, dowodzi tego tocząca się w obecnej chwili gwałtowna walka wyborcza. Duch religijny budzi się również w obec napaści bezwyznaniowej prasy; duchowieństwo nie szczędzi usiłowań dążących do podniesienia stanu moralnego w narodzie. Zbytnia też wrażliwość i subjektywność narodu zaciera się powoli w miarę przybywającego mu doświadczenia, niemniej i zmysł krytyczny wydoskonali się z czasem, a wówczas kraj cały niejedno złe potępi, którem szczyci się dzisiaj.

Właśnie gdy karty te piszę, odgrywa się na wielką skalę dramat wyborczy. Dawna to tradycya Węgrów, przystępować do urny wyborczej w wrzawie i swarze z namiętnością niesłychaną stronnictw; ale tą razą właśnie podczas Zielonych Świątek, gdy akcya wyborcza dochodziła punktu kulminacyjnego, przyszło do rozruchów i zabójstw, padło kilkanaście trupów i kilkudziesięciu rannych w Györgyö Afala, Szentes, Mindszent, Györgyö, Szent, Miklosz i kilku innych miejscowościach; rząd musiał użyć żandarmów

i wojska, aby dalszemu krwi rozlewowi zapobiedz; ostateczny jednak rezultat wyborów wypadł na korzyść rządu, zyskał on większość pięćdziesięciu kilku głosów. Wzmocniony gabinet Tiszy będzie prowadził dalej swoją liberalną politykę wewnętrzną i wystąpi niebawem z nowemi projektami praw, naruszających prawa i przywileje katolickiego Kościoła, jak to już próbował uczynić w osławionym wniosku o małżeństwie żydów z chrześcijanami. To też doprawdy trudno mi pojąć, dlaczego nasze konserwatywne i wrzekomo katolickie pisma prawie rywalizują z liberalną prasą w pochwałach dla gabinetu Tiszy, który, jak już wyżej wspomniałem, jest na wskróś masońsko-żydowski i nietylko w obec kościoła Katolickiego w Węgrzech nieprzyjaźne w gruncie acz na pozór uprzejme zajmuje stanowisko, ale gniecie gdzie może i nęka ludność słowiańską a faworyzuje synów Izraela. *J. M.*

Z Berlina.

Zapewnienie robotnikom pomocy. — Rada Stanu. — Ustawa banicyjna. — Intruzi na Szląsku.

Nareszcie po długich a mozolnych pracach uchwalił parlament pruski ustawę względem ubezpieczenia robotników, kalek i pozostałych po nich rodzin; rada związkowa czyli przedstawiciele poszczególnych rządów niemieckich, zgodzili się na nią, przez co nabrała ona prawomocności: i została już ogłoszoną w zbiorze praw. Stało się tedy teraz inaczej, niż przed kilku laty, kiedy parlament dokonał także podobnej pracy, a ks. Bismarck wszystkie uchwały odrzucił, ponieważ zamiarów tego wzmocnienia, jeszcze wszechwładzy państwowej przez regularne wspieranie robotników ze skarbu państwowego, parlament wcale nie uwzględnił. W ciągu lat ostatnich przekonał się kanclerz, że napróżno usiłuje przeprowadzić tę właśnie myśl, zaniechał jej więc o tyle, że teraz skarb państwowy dopiero wtenczas będzie miał dostarczać funduszów dodatkowych, jeżeliby na szczególną jaką korporacyę przemysłowców z powodu bardzo licznych wypadków nieszczęśliwych przypadały tak ogromne koszta, że korporacya ta, chcąc uczynić zadość obowiązkom swoim względem

robotników, zostałaby doprowadzoną do bankructwa. Po długiem wahaniu się przystał wreszcie parlament na ten wyjątek. W ogólności uległ pierwotny projekt rządowy, o którym czasu swego na tem miejscu pisałem,[1] nielicznym zmianom w parlamencie; przypisać to należy tej okoliczności, że stronnictwa opiekujące się szczerze robotnikami (centrum i zachowawcy) zawarły z rządem kompromis, aby w każdym razie osięgnąć dodatni rezultat mozolnych prac parlamentarnych. Do tego kompromisu przyłączyło się koło polskie i posłowie z Alzacyi i Lotaryngii, a w końcu także narodowcy liberalni, którym wielce chodzi o pozyskanie ponowne względów żelaznego księcia. Usiłowania liberalnej opozycyi i socyalistów dążyły do tego, aby zwichnąć cały projekt; spełzły one jednak na niczem, a ustawa przyjętą została bardzo poważną większością. Ze względu na dawniejsze wywody moje zestawię tu tylko główne zarysy ostatnich prac parlamentarnych.

Najprzód nie zostały dobrodziejstwa ustawy rozciągnione na wszystkich robotników, których w Niemczech jest mniej więcej 10 milionów; tylko 2 miliony korzystać będą z dobrodziejstw assekuracyi, a to przedewszystkiem robotnicy, którzy w razie kalectwa dotychczas już w teoryi przynajmniej mieli wsparcie zapewnione, skoro udało się wobec sądu wykazać, że przez winę chlebodawców lub zarządzców fabryk zostali kalekami. W praktyce dowód ten rzadko mógł być przeprowadzony, zwłaszcza, jeżeli skaleczony, nieraz jedyny naoczny świadek wypadku, został zabity, robotnicy zwyczajnie nic nie odebrali lub wcale niedostateczne wsparcie. Teraz jest pomoc z góry zapewnioną robotnikom zatrudnionym w górnictwie, w hutach żelaznych, w salinach, na warftach i przy budowlach: udało się parlamentowi umieścić między tymi jeszcze kominiarzy. Socyaliści żądali, aby każda osoba zatrudniona przez innych była ubezpieczona; wniosek ten upadł, niemniej domaganie się członków liberalnej opozycyi, aby wszyscy robotnicy fabryczni i rzemieślnicy, używający maszyn, doznali opieki prawnej. Odrzucając te wnioski, przyrzekła większość parlamentu, że w niedalekiej przyszłości także inne liczne klasy robocze będą ubezpieczone; obecnie nie dałoby się

[1] Patrz *Przegl. pow.* tom II. str. 294—305.

to przeprowadzić, gdyż nie łatwo wszystkich chlebodawców zawiązać w korporacye; w pierwszym rzędzie mają robotnicy zatrudnieni w gospodarstwie leśnem i rolnem nadzieję, że opieka prawna na nich będzie rozciągniona, następnie ludzie pracujący przy transportach rozmaitych. Rząd wyraźnie oświadczył, że to zgadza się z jego zamiarami; poprzednio pragnie on porobić jeszcze pewne doświadczenia na tem polu, gdzie obecnie dopiero pierwszy krok uczyniono.

Opozycya liberalna walczyła z niezwykłą energią, aby towarzystwa akcyjne, trudniące się dotychczas assekuracyą robotników, i nadal mogły rozwijać działalność swoją, która dla akcyonaryuszów niesłychane przynosiła dywidendy. Kiedy nie było już żadnych widoków przeprowadzenia tego wniosku, pragnęły utrzymać te przynajmniej towarzystwa, które polegają na wzajemności; ostatnie nie przynosiły przedsiębiorcom wprost zysków z nieszczęścia robotników, atoli prywatny kapitał miał tu jeszcze pole do obrotu, który zdaniem skrajnych liberałów kapitalistom nie miał być zabronionym; i ten wniosek upadł. Większość parlamentu podzielała zupełnie rządowe zapatrywania, że assekuracya robotników powinna być jak najtaniej urządzoną, aby przemysł krajowy nie upadł pod zbytniemi ciężarami; przedewszystkiem trzymano się zasady, że akcyonaryusze nie powinni zysków ciągnąć z nieszczęścia klas roboczych. Nie mniej namiętną była walka o to, w jaki sposób ściągać coroczne składki. Towarzystwa akcyjne trzymają się słusznie zasady, że takie trzeba zbierać sumy, żeby procenta ich wystarczały na potrzebne wsparcia. Rząd sądził, że ofiary tak ogromne mogłyby narazić na upadek przemysł niemiecki, że owszem tak wielkie sumy z większą korzyścią będą mogły być obracane przez przemysłowców; zaproponował on tedy, aby co rok tyle tylko zbierano, ile koniecznie potrzeba na pokrycie kosztów: nadto będzie utworzony niewielki fundusz żelazny, a z góry będą zebrane fundusze potrzebne na pierwszy rok funkcyonowania nowej instytucyi. Ostatecznie przyjął parlament rezolucyę Windthorsta, polecającą względom rządu tych urzędników towarzystw assekuracyjnych, którzyby wyraźnie z powodu nowej instytucyi zostali pozbawieni chleba, nie znalazłszy umieszczenia w zarządzie państwowego ubezpieczenia.

Robotnikom skaleczonym i kalekom dostarczą wsparcia kasy pocztowe.

Nie małej wagi była kwestya, od której chwili robotnikom mają być wypłacane pensye. Rząd zaproponował, aby wsparcie rozpoczęło się z 14 tygodniem po wydarzeniu się nieszczęścia; w czasie poprzedzającym ten termin mieli robotnicy pobierać wsparcie z kas dla chorych. Większość przystała na to na razie, atoli spostrzeżono, że wnet liczne powstaną skargi i uprzedzenia, z którychby tylko socyaliści mieli zysk pewny. Zmieniono tedy (wbrew woli rządu) ten artykuł w ostatniej chwili o tyle, że już po czterech tygodniach robotnicy kalecy mają pobierać większą zapomogę, niż chorzy robotnicy, t. j. dwie trzecie dziennego zarobku, podczas kiedy chorzy pobierają tylko połowę; przewyżkę mają z swojej kieszeni dopłacać ci przemysłowcy, w których fabrykach wydarzyło się nieszczęście. Spierano się długo, w jaki sposób robotnicy sami mają brać udział czynny w nowej instytucyi, czy mają tworzyć osobne wydziały, czy też wspólnie pracować z chlebodawcami. Rząd i socyaliści byli za pierwszym sposobem, większość parlamentu za ostatnim; rząd ustąpił ostatecznie. Sprawy sporne rozstrzygają sądy rozjemcze, w których po połowie zasiadają delegowani robotników i chlebodawców. Od sądu rozjemczego wolno apelować do centralnej władzy assekuracyjnej, w której zasiadają dwaj prawnicy; taka władza centralna została ustanowioną na całe Niemcy, atoli każdemu rządowi wolno w własnem państwie ustanowić osobną władzę. Na czele władzy centralnej na całe cesarstwo stanie tajny radzca Boediker z Berlina, nawiasem powiedziawszy, zacny katolik.

Takie jest w głównych zarysach urządzenie nowej instytucyi, po której w interesie harmonii społecznej spodziewać się trzeba błogich skutków.

Obecnie przygotowuje rząd projekt do ustawy o ubezpieczeniu doli inwalidów pracy, t. j. ludzi w skutek starości lub osłabienia niezdolnych do pracy; zdaje się jednak, że do przyszłej sesyi parlamentu projekt ten nie będzie jeszcze wykończony.

Reskryptem królewskim wskrzeszono w Prusiech r a d ę s t a n u, która istniała zawsze na papierze, atoli od ery konstytucyjnej czynną jawnie nie była, gdyż miejsce jej zajął sejm pruski i gabinet

odpowiedzialny. Długo potrwało, zanim książe Bismark przeprowadził wskrzeszenie rady przez króla pruskiego. Jakie właśnie jego pod tym względem są zamiary, trudno dziś powiedzieć, bo rada ani zwołaną jeszcze nie została, ani żadnych instrukcyi nie odebrała. Twierdzono, że książe, pragnąc cofnąć się z ministerstwa pruskiego, a pozostać tylko w kanclerstwie niemieckiem, za pomocą tej rady wywierać będzie wpływ nietylko na sprawy pruskie, lecz także na następcę tronu; dziś już wiadomo, że monarcha pruski nie zwolnił księcia z pruskich obowiązków. Podług zapewnień prasy rządowej ma rada stanu głównie opinię swoją dawać o nowych projektach do praw i monarsze na mocy doświadczeń długoletnich doradzać w sprawach ważnych, gdzie względy na praktyczne potrzeby życia mają pozyskać większy wpływ niż zapatrywania biurokracyi. Czy rada stanu obok gabinetu i sejmu będzie miała pole do popisu, dopiero przyszłość pokaże; żywioły parlamentarne obawiają się, że utworzenie rady stanu umniejszy już i tak nie wielkie znaczenie sejmu pruskiego. Do rady stanu wchodzą książęta pełnoletni rodziny panującej, ministrowie każdorazowi, generałowie komenderujący, naczelnicy administracyi poszczególnych prowincyj i 71 mężów mianowanych teraz przez króla z rozmaitych stanów i powołań. Między ostatnimi znajduje się ks. dr. Krementz, biskup warmiński, ks. dr. Kopp, biskup fuldajski i znany przywódzca centrum, baron Schorlemer; obok nich zasiadają naczelnicy zachowawców i narodowców liberalnych, niemniej kilku kaznodziejów protestanckich, oficerowie wysokich stopni, wielka liczba wysokich urzędników i kilku przemysłowców. „Germania“ pisała wprawdzie, że w powołaniu dwóch biskupów i barona Schorlemera upatrywać należy potępienie walki antykościelnej, atoli nie trzeba zapominać, że przywódzcy liberałów w tej strasznej walce, Bennisgen i profesor Gneist, także zasiadają obok biskupów.

Sprawy kościelnopolityczne odgrywają się przeważnie w sejmie pruskiem, ale parlament niemiecki sam sobie winien, że walka ta raz po raz przerywa także jego prace; wiadomo, że parlament przed kilkunastu laty uchwalił ustawę wykluczającą Jezuitów i „pokrewne im zakony“ z granic niemieckich i następnie ustawę banicyjną przeciwko księżom katolickim. Na wniosek

Windthorsta uchwalił wprawdzie parlament już przed dwoma laty zniesienie ostatniej ustawy, ale rząd odrzucił tę uchwałę. Obecnie odnowił Windhorst wniosek swój i przeprowadził go daleko świetniej jeszcze niż przed dwoma laty. Trzeba wiedzieć, że do zastosowania tej drakońskiej ustawy nie potrzeba nawet wytoczenia i przedstawienia skargi sądowej; wystarczy denuncyacya i rozpoczęcie śledztwa, aby ksiądz, podejrzany o odprawienie mszy św. lub sprawowanie sakramentów bez dozwolenia rządowego, był wydalony przez władzę administracyjną za granicę miasta, prowincyi, lub nawet całego państwa. Skoro zaś rząd uwolnił podsądnego od kary, co się czasem zdarzyło, nie mógł kapłan jeszcze bezkarnie wrócić, lecz powinien był czekać, dopóki sprawa nie została ukończoną we wszystkich instancyach; czasem sprawę taką przesyłano z jednej instancyi do drugiej bez żadnych powodów i tak wlokły się nieraz procesa przez półtora roku lub dłużej; mimo nawet uwalniających wyroków musieli księża pozostać za granicą. Wiem o pewnym wypadku, że dziewięć razy o jedne i te same czynności kapłańskie pewien ksiądz zasiadał na ławie oskarżonych, za każdym razem uwolnił go sąd, lecz mimo to musiał kapłan ośm razy pójść na wygnanie; dopiero kiedy od dziewiątego wyroku uwalniającego nie było już żadnej apelacyi, ujrzała się władza administracyjną zmuszoną cofnąć dekret banicyjny. Łatwo zgadnąć, że dowolność niższych organów wielką odgrywała tu rolę, zwłaszcza kiedy chodziło o mianowanie tak zwanych księży rządowych, nie znała gorliwość burmistrzów i żandarmów granic, bo dawniej łudzono się jeszcze nadzieją, że lud pozbawiony prawowitych pasterzy uda się do samozwańców, aby z rąk świętokradzkich przyjmować sakramenta. Ustawa banicyjna dotknęła bardzo boleśnie kapłanów gorliwych, bo nawet proboszczowie osiwiali w pracy nie byli bezpieczni od niej; skoro bowiem proboszcz poważył się w osieroconej parafii dysponować kogo na śmierć a zaszła denuncyacya, zastósowano czemprędzej drakońską ustawę, tak, iż księża, aby własnych parafian nie pozbawiać opieki duchownej, tylko ukradkiem administrowali sakramenta w takich razach. Na mocy ustawy mógł rząd księdzu wskazać miejsce pobytu, czyli internować go, np. na odludnej wysepce Zingst blisko Danii lub w fortecy torgawskiej, gdzie ks.

kardynał Ledóchowski miał być umieszczonym w razie powrotu do swych dyecezan. Kapłan, który pełniąc swe obowiązki bez dozwolenia rządowego, szczególnie gdy był przez osławiony trybunał kościelny „złożony z urzędu," lub gdy mimo dekretu banicyjnego wrócił na swoją posadę, mógł być pozbawionym poddaństwa pruskiego i niemieckiego; utracone w ten sposób prawo obywatelstwa mógł na nowo odzyskać dopiero za wyraźną zgodą rady związkowej. Żaden agitator socyalistyczny, żaden morderca nawet tak srogą karą dotkniętym być nie może, a to wszystko działo się nie na mocy sądowego wyroku, lecz na drodze administracyjnej.

Srogość w wykonywaniu ustawy zwolniała w końcu, kiedy rząd pruski przekonał się, że wszelkie usiłowania przełamania stałości duchowieństwa są daremne. Pomimo to znajduje się jeszcze dość znaczna część, młodych mianowicie kapłanów na wygnaniu, a chociaż niektórym pozwolono wrócić, to nie wolno im przecież przebywać w tych właśnie stronach, gdzie mieli powierzoną parafię. Księży wygnanych było niedawno 130; tym samym kapłanom według zeszłorocznej ustawy pruskiej wolno pełnić obowiązki duchowne w osieroconych parafiach, tymczasem ustawa banicyjna wzbrania im przystępu. W samem księstwie poznańskiem liczono niedawno jeszcze 32 wygnanych kapłanów. W imieniu całego episkopatu podał cenzor ks. Marwicz biskup chełmiński prośbę o cofnięcie banicyi, tymczasem dotąd odpowiedzi nie otrzymał jeszcze na prośbę zeszłoroczną; rząd załatwił dopiero kilka wypadków a bada każdy z osobna, z nadzwyczajną uwagą śledząc mianowicie księży polskich.

Wśród takiego położenia obradował parlament nad wnioskiem, żądającym zniesienia ustawy banicyjnej. Ciało ustawodawcze uporało się bardzo szybko z tym wnioskiem; w drugiem czytaniu głosowało za nim 217 posłów, a tylko 40 przeciwko niemu, w trzeciem a ostatecznem czytaniu było za nim 236 głosów, przeciwko niemu 34. Drobny ten stosunkowo zastęp składała frakcya narodowo-liberalna, która w Prusiech jest duszą walki antikościelnej. Nawet frakcya Bismarckowa t. j. liberalno-konserwatywna głosowała przeważnie za Windthorstem razem z zachowawcami, z których kilku tylko miało odwagę

zwrócenia się przeciwko nam; ministrowie pruscy Gossler i Puttkamer głosowali jako członkowie parlamentu przeciwko wnioskowi katolickiemu. Rozprawy były bardzo krótkie; Windthorst unikał wielkiego rozdrażnienia a przywódzcy innych stronnictw ograniczyli się na krótkich oświadczeniach, w sposób prawdziwie niegodny przemówił w imieniu narodowców liberalnych, dawniejszy minister Hobrecht; poseł ten nazwał ustawę „łagodnym wyrazem uczuć humanitarnych“ bo jakże w grzeczniejszy jeszcze sposób pozbyć się księdza jeżeli nie wypędzając go za granicę? Narodowcy liberalni upatrywali w wniosku Windthorsta demonstracyę antipruską, twierdząc, że centrum pragnęło jedynie sprowadzić parlamentarną naganę walki kościelnej. Czyż narodowcy zadowoleni z postawy rządu pruskiego? Bynajmniej. Poseł Hobrecht zganił wyraźnie rząd, że porzucił dawniejszą energię, za pomocą której można było zdaniem jego przeprowadzić ustawy majowe; dziś zaś, kiedy już po kilka razy zmieniono owe ustawy, trzeba w tym kierunku także iść dalej. Wszystko było zaciekawione tą wzmianką, ale Hobrecht zaręczył, że inicyatywa należy się rządowi. Narodowcy będą tedy czekali co postanowi rząd. Wywody te wywołały silne oburzenie wśród centrum i Koła polskiego. To też ks. dr. Jażdżewski żywo zaprotestował przeciwko takiemu pojmowaniu względów łagodności i ludzkości. Równocześnie zapytał się mowca polski, z jakich powodów tak długo zwleka się sprawa odwołania wygnanych księży. Minister Bötticher tłomaczył rząd tem, że wykazy wysłane przez biskupa chełmińskiego były niedostateczne; rząd bowiem nie poleca żadnego księdza łasce monarszej, skoro kapłan nie może wykazać, jak i gdzie ukarano go, skazano naocznie lub wysyłano na banicyę. Z powodu tej dziwnej skrupulatności, na której najgorzej wychodzą parafie osierocone, załatwił rząd aż do połowy czerwca dopiero 17 wypadków. Winienem zapisać fakt, że znakomicie w myśl Windthorsta przemówił przywódzca liberalnej opozycyi, poseł Eugeni Richter, zręczny przeciwnik Bismarcka; on to zarzucił ponownie rządowi, że nadużywa polityki kościelnej w celach ogólnej polityki, i że dlatego wobec wniosku Windthorsta milczy jak zaklęty. Ostatecznie odpokutowali za cały przebieg rozprawy parlamentarnej liberalni narodowcy, na których uderzyło

i centrum i skrajna opozycya. Przy trzeciem czytaniu wniosku nie było żadnych rozpraw, lecz tylko głosowanie imienne. Nazajutrz po przyjęciu wniosku rozpisał się przyboczny organ księcia Bismarcka nad tem, że właśnie narodowcy liberalni w tej sprawie kierowali się polityką praktyczną, podczas kiedy zachowawcy poszli za głosem serca: przyznaje tedy *Norddeutsche Allgemeine Ztg.*, że zaprzeć się trzeba tego głosu serca, aby nadal bronić ustawy wyjątkowej. Uchwała parlamentu została przesłaną radzie związkowej; w obecnej chwili nie wiadomo jeszcze, czy rada ją zatwierdzi; zaznaczam fakt, że prasa zachowawcza usilnie domaga się, aby rząd przystał na zniesienie ustawy „obrażającej w najwyższym stopniu uczucie chrześciańskie". Tymczasem przywróciła rada związkowa kilku księżom na wniosek rządu pruskiego obywatelstwo pruskie, którego ich rząd czasu swego na mocy ustawy banicyjnej pozbawił. W dziedzinie kościelno-politycznej zajmowały długi czas prasę i publiczność stosunki stolicy arcybiskupiej gnieźnieńsko-poznańskiej. Z pewnej strony puszczono w obieg pogłoskę, że nietylko dostojny prymas nasz zrezygnował, lecz także Ojciec św. przyjął tę wielką ofiarę. Pomimo to, że silne dowody przemawiały przeciwko wiarogodności tych pogłosek, dawały im niemieckie dzienniki katolickie prawie wszystkie wiarę, mianowicie *Germania*, aż ostatecznie przekonała się, że Leon XIII. obecnie nie myśli przyjąć aktu poświęcenia, do którego ks. kardynał Ledóchowski w interesie pokoju kościelnego dawno już gotów. Ojciec święty nie może przecież steru naszych spraw kościelnych powierzyć innym rękom, zanim rząd pruski nie zwolni więzów ustawodawstwa przynajmniej tak, aby Kościół był swobodny w wychowaniu duchowieństwa i w utrzymywaniu karności kościelnej; do tego kroku zaś obecnie rząd pruski nie zdecydował się jeszcze. Tymczasem trwają u nas stosunki opłakane dalej, lecz archidyecezya silnie związana z swym prymasem, gotowa jest do dalszych cierpień.

Na Szląsku usunęło się dwóch księży intruzów, a to w ten sposób, że sami wstrzymują się od świętokradzkiego nabożeństwa, na które nikt nie uczęszczał, a kościoły oddali parafianom; książę-biskup posłał do tych parafij wikaryuszów, którzy w nich teraz spokojnie pracować mogą. Samozwańcy położyli jednak za waru-

nek, że oni to dochody proboszczowskie, bardzo znaczne, prawie w zupełności pobierać będą.

W dyecezyi warmińskiej dopuszcza rząd wreszcie wikaryuszów nietylko do wykładu religii po szkołach, ale także oddaje im inspekcyą nad szkołami; oczywiście nie doznały tego dobrodziejstwa dwa powiaty zamieszkałe przez ludność polską.

Listy z Irlandyi.

I.

Trudność położenia. — Przyczyny niezadowolenia Irlandczyków. — Charakter Irlandczyka. — Stronnictwa i spiski.

Poi vidi gente che di fuor del rio,
Teneau la leste ed ancor tutto l' casso
Dante. Z Inferno XII. 41.

Kwestya irlandzka w obecnej fazie, którą nazwałbym gorączkową, trudna jest do pojęcia dla innych społeczeństw. Sprawy bowiem rasowe i plemienne albo sprowadzają rewolucye szczęśliwe lub krwawo uśmierzane, albo też naród ujarzmiony zlewa się z zaborczym, czasem w organizacyi państwowej miejsce znajdując.

Przyjrzawszy się bliżej sprawom irlandzkim, trzeba przyznać, że to, co tam zowią uciskiem, różni się zupełnie od tego, co pod tą nazwą rozumieją w innych podbitych krajach.

Minęło już lat z górą pięćdziesiąt, odkąd parlament angielski przyjąwszy ustawę emancypacyi katolików, oświadczył się z gotowością nadania wszystkim klasom irlandzkim zupełnej równości cywilnej i politycznej, i przypuszczenia Irlandczyków do praw obywatelskich zjednoczonego królestwa, jakoto piastowania najwyższych urzędów, używania swobód i przywilejów. Od owego czasu naród angielski dawał objawy chęci sprawiedliwszego postępowania naprawienia krzywd przeszłych.

Wolność prasy jest zupełną w Irlandyi, a nawet dziennikarze napadają na rząd z gwałtownością nieznaną w Europie. W Westminterze zasiadają deputowani Irlandzcy, którzy nietylko wyznają,

że są śmiertelnymi wrogami Korony, ale otwarcie głoszą w Izbie, że celem ich jest zochydzić parlament angielski i sparaliżować jego czynności systematyczną obstrukcyą. A równocześnie Irlandya czuje się krajem podbitym i ujarzmionym, odrzuca dobrodziejstwa Anglii, domaga się bądź osobnego parlamentu, bądź zupełnej niepodległości. Anglia słucha choć niecierpliwie uskarżeń i żądań i przeprowadza ustawy dążące do ulepszenia stosunków, ale ustawy te nie znalazły dobrego przyjęcia, nie poprawiają stanu rzeczy, przeciwnie, wzbudzają nowe agitacye o dalsze ustępstwa. Obok tego, agitacyę polityczną popiera — zbrodnia. Rzecz dziwna, naród wyjątkowo szlachetnych uczuć i gorącego serca, w pośród którego zbrodnie kryminalne daleko rzadziej się trafiają aniżeli w Anglii lub Francyi, sympatyzuje z zbrodniarzami politycznemi i zasłania opieką ludzi, których zbrodnie świat przerażają.

Obydwa narody tym samym mówią językiem, żyją pod temi samemi prawami, w najściślejszych stosunkach handlowych i familijnych datujących od wielu pokoleń, a jednakże dziś Parnell powiada ziomkom, że „Anglicy w Irlandyi stanowią bandę rozbójników", a Lowther sekretarz generalny za rządów Beaconsfielda głosił przed swemi wyborcami, że „irlandzkie pojęcie rządu to mord, anarchia i zdrada, co tylko jest antibritańskiem, to zawsze w Irlandyi będzie najpopularniejszem." Wychodźcy irlandzcy, osiadając w Ameryce, zachowują w sercach zatwardziałą nienawiść do Anglii; większa część ich składa z tygodniowego zarobku fundusz na podtrzymanie ciągłej agitacyi w dalekiej ojczyźnie. Anglia musi utrzymywać załogę 30.000 żołnierza i tyleż policyi na wyspie irlandzkiej.

Jaki jest prawdziwy stosunek Irlandyi do Anglii, trudno zrozumieć, jeżeli się nie żyło w obu krajach i nie śledziło prawie codziennie ruchów i obrotów obu społeczeństw. Chcę tutaj podnieść główne punkta sporne w kwestyi irlandzkiej, a mianowicie powody jakie ma Irlandya do niezadowolenia i dlaczego te powody, tak trudno usunąć; dlaczego inaczej widzą je Anglicy, a inaczej klasy irlandzkie, ile w nieporozumieniu tem jest, że tak powiem, uczuciowości; wreszcie, czy możebne jest dzisiaj już ostateczne załatwienie kwestyi irlandzkiej.

Cudzoziemcy zapatrują się zwykle na sprawę irlandzką z dwóch punktów widzenia zarówno błędnych. Jedni sądzą, że Irlandczycy stawiają dziś opór Anglii przez wyrafinowane samolubstwo i mściwość dlatego jedynie, aby „łowić ryby w mętnej wodzie," Anglia zaś nie traktuje z odpowiednią surowością, ani ruchu rewolucyjnego na wyspie przeciwległej, ani obstrukcyi w parlamencie. Zapatrywanie to grzeszy zapoznaniem nędznych warunków ekonomicznych irlandzkiego włościaństwa, które są dostatecznym powodem ciągłego niezadowolenia i mylnem zrozumieniem istotnych przyczyn skarg irlandzkich.

Inni, mianowicie przyjaciele Irlandyi, są przekonani, że to kraj ciężko uciśniony. Tak nie jest w rzeczy samej; wyspa używa pełnej wolności słowa i prasy, a jeżeli kiedy parlament ukrócał te wolności, to dlatego, że mówcy i dziennikarze jątrzyli instykta nienawiści i zemsty, aż nadto już rozbudzone wśród ludu. Rządy najliberalniejsze muszą się nieraz bronić, chociaż nie przeczę wcale, że często parlament angielski posunął swą surowość za daleko, jak np. w obu ustawach koercyjnych 1881 i 1882 r.

Twierdzą jeszcze niektórzy na mocy teoryi o wrodzonej niższości niektórych ras, że ludność celtycka nie jest zdolna rządzić się sama i być wolna; inni jeszcze w położeniu i klimacie wyspy upatrują przyczyny złego; obydwie te teorye uważam za zupełnie mylne i bezpodstawne.

Prawdziwe rozwiązanie zagadki leży w dziejach irlandzkich, które uczyniły ten lud tem, czem on jest dzisiaj i spowodowały jego obecny stosunek do Anglii. Gdyby nie nieszczęśliwy zwrot w historyi Irlandyi, Celtowie Erynu, jak Celtowie szkoccy, zmodyfikowani w swym charakterze w skutek napływu pierwiastku teutońskiego, byliby wywarli korzystny nacisk na lud Anglii i wespół z nim opanowali materyalne trudności swego położenia.

I tak słyszymy często, mianowicie pomiędzy ludem irlandzkim, że niedolę kraju przypisać należy samemu faktowi jego podbicia. Toż samo powiedziećby można o wszystkich niemal ludach europejskich, gdyż prawie każdy został podbity przez najezdców, którzy stopniowo nałożyli krajowi ujarzmionemu swoją dynastyę, swe prawa, często swój język. Sama Anglia została po trzykroć w ten sposób podbitą. Czyż nie trafniej sądzićby można, że nie-

szczęście Irlandyi spowodowało podbicie niecałkowite, dokonane zaledwie w połowie? Owa tak zwana „anneksya“ za panowania Henryka II. była poprostu rozłożeniem załogi wojsk angielskich na zachodniem wybrzeżu wyspy [1], bo walijscy i normandzcy awanturnicy, którzy wylądowali w innych okolicach, rychło, zlali się z ludnością krajową. Prowincye Ulster i Munster zawojowała Anglia dopiero w czasach Elżbiety i Jakóba I. i to niezupełnie, jak dowodzą późniejsze zabory protektora, który tu puścił wodze wyuzdanemu okrucieństwu. Kromwell zastał kraj zawojowany ale nie podbity, chwycił się tedy środka godnego siebie, usiłując wypędzić niepoddające się tłumy ludu do dzikiej krainy Connaught, a resztę rozproszył pomiędzy brytańskich kolonistów. Z powrotem Stuartów do Anglii w r. 1660 stan rzeczy się zmienił; wielcy właściciele nie odzyskali dawnych posiadłości, ale lud powrócił do swych siedlisk. Nareszcie w trzydzieści lat potem Wilhelm III. podbił wyspę ostatecznie.

Odtąd rozpoczynają się dzieje Irlandyi nowoczesnej; dzieje krzywd, niedotrzymanych obietnic, grubych błędów politycznych ze strony Anglii. Aż do Wilhelma III. główną krzywdą było, że koloniści angielscy zabrali ziemie tuziemców, że feudalne prawo Anglii zniszczyło starożytne obyczaje i przywileje ziemiańskie klanów (septs) irlandzkich. Między naczelnikami osad i pokoleń gaelickich, którzy stawiali opór Elżbiecie i Jakóbowi, nietylko

---

[1] Jeżeli mamy wierzyć kronikarzowi tegoż Henryka, Geraldowi, (Giraldus Cambrensis: Hibernia Expugnata), i opisom bardów owoczesnych — opisom rymowanym, przypisywanym królowi — to pierwszy najazd anglo-normański i rzeź mieszkańców miasta Waterford spowodowane były, bez sankcyi królewskiej, prywatą duńskich wodzów w Irlandyi i krewkością *earl'a* Strongbów. Z pieśni bardów głoszącej upadek Waterfordu, wycięcie duńczyków i celtów, wyjmuję następujące wiersze, jako okaz narzecza anglo-normańskiego XII. wieku:

Regenald e Smorch erant clamé
Les plus poanz de la cité.
Iloec esteint desconfiz
Les Yrreis tous de cel pais;
Al camp erent mil remis,
Vencuz, mors, naffrez e pris.

(Oryginał w Lambeth; kopia w Muzeum Brytańskiem).

narodowość i religia ważyły na szali; walczyli oni o swe terrytorya, o potęgę swą w kraju, często wiedzeni ponętą życia pełnego przygód rycerskich. Lecz w ciągu zaciekłych wojen XVII. wieku powstały uczucia nienawiści rasowej i religijnej; te zaś wzrosły i znalazły usprawiedliwienie w skutek praw i dekretów karnych, które okiełzać miały naród, nakładając nań jarzmo protestanckie i saksońskie. Możeby sama nienawiść rasowa, gdyby ją podniecać przestano, znikła; możeby zabór ziemi i majątków ranił tylko pamięć narodu; ale ów okrutny kodeks karny, który katolika oddaje w niewolę protestanta, rozdzielił na zawsze oba te narody, raniąc śmiertelnie dumę i interes Irlandyi. Różnica religii nie tworzy jeszcze sama przez się rozdziału w narodach. W Anglii wiek ostatni i bieżący pokazuje nam ściśle zjednoczonych katolików i protestantów; tam już dzisiaj nikt nie pyta o przekonanie religijne. I w Niemczech po za biurokracyą różnica wyznań nie daje się czuć w życiu zewnętrznem. Ale w Irlandyi kodeks karny dał protestantyzmowi wyższość prawną i socyalną, wykluczające katolików z wszelkiej prawomocności, odejmując im przywileje cywilne i polityczne. Dlatego też Irlandczyk uważać się musiał za człowieka moralnie w oczach Anglii niższego, a zatem uciśnionego, i obok nienawiści rasowej, rozwinęła się w nim nienawiść religijna, bo naród zrozumiał, że ciemiężca chce wytępić to, co stanowi żywotność wszystkich ludów i co zarazem najpotężniejsze stawia zapory wszystkim systemom wynarodowienia — religię. Tym więc ochotniej, z tem większą nadzieją przeniósł lud irlandzki siłę i zapał pod sztandar religijny; umocnił się w wierze, która zeń naród zrobiła, i pozostał wierny kapłanom, bo widział w nich nietylko najdawniejszych stróżów narodowej tradycyi, ale i pierwsze ofiary prześladowania. *Le dernier homme d'une race tombe avec le dernier prêtre*, powiedział filozof francuski, i mało kogo dziś przekonywać trzeba o głębokiej prawdzie tego zdania; wiedzą o niej i rządy dążące do assymilacyi ludów podbitych.

Kiedy prawo orzekło w Irlandyi, iż (apostata) może odjąć majątek własnym rodzicom i usunąć od spadków dziedzicznych braci i siostry, to tem samem dodało antagonizmowi politycznemu potężną dozę tej żółci, jaką wytwarzają krzywdy prywatne i fa-

milijne. I tak pomiędzy obu narodami powstał czworaki wał: nienawiści rasowej Celta ku Saksonowi, śmiertelnego żalu wydziedziczonego z wiekowych włości ziemianina, oburzenia i upokorzenia pod jarzmem nierównego kodeksu, nakoniec fanatyzmu religijnego.

Trzy pokolenia przeszły, żyły i oddychały tym czworakim jadem nienawiści, żalu, wstydu i fanatyzmu, a zanim ustała surowość praw karnych, jad ten rozlał się już po całym organizmie narodu, i sprawił to, że dziś dwa wrogie żyją obok siebie społeczeństwa: jedno dumne z celtyckiej przeszłości, drugie pyszniące się prawem mocniejszego; jedno szlachetne, bogobojne, stalową obdarzone energią i wytrwałością, lecz niestety zbyt prędkie i gorące, drugie świadome nieszlachetnie zdobytego stanowiska, pozbawione w swym protestantyzmie jednolitości i siły, lecz z zimną krwią wyzyskujące w kraju wszystko, nawet porywczość charakteru celto-gaelickiego, wyzyskujące przedewszystkiem obojętność i niewiadomość W. Brytanii. Tak zaś jedno jak drugie społeczeństwo, a każde z przyczyn różnych, uważa Anglię jako swego wroga. Aby mieć słuszne pojęcie o stosunku Irlandyi do Anglii, trzeba to zrozumieć, że dzisiaj sami potomkowie pierwszych kolonistów brytańskich w Irlandyi nie solidaryzują bynajmniej z Anglią. Parlamenta angielskie wprowadziły swe prawodawstwo handlowe z planem sparaliżowania konkurencyi irlandzkiego przemysłu, a wspaniałe porty w zatokach Irlandyi zostały wzbronione okrętom amerykańskim i produktom lądu „zjednoczonego królestwa“ w skutek zabiegów kapitalistów W. Brytanii,[1] do niedawnych lat jeszcze, wysokie cła naznaczano na produkta, wysyłane z Irlandyi do Anglii; dochody wyspy obracano na fun-

[1] Każdej zimy bywa w Irlandyi od 10 do 15 tysięcy ludzi ginących z głodu. W r. 1882, było wzdłuż zachodniego wybrzeża wyspy 40.000 dusz bez dachu i bez pożywienia. W obec agronomicznej konkurencyi Ameryki okrucieństwem jest Anglii pozostawiać lud irlandzki jedynie na roli. Obliczono, że gdyby rząd pozwolił na otworzenie choćby dwóch tylko portów (w Cork i w Galway) okrętom brytańskim i obcym, Irlandya utrzymaćby mogła sześć razy więcej ludności, aniżeli, jak teraz się dzieje, wysyłać każdorocznie po kilkadziesiąt tysięcy pauprów do Ameryki i do Kolonii.

dacye synekur i pensye awanturnikom politycznym, lub zausznikom i zausznicom, których nie śmiano nawet w najwięcej zepsutych czasach wynagradzać w Anglii. Fanatyzm sekciarski pewnych stronnictw politycznych Anglii, odjął prezbyteryanom ulsterskim doniosłe prawa i przywileje, chociaż ci właśnie stanowili zawsze najpracowitszą i najlojalniejszą ludność Irlandyi. Parlament irlandzki był bezwładny, bo dekreta jego zależały od aprobaty parlamentu angielskiego, ten zaś nie dbał o to, co się działo w Irlandyi. Więc i protestanci uczuli rychło, że są społeczeństwem podbitem w kraju podbitym. Przestali obawiać się katolików i zwrócili się przeciw Anglii, domagając się równouprawnienia politycznego i handlowego.

Przestraszona grozą wojny z Stanami Ameryki i z Francyą, Anglia ustąpiła. W roku 1782 parlament irlandzki uzyskał wolność. Istniał tylko ośmnaście lat; w tak krótkim czasie sprowadził jednakże rewolucyą olbrzymią, która zarysowała wyraźniej, niż kiedykolwiek przedtem, lub potem, charakter, dążności i postawę obu społeczeństw irlandzkich.

Gdyby arystokracya irlandzka nie była (w wiekach XVI. i XVII.) opuściła kraju, lub gdyby potęga brytańska nie była położyła *veto* wykształceniu i moralnemu rozwojowi mas narodu, słowem, gdyby Irlandya gaelicka miała była albo reprezentacyę materyalnie wpływową i potężną, albo umysłowo równą reprezentacyi przeciwnego obozu, to widzielibyśmy dzisiaj taki stan rzeczy na wyspie, jaki pragnął widzieć O'Connell, jaki zakreślił Parnell, a stronnictwo irlandzkie w parlamencie obecnym spodziewa się sprowadzić. Ale pierwsza deklaracya wolnej izby dublińskiej w r. 1782 nie odbiła się echem w ludności zdemoralizowanej, opuszczonej przez możne rodziny lordów, naturalnych swych przywódzców, a pogrążonej w najgrubszej ciemności z winy obcych kolonistów. Pod nową konstytucyą naród nie przestał być uciśnionym, owszem, parlament dubliński rozpoczął gwałtowniejszą jeszcze kampanię, celem wytępienia pierwiastku celtycko-katolickiego w miarę jak dokładniej zrozumiał wszystkie warunki kraju i mieszkańców, a mógł je wyzyskiwać *à loisir* nie mając nic innego na głowie, jak utwierdzenie samoistności kolonialnej wobec W. Brytanii.

Parlament dubliński nie miał czasu zaprowadzić reform, których odmawiało kolonistom prawodawstwo angielskie. Cierpienia ludu, który stracił wszelkie nadzieje sprawiedliwości z rąk wrogów rządzących krajem, sprowadziły epidemię zbrodni w prowincyach południowych i zachodnich. Wtedy to powstały związki sekretne, obierające sobie za hasło: śmierć Saksonom! Związki te były od siebie niezależne, i nie przybrały programu politycznego. Nie należy łączyć ich z tak zwanym „fenianizmem", bo fenianizm naówczas nie istniał wcale. Ale wpływ stowarzyszeń tajnych na lud wgóle był nieograniczony i tak głęboki, tak niby religijnie uznany, że ich czyny, zbrodnie i zamiary stały się zbrodniami i zamiarami ludu. Lud nie chciał być oddzielony od swych „chłopców" *(boys)*, solidaryzował z nimi, chronił i bronił ich.

I tak gruba ciemnota, okrutne prześladowanie i niesprawiedliwość rządu, nędza materyalna, żądza zemsty głęboko wkorzeniona, obok przyrodzonej bystrości umysłu, wspaniałomyślności i prostoty serca, wytworzyły przez lat i wieków wiele charakter współczesnego celta-gaela — trzeba przyznać bardzo nieszczęśliwy. Z własnych moich spostrzeżeń, charakter Irlandczyka tak mi się przedstawia.

W łonie rodziny, przyjaciół i s w o i c h, Irlandczyk jest szczerym, naiwnie prostym, gościnnym aż do marnotrawstwa, wesołym, wylanym, pełnym najzacniejszych uczuć. Przed obcymi, t. j. nieznanymi sobie, charakter swój indywidualny niełatwo odsłoni, ale zato studyuje usposobienie przybysza. Jeśli tenże jest prawym gaelem, t. j. nienawidzącym Saksonów, choćby był człowiekiem moralnie nędznym, Irlandczyk go uzna za swego. Wobec Anglików i Szkotów będzie w najlepszym razie zamkniętym w sobie, dwuznacznym; poznasz odrazu, że ich nienawidzi całą duszą. Anglik wyjętym jest w przekonaniu gaelów z pod prawa i zasad katechizmu; jego własność jak jego osoba, prawnie istnieć nie powinna. Odrębność charakteru otworzyła tu przepaść bezdenną, którą dzieje rozszerzyły, zdawałoby się, nieskończenie. Podejrzliwość i niechęć Irlandczyków, Anglicy płacą tym samym brakiem zaufania i niedowierzaniem we wrodzone przymioty gaela, którymi się odznacza między swymi. Mieszkaniec Erynu jest namiętnie przywiązany do swej ziemi, do rodziny i klanu, jest dobrym synem, dobrym

ojcem rodziny i wiernym małżonkiem. Do kapłanów swoich ma zaufanie nieograniczone, szacunek najgłębszy; nie okaże tego zaufania w tym tylko razie, jeśli go wstrzymuje złożona tajemnie polityczna przysięga; szacunek jednak i przywiązanie zachowa zawsze. Irlandczyk jest wreszcie pracowitym i religijnym; na nieszczęście dwa czynniki zmieniają go nadzwyczaj łatwo i sprowadzają najsmutniejsze poniżenie i nędze: tajemne związki i pijaństwo.

Powyższa charakterystyka znamionuje lud irlandzki na całem południu wyspy i wzdłuż zachodniego jej wybrzeża. Małomieszczan zaliczam do ludu. Klasy średnie katolickie mniej się wybitnie znamionują, ale kłamu bynajmniej (w przekonaniu mojem) nie zadają charakterystyce. Zresztą chodzi mi tu przeważnie o przedstawienie tej właśnie warstwy narodu, która na arenie społeczno-politycznej zajmuje w Irlandyi pozycyę wybitną, przodową.

Jak dziecię od niemowlęctwa zaniedbane, niesłusznie i ze zbytnią surowością karane, nie okaże winnej miłości rodzicom, ale wyrośnie z charakterem skrzywionym a z goryczą w sercu, która zniweczy dobre wrodzone przymioty, tak naród irlandzki wzrósł w nienawiści do Anglii i w niezwyciężonej nieufności. Można określić główne znamiona obecnych usiłowań narodu w dwóch wyrazach: praca wewnętrzna i ścisłe zjednoczenie między sobą, i nieustająca agitacya przeciw Anglii. O przyczynach tego usposobienia dość wspomnieć pobieżnie, bo są powszechnie znane.

Wolny parlament irlandzki w Dublinie spotkał się pod koniec ostatniego stulecia na całem południu i na zachodzie kraju z anarchią, szerzącą się z szybkością błyskawicy, podniecaną przez związki tajemne „chłopców.“ Pomiędzy temiż najgłośniejsi byli; „Biali chłopcy“ i „Stowarzyszenie czerwonej wstęgi.“ Ująć sprawiedliwość we własną rękę, gdy jej lud napróżno wyczekiwał z Dublina, stało się zadaniem tych związków. Wykonywały ją z całą grozą ciemnego, fanatycznego obłędu. Pożar wzniecony w dzikiej miejscowości hrabstwa Tipperary, pochłaniał obwód po obwodzie, hrabstwo po hrabstwie. Kto żyw z gaelów łączył się z „chłopcami“, lub im dodawał pomocy. Związkowi składali stra-

szliwe, choć proste bardzo przysięgi, obowiązując się „z pomocą Boga, Najświętszej Panny i Wszystkich Świętych“ [1] oczyścić kraj z Saksonów, ogniem i żelazem wytępić tyranów ludu, śmiercią karać zdrajców. Głośne były czyny związków; sprzysiężeni stali się bohaterami, lud od owego czasu zespolił się z nimi i sympatyi swej nie odmówił im nigdy.

W takim stanie rzeczy na południu i na zachodzie, powstali szkoccy koloniści (prezbyteryanie irlandzcy) na północy, pod hasłem zemsty za naruszanie praw agraryjnych i przywilejów, zagwarantowanych kolonistom przez Jakóba I. w „Plantacyi Ulsteru.“ [2]

Równocześnie, klasy wykształcone katolickie i narodowe, uznając chwilę za najsposobniejszą do podniesienia zielonego sztandaru korony irlandzkiej w imię wolności i niepodległości czterech królestw, przygotowały program walki. Uznały jednak, że niepodobieństwem byłoby wykonanie jego pozostawić w samym kraju. Irlandzcy wychodźcy we Francyi program ten przedłożyli republice, a ta przyjęła go ochoczo, widząc w nim sposób najprostszy skruszenia potęgi brytańskiej.

Parlament dubliński upokorzył się natenczas przed Anglią. Rewolucya zakończyła się, jak wiadomo, straszliwą represyą ludu i (w gorączkowym a trwożliwym pośpiechu), zniesieniem parlamentarnej konstytucyi irlandzkiej. W r. 1800 unia W. Brytanii z Irlandyą otrzymała sankcyę izb westminsterskich. Odtąd więc reprezentacya Irlandyi złączyła się z ciałem prawodawczem brytańskiego imperium, reprezentacya, pamiętajmy, nieprzyjazna narodowości, religii i egzystencyi ludu irlandzkiego, przedstawiająca w anglo-szkockim parlamencie sekciarstwo i interes półmiliona kolonistów, przeciwko sześciu (naówczas) milionom celtów!

Przez ćwierć wieku z górą wyspa drgała prawie bez przerwy w konwulsyach sporadycznych rewolucyi, rozprzężenia wszelkiego

---

[1] *So help me God Almighty, and the Blessed Virgin, and All the Saints in Heaven!* Tak się kończyła rota przysięgi „Stowarzyszenia czerwonej wstęgi“. (Sullivan. *New. Ireland.* — Dublin 1882).

[2] Pod tą nazwą cytują dziejopisarze angielscy zbiór ustaw i dokumentów, odnoszących się do darowizn krolewskich w Irlandyi — w pierwszym dziesiątku lat wieku XVII.

porządku administracyjnego, agitacyi związków tajemnych, mściwych, systemów powracających po zawarciu unii wielkich właścicieli ziemskich — kraj pokryty siecią tajnych stowarzyszeń protestanckich (wolnych mularzy i oranżystów), przechodził z pod praw marsowych i koercyjnych do zupełnego zawieszenia konstytucyi, a z pod grozy fanatycznej oranżystów i „chłopców“ do brutalnej tyranii ustaw kodeksu karnego! I tu pora zwrócić uwagę na ówczesny stan religii i oświaty celtyckiej Irlandyi. O tem w następnym liście. (Dok. nast.)

E. N.

Stowarzyszenie młodzieży katolickiej w Paryżu. Od lat przeszło 30 istnieje tu w parafii św. Sulpiciusza towarzystwo młodzieży katolickiej pod nazwą: *Cercle catholique du Luxembourg*. Założył je Adam Baudon, czcigodny prezes Towarzystwa św. Wincentego, jeden z weteranów żyjących jeszcze i towarzyszów Ozanama, jeden z tych ludzi wyższych, których zadaniem całem, służyć chwale Bożej. W szczególności ukochał młodzież. Rozmyślając nad strasznemi pokusami, na jakie wystawioną jest młodzież przybywająca z prowincyi na wyższe studya do Paryża, postanowił on stworzyć dla niej jakby nowe rodzicielskie ognisko, miejsce pracy i wspólnej godziwej rozrywki, i założył *Cercle catholique du Luxembourg* w roku 1850. A kiedy Pan Bóg nawiedził go ciężkim krzyżem, zabierając mu jedynego syna, młodego człowieka rokującego najświetniejsze nadzieje, wtedy z pokorą poddawszy się Woli Bożej, przelał całą miłość na młodzież katolicką należącą do „Koła“. To też z pieczołowitością ojca, z rozumem nauczyciela, urządził tu wszystko, i dzisiaj po latach 33 z dumą może spoglądać na dzieło swoje. Program tego „Koła“ streszcza się w trzech słowach: religia, nauka, miłosierdzie. Dom, w którym mieści się „Koło“, jest rodzajem *maison garnie*, gdzie młodzież może znaleźć wikt i mieszkanie za przystępną cenę.

Należy tu młodzież ze wszystkich najwyższych zakładów naukowych, a więc z Sorbony i z Instytutu (Uniwersytetu) katolickiego, ze szkoły politechnicznej, centralnej, ze szkoły „dróg i mostów", górniczej, sztuk i rzemiosł, z St. Cyr, z Instytutu agronomicznego i t. d., należą tu uczeni i profesorowie, deputowani i senatorzy, kapłani i biskupi.

W obszernym lokalu stowarzyszenia, mieści się cenna biblioteka i salon pracy, gdzie cały dzień studenci mogą w ciszy oddawać się naukom, sala pism i gazet, bilardów i szachów, sala koncertowa a wkońcu salon literacki, który się tu nazywa „Salon des Oeuvres"; w salonie tym codzień wieczorem odbywają się odczyty i pogadanki naukowe. Urządzono tu stałe konferencye młodych adwokatów, słuchaczów prawa i tak zwaną „konferencyę Ozanama" ze wszystkich gałęzi wiedzy złożoną, na tę ostatnią mają wstęp wszystkie osoby przekonań katolickich, nawet nie należące do Koła. Ażeby dać pojęcie, jakiego rodzaju i jakiej wartości są te konferencye, przytoczę niektóre imiona osób, które ostatniemi czasy brały w nich udział; a więc biskupi jak: Dupanloup z Orleanu, Lavigerie z Nancy, kardynał Morlot arcybiskup Paryża, sufragan paryski Richard, arcybiskup Laryssy Soulé z wyspy Réunion; kapłani, jak nieodżałowany prałat Ségur, O. Félix T. J., de Damas T. J., Gratry, Lescoeur Oratoryanin, d'Hulst rektor Instytutu katolickiego, de Broglie, Danglard z Instytutu; uczeni, jak hr. Champagne z akademii francuskiej, Cochin, Cezar Cantù, Antoni Rondelet dzisiejszy prezes „salonu dzieł"; podróżnicy, jak Wiktor Guérin; deputowani i mężowie stanu, jak Chesnelong, Paris, Belcaste, Brun i dzielny Keller z górnego Renu, i inni. Piękny zaiste widok przedstawia taka konferencya; sala napełniona gronem młodzieży, między którą wiele mundurów wojskowych, a wpośród niej tu i owdzie sędziwa postać lub suknia kapłańska, a na ścianie nad prelegentem i nad tą młodzieżą Zbawiciel rozpięty na krzyżu.

Salon des Oeuvres otrzymał swą nazwę stąd, że odbywają się tu częste sprawozdania z ruchu stowarzyszeń i działalności katolickiej we Francyi. W niedzielę i dni świąteczne w sali koncertowej mają miejsce wieczory muzykalne poświęcone

głównie muzyce klasycznej, także często amatorskie przedstawienia, w których biorą udział sami młodzi członkowie „Koła“, a kilka razy do roku odbywają się wielkie koncerta z udziałem najznakomitszych artystów Paryża, na cele dobroczynne. Nadto urządzono tu lekcye wymowy i deklamacyi, których udziela znakomity artysta z „Komedyi francuskiej“ p. Dupont-Vernon, i szkołę szermierki. Dla uczynków chrześcijańskiego miłosierdzia mają otwarte pole młodzi i starzy członkowie „Koła“ przedewszystkiem w konferencyi *Saint Marcel de la Maison Blanche*, towarzystwa św. Wincentego, uorganizowanej w samem „Kole“. Wspólne nabożeństwa odbywają się w dniu św. Piotra jako patrona Koła, Trzech Króli, oraz przy rozpoczęciu kursów naukowych, w kościele św. Suplicyusza w kaplicy *Notre dame des Etudiants*. Wszystko tu mądrze a poczciwie obmyślono. Rok naukowy zakończa rano dziękczynna Msza św. a wieczorem *Séance Solennelle*. Zagaja ją p. Beluze przemową do honorowego prezesa, potem następują sprawozdania, rzewne wspomnienia zmarłych kolegów; zamyka ją przemowa honorowego prezesa; był nim r. z. dzielny Alzatczyk, były deputowany z górnego Renu, Emil Keller, jeden z najświetniejszych mowców i najdzielniejszych obrońców sprawy katolickiej.

Na zakończenie dodam, że na liście członków „Koła“ znajduje się sześć polskich nazwisk a jeżeliby który z rodaków, będąc w Paryżu, chciał odetchnąć zdrową atmosferą, niech się uda na rue Luxembourg, 18, a jako syn katolickiej Polski, znajdzie tam dobre przyjęcie. *L. W.*

Druk ukończony dnia 23 lipca 1884.

CZY JEST MOŻEBNA MORALNOŚĆ SEKULARYZOWANA?

Zabierając się do pisania o rzeczach społecznych, natrafiam co krok kwestye etyczne, w których czuje potrzebę porozumienia się z czytelnikiem i omówienia pojęć zasadniczych, jak moralność, prawo, obowiązek, społeczność i t. p. Bo też w istocie w etyce znajdują się zasady nauki społecznej, jak znów w nauce społecznej tkwią podstawy nauk politycznych. Do tego się odnosi poruszone tu zagadnienie.

Są pewne pojęcia między sobą tak związane, że jedno drugie na myśl przywodzi i jedno bez drugiego wytłumaczyć się nie da. Takiemi są n. p. pojęcia prawa i obowiązku, winy i kary, takiemi też zdają się być pojęcia moralności i religii. Każdy czuje, że prawidła moralności mają jakąś ważność, głębokość, siłę dosięgającą samego dna istoty człowieka, wielce różną od znaczenia prawideł wszelkich sztuk i teoryi wszelkich nauk, a nader podobną do ważności, głębokości i duchowej siły religii. Słowem, każdy tego świadom, że religia i moralność schodzą się w jednym jakimś zakątku duszy, z którym inne gałęzie wiedzy i działalności ludzkiej nic wspólnego nie mają. Stąd też nauka o istotnym związku moralności z religią jest stara jak świat. W pewnych jednak szkołach filozoficznych występuje dążność do odcięcia teoryi moralności od wszelkiej styczności z religią i Bogiem. Dążność ta, zwana **sekularyzowaniem moralności**, zajmuje coraz więcej świat uczony i ze sfery naukowej zstępuje już na arenę polityczną; we Francyi mianowicie, w Belgii i indziej, z okazyi kierunku szkół publicznych namiętne wznieca

spory. U nas kwestya jest może mniej piekąca; zawsze jednak wielu jest takich, co na podstawie pochwyconych tu i owdzie wiadomości, s u p o n u j ą, że jakkolwiek dawniej moralność opierała się na religii, to nowożytna nauka znalazła dla niej inne podstawy, że mianowicie nieśmierlelny Kant i słynący dziś Spencer oparli ją na czemś przyrodzonem, nie mniej jak inne umiejętności, a więc, że upadek religii nie groziłby już upadkiem moralności.

Przedewszystkiem określmy bliżej o co idzie: czy tylko to ma być nauką moralności, co księża uczą, co Bóg przykazał i co zakazał? Bynajmniej. Jest etyka teologiczna, której Objawienie Chrystusowe jest źródłem, Kościół katolicki uczelnią, a katechizm podręcznym kodeksem, — i jest etyka filozoficzna, której źródłem bezpośredniem jest natura, a rozum badaczem. Ta ostatnia względem pierwszej może się najsłuszniej nazywać świecką. Wszelako i filozofia zna Boga i czysto rozumowe badanie doprowadza do przekonania, że prawo przyrodzone, które się w sumieniu objawia, jest prawem Stwórcy, że moralna moc obowiązku opiera się na Bogu i w związku jest z przyszłem życiem. Otóż taka etyka jest jeszcze, w oczach pewnej szkoły, nadnaturalną, a tylko taka na miano przyrodzonej, sekularyzowanej etyki zasługuje, która tłumaczy całą sferę moralności bez żadnego stosunku z Bogiem, z tamtym światem i ze wszystkiem, co po za ten widoczny świat sięga.

Kwestya więc jest: czy jest możebna tak pojęta moralność? Albo, co na jedno wychodzi, na czem istota moralności zależy? Odpowiedzi szukajmy od razu w siedlisku tej istoty. Ile razy wchodzimy w siebie, znajdujemy dwa bodźce czynów: przyjemność i powinność. Około tych dwu osi zwrotnych obraca się całe wewnętrzne życie nasze, od nich zawisła nasza wartość i nasze szczęście. Wartość ta byłaby zapewnioną i szczęście łatwem, gdyby te dwa czynniki były w harmonii, gdyby można naokoło tych dwóch ognisk zatoczyć miarową elipsę życia. Ale niestety, wciąż spotykamy między niemi przeciwność. Powinność narzuca się jako wymaganie rozumnej natury naszej, jako *dictamen* rozumu, który w niej upatruje piękno, zacność, porządek i pewien rodzaj przymusu, który moralnym nazywamy. Przyjemność, w szerszem, nie wyłącznie zmysłowem znaczeniu

pojęta, z niemniejszą lojalnością i racyonalnością swoich praw się domaga. Z jednej strony rozumiem, że powinienem iść za cnotą, być sprawiedliwym, mężnym, w pewnych razach odstępywać od własnego interesu (tj. przyjemności własnej) dla dobra publicznego. Rozumiem, że gdy się dopuszczam niecnoty, krzywdy, samolubstwa, źle robię; z drugiej strony ten sam rozum zadaje mi pytanie: co ci z tego, że będziesz cnotliwy? co za korzyść dla ciebie, że siebie narażasz, że się poświęcasz dobru innych? Z jednej strony miłość własna za nieracyonalne ogłasza wszystko co się do niej nie odnosi i sama chce być centrem grawitacyi życia; z drugiej strony równie widocznem się zdaje, że taka norma znosi poprostu cnotę, burzy podstawy społeczeństwa, słowem, odczłowiecza.

Ale jakże to być może, żeby w naturze naszej istniała sprzeczność? Kiedy w całym świecie panuje ład i harmonia, kiedy niższe od nas istoty, jednym tylko parte bodźcem, bez walki wewnętrznej do swoich celów dążą i zaspokojenie swych żądz znajdują, jakiem to sposobem człowiek znajduje się w tem rozdwojeniu i gdy jednej stronie swej natury zadość uczyni, drugą krzywdzić musi? — po której stronie racya? — albo czy jest jaki sposób skojarzenia tych sprzeczności? To zagadnienie na wstępie każdej teoryi etycznej się narzuca, zaprzątało ono zawsze umysły filozofów moralności i rozdwajało szkoły.

W starożytności, prócz mniej określonych odcieni, stanęły naprzeciw siebie dwie przeciwne szkoły, Epikurejczyków i Stoików. Epikureizm brał za punkt wyjścia przyjemność i nią chciał tłumaczyć powinność. Cnota, mówił, jest ci korzystną, ona nakazując miarę w używaniu, potęguje i przydłuża przyjemność, ona przynosi szacunek spółobywateli, sławę, wdzięczność, co znów do przyjemności zmierza. Tej przyjemności ostatecznie szukasz ile razy za głosem cnoty idziesz. Stoicyzm przeciwnie stawiał za jedyny cel dążności i szczęścia człowieka cnotę samą w sobie, przyjemności zaprzeczał prawa bytu, żądzom kazał milczeć i umarłego udawać, samemu nawet cierpieniu w oczy przeczył. „O boleści, wołał konający Epiktet, nigdy nie przyznam, że jesteś złem!“ — Kłamiecie, mówił Epikurejczyk Stoikowi, kłamiecie sobie i naturze; filozofujecie dla szczerych duchów, a jednak sami

duchami nie jesteście. Kto z was doszedł do tej heroicznej ἀπαθεια, w którejby żadnej nie czuł żądzy, obojętnym był prawdziwie względem katuszy i rozkoszy i czystą cnotą szczęśliwy? I dla tejto niedoścignionej mrzonki każecie nam porzucić wszystkie uciechy, wieczny gwałt naturze zadawać? Tfu! Mara w pyszne słowa udrapowana, to wasza filozofia! — A wy, odpowiadał mu jeszcze dosadniej Stoik, nawet czoła nie macie przyznać się publicznie do zasad swej filozofii; tak dalece czujecie, że je sumienie publiczne potępia. Kiedy się starasz o konsulat, pyta Tulliusz Manliusza Torkwata[1], czy się ważysz powiedzieć ludowi, że na urzędzie wszystko będziesz robił dla swej korzyści i przyjemności? Nagany a nie czci, podług tej teoryi, byli godni twoi przodkowie, gdy w bojach zdrowie za ojczyznę poświęcali. Jeśli często cnota przynosi korzyść, czy nie przynosi jej także występek? Ile razy zniszczenie testamentu, potajemne zgładzenie spółzawodnika daje pewną fortunę w rękę. Czyż w takim razie niecnotę nazwiecie powinnością? Ale wy lepsi jesteście od waszych zasad i sam Epikur przy śmierci, troszcząc się o los dzieci przyjaciela swego Metrodora, których był opiekunem — a z których się już żadnej nie spodziewał przyjemności — pokazał, że więcej był wart od swojej filozofii.

Cycero, zarzucając obu stronom skrajność, staje z Arystotelesem w pośrodku, każe i ciału i duszy służyć, i przyjemności i cnoty szukać. Poważna napozór, ale w gruncie najpłytsza solucya, bo skoro te dwa rodzaje dobra stoją najczęściej w przeciwieństwie, iż za jednem idąc, drugiego odstąpić trzeba, ginie prawdziwe szczęście, ginie główny cel życia i zostaje sprzeczność jak była.

Przyszedł wreszcie Chrystyanizm i dał klucz zagadce: przeciwieństwo między przyjemnością a powinnością, pochodzi z upadku i skażenia natury ludzkiej; wszelako jest ono tylko przejściowem. W tem życiu trzeba iść bezwarunkowo drogą cnoty i sprawiedliwości, jak sumienie nakazuje, zrzekając się, ile cnota wymaga, przyjemności, ale w drugiem życiu, cnota spotka się z szczęściem

[1] Cicero. De finibus lib. II. Z tego miejsca Cycerona są te powyższe zdania wzięte.

zupełnem i wiecznem. „Tedy Syn Człowieczy odda każdemu, według uczynków jego“ — i tak się sprzeczność ostatecznie znosi.

Jak widać, w pogańskiej filozofii zagadka życia była o tyle nierozwiązalną, o ile brano to życie w oderwaniu od przyszłego, bo w istocie tak odcięte życie doczesne jest nieracyonalnym odłamem, jak tułów statuy. Ale poza dysputami filozoficznemi w obec prawdy życia i głosu sumienia, dusza ludzka, *anima naturaliter christiana,* przeczuwała zawsze solucyę chrześcijańską, odgadywała, że to prawo przyrodzone, które rozum jej w porządku świata wyczytuje, a sumienie jako obowiązek jej narzuca, jest prawem Najwyższego Rządcy świata: *ratio summi Jovis;*[1] w obec tego najwyższego Rządcy, czuła się odpowiedzialną, spodziewała się od niego w drugiem jakiemś życiu nagrody za cnotę, a kary za występek. Słowem, Bóg objawił się rodzajowi ludzkiemu nietylko w naturze jako Stwórca, ale więcej jeszcze w tajniku sumienia, jako prawodawca i nagrodziciel. Ślady tego faktu znajdujemy nietylko w religiach i obrzędach starożytnych ludów, ale po dziś dzień u najdzikszych szczepów. Chrześcijańska więc solucya nie przyszła jako nowość, ale jako ujawienie tego, co było na dnie sumienia ludzkości, jako usankcyonowanie w imieniu bożem tego, czego się rozum chwiejnie domyślał. Przyjął więc świat oburącz tę naukę i spoczął w niej przez kilkanaście wieków.

W XVIII. wieku, gdy znów filozofia poczęła budować świat bez Boga, spotkała się także z kwestyą etyczną. Wszelako poglądy moralne (jeśli je tak nazwać można) takich Helwecyuszów i Hobbesów, nie są żadnym systemem na seryo, tylko urąganiem chrześcijańskiej moralności. W ogóle filozofia ówczesna wymijała etykę, czując swą nieudolność na tym gruncie, lękając się spotkać mimowolnie w tej sferze sumienia widmo Boga, którego unikała.

Pierwszy Kant utworzył prawdziwie system sekularyzowanej etyki. Postawiwszy w sferze spekulacyi rozdwojenie empiryi od elementu duchowego, który się u niego apriorycznym nazywa, przeprowadza on to samo rozdwojenie w sferze praktyki. Co się nam przedstawia jako przyjemne, miłe, dla nas dobre, to, podług

[1] Cic. pro Milone.

Kanta, wrażenie empiryczne od przedmiotu pochodzące; co zaś sumienie nam narzuca jako obowiązek, to jest aprioryczna forma naszego umysłu, aprioryczna tj. w sensie Kanta subjektywna, umysłowi wrodzona, z góry przed zetknięciem z przedmiotem nadana; czego dowodem podług Kanta jest sposób, jakim sumienie w nas przemawia: gdyby się ono powodowało przedmiotem, mówiłoby nam warunkowo: Czyń tak, jeśli chcesz to lub owo dobro osiągnąć; ale ono przemawia rozkazem bezwarunkowym: Czyń tak koniecznie — to jest sławne Kantowskie *imperativum categoricum*.

Otóż ta subjektywna aprioryczna forma jest właściwem prawem moralnem. Chcesz postępować moralnie? działaj nietylko podług tej normy, ale też wyłącznie dla tej normy. Gdy się powodujesz żądzą jakiegośkolwiek dobra, choćby miłością bożą, działasz może legalnie, ale niemoralnie. Na tem właśnie zależy autonomia człowieka, że i modłę i oraz pobudkę czynu z siebie wyłącznie bierze. Nie pytaj więc: skąd, dla czego taki rozkaz wewnętrzny? rozum praktyczny tak każe, bo taka jego natura i basta.

Słaba zaiste pobudka moralności, skoro ten sam, niemniej praktyczny rozum wierci mię jeszcze pytaniem: cóż ci z tego, że prawa rozumu posłuchasz? Gdyby przynajmniej Kant chciał nam coś więcej powiedzieć o tym rozumie praktycznym; jaki cel, jaki pierwowzór tego wrodzonego prawa? czy ono od Boga, czy skądinąd pochodzi, możeby nas łatwiej do cenienia i słuchania jego rozkazów pobudził. Ale kiedy Krytyka czystego rozumu tym wszystkim teorycznym kwestyom wrota zamknęła, orzekła, że to ignotum X, doprawdy jesteśmy w szkole Kanta w gorszem położeniu, niż u Zenona, gdzie przynajmniej męstwo człowieka cnotliwego było miłem widowiskiem bogów!

Dalej czy prawda, że sumienie narzuca swe rozkazy w sposób taki bezwzględny i bez powodów? Takby być musiało zapewnie, gdyby prawo moralne było formą *a priori* daną, jak sądzi Kant; ale faktycznie tak nie jest. Gdy mi sumienie mówi: nie rób tego — daje mi oraz powód rozkazu, n. p. że to rzecz niesprawiedliwa, albo szkodliwa społeczeństwu, albo w inny sposób niemoralna. Gdy dalej zapytam sumienia, czemu tę rzecz za taką ma, da mi zwykle dowód rozumowy, czasem i na doświadczeniu

się oprze, a nieraz poprostu na powadze, którą uznałem. Gdy wreszcie zapytam sumienia, czemu nie mam robić tego, co niesprawiedliwe, szkodliwe bliźnim i t. p., ono jeszcze nie zamilczy, ale powoła się na równość natury między ludźmi... Słowem sumienie tłumaczy się ze swoich nakazów, i tłumaczy się racyami czerpanemi zawsze z przedmiotowego porządku rzeczy; więc fałszem jest, że to prawo moralne jest formą subjektywną i aprioryczną. Dalej jeszcze, gdyby to prawo było taką formą wrodzoną, wszyscy ludzie odczuwaliby ją tak samo, w sądach o moralności nie byłoby sprzeczki ni różnicy, nauka moralności byłaby niepotrzebną, bo wszyscyby ją mieli wrodzoną i nieomylną; a czy tak jest w istocie? Dziwna to rzecz, jak się przeciwnicy prawdy zbijają między sobą. Oto kiedy Kant i następcy jego idealiści stawiają teoryę aprioryzmu, w której wszyscy ludzie powinniby mieć sumienia identyczne jak kubek w kubek, obóz materyalistów i pozytywistów wygórowuje znów różność i niezgodność pojęć moralnych, znajduje ludy, które i kradzież i mężobójstwo i cudzołóstwo uniewinniają, słowem w całej etyce nie widzi nic stałego, tylko dowolność, zwyczaje, przesądy. Tymczasem prawda, idąc po środku, zadaje kłam jednym i drugim. Ludzie zgadzają się w najogólniejszych i najoczywistszych, tj. najwidoczniej z porządku rzeczy wynikających zasadach etycznych, rozchodzą się zaś w dalszych wynikach i trudniejszych aplikacyach tych zasad: co najlepiej dowodzi, że rozum ludzki czerpie zasady etyczne, tak samo jak pewniki spekulatywne, w przedmiotowym porządku rzeczy, a w dalszych dedukcyach z powodu swej ułomności błędom podlega. Do tego wniosku później wrócimy, ale tymczasem wnioskowi Kanta zaprzeczają fakta.

Wreszcie, co wart jedyny dowód Kantowski, to *imperativum categoricum?* Skoro rozkazowi sumienia towarzyszy zawsze, jak sam Kant uznaje, świadomość wolnej woli, to i jego *imperativum* możemy sobie zarówno tłumaczyć w postaci warunkowej: „Tak czyń, jeśli chcesz rozumu słuchać.“ I faktycznie wielu ludzi woli go nie słuchać. W gruncie to szumne *imperativum categoricum* jest czystą mistyfikacyą. Rozum właściwie mówiąc, nie rozkazuje, nie obowiązuje, rozum tylko rozumi, czyli po prostu pojmuje i przekłada woli normę postępowania, — normę w rzeczy samej bez-

względną, której jednak rozum, jak się rzekło i później się wyjaśni, nie z siebie wysnuwa, ale z przedmiotowego porządku rzeczy racyonalnie wywodzi. Rozchodzi się zaś o to, co wiąże wolę z tą normą, co ją ma nakłonić do wypełnienia jej czynem? jeśli jakieś dobro względne, jak sądzą utilitaryści, wówczas moc obowiązku jest tylko względna; jeśli dobro bezwzględne, bezwarunkowo naturze potrzebne, jak samo szczęście, wówczas powinność będzie miała wartość bezwzględną. Ale zawsze jakieś dobro być musi, bo tylko dobro może wolę podniecać: dobro a podnieta woli, to wobec metafizyki jedno i to samo pojęcie. Kant zaś, upierając się przy czystej formie rozumu, nie oznacza żadnej możliwej podniety czynu, a raczej nie zdaje sobie sprawy, że na dnie jego myśli są poprostu *motiva* stoickie: tj. sama piękność cnoty — albo jeszcze prawdziwiej, pycha marząca o autonomii.

Kant więc nie wychodzi wcale z zaklętego koła Stoików, owszem wysusza on jeszcze już i tak chudą ich etykę i ze szkieletu stoickiego robi czystą marę.

Ale czyż w końcu Kant nie powie nam choć słowa o szczęściu? czy ten punkt kardynalny życia ludzkiego i wszelkich filozofii w jego teoryi żadnego miejsca nie znajdzie? Toby już było za wiele; więc też w końcu przychodzi na scenę szczęście, a zarazem i Bóg i nieśmiertelność duszy: wielkie rzeczy, bez których się obeszło przy konstrukcyi podstaw moralności. Ale w jakiż sposób Kant wprowadza ten orszak? Gdyby szczęście wpływało na moralność, byłoby to u Kanta niemoralnem, więc odwrotnie moralność, czyli ta forma aprioryczna nakazuje między innemi rzeczami, żebyśmy dążyli do najwyższego szczęścia w zjednoczeniu z najwyższą cnotą [1]. A że ta dążność moralna byłaby niemożebną, gdybyśmy się czuli zawi-

[1] Pojawiła się i w Kościele katolickim doktryna zwana kwietyzmem, utrzymująca, że nie należy czynić dobrze ze względu na wieczną nagrodę, ani nawet pragnąć najwyższego szczęścia jako szczęścia naszego, ale jedynie dlatego, że jest wolą Bożą, żebyśmy to szczęście osiągnęli. Coś podobnego nauczał także u żydów założyciel szkoły saducejskiej. Kwietyzm potępiony został przez Kościół, w Konstytucyach Innocentego XI. *Coelestis Pastor* 1687 i Innocentego XII. *Cum alias* 1699.

słymi od fizycznych warunków otoczenia, dlatego powinniśmy przypuścić, że mamy wolną wolę. Dalej, ponieważ to dążenie do najwyższego szczęścia i do najwyższej cnoty musi być bezgranicznem, powinniśmy przypuścić wieczne trwanie jaźni, czyli nieśmiertelność duszy. W końcu powinniśmy przypuścić istnienie Boga dlatego, żeby nam skojarzył najwyższe szczęście z najwyższą cnotą. Czy doprawdy Bóg istnieje, czy jest wolna wola i dusza nieśmiertelna, i szczęście najwyższe, o tem, powtarzam jeszcze, według Kanta nic nie wiemy; krytyka czystego rozumu dowiodła, że to subjektywne formy myśli, o których przedmiotowej prawdziwości nic zgoła wiedzieć nie możemy. Ale przyjąć je mamy jako *postulata* moralnego porządku, jako pojęcia może czcze, ale w każdym razie potrzebne do moralnego życia.

Nędzna doprawdy etyka, która niema dogmatyki tj. pewnej teorycznej podstawy. Tem upadł stoicyzm, jak dobrze uważa Champagny, że choć wyborne nauki moralne prawił, ale nie miał prawd dogmatycznych do poparcia tych zasad etycznych. Tem też upadł kancyanizm: krytyka jego, rozgryzając metafizykę, stoczyła bezwiednie podwalinę etyki.

Ale prócz chwiejności, a raczej nicości dogmatycznej tych prawd zasadniczych, uderza jeszcze luźność ich nawiązania z całą teoryą etyczną Kanta. Na cóż bo doprawdy one tu przychodzą, kiedy cała konstrukcya tej etyki zbudowana jest i stoi niezależnie od nich? Prawo moralne nie pochodzi od Boga, przynajmniej jestto niewiadomem, obowiązek nie jest zawarunkowany ani Bogiem ani szczęściem. Słowem te wielkie postacie wchodzą w grę, nie z konieczności rzeczy, ale od biedy, naciąganym sposobem. I na cóż więc było je przywlekać? Dwie są możliwe przyczyny. Naprzód, jak Kartezyusz w sferze spekulacyi, czując słabość swego kryteryum „idei jasnej i wyraźnej“ podparł go, choć wbrew logice, prawdziwością Boga, tak Kant w sferze etyki, czując słabość swego „prawa subjektywnego“ usiłuje, również nielogicznie, podeprzeć go tem wprowadzeniem Boga. Jestto świadectwo ubóstwa dla autonomii etycznej, dane od samego jej ojca; oraz nowy dowód, że się nie udaje etyka bez Boga. Po drugie, za czasów Kanta ateizm jeszcze był w powietrzu, w duszy Kanta

jeszcze coś się domagało miejsca dla Boga. Chociaż więc jego etyka tak samo jak metafizyka obchodzi się logicznie bez Boga, szukał on jednak, jak Boga do swego systemu nawiązać i nawiązał go jak się udało. Kant więc nie jest ateuszem, lecz etyka jego jest w gruncie rzeczy ateuszowską. Stąd też uczniowie Kanta mogli od razu i bez nielogiczności odciąć ten przydatek, tj. Boga, nieśmiertelność, wolną wolę i t. d. i została im w ręku czysto bezwyznaniowa Kantowska etyka.

Dziś już ta etyka, niedawno tak sławna, niema wyznawców; omówiłem ją jednak obszerniej dlatego, że pozostały po niej pewne okrawki i obiegają świat pod nazwą „nieśmiertelnych zdobyczy Kanta", jak n. p. oparcie moralności na podmiocie, czyli autonomia, jak *imperativum categoricum* etc. Nie wiedzą podobno ci ludzie, którzy te nauki powtarzają, na jakich zasadach oparł Kant te zdobycze, nie myślą, że sami od dawna tych zasad, a zwłaszcza aprioryzmu się wyparli. Jakżeż więc mogą chwalić wnioski, kiedy przeczą przesłankom?

Wracam do naszej osnowy. Kant jak zauważyliśmy nie przekroczył stanowiska Stoików; z ich systemu zrobił marę i ta mara rozwiała się. Znowu więc przyszła kolej na Epikureizm i tym razem podjęli go materyaliści Angielscy, od Benthama do Spencera. Oto w głównych zarysach rozwój ich myśli.

Bentham, uważany za ojca szkoły „utilitaryzmu", był sobie poprostu epikurejczykiem, wierniejszym od samego Epikura. *The Utility* znaczy u niego czysty obrachunek egoistycznej przyjemności. Że przyjemność egoistyczna jest jedynym możliwym bodźcem wszystkich czynności ludzkich, to w jego oczach punkt wyjścia, pewnik nie potrzebujący dowodów. Zadaniem zaś etyki jest tylko obrachować sumę przyjemności lub nieprzyjemności, jaką każdy postępek przynosi. Dobroczynność jest dobra, o ile dogadza uczuciom sympatycznym, które przyjemnie na nerwy działają, pijaństwo jest złe, bo choć na razie pewną przyjemność sprawia, jednak w niedalekiej przyszłości większą sumę przykrości niesie. Powinność, obowiązek, to u niego pojęcia niedorzeczne i niemoralne, prawdziwa zaś cnota to wysiłek, jakiego wymaga wyrzeczenie się przyjemności obecnej dla większej przyjemności przyszłej. Stąd jest i miejsce dla cnoty społecznej, lecz jej defi-

nicya, którą czytamy dosłownie Deontol. l. 173, jest „ofiara, jaką czyni człowiek z własnej przyjemności, żeby służąc korzyści innych, większą sumę przyjemności sobie uzyskać.“ Ale cóż począć kiedy dobro społeczne stoi w kolizyi z moją przyjemnością teraźniejszą i przyszłą? tej ewentualności zdaje się Bentham nie przypuszczać. Patrząc na świat przez różową szybkę swojej cichej rezydencyi przy parku Westminsterskim, przypuszcza on dobrodusznie, z optimem którego naiwność rozbraja, że wszędzie na świecie egoistyczna przyjemność jednostki jest w harmonii z dobrem ogółu, a układając mozolnie długie tablice postępków ludzkich i cyfrując w 5 kolumnach wynikające z nich przyjemności i nieprzyjemności, dowodzi arytmetycznie, że każdy występek przynosi egoizmowi *minus* a każdy dobry uczynek daje *plus*. Słowem walną zasadą etyczną Benthama jest arytmetyczne dodawanie przyjemności.

Ta etyka mimo całej swej nędzoty, a nawet brzydoty, miała wielu zwolenników —czegóż się człowiek w rozpaczy nie chwyci gdy raz prawdę zgubi? — Trzeba jednak było pomyśleć o jakiej takiej poprawie. Stuart Mill zrozumiał, że ta urojona zgodność interesów egoistycznych z interesami społecznemi, na której system Benthama się zasadzał, w rzeczywistości wcale nie istnieje, że ofiara jakiej wymaga od jednostki dobro społeczne, jest bardzo często ofiarą bezwzględną i odwrotnie czyn dla jednostki przyjemny i korzystny bywa często ogółowi szkodliwy, słowem, że przyjemność i powinność nie są w stałej zgodzie na tem świecie. Wziął się więc na sposób i tę zgodność, która nie istnieje przedmiotowo, starał się nawiązać w podmiocie. Za środek do tego użył psychologicznej teoryi assocyacyi pojęć. Punktem wyjścia u niego, jak u wszystkich utilitarystów, musi być zawsze przyjemność egoistyczna, ale że nas w dzieciństwie za pewne postępki karcono, za inne nagradzano, że w dojrzalszym wieku rozum samoistnie postrzegał iż z pierwszych postępków, z dobrem pospolitem niezgodnych, wynika, choć nie zawsze, ale bardzo często, jakaś przykrość dla nas samych, a z drugich tj. moralnych jakaś przyjemność i korzyść, stąd przez assocyacyę pojęć, wytworzył się w naszym psychycznym ustroju jakiś ogólny wstręt do tego co niemoralne, a pociąg do tego co moralne. Tak iż w każdym po-

jedynczym przypadku, chociaż innych złych skutków z czynu niemoralnego nie przewidujemy, ten niby instynktowy wstręt nas odwodzi (dictamen sumienia), a jeśli mimo tego wstrętu uczynek ten spełniamy, doznajemy stąd nieprzyjemnego wrażenia (wyrzut sumienia).

Tak więc mamy u Milla możliwość cnoty bezinteresownej, mamy coś z daleka podobnego do sumienia; na co w systemie Benthama ani miejsca, ani nazwy nie było. Ale to jeszcze cnota i sumienie s t r a s z n i e poziome. Człowiek moralny, cnotliwy, z wyrobionym charakterem, jest tu zupełnie podobny do dobrze wytresowanego psa, który pewnych rzeczy unika a inne wypełnia, nie dla obecnego pociągu zmysłów, ale że w jego wyobraźni towarzyszą tym czynnościom dawne wrażenia doznanych razów.

Pozytywiści, co każdą kwestyą etyczną i społeczną od ślimaka i monery zaczynają, zgodzą się zapewne i na to zestawienie i na wszelkie jego konsekwencye. Razić ich jednak samych musi w teoryi Milla, widoczna słabość tych instynktów moralnych. Przykrość i przyjemność, jakiej doznać można od assocyacyi pojęć, jest przecież niczem w porównaniu do przykrości, na jakie czasem obowiązek każe się narazić i do siły namiętności, którą cnota każe poskramiać. Cóż pomogą wyobrażenia doznanych złych skutków występku, kiedy w danej okazyi występku rozum się przekona, że żadne podobne niebezpieczeństwo nie grozi? W takim razie nietylko fizycznie mógłbym, ale moralnie, (podług moralności utilitarnej) powinienbym występnie działać. Zresztą na dłoni leży różnica między wskazówkami doświadczenia a diktaminem sumienia. Z nawyknienia wiem, że pokrzywa piecze, róża pachnie, że zacieniona droga wśród upału przyjemniejsza od otwartej, wspomnienia te i wyobrażenia towarzyszą sobie stale w moim umyśle, kieruję się też niemi w potocznych rzeczach... ale cóż podobnego w tych wskazówkach do uroczystego głosu obowiązku? cóż tu wspólnego z tą moralną głębią mojej istoty, którą sumieniem nazywam?

Otóż tę słabą stronę, albo raczej słabą podstawę etyki utilitarnej przyszedł wzmocnić nowym pomysłem Darwin. Darwin nie pisał właściwie o etyce, ale w dziele „O pochodzeniu czło-

wieka“ skreślił mimochodem kilka kartek o genezie pojęć moralnych — i te zostały w lot pochwycone. Wystawmy sobie jaskułkę, która się jakoś spóźniła z budowaniem gniazdka i nie dochowała jeszcze swych piskląt, kiedy przychodzi czas odlotu. W tej chwili sroga walka toczy się w serduszku tej jaskułki. Z jednej strony uczucie macierzyńskie przykuwa ją do gniazdka, z drugiej potężny instynkt zachowawczy nagli ją do odlotu z drugiemi. Dajmy na to, że ten ostatni zwycięży: poleciała za morza z drugiemi, ale tam wyobrażenie opuszczonego gniazda i zgłodniałych piskląt, czekających na nią z otwartemi dzióbkami, wciąż ją prześladuje i nęka. Oto podług Darwina miniatura, a oraz początek uczuć moralnych, walki egoizmu z obowiązkiem, wyrzutów sumienia. Popędy egoistyczne potrzebne są do zachowania jednostki i jako takie rozwijają się w świecie zwierzęcym prawem ewolucyi, nie inaczej jak członki i inne narządy. Obok nich zaś kształcą się tym samym prawem popędy społeczne, potrzebne dla zachowania gatunku i przechodzą całą skalę rozwoju: najprzód przywiązanie do potomstwa, jakie widzimy w jaskułce, dalej solidarność całego rodu, jak u wielu zwierząt gromadnie żyjących i broniących się, wreszcie miłość całego rodzaju swego jaka dziś występuje u ludzi. Te popędy społeczne wykłuć się musiały pierwiastkowo z egoistycznych, na podstawie potrzeby wspólnej obrony lub wspólnego zdobywania żywności, ale że dziś są dziedzicznemi i mają za sobą tysiące pokoleń, dlatego występują w nas z taką mocą i dlatego nie znać w sumieniu śladu ich pochodzeuia egoistycznego.

Tak więc Darwin posunął o znaczny krok etykę utilitarną: Bentham opierał bezpośrednio w czynie altruizm na egoizmie: Kto czyni dobrze drugiemu, ten własnej w tem korzyści szuka. Mill cofnął ten związek w głąb nawyknień: Kto czyni dobrze drugiemu ten nie zawsze własnej korzyści szuka, działa jednak z nawyknienia, które stąd w nim powstały, że własną korzyść znajdował w związku z dobrem powszechnem. Darwin wreszcie cofnął ten sam związek jeszcze dalej, w głąb wieków i minionych pokoleń: Kto czyni dobrze drugiemu, podług niego ten działać może bez osobistego względu na siebie, ale ze skłonności dziedzicznej,

która w jakichśtam czworonożnych przodkach od egoizmu poczęła i w altruizm się przekształciła.

To wszystko bardzo piękne i rozstrzygnęłoby mi to może kwestyę moralności, gdybym był zwierzęciem, idącem ślepo i koniecznie za wrodzonymi popędami. Ale że jestem człowiekiem, rozumnym i zdolnym do zastanowienia się nad sobą, stoję wciąż w obec nietkniętego pytania: co mię obowiązuje do moralnego postępowania? Tłumaczycie mi po swojemu, skąd się biorą we mnie popędy ku dobru powszechnemu. Mniejsza o to. Lecz skoro faktem jest, że w kollizyi tych popędów mogę sobie stawić pytanie: co z dwojga mam wybrać, jakiż dajecie mi powód, żebym wybierał dobro powszechne, uczciwość, cnotę i t. d.? Cóż odpowiadacie mojej wrodzonej miłości własnej pytającej: co mi z tego, że ciasną drogą pójdę? Jeśli odważycie się, zgodnie z istotą waszych systemów, powiedzieć mi: Nie masz wolnej woli, puść się, dokąd cię mocniejszy w tobie popęd zawiedzie, — to gdzież jest wasza etyka? I gdybym wam uwierzył, nie wątpię, żeby mię prąd egoizmu porwał. Jeżeli zaś mi powiecie: wybieraj co z dobrem powszechnem zgodne, bądź w każdym przypadku sprawiedliwy, uczciwy, przeciwne skłonności zwalczaj — to najprzód zatwierdzacie wolną wolę, co się żadną miarą z waszym systemem nie godzi; a po drugie musicie mi dać jakiś powód, coby mię do tego obowiązywał. Ale ten powód w zakresie teoryi utilitarnej i pozytywizmu, nie może być inny, jak związek dobra osobistego z dobrem ogółu, obietnica korzyści własnej, mającej wyniknąć z korzyści społecznej, słowem powrót do naiwnej teoryi Benthama, którejście sami odstąpili. Tak więc cały ten wrzekomy postęp etyki utilitarnej, przez teorye Benthama, Milla i Darwina, jest tylko kołowaniem i na końcu znajdujemy się w tym samym punkcie, z któregośmy wyszli tj. w najprostszym Epikureizmie.

Otóż czwarty i ostatni krok w tym kierunku robi słynący dziś filozof, będący dla pozytywizmu najwyższym wyrazem, jakim był Hegl dla idealizmu, Herbert Spencer. On wszystkie poprzednie systemy obejmuje i oraz rozszerza kwestyę do rozmiarów wszechświata. Ludzkość, mówi on, jest tylko cząstką świata i jako taka podlega jego prawom i udział bierze w jego ewolucyi. Szczęście, do którego dąży postęp ludzkości, jest tylko mo-

mentem w ogólnym rozwoju wszech istot. Zatem i istotę tego szczęścia, i sposób postępowania, który do niego prowadzi, czyli prawo moralne, badać należy w związku z całym światem. Dalej badanie to nie powinno się ograniczać, jak u Milla i poprzednich utilitarystów, na empirycznem śledzeniu, co i jak najwięcej człowiekowi przyjemności przynosi, ale postępować winno d e d u k c y j n i e, na podstawie fizyologicznych praw życia określić szczęście, do jakiego ludzkość dąży i stąd p r a w a tego dążenia wyprowadzić. W ten sposób zamiast p o ż y t e c z n o ś c i, o której prawią utilitaryści w swych moralnych zasadach, będziemy mieli „konieczność praw moralnych", identyczną z koniecznością praw fizycznych i w tejże, jako szczegół w całości zawartą.

Z takiego wychodząc założenia Spencer przeprowadza swą rzecz w następujący sposób.

Jak cały świat rozwija się postępową ewolucyą, tak i ludzkość w nim zawarta, postępuje koniecznie ku zupełnemu umoralnieniu, a tem samem ku najwyższemu szczęściu. Wprawdzie zdarzają się w społecznem życiu i cywilizacyi chwilowe cofnięcia się wstecz, czasami mnożą się zbrodnie i kary, wybuchają srogie rewolucye, po nich gwałtowne repressye. Ale to tylko zastosowanie powszechnego w wszechświecie prawa rytmu, w którem i peryodyczne cofnięcia należą do postępowego pochodu. Gdybyśmy obliczyli wszystkie fluktuacye zbrodni i dobroczynności, pauperyzmu i bogactwa, walki między kapitałem a pracą, wszystkie podnoszenia się i opadania moralności publicznej, mielibyśmy przed oczyma skomplikowany system rytmów, podobny do falowania Oceanu. Każda siła w naturze, która spotyka siłę przeciwną, wywołuje taką rytmiczną oscylacyę. Ale każdy taki rytm dąży do równowagi i ta równowaga przyjść w końcu musi.

Ta końcowa równowaga moralna zależeć musi, tak samo jak w świecie fizycznym, na zupełnej adaptacyi jednostki do społeczeństwa i społeczeństwa do przyrody. Dziś kształci się w człowieku poczucie osobistej wolności tj. swobodnego rozwoju indywidualności; ale z powodu niedoskonałości wewnętrznych i zewnętrznych warunków, to poczucie przekracza często granice odpowiedniej wolności drugich ludzi, przez co zmusza społeczeństwo do reagowania przeciw niemu prawem i karą. Kiełkują

tniejszej kwestyi etycznej, tj. w pojęciu powinności, Spencer zdaje się nie iść dalej od Darwina. Mówi on wprawdzie o koniecznych prawach moralności, ale to nie konieczność obowiązku, w moralnym tego słowa znaczeniu, tylko konieczność fizyczna, pochodząca z odziedziczonych popędów społecznych, które się jawią w sumieniu z tajemniczą mocą, jakoby intuicye: „Stąd, mówi Spencer, wiara w nadprzyrodzony charakter tych zasad, i na tem zależy ich najwyższa powaga".

Można więc powtórzyć przeciwko Spencerowi to wszystko, co się przeciwko Darwinowi i Millowi powiedziało. Jestto ciekawy opis genezy uczuć, etycznemi zwanych, ale niema w tem wszystkiem ani krzty pierwiastku etycznego, ani śladu tej głębokiej, szlachetnej, do serca i sumienia przemawiającej potęgi, którą sumieniem nazywamy; między złem a dobrem jest fizyczna li tylko różnica: nie inna jak między stawianiem gmachu według prawideł budownictwa a uchybieniem tym prawidłom; złość i dobroć uczynków siedzi w ich skutku szkodliwym lub korzystnym, a zamiar wnętrzny, intencya, w której powszechnie siedzibę moralności uznajemy, którą i boskie i ludzkie prawa przy ocenie występku i zasługi uwzględniają, wcale do sfery tej moralności nie należy. Co więcej, złe jest poniekąd równouprawnione z dobrem, gdyż w społecznem falowaniu, oba ruchy rytmu należą zarówno do postępu, oba prowadzą prawem koniecznem do doskonałości i szczęścia ludzkości. Słowem, gdyby ta etyka była prawdziwa, nie byłaby żadną etyką, i moralności wcaleby nie było.

I jakiż, proszę, wpływ taka teorya etyczna może na sumienie wywrzeć? Kto uwierzy w konieczność tych praw spencerowskich, ten nie będzie się starał oprzeć złym popędom własnym, nie podejmie trudu dla uchronienia bliźnich od złego, najprzód, bo darmo, to prawa konieczne, a po drugie, bo złe zarówno jak dobre do końcowego szczęścia prowadzi. Jakiż wreszcie powód podaje ta etyka człowiekowi by unikał złego? Dajmy na to, że mogę zgładzić w wielkim sekrecie niegodziwego człowieka i pugilares jego zagrabić: dla czegobym niemiał tego uczynić? Społeczeństwu nie zaszkodzę, owszem uwolnię je od plagi, sobie przysporzę zarazem majątku: zostaje tylko sprawa z wnętrznemi popędami, poprostu mówiąc, obawa wyrzutów sumienia.

Lecz najpierw, im gorszym byłbym człowiekiem, tem mniejbym tym wyrzutom podlegał i mógłbym racyonalnie przenieść majątek i towarzyszące mu przyjemności życia nad spokój sumienia. A po drugie, sumienie mi nie będzie wyrzucać tylko czyny, które za złe uznaję; gdybym zaś był szczerym utilitarystą albo ewolucyonistą, słowo daję, że w takiem skrytobójstwie, tak mnie jak społeczenstwu przydatnem, nic złegobym nie upatrzył. Pewnie ludożercom wyrzuty sumienia nie zatruwają ich krwawych biesiad, bo nic w tem złego nie widzą. Jest więc w tem powoływaniu się na sumienie rażący *circulus vitiosus;* a wszyscy utilitaryści bez wyjątku w nim siedzą.

Wszelako teorya Spencera ma jeden ważny punkt, który ją od poprzednich wyróżnia, a tem jest to zapewnienie przyszłej doskonałości i szczęścia ludzkości, ta obietnica nieba na ziemi. Myśl ta już przedtem pojawiała się coraz częściej w pismach Milla, Huxleya, Clifforda, Tyndala. Filozofowie ci, widząc jak obecny stan świata nie dopisuje ich teoryi o korzyści cnoty, a niekorzyści występku, pocieszali się częstokroć różowymi poglądami na przyszłość, w „której ludzkość, jak się wyraża Huxley, ma się stać prawdziwą *Civitas Dei*". Ale Spencer dopiero ujął tę obietnicę złotej przyszłości w system, udowodnił ją po swojemu i wstawił w swą teoryę etyczną, niby cel moralnej dążności człowieka. Dotąd, powtarza on co chwila, cnota się należycie nie nagradza, zacne czyny i ofiary nie przynoszą często korzyści, ani temu co je czyni, ani obecnemu pokoleniu, ale są to kroki ku powszechnej doskonałości. Ta myśl niech nas pokrzepia; pracujmy i poświęcajmy się dla przyszłego szczęścia ludzkości!

Otóż sam punkt kulminacyjny etyki utilitarnej. Przeszedłszy w poprzednich teoryach wszystkie możliwe fazy, spróbowawszy wszelkich sposobów rozwiązania zagadnienia etycznego, tj. pogodzenia powinności ze szczęściem, uznaje ona wreszcie, że to się nie da uskutecznić „na tem padole łez," a nie chcąc żadną miarą słyszyć o niebie po za tym światem, nie ma innego wyjścia, tylko wymarzyć w jakiejś dalekiej przyszłości, jakiś raj na ziemi. Oto siła tej prawdy, na którąśmy na wstępie zwrócili uwagę, że odciąwszy to życie od przyszłości, kwestya moralności jest nierozwiązalną.

Wszelako to niebo pozytywistów, ma najprzód tę wadę, że nie jest dla nas, ale dla naszych dalekich prapra.... wnuków. My mamy się trudzić, walczyć sami ze sobą, i ze złym światem co nas otacza, żeby oni kiedyś bez pracy i trudu byli szczęśliwymi. To bardzo piękne, ale pominąwszy stronę wyżej już poruszoną, że nie warto się trudzić dla rzeczy, którą fala czasu niesie koniecznie jak fizyczne prawo, pytam, skądże się zdobyć mamy na taką heroiczną sympatię dla tej przyszłej, dalekiej, nieznanej nam ludzkości, żeby takowa starczyła nam za bodziec moralnego życia? — skądże się na to mamy zdobyć, my którzy dla żyjących z nami bliźnich, zaledwo tyle posiadamy sympatii, żeby im najlżejsze oddać przysługi? Nieznanemu gościowi, wchodzącemu z nami do wagonu, ustąpimy może z uprzejmości wygodnego miejsca, w najlepszym razie podzielimy się z nim objadem, gdy starczy dla nas dwóch; ale jeśli nam zmęczenie, senność, lub głód dokucza, a miejsca lub jedzenia dla dwóch nie starczy, to ten popęd altruistyczny ani się odezwie. Dla poratowania nieszczęśliwych zdobędziemy się może na znaczną ofiarę pieniężną, ale tylko dla nieszczęśliwych, nigdy w świecie dla ludzi równego nam lub większego majątku. Wglądnijmy w siebie, a przekonamy się, że ile razy uprzejmość lub filantropia (a nie wyższego rzędu powód) do jakiegoś czynu nas skłania, to tylko wtedy, kiedy nas to prawie nic nie kosztuje, albo kiedy potrzeba bliźniego n i e z m i e r n i e przewyższa ofiarę, jaką z siebie czynimy. I ta sympatya dla przyszłej ludzkości miałaby starczyć za motora całej machiny moralności dzisiejszych pokoleń! Dla poezyi jestto może temat do uroczych fikcyi, jakich wiele w dzisiejszej literaturze angielskiej, ale we filozofii nie można nawet o tem seryo mówić.

Po drugie to niebo pozytywistów ma jeszcze tę wielką wadę, że jest bardzo niepewnem. Jeżeli z faktów sądzić mamy, (jak zasada pozytywizmu wymaga), to ruch dzisiejszej cywilizacyi niekoniecznie obiecuje szczęście: pauperyzm rośnie, statystyka zbrodni się pomnaża, najliberalniejsi ekonomiści uznają, że klasa pracująca jest dziś w gorszem położeniu, niż w średnich wiekach. Hartman (niepodejrzany o sojusz z nami przeciwko Spencerowi) analizując z równą bystrością objawy dzisiejszego po-

stępu, wnioskuje, że prawem koniecznym postęp oświaty przymnaża nieszczęścia ludzkości. Ale dajmy na to nawet, że wywody Spencera o ewolucyi powszechnej, o rytmie świata, o koniecznem umoralnianiu się ludzkości są nieomylne, jeszcze zostaje kwestya czy rodzaj ludzki doczeka tej epoki, czy go wprzódy jakiś kataklizm nie zgładzi. Wiemy z astronomii, że nasz system planetarny wędruje w przestrzeni, ale kto wie dokąd idzie? co się w tej drodze znajduje? Kto nas może zabezpieczyć, że nasz planeta nie spotka w tej wędrówce jakiegoś asteroidu, który go w mgnieniu oka w perzynę obróci? Widać czasem na niebie zjawiska, które uchodzą za gwałtowne płonienie gwiazd wprzódy ciemnych i możebność takiego kataklizmu przypominają. Z geologii wiemy, że skorupa tej ziemi ulegała wielokrotnie tak gwałtownym przewrotom, że całe niemal flory i fauny pogrzebane zostały, a nic nas nie zapewnia, że podobna przyczyna nie zgładzi kiedyś niespodzianie rodzaju ludzkiego. Zwłaszcza kiedy się z pozytywistami nie uznaje Mądrości Twórczej i porządku celowego w świecie, nie ma się żadnej podstawy, do uchylenia tych możebności. Słusznie więc Spencer, w przytoczonych wyżej słowach, obiecując na pewno raj na ziemi, robi zastrzeżenie: „jeśli wprzódy rodzaj ludzki nie zaginie". Ale takie zastrzeżenie zakwestyonowuje całe to niebo, zmniejsza i tak już lichą jego wartość, a tem samem odbiera moralności z tym celem związanej wszelką bezwzględność.

Wreszcie to niebo Spencera jest czystą utopią; to trzecia, a najgorsza jego wada. Posłuchajmy ucznia tej samej szkoły pozytywizmu angielskiego, który dotąd do żadnej jeszcze nie doszedł wiary, ale doskonale podpatrzył czczość i fałsz doktryny pozytywistów. „Skasowali oni, mówi Wiliam Mallock [1], chrześcijańskie niebo, rzucili w błoto mnóstwo nadziei i aspiracyi, niegdyś potężnych, a jak sami uznają, niezbędnie potrzebnych. Nauka, mówią, nie powinna tych aspiracyi znosić, ale inny, pozytywny podstawić im przedmiot. Patrzmyż, co zarzucają niebu chrześcijańskiemu i tę samą krytykę do stawianego przez nich przedmiotu stosujmy. Mówią tedy, że nieba nie można przedmiotowym dowodem uza-

[1] William Hurrel Mallock. *Is live worth living?* C. VII.

sadnić i że nawet podmiotowo niemożebnem jest zrobić sobie o niem pojęcie. „To jedno mam za pewne w tej mierze, mówi po„pularny pisarz Frydrich Harrison, że perspektywa uwielbionego „życia w wyższym jakimś świecie jest ideą ze ścisłem myśleniem „absolutnie niezgodną, ideą rozwiewającą się w czczych frazesach „i sprzecznościach i, gdy ją z bliska przyprzeć, nic zgoła nie zna„czącą". Aliści ten argument nierównie więcej znaczy przeciwko obiecanemu przez pozytywistów uwielbieniu ludzkości, aniżeli przeciwko niebu chrześcijan. To ostatnie jest *ex hypothesi* światem nieznanym; objekcya, że go nie można pojąć ani opisać, nie sprzeciwia się wierze chrześcijan, lecz owszem to do ich wiary należy. Ale niebo pozytywistów jest tuziemskie, wchodzi w skład natury, w wierze pozytywnej tajemnice nie mają prawa bytu; nierównie słusznie więc i bezwarunkowo żądać możemy od pozytywistów, żeby nam wyraźnie, namacalnie, pozytywnie swoje niebo określili. A więc, pytamy tych panów, co się unoszą entuzyazmem dla przyszłej ludzkości: do czegoż będzie podobna ta ludzkość w idealnym stanie? niechże nam okażą próbkę tej przyszłej doskonałości; niech nam opiszą najszlachetniejszą istotę z tego uwielbionego w przyszłości ludzkiego rodu. Czemże będzie ten człowiek? w czem będzie szukał swej przyjemności? jak spędzi swój dzień? jak się będzie bawił? z czego się będzie śmiał? Niechże nam to opiszą „frazesami, któreby nie rozwiewały się „w sprzecznościach, gdy je z bliska przyprzeć i nie były w nie„zgodzie ze ścisłem myśleniem". Czy pojmują ci ściśli myśliciele co zapowiadają? A jeśli nie, jakżeż mogą n a u k o w o prorokować? Proroctwo naukowe albo jest widocznym wnioskiem ze znanych przesłanek, albo niczem nie jest. Postawić tylko tym moralistom pozytywizmu te kwestye, które sami wniecili, a zaraz wystąpi na jaw śmieszny brak wszelkiej realności w ich nieokreślonym optymizmie..."

Mallock ściga dalej tę utopię z niemiłosierną logiką i kończy rozumnym wnioskiem: „Już dawno przecie, mówi, przedłożono ludziom inny cel, niebo żywsze i realniejsze w ich oczach, niż to co pozytywiści obiecują, a jednak wpływ tego celu na życie jest tak mały, że sami pozytywiści podnoszą to jako fakt wszystkim znajomy. Jakżeż więc spodziewać się mogą, żeby ich blady

i odległy ideał silniej wpływał na ludzkość, aniżeli ten, który chcą zastąpić a który bliżej nas świecił? Czy zdoła ów ideał zachęcić ludzi do cnót, do których niebo nie dosyć ich zachęcało? odwieść ich od występków, od których piekło nie zdołało ich odstręczyć? Trzebaby oczywiście, żeby się wprzód natura ludzka zupełnie odmieniła i żeby czynniki z jakich się składa nowy utworzyły związek."

Zatrzymajmy się tu i rzućmy okiem wstecz, na przebytą drogę. Zasadnicza kwestya moralności, tj. kwestya o stosunku powinności do szczęścia snuje je w całych dziejach myśli ludzkiej jednakowym sposobem. Po jednej stronie, od Zenona do Kanta, obowiązek bierze się za podstawę, ale szczęście nie ma miejsca, albo jest tylko marą. Po drugiej stronie, od Epikurejczyków do Pozytywistów, przyjemność jest punktem wyjścia, lecz od niej do prawdziwej powinności nie udało się znaleść przejścia. Zagadka życia najważniejsza, niezbędna, bez której człowiekiem być nie można, zostaje nierozwiązalną — ale nierozwiązalną tylko dla tych, którzy biorą to życie w oderwaniu od przyszłego. Jakkolwiek ten odłam obracają, zawsze im coś sprzecznego i niedorzecznego w rękach pozostaje. Ostatni z Pozytywistów, Spencer, próbuje wyłamać się z tej sprzeczności, wskazując szczęście z doskonałością zlane, nie poza światem, ale w dalekiej przyszłości tego świata; lecz wpada w *absurdum* i tym marnym wysiłkiem daje tylko nowe świadectwo potrzebie lepszego świata, dla zrozumienia i uiszczenia moralności w świecie niniejszym.

Innym razem zobaczymy, jakie są umiejętne podstawy teoryi moralności tych, którzy ten drugi świat uznają.

X. Maryan Morawski.

Z ROCZNIKÓW CHRZEŚCIJAŃSKIEGO MIŁOSIERDZIA.

1. *Paris Charitable* par Victor Fournel 2. *La charité privée à Paris.* par Maxime De Camp.

Z pośród zaraz grożących osobnem niebezpieczeństwem naszemu społeczeństwu, warto wskazać i napiętnować jedną, na pozór obojętną, która wszelako nieprzeliczone wyrządziła już szkody, tak ogółowi jak jednostkom.

Mamy tu na myśli rozpowszechnioną modę i manię wędrówek z kraju do Paryża. Corocznie zmierzają tam setki polskich podróżnych, giną krocie polskich groszy, a bezmyślny tłum, daleki od szukania dodatnich wrażeń, ugania się najczęściej za poznaniem ujemnych tylko stron nowoczesnego Babilonu, upajającego narody winem swego wszeteczeństwa. Szlachcic przybyły z dalekich kresów Rzpltej, choć ciasne swej ciekawości zakreśla granice, byle zobaczył Sekwanę i bal Mabilte, wraca na swe pustkowie z uczuciem zadowolnienia, że widział i poznał Paryż dokładnie, i że może przez resztę życia o nim sąsiadom opowiadać. Ciekawość przeciętnie naszych podróżnych bodaj czy sięga dalej. Nie domyślają się nawet, że pod głośną powłoką płochego zbytku i gorszącego zepsucia kryje się całkiem inny Paryż, miasto cierpienia i miłosierdzia, stolica najpiękniejszych cnót i przykładów, z których wartoby uszczknąć parę gałązek, uskarbić kilka dobrych ziarnek, aby je na ojczystą przenieść niwę. W tej wyjątkowej, subtelnej, egzotycznej atmosferze, jeśli się złe potęguje, podobnież i dobre rośnie z osobną bujnością, tylko że onego działanie mniej widoczne, stłumione głośniejszem złego rozrostem.

„Plwajmy na tę skorupę i zstąpmy do głębi“, jak mówi poeta. A tą głębią domy miłosierdzia, przytułki litości, gdzie

poniekąd wśród ciemnic dni obecnych wycofała się, schroniła dusza właściwa olbrzymiego miasta. Duch to dobry, żądny doskonałości, której dosięga, ścisłemu odgraniczeniu się od zmysłowego i rozbawionego Paryża, chociaż onego rozbitki i ofiary zbiera i przygarnia. Pocieszającą jest myśl, iż podczas gdy próżność i próżniactwo Paryża trzyma prym w orgiach i bachanaliach świata, miłosierdzie błyska nad przepaściami zepsucia, niby latarnia morska nad bezbrzeżną czeluścią, aby wzbudzać nadzieję i dawać rękojmie zbawienia.

Są książki, których treść poniekąd drga w powietrzu, które odpowiadają potrzebom chwili, i powstają pod wpływem wypadków. Podczas gdy rząd trzeciej Rzpltej coraz to nowemi rozporządzeniami próbuje odsunąć miłosierdzie chrześcijańskie od łoża chorych i kolebki dziatek, a prześladowanie religijne rozpoczyna od krępowania dobroczynności; kilku szlachetnych pisarzy umyśliło złożyć hołd tej zapoznanej cnocie i jej dziełom, zadzwonić na alarm, wskazać czem są owe zagrożone miłosierdzia przystanie, czem stać się może i musi społeczność, pozbawiona owych litościwych zachron. Dwa mianowicie pióra, jakby odgłosem pobudki wojennej do walki zagrzane, szerokie tej kwestyi poświęciły studya, ogłoszone w jednym czasie, choć w odmiennych ramach. Znany z świetnych kronik feiletonista paryski, Wiktor Fournel, dostarczył dziennikowi *Le Monde* poczet odcinków zatytułowanych: *Paris charitable*, a świeży akademik, słynny z specyalnych studyów nad ustrojem wewnętrznym francuskiej stolicy, z historyi komuny i pamiętników literackich, p. Maxym Du Camp, ogłosił w *Revue des deux Mondes* szereg ośmiu artykułów; p. t. *La charité privée à Paris*. Imię i talent piszącego, powaga przeglądu ogarniającego dwa światy, tudzież stanowisko bezstronne, jakie zajął p. Du Camp, składając na wstępie wyznanie niewiary; wszystko to razem wzięte stanowiło potężną reklamę, zagłuszającą całkowicie dzieło skromniejszego autora, odcinki mniej wpływowego czasopisma. Z pośród nieprzeliczonych czytelników pięknej pracy p. Du Camp, nikt prawie nie wiedział o podobnej robocie na wskróś chrześcijańskiego pisarza, który w tym samym czasie jednakie wysnuwał obrazy, zachwytywał odgłosy i wonie. Pan Fournel szersze sobie od współzawodnika nakreślił zadanie; pod-

czas gdy współpracownik *Revue des deux Mondes*, wybrał kilka znaczniejszych tylko zakładów miłosierdzia, aby zbadać ich historyę i ustrój wewnętrzny, feiletonista *Monde'a* podał swym czytelnikom w streszczeniu obraz wszystkiego co Paryż zrobił i robi dla ludzkiej niedoli. A więc pierwsze rozdziały traktują o miłośnikach ubogich w przeszłych wiekach, o zakonnej rodzinie św. Wincentego, którego postać góruje nad każdem dziełem późniejszego miłosierdzia; dalsze części poświęcone nędzom młodego wieku, niedolom starców, cierpieniom kalek i chorych, niebezpieczeństwom grożącym młodzieży, bo na to wszystko Paryż ma osobne jałmużny, przytułki, lekarstwa. Na moc złego, jest moc dobrego, a kreślący z zapałem i miłością te obrazy autor, pociesza się obietnicą ewangeliczną daną jawno grzesznicy, bo zaiste miastu, które wielu ubogich członków Chrystusowych umiłowało, wiele też przebaczonem będzie! „O Paryżu, woła na wstępie ślicznej swej pracy p. Fournel, stolico wszystkich sprzeczności, oceanie grozy i miłosierdzia zarazem, chowający w swych głębiach skarby prawdziwe, Paryżu, co arcybiskupów swych mordujesz, a masz łzy współczucia i jałmużnę gotową nietylko dla własnych ubogich, ale i dla nędzy Węgier, Hiszpanii, Algeryi; co burzysz swe pomniki, a o sierotach pamiętasz; Paryżu, który przyklaskujesz najgorszym dramatom, i z teatrów zepsucia wybiegasz, aby zapewniać przytułki rozbitkom i ocalać dzieci od niebezpieczeństwa szkół bez Boga; stolico wszystkich okrucieństw i wszystkich litości, ojczyzno najtkliwszych uczuć i najwyuzdańszych nienawiści, śpieszmy poznawać twoje dobre strony, zanim jaki nowy przystęp szału nie odejmie ci ostatnich praw do naszej miłości i uwielbienia!“.

Samo to zaklęcie daje miarę ciepła, jakiem tchnie całość, przebiegająca z kolei wszystkie zakłady i fundacye miłosiernego Paryża. Ostatnie rozdziały poświęcone są ogólniejszym kwestyom mieszkań ubogich, środków ich wyżywienia, zup rumfordzkich i tanich kuchni, aby się w końcu uwieńczyć prześlicznym ustępem o miłosierdziu ubogich dla ubogich, o poświęceniu najbiedniejszych dla biednych, i mnóstwem rzewnych rysów; zaznajamiać nas z tym najpiękniejszym kwiatem miłości, który w nędznych poddaszach rośnie i wonieje, zawstydzając możniejszych gotowością ofiary.

Studya p. Du Camp artystyczniej opracowane i wykończone, niezdolne są jednak w podobnej mierze zagrzać serca. Kiedyś, przed laty, znana z poświęcenia Miss Nightingale przedstawiała przełożonemu jeneralnemu Lazarystów i Sióstr Miłosierdzia, ojcu Etienne, projekt zawiązania protestanckich służebnic ubogich. Zacny kapłan starannie przejrzał ustawy, pochwalił je, mówiąc, że organizacya zdaje mu się wyborną, osie i sprężyny machiny doskonałe; nie widzi tylko pary, która te wszystkie kółka i kółeczka w bieg puści i życie. Parą tą, to duch ofiary, którą tchnie Kościół katolicki, wlewając go w dusze wiernych. Zrozumienie tej podstawy miłosierdzia chrześcijańskiego, pobożne uczucia p. Fournela, stanowią w naszych oczach wyższość jego książki nad dziełem p. Du Camp. Ale może ważniejszem jest świadectwo człowieka, który owej pary, owego żaru miłości Boga i bliźniego dla Boga nie posiada sam i nawet nie zawsze pojmuje. Nikt go nie pomówi o skromność, o osobistą za swą parafią reklamę. A jeśli książka Fournela posłuży za pewniejszego przewodnika na szlakach chrześcijańskiego miłosierdzia, dla niechrześcijańskich czytelników słowa i opisy p. Du Camp więcej mieć będą wiarogodności i wagi, lepiej trafią do ich przekonania.

Zaraz na wstępie zazdroszcząc wiary tym, którzy ją posiedli, p. Du Camp oświadcza, iż nie był tak szczęśliwym, aby się do ich liczby dołączyć. Atoli tym samym tchem wyznaje, że dla narodów, jak dla jednostek, materyalizm bywa zagładą a spirytualizm obroną i zbawieniem. „Ci, którzy wierzą, są szczęśliwi, i zazdroszczę im owego szczęścia. Jeśli ta ich wiara jest złudzeniem, niechże to złudzenie będzie uwielbionem, skoro ich wiedzie do niesienia pomocy nędzy, ukojenia cierpieniu, wzbudzenia nadziei w rozpaczonych. Wiary wiedza nie tłómaczy, ani nauka usprawiedliwia; temci lepiej, bo wczorajszy pewnik naukowy dziś nieraz błędem się okazuje. Nie nauka, ale religia ludzi pocieszać zdolna: dla nieszczęśliwych, dotkniętych najsroższemi ranami, nauka ma tylko leki o niepewnym skutku, religia zaś niesie słowa pociechy, które ducha wzmacniają a sercu wracają nadzieję.“

I oto jakoby nagrodą za uznanie wyższych pobudek uskrzydlających dusze do poświęcenia i ofiary, w miarę postępu jego

pielgrzymki po szlakach cierpienia i miłosierdzia, znać u autora pewne rozwidnienie w jego pojęciach, niezupełne jeszcze, ale stopniowe przybliżanie się do prawdy, zdolnej takich czynów być natchnieniem.

Autor porównuje usiłowania powtarzające się ustawicznie, aby przynieść ulgę cierpiącej ludzkości do syzyfowej skały, wiecznie opadającej napowrót z podwojonym ciężarem, mimo rąk dobroczynnych, które ją dźwignąć i odsunąć próbują. A jednak nic ich nie zniechęca, nawet pozorna daremność pracy lub niedostatek ratunku. Jak Danaidom z bezdennej czerpiącym kadzi, przychodzi ludziom dobrej woli wciąż pracować nad wyczerpaniem wiecznie dopełniającej się krynicy łez ludzkich. A choć niby nic z słonej nie ubywa fali, nabiera ona słodkości, skutkiem serdecznych zachodów, podjętych dla ulżenia ciężaru i goryczy życia cierpiącej braci.

Dziesięciu tylko sprawiedliwych wystarczyć miało Sodomie dla odwrócenia zawisłej nad nią kary. Paryż ich posiada nierównie więcej, a wobec narzekań na przewagę i szerzenie się za dni naszych zepsucia, wobec hurtownego potępienia obecnej epoki zmianom gorszego od innych wieku, warto przypomnieć, iż dzieła miłosierdzia zbadane i opisane przez p. Du Camp, powstały wszystkie w ciągu ostatnich lat czterdziestu. Żaden z owych zakładów nie dolicza się pół wieku istnienia. Nacisk złego bywa hałaśniejszym i głośniejszym, stąd nam się nieraz zdaje, iż ono zwycięża; mniemamy, że cofamy się wstecz na drodze postępu, że co najmniej powiem, zastój panuje w rozwoju dobrego. Wszelako bystrzejsze oko wśród mętów i szumowin wzburzonych fal dziejowych dostrzedz zawsze potrafi znaczący się wyraźnie srebrny ślad nawy ręką Bożą kierowanej, nieustające dojrzewanie myśli Bożej i niezaprzeczony, choć często zatajony postęp Bożego świata.

Autor rozpoczyna szereg swych studyów od najdawniejszej z nowszych instytucyi, od siostrzyczek ubogich, czy dla tego, że ich pokora na pierwsze stawia miejsce, czy też dlatego, iż oddają się one posłudze starców, a więc stoją na końcowym życia ludzkiego kresie. Powtórzymy tu z powszechnie znanych szczegułów tej rzewnej fundacyi biednych początków w nadbrzeżnej Bretańskiej mieścinie, gdzie kilka serc kobiecych, płonących

miłością Boga i bliźniego, zawiązało stowarzyszenie rozszerzone dziś już po świecie całym. Z gorczycznego ziarnka wiary wyrosło drzewo rozłożyste, w którego cieniu nie ptaszki niebieskie, ale starcy złamani życiem i wiekiem chronią się ochotnie. Starość, podobnie jak wiek dziecięcy, serdecznego potrzebuje przytulenia, odzywa się sędziwy Bohdan Zaleski. Na dwóch końcach życia człowiek nieraz jednako słaby, wymaga ciągłej opieki i pomocy. Miano „siostrzyczki ubogich“ jak wraz przypadało do rodzinnej missyi nowego stowarzyszenia. Nie przybrano tam tytułu matek, ani nawet sióstr starszych; poufne, serdeczne nazwanie siostrzyczek zakreśliło stosunek tych służebnic ubogich do powierzonych ich pieczy starców.

Biedne dziewczyny, które w r. 1840 rozpoczęły to dzieło bez najmniejszego funduszu i żadnej ludzkiej pomocy, już w końcu roku 1841 w najętych izdebkach dwadzieścia żywiły żebraczek, w r. 1843 liczba tych ostatnich doszła do pięćdziesięciu, w r. 1844 urosła zaś do sześćdziesięciu pięciu. I błogosławieństwo Boże i wola Boża wyraźne były w tem dziele. Przewodnikiem, kierownikiem, duchem ożywczym nowej fundacyi był ks. Le Pailleur, właściwy założyciel siostrzyczek ubogich; on bowiem ujął w karby reguły ściśle określonej, żądze poświęcenia i zapał pierwszych zakonnic; on ograniczył ich działalność na wyłącznej posłudze wieku sędziwego. Pięknej tej postaci kapłańskiej autor składa hołd należyty: ks. Le Pailleur nie zwątpił w żarliwej swej wierze, o pomocy Bożej, ale umiał też zaufać ludziom, wierzyć w dobroć ludzką, liczyć na niezawodzące jałmużny, i to mu dodało otuchy. Manna dziś bezpośrednio nie spada z niebios, ale przez ręce ludzi dobrej woli przechodzi. Ks. Le Pailleur to zrozumiał, i licznych dobroczyńców wprzągł w szeregi czynnego miłosierdzia. Za dni naszych patrzymy z zdumieniem na rozwój dzieła ks. Bosco. Ubogi kapłan włoski, bez żadnych ludzkich środków, przytuleniem kilku uliczników rozpocząwszy właściwe swego powołania zadanie, stanął już dziś na czele licznej rodziny zakonnej, wychowującej do 80.000 opuszczonych chłopców, po różnych świata krainach. Rozrost siostrzyczek ubogich nie był mniej szybkim, ani mniej zdumiewającym. Założone około r. 1840 czy 1841, liczą już dziś 217 domów, obsługiwanych przez 3400

zakonnic, w których przeszło 25.000 starców znajduje schronienie. W samym Paryżu istnieje pięć domów siostrzyczek, z przeciętną 1200 sędziwych pensyonarzy. „Reguła surowa dla zakonnic, względną jest i łagodną dla starców; oni właściwie tu są panami, siostrzyczki zaś im służą w każdej okoliczności, jakkolwiek ta posługa może być ciężką lub wstrętną. Niczego się od tych staruszków nie żąda, jeno aby dokonali życia w pokoju, ubezpieczeni od głodu, chłodu i nędzy. Siostrzyczki ich ubierają, myją, czeszą, żywią; siostrzyczki opatrują ich rany, czuwają nad niemi w chorobach, pocieszają w śmierci, modlą się za ich dusze, martwe zwłoki własnemi rękoma złożywszy w trumnie, i odprowadziwszy je aż na próg domu miłosierdzia. W tych domach ustawy nietylko są łagodne, ale prawdziwie macierzyńskie. Darmo niewiasta dozgonnemi wiąże się śluby, nie zmieni ona praw natury: Bóg ją stworzył na to, aby była matką. Wola jej własna lub wpływ okoliczności może sprzeciwić się prawu fizycznie jej płci właściwemu, ale nic moralnego nie zmienia prawa. Rodzi się ona matką i matką też przez całe życie zostaje. Jako dziewczynka matką jest lalki swojej; jako bezdzietna staruszka obce pieści niemowlęta; jako siostra miłosierdzia matką jest chorych; jako zakonnica innych reguł matką bywa na przemian więźniów, podrzutków, trędowatych, jawnogrzesznic, włóczęgów bez dachu. W zakonnicy macierzyństwo duchowe tembardziej się rozwija, że własnych nie zaznała dziatek; nie rozumieją tego wolnodumcy, którzy naszym szpitalom narzucają świeckie rządy, tak zwaną barbarzyńskim wyrazem i czynem l a i c y z a c y ą.“

Dwie rzeczy, dwa szczegóły głównie uderzają zwiedzającego te zachrony życia sędziwego: z jednej strony swobodna wesołość siostrzyczek ubogich, serdeczne zadowolnienie staruszków, a z drugiej tajemnica ich bytu, wyżywienia tak znacznych zakładów samą tylko jednodniową jałmużną. A jałmużna ta nierówno wpływa. Zimą i wiosną Paryż zaludniony, sypią się datki, mnożą resztki i okruchy z bogatych zastaw i stołów. W lecie i jesieni bieda nieraz dokuczy siostrzyczkom, choć ją usiłują oszczędzić starcom, ale trzeba troskania się i zaradności niemałej, aby zebrać podostatkiem chleba. Chleb, to grunt utrzymania, podwaliny życia; siostrzyczki najskwapliwiej zbierają szczątki

i odłamy tego streszczenia pokarmu ludzkiego, wyproszonego na dzień dzisiejszy powszedniego chleba. Rozczytując się w przemyśle, z jakim siostrzyczki ubogich zbierają odrzucone skórki, połamane kromeczki, raz więcej zrozumieć przychodzi konieczność wpajania dzieciom osobnego szacunku dla chleba. Nie godzi się chleba ciskać o ziemię, mawiali starzy, a dawny obyczaj nakazywał ucałować przypadkiem na ziemię porzuconą skibkę. Byle im chleba nie zbrakło, siostrzyczki zasypiają spokojne o los swych starych dzieci. Reszta się znajdzie: i oto największe hotele i magazyny jak Luwr, najlepsze restauracye jak Brébant, dostarczają siostrzyczkom wszystkich resztek i okruchów. Nic u nich zresztą nie ginie; siostrzyczki z nieużytków umieją wyciągać pożytek. Stare drewniane pudełka bardzo tam są cenione na podpałki, stare od mebli galony, umiejętnie rozkręcone, dają wełnę na pończochy dla starców; okapy stearyny i wosku, starannie zebrane z śmieci, przetapiają się na nowe świece; fusy dostarczają wcale znośnej kawy, a kordyał to jedyny na zły humor starców, zwłaszcza kobiet sędziwych.

Względy aktualne raz po raz zabrzmią w ciągu opowiadania p. Du Camp, równie jak w opisach p. Fournela. Ten ostatni wspomina, iż zwiedzając pewien dom siostrzyczek ubogich uderzonym był jak zwykle swobodą panującą między starcami, z jednym tylko wyjątkiem. Na uboczu, obok siostrzyczki opiekującej się nim z osobną troskliwością, stał złamany wiekiem, a może bardziej życiem starzec ponury. Znać na nim było ślady lepszych stosunków i wyższego wykształcenia.

— Czemuś taki smutny? — spytał go p. Fournel.

— Ja nie smutny, ale zawstydzony. „Jako redaktor jednego z pism prowincyonalnych, mnożyłem codziennie obelgi i napaści na zakonnice i klasztory. A teraz u nich znajduję przytułek na moje biedne stare lata“.

P. Du Camp, skreśliwszy obraz tej przystani nędz starości, napomyka o rozpaczy ubóstwa paryskiego, ilekroć zamykano który klasztorek. Przed bramą schodzili się narzekając starcy, kaleki i dziatki: „kto nam da chleba?“ pytali ze łzami. Komuna miała dla nich tylko kieliszek wódki i flaszkę petrolu. Serce jej innego miłosierdzia ani jałmużny nie znało.

W jednym z najdramatyczniejszych utworów Kalderona, *La Vita e sueno,* przyswojonym językowi polskiemu przez Szujskiego, w owych dniach przedśmiertnych, gdy duch jego szlachetny, wyzwalający się boleśnie z więzów ciała, doświadczał własnem przeznaczeniem iż życie snem tylko; w owym tedy podniosłym dramacie czytamy o spotkaniu nieszczęśliwej Rosaury z przykutym w samotnej wieży księciem Zygmuntem, od niej samej stokroć nieszczęśliwszym. Widząc tak naocznie głębszą od własnej niedolę, Rosaura następną opowiada przypowieść: Żył niegdyś pewien mędrzec pogrążony w tak zupełnem ubóstwie, iż karmił się wyłącznie roślinami uszczkniętemi nad drogą. Gdy się raz w ten sposób posilał, mimowoli błysnęła mu myśl, iż niemasz na świecie całym większego nad niego nędzarza. Wtem ujrzał za sobą innego żebraka, który zbierał skwapliwie odrzucone jego ręką korzonki i trawy. Tak i ty Zygmuncie zbierałbyś me smutki, aby z nich twe rozkosze uczynić".

Owa przypowieść stanęła nam w pamięci wobec drugiej części pracy p. Du Camp, opisującej Kalwaryą czyli przytułek dla rakiem toczonych nieszczęśliwych. Autor uważa bowiem słusznie, iż założycielami dobroczynnych stowarzyszeń i zakładów dla nieszczęśliwych, dla kalek, dla sierót, bywają najczęściej ludzie, których życie złamało, i którzy szukali ulgi w własnej krzyżowej pielgrzymce, niesieniem cudzych nadto krzyżów, posłannictwem Szymona Cyrenejczyka, obcowaniem z sroższemi od własnych smutkami. Dzieło Kalwaryi podobnież z wielkiej trysnęło boleści. Pani Garnier w 23 roku życia straciła męża i dziatek dwoje. Zrazu rozpacz ją ogarnęła, zbuntowane przeciw wyrokom Bożym serce poddać się nie umiało. Wiara, od dzieciństwa w ognistą zaszczepiona duszę, wskazała jej nareszcie drogę pociechy: jęła się modlić, nie już o zwrot ukochanych utraconych, ale o zaspokojenie jej żalu i tęsknoty za niemi, o wypełnienie próżni osieroconego tylu ciężkiemi żałobami serca. Rzuciła się wtedy z zapałem w war miłosiernej czynności; im cięższa i wstrętniejsza była posługa, tem radośniej ku niej spieszyła, jakby dla zapomnienia i zagłuszenia w sobie własnej, serdecznej boleści. Opatrzność nasuwając jej potrzebie poświęcenia kilka opuszczonych kalek, naprowadziła ją na właściwe powołania jej szlaki. Ujrzała

przed sobą ofiary najsroższych cierpień fizycznych, strawione trądem i rakiem istoty, od których świat się odwraca z obrzydzeniem, których szpitale najczęściej przyjąć nie chcą, bo rany ich są nieuleczalne, bo miejsca niema, bo społeczność dzisiejsza zachowała wobec nich coś z uczucia średnich wieków wobec trędowatych. „Kobiety jedne zdolne są przedłużonego poświęcenia, niecofającego się ani przed trudem, ani przed wstrętem, ani przed niewdzięcznością. A wśród kobiet te, które chowają w sercu trwałą wdowią żałobę, które oddały się Bogu nie dla szukania pociechy, ale dla zdobycia sobie spokoju, które w miłości Bożej upatrują balsam na rany ziemską miłością zadane, wdowy, jednem słowem, wiarą ogrzane, prawdami wiekuistemi podniesione na wyżyny, najodpowiedniejszemi będą do tego zadania.“

Dzieło to stało się tedy własnością i chwałą wdowiego stanu. Prawdziwe wdowy, o jakich wspomina Paweł św., tworzyły w pierwotnym Kościele osobne stowarzyszenie, mające głównie na celu dzieła miłosierdzia. Zrazu obierano na tę godność sześćdziesięcioletnie dopiero niewiasty, później do lat czterdziestu zniżono warunek wieku. Ale nie zmniejszono przeto innych warunków miłosiernego w Kościele dostojeństwa; wedle słów Apostoła: Wdowa powołana do miłosiernej czynności musiała być *univira*, czyli jednego tylko znać małżonka, a następnie dowiadywano się, ażali miała świadectwo w dobrych uczynkach; jeśli syny wychowała, jeśli Świętych nogi umywała, jeśli utrapienie cierpiącym potrzeb dodawała, jeśli każdy dobry uczynek naśladowała. (I. Tym 5).

Szeregując wokoło siebie wdowy, pani Garnier nie nadała im zakonnej cechy. Pod tym względem może zakład jej znajdzie ubezpieczenie przed uciskiem rządów republiki. Nawet niektórym chorym to dogadza. Biedna kaleka, pełna uprzedzeń do klasztorów, wchodząc w progi Kalwaryi, wołała: „Co za rozkosz, że tu przynajmniej zakonnic nie widać!“. Świecka została wprawdzie szata, ale duch iście zakonny. Stowarzyszenie rozpada się na dwa oddziały, pań rezydujących w przytułku kalwaryjskim, i przybranych zelatorek. Jedne stale zamknęły się wraz z oddanymi ich pieczy chorymi, inne codziennie przybywają na kilka godzin, pełnić najwstrętniejsze posługi. Wszystkie atoli wdowami być

muszą. Najpiękniejsze Francyi imiona błyskają tu w szeregach wdów kalwaryjskich; osoby z najwyższych rodów i najwykwintniejszych sfer towarzyskich opatrują tu w rannych godzinach obrzydliwe trądy, raki, lupusy. Może im autor nadto wyraźne składa hołdy, może zbyt podziwia doniosłość poświęcenia ze strony możnych, kiedy ofiara z siebie i walka z przyrodzonym wstrętem we wszystkich stanach i kondycyach jednaką ma wartość i woń przyjemną. Przytem duch czasu wpłynął tu na realizm opisów; rany te się krwawią przed nami, zgniłe wyziewy wioną z tych kartek, przechodzą przed oczyma naszymi ruiny ludzkie, stoczone zębem nieuleczalnej choroby. Przykro to nieraz, ale może potrzeba było owych jaskrawych barw, aby uwydatnić poświęcenie. Autor tu przypomina, czem byli dawniej trędowaci. W samej Francyi istniało około 2,000 leprozeryi; dziś ta choroba tajemnicza, straszna, wycofała się na Wschód. Mahomet swym wyznawcom nakazuje unikać trędowatego na równi z lwem krwiożerczym. Pan Du Camp sam w okolicach Damaszku ujrzał raz taki przytułek trędowatych, gdzie w zupełnem opuszczeniu nędznej czekali śmierci. Jeden tylko ich człowiek codziennie nawiedzał, niosąc im pomoc i pociechę: był to przełożony francuskich Lazarystów.

P. Fournel mnoży szczegóły dowodzące, że wśród wydziedziczonych istot, które zawijają do portu Kalwaryi, nie same tylko ciało leczyć nieraz przychodzi. Duch cierpieniem rozgoryczony, brak wykształcenia religijnego i innego, niekiedy burzliwego życia wspomnienia i ślady, utrudniają zadanie i posługę pań kalwaryjskich. Ale słodyczą, miłością, troskliwością i najtwardsze zdobywa się serca, aby je stopniowo godzić z ciężkim losem. Hippokrates podobno mawiał, iż podczas długiego lekarskiego zawodu, o skuteczności jednego tylko środka nie zwątpił nigdy, a tym jest dobroć niewieścia. Dobroć ta ma szerokie przed sobą pole w zakładzie Kalwaryi, bo cierpienia tu sroższe i dłuższe jak gdziekolwiek. Nie trzeba bowiem sądzić, aby rak śpiesznie dokonywał dzieła zniszczenia. Czasem dwudziestu lat i więcej potrzeba, aby przegryźć jaką żywotną arteryę i położyć koniec mękom.

Zawiązane w r. 1843 w Lugdunie dzieło pani Garnier, odnogę paryską puściło w r. 1874. Skromne obu domów początki

rozwijają się dzięki uczestnictwu najdostojniejszych wdów, nie skąpiących ni sił, ni czasu, ni pieniędzy. Autor wspomina, że przed kilku laty zauważył skromne stroje młodej swej znajomej, należącej do najwyższych kół stołecznych, która przez kilka zim wełniane tylko nosiła sukienki. Tajemnica tej oszczędności dopiero później mu się odkryła, gdy ją zoczył w Kalwaryi, i dowiedział się o funduszach jej dłonią przysparzanych.

Czytając odgłosy tych heroicznych poświęceń, będących zaszczytem narodu, który je wydaje, przypomina się widzenie pewnej świętej zakonnicy Najśw. Serca, Maryi Lataste. Widziała ona raz oczyma duszy kary, gromadzące się nad jej ojczyzną i już wypadające z ręki sprawiedliwego Boga, gdy w tem usłyszała głos donośny, który wstrzymywał wymiar sprawiedliwości, wołając: „O Francyo! dla twego miłosierdzia zbawioną będziesz!“

Trzeci z kolei artykuł poświęcony założycielowi Bonifratrów, św. Janowi Bożemu, uderza zupełnem niezrozumieniem mistycznego szału krzyża. Spółpracownik *Revue des deux Mondes* nie umie sobie wytłómaczyć zapałów serca owego hiszpańskiego rycerza z XVI. wieku, pokrewnego duchem pod niejednym względem z tym innym rycerzem, który po oblężeniu Pampeluny postanowił odmienić stan i oręż. U obu ten sam płomień miłości Bożej, Ignacy zakonną swą rodzinę poświęca zbawieniu dusz, Jan Ciudad nędze ciała ratować pragnie. Można go uważać za właściwego założyciela nowoczesnych szpitali: on dopiero postanowił rozgraniczenie chorób, on rozkazał, aby każdy chory w osobnem spoczywał łóżku. Opiewany przez Lopeza di Vega, malowany przez Murilla, Jan Boży jest jedną z najpiękniejszych postaci świętych pańskich. Pod jego tchnieniem coraz to nowe zakwita dzieło. Bracia Jana Bożego we Francyi, u nas Bonifratrami się zowią, we Włoszech noszą miano poufałe Fate-ben-fratelli, od ciągłego okrzyku ich założyciela. Zakłady ich powstały we Francyi na początku XVII. wieku. Po burzy rewolucyjnej wznowił je kapitan de Magalon. Dzielny ten żołnierz napoleoński zmuszonym był w r. 1813 skazać na rozstrzelanie niemieckiego sprzymierzeńca w chwili, gdy ten zamierzał zbiedz z obozu francuskiego. Dezerter odważnie zginął, odwołując się do wyższej nad ludzkie wyroki sprawiedliwości. Po skończonej wojnie pamięć

jego tak nękała kapitana, iż życie mu się stało ciężkiem, i ostatek dni swoich postanowił oddać posłudze nieszczęśliwych. Wspominał na niedole wojenne, na rany i katusze i skargi pola bitwy. Wdział pokorną suknię Bonifratra i w r. 1823 odtworzył francuską ich prowincyę. Pewnego dnia kapitan Magalon przechodził ulicą Paryża w swym habicie. Otoczyli go studenci, żartując sobie niemiłosiernie z ubogiego zakonnika. Ale byłemu żołnierzowi nie brakło ani ciętego dowcipu, ani odwagi. Odwrócił się do swych napastników i zawołał: „Ślubowałem oddać się posłudze waryatów, i gotów jestem panom starania me ofiarować.“ Młodzieńcy rozśmieli się, i każdy poszedł w swoją stronę.

Najpiękniejsza to bowiem gałęź zakładów ubogich braci św. Jana, kwiat ich poświęcenia, wykwitający w domach obłąkanych, powierzonych ich pieczy. Oni jedni miłością i łagodnością chore koją umysły, wzburzone uspakajają nerwy, umieją leczyć nadprzyrodzonemi środkami zbłąkane, zaciemnione duchy. Obok domów zdrowia, mają oni szpital osobny w Paryżu, gdzie mieszka sławny brat Franciszek, od wielu lekarzy i chirurgów doświadczeńszy. Tam cisną się chorzy z wyższych klas społecznych, pewni nieraz lepszego starania, aniżeli w własnym domu. Świeżo n. p. jeden z najzjadliwszych dziennikarzy paryskich, wiodący bój zacięty z klerykalizmem, p. Franciszek Sarcey, udał się po ulgę i pomoc w ciężkiej niemocy. Pytanie, czy po wyjściu z opiekuńczych rąk Braci św. Jana, zmodyfikuje gwałtowność swych wycieczek przeciw Kościołowi. Trzecim nareszcie domem Bonifratrów w Paryżu, jest zakład dla dzieci nieuleczalnych. Cierpienia ludzkie zawsze budzą spółczucie; nigdy atoli żywszej i rzewniejszej nie wywołują litości, jak gdy przedwcześnie drobne dziatki zapoznawają z nędzami żywota. Zaledwie w ludzkie kształty obleczone stworzenia tulą się tu do szaty b r a c i s z k a, jak gdzieindziej staruszkowie szukają opieki s i o s t r z y c z e k. I nie zawodzi miłosierdzie chrześcijańskie polegającym na niem starcom i dziatkom. Biedne chłopięta zakładu Bonifratrów, wyrzutki rodzin, które o nich wiedzieć nie chcą, rozbitki uliczne, ofiary dawnych zbrodni rodziców, dziedzice kalectw pijaństwem przekazanych potomkom, znajdują tu opiekę ojcowską, wyrozumienie, naukę przystępną i ułatwioną. Muzyka najbardziej ich cieszy, mustra kształci

nieco przyrodzoną członków ułomność. Pewnego dnia jenerał komenderujący Inwalidami, ustąpił jednej sali pałacu dla wystawy loteryi, urządzonej przez Bonifratrów na korzyść zakładu nieuleczalnych chłopców. Chcąc wyrazić mu wdzięczność swoją, bracia umyślili cały swój batalion kalek zawieść na dziedziniec Inwalidów, dla przedstawienia ich swemu dobroczyńcy. Margrabia Loewestinc wyszedł, aby przemówić do tak niezwykłych gości, ale gdy ujrzał zszeregowane przed sobą niedole dziecięce, zalał się łzami i nie mógł wymówić i słowa. Raz tylko jeden wychowaniec Braci sprzeniewierzył się tytułowi zakładu, przyjmującego wyłącznie nieuleczalnych pensyonarzy. Staraniem i szczęściem odzyskał zupełnie zdrowie, wstąpił do wojska i jest chlubą Bonifratrów, których często odwiedza.

Nie brak temu domowi życzliwych opiekunów; w ich liczbie był i świętobliwy Mgr de Ségur. Sam ociemniały, najlepiej lubił otaczać się chłopcami tem samem kalectwem dotkniętymi, i bawił się z nimi w salach zakładu, niby brat starszy wśród młodszego rodzeństwa. Jedynem życzeniem, z jakiem się opuszcza podobnego rodzaju przytułki, jest zawsze pragnienie, aby się one rozszerzyły. Wszędzie za mało miejsca na krzyczące potrzeby, wszędzie wypadałoby nowe, obszerniejsze stawiać gmachy. Pan Du Camp, obiegłszy każdy tego rodzaju zakład, podnosi różnicę wygód zabezpieczonych chorym, ubogim, dzieciom czy starcom, z dobrowolnem ogołoceniem izdebek zakonnych, z ich ubóstwem, wyrzeczeniem i surowością dla siebie. Hasłem Bonifratrów są słowa: *Deus caritas est,* a bliższe poznanie ich uczynków jawnie dowodzi, iż się sami dewizą swego zakonu przejęli dokładnie.

Z wszystkich części pracy p. Du Camp największego doczekał się rozgłosu ustęp, traktujący o przytułku dla osieroconych chłopców, założonym w Auteuil pod Paryżem przed siedmnastu laty. Przewodnik tej instytucyi, znany i zacny ks. Roussel, umyślił cały ten rozdział w drukarni zakładu wydać ozdobnie, z odpowiedniemi illustracyami, i rozesłał dobroczyńcom swych sierót piękny okaz ich biegłości typograficznej. Fragment ten szerszej pracy zasługiwał istotnie na podobne wyróżnienie, bo i czytelnicy całości, wśród wielu podniosłych wrażeń, prym oddadzą rozdziałowi, opisującemu dzieło ks. Roussel. Sam przedmiot rozgrzewa

jego tak nękała kapitana, iż życie mu się stało ciężkiem, i ostatek dni swoich postanowił oddać posłudze nieszczęśliwych. Wspominał na niedole wojenne, na rany i katusze i skargi pola bitwy. Wdział pokorną suknię Bonifratra i w r. 1823 odtworzył francuską ich prowincyę. Pewnego dnia kapitan Magalon przechodził ulicą Paryża w swym habicie. Otoczyli go studenci, żartując sobie niemiłosiernie z ubogiego zakonnika. Ale byłemu żołnierzowi nie brakło ani ciętego dowcipu, ani odwagi. Odwrócił się do swych napastników i zawołał: „Ślubowałem oddać się posłudze waryatów, i gotów jestem panom starania me ofiarować.“ Młodzieńcy rozśmieli się, i każdy poszedł w swoją stronę.

Najpiękniejsza to bowiem gałęź zakładów ubogich braci św. Jana, kwiat ich poświęcenia, wykwitający w domach obłąkanych, powierzonych ich pieczy. Oni jedni miłością i łagodnością chore koją umysły, wzburzone uspakajają nerwy, umieją leczyć nadprzyrodzonemi środkami zbłąkane, zaciemnione duchy. Obok domów zdrowia, mają oni szpital osobny w Paryżu, gdzie mieszka sławny brat Franciszek, od wielu lekarzy i chirurgów doświadczeńszy. Tam cisną się chorzy z wyższych klas społecznych, pewni nieraz lepszego starania, aniżeli w własnym domu. Świeżo n. p. jeden z najzjadliwszych dziennikarzy paryskich, wiodący bój zacięty z klerykalizmem, p. Franciszek Sarcey, udał się po ulgę i pomoc w ciężkiej niemocy. Pytanie, czy po wyjściu z opiekuńczych rąk Braci św. Jana, zmodyfikuje gwałtowność swych wycieczek przeciw Kościołowi. Trzecim nareszcie domem Bonifratrów w Paryżu, jest zakład dla dzieci nieuleczalnych. Cierpienia ludzkie zawsze budzą spółczucie; nigdy atoli żywszej i rzewniejszej nie wywołują litości, jak gdy przedwcześnie drobne dziatki zapoznawają z nędzami żywota. Zaledwie w ludzkie kształty obleczone stworzenia tulą się tu do szaty b r a c i s z k a, jak gdzieindziej staruszkowie szukają opieki s i o s t r z y c z e k. I nie zawodzi miłosierdzie chrześcijańskie polegającym na niem starcom i dziatkom. Biedne chłopięta zakładu Bonifratrów, wyrzutki rodzin, które o nich wiedzieć nie chcą, rozbitki uliczne, ofiary dawnych zbrodni rodziców, dziedzice kalectw pijaństwem przekazanych potomkom, znajdują tu opiekę ojcowską, wyrozumienie, naukę przystępną i ułatwioną. Muzyka najbardziej ich cieszy, mustra kształci

nieco przyrodzoną członków ułomność. Pewnego dnia jenerał komenderujący Inwalidami, ustąpił jednej sali pałacu dla wystawy loteryi, urządzonej przez Bonifratrów na korzyść zakładu nieuleczalnych chłopców. Chcąc wyrazić mu wdzięczność swoją, bracia umyślili cały swój batalion kalek zawieść na dziedziniec Inwalidów, dla przedstawienia ich swemu dobroczyńcy. Margrabia Loewestinc wyszedł, aby przemówić do tak niezwykłych gości, ale gdy ujrzał zszeregowane przed sobą niedole dziecięce, zalał się łzami i nie mógł wymówić i słowa. Raz tylko jeden wychowaniec Braci sprzeniewierzył się tytułowi zakładu, przyjmującego wyłącznie nieuleczalnych pensyonarzy. Staraniem i szczęściem odzyskał zupełnie zdrowie, wstąpił do wojska i jest chlubą Bonifratrów, których często odwiedza.

Nie brak temu domowi życzliwych opiekunów; w ich liczbie był i świętobliwy Mgr de Ségur. Sam ociemniały, najlepiej lubił otaczać się chłopcami tem samem kalectwem dotkniętymi, i bawił się z nimi w salach zakładu, niby brat starszy wśród młodszego rodzeństwa. Jedynem życzeniem, z jakiem się opuszcza podobnego rodzaju przytułki, jest zawsze pragnienie, aby się one rozszerzyły. Wszędzie za mało miejsca na krzyczące potrzeby, wszędzie wypadałoby nowe, obszerniejsze stawiać gmachy. Pan Du Camp, obiegłszy każdy tego rodzaju zakład, podnosi różnicę wygód zabezpieczonych chorym, ubogim, dzieciom czy starcom, z dobrowolnem ogołoceniem izdebek zakonnych, z ich ubóstwem, wyrzeczeniem i surowością dla siebie. Hasłem Bonifratrów są słowa: *Deus caritas est,* a bliższe poznanie ich uczynków jawnie dowodzi, iż się sami dewizą swego zakonu przejęli dokładnie.

Z wszystkich części pracy p. Du Camp największego doczekał się rozgłosu ustęp, traktujący o przytułku dla osieroconych chłopców, założonym w Auteuil pod Paryżem przed siedmnastu laty. Przewodnik tej instytucyi, znany i zacny ks. Roussel, umyślił cały ten rozdział w drukarni zakładu wydać ozdobnie, z odpowiedniemi illustracyami, i rozesłał dobroczyńcom swych sierót piękny okaz ich biegłości typograficznej. Fragment ten szerszej pracy zasługiwał istotnie na podobne wyróżnienie, bo i czytelnicy całości, wśród wielu podniosłych wrażeń, prym oddadzą rozdziałowi, opisującemu dzieło ks. Roussel. Sam przedmiot rozgrzewa

serce, zawsze najszlachetniejsze do schylania się ku potrzebom i niedolom dziecięcym.

W samym Paryżu istnieje 126 zakładów miłosiernych, w których przeszło 10,000 dziatek otrzymuje początki nauk i rzemiosła, zabezpieczającego ich przyszłość i uczciwość całego życia. Z tych 31 znajduje się w ręku Sióstr miłosierdzia św. Wincentego, a na tych 31 domów, w 18, rozchód o wiele przechodzi dochody. Autor słusznie kładzie wielokrotnie nacisk na ten pozornie obojętny szczegół. We Francyi ma on osobne znaczenie. Przeciwnicy klasztorów, wśród innych zarzutów stawiają i ten, że taniością robotnika i wyzyskiwaniem pracy dziecięcej zakłady miłosierne są ekonomicznie szkodliwemi, gromadzą kapitał znaczny, a czynią konkurencyą zabójczą zwykłemu robotnikowi. Wszystkie te oskarżenia upadają wobec nagromadzonych w niniejszem dziele statystyk. Zapewne, każda instytucya usiłuje zużytkować siły i zająć czas powierzonej sobie gromadki, próbuje ich wyćwiczyć w pracy, i do jałmużn dodać pewien miejscowy zarobek. Atoli żaden z tych domów nie potrafiłby się utrzymać własnemi siłami. Mimo stałych fundacyi „łóżeczek“, przedstawiających 100,000 franków, mimo pensyi płacących chłopców, co przynosi 24,600 franków, mimo dochodów z pracy dzieci, dom w Auteuil w jednym tylko roku 1882 miał deficytu blisko 90,000 franków, a deficyt ten jałmużnami został pokryty. Nie łatwo bowiem utrzymać trzysta chłopców w Paryżu, dać im rzemiosło i potrzebnych nauk początki.

Mało które dzieło miłosierdzia tak powszechnie jest znanem, jak dom sierocy w Auteuil. Dziennik siejący przeważnie zgorszenie, spoufalający z zepsuciem, a rozchwytywany przez miliony czytelników, paryskie *Figaro*, dowiedziawszy się przypadkiem o ubóstwie ks. Roussel i prawdopodobnem zwinięciu początkującego zakładu, gorąco się za nim ujął, sypnął ofiarę 10.000 franków; zaczem szybko wzrosła składka, jak tylko we Francyi rosnąć one zwykły, ofiarą groszy obok datków tysiącznych. Przytułek opuszczonych chłopców ocalonym został od niechybnej zagłady, a myśl, że do 100.000 włóczęgów młodocianych znaleźć można w Francyi, dodała bodźca dobroczynności. Kto szkołę zaludnia, wypróżnia więzienia. Dozorcy *Petite Roquette* zapewniają, iż ks.

Roussel umniejsza znacznie liczbę ich klientów. Jakoż od lat siedmnastu dom w Auteuil ocalił i wrócił społeczeństwu do 6000 dzieci skazanych na ostateczne zepsucie i zgubę. Zapewne, były w tej liczbie ujemne wyjątki, znaleźli się chłopcy niepoprawni, którzy wrócili na drogi, może przez ich rodziców niegdyś wydeptane, gdzie ich wady dziedziczne pociągały; ale ostatecznie wpływ uszlachetniającej pracy pod kierunkiem ks. Roussel tak znaczne odniósł zwycięstwa, iż autor liczy procent 80 chłopców na sto, wychodzących z Auteuil uczciwymi rzemieślnikami, porządnymi ludźmi. Powstające tego rodzaju zakłady u nas powinny się zapatrywać na wzory takie, jak Don Bosco lub ks. Roussel. Żyjące to dowody, że wiara góry przenosi, że żywiąca ptaszki niebieskie Opatrzność nie zapomni i sierót, lepszych od wielu wróbli, a w imieniu Zbawiciela przygarniętych. Pełen życia opis wewnętrznego ustroju zakładu ks. Roussel, nadaje się jak skarbnica wskazówek dla założycieli tego rodzaju przytułków. Wesoło tam i swobodnie, gimnastyka kwitnie, męskie zajęcia rozwijają siły. Tu czternastu młodziutkich krawców zaprawia się w szyciu i kroju, tam dziesięciu pracuje stolarzy. Czterech kuchcików uwija się przy rądlach, kilku artystyczniej usposobionych chłopczyków z gliny urabia posągi święte. W drukarni 157 pracuje dzieci, znalazło się miejsce i na inne rzemiosła. Dom niedostateczny, bieda nieraz w oczy zajrzy, ale ks. Roussel nigdy o jutrze nie wątpi, i bez troski postępuje naprzód. Jestto organizacya na wskróś pedagogiczna; umie on dzieci łagodną, a jednak hartowną prowadzić ręką. Jeden np. z jego wychowańców raz po raz uciekał z zakładu, wracając doń po niejakim czasie. Cóż czyni ks. Roussel? Po szóstym powrocie zbiega, powierza mu klucze od bramy, z zaleceniem, aby dobrze domu pilnował i baczne dał oko, czy kto bez pozwolenia nie wychodzi. „Znam się na tem, rzekł dumny z tego dowodu zaufania chłopiec, nikt nie drapnie!“ Jakoż nietylko żadnego nie wypuścił zbiega, ale i sam się wyleczył z istnej manii uciekania. Na widok powracającej do domu zbłąkanej owieczki, najczęściej zamiast przynależnej bury, przełożony odzywa się łagodnie: „Otóż i jesteś, ale zakładam się, że nie jadłeś dziś śniadania; idź więc do kredensu, i poproś o spory kawałek chleba z serem!“ Z sierotami zawsze pół biedy,

najciężej walczyć z złemi wpływami i przykładami żyjących rodziców, którzy nieraz woleliby mieć dziecko przy sobie i kierować je na złodzieja lub żebraka, zamiast się cieszyć uczciwem wychowaniem, jakie odbiera. Wszakże i Bonifratrzy istne nieraz walki staczać muszą z rodzinami, które w okaleczałym aż do potworności dziecięciu upatrują często łatwy środek wzruszania litości publicznej.

Nietylko moralne trądy leczyć przychodzi w zakładzie ks. Roussel. Jak wszystkie szczepy łacińskie, i mały Francuz z natury swej bywa nad wyraz nieporządny i brudny, cóż dopiero ten, który pierwsze lata spędził na ulicy, i najczęściej zalicza się do wyrzutków społeczeństwa. Więc i z tem ucierać się przychodzi, a zacierać całą przeszłość często niepoczciwą, shańbioną pobytem w więzieniu, gdzie małoletni przestępcy zamiast poprawy, znajdują środki systematycznego dopsucia. Powoli, moralna istota przygarniętego chłopca ulega przekształceniu, a wraz i oblicze jego uderza wyszlachetnieniem. Papa Roussel, jak poufale nazywają swego opiekuna, zaiste ojcem tych biednych dzieci, w całem doniosłem tego miana znaczeniu.

Dwie następne instytucye, z któremi nas szczegółowo zapoznaje p. Du Camp, osobną obleczone są rzewnością. Zakład dla młodych suchotnic, zgromadzenie ociemniałych zakonnic św. Pawła, oto wonne kwiaty tego miłosierdzia paryskiego, żadnej niepomijającego nędzy. Statystyka z r. 1876 już obliczyła, że Francya posiada 31,631 niewidomych, z których na Paryż przypada pięć do sześciu tysięcy. Wielkie zakłady i szpitale przygarniają wprawdzie tych nieszczęśliwych, ale jeno po dwóch życia kończynach. Starców osobne przyjmują szpitale, dzieci do lat 18-stu w właściwych kształcą się szkołach. Niemniej pozostaje przeciętna dwudziestu kilku tysięcy ociemniałych, pozbawionych opieki i pomocy. I oto znów z serca niewieściego wyszła myśl osobnego zgromadzenia zakonnego, któreby nietylko służyło niewidomym, ale im jeszcze otwierało sposobność poświęcenia się doskonalszemu życiu, w miarę odczutego powołania. Biedna szwaczka paryska Anna Bergunion, zmarła w 1863 r., urzeczywistnia ten pozornie niedościgły ideał. Zrazu nie małe napotyka trudności, krzepi się zapewnieniem innej świątobliwej założycielki przytuł-

ków miłosierdzia, że aby nowe zawiązać dzieło, wystarcza nająć trzy izdebki, mieć sześć franków w kieszeni i robotę zapewnioną na tydzień! Za pomocą Opatrzności, bez żadnych ludzkich środków, Anna Bergunion zbiera wokoło siebie trzydzieści kilka ślepych dziewczątek, uczy je, kształci wedle możności; spostrzega iż kaleki z urodzenia zręczniejsze są do zajęć powszednich, aniżeli przypadkowo ociemniałe; łagodzi ich niecierpliwe usposobienia, znosi drażliwości, i tak szybko wychowuje sobie poczet współpracowniczek, że po trzech latach w 1853 r. Ks. de La Bouillerie, późniejszy biskup z Carcassonne, miłośnik Sakramentu Ołtarza i znakomity autor dzieł treści Eucharystycznej, daje habit Annie Bergunion i dwunastu jej towarzyszkom, z których siedm niewidomych! Tym zaś przyznano poniekąd prawo starszeństwa w zgromadzeniu. One nadały miano nowej zakonnej rodzinie, odtąd zwanej kongregacyą Sióstr ociemniałych św. Pawła. Dziś jest ich już około sześćdziesięciu, z których dwadzieścia kilka jest niewidomych. Ślepe z własnego doświadczenia uczą widzących, jak się obchodzić z ociemniałymi, jak im rozwidniać świat cieniami zamknięty, jak w duszy rozjaśniać. Bo ten cel nadprzyrodzony zawsze tkwi w każdym nowym pomyśle miłosierdzia, górując nad uczuciami przyrodzonej litości. Gdy ksiądz de l'Epée znalazł nową metodę dla kształcenia głuchoniemych, główną pobudką jego poświęcenia, natchnieniem jego genialnego wynalazku, była żądza udzielenia tym wydziedziczonym dzieciom Bożym, świadomości prawd wiary. Tak samo siostry św. Pawła wnoszą pochodnię wyższego światła w dusze najczęściej grubym pomrokiem przyćmione. Pełno tu rzewnych przykładów, bolesnych opowieści. Wspomnijmy dzieje siostry Maryi Emilii, której pamięć trwa w zgromadzeniu, choć już lata od jej świątobliwego minęły zgonu. Córka obłąkanej kobiety w czternastym roku życia, wracając od babki, zastała swą nieszczęśliwą matkę w przystępie niezwykłego szału; ostrzyła już bowiem nóż, aby własne zabić dziecię; na krzyk Maryi Emilii nadbiegli sąsiedzi dość rychło, aby dziewczynce ocalić życie, zapóźno aby jej zachować oczy, wyłupione przez waryatkę. Marya Emilia była jedną z piewszych kandydatek nowego zgromadzenia, budowała wszystkich słodyczą i cnotą. Po kilku latach odwołał ją Bóg po nagrodę. Z tem dzi-

wnem jasnowidzeniem, które towarzyszy niekiedy ostatniej godzinie, zwołała wszystkie siostry wokoło swego łoża śmierci, jęła im tłómaczyć właściwe ociemniałych usposobienie i potrzeby, nauczać, jak się z niemi obchodzić należy, i zaklęła swe towarzyszki, aby z podwojoną żarliwością oddały się posłudze niewidomych. Ślepa zakonnica, która udzielała tych szczegółów autorowi, była niegdyś przyjaciółką siostry Maryi Emilii. Zapytana, ażali nie żałuje utraconego zmysłu: Odkąd tu jestem, nigdy! — odparła żywo. — Czujesz się tedy szczęśliwą? Bardzo szczęśliwą?

Oto co może uczynić miłość i miłosierdzie z najsroższego nawet kalectwa! Dla serc poddanych a poświęconych, krzyż najcięższy zwykł się kwiatami okrywać. Dni próby nie zabrakły nowemu zgromadzeniu. Siostry św. Pawła odczuły niedolę wojenną, głód oblężenia. Otworzyły nawet w domu swoim ambulans, zacieśniając swą gromadkę w kilku izdebkach, aby szersze sale na szpital zamienić. Komuna zapukała do ich drzwi, wyparła zakonnice, uwięziła duszę zakładu, świątobliwego kapelana ks. Juge, zostawiła ślepe dziewczynki bez opieki i pomocy. Opieka się jednak znalazła: w ambulansie zostawało do dwudziestu pięciu rannych żołnierzy, ci się zajęli litościwie niewidomą gromadką, i gdy po tygodniu zakonnice wróciły do zrabowanego domu, zastały przynajmniej swoje dzieci bez szwanku. A i kapelan uszedł z życiem, ponieważ go uwięziono w owej trzeciej sekcyi, z której ofiary wyszły obronną ręką, zabarykadowawszy się w celach swoich, podczas gdy arcybiskup paryski i towarzysze jego wychodzili na śmierć.

Nowe odkrycia, zastósowane do potrzeb niewidomych, ułatwiają im czytanie i pisanie. Jedynem wszelako stałem i możliwem zajęciem pod względem prac kobiecych, jest robota na drutach. Rozwijają w tym kierunku nadzwyczajną zręczność, zapewniają klasztorowi swemu pewien stały dochód, nie przechodzący jednak 1,300 franków. Siatki rybackie i myśliwskie łatwiejszem jeszcze ale mniej przynośnem zadaniem, skoro tysiąc oczek płaci się 8 centymów, a najdłuższy dzień roboczy da zaledwie 80 centymów. Lepsze tedy druty, które żwawo się uwijają w ręku ociemniałej kolonii. Szczytem zaś rozrywki i rozkoszy dla niewi-

domych bywa zawsze muzyka, grają też na różnych instrumentach, śpiewają, a dostrojowy duch niekiedy myśli swe w rytm poetyczny układa, czego nam autor daje wcale udatne próby.

Przytułek najśw. Panny dla suchotnic, jest jednem z najświeższych dzieł miłosierdzia stolicy Francyi. I znów hojność prywatna, tudzież obfite jałmużny, oddały na ten cel niedaleki od Paryża zamek w ręce Sióstr Wspomożenia Wiernych. *(Marie Auxiliatrice).* Pod wrażeniem naczelnych nazwisk, które stale błyskają w rocznikach powstających zakładów paryskiego miłosierdzia, rodową tradycyą dobroczynności, autor z uwielbieniem powtarza, iż gdziekolwiek skierował kroki w swej pielgrzymce badawczej, zawsze oni zachodzili mu drogę i zdumiewali tak wszechobecnością jak i hojnością datków. Alboż i u nas to samo nie uderza? Każda z dzielnic, każda z stolic naszych ma osobnych miłosierdzia aniołów, posiada rody przewodnie, przodujące dziś w codziennych zapasach z nędzą, jak niegdyś w walce z wrogiem przodowały. Nie wolno żyjących chwalić, ale każdy tu wspomni, w jakiem sercu niewieściem mężnej i poważnej matrony wszystkie dzieła lwowskiego miłosierdzia swój początek biorą? Które nazwisko stale błyska na czele wszystkich krakowskich składek? Kto sprężyną ukrytą nieraz, ale zawsze czynną przeważnej części dzieł miłosierdzia w mieście naszem, począwszy od szpitalika dziecięcego, aż do zakładających się domów roboczych? A z pośród zmarłych godzi się złożyć hołd dobroczynnej pamięci hr. Arturowej Potockiej w Krakowie, hr. Celiny Działyńskiej w Poznaniu, p. Kalixta Orłowskiego we Lwowie. Dopóki żyli, i o nich przychodziło wyznać, że to „zawsze oni“ szli naprzód po drodze miłosierdzia.

Przytułek dla suchotnic był istotną potrzebą w sąsiedztwie wielkiego miasta, tembardziej, że szpitale przyjmują tylko chorych w ostatniem stadyum piersiowego cierpienia. Udowodnioną jest rzeczą, iż trzy czwarte dziewcząt umierających między szesnastym a dwudziestym piątym rokiem życia, kończy na suchoty. Zakręcono się tedy około zapewnienia im odpowiedniego przytułku. Zamek w Villepiate ma miejsce na 50 do 70 chorych, co bardzo niedostateczną jest liczbą. Jedynem marzeniem przełożonej jest rozszerzenie zakładu do takich rozmiarów, aby już nigdy

żadnej nie odmówić kandydatce! A tymczasem jakże tu dobrze i słodko umierać, w domu Maryi, pod sług Jej opieką. P. Fournel mnoży tu rzewne opowieści, o tej młodej Irlandzce, która przybyła zbuntowana na wyrok bliskiej śmierci, a potem kończyła w zgodzie i pogodzie, nucąc pieśń o Matce Boskiej. Inna chora zapytana, jak się czuje, odpowiadała: „Źle co do zdrowia, ale pod każdym innym względem jak najlepiej!“ Inna jeszcze spowiadała się jak z grzechu, że nadto się cieszy na wieczność, nadto spokojnie czeka śmierci. Nieraz wpadała w głęboką zadumę. — Cóż sobie za nowy pałac w Hiszpanii budujesz? — pytała zakonnica znanem francuskiem wyrażeniem. — „Istotnie, buduję sobie pałac dla kochanych matek, a tak wysoki i duży, aby był zdaleka widzialnym, i aby wszystkie opuszczone jak ja dziewczęta ściągać doń mogły, i znaleźć to jedyne szczęście, którego w mojem krótkiem zaznałam życiu!“

Zaiste, jak nawet nie wierzący uważa p. Du Camp, w tej zachronie umierają inaczej, jak gdzieindziej, a pozostali nie płaczą jak ci, którzy nie mają nadziei...

Po fundacyi nowego łóżka, największem dobrodziejstwem jest dar krowy, bo z wszystkich napojów, mleko tu najbardziej jest cenionem. Jedna z chorych, budząc się w zakładzie z radością wołała: „Co za rozkosz oknem spostrzegać drzewa, murawy, zamiast obrzydłych kominów i dachów! słyszeć gdakanie kur jak w wiosce mojej rodzinnej!“ Różne stany i sfery społeczne dostarczają tu pacyentek; najwięcej niemal bywa nauczycielek zapadających na gardło, oraz panien magazynowych, w których uciążliwe ich rzemiosło szybko piersiowe rozwija choroby. W jednym tylko r. 1883, 229 suchotnic przeszło przez zakład Najśw. Panny. Bywają przypadki wyleczenia, zwłaszcza w młodszym wieku. Można też niekiedy zapobiedz odpowiedniemi hygienicznemi staraniami rozwinięciu się zarodku choroby. Dla tego obok zakładu głównego, powstał przytułek dla zagrożonych dzieci, a powstał z boleści macierzyńskiej, wyrósł z opróżnionej śmiercią kolebki. Nikt nie odgadnie wdów miłosierdzia, które innego nie mają pierwiastku. „Dziecię utracone wciąż się w sercu matki odzywa, ona jedna głos ten słyszy ustawicznie. Rzekłbyś, duszyczka dziecięcia, opuszczając ciało, zlała się z duszą matki,

aby nią kierować, aby jej wnętrzności miłosierdziem poruszać. Dziecię które wiele przecierpiało odzywać się wciąż zdaje: Mamo, ratuj tych, co jak ja cierpiałem dziś cierpią, co jak ja słabi są i maluczcy, co z braku starań tak odbiegną swych matek, jak ja cię odbiegłem, mimo twej troskliwej czujności. Matka mniema, że to pamięć jej dziecka ku miłosierdziu dla dziatek ją skłania; myli się, dziecko to jej raczej w niej mieszka, nad nią panuje, i daje jej moc do spełnienia dzieł, o jakich bez tej boleści i tej straty aniby pomyślała.“

Na tej pięknej karcie zakończymy nasze sprawozdanie o zakładzie dla suchotnic, aby czytelnika zapoznać z dwoma ostatniemi dziełami, które zbadał p. Du Camp, a mianowicie: z gospodami pracy i z gospodami nocnemi. Obliczono, iż znajduje się w Paryżu około 60,000 osób, niewiedzących gdzie głowę na na noc schronią i czem się pożywią. Fala ta wciąż rośnie przypływem z prowincyi. Jak niegdyś odkrycie pierwszych pokładów złota w Kalifornii osobną wytworzyło gorączkę wśród tłumów znęconych widmem łatwego zysku, tak Paryż po dziś dzień dla ludności całej Francyi posiada jakiś magnes, ściąga ku sobie tętna reszty kraju, i olśniewa złudzeniem szybkiego zarobku. Zewsząd tedy płyną wędrowcy za chlebem, niebawem rozbitki nędzy, skrwawione o skały twardego miasta, ginące rozpacznie w jego nielitościwej czeluści. Najkrytyczniejsze chwile zwykły następować bezpośrednio po przybyciu do stolicy. O zajęcie i miejsce trudno, zarobek chybia, przywiezione z sobą zapasy topnieją rychło. Na jednego, któremu się powiedzie, iluż marnie ginie z głodu, z biedy, z rozpaczy, na łożu śmiertelnem lub w celce więziennej: „Policzcie, ile ginie żołnierzy na polu bitwy albo umiera z wycieńczenia w szpitalach, aby jeden z nich dosłużył się laski marszałka Francyi!“ mawiał pewien oficer, a to przyrównanie i do walki o byt jak wraz się stosuje. Chwile te ucierania się o jakie bądź stanowisko, zdobywania sobie przebojem miejsca, trudne są dla mężczyzn, stokroć dla słabych niewiast trudniejsze. Ale miłosierdzie i tu stawa na straży, rozwija swe skrzydła, wyciąga ręce nietylko, aby te wątłe istoty ochronić od zimna i głodu, ale jeszcze stokroć bardziej, aby je przed zepsuciem

zasłonić, i podnieść do tego ideału czystości, który jest celem wszystkich dobroczynnych zachodów serc chrześcijańskich.

Otworzono tedy dom przytułku dla kobiet pozbawionych zarobku i miejsca, gdzie przez cały kwartał mogą zostawać, szukając tymczasem za pomocą dobrych zakonnic kierujących zakładem, odpowiedniego stanowiska. Tu cyfry najwymowniej poświadczą: przez trzy lata istnienia tej miłosiernej instytucyi przygarnięto już z kolei 7534 kobiet, z których 3653 umieszczono. Najwięcej do tej przystani zawija praczek, szwaczek, kucharek, nie rzadko jednak pojawia się gość z wyższem wykształceniem, nie brak nauczycielek pozbawionych utrzymania. Autor wspomina o nadmiarze kształcących się w tym niewdzięcznym nieraz kierunku dziewcząt. Do 3000 guwernantek z brewetem rządowego egzaminu miało świeżo się zgłosić do prefekta Sekwany, błagając o chleb i zajęcie. Cóż się dziać będzie, gdy gimnazya żeńskie wyrzucą na bruk miejski setki egzaminowanych nauczycielek? Nowa wyrośnie gałęź bolesnego proletaryatu.

Pensyonarki gospody pracy mają sobie zapewniony dach i dobrą żywność, nieraz i coś odzieży się trafi w miejsce podartych łachmanów. Obok zachodów o miejsce, znajduje się zawsze dość czasu na domowe zajęcia. I tu więc mógłby powstać zarzut wyzyskiwania pracy, ale raz więcej cyfry zwycięzko odpowiadają. Ugoszczona przez kwartał niewiasta kosztuje dziennie 1 franka 42 c., a zarobek jej najwyżej przynosi do ogólnej kasy 45 centymów. Przełożona krząta się za rozmieszczeniem swych przejściowych pupilek. Nie zataja ich przeszłości, sumiennie i szczerze poleca te, które są polecenia godne, na inne usiłuje wpłynąć, czego nie trudno dokazać roztropną dobrocią, oraz zmianą otoczenia i warunków bytu. Gospoda pracy dużych wymaga nakładów; w minionym roku kosztów było do 60,000 franków, stałego dochodu nie całe 20,000. Resztę zabezpiecza jałmużna, ale nie małej potrzeba czujności i skrzętności, aby jej zawsze podostatkiem na czas dostarczyć.

Gospody nocne stanowią niewątpliwie jeden z najciekawszych i najdobroczynniejszych działów miłosierdzia paryskiego. Trzeba znać straszną niedolę ludzi, niemających gdzie spocząć i gdzie schronić głowę, aby ocenić doniosłość tych przytułków. Już śre-

dnie wieki znały ich potrzebę, są tego ślady z XII wieku. Nasze stulecie odnowiło to dzieło miłosierne, i Paryż liczy już dziś trzy gospody nocne dla mężczyzn i tyleż kobiecych. Od połowy 1876 do końca 1883 r. gospody męskie udzieliły noclegu 146,238 nieszczęśliwym, a obok spoczynku znajdują tam oni niejedno dobrodziejstwo, niezawarowane ustawami zakładu, ale wywiązujące się z poznania ich niedoli. Wolno jest trzy noce z rzędu powracać do gospody. Na pozór jest to mało, ale w istocie nie drobna to pomoc i dźwignia. Wystarcza nieraz rękę w odpowiedniej wyciągnąć chwili, aby tonącego uratować, jedna minuta odetchnienia nad wody powierzchnią, a znajdzie się siła potrzebna, aby dobić brzegu. Tak i tych kilka nocy spoczynku, dla ludzi wyniszczonych nędzą, mogą przynieść zbawienie ginącym. Gospody nocne są jednem z najpopularniejszych dzieł miłosierdzia w Paryżu. Chętne jałmużny sypią się jak z rogu obfitości; lud się interesuje rozwojem instytucyi, z której w czarnej chwili korzysta; mnożą się groszowe ofiary obok pańskich datków. Najpierwsze Francyi nazwiska stoją na czele tego dobroczynnego przedsiębiorstwa, a nietylko nazwiskiem mu służą. Co wieczór, jeden z członków komitetu przybywa wieczorem do gospody, kilku słowami odzywa się do zgromadzonych biedaków, zachęca do cierpliwości, budzi nadzieję, wskazuje środek podniesienia się z upadku dwojakiego, materyalnego i moralnego za pomocą pracy. Poczem głośno odmawia pacierz wieczorny: jakkolwiek wygląda ta zbieranina uliczna, zaledwie nędznemi okryta łachmanami, pozornie z szumowin społecznych złożona, powstają wszyscy z uszanowaniem, aby odpowiadać drugą częścią Modlitwy Pańskiej i Pozdrowienia Anielskiego. A więc umieją oni słowa pacierza, i życie burzliwe je nie zatarło w ich pamięci. Wraz budzą się wspomnienia uczciwej przeszłości, budzi uśpione może sumienie, i odejdą stąd pokrzepieni spoczynkiem, może odrodzeni tą króciutką modlitwą.

W tem codziennem stawianiu się na pacierz wieczorny jednego z przewodniczących dziełem, uwydatnia się właściwy charakter miłosierdzia francuskiego, mianowicie wśród klas wyższych i bogatszych. Nikt tam nie mniema, iż uczynił zadość obowiązkowi miłości bliźniego, jeśli ograniczył się na datku pie-

nieżnym, a nie wypłacił własną uczynnością i osobą. W szpitalach, w domach nędzy, w przytułkach sierót, snują się dobrowolnie jałmużnicy, z ofiarą sił swoich, serca i czasu. U nas może ogólniej zachowały się uczucia wiary, ale uczynki tą wiarą natchnione nierównie wspanialej występują we Francyi, i napiętnowane tam bywają osobnem, bo osobistem poświęceniem.

Praca p. Du Camp wyłącznie się zajmuje dziełami prywatnego miłosierdzia w Paryżu, podczas gdy Fournel przebiega i publiczne zakłady dobroczynności. Wykazuje się z poprzednich studyów, iż prywatne jałmużny, bez najmniejszego czerpania w kasie rządowej, rozdzielają corocznie 60 do 80 milionów między nieszczęśliwych. Siłę tę stanowią nie tyle pojedyńcze znaczniejsze datki, jak powszechność drobnych ofiar; każdy daje, a choć mało daje, ogólna suma rośnie liczbą datkujących. Autor pięknych artykułów z *Revue des deux mondes*, kończy swą pracę uwagami, które mu natchnęły jego studya w dziedzinie miłosierdzia: „Przekonałem się, że z wszystkich pobudek dobroczynności, niema silniejszej nad wiarę, i to dziś głośno wyznaję. Przejrzawszy do gruntu tyle zakładów miłosiernych, spostrzegłem, iż w labiryncie życia najlepszą nicią przewodnią bywa zawsze wiara. Tem bezinteresowniej się odzywam, iżem jej nie posiadł, ale gdybym wiedział, kędy przechodzi droga wiodąca do Damaszku, puściłbym się nią natychmiast.“

Obecne prześladowanie gorące z strony autora wywołuje protesta: „W tym czasie równości politycznej a nierówności społecznej, miłosierdzie jest klapą bezpieczeństwa naszej cywilizacyi; wszelka napaść na religię, która tego miłosierdzia uczy, na zakłady, które je praktykują, stanowi zwrot ku barbarzyństwu. Gdyby jutro, pojutrze, nagły kaprys rządzących zamknął szpitale, zamknął ochronki, odrazu straszne nastąpiłoby spustoszenie. Fala nędzy i niedoli ludzkich w mgnieniu oka zatopiłaby wszelką cywilizacyę. Przeciw powodzi złego i zepsucia, niema lepszej tamy nad miłosierdzie chrześcijańskie. Wiem, iż ono folguje tylko żądzy poświęcenia, nie zakładając sobie politycznych celów. Ale zawsze, świadomie czy nieświadomie, stanowi ono narzędzie bezpieczeństwa społecznego. Zawieszenie wszelkiej dobroczynnej działalności w Paryżu przyczyniło się niemało do spotęgowania gwałtów ko-

muny i przedłużyło czas jej trwania. Hersztowie ratuszowi dobrze wiedzieli co czynią, rozpędzając zakonnice i zwijając ich zakłady miłosierne. Zastęp głodnych, otrzymujących chleb powszedni u fórty tych litościwych przytułków, zaciągnął się w szeregi anarchistów, aby zapewnić sobie żywność. Niejeden z nich wyznał mi to szczerze. Nietylko niesprawiedliwem, ale nieroztropnem jest obracać przeciw sobie w zbitych szykach tych, którzy tylko łzami i modlitwą walczą. Skarga silniejszą od miecza jest bronią; miecz tylko przebija serca, gdy skarga je porywa. Piotr Pustelnik łzami lanemi nad grobem Zbawiciela całe tłumy na odsiecz Jerozolimy pociągnął za sobą.“ Autor upomina się dalej za krzywdą duchowieństwa, ogołacanego przez rząd trzeciej republiki. „Budżet kultu jest poniekąd sakiewką jałmużn powierzoną rozdawnictwu Kościoła. Odejmując arcybiskupowi część jego pensyi, nie jego osobie, ale jego ubogim krzywdę się czyni; obarczony kapłan pieniężną karą, nie tyle sam odczuje różnicę dochodu, ile raczej żebracy z jego parafii. Patrzałem z bliska na życie niektórych książąt Kościoła. Niższy urzędnik nie zadowolniłby się ich stołem, ale to właśnie pozwala im dzieci przygarniać, głodnych posilać, dla starców otwierać zachrony.“ Zaiste, prześladowanie ma dobre i korzystne strony, skoro otwiera oczy na piękność sprawy prześladowanej, i wzbudza podziw szlachetnych widokiem:

Tej przegranej, której cel daleki,
A która przecież wygrywa na wieki.

Obie książki, z któremi próbowaliśmy zapoznać czytelników naszych, powinnyby ogólnie być czytane i posłużyć za przewodników podręcznych, tak w dziedzinie miłosierdzia, jak i w podróży do stolicy Francyi. Zamiast tam jeździć po złe przykłady i złe książki, niechby nasi pielgrzymi zachodni w tem olbrzymiem mrowisku ludzkiem nie szukali odtąd nic, tylko ziarnek kadzidła, woniejącego miłością bliźnich. Czytanie i zachwytywanie podobnych odgłosów, bliższe poznawanie takich zakładów błogosławionych, ogrzewa duszę i czyni ją do wielkich poświęceń sposobną. W żywocie św. Wacława czytamy, iż gdy w noce zimowe zdążał do kościoła po śniegu, i długie godziny u stóp ołtarzy trawił, zziębli dworzanie rozgrzewali zmarzłe nogi stawianiem ich

w ślady gorących stóp bogobojnego pana. Nietylko stopy nasze, ale i serca zapłoną światłem i ciepłem ożywczem, gdy bliżej poznamy i zbadamy miłosierdzie Francyi, miłosierdzie Paryża. Już przed kilku wiekami, Skarga nasz sławiąc wartość jałmużny w wspaniałem kazaniu o miłosierdziu, wspominał „że takiemi przykłady i bractwy Francya w dobre uczynki zakwitnęła i na tem stoi, i tem ją Pan Bóg od ostatniego upadku wstrzymuje, i tem grzechy swoich braci okupuje i gładzi.“ Ale jeśli Francya po trzech wiekach nie zatraciła cnoty, za którą Skarga ją chwalił, i nam się nie sprzeniewierzać świadectwu, jakie w temże wydał kazaniu, mówiąc na innem miejscu: „Wiem, iż cny i święty naród Polski do miłosierdzia i uczynków dobrych skłonny jest“.

M.

KLEMENS KSIĄŻE METTERNICH
1773—1859.

(Ciąg dalszy.)

X.

Wraz z przywróceniem pokoju europejskiego, w zastraszający sposób mnożyć się wszędzie poczęły sekty religijne.

Postawiwszy zasadę wolnego rozbioru w rzeczach wiary, protestantyzm rozpadł się na mnóstwo sekt, zawzięcie z sobą o monopol prawdy walczących, pomimo że w łonie każdej sekty odrębnej, najsprzeczniejsze opinie mieściły się obok siebie, roszcząc równe prawo do tolerancyi. Nawet w urzędowym kościele angielskim, który w odszczepieństwie zachował hierarchiczną budowę Kościoła Rzymskiego, kładącą niejaką tamę dalszemu rozkładowi, jedność doktryny utrzymać się nie zdołała, i ludzie wyznający i szerzący nauki odmienne od nauki pierwotnie przyjętej, pretendują do pozostania w jedności kościelnej. Gorszy jeszcze rozstrój wkradł się w protestantyzm niemiecki, wszelkiej pozbawiony powagi i straży hierarchicznej, wystawiony na działanie filozofii i umiejętności niezawisłej, odrzucającej objawienie i wszystko, czego rozum ludzki zmysłami objąć i sprawdzić nie może. Zamęt stąd wynikły, gasił ostatnie iskierki stygnącej wiary, odbijał się w duchowieństwie protestanckiem, które nie będąc w stanie wskazać ludowi w co ma wierzyć i dać mu kierunku w życiu, wpływ na lud utraciło. Za tem poszło odstrychnięcie się mas od kościołów urzędowych i pozytywnej religii, dziczenie wśród niedowiarstwa, popęd do szukania w nowatorstwach sekciarskich zaspokojenia budzącej się potrzeby wiary.

Podobny proces odbywał się w łonie społeczności katolickiej w Niemczech. Po spustoszeniach ateizmu, przyszedł upadek tronów duchownych i ruina hierarchii kościelnej, ogołocenie Kościoła z środków, jakimi Kościół utrzymuje się, odnawia i działa na wiernych. Na Kościół owładnięty przez władzę świecką, spadła dekonsyderacya dotykająca rządy; duchowieństwo trzymane w zawisłości, podupadłe na świetle i gorliwości, nie wiele większego jak protestanckie używało wpływu i poszanowania.

Grunt usuwający się z pod nóg Kościoła i religii pozytywnych, zajmowały sekty, zadość czyniące potrzebie wiary, bo po największej części wyrosłe z mistycyzmu; ponętne, bo redukujące sprawę zbawienia do najbardziej elementarnego wyrazu, do powierzchownych obrzędów i formuł, nienakładających na człowieka ścisłych obowiązków, a prócz tego rzadko obce dążeniom do politycznego i społecznego wywrotu. Stąd płynęła popularność sekt, atrakcya, jaką wywierały na umysły proste i nieoświecone, tudzież ich niebezpieczeństwo dla porządku publicznego.

Metternich pragnął skłonić rządy do represyi sekciarstwa, do czego rządy aż nadto były skore. Najpierw zwrócił się do gabinetu petersburgskiego, aby odciągnąć cesarza Aleksandra od wspólnictwa z mistykami, ku którym się skłaniał i których protegował, i działać przez niego na gabinety niemieckie.

W parę tygodni po odejściu do Petersburga noty w sprawie sekt, bawiąc u wód w Luce, odebrał depeszę Nesselrodego, który z polecenia cesarza Aleksandra żalił się na rząd austryacki, z powodu zakazu w Austryi towarzystwa biblijnego, „instytucyi protestanckiej wprawdzie, lecz tak dobroczynnej i odpowiadającej zasadom tolerancyi cesarza Franciszka.“ W odpowiedzi, mocno ironią zaprawnej, Metternich wyłożył protektorom propagandy biblijnej stanowisko Kościoła katolickiego w tej rzeczy, będące zarazem stanowiskiem rządu austryackiego. „Chciałem, pisze do swego monarchy, odrazu położyć koniec korespondencyi gabinetowej w kwestyi biblijnej i w kwestyach policyi religijnej: mam nadzieję, że cesarz Aleksander straci ochotę do dalszej dyskusyi z dwoma chrześcijanami tak ograniczonymi, tak ciasnej głowy, jak W. C. Mość i minister W. C. Mości. Trudno jednak przewidzieć, dokąd ta aberacya zaprowadzić jeszcze może cesarza

Aleksandra. Od roku 1815 porzucił jakobinizm dla mistycyzmu, czytanie biblii zastąpiło prawa człowieka."

Wspólne postępowanie rządów w celu represyi sekciarstwa, czego Metternich zdawał się życzyć sobie, było czystem niepodobieństwem; znaczyło bowiem tyle, co zaprządz inowierców i sekciarzy protestanckich wspólnie z katolikami do dzieła religijnego odrodzenia Europy. Każdy rząd upędzał się sam u siebie za sekciarzami, ścigał nowatorów przy pomocy policyi, żeby tępić ducha opozycyjnego i pod pozorem jedności religijnej, ocalić wszechwładztwo własne nad sumieniem i sposobem myślenia poddanych. Aleksandrowi tolerancya prędko się sprzykrzyła, wypędził handlarzy biblii, jak pierwej Jezuitów, prześladował roskolników i starowierców, ze skutkiem powszechnie wiadomym. Fryderyk Wilhelm III. do końca życia nie potrafił się uporać z sekciarzami; daremnie próbował uratować kościół rządowy od pójścia w rozsypkę, za pomocą unii kościelnej, powierzchownie nałożonej lutrom, kalwinom i innym dysydentom protestanckim; biadał nad upadkiem wiary i spustoszeniami racyonalizmu, a umierając, zostawił synowi jeszsze większy nieład i rozprzężenie religijne. Znaczna liczba sekt znikła z powierzchni ziemi sama z siebie, strawiwszy się pod działaniem czasu, skutkiem zmiany w usposobieniu umysłów; lecz duch sekciarski wichrzył dalej pod inną postacią. Tego ducha rządy nie były w stanie ukrócić, bez przywołania na pomoc religii. Na nieszczęście, rządy protestanckie tej ucieczki nie miały, katolickie zaś czyniły wszystko, żeby działanie religii tamować.

Ówcześni konserwatyści i ludzie rządowi, bez różnicy przekonań osobistych, wierzący czy niewierzący, uznawali religię katolicką za podporę porządku i środek utrzymania mas w karności i posłuszeństwie; Kościół za naturalnego alianta władzy świeckiej i monarchizmu. Zwrot był świeżej daty, wywołany bankructwem oczywistem praw człowieka i umowy społecznej. Przekonawszy się o owocach takich teoryi, zwrócono się znowu ku religii, lecz na znaczenie religii i rolę Kościoła zapatrywano się jednostronnie, z punktu ciasnego utylitaryzmu, widząc w religii i Kościele jedynie instrumenta panowania.

Religia jest podstawą, podporą i rękojmią porządku na

świecie, bo wskazuje obowiązki względem Boga i bliźniego, ustanawia władzę na ziemi i nakazuje posłuszeństwo władzy, uczy pokory, rezygnacyi i cierpliwości, każe czekać sądu, nagrody i kary po za grobem. Podporą porządku religia może jednak stać się o tyle tylko, o ile ludzie stosują się do przepisów religijnych i te przepisy szanują w instytucyach, w prawodawstwie, w wzajemnych znoszeniach codziennych. Rządy tego nie chciały, czy nie mogły pojąć. Stając same zbyt często w sprzeczności z przykazaniem, żądając, aby religia czyniła poddanych uległymi i potulnymi, tamowały przystęp religii do umysłów i pozbawiały religię możności ujęcia umysłów w karby. Uznając Kościół za naturalnego alianta władzy świeckiej i monarchizmu, domagały się od Kościoła, aby im służył za tarczę i wspólnika, wszelkie ich widoki podzielał i postępki pochwalał, identyfikował dobro wiary z interesem monarchizmu i niósł skuteczną pomoc w walce z rewolucyą; odmawiały jednak Kościołowi środków, niezbędnych do spełnienia takiego nawet posłannictwa.

Kościół stojący na zasadzie władzy, tradycyą i zwyczajem związany z monarchiami, zniewolony bronić trony dla ocalenia ołtarzy, w które rewolucya zarówno godziła, aż nadto okazywał się skłonnym wspierać rządy. Z natury swej przecież, nie mógł identyfikować się z jedną formą rządu, tem mniej służyć za narzędzie do osiągnięcia czysto ziemskich widoków, lub za broń mocniejszych względem słabszych. Wiele rzeczy pomijał milczeniem, na wielu punktach ustępował, lecz jak każda instytucya, miał prawa sobą rządzące, których mu przekraczać nie wolno było; nie mógł zresztą działać na własną szkodę, ani dokonywać czynów nad siły i możność. Chętnie śpiesząc z pomocą rządom, upominał się o zwrot praw swoich, o niezależność materyalną i moralną, potrzebną dla odzyskania powagi wobec wiernych; o samorząd, potrzebny mu dla własnego bytu i zdrowia wewnętrznego; o swobodę wychowywania młodych pokoleń duchownych, przez usta których nauczać miał społeczeństwo i za ich pośrednictwem prowadzić wiernych; o głos przynajmniej doradczy w sprawach obchodzących całe społeczeństwo, aby módz zwalczać i równoważyć wpływy przeciwne.

Rządom protestanckim, liczącym katolików między podda-

nymi, wolno było do pewnego stopnia składać się nieznajomością początku, natury i ducha instytucyi Kościoła; katolickie i tej wymówki niemiały. Wszystkie powinny były wiedzieć, że poszanowanie praw cudzych jest najdzielniejszą obroną praw własnych; powinny były wejść w położenie Kościoła i dla własnego chociaż pożytku, postawić Kościół w możności oddawania spodziewanych i wymaganych posług.

W Austryi prawodawstwo jozefińskie w rzeczach kościelnych najsmutniejsze wydawało owoce. Cesarz Franciszek nadał moc obowiązującą przepisom dotąd na papierze istniejącym i ich wykonania ściśle przestrzegał. Utrudnione stosunki z Rzymem, wpływ nieograniczony rządu na obsadzanie stolic biskupich i innych posad duchownych, mięszanie się władz świeckich do zarządu dyecezyi i nauczania teologicznego, podkopały karność, osłabiły światło i gorliwość w duchowieństwie. Rząd faworyzował heretyckie nauki, mianowicie nauki przeciwne władzy Głowy Kościoła, więc rujnujące jedność dogmatu i węzły karności, aby własną powagę przeciwstawić powadze Stolicy Apostolskiej i zyskać miejsce tej ostatniej wydarte. Po usunięciu Kościoła z wychowania publicznego, w szkołach świeckich ostał się humanizm, młodzieży chrześcijańskiej opowiadający ideały pogańskiego świata; klasycyzm niemiecki, wolnomyślny, w rzeczach wiary obojętny lub wrogi; jeden i drugi w homeopatycznych dozach wprawdzie, niewystarczający do dania powierzchownej kultury, ale aż nadto wystarczający do skrzywienia umysłów; nakoniec, katechizm cenzurowany przez policyę, mówiący więcej o obowiązkach względem cesarza niż względem Boga, a przez inne czynniki ustawicznie neutralizowany.

Stolica Apostolska nieustawała w staraniach o zawarcie konkordatu. Metternich sprawę popierał, lecz nie zdołał przemódz wszechmocnej biurokracyi. „Po przywróceniu pokoju, opowiada w notatce, spisanej z okazyi zawarcia konkordatu w 1855, zwróciłem uwagę na zgubne następstwa prowodawstwa kościelnego cesarza Józefa, które ciążąc całej monarchii, szczególnie dawały się uczuć rządowi w królestwie Lombardzko-Weneckiem, w Rzeszy niemieckiej i w Węgrzech. Cesarz Franciszek z pobudek re-

ligijnych i politycznych skłaniał się osobiście do cofnięcia rzekomych reform jozefińskich, naruszających prawa Kościoła; lecz oponował temu świat urzędniczy, a między duchowieństwem nawet, z małemi wyjątkami, doktryny Febroniusza głębokie puściły były korzenie. W najwyższych sferach rządowych, ja sam stałem na gruncie prawdy i słuszności. Nie zrażając się, dążyłem do rozwiązania kwestyi stosunków z Stolicą Apostolską, na podstawie ułożonej z kardynałem Consalvi. Pomagał mi ks. Jüstel, referent spraw duchownych w radzie stanu. W 1817 wysłałem go do Rzymu, i sam miałem zamiar podążyć, dla przyspieszenia układów, lecz rzecz nie była jeszcze dojrzałą. Podczas pobytu w Rzymie, w 1819, cesarz Franciszek porozumiał się wprost z Piusem VII., lecz nasi dygnitarze nie dopuścili ukończenia sprawy. Zwłoka płynęła z skrupułów cesarza na punkcie legalności, to jest z poszanowania litery prawa, tudzież z uporu naszych kanonistów świeckich i duchownych, przesiąkniętych febronianizmem. Wybuchłe w r 1820 ruchy rewolucyjne, znowu opóźniły załatwienie sporów z Rzymem; wszędzie monarchowie poczęli okazywać się przychylniejszymi Kościołowi, podczas gdy, według mego przekonania, należało złe w korzeniu uchwycić. Pozostałem jednak sam jeden tego zdania i pomimo moich nalegań, wszystko kończyło się na próżnych negocyacyach. Dopiero krótko przed śmiercią, cesarz Franciszek polecił rozporządzeniem testamentarnem zakończyć spory z Stolicą Apostolską, i wykonawcami swej woli mianował biskupa Wagnera i mnie. Kłopoty nieodłączne od zmiany panowania, nową sprowadziły zwłokę; prócz tego biskup Wagner prędko umarł. Na jego miejsce wybrałem prałata Rauschera[1]; obaj stawiliśmy czoło urzędnikom, lecz sprawy do skutku doprowadzić nie zdołaliśmy. Błędne pojęcie, fałszywe teorye, upór biurokratyczny, wznosiły niezwyciężone przeszkody tryumfowi prawa i zdrowego rozsądku, najlepszej woli dwóch monarchów i moim osobistym usiłowaniom."

W tym wypadku, jak w innych, Metternich stara się oczyścić pamięć cesarza Franciszka, dla którego chował cześć i przywiązanie bez granic, wystawiając go jako niewolnika biurokracyi.

[1] Później kardynała arcybiskupa wiedeńskiego.

Z tego jednak co mówi o niewolniczem poszanowaniu litery prawa, widać, że cesarz był pierwszym i najzatwardzialszym biurokratą w Austryi, stawiał paragraf nad sprawiedliwość i słuszność. Nadto, Habsburg nie chciał na włos ustąpić z przywilejów samowładztwa, przyznawał sobie prawo wnikania w sprawy kościelne, jakie rościli niegdyś jego przodkowie, kiedy władza świecka bywała ramieniem władzy duchownej. Podczas pobytu w Rzymie, wychodząc od Papieża, rzekł do Metternicha: Szkoda, że Pius VII. nie może być moim arcybiskupem; broniłby mnie najlepiej od przesadzonych pretensyi kuryi rzymskiej! W tych słowach sam się najlepiej odmalował. Z Papieżem, któremu także wystawił świadectwo umiarkowania, Austrya przecież do końca dojść nie mogła, ostatecznie bowiem monarcha stawał po stronie biurokracyi i dzielił jej wstręt do ustępstw, których słuszność uznawał w duchu.

Biorąc rzeczy jak były, rząd austryacki nie ryzykował nic, dając nieco swobody Kościołowi. Konkordat zawarty w r. 1855 z Piusem IX, do uległości dużo mniej skłonnym od poprzedników na Stolicy Piotrowej, musiał tolerować mnóstwo przywłaszczeń jozefińskich, ulegalizował interwencyę administracyjną w wewnętrzny zarząd Kościoła, przyznał rządowi przywileje bez porównania większe, niż ustępstwa, jakie Kościół otrzymał. Pod Piusem VII., Leonem XII., Grzegorzem XVI., Rzym byłby się pewno jeszcze mniejszem kontentował. Kramarząc się więcej o formy niż o rzecz samą, o formy zwierzchnictwa rządu nad Kościołem, które i po zawarciu konkordatu pozostać miało nietkniętem, rząd austryacki samemu sobie najdotkliwsze wyrządzał szkody, i sprawę katolicką i konserwatywną narażał na uszczerbek po za granicami Austryi. Inne rządy, zwłaszcza inowiercze, zasłaniając się przykładem arcykatolickiej Austryi, tem silniej opierały się żądaniom Stolicy Apostolskiej. W Petersburgu gabinet wiedeński przechwalał się, że jest najmniej od Rzymu zawisłym, gdyż „cesarz Franciszek, potomek tylu cesarzy i synowiec Józefa II., wie co winien swej koronie i swemu nazwisku.“ W Niemczech wpływ austryacki opóźniał przyjście do skutku konkordatów, bo Austrya pragnęła być pierwszą i swoje warunki Rzeszy nałożyć. Nakoniec, u siebie nie dopuszczano poprawy duchowieństwa, oraz reformy

nauczania teologicznego i świeckiego, dwóch rzeczy najpilniejszych dla społeczeństwa i rządu [1].

Nic lepiej nie charakteryzuje ówczesnych stosunków austryackich, jak sprawa osiedlenia się Jezuitów w Galicyi, dodająca zarazem kilka ciekawych rysów do charakterystyki Metternicha.

---

[1] W ciągu roku 1844, za czasów Ferdynanda, Metternich z wielkim naciskiem domagał się zadośćuczynienia reklamacyom Stolicy Apostolskiej przynajmniej w niektórych kwestyach specyalnych. „Chcę, pisał, pokoju z Kościołem, sądzę bowiem, że walka pośrednio lub bezpośrednio toczona, w imię jakoby wolności i oświecenia, przeciwko wierze czterech piątych poddanych W. C. Mości, nie przyniosła dotąd pożytku monarchii i w przyszłości jeszcze go mniej przyniesie. Od pół wieku Austrya wdała się w wojnę skrytą z Kościołem i jego Głową, podczas gdy otwarcie walczy z rewolucyą. W tej wojnie z dwoma przeciwnemi potęgami tkwi tajemnica naszej niemocy, gdyż w stosunku do Kościoła negujemy ustawicznie zasady, stawiane przez nas i bronione w stosunku do rewolucyi. Z czasem, pozycya nasza, sama przez się niemożliwa, zdradzi się przed światem i uczyni nasz system moralnie i politycznie niepodobnym do utrzymania... Względności tylko Papieżów zawdzięczamy, jeźli nie przyszło dotąd do zerwania między dworem austryackim i Głową Kościoła, lecz próżnem ukrywać, że okoliczności mogą zerwanie wywołać w porze najmniej stosownej. Niech na Stolicy Piotrowej zasiądzie Papież oddany Francyi, a wtenczas nie ręczę czy potrafię utrzymać dobre stosunki istniejące z Rzymem i zapobiedz konfliktowi, który przybierze rozmiary europejskiego wypadku. Wtedy, po długich walkach, z których odniosą korzyść jedynie nieprzyjaciele zasady monarchicznej, nie pozostanie Austryi jak rzucić się w schizmę, przez politykę i moralność zarówno potępioną, albo też przychylić się do ustępstw, nieprzynoszących ani zaszczytu, ani pożytku, jak wszystkie ustępstwa spóźnione, wymuszone i czynione niechętnie... Odzywam się do W. C. Mości z całą otwartością i swobodą, bo w sprawie tak ważnej i w następstwa płodnej mam do spełnienia obowiązki względem W. C. Mości, względem własnego sumienia, względem zmarłego cesarza, Europy i potomności. Nie umrę spokojnie, jeśli nie uniosę przekonania, żem z całych sił pracował nad odwróceniem od monarchii niebezpieczeństwa groźnego, istotnego, którego dziś jeszcze łatwo się ustrzedz.“ Szło wtenczas o cztery punkta. Prawodawstwo austryackie uważało za niebyłe małżeństwa zawierane między małoletnimi, bez zezwolenia rodziców, podczas gdy Kościół, o ile inne przeszkody kanoniczne nie zachodziły, ważność takich małżeństw uznawał (*matrimonium abominabile sed validum*); w następstwie czego prawo cywilne pozwalało takim osobom wchodzić w związki powtórne, w oczach Kościoła pod kategorye dwużeństwa podpadające. Powtóre, szło o przywrócenie regularnych sto-

W roku 1820, Jezuici wypędzeni z Rosyi i z Polski, schronili się do Galicyi. Zbytecznem przypominać, jakie przeciwko zakonowi panowały uprzedzenia; przemawiała za Jezuitami jedynie reputacya dobrych kaznodziei i nauczycieli młodzieży, tudzież brak wielki duchowieństwa w kraju. Po długich korowodach dano im przytułek w klasztorze Dominikanów w Tarnopolu [1], pod warunkiem, że się poddadzą ogólnym przepisom i regułę zakonną pogodzą z paragrafami rozporządzeń jozefińskich, więc wyrzekną się związków z Rzymem, obiorą prowincyała, niezawisłego od jenerała zakonu, odstąpią od *ratio studiorum* w nauczaniu, będą obejmować probostwa i inne posady kościelne, zobowiążą się rewersami nigdy Austryi nie opuszczać. Ojcowie nie ustali w zabiegach i staraniach o prawo życia według reguły zakonnej. Po pięcioletnich targach z władzami, pozwolono im zanieść prośbę wprost do cesarza, i wyłuszczyć powody, dla których żądaniom władz zadość uczynić nie mogą. Prośba, mająca być arcydziełem dyalektyki, dostała się w ręce duchownego referenta, kanonika Frinta, który wyczerpawszy argumenta zwykle przeciw zakonowi wytaczane, zakonkludował, że „instytucya Jezuitów sprzeciwia się opinii współczesnych publicystów i rozporządzeniom cesarskim, obowiązującym

---

sunków zgromadzeń zakonnych z jenerałami zakonów, rezydującymi w Rzymie. Potrzecie, o ułatwienie korespondencyi między biskupami i Stolicą Apostolską. Poczwarte, o swobodę wysyłania młodych księży do *Collegium Germanicum* w Rzymie. Rząd austryacki nie pozwalał w ogóle młodzieży kształcić się za granicą; był to jeden z powodów nieukontentowania w prowincyach włoskich, gdzie istniał zwyczaj, że dzieci zamożnych rodzin udawały się do Toskanii, słynącej z oświaty i z czystości mowy włoskiej. Na żądanie izb węgierskich, zakaz zniesiono w Węgrzech. „Swoboda przez W. C. Mość udzielona, dowodził Metternich, służy więc tylko protestantom, a interdykt położony na kolegium niemieckiem rzuca na Austryę podejrzenie o schizmatyckie tendencye, obraża ludność katolicką, która wbrew przyrodzonemu prawu, pozbawioną jest swobody pobierania nauk teologicznych w ognisku katolicyzmu, gdy protestanci zachowują wolność czerpania doktryn wątpliwych w zakładach naukowych, uchylonych z pod kontroli rządu W. C. Mości i nieużywających reputacyi, jakoby pracowały nad utwierdzeniem tronów i spokoju cywilnego społeczeństwa.“

[1] Szczegóły znajdzie czytelnik w dziele: Zniesienie Jezuitów w Polsce. Lwów 1875.

w Austryi zgromadzenia zakonne.“ Na szczęście Jezuitów, sprawa oparła się o Metternicha. Metternich podzielał powszechne uprzedzenia do pewnego stopnia; wolałby był, żeby Jezuitom przybywającym z Polski zaraz schronienia odmówiono i pozwolono tylko przez Austryę przejechać, ale mając do wyboru między pozostawieniem ich w Galicyi a zupełnem usunięciem, oświadczał się za pierwszem, oraz za przywróceniem zakonowi pierwotnej reguły.

„W epoce reformacyi, pisał do cesarza [1], wśród ciężkich walk, przez poprzedników W. C. Mości toczonych, ukazał się człowiek, który przedsięwziął położyć potężną tamę postępom złego. Tym człowiekiem był św. Ignacy. Obdarzony prawdziwie chrześcijańskiem jasnowidzeniem, sięgającem do głębin społeczeństwa ludzkiego, stworzył ciało silnie ukonstytuowane, nieprzystępne zewnętrznym wpływom, i oddał na usługi Głowie Kościoła. Ciało tego rodzaju, do walki zorganizowane i wzrastające w siły wśród walki, musiało z czasem utworzyć *status in statu* i narazić się na prześladowanie wszystkich stronnictw reformatorskich; mogło wymagać zbawiennej reformy, to jest, przywrócenia pierwotnej podstawy, którą przekroczyło; lecz instytucya sama w sobie nie przestała być najdzielniejszą bronią przeciwko duchowi błędu, nie przestała iść wytrwale do celu niezmiennego, być podporą tronów i ołtarzy. Co się tyczy użyteczności zakonu w naszych czasach, sądzę, że powinniśmy brać miarę z usposobień i opinii wrogów wszelkiego porządku legalnego, wszelkiej wiary pozytywnej i pozytywnego prawa: gdyby bowiem sekciarze wierzyli choć w cząstkę szkodliwych tendencyi, Jezuitom przypisywanych pospolicie, sami pracowaliby nad rozszerzeniem zakonu św. Ignacego, jako najlepszej dźwigni do urzeczywistnienia swoich zamiarów... Zapatrując się na przedmiot z wewnętrznego stanowiska monarchii, niepodzielam zdania kanonika Frinta, powołującego się na publicystów współczesnych, gdyż odrzucam bezwarunkowo powagę tak zwanych publicystów. Kwestya obowiązujących przepisów zasługuje na uwagę, administracya bowiem nie powinna sama z sobą w sprzeczności stawać. W tej mierze jednak, rozstrzyga

[1] Memoryał z 18 października 1825.

pytanie: czy rozporządzenia cesarza Józefa o zgromadzeniach klasztornych zgodne są lub nie z dobrem religii i moralności, a więc z prawdziwym interesem państwa; czy te rozporządzenia nie były wynikiem teoryi, przez doświadczenie potępionych? Obraz stanu klasztorów, skreślony przez kanonika Frinta i na nieszczęście aż nadto wierny, najlepiej to pytanie rozstrzyga. Bez obawy przeto powiadam: albo niech Jezuitów wcale nie będzie, albo niech Jezuici zachowają regułę pierwotną w całej czystości. Jakąż zresztą rękojmię daćby mogli W. C. Mości ludzie, rozpoczynający od pogwałcenia ślubów zakonnych i złamania przysięgi posłuszeństwa, dawniej wykonanej?".

Interwencya Metternicha nie pozostała bez skutku, bo Jezuici sprawy dopilnowali i własnem staraniem dokazali cudu nad cudami, że ich prośba nie poszła w zapomnienie. Reskryptem cesarskim z 17 listopada 1827, więc po dwuletnim namyśle, pozwolono Jezuitom „żyć według reguły zakonnej i wykonanych ślubów."

W memoryale broniącym Jezuitów, Metternich dotknął kwestyi edukacyi publicznej w Austryi, w następnych słowach: „Nie będę rozbierać, czy metoda wychowania i nauczania Jezuitów jest najlepsza; to pewna, że różni się ona od naszej w najgłówniejszych punktach i zostaje z naszą w rażącej sprzeczności. Wiem także, że nasz system nauczania jest bezwarunkowo zły, a system Jezuitów, jakikolwiek on jest, od naszego bezwarunkowo lepszy, bo monarchiczny, podczas gdy nasz monarchicznym nie jest." Oprócz tej wzmianki pobieżnej, niema śladu, żeby Metternich lub kto inny zajmował się w Austryi reformą edukacyi publicznej, względem której rządy i ojcowie rodzin wszędzie grzeszną prawdziwie okazywali obojętność. Tylko zawarcie konkordatu mogło w tej mierze niejakie sprowadzić polepszenie, a niedojście do skutków układów z Rzymem możność reformy przecięło. Niebawem nieporządki, wynikłe między młodzieżą uniwersytecką w Niemczech, zmusiły rządy do czynnego zajęcia się sprawą wychowania młodych pokoleń.

XI.

W jesieni 1817 roku, pod pozorem obchodu jakiejś rocznicy Lutra, związek młodzieży uniwersyteckiej urządził w Wartburgu olbrzymią manifestacyę studencką, świadczącą, że studentom zachciewa się świat naprawiać i zaprowadzać nowy na nim porządek, realizujący profesorskie teorye, dziennikarskie wywody i mieszczańskie marzenia. Fakt sam z siebie nieobojętny, dawał miarę, jak daleko zaszła między młodzieżą propaganda rewolucyjna, którą rządy wielu państw niemieckich tolerowały z umysłu, albo przez słabość i niewiadomość. Gabinet wiedeński oddawna ją śledził pilnem okiem, ostrzegał inne gabinety, ale słuchanym nie był. Zajścia w Wartburgu mało komu posłużyły za naukę; król pruski tylko i jego najbliżsi doradcy okazali gotowość popierania Austryi, pragnącej skłonić rządy do wspólnej represyi nieporządków uniwersyteckich. Korespondencya gabinetowa do niczego jednak nie wiodła. W świeżo wskrzeszonym sejmie Rzeszy przewaga była po stronie drobnych członków, reprezentujących zasady demokratyczne; Prusy i Bawarya powszechnie nienawidzone, nie miały najmniejszego wpływu; Saksonia trzymała się sama na boku; Austryi schlebiano w formach, a Austrya czując własną niemoc, unikała starć i kontentowała się pozorami przychylności. *L'avorton politique*, jak go w Wiedniu nazywano, sejm frankfurcki bawił się w wielką potencyę, zamyślał o wprowadzeniu w całych Niemczech konstytucyi parlamentarnych, kokietował z liberalizmem, i ani chciał, ani śmiał targnąć się na przywileje uniwersytetów. Żeby rządy pomniejszych państw do czynu pobudzić, Metternich zaapelował do cesarza Aleksandra, którego głos wiele znaczył na dworach, związanych z nim krwią i pamięcią doznawanych względów. Aleksander, naówczas protektor liberalnych doktryn, poparcia odmówił, twierdząc, że wielkie mocarstwa nie mają prawa mięszać się w wewnętrzne sprawy rządów, dopóki nie są na pomoc wezwane, lub też dopóki Europa nie orzeknie jednozgodnie, że interwencya jest potrzebną dla ocalenia powszechnego pokoju. Jak później się pokazało, Aleksandrowi nie tyle szło o rzecz, ile o skłonienie cesarza Franciszka i Metternicha do nowej edycyi kongresu monarchów, na którym Aleksander

zamierzał wystąpić w roli rozjemcy między koronowanemi głowami, tudzież między rządami i ludami. Cesarz Franciszek i Metternich przeciwni byli zjazdom panujących, z bardzo słusznych powodów. Osobisty udział monarchów w traktowaniu bieżących spraw międzynarodowych zawsze więcej złego niż dobrego wydawał i podkopywał urok monarchizmu; na osoby bowiem monarchów spadała później odpowiedzialność za postanowienia powzięte i nieraz zbawienne, lecz w wykonaniu skrzywione. Kongresu tem mniej życzono sobie w Wiedniu, że całe postępowanie cesarza Aleksandra wielkie wzniecało obawy. W korespondencyi dyplomatycznej Aleksander ustawicznie wracając do aktu świętego przymierza, któremu dawał najdziwaczniejsze interpretacye, przemawiał jak apostoł sekty, prawił o braterstwie monarchów i ludów, zalecał rządom powrót do przepisów „oczyszczonej moralności ewangelicznej," bronił praw ludów i adwokatował nowatorstwom, które gabinety konserwatywne uważały za szatański wynalazek. Pamiętna mowa przy otwarciu pierwszego sejmu w Warszawie, sławiąca dobrodziejstwa liberalnych doktryn, wyniosła Aleksandra na szczyt popularności, ośmieliła przeciwników absolutyzmu, w Wiedniu szczególnie do żywego dotknęła sfery rządowe. Dyplomaci rosyjscy, dzwoniący na kongres, zapowiadali, że cesarz zadziwi świat „europejskiemi koncepcyami." Podejrzywano prócz tego Aleksandra o ambitne plany na Wschodzie; on jeden nakoniec utrzymywał armię na dawnej stopie i był w stanie wojnę prowadzić, podczas gdy Austrya, ułożywszy się do snu, wojsko rozpuściła i kadry nawet zdezorganizowała. Wobec niezmiernego uroku, jaki otaczał Rosyę od 1812, i osobistego uroku Aleksandra, ani myśleć było można cokolwiek bez Aleksandra przedsięwziąść; sprowadzić go znowu na kongres, znaczyło przyspieszyć pęknięcie bomby, naładowanej „europejskiemi koncepcyami." Sprawa była tem cięższa, że zbliżał się termin wycofania z Francyi wojsk okupacyjnych, przy czem z góry zastrzeżone było w Wiedniu, że mocarstwa określą szczegóły ewakuacyi i dalszy stosunek do Francyi. Gabinet wiedeński proponował powierzyć tę kwestyę naradzie ministeryalnej, zwołanej do Paryża, lub Brukseli; Aleksander uparłszy się przy kongresie, od swego nie odstąpił. Skończyło się na zjeździe monarchów w Akwiz-

granie, ale nie dopuszczono przybycia króla hiszpańskiego i panujących niemieckich drugiego rzędu. Aleksander „mądrością i umiarkowaniem“ w zadziwienie wprawił tych właśnie, co się najbardziej obawiali jego pojawienia na kongresie. Nie wystąpił z najmniejszą „koncepcyą europejską,“ zalecał wszystkim, szczególnie Niemcom, „poszanowanie zasad konserwatywnych, porządku społecznego, uległość względem władzy prawowitej.“ Nie obeszło się naturalnie bez kursu moralności chrześcijańskiej. Aleksander nie dopuścił wzięcia Francyi w kuratelę, ani ustanowienia policyi europejskiej, lecz widocznie miękł i chwiał się w liberalnych upodobaniach. W prywatnych stosunkach z panującymi i ludźmi stanu w Niemczech, nakłaniał do szanowania rad Austryi, nalegał na potrzebę rozciągnięcia nadzoru nad uniwersytetami, nad wykładami profesorów i postępowaniem studentów. Jakoż przedsięwzięto niejakie środki represyjne, które taki osiągnęły skutek, że stowarzyszenia studenckie zamieniły się w formalne spiski. Metternich skorzystał z pobytu w Akwizgranie, żeby zwrócić uwagę rządu pruskiego na konieczność reformy politycznej w Prusach.

Fryderyk Wilhelm III., w przystępie strachu, poczynił był poddanym obietnice, których nie miał ani ochoty, ani odwagi spełnić. Ograniczony na umyśle, zazdrosny o osobistą niezależność i władzę, cudem prawie odzyskaną, w rozdwoju z poddanymi, których zawiódł, opierał się na arystokracyi, w absolutyzmie monarchicznym upatrującej rękojmię ocalenia własnych przywilejów; otaczał się ludźmi, z zasady, interesu, lub zwyczaju schlebiającymi widokom monarchy. Materyalny organizm rządu centralnego nie odpowiadał obszarowi obowiązków, jakie rząd wziął na siebie, wszystko w swe ręce zagarnąwszy. Król, co ostatecznie w każdej rzeczy stanowił, nie był w stanie sam podołać swemu zadaniu, a odjął sobie możność rządzenia i kontroli, zaprowadzając bezprzykładny nieład w sposobie wykonywania rzemiosła monarszego. Z wyjątkiem ministra spraw zagranicznych i wojny, inni ministrowie nie mieli przystępu do osoby monarchy; niejednego król nie znał z twarzy. Raz na spacerze, jakiś stary jegomość bardzo nisko kłaniał się królowi. — Kto to jest? — pyta adjutanta. — Altenstein, minister wyznań W. K. Mości. A zapominać nie trzeba, że sprawy religijne były cierniem, wiecznie kolącym

Fryderyka Wilhelma. Właściwy rząd składali z królem trzej ludzie: kanclerz Hardenberg, minister spraw zagranicznych Bernstorff i minister stanu Wittgenstein. Hardenberg przygnieciony wiekiem, głuchy, stracił dawną dzielność umysłu, siłę charakteru i woli; krążył koło niego rój malkontentów, którym dawał się powodować. Bernstorff miał ustaloną i zasłużoną reputacyę człowieka ograniczonego i słabego. Wittgenstein, zakamieniały w wyobrażeniach innego czasu, słynął z tego, że żarty stroił i powtarzał stare koncepta. Tak dobrany areopag wisiał w powietrzu.

W r. 1808 kilku patryotów założyło w Prusach związek, zwany Tugendbundem, mający na celu „pielęgnowanie ojczystych uczuć, języka i obyczaju, moralnego sposobu życia.“ Rząd zatwierdził statuta, wzbraniające związkowym „mieszać się do polityki i administracyi;“ lecz po upływie niespełna dwóch lat, spostrzegłszy, że pod jego bokiem wzrasta potęga, której panem być przestaje, Tugendbund rozwiązał. Urzędownie zniesiony, związek przeobraził się w tajne stowarzyszenie na model i w duchu wolnomularstwa, dążące do zrzucenia jarzma francuskiego, protegowane na dworze przez partyę patryotyczną. Jego dziełem była w znacznej części wyprawa Schilla. Metternich przez dyplomacyę austryacką zawczasu przepowiadał w Berlinie następstwa tajnej organizacyi, obejmującej oświecone warstwy narodu; ale rząd, zbyt słaby, żeby ruch powstrzymać, związek tolerował, widząc w nim narzędzie, kiedyś mogące się przydać. Najznakomitsi ludzie wchodzili do Tugendbundu i z nim na współkę przysposabiali pospolite ruszenie roku 1813. W samej rzeczy Tugendbund przyczynił się do podźwignięcia Prus z upadku; zarazem jednak spopularyzował rewolucyjne dążności, wychował demokracyę, był szkołą tajnych robót politycznych, dał popęd do odnowienia sekretnych towarzystw. Z Tugendbundu wyrosły związki studenckie. Adepci Tugendbundu opanowali administracyę, sądownictwo, nauczanie, prasę, jednem słowem rząd i społeczeństwo. Król usunął Steina, niechcącego służyć ojcowskiemu despotyzmowi, lecz nie był w stanie pozbyć się mnóstwa malkontentów, od góry do dołu zapełniających posady wyższe i niższe wszędzie, zwłaszcza w administracyi prowincyi nadreńskich, dawniej przez Steina administrowanych. Pracując w cichości, malkontenci uratowali

kraj od zupełnego zastoju, przysposobili późniejszą wielkość Prus, ale krzyżowali zamiary rządu centralnego, który miał przeciwko sobie oświecone warstwy narodu, zawiedzione przez króla, szemrzące, grożące wymówieniem posłuszeństwa.

„Król dał obietnice, przyrzekł zaprowadzić system reprezentacyjny, winien przeto słowa dotrzymać i dać poddanym gwarancye, zgodne z położeniem monarchii; odzywa się Metternich w memoryale, udzielonym Hardenbergowi i Wittgensteinowi. Ludy, zwłaszcza niemieckie, ostrzeżone przykładem przeszłości, pamiętne strasznych nadużyć władzy, jakich się książęta niemieccy, uwiedzeni poczuciem wszechwładztwa swego dopuszczali, żądają rękojmi przeciwko samowoli. W początkach, aspiracye ludowe tłómaczyły się żądaniem zwrotu dawnych konstytucyi miejscowych; następnie, wyprzedzone przez rewolucyjne postulata, przyjęły za cel system centralnej reprezentacyi, niejasne pojęcie znaczenia której, wielkie rodzi złudzenie w wielu umysłach. Jeśli jednak usposobienia ludności rzeczywiście zmianie uległy, monarchowie tembardziej są obowiązani kwestyę zbadać i szukać stosownego wyjścia.“ Wychodząc dalej z założenia, że monarchia pruska składa się z odrębnych części, jak: Marchia brandeburgska, Prusy królewskie, Księstwo poznańskie, Szląsk, Saksonia, Westfalia, księstwa dolnego Renu, „mających prawo do reprezentacyi stanowej,“ Metternich radził nadać każdej prowincyi taką reprezentacyę regularnie zwoływaną, w celu uchwalania rozkładu podatków i przedstawiania rządowi próśb i uwag w rzeczach miejscowego interesu, tudzież ustanowić rodzaj reprezentacyi centralnej, złożonej z delegatów stanów prowincyonalnych, do rozpatrywania budżetu i projektów prawodawczych.

Pomysły Metternicha spotkał w Berlinie los podobny jak w Wiedniu: zostały na papierze. Przy tej sposobności, nakłaniał się także rząd pruski do porozumienia się z Austryą w kwestyi wychowania publicznego, towarzystw gimnastycznych i wolności prasy.

„Widocznem jest, dowodził, że nowatorzy wyrzekli się nadziei owładnięcia pokoleń dojrzałych, a zwłaszcza popchnięcia ich do czynu. Niemiec jest z natury flegmatyk, skłonniejszy do spekulacyi niż do działania, szczególnie gdy działanie grozi zni-

szczeniem rodziny i węzłów cywilnego prawa; nadto, przywiązany do partykularyzmu. Dlatego partya rewolucyjna zwróciła się ku młodym pokoleniom, które opanować się stara przy wyjściu z dzieciństwa i wychowywać w rewolucyjnych pojęciach i w rewolucyjnej karności. Towarzystwa gimnastyczne są szkołą przygotowawczą nieporządków uniwersyteckich, w nich dziecko wyrasta na młodzieńca, którego następnie uniwersytet wykształca na człowieka. Kwestya swobody druku, najtrudniejsza ze wszystkich, może być uregulowaną jedynie przez zgodę Austryi i Prus z innymi rządami niemieckimi; należy odróżnić dzieła poważne i prawdziwe od paszkwilów i publikacyi peryodycznych, i pierwszym zostawić jak największą swobodę; dalej, pogodzić niezależność członków związku niemieckiego z obowiązkiem, aby każde państwo zaprowadziło u siebie skuteczne prawo drukowe, prewencyjnej lub represyjnej natury. W konkluzyi proponuję, żeby Prusy zarządziły u siebie środki przeciwko towarzystwom gimnastycznym i rozpoczęły układy z Austryą co do pozostałych punktów."

Wypadki nie czekały na rezultat narad gabinetowych. W marcu 1819, Karol Sand, student z Erlangen, zasztyletował w Mannheimie Augusta Kotzebuego, znanego pisarza dramatycznego, niegdyś stronnika rewolucyi, który uchodził za tajnego ajenta rosyjskiego i któremu przypisywano wpływ szkodliwy na cesarza Aleksandra. Śledztwo wykazało, że Kotzebue był skazany na śmierć przez tajemny trybunał; los wyznaczył uniwersytet, mający wyrok wykonać, Sand dobrowolnie tego się podjął. Przy mordercy, który po spełnieniu zbrodni, życie sobie usiłował odebrać, znaleziono odezwę do ludu niemieckiego z oświadczeniem, że czynu dokonał z namysłem, z miłości ojczyzny i wolności, tudzież z wezwaniem do naśladowania jego przykładu, wytępienia ludzi źle myślących, dokończenia dzieła reformacyi. Postępek Sanda niezmierny rozgłos znalazł w Europie. Prasa liberalna starała się wzbudzić sympatyę dla osoby zbrodniarza i otoczyć go aureolą męczeństwa; opinia mieszczańska, przychylna morderstwom politycznym, dopóki mordowano tylko monarchów i urzędników, stanęła po części otwarcie po stronie Sanda, po części winę na rządy zwaliła. Metternich pod ten czas bawił w Rzymie. Tam

doszły go raporta urzędowe, tchnące przerażeniem; listy Gentza, Adama Müllera i innych wiedeńskich i zagranicznych korespondentów, błagające o ratunek. Müller niedawno nawrócony na katolicyzm, człowiek gorącej wiary i wielkiej wiedzy, mistyk i doktryner, twierdził nie bez słuszności, „że wichrzenia uniwersyteckie płyną z reformacyi, źródła wszystkiego złego, które nie da się wytępić inaczej, jak niszcząc reformacyę samą.“ Gentz, protestant, często zamyślający nawrócić się, a tymczasem zaledwie w Boga wierzący, konserwatysta ówczesnego kroju, bojaźliwy i tak wystraszony, że odtąd wszędzie widział studentów czychających na jego życie, lecz jako w sprawy bieżące wtajemniczony, praktycznie zapatrujący się na rzeczy, wołał o reformę uniwersytetów przez sejm Rzeszy, ustanowienie kuratorów, przedewszystkiem o usunięcie z katedr „prawdziwych morderców, których nauki trują młodzież i ludzi dobrego serca na zbrodniarzy przerabiają.“ „Do dziwów mojej egzystencyi, odpowiada mu Metternich, należy i to, że tu w Rzymie przyszło mi poświęcać całe godziny kwestyi uniwersytetów niemieckich. Z całych Niemiec odbieram listy błagające mnie, abym stanął na czele i ukrócił nieład, nad którego wznieceniem niejeden rząd co sił pracował i któremu teraz rady dać nie umie. Kwestya karności w uniwersytetach i kwestya nauczania, jakkolwiek ściśle z sobą związane, winny być traktowane oddzielnie. Mieszając się do nauczania, do niczego nie dojdziemy: przekonywa mnie o tem między innemi list Müllera. Nie odmawiam mu słuszności, lecz nie mogę z Kwirynału zaczepiać doktora Marcina Lutra i spodziewam się skutek osiągnąć, bez zabierania się do protestantyzmu. Sejm Rzeszy nie wydaje mi się miejscem stosownem do traktowania sprawy uniwersytetów, nie mamy jednak innego ogniska, a znając słabość naszych rządów, przekonany jestem, że poufne dyskusye do niczego nie doprowadzą. Zresztą niema czasu do stracenia. Rządy dziś są tak wystraszone, że chcą działać; niedługo strach gotów im odjąć ochotę i możność.“

W sejmie frankfurckim, ks. Wejmarski, protektor swobód uniwersyteckich i z tego powodu nazwany „starym studentem,“ wniósł mocyę, aby „szanować swobodę opinii i nauczania, bo w otwartej walce opinii młodzież znajdzie prawdę i osłonę prze-

ciwko zbytecznej ufności w powagę nauczycieli i nabędzie niepodległości sądu.“ Metternich polecił pełnomocnikowi austryackiemu podjąć propozycyą wejmarską. „Dobrze zrobiłem, sądzę, pisze do Gentza. Pogarda nie byłaby dostateczną karą dla starego studenta: postaramy się obrócić na dobre jego szalone projekta i zwyciężyć go na jego własnym gruncie.“ Jakoż sejm, nie czując się na siłach, aby rozwiązać szaradę starego studenta, zabdykował na rzecz konferencyi ministeryalnej, zwołanej do Karlsbadu.

W drodze do Karlsbadu, Metternich odwiedził w Cieplicach króla pruskiego, kąpiącego tam corocznie swoje reumatyzmy. Fryderyk Wilhelm był mocno zaniepokojony, coraz w większych kłopotach. „Przed sześciu laty, mówił do Metternicha, walczyliśmy z nieprzyjacielem w otwartem polu; dziś nieprzyjaciel krąży koło nas zamaskowany. Nikt bardziej odemnie dobra nie pragnie, ale moje położenie jest bardzo trudne, nie mam zwłaszcza ludzi. Liczę na księcia, że mi dopomożesz i że z cesarzem wspólny plan postępowania ułożymy.“ Na to Metternich odpowiedział, że zrobi, co może, ale znając stan administracyi pruskiej, nie oczekuje dobrego skutku po najlepszych środkach; w Prusach jest król, ale nie ma władzy królewskiej; rząd toleruje złe, grożące tronowi i osobie monarchy; spisek ma protektorów w najwyższych sferach. Król narzekał na Hardenberga, że się zestarzał i otoczył „szczególnymi ludźmi;“ w końcu zażądał od Metternicha, żeby naradził się z kanclerzem i ministrami i związał ich „piśmiennem zobowiązaniem.“

Złożono naradę. Ze strony Prus zasiadł Hardenberg, Bernstorff i Wittgenstein; Metternichowi asystował Zichy, znawca stosunków niemieckich. Po naradzie Metternich wyprawił raport do cesarza Franciszka. „Krzywe postępowanie rządów, a na ich czele pruskiego, pisał, przyśpieszyło rozwój ducha rewolucyjnego w Niemczech, i jest to może ostatnia chwila położenia tamy złemu. Dawniej rewolucyoniści niemieccy byli podzieleni; partya militarna pruska dążyła do powiększenia Prus drogą podbojów; stronnictwo cywilne chciało Prusy na wewnątrz przekształcić. Spiskowi czując, że nie są w stanie zadać ciosu skutecznego, znaleźli drogę prawdziwą ze swego stanowiska i postawili jako cel zjednoczenie Nie-

miec[1]. Wiedząc, że czynne pokolenia do tego się nie nadają, zwrócili się ku młodzieży uniwersyteckiej, która w przecięciu co lat cztery odnawia społeczeństwo. Dziś istnieje już cała klasa przyszłych urzędników, nauczycieli ludowych, uczonych, do podjęcia dzieła rewolucyi dojrzałych. Gdy z drugiej strony najważniejsze urzęda w administracyi pruskiej są obsadzone rewolucyonistami, nic dziwnego, że Prusy całe są do rewolucyi dojrzałe. Przyłożyły się do tego inne okoliczności, mianowicie swawola prasy, tudzież wprowadzenie konstytucyi demagogicznych w Bawaryi, w Badenie i w Wirtembergu. Brakuje tylko, żeby Prusy przyjęły także konstytucyę demokratyczną, czemu sprzeciwia się zaledwie osobisty wstręt króla do inowacyi i jego jedyna siła, siła biernego oporu.“ W ręce króla Metternich złożył powtórny memoryał, nalegający na konieczność dania Prusom reprezentacyi stanowej; z ministrami ułożył program narad karlsbadzkich, obejmujących kwestyę wolności prasy, ustanowienie komisyi dla zbadania stanu uniwersytetów, oraz drugiej komisyi śledczej dla tajnych towarzystw.

Cesarzowi Franciszkowi nie podobał się najpierw plan wewnętrznej reformy Prus. „Znajduję, powiadał, że tam, gdzie niema jeszcze stanów prowincyonalnych, lepiej poczekać z tą inowacyą i nie mówić o niej teraz, bo ludność i tak trudną do utrzymania na wodzy, bardziej jeszcze rozruszamy, a wątpię, czy zadowolni się ona taką konstytucyą, o jakiej mowa w raporcie. Nakoniec, jest rzeczą bardzo ważną przypuścić stany do udziału w prawodawstwie.“ Król pruski, w gruncie jednego zdania z cesarzem austryackim, ociągał się z ustępstwem, które wszystkich zadowolnić nie mogło, lecz obiecywało przynajmniej zadośćuczynić słusznym życzeniom ludzi spokojnych, pracujących, z położenia swego konserwatywnych, i mogło rozerwać niezdrową solidarność umiarkowanych żywiołów z wichrzycielami z rzemiosła. My Polacy najlepiej wiemy z doświadczenia, że siła każdego spisku spoczywa głównie w tolerancyi i moralnem wspólnictwie społeczeństwa. Dla naszych ojców konstytucye parlamentarne

[1] Odpowiedź tym, co utrzymują, że Metternich nie przewidział zjednoczenia Niemiec. Raport nosi datę 1 sierpnia 1819.

i inne postulata nowoczesnego liberalizmu, były rodzajem zakazanego owocu, dla zdobycia którego poświęcali chętnie wolność i życie. Rozprzężenie religijne, powszechne nieukontentowanie i zniechęcenie, z wielorakich źródeł płynące, ta ślepa, niczem niemiarkowana pożądliwość zakazanego owocu, czyniły ich dziwnie pochopnymi do pójścia za głosem pierwszego lepszego samozwańca, obiecującego upragnione swobody. Z powolności mas korzystali też naczelnicy sekt i tajnych towarzystw. Schlebiając upodobaniom i namiętnościom, pociągali za sobą tłumy prostego umysłu i dobrej woli; znajdowali wspólników, niepytających o ostateczne cele, zwabionych widokiem obalenia istniejącego porządku, jako pierwszej zapory do politycznej i społecznej poprawy. Rządy, nie wierząc w dojrzałość poddanych do używania swobód szerokich, miały racyę opierać się przewróceniu do góry nogami ustanowionego porządku, ale upór twardogłowy w odmawianiu wszelkich ustępstw, pchał ludność w objęcia nieprzyjaciół wszelkiego porządku, których społeczeństwa uznały za wiernych przyjaciół i jedynych przewodników. Niebawem, rzeczy tak stanęły, że najmniejsze ustępstwo ze strony rządów, wychodziło tylko na pożytek uwodzicieli, anarchistów, spiskowców, ośmielało ich do dalszych szturmów, dawało im w ręce broń niebezpieczną. Zawrzała walka otwarta między rządzącymi i rządzonymi, z obu stron wiedziona zaciekle, nie przebierając w środkach, wśród której obie strony traciły pojęcie różnicy między tem co wolno a niewolno, co potrzebne i pożyteczne, a zbyteczne i szkodliwe.

Konferencya karlsbadzka i po niej następująca wiedeńska, zamiast spełnić oczekiwania, nie mało przyczyniły się do przyspieszenia i rozjątrzenia tej walki. Artykuł XIII paktu federalnego przewidywał przywrócenie w krajach związkowych dawnych konstytucyi miejscowych, ale nigdy nie wszedł w życie. Austrya i Prusy dały pierwsze zły przykład, nieposzanowania paktu związkowego; rządy państw południowych przekroczyły go, wprowadzając u siebie demokratyczne konstytucye. Teraz było już zapóźno odrabiać fakta spełnione. Sejm Rzeszy nie śmiał się przechylić na żadną stronę, prędzej popierał tendencye drobnych państw; nie miał wreszcie siły wykonawczej. Austrya bała się brzęknąć pałaszem, zamkniętym na cztery zamki, żeby nie zbu-

dzić szatana wojen; pragnąc reformy związkowej, chciała, żeby Niemcy poddały się pod jej zwierzchnictwo przez respekt dla Habsburga i Habsburgowi służyły z poświęceniem własnego interesu, z zaparciem się bezwarunkowem. Proces o reformę związkową dopiero za naszych czasów Prusy mieczem rozcięły. Uchwały konferencyi karlsbadzkiej w kwestyi prasy, uniwersytetów i represyi tajnych towarzystw, które sejm Rzeszy musiał przyjąć, natrafiły na opór rządów, związanych konstytucyami, albo też zazdrosnych o przewagę wielkich mocarstw. Brak związkowej siły wykonawczej na tym punkcie najdotkliwiej dał się uczuć. Ministrowie zebrani na narady, bili czołem przed Metternichem, sławili jego mądrość i zbawienne zamiary Austryi, ale gabinet wiedeński pozostał jak pierwej bezwładnym. W Wiedniu dość zresztą obojętnie patrzano na rzeczy. „Austrya, powtarzał Metternich, nie chce i nie może zmienić swego systemu rządowego, musi więc przeszkadzać zmianom gdzieindziej przedsiębranym; pragnie zbawić Niemcy, ale nie mogąc tego dopiąć, musi dbać o własne zbawienie", w tym celu otaczała się chińskim murem od reszty świata. Żeby skłonić rządy drobnych państw do uległości, Metternich jak zwykle zaapelował do cesarza Aleksandra, który długo użycia swego wpływu odmawiał. Zrazu nawet Capod'Istria, wówczas minister spraw zagranicznych, okólnikiem zachęcił drobiazg niemiecki do stawienia czoła gabinetowi wiedeńskiemu. Zabójstwo ks. Berry, ruchy rewolucyjne włoskie, zachwiały Aleksandra w liberalnych mrzonkach, zaczął przemawiać za przyjęciem postanowień konferencyi, lecz publicznie nigdy głosu nie podniósł, pomimo że u siebie, w Wilnie i w Warszawie, takie same środki represyjne zarządził.

Ostatniem słowem długiej pracy w Karlsbadzie, Wiedniu i Frankfurcie, była mechaniczna represya nadużyć druku i nauczania, oraz tajnych towarzystw, sama przez się niezdolna uleczyć złego, niewiodąca do bezpośredniego celu, bo niezupełna i często niezręczna.

Po odwrocie wielkiej armii z pod Moskwy, kiedy rządy niemieckie wytężyły wszystkie siły do walki z Napoleonem, chętnie widziano rozwój prasy patryotycznej, zagrzewającej naród do wysileń i ofiar. Ludzie nauczyli się pisać, drukować i czytać, roz-

mnożyły się dzienniki i pamflety, urosła potęga wielka, żadnym niepodlegająca wyraźnym prawom. Po wojnie ta potęga już uorganizowana i rozgałęziona, używająca prawa obywatelstwa i nieograniczonej swobody, pozostawszy w swej roli, podjęła kwestye będące na porządku dziennym mianowicie najważniejszą, około której wszystko się obracało, kwestyę podziału władzy i formy rządu. Publicyści niemieccy wyszli prawie wszyscy ze szkoły Tugendbundu; doświadczenie nauczyło ich, że chcąc być czytanym i słuchanym, trzeba iść z prądem dominującym; że popularność i poklask zdobywa się najpewniej, uderzając w słabe strony czytelników; że skrajne dążności i jaskrawa forma jednają pismu rozgłos i autorowi chwałę. Wierni swemu pochodzeniu, zasadom z mlekiem wyssanym i wskazówkom z doświadczenia czerpanym, oddali potęgę prasy na usługi idei liberalnych i rewolucyjnych, podczas gdy opinie konserwatywne miały w prasie zaledwie nielicznych obrońców. W rzędzie komunałów mieści się i ten, że wolność nosi w własnem łonie lekarstwa na nadużycia wolności; jest to jeden z najgłówniejszych argumentów na korzyść nieograniczonej swobody druku, codziennie dotąd powtarzany, chociaż praktyka codziennie jego fałszu dowodzi. Obrońcy nieograniczonej swobody druku, sławiący zarazem potęgę prasy, której znaczenia i wpływu nikt nie przeczy, zapominają najprzód, że prawo wykładania indywidualnych opinii, na równi z wszelkiem prawem, znajduje naturalne granice w innych prawach, jakie człowiek i ludzkość posiada, lub którym człowiek i ludzkość podlega; zapominają następnie, że prasa, jak każda potęga, jak każda siła, musi być uregulowaną i trzymaną w pewnych granicach, wskazanych stanem społecznym, stopniem umysłowej i politycznej dojrzałości, temperamentem narodu. Co się zaś tyczy homeopatycznego leczenia nadużyć wolności prasy, może ono być skutecznem, gdy ludzkość tak zmądrzeje, że człowiek mając do wyboru między głosem prawdy, przemawiającym do jego rozumu i sumienia, a głosem fałszu, odzywającym się do jego namiętności, zawsze pierwszego usłucha. Jak dotąd, rzeczy stoją przeciwnie, i nie czemu innemu zawdzięcza zła prasa przewagę nad dobrą, która przy tak utrudnionem zadaniu, z winy ludzi i okoliczności, nie dorasta zwykle przeciwniczce talentem,

rzutkością i materyalnymi zasobami. W porze, o jakiej mowa, wpływ prasy liberalnej i rewolucyjnej nie mógł być zresztą miarkowany wpływem prasy konserwatywnej, bo ta ostatnia tak dobrze jak nie istniała w Niemczech.

O ujęciu prasy w przyzwoite karby pomyślano dopiero wtedy, gdy swawola dziennikarska gwałtem rządy do tego wyzwała. Wypadało stworzyć nowe prawodawstwo w materyi najtrudniejszej do uregulowania na drodze prawodawczej. Wzgląd na opinię powszechną nie pozwalał poddać pod cenzurę wszystkiego, co wychodziło z pod pras drukarskich. Wzięto za wzór przepisy za pierwszej restauracyi we Francyi wydane. Rozróżniając dzieła „prawdziwe“ od ulotnych płodów, za dzieło prawdziwe uznano każdą książkę, obejmującą najmniej dwadzieścia arkuszy druku, i także wyjęto z pod przepisów obowiązujących publikacye mniejszej objętości. Fałsz przeto, byle rozwałkowany na pewnej przestrzeni, mógł śmiało krążyć po świecie. Przepis miał głównie na oku broszury polityczne, które najgorzej bruździły; lecz autorowie i wydawcy prędko wpadli na sposób obejścia prawa, tworząc z kilku broszurek dwudziesto-arkuszowe tomy. Inne druki Metternich życzył sobie poddać wszędzie pod cenzurę prewencyjną, okazało się to jednak niemożebnem. Podczas gdy jedne rządy cenzurę ustanowiły, inne wydały prawa drukowe represyjne. W praktyce, w trzydziestu ośmiu państwach związkowych, liczono niemal tyleż odmiennych sposobów traktowania prasy. Co w jednej stolicy było wzbronionem, o kilka mil w sąsiedztwie rozpowszechniano najswobodniej. Zakaz książki przez rząd wielkiego mocarstwa służył książce za najlepszą rekomendacyę w oczach publiczności. W Wiedniu niedorzeczne ramoty zakazane rozchodziły się w tysiącach egzemplarzy, pod nosem policyi, dowiadującej się dopiero z drwinek ulicznych, jakiego jej figla spłatano. Dziennikarze nauczyli się prędko oszukiwać cenzorów, a publiczność czytać między wierszami; cenzura przywiedziona do rozpaczy, stawała się codzień podejrzliwszą, niezręczniejszą i niedołężniejszą [1].

[1] W Berlinie jakaś gazeta podając wiadomość o małżeństwie księżniczki pruskiej z księciem sąsiedniego dworu, wsunęła zaraz po-

Metternich, najpierwszy w Niemczech, zorganizował służbę prasową. Za jego inicyatywą powstały w Wiedniu, w ciągu roku 1817, *Litterarische Annalen*, pod redakcyą profesora Mathaeusa i Pilata; cenzurę części politycznej Metternich wziął na siebie. Później założył dziennik półurzędowy, *Oesterreichischer Beobachter;* miał w Gentzu jedno z najświetniejszych piór swego czasu, ściągał ludzi zdolnych z całych Niemiec, sam dużo pisywał; komunikaty gabinetu wiedeńskiego szły do Hamburga, Augsburga, Paryża, Londynu. Kazano, niestety, do nawróconych. Innego nie wywarłszy wpływu, publicystyka Metternichowska poszła w zapomnienie, z którego nigdy podobno nie wyjdzie, pomimo że dobrej sprawy z niemałym broniła talentem. Nie zdobywając wpływu i posłuchu, dzieliła los całej prasy konserwatywnej, rządowej i niezależnej. Poszła w zapomnienie, bo dla poparcia dobrej sprawy, dogmatyzowała system nieruchomości, rządy cesarza Franciszka i politykę gabinetu wiedeńskiego. Pokrewna jej publicystyka niemiecka i francuska, monopolizując katolicyzm na rzecz prawowitości dynastycznej, monarchicznego absolutyzmu, dawnego ustroju społecznego, kładąc formy przechodnie w rzędzie Boskich fundacyi, miała przecież tę wielką zasługę, że zwróciła umysły ku szukaniu podstaw społecznego bytu i porządku w prawdach objawionych i w przepisach religii. Publicystyka austryacka była echem austryackiego konserwatyzmu, nieznającego innego ideału, jak przechowanie zbutwiałych form.

Reforma uniwersytetów skończyła się na wydaleniu profesorów, uchodzących za najszkodliwszych, oraz na rozciągnięciu nad wszechnicami policyjnego nadzoru. Duch nauczania pozostał niezmieniony, nietknięto także systemu szkolnego, od czego zacząć należało; nie uznawano nakoniec potrzeby oparcia wychowania publicznego na gruncie religijnym. Ojcowie rodzin niemniej byli winni w tej mierze, jak rządy. Biadali nad zepsuciem młodzieży, ale nikomu na myśl nie przyszło, że zepsucie szło z niezdrowego

---

tem ustęp, który cenzor na pewno musiał usunąć, tak, że czytelnik znajdywał bezpośrednio po doniesieniu o owem małżeństwie, przepis gospodarski: Wiadomo, że skóry baranie najlepiej się konserwują przy juchcie. — Cały Berlin uchwycił w lot aluzyę polityczną, której tylko cenzura nie dopatrzyła.

pokarmu, jakim młodzież od dzieciństwa karmiono. Bali się gnębić oświaty, nie pytając o źródło i jakość światła, nie widząc, że fałszywa oświata torowała rewolucyi drogę do wnętrza społecznego.

Komisyi związkowej, z siedzibą w Moguncyi, powierzono sprawę tajnych towarzystw. Komisya była złem koniecznem, bo zwyczajne prawodawstwo nie wystarczało do ścigania uczynków prawem nieprzewidzianych, tem bardziej do wykrycia tajemnej potęgi, wzniecającej paniczny postrach. Ustanowienie wyjątkowej magistratury pociągało jednak za sobą błędne i w skutkach szkodliwe rozróżnienie między przestępstwem zwyczajnem i przestępstwem politycznem. Podczas gdy rządy z szczególną srogością przestępstwa polityczne traktowały, opinia mas upatrywała w nich uczynki pod prawo pospolite niepodpadające, osobnej i szlachetnej natury, których represya miała charakter prześladowania i gwałtu. Jak się później pokazało, spiski niemieckie były dziecinną igraszką w porównaniu z węglarstwem włoskiem; ale nic dziwnego, jeśli w początku, pod wpływem przestrachu, macając w ciemnościach, wzięto nieraz muchę za wielbląda. Powolne postępowanie śledztw, więzienie mnóstwa podejrzanych, choć nie zawsze winnych, jątrzyło umysły, aż nadto skłonne pomawiać rządy o najczarniejsze zbrodnie i nadużycia. Ujmując się za ofiarami mniemanego prześladowania, społeczeństwo otaczało opieką i broniło największych winowajców, których ramię sprawiedliwości nigdy prawie nie zdołało dosięgnąć.

Czując, że same złemu nie podołają, rządy odniosły się do Stolicy Apostolskiej z prośbą o pomoc. Pius VII. wydał bullę *Ecclesiam a Jesu Christo* z 13 września 1821, potępiającą wszelkie stowarzyszenia tajne, bez różnicy nazwiska i pozornego celu. Ludność katolicka od tak dawna w rozdwoju z religią i Kościołem żyjąca, nie była skłonną usłuchać głosu namiestnika Chrystusowego; bulla opatrzona aprobatą rządową, uszła w jej oczach za rodzaj rozporządzenia policyjnego, a nie została w należyty sposób wyjaśnioną i komentowaną. Rządy zbierały owoce błędów, popełnionych w rzeczach kościelnych. Duchowieństwo rozpowszechniało bullę, jak pierwszy lepszy dokument, do ogłoszenia przez władze rządowe nadesłany; niejeden ksiądz sam ją najfałszywiej rozumiał, albo należąc do lóż wolnomularskich, umyślnie

na wspak tłómaczył. W taki sposób upowszechniona, przekręcana przez ajentów sekt i spisków, bulla nie osiągnąwszy spodziewanego skutku, wznieciła tylko oburzenie przeciwko Stolicy Apostolskiej, i nieprzyjaciołom Kościoła i porządku, posłużyła za argument na poparcie twierdzenia, że Papież jest wspólnikiem i sługą tyranów.

Dopiero w roku następnym, po kongresie werońskim, rządy tolerujące dotąd sektę wolnomularską, pośpieszyły z zamknięciem lóż, którym zostawiono dość czasu do wychowania kilku pokoleń w przewrotnych zasadach i praktykach spiskowych. Uszy głuche na upomnienia Kościoła, tem uporniej zamykały się na perswazye rządów, uważanych pospolicie za wrogów rodu ludzkiego. Tymczasem wilcy w owcze skóry przebrani zwodzili głowy nadużyciem rzeczy świętych i szanownych. Spiski udawały, że propagują cnotę i moralność, miłość bliźniego i braterstwo, kryły się pod patryotyczne, humanitarne i literackie dążenia; wszystkie jednak usuwały człowieka z pod władzy praw Boskich i ludzkich, i zmierzały ku obaleniu jednych i drugich. Ludzkie prawa mogły być niedobre, często niesprawiedliwe i uciążliwe, ale nie szło za tem, żeby im ryczałtem otwartą wypowiadać wojnę i gwałtem przewracać istniejący porządek. Niebawem ruchy rewolucyjne w Hiszpanii i we Włoszech rozstrzygły o dalszym obrocie rzeczy: nie pozostało rządom nic innego, jak gwałt gwałtem odpierać i siłą pięści poskramiać rozhukane żywioły. Projekta reform poszły w zapomnienie; wszędzie poczęto przykracać cugli, cofać udzielone ustępstwa. Zgoda między monarchami, z pozoru ustalona na kongresach w Opawie, Lublanie i Weronie, przyjęcie zasady interwencyi wielkich mocarstw w wewnętrzne sprawy sąsiednich krajów, łatwe tryumfy wyprawy austryackiej do Neapolu i francuskiej do Hiszpanii, natchnęły otuchą obóz konserwatywny. W kwestyi greckiej okazało się jednak zaraz, że mniemana jednomyślność dworów i gabinetów chwieje się, skoro wchodzą w grę osobiste widoki mocarstw, że nie jest zdolną, nic trwałego zbudować i zaledwie wystarcza do codziennej walki z wspólnym nieprzyjacielem. Dla miłej zgody zdano na los szczęścia urządzenie Wschodu, w Grecyi potoki krwi popłynęły, stanął kompromis nikogo niezadawalniający, w którym cesarz Mikołaj znalazł pretekst do

wojny z Turcyą, rozpoczętej i zakończonej wbrew woli Austryi. Była chwila, w której w Wiedniu śpiewano *requiescat* potrójnemu przymierzu. Wskrzesiła go rewolucya lipcowa w Paryżu, świadcząca, jak daleko zaszła podziemna robota wrogów europejskiego porządku. (C. d. n.)

Henryk Lisicki.

Z LISTÓW BRONISŁAWA ZALESKIEGO.

I. Podróż po stepie Orenburgskim.

Wędrówki moje po stepach Kirgizkich nie mogą prawdziwego mieć interesu. Cały ich urok, jeżeli jest jaki, stanowiłaby nowość dla człowieka zachodu, ale ta przebiera się prędko; kraj zupełnie jednostajny, do siebie podobny, życie mieszkańców niezmiernie proste, jedne i też same prawie obrazki powtarzają się ciągle: raz opisawszy albo narysowawszy namiot z wojłoku, zgromadzoną w nim rodzinę kirgizką, z niemym towarzyszem wielbłądem. Horyzont najczęściej płaski albo w lekkie wzgórza jak fale pofałdowany, nad nim purpurowo zachodzące słońce, czasem miraż albo zamieć stepowa; już nic prawie nie zostaje dla tego, kto nie znając kirgizkiego języka, ledwo nie na samych zewnętrznych postrzeżeniach ograniczać się musiał. W przygody podróże te nie obfitują zupełnie, i jeżeli się nie chce kreślić szeregu indywidualnych złych myśli i uczuć, które do podróży nie należą, to zostaje ledwo nie samo suche wyliczenie mniej widzianych i monotonne odszkicowanie ich charakteru.

Taką prostą opowieść posyłam dziś Pani. [1]

W tym roku udało mi się widzieć część stepu, leżącą na południo-wschód od Orska, z przecinającemi ją górami Mugodżarskiemi, aż do wyniosłości rozdzielającej Kaspijskie morze od Uralskiego, a zwanej Ust-Urtem. Na tej przestrzeni wiją się trzy główne rzeki tutejszego stepu; Or wpadający do Uralu, Emba do morza Kaspijskiego i Irgiz ginący gdzieś na piaskach.

[1] List ten był pisany do ś. p. Róży Sobańskiej.

W połowie maja, opuściwszy Orsk, ruszyliśmy brzegiem rzeczki, której twierdza winna nazwanie, w kierunku południowym ku Karabutakowi. Wszystkie rzeczki stepowe osobny zupełnie mają charakter: płyną przestankami, tak że każda z nich raz rozlewa się jeziorkiem, dalej wązkim płynie strumykiem, nakoniec zupełnie przepada, żeby o kilkadziesiąt sążni pokazać się znowu, jak gdyby ziemia spragniona i pusta chowała je w swoje łono przed wypijającym promieniem słonecznym; koryto jednak wszędzie jest widoczne i w większych jeziorkach woda bieży, choć dalej jak stojąca w piasku przepada. Niektóre z tych jeziorek są słone, jedne mniej, drugie więcej; największa część jednak z dobrą słodką wodą. I Or, choć do większych tu rzek należy, wierny naturze stepowych strumieni, płynie przestankami dalej, tylko bliżej źródeł pełniejszy, biegł jednem nieprzerwanem korytem, wijąc się w najrozmaitsze kręgi po płaszczyznie.

Miejsca, które Or oblewa, do najlepszych w stepie należą; pora też roku była najpiękniejszą, śliczna zieloność okrywała łąki, nigdzie listka zżółkłego, wszystko młodą majową barwą pokryte. Przez dni kilka szliśmy pięknemi łąkami. Trawa nieraz po kolana, a taka gęsta jak u nas na polach, koniczyną zasianych. Tulipanów już nie było, bo bardzo wcześnie odkwitają w stepie, ale różnokolorowe kwiatki haftowały ten piękny zielony kobierzec. Jedyne to miejsca, gdzie grunt z czarnoziemu złożony z największą zdaje się korzyścią mógłby być uprawiany. Ptastwa wszędzie mnóstwo rozmaitego gatunku: kaczki, gęsi dzikie, dropie, pardwy, kuropatwy, kuligi i kilka gatunków tutejszym stronom właściwych; wszystko to słało gniazda, na stepie śpiewało, nawoływało się wzajemnie, nieraz z pod nóg koni naszych wzlatywały schowane w trawie ptaszęta z bolesnym krzykiem, zasłaniając ułożone symetrycznie jaja. Raz kozak przyniósł nam żywą pardwę, dała się wziąść biedaczka rękami na gnieździe, nie chcąc go za nic odstąpić.

I stada sajgaków napotykaliśmy czasem, nieraz z kilkudziesięciu a nawet kilkuset sztuk złożone, chyże i lekkie pokazywały się i pierzchały niedoścignione. Jeźdzcy nasi puszczali się za niemi w przegony, ale daremna praca; lżejsze są od chartów a cóż dopiero od koni? zwyczajnie z niczem wracali. Jednego dnia je-

dnak napadliśmy na stado, w którem dużo było jagniąt, te słabsze, długich gonitw wytrzymać nie mogły i udało się kozakom złowić ich kilka żywcem; zmęczone padały na ziemię, i wtenczas je rękami brać było można. Kilka dni u nas przeżyły, śliczne mają oczy, wypukłe, czarne z jakiemś słodkiem wejrzeniem; mniej piękne od sarn naszych, szyję niosą wyciągniętą a niepodniesioną, garbonosa głowa zdaje się ją przeciążać i cała bardziej do baranów stepowych podobna, niż do sarn lub jeleni; szerść jednak krótka, zupełnie taka, jak jeleni naszych. Są jeszcze w stepie dzikie osły, kułaszami tutaj nazywane, z szerścią łosia, w składzie mające coś konia, osła, stepowej sarny; tych spotkać się nam zdarzyło, ale i one stadami wędrują po stepie, dzikie są bardzo i nigdy ugłaskać się nie dają. Prócz ptastwa i sajgaków nie spotykaliśmy prawie nikogo, gdzieniegdzie tylko auł kirgizki, ale i to bardzo rzadko; w tym czasie Kirgizi koczowali w górach, zostawując miejsca nad Orem na czas późniejszy: nie raz zdawało się tylko spotkać wypaszoną i zdeptaną trawę, ślady, że przed kilku dniami stały tu kibitki — ale nic więcej. Trawa znowu odrośnie, ślady kibitek wiatr stepowy zasypie, przyjdą nowi pasterze i pójdą znowu dalej, i po nich nic nie zostanie jak po wszystkich, którzy dotąd koczowali w tych miejscach. Gdzieniegdzie widać było lepiankę z darni jak z cegieł zbudowaną, z dachem i kominami. Bliżsi twierdzy Kirgizi zaczynają już na zimę budować sobie lepianki, ale teraz nikogo w nich nie było — i któżby wiosną albo latem, mając zielone łąki przed oczami i mogąc bujać po nich, zgodził się siedzieć w brudnej, czarnej ciupie? Okna były zabite, drzwi zatarasowane, wewnątrz złożone sprzęty niepotrzebne na lato, a właściciele z trzodami koczowali gdzieś o wiorst kilkadziesiąt albo i kilkaset. Ciekawszy też Kirgiz w swoim namiocie z wojłoku niż w chacie, niby na wzór naszych zbudowanej.

W pierwszych dniach wędrówki naszej i mogił nie napotykaliśmy prawie, tych jednych pomników istnienia kirgizkiego; gdzie nie gdzie tylko ułożone z darniny czworoboki, przy nich czasem słupy nadgrobne z kamienia, z wyzłacanemi napisami, z wprawionem u wierzchu kawałkiem lusterka, ale bez tych pięknych arabesków, które w przeszłym roku na Mangiszłaku napotykałem.

Powoli charakter stepu się przemieniał, czarnoziem ustępował miejsca glinie, piaskom, gruntowi przesiąkłemu solą; łąki coraz rzadsze, roślinność coraz biedniejsza, a horyzont zupełnie prawie płaski. Przeszedłszy kilka rzeczek czy raczej strumieni, jak Tołdy-saj, Kamysz-axty, Mamyt, Kyzyt-kain (dosłownie czerwona brzoza), Katyn — Adyr (babie wzgórza), nakoniec Tamdy-Or (mogilny or), i rozstawszy się w drodze z żywym, szybko biegnącym Orem, weszliśmy w kraj zupełnie pustynią tchnący i odtąd już prawie ciągle ten charakter ziemia zachowywała przed nami. Rośliny już zupełnie stepowe, drzewka rozumie się żadnego nigdzie, w niektórych miejscach małe przestrzenie krzaczkami tawałgi porosłe; mały to krzew, z brunatną korą i drobniutkim liściem, trawa stepowa, kępami rosnąca z pierzastym cienkim liściem (buz po kirgizku nazywana). Ale główną rośliną jest piołun, tego kilkanaście jest gatunków, a mocny zapach jest prawdziwie miejscowym stepu zapachem. Kirgizi namiętnie go lubią; jest podanie o Kirgizie, który przypadkiem dostał się w cudze strony i w nich zasmakował, że kiedy wysłani do niego krewni, chcąc go do powrotu namówić, malowali mu życie stepowe, jego auł i koczowiska, on niczem się wzruszyć nie dał; zrozpaczeni dali mu wtedy napić się kumysu, który umyślnie z sobą przywieźli, ale i ten nektar nie pomógł, zachwiał się zbieg w duszy, jednak obcych opuścić nie chciał; aż kiedy dobyli sakwy stepowego piołunu i powąchać mu dali, zapach ten lepiej nad wszystkie słowa i napoje uobecnił mu przeszłość, stanęła tak żywo przed oczami jego duszy, że nie mógł wytrzymać, rzucił wszystko i wygodne życie i strony, w których zasmakował i wrócił nazad do rodzinnego stepu.

Jeden z gatunków stepowego piołunu, majkara-dżusan nazywany, ma mocny zapach cytwaru; w Bucharyi z tej podobno rośliny dobywają znany w handlu cytwar.

Oprócz piołunu, gęsto jeszcze i po całym prawie stepie rośnie roślina kuk-pek nazywana, z grubym pniem i korzeniami, niska, ścieląca się prawie po ziemi, z małym okrągłym liściem i drobniutkim żółtym kwiatem; tu w twierdzach stepowych główny prawie opał stanowi, i nam w podróży do kuchni służyła.

Nużącą monotonią swą była podróż. Czasem wieczorem

przerywały ciszę śpiewy naszych kozaków; było między nimi trzech wiarusów służących tu od lat 22, i oni dawne pamiętali piosenki. Człowiek żyjąc długo wśród obcych, zapomni nieraz swego języka, w potocznej mowie braknie mu wyrazów, albo je do cudzych form stosując, kaleczy i przekręca; ale pacierz wyuczony przez matkę, piosnka śpiewana kiedyś z towarzyszami w obozie, zostaje mu cała nietknięta. Tak i teraz wśród ogólnego chóru odezwała się nieraz piosnka tych trzech starców, różna od innych i myślą i tonem, a taka, jak ją kiedyś słyszeli i śpiewali w dalekiej stronie.

Ale czyż to do podróży należy?... Lepiej zapoznam Panią z przewodnikami naszymi.

W stepie, gdzie żadnych dróg nie ma, przestrzenie ogromne a miejscowość bardzo do siebie podobna, gdzie studnie rzadkie i zmyliwszy się w kierunku, można dni całe bez kropli wody pozostać, niepodobna wędrować bez znającego dobrze miejscowość przewodnika. To też zwyczajnie najmują się do tej posługi Kirgizi; obowiązkiem ich jest wynaleźć dobrą wodę i paszę dla koni, wielbłądów, rozrachować najbliższą i najwygodniejszą drogę, zakupić w aułach barany i t. p. Jak tylko zwija się obóz, przewodnik wyjeżdża naprzód i wyprzedzając karawanę o kilkaset kroków wskazuje drogę; nieraz jak punkcik czarny widać go na widnokręgu, bo chce wypocząć więc puścił się prędzej, zniknął z oczu, ale upatrzywszy miejsce trawą porosłe, zsiadł z konia, puścił go na paszę, a sam się rozciągnął, albo usiadł ze skrzyżowanemi nogami i tak doczekuje się obozu, a gdy ten nadejdzie, on znowu rusza naprzód.

Zwyczajnie bywa ich dwóch, często jeden zostaje przy karawanie, a drugi wyjeżdżając naprzód, w rozmaitych kierunkach przebiega step szukając to studni, to kawałka łąki; natenczas z daleka rozmawiają z sobą znakami, jak telegrafy — to konia w cwał wypuści określając koło coraz mniejsze, coraz węższe, pędząc ze wschodu na zachód, to znowu w przeciwną odwróci się stronę i od zachodu ku wschodowi krąży, to się zatrzyma raptem jak wryty, podobny zdala do drogowskazu, to znowu pokręciwszy się w kółko, powoli dalej pojedzie, to wybiegłszy na wzgórze, usiądzie obok konia spokojnie. Wszystko to dla Kirgiza zrozumiałe, i pozostały przy obozie podług tych znaków

obrotami całej karawany kieruje. I my podobnych mieliśmy przewodników: starszy, białobrody starzec, nazywał się Czahun, młodszy Kuzumbaj; od lat już kilkunastu i więcej służąc za przewodników rozmaitym oddziałom, step znali doskonale, a oznajomieni ze zwyczajami naszemi, prędko przylgnęli do nas, i nie raz wśród nudnej, monotonnej drogi, prawdziwą dostarczali mi rozrywkę. Często wyjeżdżałem z nimi naprzód, przebiegałem step w różnych kierunkach, przypatrywałem się z daleka ciągnącej karawanie naszej, która wśród kłębów pyłu na bezbarwnej przestrzeni to jak czarna wydawała się taśma gdzieniegdzie bronią błyszcząca, to wiła się wężykiem, rozmaitemi pod słońcem świecąc barwami.

Z przewodników naszych Czahun wysoki, dość szczupły, poważny, nigdy w żaden żart się nie wdał, nie przyszedł aż zawołany. Co wieczór bardzo przykładnie odbywał modlitwy, ale step znał jak swoje pięć palców, historyę stepową ostatnich lat kilkudziesięciu opowiedzieć umiał; znał wszystkie zioła, z kirgiskich ich nazwań mnie uczył — własność opowiadał. Kuzumbaj przeciwnie, dość jeszcze młody, bo zaledwie 40 lat wieku liczył, czarny, niższy daleko od Czahuna, ale dziwnie silnie zbudowany, prawdziwy typ Kirgiza: łączył w sobie prostoduszność z przebiegłością i sprytem. Bez ustanku do nas przychodził, szczególniej kiedy widział, że podawano herbatę lub obiad, zawsze przymówić się umiał, a potem pił i jadł za dziesięciu; wiecznie wesoły, dowcipny, szczególniejszy miał talent ruchy każdego przejąć i tem nas często śmieszył, dobroduszny, najczęściej łatwo go było ująć i zobowiązać, i przylgnął też do nas, ale i swoje interesa prowadzić umiał. Płacę jaką pobierał, obracał na podarunki dla rozmaitych Kirgizów, ale za to dostawał od nich w zamian barany, konie, które dziesięć razy więcej były warte, i później przechwalał się z tego. Zręczny na koniu i niezmordowany, piechotą dwudziestu kroków przejść nie chciał. W aułach bardzo często to krewnych, to dawnych znajomych wynaleźć umiał, i zaraz dotykalne korzyści ze znajomości ciągnął; przywoził z odwiedzin na koniu swoim to jagnię, to koźlątko, to czasem całego barana, którym obżerali się wszyscy, bo to u Kirgizów za wielką poczytuje się rozkosz.

Oprócz tych przewodników, mieliśmy jeszcze z sobą dwóch Kirgizów na posyłki. We czterech najęli sobie biedaka jakiegoś do usługi, bo patrząc na Rosyan przez lat tyle, znaleźli, że to wygodnie, i tak cała ich gromada wędrowała z nami. Każden z nich miał dwa konie, bo Kirgiz w daleką drogę inaczej się nie wybiera: kolejno więc jedni z nich służyli za przewodników, drudzy pędzili konie, pomagali ładować i prowadzić wielbłądy. Kiedy obóz zatrzymywał się na nocleg, i oni nie daleko nas rozstawiali swój namiot, sługa przygotowywał jadło, a reszta spała jak zabita. Wyleżawszy się dowoli, zabierali się do kart i z wytężoną uwagą, z zabawnie niezgrabnemi ruchami, grali w tak zwanego lulynana, nabytek to już kilkunasto-letniej znajomości z wędrującemi po stepie oddziałami. I poważny Czahun lubił bardzo tę zabawę; nieraz większą część dnia tak spędzali.

Z pomiędzy tych wszystkich, najbliżej się poznałem z Kuzumbajem, z nim to wyjeżdżałem naprzód, i przy pomocy tłumaczów, jakich między kozakami znaleźliśmy, opowiadał mnie przeszłe swe życie, a było ono niezawodnie obrazem całego życia Kirgizów przynajmniej najdzielniejszych między nimi.

Kuzumbaj przed laty był zawołanym stepowym złodziejem, należał do każdej prawie sławniejszej Baranty, (tak nazywają złodziejską wyprawę), przez lat piętnaście było to jego rzemiosło. Od czasu jednak Chiwińskiej wyprawy (w 1839 r.) rzucił to, stał się, jak sam się wyrażał, uczciwym człowiekiem, zaczął służyć za przewodnika oddziałom, dostał złoty medal; wybrany na przewodnika w aule, żyje teraz spokojnie, nawet pszenicę siać zaczął, i tylko zwinność na koniu, niepospolita siła, znajomość stepu, który w różnych kierunkach w czasie wypraw swoich przebiedz musiał, nabyta w złodziejskich wyprawach przebiegłość, i pamięć rozmaitych przygód została mu w spuściznie po dawnem życiu.

— Jakżeście się wybierali na Barantę? — pytałem.

— A, odpowiadał, kto miał ochotę a był dzielny, ten i ruszał; ja miałem lat 12 kiedy pierwszy raz wyszedłem na taką wyprawę. Zbieraliśmy się po kilku, kilkunastu i kilkudziesięciu, z różnych aułów nabierając po drodze towarzyszy, wszyscy konno, uzbrojeni w najzy (ogromnie długa kirgizka pika), gwintówki, szable, nahajki, czasem i buławy; jeździliśmy koło aułów, wypa-

trując bydło, wielbłądy i konie, któreby uprowadzić było można. Czasami po kilkadziesiąt koni zachwycić się udawało, jeździliśmy daleko, żeby nas tem trudniej poznać i odkryć nie było można, kiedy koczowałem za Embą, to kradłem nad Irgizem.

— A któż był u was dowódzcą?

— Jaki dowódzca? wszyscyśmy byli dowódzcy, odpowiedział i zakręcił koniem, krzycząc i wywijając krzywą swą szabelką.

— W jakiejże porze zbieraliście się na takie wyprawy?

— Pora każda była dobra, odpowiedział, nietylko latem, ale i zimą nawet barantowaliśmy; nieraz z poodmrażanemi twarzami wracaliśmy do aułów, ale kiedy się udało pochwycić porządną zdobycz, to byliśmy radzi, nieraz po kilka dni nic nie jedliśmy, bo nie było skąd wziąść; mały zapas krutu (gatunek sera) wzięty z domu, prędko wychodził, ale ciepieliśmy i czekali, za to kiedy się udało, ucztowaliśmy później całą gębą.

— A czy przy takich sprawkach, nie przychodziło czasem do bójki?

— O i owszem, odparł Kuzumbaj; pamiętam, raz było nas pięciu, tabun był niedaleko od aułu, pastucha zabić nie można, bo to wielki grzech, zwyczajnie przy barantach starają się go schwycić i uprowadzić z sobą o 50 i 100 wiorst, żeby prędko dać znać nie mógł, ale wtenczas nie udało się nam, zemknął. Widząc to, niespokojni byliśmy co będzie, jeden z towarzyszy krzyczy: „Kuzumbaj! Kuzumbaj! trzeba powróżyć!“ A dobrze, odpowiedziałem. Dobywam więc nóż i w całym pędzie konia, uderzam nim w bok najlepsze źrebię, źrebię zatoczyło się, ale przebiegłszy kilka kroków padło głową naprzód. Przeklęty pastuch, powiada towarzysz, widać, że uwiadomił aulnych, będzie pogoń, inaczej źrebię okręciłoby się w bok, albo też głową nazad upadło. Widzimy wszyscy że źle, a koni było 100, śliczna zdobycz, żal ją porzucić, pędzimy więc dalej co tchu. Wróżba sprawdziła się: pastuch wpadłszy do aułu, zaczął widać krzyczeć, jak to zwyczaj w takich razach: *At-tum! at-tum!* co znaczy na koń i wysypali się aulni Kirgizi w pogoń za nami. Już ich widzim, nie ma rady myślę, przyjdzie bić się, tymczasem konie nasze przystawać zaczynają, ale i tym co pędzili nie lepiej służyły, jak do nas dopadli, my już uciekać, oni gonić nie

mogą, konie wszystkie z sił się wybiły, my zsiedliśmy, i oni także, my pędzim konie piechotą, oni piechotą za nami. Widzim, że nic z tego nie będzie, jeden z towarzyszy co miał lepszego konia, wsiadł znowu, widząc to i jeden z pędzących za nami, wsiadł na koń także, my zatrzymaliśmy się, oni jechali ku sobie z najzami, nahajkami i jak można najogromniejszym krzykiem. Przybliżyliśmy się jednak, jeden z nich powiedział: „Co nam rąbać się i zabijać, lepiej dążajmy się wszyscy, kto przemoże, tego będą konie". „Dobrze", odpowiedzieliśmy. Zebrali się wszyscy, usiedliśmy i umawialiśmy się o porządek tej walki, stanęło na tem, że o 50 sążni mieliśmy odejść jedni od drugich, a potem rzucić się na siebie. Szczęście rozmaicie sprzyjało, powoli ubywało z obu stron przeciwników, ja już leżałem zbity i zgłuszony, aż kiedy zacząłem przychodzić do siebie, patrzę, że dwóch jeszcze się dąża, cichutko podkradłem się do nich, okręciłem powrozem nogę przeciwnika i jak go pociągnę, posłonił się i upadł, zbiliśmy go należycie, i tak zostaliśmy panami placu boju i całej zdobyczy. Obdarliśmy do naga pokaleczonych i poszliśmy dalej z końmi, ale i u nas sił nie było, ledwo dowlekliśmy się do mułły (mogiły) niedaleko stojącej, tam zobaczywszy blizko jeziorko wleźliśmy do niego, bo to najlepszy sposób leczenia ran zewnętrznych i guzów. Nazajutrz poczuliśmy się silniejsi i zdrowsi.

— A cóż się stało z tamtymi?

— Żal nam się ich zrobiło, więc we dwóch pojechaliśmy nazad szukać ich, nie znaleźliśmy na miejscu, i im sił trochę przybyło, dowlekli się do trzciny (czeretu) rosnącej o pół wiorsty stamtąd nad jeziorkiem. Po śladach wynaleźliśmy ich. *E! Salam malajkium!* zawołali zobaczywszy nas i zaczęli witać jak dobrych znajomych i prosić, żebyśmy im tam umrzeć nie dali. Wróciwszy przedłożyłem to wszystko towarzyszom, oni ulitowali się i 5 koni osiodłanych posłaliśmy im i trochę krutu, żeby się mogli posilić, a sami ruszyliśmy dalej. Jeszcze dziesięć dni drogi mieliśmy przed sobą, krut już się był prawie skończył, ale były źrebięta i konie, nie było więc o co się troszczyć. Na noclegu zabiliśmy źrebię, wykopali jamę, wyłożyli ją trawą, tam położyli mięso, przysypali je ziemią i na niej rozłożyli ogień; tak lepsze mieliśmy jadło, niż gdyby się gotowało, i takim sposobem ze zdoby-

czą wróciliśmy do siebie. Kirgizi, dodał Kuzumbaj, zarzynają w barantach konie, które zaczynają przystawać, ale ja nigdy tego nie robiłem, zostawiałem żywe na drodze, żeby mogły wrócić do aułów, i nigdy mnie to na złe nie wyszło.

Nie zawsze jednak tak dobrze nam się powodziło. Raz, opowiadał dalej Kuzumbaj było nas aż 40, upatrzywszy stadninę, 10 zostawiliśmy w wąwozie, drugich 10 jeszcze bliżej, a owe 20 przed samym świtem, bo to pora najlepsza, z okropnym hikiem (okrzyk kirgizki) wpadliśmy na konie. Pobiegły wszystkie, jak to zawsze się zdarza, ze stepowemi końmi, ale pogoń wypadła, musieliśmy bić się naprawdę: jeden z naszych zginął, reszta uciekła bez koni i ja między nimi.

— A czy sam nigdy raniony nie byłeś?

— Owszem, wtenczas właśnie przypadł do mnie jeden, ja za gwintówkę, mierzę się, ciągnę za cyngiel, aż wtenczas postrzegłem, że strzelba nie była nabita, więc nahajką po koniu i w nogi; ale nie uszło na sucho, obskoczyli dokoła, jeden piką prosto w oczy mnie mierzy i ja zakryłem się ręką, ale oto tą raną, dodał, pokazując bliznę na dłoni, przyszło opłacić tę sztukę.

Czasami przy barantach pocieszne zdarzały się sceny. Jednego razu uchwyciwszy 80 koni, rozdzieliliśmy się na dwie partye, było nas tylko 5-ciu i ja z 35 końmi zostałem we dwóch. Pędzimy je aż ubiegłszy wiorst kilkadziesiąt, spostrzegamy w dali ognie, a przy nich ludzi i konie. Na złodzieju czapka gore, myśleliśmy więc, że to nieprzyjaciele, co tu począć, żal zdobyczy, więc lepiej zuchwałością nadrobić: z krzykiem tedy pędzimy nasze konie na obozujących, ci zlękli się i dalej w nogi, my za konie, których było więcej niż u nas. O świcie przychodzą właściciele i cóż się pokazuje? Byli to nasi towarzysze z drugą połową zdobyczy, u jednego z nich było w piersi jaman (tj. źle), mówił Kuzumbaj, i biło się tam jak tylko był strach jaki, dlatego uciekł. Poznawszy nas przyszli wymawiać, żeśmy ich tak nastraszyli.

Na drugi dzień dopędziła nas jeszcze pogoń, bo to było zimą i buran śladów nie zamiótł, ale ich było nie wielu, pozsadzaliśmy więc wszystkich z koni i zabrawszy co było lepszego z odzieży, piechotą odprawiliśmy do domu.

Było to jeszcze miłosiernie, bo Kirgizi w podobnych razach obdzierają do szczętu, jedno tylko krzesiwo zostawiając zwyciężonym.

Te i tym podobne historye opowiadał mnie Kuzumbaj w długich godzinach nudnej monotonnej jazdy, lepiej one, niż wszystkie opisy malują całe to życie, w którem wszystkie siły, wady, namiętności, upodobania stepowego dziecka natury igrały swobodnie i objawiały się w całej szorstkości swojej, dlatego je tutaj powtórzyłem o tyle wiernie, o ile mi tego przekład prostych, nieokrzesanych tłumaczy pozwolił.

— Cóż myślisz o tem życiu, pytałem w końcu Kuzumbaja, czy chciałbyś wrócić do niego?

— O nie! odpowiadał, brzydkie rzemiosło złodzieja, pies przynajmniej prosto bieży, ale złodziej to jak sajgak ogląda się co moment, skacze i ucieka. Nie, jużbym nie chciał być znowu złodziejem. Ja teraz uczciwy człowiek, za to mam medal; za to zrobili mnie przełożonym, z czasem zostanę Bijem.

Tak uprzyjemniając sobie podróż, szliśmy krajem pustym i płaskim, podobnym do gładkiej twarzy puklerza, jak mówią arabskie powieści; raz już na prawo dały się widzieć pierwsze wzgórza Mugodżarskiego pasma, aleśmy się zwrócili na lewo, w kierunku małej rzeczki Karabutak (Czarny Sączek), bo nam do twierdzy nad nią zbudowanej zajść trzeba było. W jednem miejscu napotkaliśmy szczątki jakiejś twierdzy, jak utrzymywali Kirgizi. Czworobok obłożony kamieniami, a kupa ich większa w jednym rogu; jakich czasów sięgają te, już ledwo widne ruiny, kto tam bił się i bronił, nie wiadomo. Pamięć dzieci stepowych nie przechowała tych szczegółów, a mnóstwo podobnych pamiątek rozsianych po stepie. Z niektóremi z nich wiążą się jeszcze podania, tak n. p. nad Turgajem, w okolicy zwanej Małajas, jest 42 mogił zwanych dotychczas Kri-Kuba (dosłownie 40 pagórków), dwa większe są w pośrodku, reszta w formie krzyża rozłożona, po 10 w każdem ramieniu; podanie opiewa, że w tych mogiłach spoczywa dwóch Batyrów ze 40-stu synami, mieli tam bić się kiedyś, każdy z równą liczbą synów i wszyscy wyginęli. Wszak i między powieściami rycerskich czasów Europy, mogłaby się pomieścić taka legenda? Niedaleko także rzeczki Turgaju jest

ogromny cmentarz Chan-Suak zwany (dosłownie Chańskie kości), gdzie według podania ma spoczywać dziad tego sławnego Mamaja, który przed wiekami pustoszył Rosyę. Cmentarz z 500 kroków w kwadrat zajmuje, zastawiony różnego rodzaju grobowemi pomnikami, starych i nowszych czasów, niektóre z nich z marmuru, inne z granitu, inne nakoniec i tych najwięcej z piaskowca. Ślady drobnych walk, bójek, gniewów, które tu wrzały kiedyś, zatarły się, nić nawet podania zerwała się. Kirgiz pasie barany na rumowiskach odwiecznych wałów, na zapadłych mogiłach swoich Batyrów, nie troszcząc się o nich wcale. Wszystko to minęło i jak mówi poeta, gdzieś na alpejskich skałach zostawiły ślad tutejsze fale.

Długo nic i nikogo nie spotykaliśmy w pustyni, parę razy tylko na widnokręgu ukazała się nić wielbłądów; to auł kirgizki przekoczowywał z miejsca na miejsce, zniknął z oczu i znowu wszystko do ciszy i spokoju wróciło. W powietrzu czasem tylko szerokiem skrzydłem zaszumiał orzeł, po drodze trącaliśmy o czaszki wielbłądzie i końskie, czasem przy obozowisku z norki swojej wylazła czarna tarantula i nic więcej; jedne zdaje się jaszczurki malutkie i zwinne prześlizgiwały się po stepie. Zbliżając się za to do Karabutaku, pełen rozmaitości widok uderzył nasze oczy. Blizko twierdzy obozowała bucharska karawana, ze 3000 wielbłądów pasło się na przestrzeni, kilka jaskrawych namiotów, między któremi największy karawan-bossy, święciło się pośrodku, paki z towarami i siodła wielbłądów w czworobok na skale ułożone, tworzyły jakby szaniec tego obozu. W namiotach odbywał się handel, bo załoga i kolcniści wysypywali się do obozu, napatrzyć się na przechodniów, za oszczędzoną pensyą albo grosz uzbierany, kupić cokolwiek dla siebie, lub rodziny; kobiety przymierzały jedwabne chustki, mężczyźni szerokie jaskrawo-żółte szarawary; ten pytał o jaką bucharską materyę, tamten targował dywanik, jednem słowem ruch ogromny. Święto bo też to prawdziwe dla załogi, lud wszędzie lubi jarmarki, kiermasze, a tu jeden dzień taki w całym roku, jakże się nim nie nacieszyć? Jutro, najdalej pojutrze, karawana pociągnie dalej, teraz tylko można i dla siebie zapas i żonie i dziecku podarunek kupić; spieszy też każdy i korzysta. Kara-

wan-basza młody w ogromnym zawoju i jedwabnym jaskrawym chałacie z piękną grecką twarzą i czarną jak heban brodą, siedzi poważnie w namiocie swoim, gości przyjmuje i większe kupna załatwia; niedaleko mały chłopak *kalian* dla niego rozpala (gatunek fajki bucharskiej). Zaszliśmy do niego: przywitał bardzo uprzejmie, jagód suszonych kazał podać, któremi większa część wielbłądów naładowaną była. Jest on naczelnikiem całej karawany, naznacza się przez samego chana, któremu za to naturalnie podarunkami odpłacić się musi; wybiera drogę dla karawany, miejsca dla noclegów, pilnuje żeby w wadze i mierze oszustwa nie było; przybywszy do Orenburga wszystkiemi operacyami handlowemi kieruje. Kupiliśmy jagód na drogę i przypatrzywszy się temu różnobarwnemu widokowi, pod samą twierdzą o parę wiorst od karawany obozem rozłożyliśmy się.

Twierdza na niewielkiej skale jak gniazdo orle zbudowana, blizko niej kilka domów kolonistów. Odwiedzałem ich przez parę dni, które tam spędziliśmy; radzi każdemu przybyszowi jak nowej twarzy pustyni... Domy wygodne rząd dla nich pobudował, ziemi mnóstwo i co raz na nowej siać mogą, więc urodzaj zwyczajnie dobry; radzi zatem z siedzib, na jedno skarżą się tylko, na nudę. Ach, gdyby nas przynajmniej dwa razy tyle było! powtarzają ciągle. Konieczne to uczucie. Mówią, że samotność rozwija ducha, że na pustyni wyrośli wielcy mężowie i prostacy, tak, ale też potężny duch tylko tam wyróść może, zwyczajny lub mały rozkłada się i upada, wypija go pustynia. Ludziom trzeba społeczności, braci ludzi, człowiek chyba żyć może z sobą i Bogiem.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

„Etyka katolicka“ X. Puszeta [1].

Pod koniec czerwca b. r. wydał X. Stanisław Puszet, katecheta III. gimnazyum w Krakowie „Etykę katolicką dla użytku szkół średnich“. Choćby dlatego, że z niej ma pobierać wykształcenie religijne młodzież, powołana do zajęcia wybitniejszych w społeczeństwie stanowisk, książka ta zasługuje na uwagę i bezstronne ocenienie. Rozpatrzymy się w niej z dwóch punktów widzenia: teologicznego i dydaktycznego.

I. Książka, używana za podstawę wykładu przy udzielaniu religii w szkole, winna być wiernym obrazem nauki Kościoła katolickiego. Nie wystarczy zgodność z artykułami wiary: trzeba nadto nie odstępywać od zdań, powszechnie przyjętych w Kościele; trzeba wyrazy, mające w Kościele znaczenie ściśle określone, brać w tem znaczeniu a nie innem; trzeba wreszcie wysławiać się z taką precyzyą, iżby tego, co zostało wypowiedziane, nie można było tłumaczyć w duchu, niezgodnym z zasadami katolickiemi. Tym wymaganiom książka X. Puszeta czyni w ogóle

---

[1] Otrzymaliśmy tę recenzyę, już w ciągu druku niniejszego zeszytu „Przeglądu“, z prośbą o bezzwłoczne jej umieszczenie. Jakkolwiek jest ona surową, umieszczamy ją w przekonaniu, że ks. Puszet, który już zjednał sobie sławę znakomitego nauczyciela religii, potrafi to samo stanowisko i jako autor zdobyć. Książka szkolna, więcej niż jakiekolwiek inne dzieło, potrzebuje przejść przez ogień probierczy krytyki, i tylko przy ścisłej a surowej krytyce przyjść możemy do książek szkolnych k l a s y c z n y c h, jakich potrzebę we wszystkich niemal gałęziach nauki czujemy. (Przyp. Red.)

zadosyć; tu i owdzie tylko większa pod wymienionemi względami poprawność byłaby pożądaną.

Na stronie 22 czytamy: „W przeciwstawieniu do cnót teologicznych, które są wlanemi, te (tj. moralne) nabytemi się zowią... gdy pierwsze sam Bóg w serce wlewa, przy tych daje tylko pomoc. Tam daje samą cnotę, tu łaskę do nabycia cnoty“; na str. 46: „Pokora należy do cnót nabytych. Pan Bóg do niej daje tylko pomoc, człowieka obowiązkiem, starać się o jej osiągnienie i utrzymanie“. Pogodzić się to nie da ze zdaniem powszechnie przyjętem, że istnieją także moralne cnoty wlane, tem się głównie różniące od nabytych, iż pierwsze dają możność wykonywania uczynków nadnaturalnie dobrych, drugie dają łatwość w przestrzeganiu prawa natury. (Bliżej tę różnicę omawiają Mazzella S. J. de virtt. infusis p. 26—32, Lehmkuhl S. J. theol. mor. T. I. n. 683—687; także Enc. kość. Nowod. pod wyrazem: cnota, T. III. str. 447.) Na stronie 11 bierze autor w tem samem znaczeniu wyrazy strofować a upominać i twierdzi, że nie wolno dziecku upominać rodziców, poddanemu swego przełożonego i t. d. Busemb. zaś ma za sobą najcelniejszych teologów (ob. Aegid. Coninck, de acct. supern. disp. 28. dub. 4. n. 51 sqq.), gdy mówi: Etsi hoc (sc. correctionis fraternae) obliget omnes, etiam subditos, magis tamen praelatos. (Lig. theol. mor. ed. Paris. Le Noir. l. III. n. 40). Wedle str. 179, gdzie mowa o święceniu niedzieli „czynności zakazane są te, które mają zysk i dobro ziemskie na celu“. Lehmk. znowu, idąc za zgodnem zdaniem teologów, powiada n. 548: „Ad dignoscenda opera servilia non servit gratuitas laboris, quia et servilia opera gratuito exerceri possunt, nec licite, et opera non servilia licite pro mercede exercentur“. Jeśli zaniedbanie, czytamy na str. 236, którego się dopuścili (wspólnicy bierni, cooperatores negativi), nie jest przestąpieniem prawa sprawiedliwości, tylko prawa miłości, obowiązek restytucyi na nich nie ciąży, chyba że za zaniedbanie doniesienia o krzywdzie bliźniemu uczynionej, lub za swe w obec niej bierne zachowanie się, wzięli od krzywdzicieli nagrodę“. Wprost przeciwnie wyraża się Lehmkuhl n. 1014. 6: Ille qui a fure sive damnificatore pecuniam accepit, ne ipsum furem impediat, denunciet, ad restitutionem non tenetur, nisi ex officio debebat furem impedire. Nieprawdziwem jest twierdzenie, że „ta rzecz dobra, którą Bogu obiecujemy, powinna leżeć poza obrębem naszych obowiązków (str. 164, ob. Lehmk. n. 435); przesadą grzeszy zdanie: „Modląc się przy mszy św. trzeba ciągle mieć uwagę zwróconą na to, co się w tej chwili na ołtarzu sprawuje“ (str. 179). Orzeczenia: „taniec w karnawale jest dozwolonym“ (str. 27) nie kontrasygnowałby bez zastrzeżeń żaden rozważny teolog katolicki.

Rozdział „o nadnaturalnym człowieku na ziemi“ da się streścić następnie: W człowieku tkwi pragnienie szczęścia; to pragnienie musi być kiedyś zaspokojone, nie zostaje zaś zaspokojone w tem życiu, a zatem „cel życia naszego musi być nadnaturalny“ (str. 4).

Tutaj autor albo rozumuje nieprawidłowo, idąc dalej we wniosku niż pozwalają przesłanki, albo — mylnie — uważa za jedno i to samo szczęście zagrobowe i szczęście nadnaturalne. Drugie przypuszczenie wydaje się prawdziwszem po porównaniu ostatniego wiersza ze 6-m od końca. — Na str. 144 czytamy, że miłość nasza ku Bogu winna być nadprzyrodzoną, następuje zaś opis miłości doskonałej tak jak gdyby wyrazy „miłość nadprzyrodzona“ a „miłość doskonała“ były jednoznaczne. Katechizm średni Deharba, obecnie zaprowadzony w galic. szkołach ludowych, przystępnie a zgodnie z definicyą teologiczną, nazywa cnotą „gotowość czynienia tego, co się Bogu podoba.“ X. P. powiada: „Sumienne, gorliwe i wytrwałe wypełnianie objawionej woli Bożej, przy pomocy nadnaturalnej łaski, zowie się cnotą“. (str. 28). Z określenia katechizmowego można się domyśleć, że cnota, to trwałe usposobienie duszy, wprawność doskonaląca jej władze (habitus operativus), według X. P. cnota to suma przemijających aktów.

Zdanie: „obowiązki tego (tj. obranego) stanu uważać za rzecz najświętszą, którym inne (tj. obowiązki) pierwszego miejsca ustąpić powinny“ (str. 12), zakrawa coś na osławioną maksymę: Herrendienst geth vor Gottesdienst. Dosyć przypomnieć sobie, że dla ratowania rodziców w ostatecznej potrzebie zostających, obowiązany jest zakonnik do opuszczenia klasztoru, gdy w inny sposób pomódz im nie może (Lig. l. VI. n. 67), aby przyjść do przekonania, iż są obowiązki świętsze od obowiązków obranego zawodu. Interpretacyi w duchu jansenistycznym nie wyklucza ustęp na str. 206: „Jeśli uczucie nasze nie pochodzi od Boga, musi wypływać ze skażonej natury. To, co początek ma w Bogu, jest samo w sobie czystem, świętem i dobrem... Nie takiem jednakże jest uczucie, które w skażonej naturze się rodzi. Bodźcem jego jest miłość własna, uczucie ciasne i ograniczone. Pan Bóg chce, żeby nasza względem bliźnich miłość była czystą i dobrą, dla tego sam pozostać chce jej źródłem.“ Na str. 10 napisano: „Są obowiązki prawa sprawiedliwości i prawa miłości. Przekroczenie pierwszego, jeśli złe ma być naprawionem, wymaga nietylko poprawy na przyszłość, ale także zadosyćuczynienia za przeszłość, podczas gdy niedopełnienie prawa miłości, wymaga tylko poprawy.“ By zapobiedz fałszywemu tłumaczeniu tego miejsca, należy co najmniej, ścieśnić szerokie znaczenie wyrazu „zadośćuczynienie“ i w tym celu położyć po nim wyraz: „bliźniemu.“ — „Władza“ uczucia, o której autor mówi na str. 104, jest wynalazkiem nowoczesnej filozofii. Scholastycy dawniejsi i najnowsi nie uznają jej istnienia (ob. Jungmann'a Gemüth und Gefühlsvermögen der neueren Psycholog.), a jakkolwiek teologia z podziałem władz duszy nie ma nic do czynienia, to przecież wypada może, by kapłan katolicki w tej kwestyi spornej szedł raczej za św. Tomaszem i scholastykami, niż za filozofem królewieckim. — W wysokim stopniu nieoględnie wyraża się na str. 206: „Co z nich (tj. darów Bożych, majątku) zbywa do zaspokojenia potrzeb życia, jest własnością ubogich“, i znowu str. 234: „Chciał Bóg umieścić własność ubogich w tem,

co bogatemu zbywa od zaspokojenia zastosowanych do jego stanu i położenia potrzeb. Kto w tej mierze jałmużny nie czyni, krzywdzi ubogich (tj. grzeszy przeciw sprawiedliwości ob. str. 10), ich własność przywłaszczając sobie."

Etyka katocka jest nauką pozytywną; Bóg ją dał, a wyłącznie uprzywilejowanym jej stróżem i tłumaczem jest Kościół katolicki. Im mniej na to zwraca uwagę świat dzisiejszy, tem więcej pozytywny charakter etyki katolickiej powinna uwydatniać książka szkolna, tem częściej należy przypominać młodzieży, że o istnieniu obowiązku i jego rozciągłości rozstrzyga ostatecznie nie „zmysł moralny" (str. 25), nie uczucie, nie rozum, lecz nauka Kościoła, nieomylnie głoszącego wolę Bożą. Jeden ze środków, zmierzających ku temu celowi, jest w nauce religii powoływanie się na Tradycyą i jej pomniki. Pominąwszy, że X. P. jednym tchem wypowiada i naukę Kościoła i zapatrywania indywidualne tak, iż tylko zawodowy teolog rozróżnić potrafi co z mowy całej jest słowem Bożem, co przymieszką ludzką: to sama okoliczność, iż autor nie przytoczył ani razu bądź orzeczenia jakiego soboru, bądź decyzyi Stolicy Apostolskiej, bądź słów św. Tomasza lub św. Alfonsa, sprawia, że książka nie tyle wygląda na etykę katolicką, ile na etykę filozoficzną, okraszoną gdzieniegdzie ustępami pisma św., niezawsze wiernie przywiedzionemi.

Pismo św., cytowane niekiedy z oznaczeniem księgi, rozdziału i wiersza; czasem wymieniona tylko księga: we wielu miejscach przytoczony sam tekst, bez wzmianki, skąd został wzięty. Czy godzi się skazywać na mozolną pracę wertowania konkordancyi katechetę, który, gotując się na lekcyą, zechce zrozumieć należycie tekst cytowany i w tym celu zobaczyć jego związek z miejscami sąsiedniemi? Ustępy z pisma św. przywiedzione są czasem według przekładu Wujka, czasem we własnem tłumaczeniu autora. Np. tłumaczy:

X. Puszet	Wujek
Eccli. XV. 14. Błogosławiony, który mógł przestąpić prawa, a nie przestąpił, uczynić złe, a nie uczynił (str. 17).	Szczęśliwy... który mógł zgrzeszyć, a nie zgrzeszył, źle czynić, a nie czynił.
Mat. VI. 6. Gdy się modlisz, zamknij się do komory (czemu nie: w komorze?), aby cię nikt nie widział (str. 28).	Ty, gdy się modlić będziesz, wnijdź do komory swojej, a zawarłszy drzwi, módl się Ojcu twemu w skrytości.

Mat. V. 44... abyście byli godnemi dziećmi tego Ojca, który słońcu swojemu każe wschodzić na dobre i złych (sic! str. 209).	...abyście byli synami Ojca waszego, który jest w niebiesiech, który czyni, że słońce jego wschodzi na dobre i złe.
1. Cor. III. 16. Pamiętajcie, że ciała wasze są świątynią Ducha Bożego, biada więc temu, który tę świątynię znieważy (str. 52).	Nie wiecie, iżeście kościołem Bożym, a Duch Boży mieszka w was? A jeśli kto kościół Boży zgwałci, zatraci go Bóg.
Apoc. III. 16. Gdybyś był zimny albo gorący, ale żeś letnim, to jest z obojga mieszańcem, poczne cię wyrzucać z ust moich (str. 133).	Bodajbyś był zimny albo gorący. Ale iżeś letni, a ani zimny ani gorący, poczne cię wyrzucać z ust moich.

Tych kilka przykładów wystarczy, by okazać, że tam, gdzie autor zarzuca tłumaczenie, aprobowane przez Stolicę Apostolską, nie dzieje się to z korzyścią dla tekstu. Prawdopodobną przyczyną odstąpienia od przekładu Wujka jest ta okoliczność, że X. P. brał teksty z drugiej ręki, z książek napisanych w obcym języku i wolał je sam przełożyć, niż się trudzić wyszukaniem ich w polskiej biblii. W przeciwnym wypadku nie byłby zapewne figurował na str. 206 jako słowo „Zbawiciela“ ustęp, będący niezaprzeczoną własnością św. Jana Apostoła, pomieszczony w 1-szym jego liście, IV. 20.

II. Etykę katolicką wykłada się gimnazyastom w klasie 7-ej, realistom w klasie 6-tej. Słuchają jej młodzieńcy, którzy niezadługo opuszczą zakład średni; a gdy przestanie obowiązywać karność szkolna, za drogoskaz na całe życie późniejsze ma starczyć to, czego się nauczyli w „etyce“. Książka, traktująca ten dział nauki powinna zatem przedmiot wyczerpać, a pojęcia etyczne określać dokładnie i jasno. Wymagana u każdej książki szkolnej zwięzłość jest tutaj tembardziej niezbędną, że materyał, który trzeba przerobić, jest niezmiernie obfity. W etyce, ks. P. nie ma śladu zwięzłości; kto zaś, chcąc się o tem przekonać, przerzucił kilka kartek i poznał styl kaznodziejski autora; kto zauważył, jak szeroko prawi o tem, co bywa między ludźmi, zamiast wprost powiedzieć co być powinno; kto spostrzegł, jak ks. P. kołuje i okrąża każdą rzecz zanim do niej przystąpi, kto zobaczył, że stosunkowo drobnej części etyki tj. nauce o grzechach i cnotach im przeciwnych poświęcono 47 stronnic, czyli prawie $^1/_5$ część dziełka: ten z góry przypuścić musi, że w książce wiele jest luk dotkliwych, wiele kwestyj powierzchownie omówionych. I tak się rzecz ma w istocie.

Za delekoby nas zaprowadziło szczegółowe wyliczanie kwestyj, bardzo żywotnych a ściśle do zakresu etyki należączch, które X. P. zbywa milczeniem. Nie wymagam zbyt wiele; przymiot zupełności przyznałbym etyce X. P., gdyby była dała tyle materyału naukowego, ile go zawiera na 77 stronnicach Wilmers'a Handbuch der Religion für Studierende. S. 415—491. O świętokradztwie, świętokupstwie, bluźnierstwie, kuszeniu Boga nie ma żadnej wzmianki. Nauka o różnicy między grzechem powszednim a śmiertelnym (str. 107) traktowana po macoszemu. Doczytawszy do str. 107, jak autor chce rozdział 8-my „o moralnie dobrem i moralnie złem", mniej wie czytelnik, niż gdyby przeglądnął w średnim katechizmie Deharba cz. 2. o przekroczeniu przykazań §. I. pytanie 3—8, zwłaszcza, że okoliczność sposobu, w jaki czyn został spełniony (quomodo?), jednostronnie pojęta, bo nie powiedziano, że oznacza ona także większy lub mniejszy stopień tak rozwagi jak zgody woli na czyn (str. 27).

Z mnóstwa niedokładnych określeń, niektóre tylko przytoczę. Zaraz na str. 3. słowa: „Etyka katolicka jest nauką życia, przedstawiającą nam co czynić, a od czego wstrzymać się mamy, by wolę Bożą spełnić na ziemi", nie dają definicyi etyki katolickiej, lecz etyki w ogólności. — Na str. 60 czytamy: „Zazdrość jest grzechem, który rodzi w człowieku uczucie nieprzyjemne, na widok pomyślności bliźniego, a uczucie przyjemne, gdy bliźniego spotkało coś przykrego i nieprzyjemnego." Jestto określenie za obszerne; mogę bowiem, żywiąc uczucie nieprzyjemne na widok pomyślności bliźniego, grzeszyć nienawiścią, nie zazdrością, lub mogę też wcale nie grzeszyć, gdy np. owo uczucie nieprzyjemne powstaje pod wpływem obawy, że bliźni nadużyje swojego szczęścia na moją szkodę (ob. Lig. l. II. n. 72). — W etyce katolickiej należy brać wyraz pojedynek w znaczeniu, w jakim wzięty, podpada karom kościelnym. Definicya: „Pojedynek jest usiłowaniem zmazania obrazy wyrządzonej sobie lub komuś z bliskich, w krwi tego, który obraził" (str. 224), obejmuje nietylko pojedynek w ścisłem słowa znaczeniu, ale także starcie improwizowane, walkę nieumówioną, odbytą bez oznaczenia czasu, miejsca i broni, a nawet zamach skrytobójczy na tego, który się dopuścił obrazy. — Ze str. 229 widać, że autor nie odróżnia honoru od dobrego imienia, czyli sławy; nic przeto dziwnego, że obelgę (str. 232) policzył do grzechów, naruszających dobrą sławę bliźniego. — Na str. 232 czytamy: „Posądzenie jest podejrzeniem i t. d.," a przecie między posądzeniem płochem (judicium temerarium) a podejrzeniem (suspicio temeraria) istnieje znaczna różnica; pierwsze, to wyrok stanowczy, drugie, to chwiejne mniemanie; pierwsze daleko łatwiej staje się grzechem śmiertelnym niż drugie. — W określeniu: „grzech jest dobrowolnem przekroczeniem prawa Bożego lub kościelnego" (str. 39) ostatni wyraz albo skreślić należy, albo zastąpić wyrazem „ludzkiego." — W definicyi: „apostazya jest publicznem wyrzeczeniem się chrystyanizmu" (str. 132) słowo „publicznem" jest zbędne. — Bałwochwalstwo

(str. 133), czarnoksięstwo, (str. 135), wróżbiarstwo (str. 136) niewłaściwie zaliczono między grzechy przeciwne wierze, bo można, nie utraciwszy wiary, oddawać się praktykom wróżbiarskim lub czarnoksięskim, albo dopuścić się bałwochwalstwa, np. z bojaźni przed prześladowaniem; grzeszy się wtedy przeciw czci Bożej, nie grzeszy przeciw wierze.

W podziałach, autor się nieraz mija z prawidłami dzielenia. Na str. 32 stoi: „Cnoty moralne dzielą się na 1) Cztery cnoty kardynalne; 2) Siedm cnót przeciwnych 7 grzechom głównym"; na str. zaś 41: „Grzechy dzielą się na: 1) Siedm grzechów głównych, 2) Sześć grzechów przeciw Duchowi św., 3) Dziewięć grzechów cudzych". Tem samem prawem, (tj. nie przestrzegając prawidła, że wszystkie części razem wzięte powinny wyrównać całości), możnaby także powiedzieć: Uczniowie dzielą się na: 1) gimnazyalnych, 2) pilnych, 3) blondynów.

Książka szkolna powinna też być wolną od takich usterek, któreby uczniowi wytknięto we wypracowaniu piśmiennem, jako dowód grubej nieuwagi. Jeżeli X. P. zabiera się do wyliczenia siedmiu wigilii, a wymienia ich sześć (str. 181); jeżeli omawia i cyframi oznacza cztery grzechy przeciw sławie bliźniego, a streszczenie rozdziału poczyna od słów: „Mówiliśmy o trzech grzechach" (str. 233); jeżeli na str. 206 chcąc przeprowadzić dowód, że miłość bliźniego jest naturalnym wynikiem miłości Bożej, kładzie jedynkę (1), po której żadna dwójka, ni wyraźna, ni domyślna, nie idzie: to błędy tego rodzaju są same w sobie bardzo drobne, a przecież rażą w podręczniku szkolnym.

Co jest głównem źródłem błędów, znajdujących się w książce X. P.? Odpowiedź na to pytanie, bodaj czy nie zawiera wstęp książki, gdzie autor powiada, że zrażony tłumaczoną na język polski etyką biskupa Martina, która „przepisy i prawidła życia przedstawiając w sposób suchy i zimny, nietylko nie budzi zajęcia, ale wywołuje zniechęcenie i wstręt", postanowił napisać książkę szkolną, a w niej „płynącym z wiary obowiązkom... dodać ciepła, by przemawiając do umysłu, działały zarazem na uczucie i wolę." Z przyjemnością zaznaczam, że istotnie w książce X. P. jest niejeden ustęp prawdziwie piękny, mogący poruszyć do głębi serca młodzieży. Tego atoli żadną miarą chwalić nie można, że w praktycznem przeprowadzeniu swej myśli, X. P. postawił przemawianie do uczucia na pierwszym planie. Chce on zdobyć serca młodociane za każdą cenę, a porwany tem „najgorętszem pragnieniem", nie patrzy na reguły pedagogiczne; łacińskiemi sen-

tencyami strzela do realistów i uczennic szkół wydziałowych; nie rachuje się z utartem znaczeniem słów; wyjaśnia, co jasne, pomija co ciemne; topi myśl, nieraz zdrową, w barwnych słów powodzi i — odbiera swojej książce wszelką cechę podręcznika szkolnego.

Młodzież szkolna oprócz książki ma katechetę. Katechety świętym obowiązkiem jest zwracać się do serca młodzieży i okazać w całej pełni nietylko prawdziwość, lecz także piękność religii katolickiej. Książka szkolna odpowie swojemu celowi, jeżeli zamknie w sobie to wszystko i to jedynie, co uczeń niezbędnie wiedzieć i zapamiętać powinien. Co więcej jest, ode złego jest. Veritas pateat, moveat, placeat. To żądanie jest zupełnie usprawiedliwione, jeżeli się odnosi do wykładu ustnego; podręcznik niech się o to postara, ut veritas pateat, a zrobił bardzo wiele, rzekłbym prawie, wszystko, czego się po nim rozumnie spodziewać wolno. Książka szkolna nie może się dobrowolnie rozrastać wszerz; jeżeli nadto wiele miejsca poświęci budzeniu uczucia, stanie się to ze szkodą gruntowności i jasności. Gdyby to twierdzenie trzeba poprzeć dowodem, najlepszego dowodu dostarczyłaby właśnie książka X. P.

Jeżeli zostanie to dziełko zaprowadzone w szkołach, katecheta będzie zmuszony uzupełniać to, czego książce nie dostaje; że zaś w niej wszystko jest, oprócz nauki w ścisłem tego słowa znaczeniu, więc katecheta z konieczności będzie dawał definicye, robił podziały, odróżniał pojęcia pokrewne, formułował zasady, wbijał to wszystko w pamięć roztargnionej młodzieży i na tej żmudnej pracy strawi cały czas przeznaczony w szkole na lekcye religii; czyli, innemi słowami, taki się wytworzy stosunek między książką a wykładem: książka bawić będzie i „budzić zajęcie“, wykład stanie się „suchym i zimnym, będzie nużył, nudził, wywoływał zniechęcenie i wstręt“. Że ten stosunek nie jest normalnym, nad tem rozwodzić się nie trzeba.

Wyraziłem swoje zapatrywania otwarcie i szczerze, może i bezwzględnie: trudno sprawę publiczną załatwiać prawieniem komplementów. Zresztą napisanie dobrej książki szkolnej jest rzeczą tak trudną, że nieudanie się pierwszej w tym kierunku próby, nie może wobec ludzi rozsądnych ujmy przynosić na sła-

wie autorowi, ani go zniechęcać do dalszej pracy. Na każdy sposób X. P. przez napisanie swojej Etyki dał się poznać światu jako kapłan pracowity, gorliwy o chwałę Bożą, całem sercem przywiązany do Kościoła, z rzadką łatwością władający piórem. Posiada przeto warunki do napisania kiedyś prawdziwie pożytecznej książki szkolnej, byleby tylko zechciał pogłębić i nieco rozszerzyć swoją wiedzę teologiczną, a przedewszystkiem powiedział sobie: Dam młodzieży nie kwiatki, lecz pokarm.

Ks. Dr. Zygmunt Lenkiewicz.

Эдмундъ Дылевскій. Андрей Фричъ Модржевскій, польскій политическій писатель эпохи реформаціи. (Оттискъ изъ Варшавскихъ университетскихъ извѣстій). Часть I. Варшава 1884. **Edmund Dylewski.** Andrzej Frycz Modrzewski, polski polityczny pisarz z epoki reformacyi. (Odbitka z Warsz. uniw. wiad.) Część I. Warszawa 1884. str. 158 i LXVI. Cena rbs. 1. kop. 50.

Konkursowa to praca, której uniwersytet warszawski przyznał złoty medal w nagrodę. Główną jej zaletą, to gruntowna znajomość rzeczy i przedmiotowe przedstawienie stosunków, pism i czynności Modrzewskiego, dla którego sąd autora wypadł bardzo pochlebnie. Żal nam tylko jednej rzeczy: że p. D. snać nie poświęcił się ściślejszym studyom historyi kościelnej i dogmatyki; bo w pracy jego przebija pewien liberalny koloryt, i przesądy niezgodne z historyą. Tak n. p. zdaniem autora (str. 20). Sobór Trydencki żadnych zmian nie zaprowadził w Kościele, tylko dogmat nowy postawił i poparł szerszy rozwój Towarzystwa Jezusowego. Tak nie było. Sobór nowych dogmatów nie stworzył, tylko dawne dogmata stwierdził i wyjaśnił. O Jezuitach raz tylko tam wzmianka, instytut ich nazwany pobożny i nic więcej. Za to pod względem reformy obyczajów i naprawy duchowieństwa wydał sobór szczegółowe uchwały. Tytuł: „*De Reformatione*“ spotykamy prawie we wszystkich sesyach, czy to pod Pawłem III., czy pod Juliuszem III., czy Piusem IV.[1] Niemniej mylnie mówi

[1] Smets. Concilii Tridentini canones et decreta. Sess. 5. 6. 7. 13. 14. 21. 22. 23. 24. 25.

p. D. o publicznem zgorszeniu wywołanem sprzedażą odpustów: „Публичный скандалъ, продажа индульгенцій вызываетъ протестъ новыхъ элементовъ“ (str. 18). Niewinność osławionego nawet u katolików Jana Tetzla historycznie dziś już wykazana. Sam nawet Luter tknięty wyrzutami sumienia w liście swym (Trostbrief) do spotwarzonego Dominikanina, poświadcza rzetelność jego postępków [1]. Podobne omyłki upatrujemy też w przypisywaniu reformacyi zbawiennych wpływów na oświatę i literaturę, w ryczałtowem i bezwzględnem potępieniu scholastycznej metody, w przesadnej wzmiance o prawie powszechnem przesiąknięciu szlachty i duchowieństwa protestanckiemi nowinkami i t. p. Słowem widoczna, że p. D., jak wielu przed nim autorów prawosławnych, piszących o katolicyzmie, przejął się i przyswoił sobie pojęcia i poglądy protestanckich pisarzy, i dlatego wyrozumiałymi dla niego być chcemy, tembardziej, że pominąwszy tę zaprzeczoną od innych mylność poglądów, praca jego ma rzeczywistą wartość. Dojrzalszą jest ona bez porównania, głębszą i bezstronniejszą od broszurki polemicznej, wydanej przez tegoż p. D. w r. 1881, p. t.: „Frycz Modrzewski i najświeższa ocena jego działalności.“ Broszurka ta, pełna żółci, sarkazmu i źle pokrytej namiętności [2]; niniejsze zaś dziełko cechują szlachetniejsze uczucia, wieje zeń większy spokój i znać w niem owoc mozolnej pracy dla wyższych już celów i z czystszych pobudek. W przedmowie jasno skreślony cel i rozkład pracy, której część II. ma wykazać, o ile myśli Frycza zapożyczone są od pisarzy dawniejszych i współczesnych, a o ile są samodzielnemi. Metoda porównawcza ma nas doprowadzić do tego wyniku, że A. F. Modrzewskiemu należy się miejsce w rzędzie pierwszych polityków Polski i całego Zachodu.

---

[1] Card. J. Hergenröther. Handb. der allg. Kirchengesch. 2 Aufl. 2 B. S. 244—249.

[2] P. Dylowski wydobywa tu cały arsenał logicznych i nielogicznych argumentów, aby tylko wykazać, że ks. Wład. Knapiński (A. F. Modrzewski jako teolog. Odbitka z XIV. t. Encykl. kość. Warszawa 1881) w historyi jest ignorantem, a w krytyce fanatykiem i potwarcą. Tymczasem ks. Knapiński choć może nie zawsze trafnie sądzi o charakterze i doniosłości politycznych pism Frycza, w ocenie jednak teologicznych jego rozpraw, jest sprawiedliwym sędzią.

Obecnie pierwszej tylko części dziełka p. D. krótką treść i słówko oceny podajemy.

Na wstępie spotykamy się tu z krytycznym, choć pobieżnie rzuconym przeglądem prac o Fryczu wydanych. Dalej rozwija przed nami autor stan Europy i Polski w okresie od r. 1503—1577, tj. od urodzenia do śmierci Modrzewskiego, poczem przechodzi do zajmującego obrazu jego młodości. Tu przekonuje nas autor, że miejscem urodzenia Frycza był Wolborz a nie Modrzew; że pochodzenie jego było szlacheckie *ex utroque parente*, i że „Frycz“ to nie imię, lecz nazwisko rodzinne. O dziecięcym jego wieku i początkowem kształceniu się nie mamy pewnych wiadomości. Jednak już w 14 roku życia widzimy go na wszechnicy krakowskiej. Tu porwany prądem nauk scholastycznych zrywa z rzeczywistością i nurza się w mglistych obłokach idealnej abstrakcyi. W tym czasie Luter nabiera rozgłosu. Modrzewski wiedziony wrodzoną sobie ciekawością, rozczytuje się w protestanckich dziełach i „nowinki“ Zachodu zaczynają już w głowie jego kiełkować. Czyta więc dalej z gorączkowym zapałem, a czyta mimo zakazu Papieża, mimo walki wewnętrznej, mimo wyrzutów sumienia. P. D. podaje jako wierny obraz usposobienia Frycza w tem przejściowem szamotaniu się ducha list jego, pisany poufnie do mistrza akademii, Pawła z Głogowa. Oto parę ustępów z tego listu: „Przypominam sobie, pisze Frycz, te czasy, gdyśmy obydwa w kwiecie młodości słuchali wykładów krakowskich profesorów. Uczyliśmy się wtedy wszystkiego, tylko nie teologii. Nauki teologiczne czerpaliśmy nie z samych źródeł, lecz ze strumyczków nie całkiem przeźroczystych i nieco zmąconych. Kościół napawał się wówczas spokojem — gdy nagle wśród głębokiej ciszy powstaje Luter i budzi zwątpienie o tem, co było dotąd podstawą nauki Chrystusowej. Z Niemiec dochodzą do nas książki... Papież zakazał je czytać, grożąc odłączeniem od Kościoła. Profesorowie zaczęli palić te książki; my nie mogliśmy się wstrzymać od czytania ich. Mówiąc prawdę, interdykt papieski niepokoił nasze sumienie, lecz że wówczas wątpiliśmy o wszystkiem i nie wiedzieliśmy, czy zakaz papieski ma jakie znaczenie, więc też czytaliśmy wszystko, co nam do rąk wpadło. Zrazu nie myśleliśmy nawet przyjmować nowych nauk i pojęć: bo człowiekowi nie tak

łatwo przychodzi wyrwać ze serca i odrzucić wiarę z mlekiem matki wyssaną. Ale z upływem czasu, jak ludzie wystawieni na działanie słońca opalić się muszą, lubo nie w tym celu przechadzają się po świeżem powietrzu, tak i ja pilnie wczytując się w dzieła witembergskich mędrców, choć tylko dlatego, aby poznać ich nową naukę, zacząłem wątpić o wszystkiem, zachwiały się poprzednie me przekonania, a nowe myśli poczęły wsiąkać w mą duszę.“ Oto chwila walki duchowej, proces przeobrażenia i przewrotu pojęć u młodego Frycza. Zwracamy uwagę na tę szczerą spowiedź, bo ona ułatwia nam wydanie sądu o pismach jego i charakterze. Roku 1519, Frycz był pierwszym między posuniętymi *ad gradum baccalaureatus artium*. Jako członek tego wydziału zostaje przy akademii krakowskiej do r. 1522. Następnie wyjeżdża na uniwersytet do Witembergi. Tu zawiązuje bliższe stosunki z Melanchtonem i innymi uczonymi reformatorami. Od r. 1537—1540 bawi w Norymberdze, poczem wraca do kraju.

P. D. skreśliwszy młodość Frycza, słuszny wyciąga wniosek, że jedyną jego namiętnością była żądza wiedzy, jedynem ulubionem zajęciem naukowa praca. Życie dworskie, hulaszcze zabawy niesmak w nim budziły, praca umysłowa pochłaniała wszystek jego czas i całą istotę.

Po powrocie z Niemiec, Modrzewski rozpoczyna już zawód czynny. Wzbogaciwszy zagranicą swój umysł nowem doświadczeniem i nowemi wiadomościami, pragnie teraz to, co mu z nabytych skarbów pożytecznem się być zdało, obrócić na korzyść ojczyzny.

Wiadomo, jak nicnieznaczącą była w Polsce od czasów Jana Olbrachta kara za zabójstwo nieszlachcica (10 grzyw. bez wieży). Modrzewski więc wydaje do króla pierwszą swą odezwę, p. t.: *Lascius sive de poena homicidii*, w której domaga się na mężobójców kary śmierci bez różnicy stanu. Mowę tę, jako rzadkość archiwalną, pomieścił p. D. w końcu swego dziełka, obok drugiej, nie mniej cennej a rzadkiej: *Oratio Philaletis de decreto conventus, quo pagi civibus adimi permittuntur*. Odezwę *de poena homicidii* ponawia Frycz w r. 1545, ale już skierowaną do senatu, rycerstwa i narodu.

W tymże roku po raz trzeci przemawia w tym samym celu

do arcybiskupów, biskupów i kapłanów polskich. Po raz czwarty w r. 1546 wydaje już tylko Skargę do narodu i ludu polskiego o wzgardę prawa bożego przeciw mężobójcom. Mimo przychylności króla, mimo podnoszenia tej kwestyi na sejmach, szlachetny wniosek Modrzewskiego rozbił się o opór potężnych możnowładzców, jednak nie upadł całkiem, bo samo poruszenie tej sprawy i sympatya, jaką sobie Modrzewski zjednał u ogółu, przyczyniła się choć w części do tego, że odtąd przeciętna liczba zabójstw znacznie się zmniejsza.

Druga broszura Modrzewskiego *Oratio Philaletis*, to pomnik jeszcze cenniejszy. Frycz występuje tu z całą energią i szczytną pogardą względów ludzkich jako wymowny trybun ludu, jako dzielny obrońca praw mieszczan i kmieci. Panom wyrzuca ucisk poddanych, nakaz, mocą którego zmuszano nieszlachtę do sprzedania swych posiadłości w ciągu lat czterech, nazywa prawem bezbożnem, nieludzkiem, nierozumnem, przeciwnem wszelkim ustawom Boga i ludzi. A jednak mimo tak dobitnych wyrażeń, mimo zapału i uniesienia, znać w nim poszanowanie dla władzy; głos jego, to nie głos namiętnego krzykacza lub burzyciela społecznego porządku, to nie jakaś ekscentryczna chłopomanja, lecz sprawiedliwy protest przeciw ustawom schlebiającym pysze uprzywilejowanych stanów, obrona godności człowieka, domaganie się prawa i ulgi dla uciśnionych, nagrody dla zasług, nie urodzeniem, ale potem i krwią zdobytych. Niestety, szlachetny głos Frycza, chociaż gdzieniegdzie pokrewnem odbił się echem, nie pobudził do zbawiennego czynu; przeważyły samolubne i pod tym względem aż do śmieszności zachowawcze zasady szlacheckie. Nie pomogło Fryczowi sekretarstwo i zaufanie u króla. U duchowieństwa nie znalazł też poparcia, bo część jego lepszą zraził sobie podejrzanemi stosunkami swemi i liberalnym sposobem myślenia, część zaś gorsza kleru, porówno ze szlachtą zacięcie broniła swych przywilejów, nie bacząc na smutny los uciśnionych. W tem miejscu niesłusznie gani autor duchowieństwo polskie za upatrywanie we Fryczu zgubnych dla Kościoła zamysłów, szczególnie odkąd ukazała się jego rozprawa *De legatis ad concilium mittendis* (str. 64). Lecz o tym sądzie autora wspomnimy poniżej,

chcąc najprzód podać przynajmniej w ogólnym zarysie treść cennej jego pracy.

Frycz dążył do urzeczywistnienia dwóch ideałów: pierwszym była wolność i dobrobyt ciała, a zatem równouprawnienie wszystkich stanów, drugim wolność wiary i słowa. Te dwie dążności jasno przebijają się w jego pismach i zajmują go ustawicznie, mimo urzędu, który piastował, mimo zaszczytnego udziału w poselstwach do ks. Albrechta i książ. Meklemburgskich, do Karola V. i Ferdynanda, do Antwerpii, Brukseli i Pragi. W r. 1549 ukazują się dwa jego dyalogi: *De utraque specie Eucharistiae a laicis sumenda* i *Disputatio de verbis Pauli: Bonum est homini non tangere uxorem,* a w r. 1551 *De emendanda Republica.* Ta ostatnia praca obejmuje pięć ksiąg: o obyczajach, o prawach, o wojnie, o kościele i o szkole. Dwie ostatnie księgi za staraniem Hozyusza potępiła cenzura kościelna. Zupełne więc wydanie ksiąg O naprawie Rzeczypospolitej wychodzi dopiero w r. 1554 w Bazylei. Dzieło to dostaje się do rąk Henryka VIII, tłómaczą je na język niemiecki i francuski, a księga *De bello* ukazuje się nawet w przekładzie hiszpańskim. Odtąd ustaje już polityczna działalność Modrzewskiego. Ostatni jej błysk, to ponowny wniosek *De poena homicidii* na sejmie warszawskim 1557 r. Zresztą wszystkie jego pisma traktują już tylko o kwestyach teologicznych. P. D. zwięźle, lecz wystarczająco podaje treść 5 ksiąg *De emendanda Republica* i wszystkich nieomal teologicznych rozpraw Frycza[1]. Nadto mamy tu opis jego życia prywatnego jako wójta w rodzinnym Wolborzu, jego stosunki z Drohojowskim, Lippomanim, Hozyuszem, Tarnowskim i Dzierzgowskim, spór z Orzechowskim i ostatnie rozprawy, zdradzające już bezwładność ducha i upadek dawnego talentu. Pius V. nakazuje Karnkowskiemu wydalić Frycza z Wolborza. Posłuszny biskup przynajmniej pieniędzmi osłodzić się stara tę gorzką pigułkę dla sześćdziesięcio-kilkoletniego już starca, który po kilku latach przykrej tułaczki umiera w ro-

[1] Właściwie religijny kierunek Modrzewskiego nie powinien wchodzić w zakres pracy p. D. Niewątpliwie też praca ta wieleby na tem zyskała, gdyby autor poprzestał był na krytycznym rozbiorze li tylko politycznych pism i dążności Frycza.

dzinnem swem gnieździe (?) w r. 1572. Przed śmiercią chciał się podobno spowiadać, lecz w okolicy dotkniętej zarazą nie można było znaleść kapłana. Syn Frycza w 15 lat po jego śmierci ginie od kuli, a córki zbyt wolnych obyczajów imię ojca okryły niesławą.

A. F. Modrzewski jako polityk, a w szczególności jako obrońca ludu zasłużył sobie istotnie na chlubną pamięć w sercu każdego Polaka. Na tym punkcie zgadzamy się z p. D. najzupełniej. Ale dowody autora, dążące do oczyszczenia Frycza z zarzutu herezyi i anty-katolickich zasad, łagodzą wprawdzie jego winę, lecz prawowierności bynajmniej nie wykazują. Modrzewski, jak sam p. D. udowadnia, nie chce należeć ani do obozu katolików, ani do protestantów; jest pod tym względem prawdziwym polskim anarchistą, chce pojednać obydwa kościoły kosztem obustronnych ustępstw i według własnej modły. Z przytoczonego powyżej listu nie trudno poznać, na jakim gruncie stanął Modrzewski. Pobieżnie tylko znając teologią katolicką, nie miał czem odeprzeć pocisków reformatorskich; a bez tej osłony, bez znajomości gruntownej dogmatu i Ojców Kościoła „chodząc po słońcu, musiał się opalić". W tem właśnie jego wina, że w wątpliwościach swych nie zbadał w samych źródłach prawd wiary katolickiej, ale przeciwnie wbrew własnemu sumieniu szedł naprzód po śliskiej drodze protestanckiego *liberum examen.*

O kilku tylko błędach jego wspomnimy, które p. D. jak najsumienniej wylicza. Kościół, podług Frycza, jest omylny, czyściec nie istnieje, post ma na względzie zdrowie ciała nie duszy, polega więc tylko na tem, by uniknąć obżarstwa; msza św. jest tylko objawem wdzięczności naszej ku Bogu, Chrystus nie jest obecny w Sakramencie Ołtarza *per corporalem praesentiam,* lecz *per operationem,* odpuszczenie grzechów jest słowem bez znaczenia, Kościół polski winien być niezawisłym od Rzymu, czyli ściśle narodowym. Pomijamy już inne błędy, których pełno w Sylwach Modrzewskiego. P. D. tłómacząc naukę Frycza o omylności Kościoła, udowadnia własnemi jego słowami, że było to proste tylko przypuszczenie, postawione w tym celu, aby prawdy wiary można było poprzeć dowodami z pisma św., nie powołując się na powagę i orzeczenie Kościoła.

Lecz czy szan. autor nie widzi, że przypuszczać omylność Kościoła w rzeczach wiary, i to nie w tym celu, aby doprowadzić *ad absurdum*, jest to przypuszczać albo, że Chrystus P. nie obiecał Kościołowi Ducha św., który nauczyć go miał wszelkiej prawdy i zostać z nim aż do skończenia świata, albo że nie dotrzymał swego przyrzeczenia. W tym ostatnim przypadku konsekwentnie przypuścićby też należało, że Chrystus nie był Bogiem, a wtedy i całe pismo św. ludzkim tylko byłoby wymysłem. Stawiając zaś pierwsze przypuszczenie, komu, pytamy, przysługiwałoby z ustanowienia Bożego prawo wykładu pisma? Naturalnie już nie wyłącznie Kościołowi, ale każdej pojedyńczej osobie „lada starej babie“, jak mawiał w swych kazaniach Skarga. Dysputować więc i r o z s t r z y g a ć o wszystkich prawdach wiary, opierając się na takiem przypuszczeniu, jestto powierzać uzasadnienie objawienia Bożego indywidualnemu sposobowi myślenia, przyrodzonej sile umysłu i dyalektycznej bystrości — znaczy to godzić się na ono osławione protestanckie *liberum examen*, samowolne badanie Pisma św., i na t y m m i a ł k i m f u n d a m e n c i e budować gmach katolickiej wiary i prawdy nieomylnej. P. D. udowadnia dalej, że Modrzewski przyjmuje *sensum catholicum*, a prawo rozstrzygania w rzeczach wiary przyznaje soborowi powszechnemu. A czyż to nie sobory powszechne orzekły nieomylność Kościoła, skuteczność modlitw za umarłych, lub obecność Chrystusa *per corporalem praesentiam* w Sakramencie Ołtarza? Dokąd więc zmierzał Frycz, wydając swe broszury niby to tylko *disputandi et discendi causa?*

Radykalnym błędem Frycza było, jak wszystkich nowinkarzy, nieuznawanie w kościele Bożym, wyższej, nadprzyrodzonej siły, czuwającej nad tem, by Kościół nienaruszony skarb wiary przekazywał wszystkim pokoleniom w coraz jaśniejszych wyrazach. „*Ecclesia*, mówił Frycz, *est coetus hominum Christo credentium, hi vero errare possunt. Sit igitur positum hoc in synodis nostris ipsamque Ecclesiam errare posse.*“ Taka definicya Krścioła i sposób dowodzenia choć sofistyczny, czyż nie dają nam prawa wnosić, że to nie proste tylko przypuszczenie? Dalej w pojednawczych swych tendencyach domaga się Modrzewski od Kościoła katolickiego ustępstw niemożliwych: zerwania z t r a d y c y ą i po-

wrotu do pierwotnej „prostoty apostolskiej“, żąda samoistnego kościoła narodowego, żąda ustępstw w tem, co dawno już sobory powszechne, (florencki, lateraneński IV. i wienneński) postawiły jako dogmat wiary, a wszystkich tych teoryi broni aż do ostatka z niezachwianym uporem i zaciętością. Cóż więc znaczą jego uroczyste protestacye i zapieranie się odstępczych zamysłów? Czyż niegdyś Pelagiusz, Nestoryusz a za dni naszych Doelinger i tylu innych błędników nie broniło swej prawowierności tymże samym sposobem? P. D. w obronie Frycza powołuje się na to, że całe duchowieństwo polskie żądało *„reformationem cleri tam in capite quam in membris,“* że Papieże Adryan VI., Paweł III., Juliusz III. i Marceli II. gorąco przemawiali za reformą Kościoła; jeśli więc tych nie obwiniamy o herezyę, dlaczego Fryczowi mielibyśmy ją zarzucać? Porównanie to autora dziwne i niestósowne. Reforma, której chciało duchowieństwo polskie i Papieże, miała na celu poprawę wyższego i niższego kleru w obyczajach, w sposobie życia, w stosunkach majątkowych, szczególnie dóbr kościelnych i t. d. Roforma zaś Modrzewskiego sięga aż do odrzucenia tradycyi i spaczenia dogmatu. Choć więc Frycz nie brał udziału w synodach protestanckich, to tylko dowodzi, że nie chciał być ich głową, że się wzdrygał zostać herezyarchą, lecz nie rozstrzyga bynajmniej o przekonaniach i tendencyach jego. Modrzewskiego pisma, dysputy, wzięcie między przywódzcami rozlicznych sekt protestanckich naocznie pokazują, że rozum jego zabłąkał się w herezyi, w zupełnem odstępstwie od kat. Kościoła.

Dwa kierunki podmiotowe uwydatniają się w jego teoryach i działalności: kierunek serca i kierunek rozumu. Jako ustawodawca i obrońca ludu, Modrzewski występuje z całym zapałem gorącej duszy, poświęca się dla sprawy, którą własne jego sumienie za świętą i zbawienną uznaje. Jako teoretyczny reformator Kościoła, nie działa on z prawdziwego przekonania, bo wbrew sumieniu, z niepokojem i wątpliwością w duszy; uniewinnia się ze swych doktryn, a jednak prywatnie i publicznie broni ich z energią godną lepszej sprawy — rozumem, chce zgłębić wszystko, rozumu używa jako probierza prawd wiary; to też o ile szlachetne serce Frycza wysoko się wzniosło w prawych

swych dążnościach, o tyle niżej upadł pyszny jego rozum i o tyle dalej się zabłąkał, tak, że już fałszu od prawdy odróżnić nie umiał. I nie dziw, bo jak trafnie wyrzekł o ludzkim rozumie nasz wieszcz ulubiony:

„Jest Pan, co objął oceanu fale,
I ziemię wiecznie kazał mu zamącać,
Ale granicę wykował na skale,
O którą wiecznie będzie się roztrącać.
Darmo chce powstać z ziemnego pogrzebu,
Ruchomy wiecznie — ruchem swym nie władnie,
Im wyżej buchnął — tem głębiej upadnie,
Wznosząc się wiecznie, nie wzniesie ku niebu.

(A. Mickiewicz. Rozum i Wiara.)

B. Jasieńczyk.

ZAPISKI BIBLIOGRAFICZNE.

Z dzieł religijnych.

THEOLOGIA MORALIS. *A. Lehmkuhl S. J.* Volumen I. continens theologiam moralem generalem et ex speciali theologia morali tractatus de virtutibus et officiis vitae christianae. Friburgi Brisgoviae. Sumptibus Herder, 1883. 9 marek.

Dzieło to jest poświęcone O. Anderledy, obecnemu wikaryuszowi generalnemu a przyszłemu Generałowi Towarzystwa Jezusowego. Onto bowiem uczył O. Lehmkuhla teologii moralnej w Maria-Lach. Książka ta zaszczytne zajmuje miejsce obok biblioteki filozoficznej, którą dawni profesorowie tego kolegium częścią już wydali, częścią do wydania przygotowują. Dokładność połączona z wielką znajomością literatury w tym kierunku odszczególniają to dzieło z pośród wielu innych, a ścisła konsekwencya w wyprowadzaniu wniosków z postawionych pewników daje mu w pewnym względzie nawet pierwszeństwo przed dziełem O. Gury, T. J. Autor miał zamiar nietylko napisać książkę szkolną, lecz nadto podać kapłanowi do ręki dzieło, któreby mogło mu służyć do dalszego kształcenia się i zgłębiania tego, co wyniósł ze studyów teologicznych. Do tego celu służą przedewszystkiem praktyczne wskazówki, które, jak się należy spodziewać, będą w przyszłym

tomie jeszcze liczniejsze i obszerniejsze.

Już przed wielu laty uznano potrzebę poprawienia w niektórych względach książki szkolnej O. Gury'ego. O. Ballerini T. J., nauczyciel teologii moralnej w Rzymie, wydał własne uwagi do książki O. Gury'ego, które się ukazały już w siedmiu wydaniach, a O. Dumas T. J. poczynił w samym tekscie poprawki, które za potrzebne uważał. O. Lehmkuhl postanowił iść samodzielnie. Z radością też winszujemy mu rezultatów długoletniej pracy i praktyki, której owoce mamy przed sobą.

Nie ma potrzeby przytaczać wszystkiego, czem się autor odznacza. Zwracamy przytem uwagę, że w ogóle dogmatyczne i etyczne wywody, które pojedyńcze rozdziały poprzedzają, bardzo się w tem dziele odszczególniają.

Po słowie wstępnem o teologii moralnej w ogólności, następuje na 166 stronnicach ogólna teologia moralna. Po niej idzie od strony 173—783 pierwsza część morałki specyalnej, która obejmuje dziesięć przykazań boskich i przykazania kościelne. Ogólna teologia moralna składa się z trzech głównych rozdziałów: 1. *De actibus humanis, eorumque moralitate.* 2. *De regula actuum humanorum (conscientia, lege).* 3. *De discordia et concordia cum regula actuum humanorum, seu de peccati reatu et bonorum operum merito.* Morałka szczegółowa obejmuje w pierwszej księdze cnoty i obowiązki względem Boga i to, co Mu się przynależy: *De virtutibus theologicis* i *De religione.* Druga księga traktuje o cnotach i powinnościach względem ludzi i o tem, co im się należy. Autor skończywszy w pierwszej części tej księgi o cnotach teologicznych, o ile mają na względzie człowieka jako przedmiot dalszy, mówi w drugiej części o pojęciu cnót moralnych i grzechach im przeciwnych. W trzeciej części traktuje o przedmiotach cnót moralnych i czyni następujący podział: 1. O obowiązkach i grzechach przeciwko dobru pospolitemu. 2. Przeciwko dobru jednostek. 3. O szczególnych obowiązkach małżonków i grzechach przeciwko szóstemu przykazaniu. 4. O posiadłościach zewnętrznych i obowiązkach, które za sobą pociągają. 5. O obowiązkach i grzechach przeciwko dobrej sławie bliźniego. 6. O ogólnych przykazaniach kościelnych.

Jak się wyżej wspomniało, rozbiera autor po porządku przykazania boskie, następnie przykazania kościelne i porusza tu pewne kwestye, które u innych autorów gdzieindziej są umieszczone. Tak np. mówiąc o trzeciem przykazaniu, traktuje zarazem o święceniu dni niedzielnych i świątecznych, tak co się tyczy wypoczynku od pracy, jakoteż słuchania mszy św. Bo chociaż, mówi O. Lehmkuhl (n. 544) naznaczenie niedzieli, jako dnia wypoczynku i w ogóle naznaczenie pewnego dnia w tygodniu już nas więcej nie obowiązuje na mocy przykazania boskiego, to zdaje się jednak, że zupełne zniesienie tego przykazania nie jest dozwolonem wedle prawa boskiego. Za to w przykazaniu kościelnem wylicza tylko nakazane dni świąteczne. Podobnie umieścił autor na odpowiednich miej-

scach w przykazaniach boskich rozmaite obowiązki stanu, które kładzie Gury na początku drugiego tomu. I tak spotykamy się z sędzią i oskarżonym, z świadkami i adwokatem itd. W czwartem przykazaniu zaś traktat „*de Jure et Justitia*“ umieszczony został za przykładem starszych autorów (Busenbauma i innych) w siódmem przykazaniu.

Przejdźmy teraz pojedyńcze rozdziały dokładniej, a znajdziemy w każdym z nich oprócz potrzebnych podziałów, objaśnień itd. pewną ilość pewników. Po nich następuje obszerniejszy wywód i wyjaśnienie, które zarazem obejmuje zapatrywania rozmaitych autorów na dotyczącą kwestyę, wraz z przyczynami, które podają. Św. Tomasz i św. Alfons są gwiazdami przewodniemi, w wyborze zapatrywań. Przytem wyjaśnia też autor obszernie przyczyny, które podaje. Jak Gury z innymi autorami przez rozmaite pytania po pewnikach następujące, zwraca uwagę na szczegółowe wypadki, względem których zastosowanie pewników może być wątpliwem, lub też jeżeli materya odnosząca się do pewników szczególniejszego potrzebuje wyjaśnienia, tak więcej jeszcze O. Lehmkuhl mniejszym drukiem uwydatnił objaśnienia pewników. W ten sposób zyskał miejsce na obszerniejsze rozwinięcie materyi. I rzeczywiście przyznać musimy, że autor tak we względzie teoretycznym, jakoteż praktycznym, pole, które sobie Gury zakreślił, znacznie powiększył.

Oprócz tego znachodzimy przed każdym rozdziałem przegląd autorów, przedmiot, o który chodzi najlepiej traktujących, na końcu zaś przegląd grzechów, które przeciwko dotyczącej cnocie, albo przykazaniu najczęściej się popełnia. Przykłady ułatwiają zrozumienie rzeczy, a praktyczne wskazówki dają potrzebną pomoc do zastosowania przedłożonych pewników.

Wspomnijmy po tych ogólnych uwagach o niektórych szczegółach. Księga: *De actibus humanis*, zawiera dłuższy psychologiczny wywód o istocie voluntarii (nn. 5—7), poczem następuje (nn. 8—10) dyssertacya o aktach woli w ogólności. Bo choć zazwyczaj kwestye te traktuje filozofia, to jednak i w teologii moralnej są one pożądanem uzupełnieniem, bez którego doskonałe zrozumienie rzeczy jest niemożebnem.

Szczególnie praktycznem jest rozwinięcie zdania: *Bonum ex integra causa, malum ex quovis defectu* (n. 32), przyczem zaraz wyjaśnia autor następującą kwestyę o czynnościach obojętnych.

W części drugiej o sumieniu, należy zwrócić szczególniejszą uwagę na rozdział o szkrupułach, w którym zchodzi O. Lehmkuhl do najważniejszych szczegółów. System probabilizmu umieszcza Gury pod rozdziałem: *De conscientia probabili*. Tymczasem jedynie tylko *conscientia certa* może być regułą czynności. (Laym. lib. 1. c. 5. n. 4. Gury).

Przeto też chce Gury przejść do tego przez znany bezpieczny (tutum) pewnik: *Lex dubia non obligat (De efficacia probabilitatis ad conscientiam efformandam I.)*. Stąd więc nie zostaje sumienie prawdopodobnem *(consc. probabilis)*, lecz przypada w dziale albo sumieniu wątpliwemu *(conscientia dubia)*, albo też sumieniu

pewnemu *(consc. certa)*. Tembardziej należy zasada: *Lex dubia non obligat* do traktatu *de lege*, i tu też rzeczywiście mówi O. Lehmkuhl o systemie probabilizmu, dodając krótką historyę tegoż, i rozwodzi się zarazem obszernie nad kwestyą, czy św. Alfons utrzymywał ten system. W n. 131 zastanawia się nad często poruszaną kwestyą, czy Kościół nakazać może akty czysto wewnętrzne.

Wybornym jest n. 229 i następ. o różnicy pomiędzy grzechem śmiertelnym a powszednim. Szczególnie też praktyczne są uwagi *De delectatione turpi* n. 255, gdzie przytacza autor na umocnienie swego twierdzenia największe powagi i kładzie nader jasne reguły w tej tak trudnej materyi. Pouczającym jest traktat o istocie uroczystych ślubów n. 498, o powołaniu do stanu zakonnego n. 510, o prawie dla zakonników w rozporządzaniu swemi rękopisami n. 523, o prawie ugody zakonników n. 535, o posłuszeństwie tychże w razie, jeżeli przełożony chce zaprowadzić większą karność n. 538. *De scandalo* i *De cooperatione* daje nietylko znakomite uwagi, których zresztą w żadnym z nowszych autorów nie napotkaliśmy, lecz nadto wchodzi w najrozmaitsze pojedyńcze wypadki. Co do kraniotomii n. 841 utrzymuje autor, że pomimo wszystkich powag w medycynie nie jest jeszcze dostatecznie udowodnionem, czy jest dozwoloną, choć *Appendices ad Acta S. Sedis* stają w jej obronie.

Szczególnie jednak uwydatnia się praktyczna zręczność i pilność autora w traktacie *De Jure et Justitia* (7 przykazanie). Najpierw kładzie pewniki prawa naturalnego. Po nich następuje prawo pozytywne (pruskie, francuskie, rzymskie, czasem nawet angielskie). Na pytanie zaś dla spowiednika najważniejsze, tj. kiedy może pozwolić penitentowi, aby czynił użytek z przywilejów, które mu prawo państwowe przyznaje, regularnie odpowiada autor w każdym paragrafie tak wyczerpująco, jak tego przedmiot wymaga. Gdy bowiem nowe szczególnie prawa we wielu punktach oddalają się od zasad, które prawo chrześcijańskie przepisuje; toć jasną jest rzeczą, że odpowiedź na wyż wspomnianą kwestyę z wielką jest czasem połączona trudnością. Za przykład przytaczamy n. 909. *De occupatione animalium*, n. 948. *De possessore bonae fidei*. Jako materyę *absolute gravem* przeciw 7 przykazaniu naznacza autor dla Niemiec 15 marek, albo 20 franków a więc około 9 złr. wal. a., gdy tymczasem w Anglii już 1 funt. sztrl. za taką uważa.

Wedle wywodów O. Balleriniego dałoby się tę sumę jeszcze wyżej podnieść, gdyby autor zechciał reguły dawnych doktorów ściśle do czasów teraźniejszych zastósować. Bardzo też dobrze oznaczone są (nn. 966—980) warunki, których się wymaga, aby ktoś, *ex ratione damnificante* był obowiązanym do restytucyi. Z pomiędzy praktycznych wskazówek należy wspomnieć także n. 1028 *de modo restitutionem peragendi*. Podobnież gruntownie wyłuszcza autor kontrowersyę o kontrakcie *de objecto turpi*. Ważną kwestyę *de usuris* dokładnie wyświeca tak ze strony historycznej, jak i etycznej (nn. 1096 — 1108). Jako najwyższą

zwyczajną miarę stanowi autor ostatecznie 6—9%, *tamen, si e. g. ad 20 proc. usque cresceret, justum esse non amplius video.* W 8 przykazaniu rozdział o wyjawianiu przez dziejopisarzy skrytych występków, jest nadzwyczajnie zajmującym n. 1183. *Quis historiographos legitimos judices fecit, quasi eorum judicium, vel tribunal sit historia, coram quo, qui alias injudicati manserint pro merito judicantur?*

Wedle wszystkiego, co się już powiedziało, łatwo można utworzyć sobie zdanie o tem dziele. Materya tak jest bogatą, że dzieło to może zastąpić wyśmienitego nauczyciela w studyum prywatnem, doświadczonego poradnika we wszystkich wątpliwościach, pewnego kierownika w praktyce. W użytku szkolnym musiałoby kierownictwo nauczyciela wybierać rzeczy ważniejsze, gdyż dla uczniów dzieło to jest może za obszerne. Wyczekujemy tedy pełni nadziei tomu drugiego, który w szczególny sposób ma za zadanie rozwiązać praktyczne pytania.

X. A. Arndt.

Kazania o dwojakim Kościele chrześcijańskim, księdza Stanisława Karnkowskiego, arcybiskupa gnieźnieńskiego, przejrzał i wydał ksiądz *Antoni Chmielowski.* M. S. T. Warszawa 1884. str. 198.

Ozdobne to wydanie, dedykowane X. Arcybiskupowi Popielowi, poprzedził wydawca obszernym (str. 1—103) życiorysem Karnkowskiego, na najlepszych dawnych i nowych źródłach. Z stylu tej przedmowy znać, że X. Chmielowski starał się i umiał sobie przyswoić język Karnkowskiego, którego też całem sercem ukochał. Mówi o nim zawsze z pewnym pietyzmem, z uszanowaniem, wykluczającem niemal cień nagany; stąd życiorys ten robi pomimowoli raczej wrażenie panegiryku, niż krytycznego opowiadania. Bądź co bądź, samo „Kazanie o dwojakim Kościele chrześcijańskim“, stwierdza poniekąd pochwały oddane poprzednio jej autorowi. Kazanie to wypowiedział Karnkowski r. 1596 przy poświęceniu nowego kościoła Jezuitów w Kaliszu. W pierwszej części wykłada prześlicznie naukę o „Kościele powszechnym Pana Chrystusowym“, opierając się na psalmie 86-tym; w drugiej części mówi o kościołach materyalnych, ich znaczeniu, przyczynie i przeznaczeniu. Obok nauki pozytywnej, znajdujemy tu obfity materyał do historyi polemiki ówczesnej z najrozmaitszemi sektami, które całym potopem zalewały Polskę.

Pouczającą tę książeczkę ozdabia jeszcze kilka starannie wykonanych wizerunków: samego Karnkowskiego, jego pomnika w Kaliszu, kościoła tamże i parę innych. Słowem, nowe to wydanie X. Chmielowskiego nietylko poucza, rozszerzając znajomość znakomitego kaznodziei z XVI w., ale nadto powabną i piękną swą postacią przyciągnie zapewne i tych, co skądinąd nie zbytby się spieszyli do przeczytania kazania z w. XVI. *J. B.*

Z dzieł historycznych.

SEJM CZTEROLETNI napisał *X. Waleryan Kalinka*. Wydanie trzecie. T. 1. 2. Lwów, nakładem księgarni Seyfartha i Czajkowskiego 1884.

Pocieszający to objaw, że dzieło obszernych rozmiarów, treścią poważne, formą nadobne, w ciągu lat czterech doczekało się trzech wydań. Świadczy to dobrze o wartości dzieła, ale też i o zdrowym zmyśle i dobrym guście czytającej publiczności, którą nie raz jeden, nie wiem czy słusznie, obwiniano o „wstręt do książki.“ W swoim czasie, za pierwszem ukazaniem się „Sejmu czteroletniego“, wypowiedzieliśmy nasze zdanie w *Przeglądzie lwowskim* i w *Kuryerze poznańskim*, a ponieważ w dwóch następnych wydaniach „Sejmu“ nie napotykamy żadnych zmian ważnych, przeto i nasze zdanie zmienić nie widzimy potrzeby, tem bardziej, że chórowe niemal pochwały krytyki w pismach publicznych, nie zawsze były w zgodzie z tem, co w prywatnych kółkach, u siebie w domu o tem dziele rozprawiano. Rozprawiano zaś przedewszystkiem o tem, azali to rozmazywanie wad i grzechów przeszłości naszej przyda się na co? ażali nie przyprawi nas o małoduszność i zwątpienie, a wrogom naszym ażali nie poda argumentów usprawiedliwiających ich winę? czy nie będą mogli powiedzieć: oto wasz najznakomitszy historyk dowiódł wam jak na dłoni, że własną winą wyzbyliście się warunków politycznego bytu, prawem konieczności moralnej stało się, żeście go utracili, my tu nic nie winni? Pytano jeszcze, czy też ks. Kalinka i szkoła dyagnozy historycznej, której on jest u nas koryfeuszem, nie popełnia bardzo zwykłego błędu mierzenia czasów dawnych łokciem naszych czasów, tłoczenia w ramy z góry ułożone ludzi i wypadków, bez względu na to, czy te ramy im pasują lub nie, a wreszcie i przesadnego obarczania winą jednych, aby część ciężaru winy zdjąć z barek drugich? Takie pytania zadawano sobie w kołach konserwatywnych, cóż dopiero w kółkach postępowych odcieni. Tam pytano, dlaczego ks. Kalinka „pisze książki, które mu ujmę przynoszą, bo podkopują ufność w czystość jego zamiarów“, i czy „nie ma też nikogo, któryby te dzieła ze znajomością rzeczy przeczytał, rozmyślnie stronniczą dążność ich wykrył, zawartą w nich truciznę wyjawił i powiedział ze stanowczością w takich wypadkach konieczną, że są to po prostu naukowe elaboraty ad usum Stańczyków“... „Jakaż jest tedy, pytano jeszcze, tendencya ks. Kalinki? Oto, przedewszystkiem poparcie absolutnego monarchizmu. W tym głównym celu usiłuje on potępić konstytucyę trzeciego maja i w tym samym celu wysila się, aby umyć króla Stanisława Augusta... wybrał go sobie, aby na nim dowieść, że najlepszą formą rządu jest absolutna monarchia, a najwyższą cnotą obywatelską, przywiązanie i ślepe zaufanie do każdocześnie panującego monarchy“. (Teka Nieczui I. 153—158) — Powinszować sobie może ks. Kalinka, że podobnie jak Skardze zarzucali rokoszanie, iż *absolutum dominium* chwali i do-

radza, a on tylko do posłuchu istniejącym prawom i do szanowania królewskiej władzy nawoływał, tak spadkobiercy anarchicznych tradycyj rokoszan jemu (ks. Kalince) dążność do absolutnej monarchii zarzucają. Nie, „Sejm czteroletni“, nie jest elukubracyą, ale głębokiem studium; nie jest naigrawaniem się z przeszłości, ale sumiennym z nią obrachunkiem; nie jest swawolnem, złośliwem rozmazywaniem win przeszłych, ale dyagnozą chorób Rzpltj dla nauki obecnego i przyszłych pokoleń, aby poznawszy je, umiały uchronić się ich w pracy nad odrodzeniem własnem i kraju, i zastosować tu można w całem znaczeniu ono sławne Cycerona: *historia magistra vitae*. Jest jednak w tej książce błąd, nie historyczny i nie polityczny, ale psychologiczny. Ks. Kalinka przedstawił w swem opowiadaniu, i w dziele dawniejszem: „Ostatnie lata panowania króla St. Augusta“ (str. 54, 57), jakkolwiek z widoczną życzliwością, ale bądź co bądź dosyć wiernie wady charakteru króla, „że hazardów gwałtownych nie lubił... z nawyknienia w poczuciu własnej słabości, na kimś silniejszym oprzeć się potrzebował. Słaby był nieraz nad potrzebę, nieraz bez pamięci na swą godność ulegał ambasadorowi, zanadto w tem wszystkiem poddawał się kobietom“ (str. 226). A cóż dopiero powiedzieć o obyczajach króla i skutkach politycznych tej obyczajowej lekomyślności? W parze z nią idąca rozrzutność stała się przyczyną długów królewskich, które lubo po kilkakroć przez Rzpltę płacone, wyrosły do sumy 30 milionów złp. i zmusiły króla do przystąpienia do Targowicy i do haniebniejszego jeszcze podpisania rozbioru kraju w Grodnie: „przeczuwał Stanisław, co go tam czekało, wzdrygał się, odkładał, ale przynaglony pojechał, nowy podział podpisał i koronę zatrzymał na swoją i narodu niesławę... Były w życiu jego chwile i ustępstwa, za które dzisiaj jeszcze rumienić się trzeba (str. 226). „Miłostki z w. księzną dały go poznać światu, przez nie dostał się na tron, a ten grzech pierworodny jego dostojeństwa królewskiego ścigał go przez całe życie. Tkwiła w nim pamięć tego stosunku, trzymała go w niewoli moralnej, bez względu nawet na polityczną zawisłość“. (Ostatnie lata, str. 41). Taki sąd wydał ks. Kalinka o królu Stanisławie, tak go też pojmowała i tak go sądziła zdrowsza część społeczeństwa i sejmu czteroletniego; pytam teraz, czy było psychologicznie możliwą rzeczą, aby takiemu królowi, „który nawykł do jarzma“ obcą ręką nań wtłoczonego, i będąc w całem znaczeniu słowa lichotą moralną, przez lat 24 swoich rządów jedynie nad tem zdawał się przemyśliwać, jak dogodzić tej, którą kiedyś kochał namiętnie, której zawdzięczał wszystko czem był, bo koronę i pieniądze, i tem uczuciem źle zrozumianej wdzięczności powodowany, zaprzepaszczał siebie i naród w znikczemnienie, bo w zapoznanie i zatarcie godności własnej — jak pytam, takiemu królowi mógł zaufać nie już sejm, ale ktokolwiek bądź szanujący sam siebie? Wszak aby współdziałać z kim, należy mu zaufać, zaufanie zaś zdobywa się pracą, hartem duszy, poświę-

ceniem, opiera się na czci i szacunku. Król Stanisław w tak niefortunnem znalazł się, winą wypadków a bardziej jeszcze własną winą położeniu, że czci i szacunku nawet u obcych, tem mniej u swoich nie miał i mieć nie mógł; jakąż tedy loiką domaga się ks. Kalinka tej czci i tego zaufania od sejmu i obwinia go i sądzi surowo? „Król, powiada, (który na kimś silniejszym koniecznie oprzeć się potrzebował), próbował oprzeć się na sejmujących stanach, na wybitniejszych w narodzie mężach," ale ci, zamiast „go otoczyć, z jego światła i darów wielkich korzystać, a słabość jego i zbytnią drażliwość własną stałością podeprzyć,... usunęli się odeń systematycznie, owszem, wytrącili mu z ręki resztę władzy. Nie znalazłszy w narodzie, szukał król słaby podpory u tej, która go na tronie postawiła,... nie z miłości pewno nachylał się do Rosyi i znosił od niej upokorzenia; czynił to, bo musiał a zmuszała go niekarność własnych poddanych" (str. 226). Wartość tego rodzaju argumentacyi niech oceni każdy myślący — a przyznać z nami musi, że brak jej psychologicznej prawdy.

Ten jest jedyny błąd znakomitej skądinąd, szeroko pomyślanej, misternie przeprowadzonej pracy ks. Kalinki, pracy w połowie tylko wykończonej, ale o ile nasze informacye sięgają, niedalekiej już wykończenia całkowitego; czcigodny bowiem jej autor, usunął się ile tylko mógł od wszelkich innych zajęć, aby czas swój i siły niemal wyłącznie opracowaniu II. i III. części „Sejmu czteroletniego" poświęcić. Z serca życzymy: Szczęść Boże.

St. Załęski.

Opowiadania i studya historyczne przez *Kazimierza Jarochowskiego*. Serya nowa. Poznań 1884. str. 413.

Czwarta to już serya studyów sędziwego autora nad czasami panowania królów saskich, czasami niewyjaśnionymi dokładnie a tak ważnymi w historyi naszego upadku. Wyjątkowo znajdujemy tu na pierwszem miejscu szkic historyczny o „Wyprawie i odsieczy wiedeńskiej" i drugą rozprawę, odnoszącą się również do jubileuszu Sobieskiego „Wyprawa wiedeńska ze stanowiska interesu politycznego Polski". Czuć, że dwie te okolicznościowe rozprawy nie wchodzą w ściślejszy zakres badań p. Jarochowskiego, i dlatego też nie zastanawiając się bliżej nad pytaniem, czy można się zgodzić na podaną przez autora rehabilitacyę myśli politycznej Jana III. i czy to jest rzeczywiście rehabilitacya, przejdźmy odrazu do bardziej wyczerpujących i gruntownych opowiadań z walki toczonej między Augustem II. a Leszczyńskim. Autor opiera się tu przeważnie na dokumentach zaczerpniętych z archiwów drezdeńskich. Najgorsze światło rzucają te dokumenta na samego Augusta II. W stosunkach dyplomatycznych z Rosyą, Brandenburgią, Danią, Rzymem, myśli król polski jedynie o sobie, gotów bez wahania zgodzić się na podział Polski w najkrytyczniejszych chwilach, włóczy się od miasta do miasta, przepędza czas na zabawach i miłostkach, nikczemnie poświęca dla własnej korzyści oddanego sobie Patkula. Ale jeśli August II. budzi swem postępowaniem słuszny wstręt, to słabość charakteru, brak stanowczości

Leszczyńskiego bolesne i gorzkie rodzi wspomnienie. Słabość tę i zupełny brak decyzyi skreśla p. Jarochowski w obszerniejszem opowiadaniu „Stanisław Leszczyński po Pułtawie". Opuszczony od królewskiego swego protektora, Leszczyński nie umie sobie zupełnie dać rady, nie umie natchnąć swych stronników męstwem, i przenosi nad jakiś krok stanowczy sromotną emigracyę do Szwecyi. Niestety, ani poczciwy Leszczyński, ani zepsuty August II. nie byli w tej chwili właściwymi królami dla Polski.

Poza koło walk Leszczyńskiego z Sasami, wychodzi bardzo ciekawa rozprawa „Stosunek Brandenburgii do Kościoła katolickiego w ziemiach polskich od r. 1640 do 1740". Materyału do tej pracy dostarczyły autorowi wydawnictwa źródłowe Lehmanna, nadzwyczaj bogate swą treścią, choć nie można powiedzieć, że zawsze przeprowadzone były z winną sumiennością. Tak np. p. Lehmann uznał za stosowne nie umieścić ani jednego dokumentu o brutalnej napaści na klasztor paradyski, a trudno przypuścić, żeby takich dokumentów nie było. Pomimo tej stronniczości wydawnictwo Lehmanna ważnym jest przyczynkiem do naszych dziejów, jak można się o tem przekonać z streszczenia p. Jarochowskiego. Katolicyzm był najsilniejszym węzłem między Polską a krajami oddanymi nieszczęśliwie w zastaw domowi brandenburgskiemu, a przeto nie dziw, że elektorowie nie zbyt łaskawie spoglądali na katolicyzm w tych prowincyach, na księży, a cóż dopiero na Jezuitów. Z drugiej jednak strony bali się zbyt rodrażnić Polaków, żeby ci nie pomyśleli przypadkiem o wykupieniu dawnych swych dzierżaw. Stąd szereg krzyżujących się, często wręcz przeciwnych rozporządzeń: wychodzą edykta skazujące Jezuitów na wygnanie, ale przezorny elektor rychło reflektuje się i na marginesie nakazuje ich „tymczasem" zostawić w pokoju.

Kreśląc historyę Kościoła katolickiego w Brandenburgii między 1640 a 1740, nie mógł p. Jarochowski pominąć milczeniem O. Voty, znanego spowiednika Jana III. i Augusta II,, a który odegrał pewną rolę w staraniach, jakie podjął elektor brandenburgski o uzyskanie królewskiej korony. Występowanie przeciw O. Vocie, jak do niedawna przeciw Possewinowi, tak jest powszechne, że zupełnie nie dziwimy się złym intencyom, które autor podsuwa spowiednikowi Sobieskiego. Może p. Jarochowski nie mieć sympatyi do O. Voty, ale czy wypada poważnemu historykowi bez dowodów potępiać osoby i piętnować je nazwą „jurgieltników i intrygantów", to inna rzecz, choć się temu nie dziwimy również. Kto rozmyślnie zamyka oczy na jedynie skuteczną działalność papieży przeciw dziczy muzułmańskiej, kto nie chce, czy też już nie może pojąć tej prawdziwie chrześcijańskiej myśli, która tej działalności przewodniczyła, kto posuwa się do takiej niedorzeczności, iż nazywa „poddanym" cesarskim Inocentego XI-go, czyż może obchodzić się inaczej z kapłanami a do tego Jezuitami?

J. B.

Z dzieł literackich.

PRZEGLĄD POLSKI na sierpień, poświęcony jest wyłącznie *Kochanowskiemu* i rzeczywiście pod każdym względem, tak treści, jak i zewnętrznej formy, na nazwę jubileuszowego zasługuje.

Najznakomitsi nasi uczeni i literaci, nietylko wchodzący w skład redakcyi Przeglądu, ale i z po za niej, złożyli piękną wiązankę z szeregu rozpraw organicznie ze sobą związanych, a przeprowadzających nas od „młodości Jana Kochanowskiego," aż do najdrobniejszej broszurki z ostatnich miesięcy o wielkim poecie wydanej. Poruszono zagadnienia niemałe i trudne, mianowicie: jaki wpływ wywarła na naszym wieszczu poezya europejska XVI w., i wzajemnie, jaki zachodzi stosunek między Kochanowskim i poetami niemieckimi XVII. w.; jakiem było stanowisko polityczne Kochanowskiego, jakie życie towarzyskie go otaczało i podniecało jego muzę.

Wspaniałe te ramy wypełnione zostały tak dokładnie i tak zajmująco, że książka ta staje się dla czytających, jakby jednym, coraz wyraźniejszym obrazem czasów Zygmunta Augusta, z wysuniętą na pierwszy plan postacią Kochanowskiego. Wreszcie dla uwieńczenia całości i poezya dodała parę pięknych kwiatów, i malarstwo przedstawiło się w wybornej heliotypii słynnego portretu Kochanowskiego, przez Matejkę.

POLACY W SYBERYI przez *Zygmunta Librowicza*. Kraków 1884, str. 380.

Pojedynczych monografij, wspomnień, pamiętników o Syberyi, mamy znaczny zapas; są to materyały do przyszłej historyi pobytu Polaków w Syberyi, ale historyą taką nie są. Czy ma nią być obecna praca p. Librowicza? Sam autor w przedmowie odpowiada wymijająco: pragnął on tylko zebrać razem jak najwięcej szczegółów, odnoszących się do pobytu Polaków w Syberyi, skreślić ich dzieje i wpływ ich na cywilizacyę tych odległych, obszernych krajów; zapytać się, jak na misyę cywilizacyjną Polaków w Syberyi, zapatrują się sami Sybiracy, Rosyanie, cudzoziemcy. Założenie to nadzwyczaj ciekawe, tem ciekawsze, że autor nie zadawalniając się badaniami nad ostatniem stuleciem, zapuścił wzrok daleko wstecz, a opierał się wszędzie nietylko na polskich, ale również na rosyjskich, francuskich, niemieckich, angielskich i szwedzkich pracach.

Pierwszymi polakami o których wiemy, że dotarli do Syberyi, byli dwaj Franciszkanie: Jan de Plano Carpino i Benedykt Polonus. Dwaj ci zakonnicy odbyli swą podróż w połowie XIII. w. z polecenia Inocentego IV. i zostawili bardzo ciekawy opis swych przygód. Długo później, bo dopiero w w. XVII. zjawia się w Syberyi bohater-awanturnik Nicefor Czernichowski, pochodzący prawdopodobnie z województwa kijowskiego, zajmuje lewe porzecze Amuru, zakłada tam kwitnącą osadę i otrzymuje nawet tytuł ałbazińskiego namiestnika (r. 1671). W tym samym czasie, co Czernichowski, pojawią się inne jeszcze dziwne, na pół mityczne postacie Polaków: Ignacego Kosarzewskiego, pogromcy Kamczatki, Pawłuckiego, misyonarza Leszczyńskiego, jezuity Kaweczyńskiego i kilku innych. Adam Ka-

mieński Dłuky wzięty w niewolę r. 1657 i popędzony na Sybir z 400 towarzyszami, spisał ciekawy „Dyaryusz więzienia moskiewskiego, miast i miejsc“. W początkach wieku XVIII. dostali się do Tobolska dwaj bracia Siennicey, obaj żarliwi dyssydenci; jeden umarł nad rzeką Ob; drugi usłyszawszy o ówczesnych męczennikach japońskich i czytając ruskie tłumaczenia Żywotów Skargi, nawrócił się do katolickiej wiary. Po konfederacyi Barskiej, zawitali tutaj Beniowski, słynny swą ucieczką i głośnemi awanturami, ks. Bułhak, ks. Ciecierski, Józef Kopeć i wielu, wielu innych. Po nieszczęśliwej wyprawie Napoleona z r. 1812, liczono w Syberyi do 900 Polaków; roku 1828 przybyli nowi zesłani, a począwszy od roku 1831 szły już coraz nowe tłumy wygnańców.

Odtąd też czuć się bardziej daje wpływ Polaków na oświatę i przemysł sybiryjski. Z początku Sybirczycy spoglądali z nieufnością na nowych przybyszów; pomału oswoili się, zaczęli ich szanować, przypuszczać do swych spółek, zapraszać na nauczycieli. Wiele gałęzi przemysłu zawdzięczają Sybirczycy zapobiegliwości i energii Polaków i bynajmniej się z tem nie kryją. Pisarz rosyjski Maksimow przyznaje Polakom znaczny wpływ na umoralnienie Syberyi, a gazeta irkucka „Sibir“ w jednym z swych numerów z zeszłego roku nie miała dość słów na wykazanie błogich skutków, które Syberya winna Polakom. Nie możemy tu naturalnie wdawać się za autorem w wyliczenie wszystkich mniej lub więcej znacznych, ale zawsze wymownych szczegółów; z pewnością jednak kto zechce bliżej z nimi się obznajomić, nie pożałuje straconego czasu. Czemże się bowiem nie zajmowali Polacy na Syberyi? Malarstwem, drobnym handlem, rolnictwem, zakładaniem młynów i restauracyj, literaturą i historyą naturalną, — słowem, wszędzie byli czynni i nie bez pewnej słuszności nazwano ich „sybiryjskimi żydami“. Dr. Dybowski i Czekanowski zapoznali świat z sybiryjską przyrodą, i wśród mnóstwa niebezpieczeństw odbyli śmiałe a obfite w skutki naukowe wyprawy. Przedsiębiorca Paklewski przyszedł do ogromnego majątku i nie szczędził go na wspomaganie uboższych i potrzebujących. Księża wreszcie katoliccy starali się, o ile mogli, utrzymać między swymi ziomkami ducha wiary. Osobny rozdział (XVII), poświęcony dodatnim wpływom niewiast polskich na cywilizacyę sybirską. Według wspomnianego wyżej Rosyanina Maksimowa, było między rokiem 1863—66 tych dobrowolnych po większej części wygnanek, dzielących los nieszczęśliwych swych krewnych przeszło 1.800. Małżeństwa z prawosławnemi stały się źródłem wynarodowienia następnych pokoleń. Przedsiębiorstwa Poklewskiego sprowadziły zarzut, że Polacy przyczynili się do rozszerzenia pijaństwa w Syberyi. Bądź co bądź wpływ dobry przeważył z pewnością. Dodatnią cechą tej książki jest styl prosty, pojedynczy a poprawny, przedstawienie rzeczy przedmiotowe, wolne od tych niewczesnych wycieczek, narzekań i lamentów na sprawców wygnania, które jątrzą tylko umysły a złemu nie zaradzają. *B.*

SPRAWOZDANIE

z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

Listy z Irlandyi.

II.

Kodeks karny przeciw katolikom. — Następstwa tego kodeksu i wpływ na charakter Irlandczyków. — Częściowe wyzwolenie katolików 1829 r. — Zbawienny wpływ duchowieństwa i szkół zapłotowych. — Zasłużeni mężowie i poeci irlandcy. — Zmiana polityki rządu angielskiego. — Szkoły ludowe, trzy uniwersytety i seminaryum duchowne. — Niezadowolenie Irlandczyków. — Fenianie i autonomiści. — Rozruchy. — Ustawa ziemiańska. — Przyczyny niezadowolenia Irlandczyków.

Artykuły kodeksu karnego pozostaną wieczyście hańbą prawodawców angielskich, którzy je wydali. Przypomnijmy sobie, że prawo „zniosło“ religię katolicką, że pod karą śmierci w męczarniach, zakazało odprawiania nabożeństw, że na głowę kapłana naznaczyło cenę, że skazało na śmierć tych, którzyby dali schronienie słudze ołtarza, że związki małżeńskie, zawarte wobec kapłana, ogłoszone były za nieważne. Katolik nie mógł zasiadać w żadnym urzędzie, nie mógł być rzecznikiem, ani lekarzem, nie mógł posiadać ksiąg i rękopisów, jak nie mógł być właścicielem konia, którego wartość (nie cena) przenosiła 5 funtów szterlingów. Katolik nie mógł być nauczycielem; kapłan i nauczyciel podlegali równemu prześladowaniu, życiu ich groziły zewsząd ciągłe niebezpieczeństwa. I taki stan rzeczy trwał blisko wiek cały — od Wilhelma III. do rewolucyi r. 1798! To prześladowanie wiary i kapłanów utwierdziło lud irlandzki w religii

przodków i zespoliło go nierozłącznie z pierwszemi ofiarami, które z ludu wyszły. Celtowie Erynu, wyspy Świętych, potężni siłą wiary i siłą przywiązania do swych kapłanów, stanęli przed sekciarskiem prześladowaniem Purytanów, kromwellowskich „świętych“, a później Oranżystów, z godnością, odwagą i nadzieją pierwszych chrześcijan. Nie zapominajmy, że naród irlandzki, aż do początków wieku XVIII. słynął z czystości obyczajów, z bogobojności i wysokiej oświaty, że wszechnice irlandzkie dostarczały nauczycieli uniwersytetom brytańskim. Uderzony brutalną tyranizacyą swej wiary i oświaty, naród irlandzki przyjął cios ze wzgardą, która rosła w miarę prześladowania. Gdy zepsucie obyczajów, które do uciśnionej Irlandyi przedrzeć się nie zdołało, upodliło głębiej oręż sekciarstwa anglo-szkockiego, a równocześnie przemoc żołdacka uniemożebniła czuwanie kapłana nad ludem; kiedy pokolenia następne, przejmując żywotność wiary po ojcach i dumę narodowej wyższości cywilizacyjnej, nie zdołały korzystać z postępów oświaty i widziały potężne mocarstwo, zajęte wytępieniem szkółek ludowych; natenczas, czyż dziwić się trzeba, że nienawiść rasowa podbitych, odartych z mienia, spotęgowana świadomością duchowej swej siły narodowej, zalała cały naród wrogi nienawiścią religijną, najniebezpieczniejszą i najwytrwalszą?

Po zawarciu unii, władze sfolgowały w wykonywaniu ustaw karnych. Po stu latach rozpaczliwego borykania się ludu z gniotącą go ciemnością protestancko-politycznego fanatyzmu, wyszli z ukrycia kapłani, pasterze ludu i nauczyciele dalszych pokoleń. I co znaleźli? Rozpanoszony anglikański kościół państwowy, rozpierający się w starożytnych dyecezyach wyspy Świętych, wsparty mieczem domu hanowerskiego, siłą arystokracyi kolonialnej, szarpiący mienie celtyckich Helotów uprawnioną dziesięciną! Sześć milionów katolików, składających dziesiąty grosz na utrzymanie powagi tego kościoła, na wzbogacenie środków jego hierarchii, na przysporzenie sobie samym tem sroższego uciśnienia! W administracyi cywilnej — zagłada posiadłości irlandzkiej, rozbój prawomocny, szarpanie ziemi drapieżne i pospieszne... bo od czasu do czasu dochodzi do Irlandyi echo gromów nowych idei z Anglii, idei o stosunku ziemianina i rolnika do ciała prawodawczego. A lud!.. Lud pełen wiary, ale wiary zapalczywej, nie-

chrześcijańskiej; pełen ufności do kapłanów, byle mu kapłani nie zabronili nienawidzieć tamtych i nienawiści tej dowodzić czynem! Lud przywiązany serdecznie do Stolicy apostolskiej, która go nigdy nie opuściła; przywiazany do obrzędów i praktyk religijnych, któremi się wzmacniał i krzepił z niebezpieczeństwem życia; przywiązany do tradycyi swego Kościoła, ale dziwnie zabobonny... jak gdyby przez tę noc czarną długiego ucisku zlewały się ostatnie mroki dawnego pół-barbaryzmu z niepewną zorzą moralnego odrodzenia. Nauczyciele dziatek tego ludu znaleźli w ich umysłach bojaźń nauki, bo za chęć nauki męczono ich pradziadów, bito rózgami ich matki! Oprócz tego, ciemnota umysłowa zakaziła pojęcia pewnego rodzaju dziedzicznem stępieniem, z którego zaledwie dzisiaj—w trzeciem od emancypacyi pokoleniu,—zaczyna powstawać nadzieja[1]. Trzymając się roli z zachowawczym instynktem, a przemysł i handel widząc w ręku wrogów, irlandczyk pracował jedynie dla zaspokojenia potrzeb życia, oszczędności nie widział potrzeby, gdy za jej pomocą nie mógł dać dzieciom elementarnego wykształcenia, ani powiększyć dobytku; stąd zniechęcenie i lenistwo, stąd wreszcie najgorsze pijaństwo, które niszczyło pokolenie po pokoleniu, przytępiało stokroć fatalniej niż brak oświaty wszelką bystrość umysłu, i rozpowszechnione w Irlandyi do straszliwych rozmiarów, poniżyło stan ludu moralny... Czego nie dokonała brutalna tyrania namiestników rządu, kolonistów, sekciarzy i ustaw karnych, to sprowadziło pijaństwo: lud irlandzki stracił swą godność w obec dumnego saksona[2]. I nie dziw, że dzisiaj w Anglii patrzymy na to codziennie; włościanin irlandzki, bodaj z większą bywa charakteryzowany pogardą, aniżeli pajac jarmarczny. Jego tradycyjna gościnność zwie się tu marnotrawstwem; jego dowcip—błaznowaniem, jego przywiązanie do roli—lenistwem, jego miłość wiary katolickiej—zaślepionym fanatyzmem;

---

[1] Przekonało mnie o tem kilkoletnie doświadczenie w południowej Irlandyi. Młodzież północnej Irlandyi, przeważnie protestanka, nierównie jest bystrzejszą.

[2] Jak smutnie rozgałęzionym musiał być ten zabójczy nałóg w Irlandyi, prawie niepodobna dziś sobie zdać sprawy. Obecnie, bo już podobno ani połowy złego nie ma w kraju, a jednak pijaństwo jest plagą ludu i zdumiewa samych Anglików.

jego skargi — wyzyskiwanem krzykactwem; jego krzywdy — winą i skutkiem alkoholu; jego zaufanie do poważnych przywódzców politycznych — szałem.

Oto, co zastali kapłani i nauczyciele ludu przed O'Connellem. Nie znaleźli ani chęci w ludzie, ani też gotowości do rozpoczęcia olbrzymiego dzieła własnej reformy moralnej. Gdyby wtenczas kapłani, jedyni wykształceni ludzie w narodzie, dali się byli uwieść szlachetnymi lecz nierozważnymi ruchami kół patryotycznych w Dublinie, gdyby skłonili się byli do próśb i zaklinań Emmeta i innych, lud byłby rzucił się za nimi w otchłań nowych zamachów politycznych... lecz i dzieje narodu w nichby znalazły były zakończenie. Opatrzność czuwała troskliwie nad olbrzymiem zadaniem i odpowiedzialnością duchowieństwa. W miarę, jak władze poznawały jego zbawienną działalność, ustawy karne popadały w zapomnienie. Kościół katolicki w Irlandyi otrzymując bezustanne zachęty i rady Stolicy św., porzucił wreszcie system nieśmiałej i ukrytej działalności, a objął pieczę nad ludem z zaparciem i ze zbawienną surowością.

Wiadome są zasługi wielkiego O'Connella, „niekoronowanego monarchy“ Irlandyi. Jeżeli niektóre plany jego nie znalazły poparcia między duchowieństwem, to dlatego, że zdaniem księży, ludu nie można było wystawiać na zbyt rychłe próby, że było niebezpieczną rzeczą rozwijać agitacyą polityczną przy zaciekłości mas ciemnych, niepojmujących agitacyi bez anarchizmu. Pomiędzy emancypacyą katolików (r. 1829), na mocy której Irlandczycy otrzymali prawo głosowania w Izbie, a ustawą o zniesieniu kościoła państwowego w Irlandyi, która uwalniała katolików od wspierania anglikanizmu, upłynęło lat 40. Zobaczmy, jaki postęp zaszedł w kraju podbitym między jednem ustępstwem a drugiem.

Od pierwszej chwili, duchowieństwo pomimo nader trudnych warunków, jęło gorliwie pracować nad oświeceniem ludności, walczyć musiało z obojętnością zdemoralizowanego ludu, stawiać czoło anglikanizmowi i rozlicznym sektom, a w braku środków materyalnych, widziało się nieraz zmuszone do bezczynności. Duchowieństwu przyszły na pomoc warstwy miejskie mało różniące się od ludności wiejskiej. Z klas małomiasteczkowych wyszli nauczyciele ludowi. Oni to uczyli pokryjomu, bez opłaty lub za

wynagrodzeniem w naturaliach. Znam Irlandczyków, którzy elementarne wykształcenia swoje zawdzięczają swym „zapłotowym szkołom“ (Hegde-Schools). Pedagog wybierał miejsce bezpieczne najczęściej... w rowie, za płotem stawiał na straży kilku uczniów, innym zaś udzielał nauki. Bywali między owymi nauczycielami mężowie niepospolitego poświęcenia, niezmordowanej pracowitości; bywali również uczeni znający klasyków greckich i łacińskich, obeznani z filozofią scholastyczną, z naukami ścisłemi, z matematyką, wielcy przytem dziwacy i pedanci spełniający obowiązki przyjęte *con amore*. Na znak alarmu, szkoła rozpierzchała się, uczniowie chwytali do rąk sierpy, lub motyki, ukrywali książki, pedagog znikał. Z czasem lud okazał się skorszym do nauki, szkoły te przeniesiono do plebanii i zakrystyi. Jeszcze później, ze składek zbieranych cichaczem, budowano szopę dla pomieszczenia dziatwy i jakie takie mieszkanie dla nauczyciela. Ale do tego przyszło dopiero przed reformą kościelną Gladstone'a.

Do opuszczonych licznych świątyń i klasztorów powrócili zakonnicy, przybierając jednakże dla ostrożności charakter świecki. Duchowieństwo tak pomnożone, zwiększyło i zapał swój i zakres działalności. Rodziny zamożniejsze, które od upadku wielkiej rewolucyi żyły w dobrach swych na ustroniu, przyczyniać się zaczęły do wspólnego dzieła. W ten sposób lud znalazł pomoc moralną i do pewnego stopnia materyalne oparcie. Z zasłużonych mężów onego czasu, przypomnijmy sobie tylko zmarłego przed dwoma laty księdza Mac-Hale, arcybiskupa z Tuam, biskupa Moziarty, wreszcie kardynała Cullen, którzy pracowali niestrudzenie około wykształcenia kapłanów. Duchowieństwo kształcić się musiało na kontynencie we Francyi, w Hiszpanii i we Włoszech. Ile to zachodów kosztowało, by młodzież duchowną wysłać i utrzymać na akademiach w Paryżu, w Rzymie i w Salamance! Obok wymienionych prałatów nie możemy zamilczeć imion mężów takich, jak Sullivan, który w Dublinie wydawał pisma ludowe i własnym kosztem założył szkołę centralną pedagogiczną; jak O. Donoghue, który w południowej Irlandyi cały majątek obrócił na założenie wzorowych osad rolniczych, w których doświadczeni agronomowie pouczali lud i wskazywali farmerom oko-

licznym praktyczny postęp w tej gałęzi przemysłu narodowego. Ci i inni inicyatorowie otoczeni byli gotowymi do dzieła odrodzenia kraju naśladowcami.

Któż większe położył na tem polu zasługi, jak słynny w świecie całym apostół wstrzemieźliwości, O. Mathew! Z wioski do wioski, z jednej prowincyi do drugiej przechodził, napominając, zaklinając głosem natchnionej wymowy, głosząc krucyatę przeciwko opilstwu. W mieście Cork, 156,000 osób wyrzekło się gorących trunków w przeciągu dziewięciu miesięcy pobytu ojca Mathew; w Limerick, trzydniowa misya sprowadziła do stołu przysięgi blisko 140,000 osób; w Dublinie podobny był rezultat pracy misyonarza. O. Mathew był, wspólnie z kwakrem Martin'em i z jednym pastorem sekty unitaryuszów, założycielem bractw wstrzemięźliwości, które się rozgałęziły po całym kraju i sprowadzają dotąd najszczęśliwsze owoce [1].

Z podniesionym zmysłem moralnym, z świeżo kiełkującym rozwojem oświaty, której lud, obudzony z odrętwienia, sam już żądał w stosunkowym spokoju politycznym, ocknęły się w narodzie lepsze przymioty i dały pochop nauce i pracy. Powstali wtedy poeci jak Moore, Griffin, Mangan, Knowles i Mahony; pisarze, jak Maxvell, Banim i Lover; mówcy polityczni, jak Sheil, Curran i Grattan. Pierwsze promienie narodowego odrodzenia ukazały Anglii i światu takich synów zielonej wyspy, jak Wellington, admirał Napier i generał Chesney, jak wreszcie kardynał Wiseman.

Anglia ze swej strony wstąpiła na drogę pojednania. W r. 1833, w cztery lata po emancypacyi katolików, regulamin dziesięcin został znacznie zmodyfikowany na korzyść ludu; tego samego roku kilka dyecezyj anglikańskich ustąpiło przed hierarchią rzymską. Rząd zaprowadził system oświaty narodowej, wyposażając szkoły ludowe; wprawdzie lud z nich korzystać nie chciał, bo szkoły te miały wyraźny charakter antiirlandzki, ale z czasem i wskutek ciągłych petycyj pasterzy i duchowieństwa

[1] Ojciec Teobald Mathew, kapucyn urodził się w roku 1790 umarł w r. 1856. Zaprowadził pierwsze bractwa wstrzemięźliwości w Anglii i w Stanach Zjednoczonych.

zostały zreformowane i otwarte jako neutralne niższe klasy dla obu społeczeństw irlandzkich. Dzisiaj ogromna większość uczęszczających uczniów katolickich nadaje zakładom tym coraz wyraźniejsze znamię narodowe i katolickie. Rząd otworzył fakultety uniwersyteckie katolickie w Cork, Galway i Carlow, a duchowieństwo zachęcało młodzież do korzystania z nich. W końcu, krótko przed zniesieniem państwowego kościoła w Irlandyi, hierarchia katolicka ufundowała wielkie seminaryum duchowne w Maynooth, które rząd później dopomógł wyposażyć, uznając wielkie zasługi kapłanów i trudności, jakie stały na przeszkodzie należytemu przygotowaniu ich do pracy apostolskiej i cywilizacyjnej.

Jakżeż się więc dzieje, jak wytłumaczyć, że wszystkie te i większe jeszcze ustępstwa rządu nie odniosły pożądanych skutków, nie zmiękczyły uczuć ludu, nie przekonały go o pojednawczem usposobieniu W. Brytanii, a co dziwniejsza, że nie użyto agitacyi konstytucyjnej dla otrzymania pozostałych reform prawnych i administracyjnych?

Rewolucya r. 1848 miała charakter czysto polityczny. Był to ruch sentymentalny, że tak powiemy, w którym lud prawie żadnego nie wziął udziału. Naczelnikami jego byli ludzie młodzi, entuzyaści, książkowi, łudzeni wypadkami na stałym lądzie Europy, niedowierzający ciemnemu włościaństwu. Duchowieństwo ich nie wsparło, owszem przestrzegło lud, aby w ich republikańskiem marzycielstwie nie pokładał nadziei. W szesnaście lat później poruszyły się związki feniańskie i rozlały po kraju nierównie szerzej i niebezpieczniej, bo kierowali nimi ludzie klas włościańskich, i zasadzały się na systemie stowarzyszeń tajnych, rozgałęzionych po wsiach i miastach zarówno angielskich jak irlandzkich, a także dlatego, że im przodowała organizacya amerykańska złożona z ludzi, którzy nabyli doświadczenia partyzantki podczas amerykańskiej wojny domowej; wreszcie i popularne i niebezpieczne, gdyż obiecywały włościaństwu korzyści materyalne w nowym podziale ziemi i wypędzeniu z kraju saksonów.

Po upadku powstania feniańskiego w r. 1864, nastąpiła agitacya autonomistów (Home Rule) umiarkowańsza w swych celach, konstytucyjna w metodach, popierana przez wiele osobistości wybitnego w kraju znaczenia, protestantów zarówno jak

katolików, konserwatystów i liberałów; ale, rzecz prosta, znajdująca także sympatyę w kołach rewolucyjnych, przyklaskujących wszelkiej opozycyi unii z Anglią. Te jednakże rozmaite żywioły rychło się rozpadły i dwie sekcye skrajne, poczęły działać na własną rękę. Jedna parlamentarna, licząca w r. 1880 trzydziestu pięciu członków, walczyła w izbie potężną bronią obstrukcyi, tamowania prawodawstwa angielskiego i szkockiego, chcąc w ten sposób zmusić rząd i parlament do zajęcia się potrzebami Irlandyi. Druga sekcya, ludowa, widząc, że agitacyi istotnie silnej i skutecznej nie może być bez przypuszczenia do niej ludu, tj. włościaństwa, odwołując się do jego interesów materyalnych i uczuć głęboko w sercach tkwiących, założyła irlandzką ligę ziemiańską. Program ligi: „Irlandya dla Irlandczyków," przynęcał i wabił daleko skuteczniej, aniżeli inny kiedykolwiek poprzednio ogłoszony.

Umiarkowani home-rulerzy zbliżali się stopniowo do stronnictwa liberalnego w Anglii. Partya skrajna, pod przywództwem Parnell'a, złączyła się z ligą, kierowaną przez założyciela jej, Michała Davitt'a. Do zlania się obydwóch potężnych sekcyi, w jedno ciało narodowej i niezmiernie popularnej agitacyi, przyszło w r. 1881; wtedy to burzliwe sceny w parlamencie i zbrodnie agrarne w trzech częściach wyspy sprowadziły surową ustawę koercyjną i wypłatę, jak ogłosiła liga: „pierwszego grosza sprawiedliwości," w słynnej ustawie ziemiańskiej.

I to ustępstwo nie zmiękczyło uczuć ludu, nie skłoniło go do przyjęcia postawy konstytucyonalnej. Dla czego? W części dlatego, że uczucia nieufności i nienawiści do Anglii stawiały silne zapory procesowi zmiany na lepsze. Muszą jednak być po za niemi inne powody i czynniki. Weźmy np. fakt zamordowania ministrów irlandzkich w r. 1882, fakt niemający podobnego sobie w poprzednich dziejach Irlandyi, a nawet w dziejach współczesnej Europy, bo ofiarą zbrodni był człowiek niemający nieprzyjaciół osobistych w Irlandyi, i urzędowania swego jeszcze nie był rozpoczął; owszem, przybył z misyą pojednawczą i zamierzał otworzyć więzienia przepełnione agitatorami za rządów poprzedników. Wprawdzie zbrodni tej nie należy kłaść na karb ludu jak to niesłusznie uczyniło pewne stronnictwo, ale przekonałem

się sam, będąc podówczas w Irlandyi, że szerokie warstwy ludu zaledwie ukrywały swe zadowolenie, a setki tysięcy Irlandczyków w Ameryce głośno i otwarcie pochwalały egzekucyą lorda Cavendish i podsekretarza Burke. Dowód to wymowny, jakiego rodzaju uczucia rozdzielają lud celtycki Irlandyi od Brytańczyków.

Niektóre z nich znajdziemy w charakterze i zachowaniu się ludu i rządu brytańskiego; inne, w usposobieniu Irlandczyków i w ich wyobraźni; najwalniejsze zaś w działalności zaciętych wrogów ludu i duchowieństwa, oranżystów. Anglicy nie rozumieją Irlandyi i Irlandczyków. Powiedział minister Chamberlain, że Anglicy daleko lepiej są obeznani z warunkami politycznemi, ekonomicznemi i społecznemi Nowej Zelandyi, aniżeli przyległej „Wyspy siostrzanej.“ I tak jest w rzeczy samej. Rozpisywać się nad tem niepodobna, bo twierdzenie to wymagałoby dowodów z życia społecznego, które lepiej się powieści nadają, aniżeli pracy o rozmiarach ograniczonych. Powiem tylko, że po powrocie z Irlandyi do W. Brytanii znalazłem w wyższych klasach towarzystwa taką nieznajomość spraw i stosunków irlandzkich, iż się przestałem dziwić niemocy głosu irlandzkiego w Westminsterze.

E. N.

Ze Szląska.

Ocalenie zasypanych górników w Świętochłowicach.

Życie niekiedy rozdziela najściślej spojone rodziny, drogi się rozchodzą mimo jedności serca, przeznaczenie rozprasza dzieci jednej matki, utrudnia im stosunki wzajemne, stawia zapory i przeszkody w utrwalaniu domowej spójni. I oto wydaje się powszechnie, że węzeł bratni się rozluźnił, nić serdeczna zerwała, że każdy poszedł w swoją stronę, zobojętniał dla rodzeństwa, zapomniał o tradycyi z jednego wyniesionej gniazda. Mylne bywają to jednak pozory — wystarczy dalekiej wieści, że ten lub ów członek rodziny zaznał smutku lub biedy, że potrzebuje pomocy, że przyniósł zaszczyt i chlubę swemu imieniu lub plemieniu, aby naraz w sercu bratnie uderzyły tętna, uśpione zbudziły się uczucia, wznowiła się świadomość rodzinnej spójni, gotowej przetrwać

wieki i wypadki przeciwne. Takiego wrażenia i uczucia doznajemy, ilekroć głos znajomy z Piastowskiego Szląska po latach wielu ku nam powróci. Na pozór nie wiele o sobie myślimy i wiemy, wtem zjawia się goniec, że tam zalewy zniszczyły rolników nadzieje, że widmo głodu występuje groźnie, a tyfus zarazą straszy. I nuż krzątać się i hojne sypać datki, mnożyć jałmużny serca, słowa i pieniędzy, z braterską miłością i braterską też troską. Szląsk posiada zresztą osobny magnes, osobny dar pociągający. Kto raz dla tej ziemi i na tej ziemi pracował, już nigdy ku niej nie zobojętnieje. Nie brakło też w ostatnich czasach wielkich serc, aby ją umiłować. Kardynał Diepenbrock wyjątkowem uczuciem ogarniał tę cząstkę swej owczarni. Tu ks. Fiecek, przez długie lata postawion na straży Piekarskiej przesławnej świątyni, jak wierny „piesek Matki Boskiej“ wedle własnych, rzewnych słów swoich, szerzył oświatę i wstrzemięźliwość między ludem górnoszląskim. Tu O. Antoniewicz z towarzyszami odprawiał misye rodzajne, ujmując pociechy i prace swe w przedziwnej książeczce p. t.: Misye na Górnym Szląsku, z odgłosem tego co Bóg dla niego i przez niego zrobił w Bytomiu, Pszczynie, Górach Tarnowskich itd. Nie przebrzmiały tu daremnie głosy apostolskie, nie padła na opokę ich siejba. Dziwna, rodzima poczciwość tego ludu, oparła się wszelkim złym wpływom i podszeptom. W krótkowidzącym naszym sądzie mniemamy, że lud u nas niema indywidualnego charakteru i wartości, że dojrzewa jedynie pod wpływem dodatnim plebanii i dworu. Tu cudem Opatrzności, choć te dwa potężne czynniki ineraz niedopisują, lub osłabione bywają różnicą mowy, narodowości i kierunku, lud zachował nieskazitelny zasób skarbów przeszłości, poczciwy obyczaj przodków, ojców wiarę i ojców mowę. Górnoszlązak, to zawsze kmieć Boży, kmieć polski w całem znaczeniu tego miana, z tych kmieciów „co siedzą u Boga w wiecu“, i usprawiedliwiają rzewne zapewnienie O. Antoniewicza wyniesione może z tych misyi górnoszląskich: „pół nieba zajmą polskie chłopy“.

Z tem też uczuciem bratniego wzruszenia, śledzono w czasopismach naszych szczegółów zawalenia się kopalni węgla w Deutschlandsgrube pod Świętochłowicami, a gdy ocaleni górnicy opowiedzieli swą przygodę, opisali straszną katastrofę

i cudowne wyzwolenie z łona ziemi, wszędzie gdzie w polskiej chwalą Boga mowie, ozwały się dziękczynne głosy, za cudowne (wedle liberalnych nawet gazet [1]), wyratowanie braci z strasznego niebezpieczeństwa. Spróbujmy ująć w całość, rozpierzchłe rysy opowieści, zasługującej na bliższe poznanie.

W piątek 20 czerwca b. r., w którym to dniu przypadała uroczystość Najświętszego Serca Jezusowego, nastąpiła w pomienionym szybie katastrofa o tak wyjątkowej doniosłości, iż ludzka pamięć podobnej w tych stronach nie sięga. Skutkiem ciągłych deszczów i napływu wody rowami, znajdujący się nad powierzchnią kopalni staw, w części zasypany, nagle się zarwał, i zalał wnętrze szybu ogromną masą wody i szlamu. Fachowi znawcy obliczyli ilość zapadłej w otchłań ziemi na 200,000 metrów kubicznych. Powstały na 80 metrowej przestrzeni staw, ogarnął ogrody, i pobudowane na zasypanej powierzchni oranżerye i cieplarnie, porywając wszystko w łono świeżo rozwartej a na 50 metrów głębokiej, czeluści. Jeśli powódź w zwykłych warunkach jest już straszną, to cóż powiedzieć o podziemnym zalewie, gdy z rykiem do grzmotu podobnym, woda ogarnia korytarze i krużganki, pędzi podnosząc tumany kurzawki, łamiąc wszystko po drodze, unosząc drabiny, wózki, rusztowania, a to wszystko wśród ciemności okropnych, z całą grozą dnia Sądu, w którym podobnież da się słyszeć „odgłos jakoby wielu wód".

Katastrofa nastąpiła w popołudniowych godzinach 20-go czerwca, w chwili kiedy, zatrudnieni w pokładzie Geharda i Heitzmanna 43 robotników, miało już opuścić kopalnie, aby się udać do głównego szybu i wyjść na wierzch; nagle przed 4-tą po południu rozległ się huk niby piorunów podziemnych, a głos pracujących u brzegu rozpaczną wieść rozniósł: „Bracia uciekajcie, woda idzie na dół, staw się przerwał,!" Na krzyk ten, jak sami o sobie świadczą, zbiegli się odrazu, zmierzają niebezpieczeństwo, widzą drogę do ucieczki już zagrodzoną. Z wszystkich piersi jeden się podnosi jęk: „Jezus, Marya, Józef, ratujcie bo zginiemy, święta Barbaro nie daj nam umrzeć bez ostatnich śś. Sakramen-

[1] *Breslauer Gerichtszeitung, 13 Juli 1884.* „die fast wunderbare, in der Geschichte des Bergbaues einzig dastehende Errettung". str. 12.

tów"! Huk ustaje, podniesiona kurzawka opada, kilku górników wysuwa się naprzód, aby zbadać ganek, którym na powierchnię wychodzić zwykli. Brną w szlamie aż po pachy, ale rychło przekonywują się, iż tędy niepodobnem będzie się wydostać. Woda naniosła kamieni, zawaliła drogę. Trzeba powrócić na miejsce, gdzie pracowali w chwili katastrofy. Skupiają się, i raz po raz badają przyrost wody w niższych gankach. Woda rośnie i rośnie, już ją na pięć metrów zgłębili, a jeszcze jej przybywa. Za parę minut i tę przystań ogarnie, zaleje, życia na dłużej sobie nie obiecują. Jedni więc drugich przepraszają, spowiadają się Bogu z grzechów swoich, oddają Bożej opiece dziatki swe i żony, błagają św. Barbarę opiekunkę górników, aby ich pocieszyła na drogę wieczności. I oto w chwili, gdy z tak wielką wiarą ostatnie ku niebu zanoszą błagania, zatyka się szyb kamieniami i uniesionemi burzą przedmiotami, tworzy się tama, zastanawiająca przerwę, i woda wstrzymana w pędzie nie podnosi się więcej. Następuje chwila radości, bo bezpośrednie niebezpieczeństwo oddalone. Ale co czynić dalej? w dole wszędzie woda, wszystkie ganki zatopione. W górze i obok kamienie zawaliły przejścia, zwłaszcza gdy w podziemiach powtórna zagrzmiała burza, z powodu zarwania się rowu, którym usiłowano na powierzchni odprowadzić wodę. Druga ta katastrofa nastąpiła dnia 21 czerwca o godzinie 3-ciej z rana, zamykając tem szczelniej nieszczęśliwe ofiary w grobie, mułem szlamem i kamieniami zewsząd przysutym. Na odgłos nowej burzy garstka górników usiłuje wczołgać się na zwaliska, gdzie dawniej węgiel wybierali. Wszystko w około zarywa się i łamie, zostaje zaledwie miejsce na cztery metry kwadratowe, gdzie się ciasno trzydziestu sześciu ludzi skupiło. Huk wody i zarywania się, przeciągał się długo w tych czarnych podziemiach. Pierwszy zalew trwał mniej więcej od wpół do 4-tej z południa do 10-tej wieczorem, drugi od północy do rana. Gdy się nieco uspokoiło, znów jęli się rozglądać, szukać drogi do wyjścia, brnąć w szlamie, ale daremnie. Chyba w niższym szybie opodal znajdzie się wolny ganek. Ale jak go zbadać? zeskoczyć 35 metrów w dół zdawało się być niepodobieństwem. Odważny górnik nazwiskiem Furgoł postanowił poświęcić się dla braci. Mieli oni z sobą liny, powiązano je więc razem, i poczęli Furgoła

ostrożnie spuszczać. Wziął z sobą lampkę górniczą, zabrał zapałki. Ale wiatr ciągnie od wody, lampa gaśnie, ani sposób jej zapalić. Bracia wciągnijcie mnie napowrót, bo niema ratunku, woła Furgoł, chwyta się silnie liny, i powoli do góry go ciągną, lecz nagle lina się urywa, i nieszczęśliwy wpada w przepaść na gruby pokład szlamu, gdzie wedle mniemania towarzyszów ginie. Polecają więc duszę jego Bogu, sami zaś czołgając się lub brnąc po pas i wyżej, znajdują sposób dostania się w bezpieczniejsze miejsce, gdzie się kładą oczekując aż ich Bóg wezwie do wieczności, a litując się nad nimi „wywiedzie ich z dołu nędzy i z błota ich". Słowa psalmisty ciągle pobrzmiewają w duszy słuchającego lub czytającego tę opowieść. „Z głębokości, wołają owi nieszczęśliwi ku Panu, ażby wysłuchał prośby ich, czekając czekają Pana aż skłoni się ku nim i postawi na skale nogi ich; podnoszą oczy na góry skąd im przyjdzie pomoc, bo nie zdrzymie się ani zaśnie, który strzeże wejścia i wyjścia naszego na wieki, a choćby chodzili w pośród cienia śmierci, nie bać im się złego, albowiem On jest z nimi". Wielka wiara tych prostaczków, rozświeca im zaiste ciemmności; w owej właśnie chwili, utraciwszy towarzysza przeczołgali się na ganek obszerniejszy, ale tam było szlamu na trzy łokcie, że ani stać, ani usiąść, ani położyć się nie było można. A wszyscy już bardzo osłabli po blisko trzechdniowym poście i ciągłej trwodze. Szczęściem znaleźli tu dwa wózki z węglem, ten rozsypali na powierzchnię i układli się na nim, czekając śmierci bardziej, jak jakiegokolwiek ratunku, który się im, po ludzku sądząc, niemożliwym być zdawał. Cud ich mógł tylko ocalić, cudu też wzywali ciągłą modlitwą, różańcem, pieśniami pobożnemi aż do niedzieli 22 czerwca, przy małem światełku zapalanych po kolei lampek górniczych. W dniu tym, „gdy się po kościołach nabożeństwo zakończyło, i im też lampki pogasły i ostatnia kropla oleju się wypaliła". Przewidując tę ostateczność, w owym dniu niedzielnym, przy migotliwem świetle dogasającej lampki, postanowili spisać swój testament i pożegnać się ze swoimi. Drogą tę pamiątkę mam, kreśląc te słowe, przed sobą. Na grubym papierze, na którym górnik

zaczął był już robociznę sobie wciągać, niewprawna ręka polskiego kmiotka ołówkiem nakreśliła następne, wzniosłe i rzewne wyrazy, które tu bez zmiany powtarzamy, prostując jedynie wadliwą pisownię niektórych wyrazów, tych mianowicie, których zakończenie na *w*, wszędzie i zawsze chłop polski pisze na *f*. Oto ten przedziwny dokument, dosłownie przepisany z osmolonego węglem arkusza:

„*List nas wszystkich męczenników.*

J. Balcarek.	J. Paterok.	S. Aniok.
P. Gwozdz.	F. Kutschera.	J. Frytz.
A. Machulik.	B. Strótka.	W. Wontrobka.
J. Ciyrpioł.	J. Józefwiok.	J. Szulz.
C. Slota.	W. Szydło.	Ł. Dewar.
A. Szulz.	S. Konidlok.	T. Kornas.
	J. Stoba.	

Dziękujemy wam żonom wespół Bóg zapłać za wszystko, a nie zapominajcie też na nas, bo my tu moc przecierpieć musiemy od strachu, od głodu i zimna. Już dzisiaj jest niedziela, a jeszcze my są wszyscy przy życiu. Teraz jest wielkie nabożeństwo w kościele, a my tu w takim smutku. We dnie i w nocy odprawiamy my tu nabożeństwo we wielkim smutku, ze łzami w oczach, bo nam bardzo smutno umierać bez świętych Sakramentów. Toż bądźcie z Bogiem nasze żonki, a nie zapominajcie na nasze dusze. Jest nas tu 35 chłopów, przedstawicie se co tu za płacz kiedy nie możemy nikaj wyleść.

A Paterek, żeby te pieniądze 1 tal. dla siebie a 2 dla dzieci.

I ja Balcarek, ja ci też błogosławię i moim dziatuszkom, a bądźcie z Bogiem żonko i dziatki i wszystkich ojców, braci siostry, szwagrów, kumotrów i wszystkich wespół. A z pozostałością róbse jak chcesz, a bądźcie z Bogiem w szczęściu a nie zapominajcie o mojej duszy.

Tak też Ciyrpioł to samo pozdrowieństwo co odemnie, a Ciyrpioł ma jeszcze szychty do podania co z Kutscherem robił, 50 metrów na poły z Kutscherem do podania u stajgra Lilfelda.

A Gwozdz oddaje cały majątek żonie. Machulik też.

A Stobowa ma te pieniądze z loteryi oddać Józefwiokowej, 15 cz. a Słotowej m. 25.

I tak wszyscy 35-ciu wespół swojskich bratów, siostry, ojców, kmotrów, którzy żeniaci i samotni, też pozdrowią wszystkich.

Kochani bracia, kiedy ten papier traficie, oddajcie to naszym żonom, a wy żonki starajcie się żebyście ten list wszystkie czytały, oddajcie go jedna drugiej. *J. Balcarek.*

22. VI. 84.“

Testament ten przybito gwoździem do ściany, do węgla, aby w razie dalszego zalewu, woda go zabrać nie mogła. Nie podnosimy piękności tego dokumentu, bo każdy ze łzami wzruszenia oceni doniosłość pożegnania chrześcijańskiego, w którem nie tyle prześwieca żal za życiem, ile smutek, że mają umrzeć bez śś. Sakramentów. To uczucie górowało nad wszelkiemi innemi w tych prostych i wielkich sercach.

Tymczasem tysiące rąk jęło pracować na powierzchni, stawiać tamy, odciągać wodę, ale utrwalona słota przeszkadzała robotom, zrywała rowy i udaremniała usiłowania. Z innej strony rozpoczęto czynić środki ratunkowe, zagłębiając się bocznym szybem Zimnolu, aż na 70 metrów w łono ziemi. Zewsząd nadchodziła pomoc, ratunek. Ale przedrzeć się przez siedmdziesięciometrowy pokład gruntu nie łatwe to, i nie szybkie zadanie. Nie brakło zachęt, podniet, dobrej woli, pieniędzy na pokrycie kosztów. Pracowano jednak z niewielką nadzieją ocalenia owych 43 górników. Zasypanych łatwiej można znaleść przy życiu, ale zalanych, zgniecionych, któż się spodziewał zastać całych i zdrowych? Posuwano wszakże roboty z uczucia obowiązku, a poświęcenie pełne zapału i litości hr. Henckel Donnersmarck Neudeck, dodawało bodźca przedsięwzięciu. Bliscy zaś i drodzy, których ostatniem pismem pożegnali, nie zapomnieli o swych „męczennikach.“ Skoro tylko żałobna wieść rozeszła się po okolicy, zbiegli się na miejsce katastrofy krewni i przyjaciele zasypanych. Jaki tam był płacz i jęki jakie, opisać trudno, „od takiej skargi bieleje włos.“ Tłum ten zrozpaczony udał się niebawem tam, skąd jedynie skutecznej wyglądał pomocy. Podczas gdy z jednej strony prowadzono usilne, lecz coraz mniej nadziejne roboty ratunkowe, sąsiedni kościół w Lipinach napełniał się falą

ludu, żebrzącego zmiłowania. Od rana w sobotę nie ustawały modły, wieczorem po uroczystych nieszporach odśpiewano supplikacye. Nazajutrz w niedzielę, znany z swej gorliwości proboszcz tameczny, a kapłan iście wedle Serca Boskiego Zbawiciela, ks. Józef Michalski, wstąpiwszy na ambonę, kilku słowy zachęcił wiernych do ofiarowania komunii świętej, na intencyę nieszczęśliwych górników. Łzy mu dłużej mówić nie pozwoliły, głośne szlochanie napełniło kościół cały. Sam ks. Józef do żywego poruszony, dodał tylko, iż wbrew wszelkiej nadziei ze strony ludzkiej, cudu przecież od Najśw. Serca Jezusowego spodziewać się można, byleby mu gorącą modlitwą gwałt zadać. Na te krótkie, ale z serca silną ożywionego wiarą słowa ks. Józefa, nowa otucha wstąpiła w serca żebrzących.

Nabożeństwo corocznie zwykło się tu zamykać ofiarowaniem całej parafii Sercu Jezusowemu. Do zwykłej formułki ofiarowania dodał tym razem, jakby natchniony ks. Józef następne słowa: „A teraz o Boskie Serce, pokaż żeś wielmożne, żeś łaskawe. Oto 43 braci kochanych znajduje się niby w czyścu, cierpią wielkie męki. Ratuj, ratuj, jakoś ratowało Daniela z lwiej jamy, Jonasza z wnętrzności wieloryba, trzech młodzieńców z pieca ognistego, Piotra z więzienia okrutnego, tak też ratuj dziatki twoje w ogromnym niebezpieczeństwie się znajdujące. O jak Ci słodkie Serce dziękować będziemy, jak hojne ofiary na Twoje ołtarze składać, jeśli nas wysłuchać raczysz!“.

W popołudniowych godzinach, do tysiąca polskich dzieci odmawiało pod przewodnictwem niestrudzonego pasterza tajemnice Różańca św., a więc tę samą modlitwę, którą zasypani górnicy, jak świadczą własne ich słowa, „zasilali się w ciemności swojej.“ Istny szturm przypuszczono zewsząd do nieba. Powtarzano z jękiem supplikacye u stóp wystawionego w Najśw. Sakramencie Jezusa, około 2000 komunii św. ofiarowano na intencyą zasypanych braci.

Bóg snać więcej jeszcze żądał modlitw, bo nie spieszył się z udzieleniem pomocy, jakby dla wypróbowania wiary swego ludu. Mijały dnie bez pociechy, zwątpienie już ogarniało niektórych, bliżsi wdziewali żałobne szaty, prosili o odprawienie mszy św. za dusze niewątpliwie już straconych. Ale u stóp Najśw.

Serca nie ustawała krucyata modlitwy, wiły się nierozerwalnym wieńcem następujące po sobie ustawicznie różańce, codziennie solenne, błagalne odprawiało się nabożeństwo.

Ów dzień niedzielny, w którym po spisaniu testamentu, pożegnali i drżące ostatniej lampy światełko, pogrążył górników w cięższą jeszcze niedolę. Odrobina chleba jaką mieli z sobą, (nie więcej jak ćwierć funta), oddawną była spożytą. Głód i pragnienie doskwierały, a najgorzej zimno. Tuląc się do siebie, biedacy próbowali rozgrzać zziębłe członki. Pamiętali o jednem miejscu, gdzie czysta woda szła z kamienia, ale jakże tu po omacku trafić? Szli więc kupką, po dwóch lub trzech, przewracając się po kamieniach, nawołując ustawicznie, a nabrawszy wody z piaskiem, nawracali powoli. Choć chodzić było niedaleko, wyprawa ta trwała z godzinę i więcej, dla ciemności i utrudzenia na każdym kroku. Po dwóch dniach, znów spróbowali jednego z górników spuścić na linie z drutu, ale i ten przekonał się o niemożności wydostania się i ratunku, kazał więc zaraz wciągnąć się do góry. Po tym nowym zawodzie (24 czerwca) cięższy ich jeszcze ogarnął smutek, i z wielkim płaczem cofnęli się do przeznaczonego sobie snać grobu. Coraz im było słabiej na duchu i ciele, głód szarpał wnętrzności, próbowali gryźć węgiel i drzewo, ale już nie mieli siły po temu w zębach, woda z piaskiem jedynie ich orzeźwiała i utrzymywała przy życiu. Rachuby jednak czasu nie stracili, mimo zalegającej ich nocy. Mieli ze sobą pięć zegarków kieszonkowych, z których jeden naciągał się uchem i szedł do końca. Otworzywszy szkło palcem, macali położenie wskazówek i dochodzili tym sposobem pory dnia lub nocy. Spać dla wielkiego zimna prawie nie mogli, znikąd ich żadne nie dochodziły głosy, prócz drżenia ziemi, ilekroć pociąg kolejowy sunął po wierzchu, lub kiedy dzwony kościoła w Lipinach nawoływały wiernych na nabożeństwo. Odczuwali, że za nich się to modlą, i to im dodawało otuchy. Już i szósty dzień mijał, a znikąd pomocy nie było. W tem dnia siódmego niespodzianie daje się słyszeć dalekie pukanie, w nieokreślonym zrazu kierunku. Cisza zalega grób biednych górników, wstrzymują tchnienie, uchem łowią zbawcze odgłosy. Niema wątpliwości, nadchodzi pomoc, ratunek się zbliża. Biedacy ściskają się nawzajem rado-

śnie, i z wielkim płaczem zaczynają słabym głosem nucić pieśń: „Oto Pan Bóg przyjdzie, z rzeszą świętych k' nam przybędzie“. Płyną znane dźwięki przez zamulone ganki, wznoszą się pod zarwane sklepienia kopalni. Umilkła nareszcie ostatnia zwrotka, górnicy nasłuchują znów pilnie, ale wraz umilkły i owe pukania, rękojmia wybawienia. Nic nie słychać zgoła, snać w gorączce głodu coś im się tylko zdawało, marzyło. Klękają więc z płaczem wielkim, i raz więcej błagają najśw. Serce Jezusa, aby im już raczyło skrócić mękę, i zesłać bądź śmierć szczęśliwą, bądź ratunek prędki, bo już im jest źle bardzo. Trzech z nich jak zwykle oddala się jeszcze po wodę, aż oto ludzkie odzywają się do nich głosy: biegną dalej, nachylają się ku szybowi, wołają: „tutaj, tutaj!“ — Żyjecie tam wszyscy? — pyta ktoś ze spodniej warstwy. „Żyjemy, ale ratujcie bo już bardzo słabi“. Na to otrzymują odpowiedź, że za godzinę będą wszyscy na wierzchu.

Choć mieli z sobą flaszki, zapomnieli wody nabrać od wielkiej radości i coprędzej wrócili, aby towarzyszom zanieść tę pocieszną nowinę. Aż tu mija jedna, druga, ba nawet trzecia i czwarta godzina, a nic się w ich położeniu nie zmienia — alboż to nowa ułuda? Znów dwóch z pośród siebie wyprawiają w poprzednim kierunku; ci nie wracają, ale oto — usłyszeli niebawem rozmowę z pracującymi.

A teraz, dla zrozumienia szlaków, któredy szła pomoc, należy przypomnieć, iż tylko trzydziestu sześciu górników zrazu się w wyższym zbiła szybie. W niższym pozostało ich było siedmiu, chłopców używanych do pchania wózków. Ci usłyszawszy huk, sądzili zrazu, że to kamień się łamie, gdy nagle uderza ich nieomylny grzmot fali. Wskakują więc na rusztowanie, ale i to, choć z grubego drzewa, poczyna się chwiać i łamać pod naciskiem wody. Nuż więc czołgać się w szlamie ku górze, i zaledwie opuścili rusztowanie, to się z trzaskiem zwaliło. Dostali się jednak na względnie bezpieczny ganek, aż drugiego czy trzeciego dnia, widzą czy słyszą idącego ku sobie człowieka. Zrazu go mieli za ducha, za nadludzką istotę, pokazało się jednak, iż to był ów Furgoł, który był spadł po urwaniu się liny głęboko w szlam, a stamtąd się wydostawszy, po omacku dotarł do

grona siedmiu braci, oddzielnie na niższem piętrze kopalni zagrzebanych. Ten wypadek miał się stać środkiem zbawienia dla wszystkich. Ratunek zrazu dotarł do owego niższego ganku; ludzie widząc na szlamie ślady nóg ludzkich, odnaleźli owych ośmiu górników d. 26 czerwca. Wydobyto ich na wierzch, nie przypuszczając, aby tamci jeszcze żyć mogli, tem bardziej, że się już lampy dalej nie chciały palić, a i odwagi już brakło ratującym. Ale mężny Furgoł, widząc, że nikt schodzić więcej już nie chce, acz sam osłabiony, zaledwie odetchnął, zdejmuje buty, i nawołuje: „do szybu, do szybu—braci ratować". Na te słowa i przykład znaleźli się ochotnicy, aby dalsze prowadzić roboty. I oto po dłuższem oczekiwaniu zbliżono się do grobu tych trzydziestu pięciu w górnym szybie zasypanych, dość blisko, aby im wskazać kierunek, którym iść mieli. Na odgłos zbliżających się braci, rozpoczęli istne mary zwolna pochód. W głowie się im kręciło, co chwila przewracali się na kamienie, skutkiem słabości i ciemności, aż nareszcie ujrzeli lampkę, do której zdala pompowano powietrze, aby utrzymać gasnące jej światło. Ocuconych winem wyprowadzono zwolna po dwunastu złożonych z sobą drabinach, najprzód ku dolnemu szybowi, potem gankiem aż do otworu Zimnola, którym wydobyto ich z kolei wszystkich 43 na powierzchnię ziemi. Słabych bardzo i osłupiałych odniesiono natychmiast do lazaretu, chroniąc przed zbytniemi wzruszeniami, ale tłumy zebrane u wstępu do kopalni, folgowały uczuciom wiary i wdzięczności za cud tak widoczny. Z tysiąca piersi wydarł się hymn dziękczynny, *Te Deum laudamus,* po niemiecku i po polsku odśpiewany, zabrzmiał i psalm 90, w przekładzie Kochanowskiego: K t o s i ę w o p i e k ę p o d a P a n u s w e m u, a każde słowo pieśni w tych okolicznościach śpiewanej, z potęgowanem brzmiało znaczeniem. Wszystkie czoła pochylały się przed wyraźnym cudem zmiłowania Pańskiego. Radca górniczy Ammon i obecny lekarz dr. Mucha przyznawali głośno, iż to ocalenie wszystkich 43 górników, przechodzi warunki ludzkich rzeczy porządku. Gorąca wiara uratowanych wskazywała, komu przypisywać ich wybawienie. Po upływie dni kilku, podczas których ocaleni powracali szybko do zdrowia, nie zapadając na spodziewany i zapowiedziany przez doktorów tyfus, lub zapalenie

mózgu, jeden z nich, Paterak, następny list wystósował do proboszcza w Lipinach:

„Przewielebny księżoszku! Najserdeczniejsze składamy dzięki Boskiemu Sercu, bo ono tylko nas ratowało. Do niegośmy się gorąco uciekali i ślubowaliśmy w tym czyścu ogromnym, jeśli nas Boskie Serce cudownie wybawi, chcemy to ogłosić w intencyach miesięcznych Apostolstwa. Proszę tedy jak najprędzej do Krakowa, do redakcyi Apostolstwa pisać[1].“

W pierwszą niedzielę lipca, uroczyste nabożeństwo dziękczynne odprawionem zostało w Lipinieckim kościele, a dwa okna malowane, które mają być sprawione, upamiętnić mają nadal to zdarzenie, i cud miłosierdzia bożego, i wdzięczność katolickiego ludu.

Zasypani górnicy przeżyli z górą tydzień cały w swym grobie, od piątku 20 czerwca, do piątku 27 około ósmej godziny zrana. Oceniając wielkie i chwalebne usiłowania, położone około ich ratunku, twierdzą oni, iż w ogóle zbyt mało jest otworów w kopalniach, aby w danym przypadku ułatwić robotnikom ucieczkę. Jeden jeszcze szczegół, świadczący o wielkiej poczciwości tego ludu, warto tu przypomnieć. Gdy rozległ się pierwszy huk zarywającego się stawu, dwóch górników, znajdowało się tuż przy wyjściu, i ci odrazu ratować się mogli. Atoli zwrócili się ku szybowi, mówiąc, iż wyraźnie woda iść musi, i mieliby wielki grzech, gdyby nie ostrzegli braci przed niebezpieczeństwem. Nuż więc biegnąc wołali: Bracia uciekajcie, bo się woda przerwała! Gdy zaś sami chcieli na dawną wrócić drogę, już nie było sposobu odwrotu, wszystkie ganki były zawalone. Pozostali więc w liczbie owych ośmiu na niższym pokładzie ocalonych.

Ciężkie próby życia dwojaki z sobą zwykły owoc przynosić, nietylko dla tych, którzy je przechodzą, lecz i dla tych, co przebieg ich śledzą, podwójną dźwignią i umocnieniem jakich dostarcza widok, tak samejże nieskończonej dobroci Bożej, jak i odźwierciedlenia tej dobroci w duszach prostych a gorących. Pa-

[1] Wydawnictwo Apostolstwa ogłosiło to podziękowanie w intencyi miesięcznej, czyli posłańcu Apostolstwa Serca Jezusowego w zeszycie wrześniowym str. 282.

trząc na wielką wiarę tego ludu, na moc w jaką byli obleczeni z wysokości owi górnicy, którzy w żywym swym grobie się modlili, i pobożne pieśni śpiewali, z takiem męstwem, a poddaniem czekali spełnienia się nad nimi wyroków Bożych, o które oświeceńsi i niedoskonalsi nieraz się targują buntowniczo, mimowoli z ust i serca wyrywa się modlitwa Zbawiciela: „Wyznawam Tobie Ojcze, Panie nieba i ziemi, żeś te rzeczy zakrył przed mądrymi i roztropnymi, a objawiłeś je maleńkim. *Confiteor tibi, Pater, Domine coeli et terrae, quia abscondisti haec a sapientibus et prudentibus, et revelasti ea parvulis.*“ Mat. II. 15. A wraz przychodzi i pocieszające upewnienie, że lud tak wierny Bogu, nigdy się też żadnemu pięknemu uczuciu i zobowiązaniu sprzeniewierzyć nie zdoła. Wiara bowiem zawsze i wszędzie najpewniejszą bywa strażą wierności.

Z Petersburga.

List otwarty p. Sołowiewa do p. Aksakowa.

W numerze kwietniowym „Prawosławnego obozrenia“, znajduje się artykuł pod tytułem: „Miłość narodu i ideał rosyjski narodowy.“ Artykuł ten jest dalszem rozwinięciem zapatrywań i dążeń p. Sołowiewa, z jakiemi czytelnicy „Przeglądu powszechnego“ już się byli dawniej poznali[1]. Napisany został z powodu dość ostrych wystąpień p. Aksakowa, który, jako znany ze swej skrajności i uprzedzeń, nie godził się na wywody p. Sołowiewa. Polemika, jaka się toczy między dwoma znakomitymi publicystami rosyjskimi, jest bardzo ważną, a zarazem bardzo drażliwą, potrąca bowiem o najgłówniejsze zadania w życiu człowieka i narodu; wdawać się w jej bliższe ocenienie nie będziemy, zwrócimy jednak uwagę, że wydawca „Rusi“ należy do nader wpływowych konserwatystów w Rosyi. Oto artykuł w dosłownem tłumaczeniu.

W ostatnich dwóch, czy trzech latach podałem do druku

[1] Ob. T. II., str. 290 i następ.

przeważnie w pańskiej „Rusi“ kilka artykułów w kwestyi kościelnej. Powody moje główne były następne. Rosya, również jak inne kraje, choruje obłożnie z powodu nierządu umysłowego i moralnego. Podstawa prawdziwa społeczeństwa chrześcijańskiego, Kościół, nie korzysta z zupełnej swobody życia i działania, nie zajmuje należnego mu miejsca, nie jest uznany za węgielny kamień.

U nas najbliższą tego przyczyną jest odszczepieństwo (raskoł), które jeszcze od XVII. stulecia, paraliżuje działanie zasady kościelnej w życiu narodowem ruskiem. Rozmyślając nad środkami dla wyleczenia tej niemocy naszej domowej, doszedłem do przekonania, że początek chorób sięga dalej, leży on w ogólnem osłabieniu ziemskiego organizmu, Kościoła, w skutek rozdziału jego na dwie części rozczepione i wrogie sobie. Przez rozdział ten utworzoną została przepaść między naszym a Zachodnim Kościołem. Lecz jakąkolwiek głęboką byłaby ta przepaść, niewykopana ona Boskiemi lecz ludzkiemi rękoma. Rozdział Kościołów — to dopust Boży a nie wola Boża. Wola Boża niezmienna: żeby była jedna owczarnia i jeden pasterz. Zatem można i powinniśmy starań naszych dokładać do tego, ażeby była zasypana ta przepaść zgubna, dzieląca stado Chrystusowe. Środki polityczne zewnętrzne, prowadzące do osłabienia nieprzyjaźni kościelnej, kiedy te środki są natchnione sprawiedliwością i uczuciem religijnem niewątpliwie korzyść przynoszą i zasługują na uznanie[1]. Lecz rzecz główna istotnie nie w tym — rzecz główna wewnętrzne pojednanie co do istoty, pojednanie w duchu i prawdzie. Pojednanie takie byłoby niemożliwe tylko w takim razie, jeżeliby Kościół katolicki zupełnie był obcym duchowi i prawdzie i jeżeliby on był fałszem wedle istoty. Lecz jak odważyć się twierdzić to? W każdym wypadku należy wprzód bezstronnie

[1] W tej myśli broniłem w Nowym Wręmeni ugodę rządu naszego ze Stolicą Rzymską i przywrócenia hierarchii katolickiej w ziemiach polskich i litewskich. Kilku milionom poddanym ruskim zwrócona łaska arcykapłańska, przywrócone u nich życie prawidłowe kościelne: czy podobna to, na jedneż kłaść wagi, z jakimiś tam intrygami polskiemi?

i w duchu chrześcijańskim rozpoznać wszystkie kwestye sporne między Kościołami; lecz na nieszczęście widzę, stosunek do Kościoła zachodniego z naszej strony wyłącznie polemiczny. Polemika zaś wyłączna i jednostronna nietylko do zjednoczenia, ale i do poznania (познание) prowadzić nie może. Ona tylko pogłębia i wzmacnia przepaść już istniejącą, powiększając braki i błędy strony przeciwnej, przeinaczając przypadkowe w istotne, mięszając dziejowe z długowieczną zasadniczością, zatracając wszelkie granice między Boskim a ludzkim.

W świątyniach przy nabożeństwie modlimy się o pokój dla świata całego, o pomyślność Kościołów świętych Bożych i o zjednoczenie wszystkich. Lecz czyż to będzie modlitwa szczera, gdy w rzeczy samej spełnieniu się jej przeszkadzamy. Zjednoczenie, o które modlimy się, dokonać się nie może mimo jednoczących się i dlatego, ażeby stało się możliwe spełnienie modlitwy naszej, wymaga się nieco i od nas. Wymaga się przedewszystkiem sprawiedliwości, bezstronnego i wszechstronnego osądzenia sprawy [1], a nadto jeszcze czegoś więcej: wymaga się nastroju pokojowego, przyjacielskiej skłonności w woli i myśli, wymaga się zmienienia stosunku do strony przeciwnej, przemieniając wyłącznie polemiczny stosunek na pojednawczy. Próbę stosunku takiego pojednawczego do Kościoła zachodniego, chciałem wyłożyć w artykułach „Spór wielki i polityka chrześcijańska.“ Niestety, skoro główny z tych artykułów (o papiestwie i papizmie) skażony był bez mojej wiadomości, przez dowolne wypuszczenie najistotniejszej jego części, zostałem zmuszony przyśpieszyć zakończenie, nie wypowiedziawszy, jak należy, poglądów moich. Paneś znalazł, że próba moja „teologii pojednawczej“ sprzeciwia się uczuciom i interesom ruskim narodowym (nacyonalnym). Ja zaś ze strony swojej głęboko i gruntownie przekonany jestem, że pojednanie kościelne Wschodu z Zachodem jest zadaniem Rosyi nacyonalnem, dziejowem. Prze-

[1] Jeżeli polemiki niepodobna uniknąć, to ona być powinna obustronnie swobodna. Pozwolenie na to zawisłe jest od rządu, lecz czyż my ze swej strony okazujemy dosyć pragnienia i usposobienia do takiej swobody.

konanie to było już przezemnie wprost i stanowczo wypowiedzianie, więcej jak rok temu w atykule pierwszym wstępnym „Wielkiego sporu", wydrukowanego i uznanego przez pana. Toż samo przekonanie powtórzyłem znowu i w artykule „o narodowości i sprawach narodowych Rosyi", wydrukowanym w Wiadomościach (Izwiestiach) Towarzystwa Słowiańskiego. Pomimo, że tylko w tym ostatnim niewielkim artykule wyłożyłem w nowych (a po części nawet i nie w nowych) wyrażeniach myśli moje poprzednie, artykuł ten, niewiadomo dlaczego, zwrócił na siebie uwagę szczególną naszej prasy, i wywołał ze strony pańskiej dwukrotny rozbiór, w którym pan bardzo żarliwie napadasz na mnie w imię miłości dla narodu i ideałów narodowych ruskich. Niestety zatrzymując się zbyt wiele nad oddzielnymi „wyrażeniami" z artykułu mego, niedostatecznie wyjaśniłeś pan, na czem właściwie zasadza się i czego od nas wymaga miłość prawdziwa dla narodu, a wcaleś pan nie objaśnił, na czem zasadza się ideał narodowy ruski i ta prawda narodowa, o której mówisz i na którą się pan powołujesz. Około tych kwestyj bardzo niejasnych krąży cała polemika pańska, tak że one, dla samych nas, służą za powód do wielu ważnych nieporozumień. Dlatego odpowiadając panu, chcę zastanowić się nad tymi mianowicie kwestyami.

Piszesz pan (Ruś N. 6. str. 11.) w wysokim stopniu godne uwagi, że p. Sołowiew określając stosunek do narodu słowami „wierzyć" i „służyć", opuścił jedno słowo... błachostkę „kochać". I dalej (str. 14) pan powtarzasz, „jakieśmy już powiedzieli w całem mędrkowaniu dyalektycznem p. Sołowiewa, o stosunkach indywiduum do narodu własnego, słowo „miłość" wcale się nie napotyka. To nie przypadkowość: nie bytuje nietylko słowo, ale i samo pojęcie." Z tymi pańskiemi słowami porównaj pan teraz następne miejsca artykułu mego: „Patryotyzm wymaga, abyśmy kochali naród swój, a miłość prawdziwa współczuje z potrzebami rzeczywistemi, współboleje z powodu rzeczywistych nieszczęść tych, których kochamy. Taką miłość prawdziwą posiadali przodkowie nasi" i t. d. (str. 12). Następnie z powodu Piotra Wgo mówię: „Tutaj znowu powinien był wśród nas ujawnić się patryotyzm prawdziwy, wiara nieustraszona i mi-

łość praktyczna, czynna względem Ojczyzny. Taką wiarę w Rosyę, taką miłość dla niej mieli Piotr Wki i jego współdziałacze" (ibid.). A dalej: „Piotr Wki rzeczywiście kochał Rosyę to jest współcierpiał z powodu jej rzeczywistych nieszczęść i potrzeb... Miłość prawdziwa jest czynną... Oni (Piotr Wielki i jego współdziałacze) wierzyli w Rosyę prawdziwą, nieustraszoną wiarą, kochali ją miłością prawdziwą, rzeczywistą, ożywieni tą wiarą i miłością, dokonali oni dzieła prawdziwie rosyjskiego" (str. 13). I nakoniec w zakończeniu tak mówię: „Wiara prawdziwa nie zna bojaźni, a miłość prawdziwa nie znosi bezczynności i opieszałości; wymaga ona wykazania się rzeczywistego i określonego. Tak w początku dziejów naszych miłość dla ojczyzny wyraziła się miłością dla porządku państwowego, który przedewszystkiem był potrzebny dla ojczyzny; w czasach Piotra Wgo i Łomonosowa miłość dla ojczyzny wykazała się miłością dla oświaty, która wtedy była najbardziej potrzebna dla ojczyzny. Obecnie stopień wzrostu narodowego i potrzeb narodowych na pierwszy plan wyprowadzają taką sprawę, która o wiele ważniejsza i wyższa, aniżeli porządek państwowy i kultura świecka, sprawę porządku kościelnego i kultury duchownej. I w imię samejże Rosyi, to jest dla dobra jej wyższego, myśmy być powinni oddani nie ruskim (w ścisłem egoistycznem znaczeniu) interesom, a sprawie powszechnej kościelnej, która jest i najgłębszą i ostateczną Rosyi sprawą" (str. 16).

Tu, jak pan widzisz, nietylko słowo „miłość" w zastosowaniu do narodu, do Rosyi, używa się razy wiele, lecz zarazem daje się i niektóre o niej pojęcie określone, a mianowicie, na czem miłość ta gruntować się powinna i jak się wyrażać, to jest w uznaniu potrzeb prawdziwych narodowych, w czynnem dążeniu niesienia pomocy, nietylko w rzeczach materyalnych, ale nadewszystko w potrzebach narodu duchownych. Ale pan oczywiście niezadowolnionyś z takiego pojmowania, wymagasz pan jeszcze czegoś innego. Najwidoczniej sposób miłości dla narodu opierasz pan najgłówniej, na przywiązaniu do swego ojczystego; Iżali bez wyboru do swego wszystkiego? Oto naprzykład odszczepieństwo ruskie (raskoł) wynikłe w XVII. stuleciu, kiedy jeszcze „duch i rozum narodowy" nie były

w niewoli, kiedy „całość duchowna bytu naszego narodowego“ nie była jeszcze nadwerężoną. Wedle pochodzenia i charakteru swego, to odszczepieństwo kościelne, jest własnem ojczystem, samoistnie nacyonalnem dla nas. Pan nie możesz zaprzeczać, że ono bezpośrednio wyrosło na gruncie narodowym rosyjskim. Jednakowoż pan go nieuwzględniasz, pan dla niego od nikogo nie wymagasz miłości i przywiązania, przeciwnie, z miłości dla Rosyi, i dla samych odszczepieńców, życzyć pan powinieneś, ażeby oni nie przywiązywali się, a czemprędzej odwiązali się, oswobodzili się od swego odszczepieństwa pokrewnego, plemiennego, ojczystego. Dla czegoż to tak? Oto po prostu dlatego, że to pokrewne jest zarazem złe, nienależyte. To znaczy, że i wedle pana potrzeba kochać nie wszystko swoje, a tylko dobre. To znaczy, że w każdej rzeczy nie o to pytać się należy czy swoje albo nieswoje, ale o to czy dobre lub złe. A należy starać się nam nie o to, aby być i postępować jak tylko można najsamoistniej i najnarodowiej, ale o to, aby być i postępować jak tylko można najlepiej. Okażemy zaś w rzeczy samej naszą miłość dla swoich, dla bliskich, dla dalszych, dla rodziny, dla narodu i dla ludzkości, pracując jak należy nad sprawą powszechną, społecznie pożyteczną.

Główny błąd pański jest ten, że pan poczytujesz narodowość i samoistność narodową, jako jakiś przedmiot dla miłości i czynu, gdy rzeczywiście samoistność narodowa znajduje się nie w przedmiocie miłości i czynu, ale w tym, kto miłuje i działa. Należąc do narodu pewnego, chcąc nie chcąc, współuczestniczymy w samoistności narodowej, w charakterze i narodowym typie, i na to wszystko, co robimy dobrze lub źle, koniecznie cechę swojej narodowości nakładamy. Nam nie potrzeba szukać zewnątrz tej narodowości, która siedzi w nas samych. Stąd, o to nam starać się potrzeba, aby nasze siły osobiste i narodowe zastosowane były do obecnej sprawy dobrej, ażebyśmy wykazywali własną narodowość z lepszej jej strony.

Weź pan, jakiegokolwiek działacza specyalnego, naprzykład uczonego. Należąc do pewnego narodu, uczony ten najniezawodniej w pracach swoich naukowych wykaże nietylko swe osobiste, lecz i nacyonalne właściwości. Lecz potrzeba do tego,

aby uczony ten przedewszystkiem o przedmiocie swoim myślał, swoją się sprawą zajmował, bo przeciwnie w czemże się wykaże i sama właściwość nacyonalna. Przykład znakomity właściwości nacyonalnej w nauce, przytacza J. I. Danilewski w swej książce „Rosya i Europa," a mianowicie: system polityczno-ekonomiczny Szmita i teoryę Darwina. U jednego i u drugiego, charakter angielski nacyonalny wykazał się w stopniu najwyższym. I jeden i drugi najmniej się o to troszczyli. Oni nie chcieli utworzyć ekonomii politycznej angielskiej, albo bijologii angielskiej. Charakter narodowy angielski wykazał się u Adama Szmita, przez niego samego niepostrzeżenie, w poglądzie jego ogólnym, w ekonomicznych pojęciach jego na istotę społeczeństwa ekonomicznego; u Darwina podobnież, charakter narodowy angielski wykazał się nie w dążności utworzenia bijologii angielskiej o czem w dziełach jego nie ma ani jednej wzmianki, ale w ogólnym jego poglądzie na naturę i w samychże pojęciach jego o życiu organicznem. Gdyby Adam Szmit i Darwin spostrzegli, jak silnie wpływa ich narodowość na prace ich naukowe, jako uczeni rzeczywiści, sumienni, dla bezstronności i dla prawdy naukowej, postaraliby się zabezpieczyć od tego wpływu. I to byłoby dobrze. Właściwość nacyonalna byłaby pozostała, a byliby wolni od ograniczoności i jednostronności nacyonalnej. Na mocy swej nacyonalności, spostrzegając lepiej od innych wiadomą stronę przedmiotu i wyrabiając ją jak nikt, nie zamykaliby oczu na wszystko pozostałe. Natenczas Adam Szmit dostrzegłby w życiu ekonomicznem interes inny, oprócz wytwarzania bogactw, a Darwin w życiu natury wykryłby inny cel, oprócz walki o byt. Tak i we wszystkiem: siłą rozumu i dobrej woli wznosząc się nad swe ograniczenie nacyonalne, korzystać możemy lepiej nierównie ze swej właściwości narodowej. Nacyonalne dobre pozostaje przy nas, a od nacyonalnego złego wyswabadzamy się.

Pan zapytujesz: kiedyż to, i jaki naród w dziejach zapominał o sobie i poświęcał się? O poświęceniu później powiem, a na pytanie, „kiedy zapominał", odpowiadam: oto wtedy mianowicie, kiedy naród, całymi tłumami, albo w osobach synów swych wybranych spełniał czyny wielkie, wszechświatowe, kiedy

nie oddzielając się od ludzkości, dobra swego szukał w ogólnem szczęściu powszechnem. Tak naród żydowski w osobach Apostołów zapomniał judaizmu dla chrześcijaństwa powszechnego; wtenczas kiedy żydowi z żydów św. Pawłowi Apostołowi, na którego się pan powołujesz, nie przeszkodziła jego miłość dla braci wedle krwi, do odrzucenia podań zakonnych, dążności narodu żydowskiego i przynieść je na ofiarę dla takiej religii, w której wedle słów jego, niema ani greka ani żydowina; albowiem wiedział, że religia ta, będąc zbawieniem dla świata całego, tym samym była i zbawieniem dla narodu żydowskiego. Zapominali o narodowości swej Arabowie, kiedy wymyślili i rozprzestrzenili w połowie świata Islam beznarodowy, i w końcu sami się poddali, przekazując kalifat turkowi innoplemiennemu. Zapominali o swej narodowości i narody nasze europejskie, kiedy poddali się nadnarodowej władzy Kościoła katolickiego i przez tę uległość stworzyli kulturę europejską. Na zapomnieniu o egoizmie nacyonalnym uzasadnione wszystko dobre i u nas w Rosyi, i państwo rosyjskie poczęte przez Wariagów i upłodnione przez Tatarów, i nabożeństwo (благочестие) ruskie przyjęte od Greków, i ta oświata przyswojona z Zachodu, bez której nie byłoby ani literatury rosyjskiej, ani sławianofilstwa naszego.

Co się działo w sprawach zbiorowych, n a d n a r o d o w y c h, to samo spostrzegamy i w wypadkach pojedyńczych każdego razu, kiedy mąż genialny obdarza świat jakimś utworem niepożytym. Pan wskazujesz przykład Anglii z jej Bakonem, Newtonem i Szekspirem. Czyż pan sądzisz, że Bakon, gdy pisał po łacinie swoje *instauratio scientiarum*, albo swój *Novum organon*, nie o postępach w nauce myślał, ale o nacyonalności angielskiej, lub wreszcie o nauce angielskiej? Czyż myślał o tem i Newton, kiedy pisał także po łacinie swoją filozofię naturalną. W obu bezwątpienia znikał anglik w uczonym, nacyonalność dla nauki zapominała się. Lecz i odnośnie do Szekspira, który pisał po angielsku i był patryotą żarliwym; iżali podobna szukać w Hamlecie albo Burzy jakichściś cech nacyonalizmu? Czyż to nie jest całkiem widoczne że tu mianowicie uczucie narodowe z a p o m n i a n e dla czegoś wyższego? Lecz otóż u tegoż samego Szekspira w kronice dramatycznej „Henryk VI." nacyo-

nalizm występuje rzeczywiście bardzo jaskrawo. Szekspir wprowadzając na scenę Joannę d'Arc zapomina o poezyi, pamięta tylko, że on anglik i z tego namiętnego nacyonalizmu rodzi coś potwornego i ohydnego: szyderstwo nad męczennicą, usprawiedliwienie zbójców i katów [1]. Dramata Szekspira wolne od nacyonalizmu wsławiły go i narodowość angielską, a natchnione przez nacyonalizm sceny „Henryka VI", piętnują hańbą jego i naród jego.

Skorzystałem z przykładów pańskich. Przytoczę i inne więcej przekonywające. Przypomnij pan sobie Goethego, oto niewątpliwie najznakomitszy przedstawiciel nacyonalności niemieckiej, zwiastun rewelacyi rzeczywistych ducha niemieckiego, a jednakowoż nic mu to nie przeszkadzało obojętnym być w stopniu najwyższym na wszystkie interesa nacyonalne i patryotyczne. Przypomnij pan Szopenhauera, nie tyle znakomitego, lecz w każdym razie niemca wydatnego i bardzo typowego, który nietylko był obcym wszystkiemu co nacyonalne, ale nieinaczej, jak z najgłębszą pogardą odzywał się o narodzie niemieckim, znajdując u niego jedynie dobrym język niemiecki (podobnież jak nasz Turgieniew o Rosyi); pan się tymczasem zgodzisz, że nietylko Goethe lecz i Szopenhauer lepiej pismami swemi wykazali narodowość niemiecką, lepiej przysłużyli się narodowi swemu i więcej wsławili go, aniżeli na przykład Mencel i inni niemcofile. Wskazuję na antynacyonalizm Goethego i Szopenhauera, bynajmniej nie jako na wzory do naśladowania, lecz iż oba dotykalnie przekonywują, że narodowość i narodowy charakter, jako siła zasadnicza, właściwa narodowi całemu i uwydatniająca się w członkach jego znakomitszych jest

[1] Joanna d'Arc przez nacyonalizm angielski i przez pustą wolnomyślność narodowości francuskiej, jednakowo skrzywdzoną została, (la pucelle, Voltaire). Jednakowoż jakże dalekie od pierwszego i od drugiego poetyczne prawdziwe jej przedstawienie (Dziewica Orleańska Szyllera). Sama osobistość Joanny wykazała na sobie rysy najlepsze nadnarodowego ducha francuskiego, ognistą religijność mistyczną, nieograniczone posłuszeństwo Kościołowi i władzy monarszej, współboleść na nieszczęścia powszechne, a czyn jej patryotyczny, obrona ojczyzny przeciw bezmyślnemu i ordynaryjnemu gwałtowi cudzoziemców był najzupełniej prawnym, chociaż i nie wyższym od zjawiska prawdziwego uczucia narodowego.

inną rzeczą, a inną nacyonalizm, tj. żarliwe i napięte troskanie się o swą odrębność nacyonalną, wzmocnione podżeganie egoizmu nacyonalnego; to zupełnie co innego, a nawet wprost przeciwne pierwszemu. Duch narodowy, typ narodowy, charakter samoistny, wszystko to istnieje i działa mocą własną, nie potrzebując i nie dopuszczając żadnych sztucznych podżegań. W prawdziwie narodowym niema nic sztucznego, inaczej w miejsce narodowości okaże się tylko narodomania (народничанье). Między jednem a drugiem takaż istotnie zachodzi różnica, jak między oryginalnością a manią oryginalności (оригинальничаньемъ); pierwsze jest coś mimowolnego i dobre jest, drugie jest coś napiętego i jest złe.

Ludzie i narody bywają samoistnymi, lecz uczynić się samoistnym — nikt nie może: sztuczna samoistność jest *contradictio in adjecto,* to tak jakby sucha wilgoć lub chłodne ciepło, samoistność narodowa, jak ów skarb bajeczny, daje się temu tylko, kto się o niego nie stara, a kto się stara, ten w miejsce skarbu przynosi do domu jedyne, na nic nieprzydatne węgle. (?)

Ażeby samoistność narodową okazać, wcale nie potrzeba „natężać wszystkich swych sił dla rozpoznania typu naszego narodowego", a potrzeba siły te stosować do sprawy. Najwyższą zaś sprawą, najwyższym obowiązkiem narodu chrześcijańskiego, jak pan sam przypuszczasz, jest rozpowszechnienie prawdy Bożej na ziemi. Dla sprawy takiej, duch narodowy powinien wykazać siłę swą moralną, dla takiej sprawy naród gotów być powinien poświęcić się, powinien być gotów do zaprzenia się nacyonalnego. Pana to słowo przeraża. Mięszając nacyonalizm, tj. egoizm nacyonalny z narodowością, pod wyrażeniem zaprzenia się nacyonalnego, rozumiesz pan zniszczenie samejże narodowości. Ale zaprzenie się nie jest samobójstwem. Potrzeba zaprzenia się nacyonalnego, jest tylko bezpośredniem zatosowaniem do narodu przykazania Chrystusowego do wszystkich zwróconego. „I mówił do wszystkich: Jeśli kto chce za mną iść, niech zaprze samego siebie, a weźmie krzyż swój na każdy dzień i niech idzie za mną. Bo ktoby chciał duszę swą zachować, straci ją, a ktoby stracił duszę swą dla mnie, zachowa ją" (Łuk. IX, 53, 24). Tutaj bezwzględnie wymaga się zaprzenia, lecz czyż tu wymaga się samobójstwa? A jeżeli zaprzenie się osobiste nie

jest samobójstwem, to dla czegóż zaprzenie się nacyonalne koniecznie będzie samobójstwem nacyonalnem? Zaprzenie się jest czyn w samej rzeczy moralny; jest zawsze wykazaniem wyższej siły duchownej, tak pojedynczej osobistości jak i całego narodu. I naród, chcący choćby największym kosztem, zachować duszę swoję w zasklepionym i wyłącznym nacyonalizmie, zgubi ją, a zachowa ją, gdy całą swą duszę położy dla sprawy narodowej, powszechnej. Zaprzenie się osobiste, wyrzeczenie się egoizmu, nie jest unicestwienie samego *ego*, samejże osobistości, przeciwnie jest podniesienie tejże osobistości na wyższy stopień bytu. Toż samo również stosuje się do narodu; wyrzekając się nacyonalizmu wyłącznego, on nietylko nie traci swego życia samoistnego, lecz przez to jedynie spełnia prawdziwe swe zadanie życiowe. Jeżeli dla człowieka osobiste zaprzenie się, nie jest wyrzeczeniem się osobistości, a tylko wyrzeczeniem się swego egoizmu, to również dla narodu zaprzenie się nacyonalne nie jest wyrzeczeniem się nacyonalności lub narodowości, a tylko wyrzeczeniem się swego egoizmu nacyonalnego lub nacyonalizmu.

O ile wiem, nikt nigdy nie zwracał się do osoby lub narodu z nielogicznem żądaniem wyrzeczenia się czegoś dobrego. O ile narodowość (jak również i osobistość) jest siłą dodatnią, sposobną podług siebie przyjmować i pełnić dobro i prawdę, o tyle przykazanie wyrzeczenia się do niej się nie stosuje. Przykazanie to, stosuje się nie do narodowości ale do egoizmu nacyonalnego, dla którego cenne nie to, co dobre, lecz co swoje, choćby i złe. Na mocy egoizmu skłonniśmy obstawać przy swojem złem, przy swoich niedoskonałościach i grzechach, jako przy swoich, to jest przy nieodłącznej cząstce nas samych, a dla odrzucenia tego złego wymaga się rzeczywiste zaprzenia się, albo wedle bardziej mocnego wyrażenia Ewangielii, wymaga się stracenia duszy swej. Lecz to jest zatrata lichej, złej duszy, zatrata egoizmu, a nie osobistości, zatrata nacyonolizmu a nie narodowości. W artykule moim nie ma ani jednego miejsca, gdzie byłaby wzmianka o wyrzeczeniu się narodowości. Mówiąc zaś o wyrzeczeniu się i zaprzeniu się nacyonalnem (a w jednem miejscu bezwzględnie „o wyrzeczeniu się nacyonalnego zasklepienia i wyłączności", str. 14, od których uwolniliśmy się w sferze świeckiej,

lecz nie chcemy od nich oswobodzić się w sferze duchownej), uważałem za zbyteczne objaśniać, że nie mam na celu ani samobójstwa, ani odrzucenia tego co jest dobre. Tem więcej uważałem to za zbyteczne, że przywiedzione przezemnie z dziejów rosyjskich przykłady zaprzenia się nacyonalnego, wykazują odrzucenie przez naród złego, zapanowanie narodu nad własnym złym stanem, nad narodowymi kłótniami w jednym razie, a w drugim nad zasklepieniem i ciemnotą. To i pan przyznać powinieneś, chociażbyś nie wiem jak patrzał na te fakta dziejowe. Wreszcie gdzie pan mówisz o przyzwaniu Wariagów, znalazłem tam po większej części piękne zatwierdzenie i rozwinięcie mej myśli. W tej okoliczności paneś wypowiedział to nierównie dobitniej aniżeli ja, co się okazuje z następnych ustępów artykułu pańskiego (Ruś, Nr. 7, str. 6 i 7).

„Rzeczywiście, dzieje nie przedstawiają podobnego przy„kładu zaprowadzenia zasady państwowej, któryby wypływał z prze„konania, swobodnie i dobrowolnie; jedyny to tylko przykład „u nas, w Rosyi. Przekonanie to narodu, w stosunkach do „władzy, rozwija się następnie wśród całych dziejów naszych „do czasów najostatniejszych; spoczywa ono na pierwiastku, po„chodzącym z przekonania, jak i obecne przywiązanie i posłuszeństwo „narodu ruskiego dla cara, a nie jest bałwochwalczem, ślepem, nie„wolniczem uczuciem. Lecz wróćmy do czynów podjętych przez „przodków naszych. Plemię walczyło przeciw plemieniu, ród „przeciw rodowi; były zapewne próby związków plemiennych „i federacyi, lecz te okazały się bezskuteczne; życie, życie swo„bodne, spokojne stawało się niepodobne; zrozumieli mądrzy „przodkowie, że dla uchylenia i rozsądzenia kłótni ich i sporów „potrzebny rozjemca, to jest pośrednik zewnątrz wzięty, do „żadnej strony nienależący, potrzebna władza, nie taka, któraby „wynosiła jedno plemię nad drugie, lecz któraby sama nad „wszystkiemi wznosiła się, zarówno wszystkim obca i dlatego „dla wszystkich swoja, wolna od namiętności wszelkich, ple„miennych i rodowych.“

„W każdym razie wyrzekli się przodkowie nasi nie nacy„onalności, ale chęci panowania i kierowania zobopólnej, wy„rzekli się kłótni i nieprzyjaźni, poskramiając się przez posłu-

„szeństwo wspólne, dla władzy wspólnej, z zewnątrz przywo-
„łanej."

„Samo to wyrzeczenie się chęci panowania, zasady wszech-
„władztwa ludowego (la souveraineté du peuple), ujawniło się razy
„kilka i po Wariagach w dziejach rosyjskich, a w roku 1613, kiedy
„państwo rozbiło się na kawałki, naród znowu je odbudował,
„chodził za Wołgę po cara samowładnego, lat kilka wzmacniał
„władzę jego i powagę przez nadzór zebrań swych ziemskich, a później
„nie ubezpieczywszy się żadnemi gwarancyami, z zupełnem zau-
„faniem „wziął dymisyę", wedle wyrażenia Chomiakowa, po-
„wróciwszy do swego życia obywatelskiego."

Paneś prześlicznie tutaj wyłożył, jak działali „mądrzy przod-
kowie", dla czegóż więc niepokoi tak pana moje życzenie, aby
i potomkowie byli również mądrzy? Wyrzeczenie się swego złego,
(kłótni, nienawiści, swawoli w jednym razie a w drugim wyłączności
i zasklepienia, nieruchomości ducha i myśli), zaofiarowanie gor-
szej części samego siebie i życia swego dla dobra wyższego, jest
dziełem mądrości narodowej, jak pan sam to przyznajesz. Po-
budzać naród swój do tak mądrego czynu i czynnie współuczestni-
czyć w czynie, wymaga od nas tego miłość dla narodu prawdziwa.
Dla tej miłości prawdziwej i mądrej wyrzec się bezwarunkowo
potrzeba przywiązania ślepego do wielu swych rzeczy pokrewnych,
oddzielić się niezbędnie od złej narodowej rzeczywistości, i nietylko
samemu oddzielić się od narodu, ale starać się, aby i naród oddzielił
się, że tak rzekę, od siebie samego, osądził się i wzniósł się ponad sie-
bie. Jak może być zrozumiane przez lud osądzenie się to i wy-
rzeczenie się! I czemże, jeżeli nie miłością dla narodu może
być wszczepione pragnienie, przy pomocy którego naród, zgodnie
z lepszemi, chociaż nie jasnemi dążnościami ducha swego wła-
snego, wyrzecze się gorszych stron swej natury, złych i zgubnych
warunków swego żywota i wzniesie się nad swą rzeczywistość
grzechową i nieszczęśliwą.

Żądasz pan, abyśmy naród miłowali bezwzględnem i bezpo-
średniem uczuciem, abyśmy kochali go, jak swoję rodzinę. Lecz
wiadomo, że w prawodawstwie bożem, odnośnie do rodziny, znaj-
dujemy dwa przykazania albo dwa prawa pozornie sprzeczne
z sobą, pogodzenie zaś tej pozornej na rzut oka sprzeczności,

przez odwoływanie się do bezpośredniego uczucia, okaże się środkiem wcale niedostatecznym. Pierwsze z tych przykazań jest to, które dane zostało ludowi izraelskiemu przez Mojżesza: „Czcij „ojca twego i matkę twoję, abyś był długowieczny na ziemi.“ Drugie przykazanie dał Chrystus uczniom swoim: „I szły z nim „rzesze wielkie, a obróciwszy się rzekł do nich: jesli kto idzie „do mnie, a nie ma w nienawiści ojca swego i matki i żony „i dzieci i braci i sióstr, jeszcze też i duszy swojej, nie może „być uczniem moim (Łuk. XIV, 25, 26).“

Rozkazując miłować wszystkich, nawet i nieprzyjaciół, Ewangielia niezawodnie wyłączać nie może z tej miłości prawdziwej bliźnich naszych, rodzinę. Jednakowoż powiedziano otwarcie: jeżeli kto nie ma w nienawiści, okazuje się, że istnieje taka nienawiść, która nie sprzeciwia się miłości prawdziwej, lecz owszem wymagana jest przez nią. Okazuje się, że jest i taka miłość mniemana, która przeczy miłości prawdziwej; tej miłości kłamliwej wyrzec się potrzeba i w tem znaczeniu nienawiść mieć potrzeba; nienawiść nietylko siebie albo „duszy swej“, ale i rodziny swej i wszystkich bliskich swoich i narodu swego, gdyż w innych miejscach Nowy Testament wymaga wyrzeczenia się narodu swego. Otóż, ta prawdziwa nienawiść, usuwająca miłość kłamliwą, przywiązanie fałszywe i ślepe do swego rodzimego, ona to jest tem zaprzeniem się nietylko osobistem, lecz i rodzinnem i rodowem i narodowem, za któreś pan tak powstał na mnie, tak, jakby ono wymyślone było przezemnie, lub przez jakichściś tam zachodników, a nie zwiastowane w Nowym Testamencie i Zachodowi i Wschodowi i zwiastowane w daleko więcej ostrzejszych, aniżeli „zaprzenie się“ wyrażeniach.

Nienawiść ewangieliczna nie sprzeciwia się miłości prawdziwej a jest tylko jej spełnieniem. Wyrzekając się swych przywiązań wyłącznych, aby Chrystusa naśladować, uczestniczyć w Jego dziele, dziele zbawienia powszechnego, tem samem działamy dla prawdziwego dobra i własnej rodziny i narodu własnego: wyrzekamy się ich w celach ich zbawienia; gdy tymczasem ślepe, wyłączne przywiązanie nasze do swojego i swoich, zapominające wyższego dobra dla niższego, przekładające parę wołów i własne pole nad biesiadę królewską, zgubnem jest nie-

tylko dla nas samych, ale i dla tych, których miłujemy tą miłością fałszywą. Dla czegoż jednakże stoi w Ewangielii takie słowo surowe; „jeśli kto niema w nienawści?“. Otóż mianowicie dlatego, że byli ludzie, którzy nie rozumieli, że miłość prawdziwa wymagać może wyrzeczenia się swego rodzimego, którzy koniecznie wymagali zsolidaryzowania się z rodzimym i familijnym egoizmem, którzy wyrzeczenie się tego egoizmu, w imię miłości prawdziwej, poczytywali za nienawiść. Słowa ewangieliczne zwrócone do tych ludzi mają takie znaczenie: „wy myślicie, że miłość prawdziwa zawiera się w ślepem „i wyłącznem przywiązaniu do swego, pokrewnego, rodzinnego, „do narodu, solidaryzując i jednocząc się z ich familijnym „i niesprawiedliwym żywotem. Dla was wyrzeczenie się tego „wszystkiego oznacza nieobecność samejże miłości i w wa„szym języku jest to nienawiść. Przeto stosując się do tego wa„szego języka, mówię wam, jeśli kto nie znienawidzi wszystko „swoje rodzime i bliskie, ten uczniem moim być nie może. Ażeby „uczniem być moim, potrzeba wyrzec się owego niższego śle„pego przywiązania, które wy poczytujecie za miłość, a po„trzeba posiadać tę prawdziwą, wyższą miłość, która wedle was „jest nienawiścią.“ Taką nienawiść ewangieliczną przyswoił sobie i ów największy opowiadacz ewangielii Paweł Apostoł, na którego się pan powołujesz; on był oskarżany i prześladowany przez swoich, jako wróg, nienawistnik i zdrajca narodu swego. Oczywiście są dwie różne miłości dla narodu, i jedna dla drugiej zdaje się być nienawiścią. Miłość zdaje się być tu nieprzyjaźnią, przychylność zdradą, pochwała naganą. Panu naprzykład potępienie nacyonalizmu, który wyrodził nasze odszczepieństwo kościelne, wydało się naganą dla Rosyi! Czyż Rosya i nacyonalizm rosyjski jest to samo? I ja, gdybym, wskazawszy na pańskie zasługi rzeczywiste, rozpowiedziawszy, jak pan dobrze działałeś w pewnych wypadkach, gdy kierowałeś się powodami wyższymi moralnymi, gdybym życzył, abyś pan i nadal nimi się kierował, a nigdy nie stawał na widocznie złym, widocznie bezpłodnym gruncie samolubstwa i zarozumiałości, które nic oprócz złego wydać nie mogą, czyżbyś pan poczytał to za naganę dla siebie? Wskazać na wielkie, charakterystyczne czyny Rossyi w prze-

szłości, dzięki którym stała się ona tem, czem jest, a oczekiwać od niej przywrócenia jedności powszechnej, czyż to znaczy ganić Rosyę? Ganić zaś to co złe, ganić nacyonalizm z jego samolubstwem, to nietylko dozwolone, lecz nawet obowiązkowo moralne. Lecz wreszcie czyż by to lepiej było, gdybym naganę swoję zamienił w obecnym wypadku na pochwałę i gdybym powiedział naprzykład tak: Rosya umocnić się powinna na widocznie pożytecznym i płodnym gruncie samolubstwa i uprzedzenia nacyonalnego, widocznie pożytecznych i płodnych, gdyż one wydały tak prześliczny i zbawienny owoc jakim jest, z powodu starych błędów książkowych poróżnienie kościelne w narodzie rosyjskim.

Potępienie moje nacyonalizmu raz pan stosujesz do całej Rosyi i narodu rosyjskiego, to znów do sławianofilów. Jednakowoż dla czegożby nie stosować go tam, gdzie ono wedle słuszności stosuje się, a mianowicie do nacyonalizmu, jako złego kierunku ducha narodowego, który objawić się może i w pojedyńczych ludziach i w całym narodzie? O ile on wykazał się w Rosyi, (a jam wskazał na jeden tylko uderzający przykład takiego zjawiska w odszczepieństwie kościelnem, raskole), o tyle nagana odnosi się do Rosyi. O ile sławianofile grzeszyli nacyonalizmem, nagana i do nich się stosuje, chociaż w ich poglądach było jeszcze coś większego i lepszego od nacyonalizmu; prawda i sam nacyonalizm u pierwotnych sławianofilów miał wiele przypadłości łagodzących. Lecz tu nie oto wcale idzie, kto i w jakiej mierze grzeszył i grzeszy egoizmem nacyonalnym, ale o to, żeby grzech ten nie brać za cnotę, aby naturalna grzeszność nie podtrzymywała się sztucznie i nie stanowiła przeszkody dla narodu w jego rzeczywistem moralnem i dziejowem zadaniu. Dzięki Bogu nam należy się więcej cieszyć z chwalebnie podjętych czynów zaprzenia się narodowego, dokonanego przez Rosyę, aniżeli ganić ją za złe używanie nacyonalizmu, lecz i z temi następstwami liczyć się należy. Jakże się zachować, kiedy naród w swoim charakterze, w życiu swojem i w dziejach, jednocześnie przy dobrem, wykazuje i złe przeciwne? Nie należy solidaryzować ani z tym, ani z tamtym, wypada wybierać — wybierać nie między swojem a cudzem, albowiem i to i drugie swoje, ale

między dobrem i złem, między prawdą i fałszem. Myśmy obowiązani miłować naród jak rodzinę. Lecz kochając rodzinę, czyż nie powinniśmy wyrzekać się i starać się wyrzec złych podań rodzinnych, czyż my nie jesteśmy obowiązani do przeciwdziałania kłamstwu i kłótniom rodzinnym? Jeżeli rodzina nasza pozostaje w odwiecznej zastarzałej niezgodzie z drugą rodziną lub rodem, iżali powinniśmy z przywiązania do swoich podtrzymywać i tę ich nienawiść i tę kłótnię rodową? Iżali zrodzony w jednej z rodzin wrogich sobie, będzie nienawistnikiem i zdrajcą rodu swego, jeżeli zamiast podtrzymywać nienawiść rodową, starać się będzie dla dobra i sprawiedliwości pogodzić je, mając na celu szczęście prawdziwe stron obu? Czyż to niezrozumiałe, że kochając rodzinę potrzeba solidaryzować z nią tylko w dobrem, a nie w złem? I jeżeli pan (najzupełniej sprawiedliwie) porównywasz naród z rodziną, to przyznajże, że i z własnym narodem należy być jednakowo solidarnym, tylko w dobrem i w prawdzie, a nie w złych instynktach i podaniach, nie w antypatyach i antagonizmie narodowym. Co jest prawdą dla rodziny, jest prawdą i dla narodu, jednakowo wyrzekać się należy tak rodzinnego, jak i narodowego egoizmu; tylko przez takie wyrzeczenie się prawdziwy pożytek przynieść możemy i swojej rodzinie i swojemu narodowi i przez to tylko w czynie dowieść możemy miłości naszej dla nich.

Pan mówisz: służąc narodowi swemu, my tem samem służymy i ludzkości. Takim samym prawem powiedzieć można, że służąc sobie samemu, ja służę rodzinie swej, służąc rodzinie swej, służę narodowi swemu i tak dalej, a w rezultacie wypadnie, że mogę ograniczyć się na służeniu sobie samemu. Ale jakaż to służba? Wszystko to tylko gra słów, rzecz zależy od tego, czem i jak ja służę sobie i innym. Jeśli sobie służę w duchu egoizmu wyłącznie osobistego, to przez to nikomu, oprócz siebie, nie służę, lecz i sobie służę źle, pozbawiając siebie dobra prawdziwego. I jeśli służę rodzinie własnej lub narodowi własnemu w duchu egoizmu rodzinnego lub nacyonalnego, to i tutaj nie służę nikomu, tylko swej rodzinie i narodowi swemu, lecz i im służę źle, pozbawiając ich dobra prawdziwego. Wiadomo, że i ludzkości można służyć źle, lecz i cóż to jest

ludzkość? Co pan przez nią rozumiesz, ja nie wiem. Co do mnie, mówiąc o zaprzeniu się nacyonalnem, miałem na uwadze wcale nie jakąś tam abstrakcyjną ludzkość; wcale nie biorę na uwagę, jakiejś nieznanej ogólnoludzkiej sprawy, ja wskazuję na sprawę prawdziwą i świętą zjednoczenia Wschodu chrześcijańskiego z chrześcijańskim Zachodem, nie na podstawach ludzkości naturalnej, która sama zaledwie jest budowlą rozrzuconą bez żadnej solidarności moralnej i jedności, ale na zasadach ludzkości duchownej, odrodzonej pod chorągwią jedynego, świętego, katolickiego, i apostolskiego Kościoła.

Ludzkość sama z siebie gorszą być może, aniżeli nic. Nietylko naród jeden, lecz nawet człowiek jeden może być lepszym i godniejszym, aniżeli wszyscy ludzie pozostali razem wzięci. Stąd, kiedy wymaga się zaprzenia się w imię sprawy powszechno-ludzkiej, to nie dlatego, że ona powszechno-ludzka, ale dla tego, że ona jest sprawą prawdziwą, świętą, prawowierną (prawosławną).

Szczęściem dla nas, ta sprawa powszechna prawowierna (православная) jest zarazem sprawą ruską narodową. Aby służyć sprawie bożej, nam nie potrzeba rozrywać z narodem łączności, nam tylko potrzeba zesolidaryzować się ze stroną jego dobrą, w rzeczywistej prawdzie narodowej. Przecząc nacyonalizmowi naszemu, sprawa boża powszechna, najzupełniej zgodna z właściwościami lepszemi narodu rosyjskiego, najzupełniej odpowiadamy ideałowi narodu ruskiego, prawdzie narodowej ruskiej. Na czemże się albowiem zasadza ten szczególny ideał ruski narodowy, na który się pan powołujesz. Co naród ruski poczytuje za najlepsze, czego on życzy najwięcej dla siebie, dla Rosyi? Nie chce on tego, aby Rosya była krajem najpotężniejszym w świecie; to nie jest jego główne i wyższe pragnienie — w tym względzie narody inne daleko nas wyprzedziły; potęga wszechświatowa w żadnym razie nie jest ideałem wyłącznie ruskim. Naród nasz i tego wyłącznie sobie nie życzy, aby Rosya była krajem najbogatszym w świecie; tego daleko więcej życzą sobie Anglicy i tego w rzeczy samej dopięli. Narodu naszego nie pociąga zbytecznie pragnienie szumnej sławy, aby Rosya błyszczała i słynęła w świecie, aby była narodem najbardziej odznaczającym

się, jak pragną tego naprzykład Francuzi; ideał chełpliwości nacyonalnej w każdym razie jest ideałem daleko więcej francuskim, aniżeli narodowym ruskim. Czy chce naród nasz nadewszystko być samym sobą, trzymać się właściwości swoich nacyonalnych i tradycyi, czyż on samoistność i obyczaj swój najwyżej stawia? Prawda, jest u nas to życzenie, lecz predominująco wykazało się ono u tej części narodu ruskiego, która i dlatego wytworzyła starowiarstwo. Nakoniec, czyż naród nasz życzy sobie być nadewszystko poczciwym, rozumnym i porządnym w życiu ludzkiem? Lepsze to niezawodnie od potęgi, bogactwa, sławy, lecz zgodzisz się pan, że to pragnienie nie jest głównem narodu ruskiego, bo ideał poczciwego i rozumnego bytowania prędzej jest ideałem niemieckim, aniżeli ruskim.

Zazwyczaj naród chcąc pochwalić swą nacyonalność, w samejże tej pochwale swój ideał nacyonalny wyraża, to co dla niego najlepsze, czego najwięcej sobie życzy. Tak Francuz mówi o pięknej Francyi i chwale francuskiej (la belle France, la gloire du nom français). Anglik mówi z miłością: stara Anglia (old England). Niemiec wyżej się podnosząc i nadając charakter etyczny swemu ideałowi nacyonalnemu, z dumą głosi: die deutsche Treue. Cóż naród ruski w podobnych wypadkach mówi, czem sławi Rosyę? Czyż on nazywa ją piękną lub starą, czyż mówi o chwale ruskiej[1], lub o poczciwości i wierności? Pan wiesz, że nic takiego nie mówi, a chcąc wyrazić uczucia swe najlepsze dla ojczyzny, mówi tylko o „Rusi świętej". Oto ideał: nie konserwatywny i nie liberalny, nie polityczny, nie estetyczny, nawet nie formalnie etyczny, ale ideał religijno-moralny (нравственно-религіозный).

Lecz owa „świętość", która stanowi właściwość ideału naszego narodowego, nie jest to wyrzeczenie się świata i życie w Bogu; świętość w tem rozumieniu, świętość wyłącznie ascetyczna, właściwa Wschodowi całemu, w szczególności zaś Indyom, to jest ideał indyjski a nie ruski narodowy. Rosya wedle charakteru narodowego, mając wiele podobieństwa z Indyami,

[1] „Chwała Imienia ruskiego" niekiedy spotyka się w gazetach, lecz jest to tłumaczenie z języka francuskiego.

odróżnia się od nich zmysłem swym żywym, praktycznym i dziejowym. Zmysł ten praktyczny uwydatnił się dobitnie, jak to prześlicznie pan wykazałeś w kreacyi i konserwacyi ciągłej państwa rosyjskiego, władzy jedynej najwyższej, wybawiającej nas z chaosu i zniszczenia. Zgodnie z tym praktycznym i dziejowym zmysłem narodu ruskiego, on umieszcza i świętość czynną w ideale swoim najwyższym świętości nadascetycznej. Ruś święta wymaga sprawy świętej. Okażże mi pan teraz, że zjednoczenie Kościołów, pojednanie duchowne Wschodu z Zachodem w jedności Kościoła powszechnego nie jest sprawą świętą, że to nie jest to mianowicie słowo skuteczne, które Rosya światu powinna powiedzieć? Żadne zaiste inne jest niemożliwe. Słowo to Rosyi, którego i pan wyczekujesz, nie może być jakiemś to nowym objawieniem, prawdą nową: my z panem jako chrześcijanie w żadnym razie nie możemy w chrześcijaństwie przypuścić objawienia nowego, prawdy nowej. To nowe słowo tylko być może zupełniejszem wyrażeniem, wypełnieniem i spełnieniem chrześcijaństwa. Lecz jakież spełnienie jest możliwe przy bratobójczej kłótni dwóch jego części głównych? A zatem nowe Rosyi słowo, przedewszystkiem jest słowem pojednania Kościoła Wschodniego z Zachodnim. Czy zaś słowo to jest oryginalne lub samoistne — to kwestya próżna: jeżeli w narodzie rosyjskim są samoistne siły, to on potrafi powiedzieć to słowo po swojemu; lecz powinien je powiedzieć, jeśli posłusznym być chce woli bożej, jeśli chce nie kłamliwie głosić o „świętej Rusi“. Albowiem to słowo zjednoczenia Kościołów jest słowo święte i boskie, ono jedno może dać nam chwałę prawdziwą, chwałę synów bożych: błogosławieni pokój czyniący albowiem nazwani będą synami bożymi.

I dla czegóż to słowo oburza pana? Czyż nie dla tego, że w miejsce zjednoczenia Kościołów rysuje się panu zlatynizowanie Kościoła rosyjskiego, jakby to szło o sprawę jakiejś to zewnętrznej unii mechanicznej. Lecz wierzyszże Pan w siły duchowne Wschodu i Rosyi, te siły, które tak dotykalnie wykazały się w dziejach Rosyi. Ja siły te przyznaję i dlatego oczekuję zjawiska nowego, wyższego. A w zjednoczeniu Kościołów widzę nie zabójstwo kościóła rosyjskiego, ale ożywienie, niebywałe

podniesienie władzy naszej duchownej, przyozdobienie naszego życia kościelnego, poświęcenie i uduchownienie życia obywatelskiego i narodowego, jawne wykazanie się Świętej Rusi. Aby zaś spełniło się to, niezbędne jest, zaprzenie się, nie w pojęciu zwykłem fizycznem, nie samobójstwo, ale potrzebne jest zaparcie się w pojęciu czysto moralnem, to jest zastosowanie do sprawy tych najlepszych właściwości ruskiej narodowości, na które i pan wskazujesz, prawdziwej pobożności, miłości braci obszernego poglądu, tolerancyi, wyswobodzenia się od wszelkiej wyłączności, a nadewszystko pokory ducha.

W jednem miejscu ostatniego artykułu pańskiego zwracasz pan uwagę, że o pokorze duchownej narodu rosyjskiego, zaledwie zasłyszał sam p. Sołowiew. Prawdą jest, żem rzeczywiście słyszał o duchownej pokorze narodu ruskiego, lecz nietylko słyszałem, lecz jej ufałem a nietylko ufałem, lecz opieram się na niej w poglądach na kwestyę kościelną. Pan niezawodnie słyszałeś więcej aniżeli ja o ruskiej pokorze, lecz bardzobym chciał wiedzieć, jak pan wiążesz z tą pokorą duchowną owe zadania wzmocnionego nacyonalizmu, owo wzbudzanie samolubstwa narodowego, które nam pan zalecasz. Póki nie wyjaśnisz pan tego, ja niestety, nie mogę ani przyjąć, ani nawet pojąć tej rady, z którą w zakończeniu do mnie się zwracasz: nie oddzielać siebie od narodu, połączyć się z ruskim duchem narodowym. Nie wiem, co pan przez to rozumiesz, o jakim pan duchu mówisz. Czy to duch ten, który prowadził przodków naszych po wiarę prawdziwą do Byzancium, po zasadę państwową do Wariagów, po oświatę do Niemców, duch, który im nakazywał zawsze szukać nie swego, ale dobrego?

Jeżeli pan inaczej rozumiesz, to dowiedź że zjednoczenie Kościołów jest sprawą niedobrą. Nie! pan sam nazywasz ją chwalebną. Ja zaś niezachwianie przekonany jestem, że to jest sprawa prawdziwie święta i że usilne służenie tej świętej sprawie nie może mnie oddzielić od Świętej Rusi.

Włodzimirz Sołowiew.

20 kwietnia starego stylu 1884 r.